

System

Crichton Michael



calibre 0.9.27

Michael Crichton

"System"

Przełożył

SŁAWOMIR KĘDZIERSKI

Tytuł oryginału

DISCLOSURE

Ilustracja na okładce

CARRUTHERS / SIPA IMAGE

Redakcja merytoryczna

MARIA MAGDALENA KWIATKOWSKA

Redakcja techniczna

ANNA WARDZAŁA

Copyright (c) 1993 by Michael Crichton

For the Polish edition

Copyright (c) Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.

ISBN 83-7082-693-8

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie I

Druk: Zakłady Graficzne im. K.E.N. w Bydgoszczy

Dla Douglasa Crichtona

Za naruszające prawo uznane będą następujące praktyki

pracodawcy: 1. odmowa zatrudnienia albo zwolnienie danej

osoby, albo też inne dyskryminowanie jej pod względem wynagrodzenia, warunków zatrudnienia lub związanych z zatrudnieniem przywilejów - ze względu na rasę, kolor skóry, religię, płeć lub narodowość 2. ograniczanie, segregacja lub jakiegokolwiek klasyfikowanie pracowników bądź osób starających się o zatrudnienie, które pozbawiłoby lub mogłoby pozbawić rzeczono osoby możliwości zatrudnienia albo w inny sposób naruszyć ich status pracownika, ze względu na rasę, kolor skóry, religię, płeć lub narodowość tej osoby.

Artykuł VII, Ustawa o Prawach Obywatelskich z 1964 r.

Władza nie jest rodzaju męskiego ani żeńskiego,

KATHERINE GRAHAM

Poniedziałek

OD: DC/M

ARTURAKAHNA

TWINKLE/KUALA LUMPUR/MALEZJA

DO: DC/S

TOMA SANDERSA

SEATTLE /W DOMU/

TOM

UZNAŁEM, ŻE W ZWIĄZKU Z FUZJĄ, POWINIENIEŚ OTRZYMAĆ TĘ WIADOMOŚĆ W DOMU, A NIE W BIURZE.

LINIE PRODUKCYJNE TWINKLE PRACUJĄ NA 29% MOCY, MIMO WSZELKICH PRÓB JEJ ZWIĘKSZENIA. WYRYWKOWE

KONTROLE NAPĘDU WYKAZUJĄ PRZECIĘTNY CZAS PRZE-
SZUKIWANIA W ZAKRESIE 120-140 MILISEKUND I NIE ZNAMY
PRZYCZYNY TAKIEGO BRAKU STABILNOŚCI. POZA TYM,
W DALSZYM CIĄGU MAMY ZAKŁÓCENIA ZASILANIA EKRANU,
KTÓRE PRAWDOPODOBNIENIE SĄ WYWOŁANE ROZWIĄZANIEM
TECHNICZNYM ZAWIASU. MIMO DOKONANIA PRZEZ DC/S
W UBIEGŁYM TYGODNIU POPRAWEK, NIE SĄDZĘ, BY USTERKI
ZOSTAŁY USUNIĘTE.

JAK PRZEBIEGA FUZJA? CZY STANIEMY SIĘ BOGACI

I SŁAWNI?

Z GÓRY GRATULUJĘ CI AWANSU.

ARTUR

W poniedziałek 15 czerwca Tom Sanders nie miał najmniej-
szego zamiaru spóźnić się do pracy. Rano, o 7.30, wszedł
pod prysznic w swoim domu na Bainbridge Island. Wiedział, że
musi się ogolić, ubrać i wyjść z domu w ciągu dziesięciu minut,
jeżeli chce zdążyć na prom o 7.50 i przybyć do pracy o 8.30. Dzięki
temu, jeszcze przed spotkaniem z prawnikami z Conley-White,
mógłby omówić pozostałe punkty ze Stefanią Kaplan. Miał już
i tak dzień wypełniony po brzegi i otrzymany właśnie faks z Malezji
tylko pogarszał sytuację.

Sanders był kierownikiem działu w Digital Communications
Technology w Seattle. Przez cały tydzień w firmie panowała
gorączkowa atmosfera, ponieważ Conley-White, firma wydaw-
nicza z Nowego Jorku, zamierza kupić udziały w DigiComie.

Dzięki tej fuzji, Conley uzyskiwał dostęp do technologii, która miała całkowicie przeobrazić technikę wydawniczą w przyszłym stuleciu.

Ale ostatnia wiadomość z Malezji była niedobra i Artur miał rację, wysyłając mu ją do domu. Tom przewidywał trudności z wytłumaczeniem, w czym leży problem, przedstawicielom Conley-White, ponieważ ci ludzie po prostu nie...

- Tom? Gdzie jesteś? Tom?

Z sypialni wołała Susan, jego żona. Wychylił głowę spod strumieni wody.

- Jestem pod prysznicem.

13

Powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Wyszedł z kabinki i sięgnął po ręcznik.

— Co?

— Pytałam, czy możesz nakarmić dzieci?

Jego żona była prawnikiem i przez cztery dni w tygodniu pracowała w mieszczącej się w centrum miasta kancelarii prawniczej. Brała wolne w poniedziałki, żeby więcej czasu spędzić z dziećmi, ale niezbyt dobrze radziła sobie z codziennymi domowymi obowiązkami. Poniedziałkowe poranki miały więc często dość dramatyczny przebieg.

— Tom? Czy mógłbyś zastąpić mnie w karmieniu dzieci?

— Nie, Sue - zawołał w odpowiedzi. Zegar nad umywalką wskazywał 7.34. - Już jestem spóźniony. - Puścił wodę do

umywalki i namydlił twarz.

Był przystojnym mężczyzną o elastycznych, harmonijnych ruchach. Dotknął siniaka, którego zarobił w czasie sobotniego koleżeńkiego meczu futbolowego. Przewrócił go Mark Lewyn, który był szybki, ale niezgrabny. Sanders robił się już za stary na futbol. Wciąż był w dobrej kondycji i ważył zaledwie niecałe pięć funtów więcej niż w czasach uniwersyteckich, ale gdy przesunął dłonią po wilgotnych włosach, zobaczył siwe pasma. "Należałoby się pogodzić z wiekiem - pomyślał - i przerzucić na tenis".

Do pokoju weszła Susan, ciągle jeszcze w szlafroku. Jego żona rano, prosto po wyjściu z łóżka, zawsze wyglądała pięknie. Posiadała ten typ pełnej świeżości urody, która nie wymagała żadnego makijażu.

— Jesteś pewien, że nie mógłbyś ich nakarmić? - zapytała. -

Och, jaki ładny siniak! Bardzo męski. - Pocałowała go delikatnie i postawiła przed nim na półeczce kubek ze świeżo zaparzoną kawą. - Muszę o ósmej piętnaście być z Matthewem u pediatry, a żadne z dzieci jeszcze nic nie jadło, ja zaś jestem nie ubrana. Może jednak mógłbyś dać im śniadanie? Bardzo, bardzo cię proszę. -

Żartobliwie zwichrzyła mu włosy i jej szlafrok rozchylił się.

Uśmiechnęła się i poprawiła go. - Jesteś mi coś winien...

— Sue, nie mogę. - Z roztargnieniem pocałował ją w czoło. -

Mam spotkanie i nie mogę się spóźnić.

Westchnęła.

- Och, niech ci będzie. - Wyszła z pokoju, wydymając wargi.

Sanders zaczął się golić.

Chwilę później usłyszał głos żony:

- No dobrze, dzieci, idziemy. Elizo, włóż buciki.

Prawie natychmiast rozległo się zawodzenie Elizy, która miała cztery lata i bardzo nie lubiła nosić butów. Sanders skończył już prawie golenie, gdy dotarł do niego krzyk żony:

- Elizo, włóż natychmiast buciki i sprowadź braciszka na dół! - Eliza odpowiedziała coś niewyraźnie, a Susan oznajmiła ostrym tonem: - Elizo Anno, mówię do ciebie! - i zaczęła energicznie zatrząskiwac szuflady w szafce, w korytarzu. Dzieci rozplakały się.

Do łazienki weszła Eliza, wyraźnie zaniepokojona napiętą sytuacją. Usta miała wygięte w podkówkę, w jej oczach kręciły się łzy.

— Tatusiu... - załkała. Nie przerywając golenia, przytulił ją wolną ręką.

— Jest wystarczająco duża, żeby mi pomóc - zawołała z korytarza Susan.

— Mamusiu - rozplakała się na głos dziewczynka, oburącz ściskając nogę Sandersa.

— Elizo, czy wreszcie przestaniesz?!

Dziewczynka rozplakała się jeszcze głośniejsze, a Susan, słysząc to, tupnęła nogą. Sanders nie mógł patrzeć na płaczącą córeczkę.

- Dobrze, Sue, nakarmię dzieciaki. - Zakręcił wodę i wziął

Lizę na ręce.- Idziemy, Lizo - oznajmił, ocierając jej łzy. -

Pomyślimy teraz o waszym śniadaniu.

Wyszedł do korytarza. Susan popatrzyła na niego z ulgą.

- Potrzebuję tylko dziesięciu minut, to wszystko - powiedzia-

ła. - Consuela znowu się spóźnia. Zupełnie nie rozumiem, co się z nią dzieje.

Sanders nie odpowiedział. Jego dziewięciomiesięczny syn Matt siedział pośrodku korytarza, uderzał grzechotką o podłogę i płakał.

Sanders podniósł go drugą ręką, mówiąc:

- Chodźcie, dzieci. Będziemy jeść.

Gdy podnosił Matta, ręcznik, którym był przepasany, rozwiązał się. Próbował go przytrzymać. Eliza zachichotała:

- Widzę twojego siusiaka, tatusiu. -

kopiąc go.

15

—
Nie kopie się tatusia w takie miejsce - pouczył ją Sanders.

Niezgrabnie owinał się ponownie ręcznikiem i ruszył na dół.

— Nie zapomnij, że Mattowi trzeba dodać witamin do płatków.

Jedną kropelkę. I nie dawaj mu już płatków ryżowych, pluje nimi.

Teraz lubi jęczmienne - zawołała za nim Susan i weszła do

łazienki, zatrzymując za sobą drzwi.

Eliza popatrzyła na ojca poważnie.

— Czy to będzie jeden z tych dni, tato?

— No cóż, na to wygląda.

Zszedł po schodach, myśląc, że teraz na pewno spóźni się na prom i w konsekwencji na pierwsze umówione spotkanie. Niezbyt wiele, zaledwie kilka minut, ale nie będzie już w stanie omówić pewnych spraw ze Stefanią. Może jednak zdoła zadzwonić do niej z promu, a wtedy...

— Czy ja mam siusiaka, tatusiu?

— Nie, Lizo.

— Dlaczego, tato?

— Tak po prostu jest, kochanie.

— Chłopcy mają siusiaki, a dziewczynki co innego - oświadczyła poważnie.

— Masz rację.

— Dlaczego, tatusiu?

— Dlatego.

Posadził córkę na krześle przy kuchennym stole, wysunął z kąta wysoki fotelik i usadowił w nim Matta.

— Co chcesz na śniadanie, Lizo? Ryzowe krispies czy chexy?

— Chexy.

Matt zaczął łomotać łyżką o poręcz fotelika. Sanders wyjął z szafki chexy i miskę, a następnie mniejszą miseczkę i pudełko płatków jęczmiennych dla Matta. Eliza obserwowała go, kiedy otwierał lodówkę, aby wyjąć mleko.

— Tato?

— Słucham.

— Chcę, żeby mamusia była szczęśliwa.

— Ja też, kochanie.

Przygotował płatki dla Matta i postawił je przed synem. Potem nasypał chexów do miski Elizy i popatrzył na nią.

- Wystarczy?

16

- Tak.

Nalał mleka do płatków.

— Tato, nie! - krzyknęła Eliza i wybuchnęła płaczem. - Chciałam sama nalać mleka!

— Przepraszam, Lizo...

— Zabierz je... Weź je stamtąd... - wrzeszczała histerycznie.

— Bardzo mi przykro, Lizo, ale nie...

— Chciałam sama nalać mleka! - Zsunęła się z krzesła

i zaczęła kopać piętami w podłogę. - Zabierz je, zabierz je stamtąd!

Eliza urządzała takie sceny kilka razy dziennie. Zapewniano go, że jest to tylko pewien etap w rozwoju dziecka. Radzono rodzicom, aby podobne ataki hysterii traktowali stanowczo.

- Bardzo mi przykro, Lizo - oznajmił Sanders. - Ale będziesz musiała je zjeść. - Usiadł koło syna i zaczął go karmić.

Matt włożył rękę do płatków, rozsmarował je sobie po twarzy i również zaczął płakać.

Sanders wziął ręcznik, żeby wytrzeć buzię Mattowi i zauważył, że zegar kuchenny wskazuje już za pięć ósma. Pomyślał, że powinien właściwie zadzwonić do biura i uprzedzić o swoim spóźnieniu.

Najpierw jednak musiał uspokoić Elizę. Wciąż leżała na podłodze,

kopiąc nogami i krzycząc, żeby zabrał mleko.

- No dobrze, Elizo, uspokój się. Uspokój się.

Wyjął drugą miseczkę, nasypał płatków i podał jej karton

z mlekiem.

- Proszę.

Założyła rączki za plecy i wyduła wargi.

— Nie chcę go.

— Elizo, natychmiast nalej mleko.

Jego córka wspięła się na krzesło.

— Dobrze, tatusiu.

Sanders usiadł, przetarł Mattowi twarz i zaczął go karmić.

Chłopczyk natychmiast przestał płakać i łapczywie zaczął jeść

płatki. Biedny dzieciak był po prostu głodny. Eliza stanęła na

krześle, uniosła karton z mlekiem i oblała cały stół.

- Ooo!

- Nic się nie stało. - Tom jedną ręką wytarł stół, drugą bez

przerwy karmił Matta.

17

Eliza przysunęła pudełko płatków do swojej miseczki i przy-

glądając się uważnie umieszczonemu na odwrocie rysunkowi Goo-

fy'ego, zaczęła jeść. Siedzący przy niej Matt połykał jedzenie

błyskawicznie. Przez chwilę w kuchni panował spokój.

Sanders zerknął przez ramię. Była już prawie ósma. Powinien

w końcu zadzwonić do biura.

Weszła Susan ubrana w dżinsy i beżowy sweter. Twarz miała już spokojną i rozluźnioną.

— Przepraszam, że straciłam cierpliwość - powiedziała. -

Dziękuję, że mnie zastąpiłeś. - Pocałowała go w policzek.

— Jesteś szczęśliwa, mamusiu? - zapytała Eliza.

— Tak, słoneczko. - Susan uśmiechnęła się do córki i od-

wróciła do męża. - Teraz już się nimi zajmę. Nie chciałeś się

spóźnić. Czy to dzisiaj jest twój wielki dzień? Ten, w którym mieli ogłosić twój awans?

— Mam nadzieję.

— Zadzwoń do mnie, gdy tylko się czegoś dowiesz.

— Oczywiście - Sanders wstał, owinał mocniej ręcznik w pasie

i poszedł po schodach na górę, żeby się ubrać. Przed promem o 8.20

w mieście zawsze tworzyły się korki. Musiał się pospieszyć, jeżeli chciał zdążyć.

Zaparkował w swoim stałym miejscu za stacją benzynową

Shella i zadaszonym chodnikiem poszedł w kierunku promu.

Znalazł się na jego pokładzie na kilka chwil przed podniesieniem

rampy. Czując pod stopami wibrację maszyn, wyszedł przez drzwi na główny pokład.

- Hej, Tom!

Zerknął przez ramię. Zbliżał się do niego Dave Benedict,

prawnik z firmy zajmującej się przedsiębiorstwami pracującymi

w dziedzinie wysoko rozwiniętych technologii.

— Spóźniłeś się na siódmą pięćdziesiąt? - zapytał Benedict.

— Tak. Zwariowany ranek.

— Mnie to mówisz. Chciałem być w biurze godzinę temu. Ale teraz, kiedy nie ma już zajęć w szkole, Jenny nie wie, co zrobić z dziećmiakami, póki nie wyjadą na obóz.

— Aha.

— Mam w domu obłąd w kratkę - stwierdził Benedict, kręcąc głową.

Na chwilę zapadła cisza. Sanders przypuszczał, że obaj mieli podobne poranki, ale żaden z nich nie rozwijał tematu. Sanders zastanawiał się często, dlaczego kobiety omawiają ze swoimi przyjaciółkami najintymniejsze szczegóły pożycia małżeńskiego, podczas gdy mężczyźni zachowują w tych sprawach dyskretne milczenie.

- No, cóż - zaczął Benedict. - Jak się ma Susan?

19

—
Doskonale. Po prostu świetnie.

— Dlaczego w takim razie kulejesz? - uśmiechnął się Benedict.

— Sobotni zakładowy mecz futbolowy. Troszeczkę wymknął mi się spod kontroli.

— Słuszna kara za bawienie się razem z dziećmi - skwitował Benedict. DigiCom słynął z młodych pracowników.

— Hej! - zawołał Sanders. - Zdobyłem przecież punkt.

— I to takie ważne?

— Cholernie ważne. To było zwycięskie przyłożenie. Wbiegłem

do strefy końcowej w blasku chwały. I wtedy mnie skosili.

Stanęli w kolejce po kawę w pokładowym barku.

- Prawdę mówiąc, przypuszczałem, że zameldujesz się dzisiaj wcześniej i pełen radości życia - zaczął Benedict. - Czyż DigiCom nie ma dziś swojego wielkiego dnia?

Sanders wziął kawę i wsypał do niej słodzik.

— A dlaczego?

— Chyba dzisiaj ma być ogłoszony komunikat o fuzji?

— Jakiej fuzji? - zapytał Sanders niewinnie. Sprawa ta miała być utrzymana w tajemnicy i wiedziało o niej zaledwie kilku członków kierownictwa DigiComu. Popatrzył na Benedicta beznamiętnie.

— Daj spokój - nalegał Benedict. - Słyszałem, że sprawa jest już bardzo zaawansowana. I że Bob Garvin ma dzisiaj złożyć oświadczenie o restrukturyzacji, a także ogłosić kilka nowych awansów. - Wypił łyk kawy. - Garvin ustępuje, prawda?

Sanders wzruszył ramionami.

- Zobaczymy..- Oczywiście, Benedict wyraźnie ciągnął go za język, ale Susan często współpracowała z prawnikami z firmy Benedicta i Sanders nie mógł pozwolić sobie na nieuprzejmość.

Była to jedna z komplikacji w prowadzeniu interesów w czasach, kiedy małżonki również pracowały.

Wyszli razem na pokład i stanęli przy relingu lewej burty, patrząc na przesuwane się budynki na Bainbridge Island. Sanders ruchem głowy wskazał dom na Wing Point, który był przez wiele

lat letnią rezydencją Warrena Mangusona, gdy był senatorem.

— Słyszałem, że znowu został sprzedany - powiedział.

— Tak? A kto go kupił?

— Jakiś dupek z Kalifornii.

20

Bainbridge pozostał za rufą. Patrzyli razem na szare wody cieśniny. Kawa parowała w świetle poranka.

- A więc tak - rzekł Benedict. - Myślisz, że Garvin może nie ustąpić?

- Nikt tego nie wie - odparł Sanders. - Piętnaście lat temu

Bob stworzył to przedsiębiorstwo z niczego. Gdy zaczynał, sprzedawał przecenione koreańskie modemy; i to w chwili, gdy nikt nie miał pojęcia, czym jest modem. Teraz spółka ma trzy budynki w centrum i wielkie zakłady w Kalifornii, Teksasie, Irlandii i Malezji.

Buduje modemy faksów o rozmiarach dziesięciocentówki, sprzedaje oprogramowanie do faksów i poczty elektronicznej. Garvin zajął się też CD-ROMami i opracował algorytmy zastrzeżone prawem autorskim, dzięki którym mógłby się stać głównym dostawcą na rynku edukacyjne w całym następnym stuleciu. Bob daleko odszedł od faceta, który handlował trzema setkami sfelerowanych modemów. Nie wiem, czy zechce się z tym rozstać.

- Czy nie jest to jeden z warunków fuzji?

Sanders uśmiechnął się.

- Jeżeli wiesz coś o fuzji, Dave, może byś mi o niej opowiedział - zaproponował. - Bo ja nic o tym nie słyszałem.

Sanders rzeczywiście nie znał warunków mającej nastąpić fuzji.

Jego praca dotyczyła badań rozwojowych nad CD-ROMmami i elektronicznymi bazami danych. Chociaż były to sfery niezmiernie istotne dla przyszłości firmy - i przede wszystkim z ich powodu Conley-White interesował się DigiComem - dotyczyły przede wszystkim spraw technicznych. A Sanders był członkiem kierownictwa zajmującym się zasadniczo właśnie sprawami technicznymi. Nie informowano go o decyzjach zapadających na najwyższych szczeblach.

W przypadku Sandersa kryła się w tym pewna ironia. We wcześniejszych latach, gdy pracował jeszcze w Kalifornii, był ściśle związany z procesami decyzyjnymi kierownictwa. Ale z chwilą przeniesienia, osiem lat temu, do Seattle został właściwie odsunięty od władzy.

Benedict wypił łyk kawy.

— Cóż, słyszałem, że Bob z całą pewnością ustępuje i ma zamiar mianować na stanowisko prezesa kobietę.

— Kto ci o tym powiedział?

21

—

Przecież kobieta jest już u was dyrektorem, prawda?

— Tak, oczywiście. - Już od dawna dyrektorem pionu finansowego była Stefania Kaplan. Jednak Tomowi nie wydawało się prawdopodobne, aby kiedykolwiek mogła poprowadzić firmę.

Kaplan była milcząca, skupiona i bardzo kompetentna, ale wielu

pracowników spółki jej nie lubiło. Sam Garvin niespecjalnie za nią przepadał.

— No, cóż - odezwał się Benedict. - Zasłyszana przeze mnie plotka głosi, że zgodnie z zamierzeniami Garvina ma ona przejąć wszystkie sprawy w ciągu pięciu lat.

— Czy plotka ujawniała także jej nazwisko?

Benedict pokręcił głową.

— Sądziłem, że wiesz. W końcu to twoja firma.

Wyszedł na oświetlony słońcem pokład, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer. Odezwała się jego asystentka, Cindy Wolfe.

— Biuro pana Sandersa.

— Hej! To ja.

— Hej, Tom. Jesteś na promie?

— Tak. Będę tuż przed dziewiątą.

— Dobrze, powiem im. - Przerwała na chwilę i Sanders odniósł wrażenie, że Cindy bardzo starannie dobiera słowa. - Dzisiaj rano jest dosyć duży ruch. Pan Garvin był tu przed chwilą i szukał cię.

Sanders zmarszczył brwi.

— Szukał mnie?

— Tak. - Następna pauza. - Był, hmm, trochę zdziwiony, że jeszcze cię nie ma.

— Czy powiedział, czego sobie życzy?

— Nie, ale zagląda do gabinetów na naszym piętrze, do jednego po drugim, i rozmawia z ludźmi. Coś się szykuje, Tom.

— Co?

— Nikt mi nic nie mówi.

— A co ze Stefanią.

— Dzwoniła i powiedziałam jej, że jeszcze nie przyjechałeś.

— To wszystko?

— Artur Kahn dzwonił z KL i pytał, czy dostałeś jego faks.

23

—

Tak. Zadzwoń do niego. Czy coś jeszcze?

— Nie, już wszystko, Tom.

— Dzięki, Cindy. - Wcisnął guzik z napisem END, aby zakończyć rozmowę.

Stojący koło niego Benedict wskazał palcem telefon Sandersa.

- Te cudeńka są niesamowite. Stają się coraz mniejsze, prawda?

Czy ten jest waszej produkcji?

Sanders skinął głową.

— Zginąłbym bez niego. Zwłaszcza w takie dni jak ten. Kto

byłby w stanie zapamiętać wszystkie numery? Jest czymś więcej niż

tylko telefonem. To również moja książka telefoniczna. Popatrz. -

Zaczął demonstrować aparat Benedictowi. - Ma pamięć na

dwieście numerów. Wprowadzasz je za pośrednictwem trzech

pierwszych liter nazwiska. - Sanders wystukał K-A-H, aby uzyskać

międzynarodowe połączenie z Arturem Kahnem w Malezji. Wcisnął SEND i usłyszał długą serię elektronicznych pisków. Razem z kodem kraju i rejonu było ich trzynaście.

— Jezu! - zawołał Benedict. - Gdzie ty dzwonisz? Na Marsa?

— Prawie. Do Malezji. Mamy tam fabrykę.

Malezyjska filia DigiComu miała zaledwie rok i produkowała nowe stacje CD-ROMów - sprzęt przypominający odtwarzacz płyt kompaktowych, ale przeznaczony do komputerów. W branży panowała powszechna opinia, że wkrótce cała informacja przedstawiana będzie w zapisie cyfrowym i większa jej część zostanie zmagazynowana właśnie na kompaktach. Oprogramowanie komputerowe, bazy danych, a nawet książki i czasopisma - wszystko znajdzie się na takich właśnie dyskietkach.

Nie stało się to jeszcze tylko dlatego, że CD-ROMy były wolne.

Użytkownicy musieli czekać przed ciemnymi ekranami, a stacje tymczasem warczały i brzęczały. Użytkownicy komputerów nie lubią czekać. W przemyśle, w którym prędkość ulegała podwojeniu co osiemnaście miesięcy, CD-ROMy nie uzyskały takich osiągnięć w ciągu ostatnich pięciu lat. Technolodzy DigiComu próbowali uporać się z tym problemem za pomocą nowego pokolenia stacji dysków o kodowej nazwie Twinkle (od piosenki: "Twinkle, twinkle

24

little SpeedStar"). Stacje Twinkle były dwukrotnie szybsze od jakichkolwiek innych na świecie. Twinkle był zaprojektowany jako niewielki, autonomiczny odtwarzacz multimedialny z własnym

ekranem. Można go było nosić w ręku i korzystać zeń w autobusie czy pociągu. Teraz jednak zakłady w Malezji miały kłopoty z produkcją tych stacji.

Benedict napił się kawy.

- Czy to prawda, że jesteś jedynym szefem działu, który nie ma technicznego wykształcenia?

Sanders uśmiechnął się.

— Prawda. Wywodzę się z marketingu.

— Czy to nie jest trochę niezwykle? - spytał Benedict.

— Niezupełnie. W dziale Marketingu poświęciliśmy wiele czasu na ustalanie osiągnięć nowych produktów i większość z nas nie była w stanie rozmawiać z inżynierami. Ja mogłem. Nie wiem, dlaczego. Nie mam technicznego wykształcenia, ale potrafiłem porozumieć się z tymi facetami. Wiedziałem wystarczająco dużo, żeby nie mogli mi wciskać kitu. A więc wkrótce stałem się tym jedynym, który rozmawiał z inżynierami. Aż wreszcie osiem lat później Garvin zapytał mnie, czy nie pokierowałbym u niego działem. I jestem tutaj.

Wciąż był sygnał połączenia. Sanders popatrzył na zegarek.

W Kuala Lumpur była już prawie północ. Miał nadzieję, że Artur Kahn nie będzie jeszcze spał. W chwilę później rozległ się trzask i zaspany głos powiedział:

— Ehem. Halo.

— Artur, tu Tom.

Artur Kahn zakaszłał chrypliwie.

— Och. Tom. Dobrze. - Znowu zakaszał. - Dostałeś

mój faks?

— Tak.

— W takim razie wiesz, o co chodzi. Nie rozumiem, co się dzieje. A spędziłem cały dzień przy linii produkcyjnej. Musiałem, bo Jafar odszedł.

Mohammed Jafar, bardzo zdolny młody człowiek, był brygadzi-
stą linii produkcyjnej w zakładach w Malezji.

25

- Jafar odszedł? Dlaczego?

W słuchawce słychać było szumy.

— Został przeklęty.

— Nie rozumiem.

— Na Jafara rzucił klątwę jego kuzyn. Dlatego odszedł.

— Co?

— To prawda, o ile możesz w coś takiego uwierzyć. Powiedział, że siostra jego kuzyna w Johore wynajęła czarownika, aby rzucił na niego klątwę. Pobiegnął więc do uzdrowicieli w celu zdobycia przeciw-
zaklęcia. Tubylcy prowadzą szpital w Kuala Tingit, w dżungli, jakieś trzy godziny drogi od KL. Jest bardzo znany. Wielu polityków korzysta z ich usług, gdy poczują się chorzy. Jafar udał się tam, aby go uzdrowili.

— Ile czasu to potrwa?

— Licho wie. Inni pracownicy poinformowali mnie, że prawdopodobnie tydzień.

— A jakie masz kłopoty z linią, Arturze?

— Nie wiem - odparł Kahn. - Nie jestem pewien, czy

kłopoty związane są właśnie z linią, ale zespoły schodzą z niej bardzo wolno. Ponadto kiedy bierzemy je na kontrolę, za każdym razem uzyskujemy czas przeszukiwania powyżej stu milisekund.

Nie wiemy, dlaczego są tak wolne i nie wiemy, dlaczego powstają odchylenia. Ale inżynierowie przypuszczają, że problem jest związany z kompatybilnością czipu sterownika, który ustala pozycję optyki podziału i oprogramowania stacji CD.

— Przypuszczasz, że wadliwe są czipy sterownika? - Elementy te były produkowane w Singapurze i dowożone ciężarówkami przez granicę do zakładów w Malezji.

— Nie wiem. Albo są wadliwe, albo w kodach modułu sterującego siedzi wirus.

- A co z migotaniem ekranu?

Kahn zakaszłał.

- Mam wrażenie, że to błąd w projekcie, Tom. Po prostu nie możemy sobie z nimi dać rady. Połączenia w zawiasach, które przewodzą prąd do ekranu, są osadzone wewnątrz plastikowej obudowy. Powinny utrzymywać elektryczne połączenie, bez względu

26

na ustawienie ekranu. Ale zasilanie włącza się i wyłącza. Jeżeli porusza się zawiasem, ekran zapala się i gaśnie.

Sanders słuchał, marszcząc brwi.

— To dosyć standardowy projekt, Arturze. Każdy cholerny

laptop na świecie posiada takie rozwiązanie zawiasu. Funkcjonuje ono przez ostatnie dziesięć lat.

— Wiem - odparł Kahn. - Ale nasz nie działa. Doprowadza mnie to do szału.

— Może lepiej prześlij mi kilka egzemplarzy.

— Już to zrobiłem, przez DHL. Dostaniesz je dzisiaj wieczorem, najpóźniej jutro rano.

— W porządku - odparł Sanders i zamilkł na chwilę. - A co ty o tym sądzisz? - zapytał wreszcie.

— W sprawie produkcji? No cóż, obecnie nie jesteśmy w stanie sprostać zadaniu i wypuszczamy zespoły trzydzieści do pięćdziesięciu procent wolniej, niż przewiduje to norma. Niezbyt dobra wiadomość.

Nie można uznać tego za rewelację, Tom. Nasze urządzenie jest jedynie nieznacznie lepsze od tego, co Toshiba i Sony wprowadziły już na rynek. A oni robią swoje przy o wiele mniejszych kosztach.

Mamy więc poważny kłopot.

— Jest to sprawa tygodnia, miesiąca?

— Miesiąca, jeżeli nie trzeba będzie zmieniać projektu. Jeśli będziemy musieli przeprojektować - cztery miesiące. Gdyby okazało się, że problem tkwi w czipie, może nawet rok.

Sanders westchnął.

— Wspaniale.

— Tak wygląda sytuacja. Nie działa i nie wiemy, dlaczego.

— Komu jeszcze o tym powiedziałeś? - zapytał Sanders.

— Nikomu. Cały pasztet należy do ciebie, przyjacielu.

- Serdecznie ci dziękuję.

Kahn zakaszłał.

— Chcesz zachować tę sprawę w tajemnicy do chwili, gdy fuzja dojdzie do skutku, czy masz inne plany?

— Nie wiem. Nie jestem pewien, jak powinienem postąpić.

— No cóż, ze swojej strony będę siedział cicho. Jeżeli ktoś mnie zapyta, powiem, że nie mam pojęcia. Bo naprawdę nie wiem.

27

- Dobra. Dziękuję ci, Arturze. Porozmawiamy później.

Sanders przerwał połączenie. Twinkle rzeczywiście stanowił poważny problem w kontekście mającej nastąpić fuzji z Conley-White. Sanders nie bardzo wiedział, jak rozegrać tę sprawę. Ale wkrótce będzie musiał podjąć decyzję. Syrena promu ryknęła i mężczyzna zobaczył przed sobą czarne zarysy Doku Colmana oraz wieżowce śródmieścia Seattle.

DigiCom mieścił się w trzech oddzielnych budynkach usytuowanych wokół historycznego Pioneer Square w śródmieściu Seattle. Pioneer Square miał właściwie kształt trójkąta i w jego środkowej części znajdował się niewielki park zdominowany przez metaloplastyczną pergolę z umieszczonym na jej zwieńczeniu antycznym zegarem. Wokół placu gromadziły się, postawione tam na początku stulecia, niskie budynki z czerwonej cegły, z fasadami pokrytymi płaskorzeźbą. Obecnie w budynkach tych mieściły się pracownie modnych architektów, biura projektowe i szereg przed-

siębiorstw pracujących w dziedzinie wysoko rozwiniętych technologii, takich jak: Aldus, Advance HoloGraphics i DigiCom. Początkowo DigiCom zajmował Hazzard Building w południowej części placu. W miarę jak spółka rozrastała się, zajęła trzy piętra w położonym w sąsiedztwie Western Building, a potem również w Gorham Tower na James Street. Ale biura zarządu w dalszym ciągu mieściły się na trzech najwyższych piętrach Hazzard Building, od strony placu. Gabinet Sandersa był na czwartym piętrze, ale spodziewał się, że pod koniec tygodnia przeniesie się na piąte. O dziewiątej zdołał dotrzeć na swoje piętro i natychmiast poczuł, że coś jest nie w porządku. Na korytarzach panował gwar, w powietrzu czuło się niemal elektryczne napięcie. Pracownicy biura gromadzili się przy drukarkach laserowych i szeptali przy automatach do kawy. Gdy przechodził obok nich, odwracali się lub milkli gwałtownie.

29

"Oho" - pomyślał.

Ale jako kierownikowi działu nie wypadało mu wypytywać podwładnych, co się dzieje. Sanders szedł dalej, klnąc pod nosem, wściekły na siebie, że spóźnił się w tak ważnym dniu.

Przez szklane drzwi sali konferencyjnej na czwartym piętrze zobaczył Marka Lewyna, trzydziestotrzyletniego dyrektora Biura Projektowania Wyrobów, prowadzącego konferencję z paroma osobami z Conley-White. Była to niezwykła scena. Lewyn - młody, przystojny i pewny siebie, ubrany w czarne dżinsy i czarną koszulkę

od Armaniego - spacerował tam i z powrotem, przemawiając z ożywieniem do ubranych w granatowe garnitury pracowników Conley-White, siedzących sztywno przed ustawionymi na stole makietami wyrobów i robiących notatki.

Gdy Lewyn dostrzegł Sandersa, pomachał ręką, podszedł do drzwi sali konferencyjnej i wysunął głowę na korytarz.

— Cześć, stary - powiedział.

— Hej, Mark. Posłuchaj...

— Muszę ci tylko coś powiedzieć - przetrwał mu Lewyn. -

Pieprz ich wszystkich. Pieprz Garvina. Pieprz Phila. Pieprz fuzję.

Pieprz ich wszystkich. Ta reorganizacja śmierdzi. Jestem z tobą, rozumiesz stary?

— Posłuchaj Mark, czy mógłbyś...

— Jestem teraz cholernie zajęty. - Lewyn ruchem głowy

wskazał siedzących w sali ludzi z Conleya. - Ale chciałem, żebyś

wiedział, co o tym myślę. To, co robią, jest niesprawiedliwe.

Porozmawiamy później, dobra? Uszy do góry, stary! - dodał. -

Nie łam się. - Wrócił do sali konferencyjnej.

Wszyscy pracownicy Conley-White patrzyli przez szklane drzwi na Sandersa. Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę swojego gabinetu, czując coraz bardziej nasilający się niepokój. Lewyn znany był ze swojej skłonności do przesady, ale nawet w takiej sytuacji...

To, co robią, jest niesprawiedliwe.

Chyba nie było szczególnej wątpliwości, o co chodziło. Sanders miał zostać pominięty w awansach. Idąc po korytarzu, poczuł

występujące na czole drobne krople potu i nagły zawrót głowy. Na chwilę oparł się o ścianę. Otarł dłonią twarz i gwałtownie zamrugał

30

oczy, a potem nabrał głęboko powietrza w płuca i potrząsnął głową.

Nie będzie awansu, Chryste! Jeszcze raz odetchnął głęboko i ruszył przed siebie.

Zamiast awansu, którego się spodziewał, najprawdopodobniej miała nastąpić jakaś reorganizacja. I zapewne była ona w jakiś sposób związana z fuzją.

Działy techniczne dziewięć miesięcy temu przeżyły poważną reorganizację, która zmieniła ustalone drogi służbowe, wprowadzając zamieszanie wśród wszystkich pracowników w Seattle. Nie wiedzieli, do kogo zwracać się o przydział papieru do laserowych drukarek albo o rozmagnesowanie monitora. Zapanowały miesiące bałaganu i dopiero w ciągu ostatnich tygodni działy techniczne zdołały osiągnąć coś, co przypominało dobry rytm pracy. A teraz znowu reorganizacja...? Przecież to wszystko nie trzymało się kupy.

Chociaż właśnie dzięki ubiegłorocznej reorganizacji Sanders uzyskał szansę objęcia kierownictwa działów technicznych. W jej rezultacie Oddział Wysoko Przetworzonych Produktów został podzielony na cztery sekcje: Projektowania Wyrobów, Programowania, Danych Telekomunikacyjnych i Produkcji - które znajdowały się pod ogólnym zarządem jeszcze nie mianowanego generalnego dyrektora oddziału. Tom Sanders nieoficjalnie wy-

stępował już jako OWPP, przede wszystkim dlatego, że jako kierownik produkcji był osobą najbardziej zainteresowaną koordynowaniem działalności pozostałych sekcji.

Teraz jednak, przy kolejnej rewolucji... kto wie, co może się zdarzyć? Sanders może po prostu wrócić do zarządzania zakładami produkcyjnymi DigiComu na całym świecie. Albo coś jeszcze gorszego - od paru tygodni uparcie krążyły plotki, że centrala spółki w Cupertino ma zamiar całkowicie przejąć kontrolę nad produkcją z Seattle i przekazać ją poszczególnym kierownikom zakładów w Kalifornii. Sanders nie zwracał uwagi na te pogłoski, ponieważ nie miały żadnego sensu. Kierownicy zakładów mieli wystarczająco dużo zajęć z pilnowaniem samej produkcji, aby zwracać sobie głowę dodatkowymi problemami.

Teraz Sanders musiał jednak wziąć pod uwagę możliwość, że

31

plotki były prawdziwe. A w takiej sytuacji mogło go czekać coś gorszego niż degradacja. Mógł całkiem stracić pracę.

Chryste. Stracić pracę?

Zaczął przypominać sobie, o czym Dave Benedict mówił mu dzisiaj rano na promie. Benedict polował na plotki i wszystko wskazywało na to, że sporo wie. Być może nawet więcej, niż mówił.

Czy to prawda, że jesteś jedynym kierownikiem działu, który nie ma wykształcenia technicznego?

A potem, znacząco:

Czy to nie jest trochę niezwykle?

"Chryste" - pomyślał Sanders i poczuł, że znowu zaczyna się pocić. Zmusił się, aby wziąć kolejny głęboki oddech. Dotarł do końca korytarza i wszedł do swojego gabinetu, spodziewając się zobaczyć czekającą na niego Stefanię Kaplan. Ona mogłaby mu powiedzieć, co się właściwie dzieje. Ale w gabinecie jej nie było. Odwrócił się w stronę swojej asystentki, Cindy Wolfe, która stała przy kartotece.

— Gdzie jest Stefania?

— Nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— Odwołali twoje spotkanie o dziewiątej trzydzieści z powodu tych wszystkich zmian personalnych - oznajmiła Cindy.

— Jakich zmian? - zapytał Sanders. - Co się dzieje?

— Coś w rodzaju reorganizacji - wyjaśniła Cindy. Starła się nie patrzeć mu w oczy i zajrzała do leżącego na biurku terminarza. - Właśnie zaplanowano na dzisiaj, na dwunastą trzydzieści, prywatny lunch w- głównej sali konferencyjnej z udziałem wszystkich kierowników działów i Phil Blackburn już idzie na dół, żeby z tobą pomówić. Powinien być lada chwila. Popatrzmy, co jeszcze? DHL ma dostarczyć po południu stacje dysków z Kuala Lumpur. Gary Bosak chce spotkać się z tobą o dziesiątej trzydzieści. -*-Przesunęła palcem po stronicy terminarza. - Don Cherry dzwonił dwukrotnie w sprawie Korytarza i przed chwilą miałes pilny telefon od Eddiego z Austin.

— Połącz mnie z nim.

wytwarzających telefony komórkowe. Cindy połączyła go i chwilę później usłyszał znajomy głos z teksańską wymową.

— Cześć, Tommy.

— Hej, Eddie. O co chodzi?

— Drobne kłopoty z działem produkcji. Masz chwilkę czasu?

— Tak, oczywiście.

— Czy można ci już gratulować nowego stanowiska?

— Jeszcze o niczym nie słyszałem - odparł Sanders.

— Aha. Ale masz je otrzymać?

— Jeszcze o niczym nie słyszałem, Eddie.

— Czy to prawda, że mają zamiar zamknąć zakłady w Austin?

Sanders był tak zaskoczony, że wybuchnął śmiechem.

— Co?

— Hej, o tym właśnie u nas gadają, Tommy. Conley-White ma zamiar wykupić spółkę, a potem nas zamkną.

— Do diabła! - powiedział Sanders. - Nikt nic nie kupuje

i nikt nic nie sprzedaje, Eddie. Linia w Austin jest standardem przemysłowym. I przynosi duży dochód.

— Powiesz mi, jeżeli będziesz coś wiedział, prawda, Tommy? - zapytał po krótkiej pauzie Eddie.

— Tak, oczywiście - odparł Sanders. - Ale to tylko plotki,

Eddie. Zapomnij o tym. A teraz jakie masz kłopoty?

— Głupoty. Kobiety z linii produkcyjnej żądają, abyśmy usunęli

zdjęcia gołych panienek z męskiej szatni. Mówią, że czują się nimi poniżone. Moim zdaniem to absurd - odparł Larson. - Przecież kobiety nigdy nie wchodzą do męskiej szatni.

— W takim razie skąd wiedzą o zdjęciach?

— W zespołach sprzątających w nocy są również baby. I dlatego teraz kobiety z linii domagają się usunięcia gołych panienek.

Sanders westchnął.

— Nie chcemy żadnych zarzutów, iż nie reagujemy na skargi wtedy, gdy obraża się czyjeś uczucia. Zdejmij zdjęcia.

— Nawet jeżeli kobiety mają takie same w s w o j e j szatni?

— Po prostu zrób to, Eddie.

— Moim zdaniem ustępujemy przed feministycznymi bzdurami.

33

Rozległo się pukanie do drzwi. Sanders podniósł głowę i zobaczył stojącego w nich Phila Blackburna, prawnika spółki.

— Eddie, muszę już kończyć.

— Dobra - odparł Larson. - Ale powtarzam ci...

— Eddie, przepraszam cię. Muszę kończyć. Daj mi znać, jeżeli coś się zmieni.

Sanders odłożył słuchawkę i Blackburn wszedł do gabinetu.

Tom odniósł wrażenie, że prawnik uśmiecha się zbyt szeroko, zachowuje się zbyt radośnie.

To zły znak.

Philip Blackburn, główny doradca prawny DigiComu, był szczupłym mężczyzną w wieku czterdziestu sześciu lat ubranym w ciemnozielony garnitur od Bossa. Podobnie jak Sanders, Blackburn pracował w DigiComie od ponad dziesięciu lat, co oznaczało, że należał do "starych", tych, którzy "byli od początku".

Gdy Sanders po raz pierwszy się z nim zetknął, Blackburn był zuchwałym, brodatym, młodym prawnikiem z Berkeley, specjalizującym się w prawach obywatelskich. Teraz jednak od dawna zrezygnował z protestów na rzecz pomnażania dochodów, do czego dążył z pełnym samozaparciem zapałem, akcentując jednocześnie konieczność przestrzegania obowiązujących w przedsiębiorstwie nowych zasad: różnorodności i jednakowych szans. Zawsze ubierał się według najnowszej mody, dzięki czemu w pewnych kręgach spółki Blackburn był obiektem kpin. Jak określił to jeden z członków kierownictwa: "Phil ma wiecznie popękaną skórę na palcu, bo ciągle go ślini, ustalając, skąd wieje wiatr". Był pierwszym, który zaczął nosić spodnie z rozkloszowanymi nogawkami, pierwszym, który zgolił baczki i pierwszym, który zaczął głosić chwałę zasady różnorodności.

Jego sposób bycia stał się przedmiotem wielu dowcipów.

Kapryśny, ciągle zwracający uwagę na swój wygląd, Blackburn przez cały czas dotykał palcami twarzy, przesuwał dłonią po włosach, wygładzał zmarszczki na ubraniu, co sprawiało wrażenie, że nieustannie pieści sam siebie. To zaś w połączeniu z fatalnym

zwyczajem pocierania i dotykania nosa, a także dłubania w nim stało się źródłem ciągłej wesołości. Ale w tej wesołości kryła się spora doza uszczypliwości. Blackburnowi nie ufano, uważając go za moralizującego faceta od brudnej roboty.

Blackburn potrafił wygłaszać pełne charyzmy przemówienia, a w prywatnych kontaktach przez krótki czas sprawiał przekonujące wrażenie - myślącego, uczciwego człowieka. W firmie jednak postrzegano go takim, jaki był w rzeczywistości - najemnikiem, człowiekiem pozbawionym własnego zdania i dzięki temu idealnie pasującym do wyznaczonej mu przez Garvina roli wykonawcy wszelkich egzekucji.

Początkowo Sanders i Blackburn byli bliskimi przyjaciółmi. Nie tylko ich kariery związane były z rozwojem spółki, ale splotły się również ich osobiste losy. Gdy Blackburn w 1982 roku przeprowadzał swoją wyjątkowo paskudną sprawę rozwodową, przez jakiś czas mieszkał w kawalerskim mieszkaniu Sandersa w Sunnyvale. Kilka lat później Blackburn był drużbą na ślubie Sandersa z młodą adwokatką z Seattle, Susan Handler.

Gdy jednak Blackburn ożenił się powtórnie w 1989 roku, Sanders nie został zaproszony na ślub, ponieważ ich wzajemne stosunki były wówczas dosyć napięte. Niektórzy z pracowników spółki uważali tę sytuację za nieuniknioną. Blackburn był członkiem wewnętrznych kręgów władzy w Cupertino, do których, działający w Seattle, Sanders już nie należał. Poza tym obydwaj byli przyjaciele przeprowadzili ze sobą kilka ostrych rozmów na tematy związane

z problemami organizacyjnymi w zakładach w Irlandii i Malezji.

Sanders był zdania, że Blackburn lekceważy realia istniejące w innych krajach.

Typowe dla Blackburna było żądanie, aby połowę zatrudnionych w nowych zakładach w Kuala Lumpur stanowiły kobiety i żeby pracowały razem z mężczyznami. Natomiast malezyjscy kierownicy chcieli, aby kobiety pracowały osobno, w wydzielonych częściach linii produkcyjnej, z dala od mężczyzn. Phil protestował zaciekle, gdy Sanders mu powtarzał:

— To muzułmański kraj, Phil.

— Nic mnie nie obchodzi - odpowiadał Phil. - DigiCom uznaje prawo do równych szans.

— Phil, przecież to ich kraj. Są muzułmanami.

36

- I co z tego? Fabryka jest nasza.

Różnice zdań między nimi pogłębiały się. Rząd Malezji nie chciał, aby miejscowi Chińczycy byli zatrudniani na kierowniczych stanowiskach, chociaż posiadali lepsze kwalifikacje, i domagał się, aby w tym celu szkolono Malajów. Sanders nie zgadzał się z tą jawnie dyskryminacyjną polityką, ponieważ chciał, aby w jego zakładach pracowali najlepsi. Natomiast Phil, który w Ameryce był zdecydowanym przeciwnikiem dyskryminacji, natychmiast zaaprobował żądania rządu malezyjskiego stwierdzając, że DigiCom powinien być elastyczny w myśleniu. W ostatniej chwili Sanders musiał polecieć do Kuala Lumpur na spotkanie z sułtanami

Selangoru i Pahangu i przystać na ich żądania. Phil oświadczył wówczas, że Sanders "przypocholebiał się ekstremistom".

Była to jedna z wielu kontrowersji, z którymi Tom musiał się uporać w czasie uruchamiania nowej fabryki w Malezji.

Teraz Sanders i Blackburn przywitali się z rezerwą i ostrożnością, typową dla byłych przyjaciół, dla których z dawnej serdeczności pozostały jedynie zewnętrzne pozory. Gdy Blackburn wszedł do gabinetu, Sanders podał mu rękę i zapytał:

— Co się dzieje, Phil?

— Mamy wielki dzień - odparł Blackburn, siadając w fotelu przed biurkiem Sandersa. - Mnóstwo niespodzianek. Nie wiem, o czym już słyszałeś.

- Że Garvin podobno podjął decyzję o restrukturyzacji.

- Tak. Kilka decyzji.

Zapadła chwila ciszy. Blackburn poprawił się w fotelu i popatrzył na swoje ręce.

— Wiem, że Bob osobiście chciał cię o tym poinformować.

Przyszedł dzisiaj wcześniej, żeby porozmawiać ze wszystkimi w dziale.

— Nie było mnie.

- No, tak. Byliśmy trochę zaskoczeni, że się dzisiaj spóźniłeś.

Sanders nie skomentował tej uwagi. Patrzył na Blackburna i czekał, co będzie dalej.

- W każdym razie - oznajmił Blackburn - sprawa wygląda następująco. Bob postanowił powierzyć kierownictwo oddziału

osobie spoza Oddziału Wysoko Przetworzonych Produktów.

A więc tak. Wreszcie sprawa stała się jasna. Sanders wciągnął

37

głęboko powietrze w płuca, czując gwałtowny ucisk w piersi i napięcie w całym ciele. Próbował to ukryć.

— Wiem, że decyzja ta jest dla ciebie pewnym wstrząsem - stwierdził Blackburn.

— No, cóż - wzruszył ramionami Sanders. - Doszły do mnie plotki. - Gdy mówił te słowa, gorączkowo zastanawiał się nad przyszłością. Było już oczywiste, że nie będzie awansu, nie będzie podwyżki, nie będzie miał następnej szansy, aby...

— Tak. Cóż - powiedział Blackburn, odchrząknawszy lekko. -

Bob postanowił, że kierownictwo oddziału obejmie Meredith Johnson.

Sanders zmarszczył brwi.

— Meredith Johnson?

— Owszem. Pracuje w biurze w Cupertino. Wydaje mi się, że ją znasz.

— Tak, owszem, ale... - Sanders pokręcił głową. Przecież ten pomysł był zupełnie bez sensu. - Meredith jest z działu sprzedaży.

Tym właśnie się zajmowała.

— Owszem, poprzednio. Ale dobrze wiesz, że Meredith przez ostatnich kilka lat pracowała w Eksploatacji.

— Mimo wszystko, Phil. OWPP jest działem technicznym.

— Przecież sam nie masz technicznego przygotowania, a doskonale sobie radziłeś.

— Ale byłem związany z tymi sprawami przez wiele lat, nawet wówczas, gdy pracowałem w Marketingu. Posłuchaj, przecież OWPP to głównie zespoły programistów i linie produkcyjne. W jaki sposób Meredith może tym kierować?

— Bob nie oczekuje, że zajmie się bezpośrednim kierowaniem oddziałem. Będzie nadzorowała pracę kierowników działów i odbierała od nich informacje. Oficjalna nazwa jej stanowiska to: wiceprezes do spraw Eksploatacji i Projektowania Wysoko Przetworzonych Produktów. W ramach nowej struktury organizacyjnej obejmie to cały dział OWPP, dział Marketingu i dział TelComu.

— Jezu! - westchnął Sanders, odchylając się do tyłu w fotelu. - Przecież to prawie wszystko.

Blackburn wolno pokiwał głową.

Sanders umilkł, zastanawiając się ponownie nad całą sprawą.

- Innymi słowy - oznajmił wreszcie - Meredith Johnson ma przejąć kierownictwo spółki.

38

—

Nie wyciągałbym aż tak daleko idących wniosków - oznajmił Blackburn. - W tym nowym schemacie organizacyjnym nie będzie miała bezpośredniej kontroli nad sprzedażą, finansami ani dystrybucją. Ale moim zdaniem nie ma wątpliwości, że Bob umieści ją na dobrej pozycji do objęcia sukcesji w chwili, gdy w ciągu najbliższych lat zrezygnuje ze swojej funkcji. - Blackburn poprawił się w fotelu. - Ale to przyszłość. W chwili obecnej...

— Chwileczkę. Kierownicy czterech działów OWPP będą jej podporządkowani? - zapytał Sanders.

— Tak.

— A kto to będzie? Czy decyzja została już podjęta?

— No, cóż. - Phil odkaslnął, przesunął dłońmi po klapach marynarki i poprawił chusteczkę w kieszonce na piersi. - Oczywiście, decyzje w sprawie mianowania kierowników działów będą należały do Meredith.

— Co oznacza, że mogę zostać bez pracy.

— Do diabła, Tom - odparł Blackburn. - Nic z tych rzeczy.

Bob chce zatrzymać wszystkich pracowników działów. W tym również i ciebie. Nie wyobraża sobie innego rozwiązania.

— Ale to, czy zachowam pracę, zależy od decyzji Meredith Johnson.

- Właściwie tak - przyznał Blackburn. - Sądzę jednak, że to zwykła formalność.

Sanders wcale tak nie uważał. Garvin bez trudu mógł wyznaczyć wszystkich kierowników działów jednocześnie z mianowaniem Meredith Johnson. A już na pewno mógł podjąć decyzję, aby wszyscy dotychczasowi kierownicy pozostali na swoich stanowiskach - kierownicy, którzy tak dobrze służyli jemu i firmie.

- Jezu! - westchnął znowu Sanders. - Pracowałem tu ponad dwanaście lat.

- I spodziewam się, że będziesz z nami jeszcze przez wiele następnych - oznajmił gładko Blackburn. - Posłuchaj. W interesie

wszystkich leży, aby utrzymać zespoły w całości. Ponieważ jak już powiedziałem, Meredith nie będzie w stanie kierować nimi bezpośrednio.

- Hmmm.

Blackburn poprawił mankiety i przesunął dłonią po włosach.

- Posłuchaj, Tom. Wiem, że jesteś rozczarowany faktem, iż

39

nie otrzymałeś tego awansu. Ale nie przywiązuj takiej wagi do możliwości mianowania kierowników działów przez Meredith.

Prawdę mówiąc, nie powinna wprowadzać żadnych zmian. Twoja sytuacja jest jasna. - Przerwał na chwilę.]- Wiesz, jaka jest Meredith, Tom.

- Owszem - przyznał Sanders, kiwając głową. - Do diabła, jakiś czas z nią żyłem. Ale nie widziałem jej od wielu lat.

Blackburn zrobił zdziwioną minę.

— Nie utrzymywaliście ze sobą kontaktów?

— Właściwie nie. Gdy Meredith przyszła do spółki, byłem tu, w Seattle, a ona pracowała w Cupertino. Spotkałem się z nią raz, gdy tam pojechałem. Przywitałem się i to wszystko.

— W takim razie znasz ją jedynie z dawnych czasów. - Blackburn powiedział to takim tonem, jakby ta informacja coś mu wyjaśniała. - Sprzed sześciu czy siedmiu lat.

— Jeszcze dawniej - uściślił Sanders. - Jestem w Seattle od ośmiu lat. A więc to musi być... - Zamyślił się na chwilę. - Kiedy z nią chodziłem, pracowała dla Novell w Mountain View. Sprzeda-

wała karty Ethernet dla lokalnych sieci niewielkich przedsiębiorstw.

Kiedy to było? - Chociaż doskonale pamiętał związek z Meredith

Johnson, nie potrafił teraz bliżej określić czasu jego trwania.

Próbował przypomnieć sobie jakieś charakterystyczne wydarzenie:

urodziny, awans, zmianę mieszkania - coś, co pomogłoby mu

skonkretyzować datę. Wreszcie uświadomił sobie, że razem z Me-

redith oglądał w telewizji wyniki wyborów: wzbijające się pod sufit

balony, wiwatujących ludzi. Piła piwo. Epizod z początku ich

znajomości, - Jezu, Phil. To musiało być prawie dziesięć lat temu.

— Dawno - stwierdził Blackburn.

Gdy Sanders po raz pierwszy spotkał Meredith Johnson, była

jedną z tysięcy przystojnych sprzedawczyń pracujących w San

Jose - młodych, dwudziestoparoletnich kobiet, które niedawno

ukończyły college. Prowadziły pokazy sprzętu komputerowego,

a ich przełożony stał obok i wyjaśniał wszystko klientowi. Po

jakimś czasie wiele z tych kobiet zdobyło wystarczająco dużą

wiedzę, aby same mogły prowadzić sprzedaż. Kiedy Sanders poznał

Meredith, opanowała już zawodowy żargon w wystarczającym

stopniu, aby móc swobodnie paplać o sieci transmisji danych,

o architekturze pierścieniowej i sztafetowym sposobie transmisji

40

oraz węzłach światłowodowego okablowania sieci Ethernet. Właś-

ciwie nie dysponowała jakąś głęboką wiedzą, ale też jej nie

potrzebowała. Była przystojna, seksowna i sprytna. Potrafiła

nieprawdopodobnie nad sobą panować, co pozwalało jej wybrnąć

z niezręcznych sytuacji. Wówczas Sanders bardzo ją podziwiał. Ale nigdy nie wyobrażał sobie, że Meredith byłaby w stanie piastować wysokie stanowisko w przedsiębiorstwie.

Blackburn wzruszył ramionami.

- Wiele może się wydarzyć przez dziesięć lat, Tom - powiedział. - Meredith nie jest już wyłącznie pracownikiem sprzedaży.

Wróciła na uczelnię, zdobyła dyplom magistra zarządzania. Pracowała w Symantecu, potem u Conrada i wreszcie przeszła do nas.

Przez kilka ostatnich lat bardzo blisko współpracowała z Garvinem.

Stała się kimś w rodzaju jego protegowanej. Był zadowolony ze sposobu, w jaki załatwiła szereg zleceń.

Sanders pokręcił głową.

— A teraz jest moim szefem...

— Czy to dla ciebie jakiś problem?

— Nie. Po prostu mam trochę dziwne uczucie. Była przyjaciółka została aktualnym szefem.

— Rzeczywiście, głupia sprawa - stwierdził Blackburn. Uśmiechał się, ale Sanders wyraźnie czuł, że prawnik uważnie go obserwuje. - Mam wrażenie, że trochę cię to niepokoi, Tom.

— Trzeba się do tego przyzwyczaić.

— Czy denerwuje cię fakt, że kobieta będzie twoim przełożonym?

— Absolutnie. Pracowałem pod kierownictwem Eileen, gdy była szefem działu badawczo-rozwojowego, i doskonale nam się układało. Nie o to chodzi. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić

Meredith Johnson jako swojego szefa.

— Jest doskonałym, doświadczonym menedżerem - oznajmił

Phil. Wstał i wygładził krawat. - Poza tym sądzę, że zrobi na tobie dobre wrażenie, gdy się wreszcie spotkacie. Daj jej szansę, Tom.

— Oczywiście - przytaknął Sanders.

— Jestem pewien, że wszystko się ułoży. I pamiętaj o przyszłości.

W końcu za rok lub dwa powinieneś zostać bogaty.

— Czy to oznacza, że w dalszym ciągu będziemy wydzielali

OWPP?

41

- O, tak. Z całą pewnością.

Ta część planu fuzji była szczególnie gorąco dyskutowana.

Sprowadzała się do tego, że po przyłączeniu DigiComu do Conley-White Oddział Wysoko Przetworzonych Produktów miał być wydzielony i wprowadzony na giełdę jako osobna spółka. Oznaczało to ogromny zysk dla wszystkich zatrudnionych w nim pracowników.

Każdy z nich bowiem będzie miał możliwość tańszego zakupu opcji, zanim akcje znajdą się w ofercie publicznej.

— Dopracowujemy w chwili obecnej ostatnie szczegóły - oznajmił Blackburn. - Ale spodziewam się, że kierownicy działów, tacy jak ty, będą mieli przydzielone po dwadzieścia tysięcy udziałów oraz prawo poboru pięćdziesięciu tysięcy udziałów po dwadzieścia pięć centów za udział, a także prawo corocznego nabywania po pięćdziesiąt tysięcy udziałów przez następnych pięć lat.

— Nawet pod przyszłym kierownictwem Meredith?

— Zaufaj mi. Wydzielenie OWPP nastąpi w ciągu osiemnastu miesięcy. To pewne.

— A jeśli coś się zmieni?

— Wykluczone, Tom. - Blackburn uśmiechnął się. - Zdradzę ci maleńki sekret. Ten pomysł wysunęła właśnie Meredith.

Blackburn wyszedł z gabinetu Sandersa i przeszedł korytarzem do pustego pokoju. Stamtąd zadzwonił do Garvina. Usłyszał w słuchawce znajome, ostre warknięcie:

— Tu Garvin.

— Rozmawiałem z Tomem Sandersem.

— I co?

— Powiedziałbym, że nieźle wszystko zniósł. Oczywiście, był rozczarowany. Mam wrażenie, że dotarły już do niego plotki. Ale przyjął wiadomość nie najgorzej.

— A co z nowym schematem organizacyjnym? - zapytał Garvin. - Jak zareagował?

— Jest zaniepokojony - odparł Blackburn. - Zgłosił zastrzeżenia.

— Dlaczego?

— Sądzi, że ona nie ma wystarczającego doświadczenia technicznego, aby objąć kierowniczą funkcję.

— Doświadczenia technicznego? - parsknął Garvin. - To ostatnia sprawa, którą bym się akurat martwił. Doświadczenie techniczne nie ma tu żadnego znaczenia.

— Oczywiście, że nie. Przypuszczam, że chodzi o problemy

natury osobistej. Wiesz, swego czasu utrzymywali bliskie stosunki.

— Tak - przyznał Garvin. - Wiem o tym. Czy rozmawiali ze sobą?

- Tom twierdzi, że nie widzieli się od kilku lat.

43

—
Jakieś animozje?

— Nic na to nie wskazuje.

— W takim razie czego się obawia?

— Sądzę, że musi po prostu oswoić się z tą myślą.

— Pogodzi się z nią.

— Też tak uważam.

— Zawiadam mnie, jeżeli usłyszysz coś innego - polecił Garvin i odłożył słuchawkę.

Blackburn zmarszczył brwi. Rozmowa z Sandersem nieco go zaniepokoiła. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale jednak... Był pewien, że Sanders nie przyjmie projektu reorganizacji biernie. A ponieważ cieszył się popularnością w zakładach w Seattle, więc gdyby chciał, mógłby narobić kłopotów. Sanders miał naturę niezależną, nie potrafił grać dla drużyny, a przedsiębiorstwo potrzebowało obecnie ludzi grających w zespole. Im dłużej Blackburn się zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że Sanders będzie stanowił problem. ,

Tom Sanders siedział przy biurku i patrzył przed siebie, zatopiony w myślach. Próbował pogodzić swoje wspomnienia

o przystojnej, młodej sprzedawczyni w Dolinie Krzemowej z nową wizją członkini zarządu, kierującej działami firmy i wykonującej złożone czynności, konieczne do wprowadzenia przedsiębiorstwa na rynek. Ale jego myśli zakłócały pojawiające się co chwila, oderwane obrazy - uśmiechnięta Meredith w jednej z jego koszul włożonej na nagie ciało. Otwarta walizka na łóżku. Białe pończochy i biały pas do podwiązek. Miska z prażoną kukurydzą na niebieskiej sofie w saloniku. Telewizor z wyłączonym dźwiękiem.

I z jakiegoś powodu wspomnienie witraża z kwiatem, szkarłatnym irysem z barwionego szkła. Był to jeden z szablonowych hipisowskich wyrobów z Północnej Kalifornii. Sanders pamiętał, że witraż zastępował jedną ze szklanych płytek w drzwiach wejściowych do jego mieszkania w Sunnyvale. W czasach, kiedy znał Meredith.

Nie był pewien, dlaczego teraz o tym myśli i...

- Tom?

Podniósł głowę, Cindy z zaniepokojoną miną stała w drzwiach.

— Tom, chcesz kawy?

— Nie, dziękuję.

— Don Cherry dzwonił ponownie, kiedy rozmawiałeś z Philem.

Chce, żebyś przyszedł i spojrział na Korytarz.

— Mają problemy?

— Nie wiem. Ale był podniecony. Czy mam cię z nim połączyć?

45

—

Nie teraz. Zejdę do niego za chwilę.

Zatrzymała się przy drzwiach.

— Chcesz obwarzanka? Jadłeś śniadanie?

— Dziękuję.

— Jesteś pewien?

— Dziękuję, Cindy, naprawdę.

Wyszła. Odwrócił się, aby spojrzeć na monitor i zobaczył migającą ikonę poczty elektronicznej. Znowu zaczął rozmyślać o Meredith Johnson.

Sanders żył z nią mniej więcej sześć miesięcy i był to przez pewien czas bardzo bliski związek. A mimo to, chociaż jego pamięć przywoływała oddzielne, wyraźne obrazy uświadamiał sobie, że właściwie jego wspomnienia z tego okresu są zadziwiająco nieprecyzyjne. Czy rzeczywiście żył z Meredith przez sześć miesięcy?

Kiedy właściwie spotkali się po raz pierwszy i kiedy zerwali ze sobą? Sanders był zaskoczony tym, z jakim trudem przychodzi mu odtworzenie chronologii zdarzeń. W nadziei, że cokolwiek sobie uporządkuje, zaczął wspominać inne epizody swojego życia. Jakie stanowisko zajmował wówczas w DigiComie? Czy pracował wciąż w Marketingu, czy przeniósł się już do działu technicznego? Teraz nie był tego pewien. Musiał sprawdzić w dokumentach.

Ponownie pomyślał o Blackburnie. Phil opuścił żonę i przeniósł się do niego w czasie, gdy Tom związany był z Meredith. Czy też może było to później, gdy ich związek już się rozpadał?

Może Phil przeprowadził się do jego mieszkania mniej więcej wówczas, gdy doszło już do zerwania. Sanders nie był tego

pewien. Gdy zastanawiał się nad tym, uświadomił sobie, że nie jest pewny niczego, co wiązało się z tym okresem. Wszystko to miało miejsce mniej więcej dziesięć lat temu, w innym mieście, na innym etapie jego życia i wspomnienia były dosyć chaotyczne.

Zaskoczyło go to.

Wcisnął guzik interkomu.

-^Cindy? Mam pytanie.

- Słucham, Ton\

- Mam trzeci tydzień czerwca. Co robiłaś w trzecim tygodniu czerwca dziesięć lat temu?

Nawet się nie zawahała.

- Kończyłam college.

46

Oczywiście.

— Dobrze - stwierdził Tom. - A w takim razie trzeci tydzień czerwca dziewięć lat temu?

— Dziewięć lat temu? - Nagle w jej głosie zabrzmiały ostrożne, mniej pewne siebie, nuty. - Hmm. Poczekaj, w czerwcu?... Dziewięć lat temu?... W czerwcu. Hm... Chyba byłam ze swoim chłopakiem w Europie.

— Nie z twoim aktualnym przyjacielem?

— Nie... Tamten był absolutnym świrem.

— Jak długo to trwało? - zapytał Sanders.

— Byliśmy tam przez miesiąc.

— Chodzi mi o wasz związek.

— Z nim? Och, poczekaj, zerwaliśmy ze sobą... hm... poczekaj.

Musiał być wtedy... eee, grudzień... Mam wrażenie, że chyba był to grudzień albo może styczeń, po świętach... Dlaczego pytasz?

— Po prostu próbuję coś ustalić - odparł Sanders. Jej nieudolne próby sięgnięcia w przeszłość przyniosły mu ulgę. - A przy okazji, jak daleko w przeszłość sięgają nasze biurowe akta?

Korespondencja i rejestry telefonów?

— Muszę sprawdzić. Wiem, że moje dotyczą ostatnich trzech lat.

— A co z wcześniejszymi?

— Wcześniejszymi? O ile wcześniejszymi?

— Dziesięć lat - odpowiedział.

— Hej, to okres, kiedy byłeś w Cupertino. Czy przechowują tam te szpargały? Czy je zmikrofilmowali, czy też po prostu wyrzucili?

— Nie wiem.

— Chcesz, żebym sprawdziła?

— Nie teraz - odparł i wyłączył się. Na razie nie chciał, aby prowadziła jakieś poszukiwania w Cupertino. Jeszcze nie teraz. Sanders przetarł oczy czubkami palców. Jego myśli z powrotem zaczęły błądzić wokół przeszłości. Znowu zobaczył w wyobraźni witraż z kwiatem. Był zbyt duży, jaskrawy, jarmarczny. Sanders zawsze czuł się zakłopotany jego banalnością. Wtedy mieszkał w jednym z bloków na Merano Drive. Dwadzieścia budynków tłoczyło się wokół małego, zimnego basenu pływackiego. Wszyscy mieszkańcy pracowali dla firmy zajmującej się produkcją w dziedzi-

nie wysoko rozwiniętych technologii. Nikt nigdy nie chodził na

47

basen. I Sanders również nie uczęszczał tam zbyt często. Były to lata, gdy dwa razy w miesiącu latał z Garvinem do Korei. I wszyscy podróżowali klasą turystyczną, bo nie stać ich było nawet na klasę business.

Przypominał sobie również swoje powroty do domu. Zawsze był zmęczony długim lotem, a pierwszą rzeczą, jaką widział, wchodząc do swojego mieszkania, był ten cholerny witraż z kwiatem.

I Meredith, taka, jaką była wówczas. Szczególnie chętnie nosiła białe pończochy i białe paski do podwiązek z małymi kwiatkami przy zapięciach...

- Tom? - Podniósł głowę i zobaczył stojącą w drzwiach

Cindy. - Jeżeli chcesz zobaczyć się z Donem Cherrym, lepiej idź teraz, ponieważ na dziesiątą trzydzieści jesteś umówiony z Garym Bosakiem.

Wydawało mu się, że traktuje go jak kalekę.

— Cindy. Czuję się doskonale.

— Wiem. Po prostu ci przypominam.

— Dobra. Pójdę tam zaraz.

Gdy szybkim krokiem schodził po schodach na trzecie piętro, ogarnął go lepszy nastrój. Cindy miała rację, wyganiając go z gabinetu. A poza tym sam był ciekaw, co zespół Cherry'ego wymyślił w sprawie Korytarza.

Korytarz był czymś, co wszyscy w DigiComie nazywali ŚIW -

Środowisko Informacji Wirtualnej. Stanowiła ona sprzęt towarzyszący Twinkle, drugi poważny element przyszłości informacji cyfrowej, kształtowanej zgodnie z wizjami DigiComu. Informacja miała być magazynowana na dyskach albo w obszernych bazach danych, z którymi użytkownicy mogliby łączyć się za pośrednictwem linii telefonicznych. W chwili obecnej tę informację przedstawiano na płaskich ekranach - telewizyjnych albo monitorach. Od przynajmniej trzydziestu lat była to tradycyjna metoda jej prezentowania. Wkrótce jednak miało to ulec zmianie. Najbardziej radykalną i fascynującą formą było właśnie środowisko wirtualne. Użytkownicy zakładali specjalne gogle, aby widzieć, generowane przez komputer, trójwymiarowe środowisko. Gogle te pozwalały im odnosić wrażenie, że istotnie poruszają się w innym świecie. Dziesiątki przedsiębiorstw zajmujących się wysoko rozwiniętą techniką prowadziło wyścig, którego stawką było pierwszeństwo

48

w stworzeniu środowiska wirtualnego. To fascynująca, ale niezmiernie złożona technika. W DigiComie ŚIW stanowił jeden z ukochanych projektów Garvina. Wpakował w niego mnóstwo pieniędzy i od dwóch lat zmuszał programistów Dona Cherry'ego do pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

I jak do tej pory jedynym rezultatem były kłopoty.

Na drzwiach znajdował się napis ŚIW, a pod spodem objaśniający tekst: Świat, w którym Istota rzeczy nie Wystarcza.

Sanders wsunął w szczelinę kartę identyfikatora i zamek otworzył się z trzaskiem. Przeszedł przez przedpokój, słysząc kilka głosów pokrzykujących w głównej pracowni. Już tutaj czuł wyraźny odór.

W głównym pomieszczeniu zastał absolutny chaos. Okna były otwarte na oścież, w nos szczywał ostry zapach płynu do czyszczenia. Większość programistów leżała na podłodze, pracując nad rozebraną aparaturą. Elementy ŚIW leżały porozrzucane wśród plątaniny wielobarwnych przewodów. Nawet czarne, okrągłe chodniki zostały rozebrane i ich gumowe kulki czyszczono jedna po drugiej. Jeszcze więcej przewodów prowadziło od sufitu do otwartych, z widocznymi panelami obwodów, skanerów laserowych. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie. A w samym środku pokoju tkwił ubrany w jaskrawobłękitną podkoszulkę z napisem REALNOŚĆ PIEPRZY, przypominający nastoletniego Budę, Don Cherry, szef działu Programowania. Cherry miał dwadzieścia dwa lata, powszechnie uważany był za niezastąpionego i słynął "ze swojej impertynencji.

Gdy tylko zobaczył Sandersa, wrzasnął na całe gardło:

— Won! Won! Cholerna dyrekcja! Wynocha!

— Dlaczego? - zapytał Sanders. - Słyszałem, że chcesz się ze mną widzieć.

50

- Za późno! Straciłeś swoją szansę! - odparł Cherry. - A teraz jest już po wszystkim!

Przez chwilę Sanders myślał, że Cherry mówi o jego nieaktualnym już awansie. Ale Cherry był najbardziej bezstronnym spośród kierowników działów DigiComu i obecnie, uśmiechając się szeroko, podążał w stronę Sandersa, przechodząc nad leżącymi programistami.

- Bardzo mi przykro, Tom. Spóźniłeś się. Właśnie wykonujemy strojenie precyzyjne.

- Strojenie precyzyjne? Przecież to wygląda jak punkt zero.

I co tak tu śmierdzi?

- Wiem -· Cherry podniósł ręce do góry. - Proszę chłopaków, żeby się codziennie myli, ale co z tego? To programiści. Gorszi od zwierząt.

— Cindy powiedziała mi, że dzwoniłeś kilka razy.

— Owszem - przytaknął Cherry. - Mieliśmy zapuszczony i działający Korytarz i chciałem, żebyś to zobaczył. Ale może i lepiej, że nie widziałeś.

Sanders popatrzył na rozrzucony wszędzie skomplikowany sprzęt.

- Uruchomiliście go?

- To było wtedy. A teraz jest teraz. Obecnie stroimy go precyzyjnie. - Cherry gestem głowy wskazał na programistów pracujących na podłodze przy chodnikach. - Wreszcie dopadliśmy wirusa w pętli głównej. Dzisiaj o północy. Zdwoiliśmy częstotliwość odświeżania. Teraz system rzeczywiście funkcjonuje jak trzeba.

A w tej chwili musimy ustawić chodniki i serwa, aby zaktualizować

czułość. To problem mechaniczny - oznajmił pogardliwie. -

Ale tak czy owak musimy się tym zająć.

Programiści zawsze byli poirytowani, kiedy musieli rozwiązywać problemy mechaniczne. Żyli prawie całkowicie w abstrakcyjnym świecie kodów komputerowych i uważali, że zajmowanie się mechaniką jest poniżej ich godności.

— A jaki to konkretnie problem? - zapytał Sanders.

— Popatrz sam - odparł Cherry. - Oto nasze ostatnie rozwiązanie. Użytkownik nosi takie urządzenie - oznajmił, wskazując na przedmiot przypominający grube, srebrne gogle przeciwsłoneczne - i wchodzi na ten chodnik.

51

Chodnik był jednym z pomysłów Cherry'ego. Miał rozmiary niewielkiej, okrągłej trampoliny, a jego powierzchnia składała się z gumowych kulek przylegających ściśle do siebie. Funkcjonował podobnie jak wielokierunkowy deptak. Użytkownik, chodząc po kulkach, mógł przesuwać się w dowolnym kierunku. - Gdy użytkownik znajdzie się na chodniku - wyjaśnił Cherry - wybiera bazę danych. A wtedy komputer, o tutaj... - Cherry wskazał na stojący w kącie stos pudeł - odbiera informację przychodzącą z bazy danych i tworzy środowisko wirtualne, które zostaje odtworzone wewnątrz gogli. Gdy użytkownik porusza się po chodniku, projekcja ulega zmianie, dzięki czemu odnosi wrażenie, że idzie po korytarzu o ścianach wypełnionych szufladami z danymi. Może się zatrzymać w dowolnym miejscu, otworzyć własną ręką

dowolną szufladkę kartoteki i przejrzeć zawarte w niej dane.

Całkowicie realistyczna symulacja.

— Ilu użytkowników?

— Obecnie system może pracować jednocześnie z pięcioma.

— A jak wygląda sam Korytarz? - zapytał Sanders. - Przedstawienie szkieletowe? - We wcześniejszych wersjach Korytarz tworzył szkieletową, czarno-białą konstrukcję. Im mniej było linii, tym szybciej komputer mógł je kreślić.

— Przedstawienie szkieletowe? - parsknął Cherry. - Daj spokój. Teraz mówimy o trójwymiarowych, w pełni wymodelowanych płaszczyznach, w 24-bitowych kolorach z korekcją wad obrazowania w odwzorowaniu faktury. Odtwarzamy w pełni zaokrąglone powierzchnie - żadnych wielokątów. Wygląda całkowicie realistycznie.

— A po co te laserowe skanery? Sądziłem, że określacie położenie podczerwienią. - Gogle miały zainstalowane u góry czujniki podczerwieni, dzięki czemu system orientował się, w którą stronę użytkownik patrzy, i zgrywał obraz z kierunkiem.

— I dalej tak robimy - odparł Cherry. - Skanery są do przedstawienia ciała.

— Przedstawienia ciała?

— Tak. Teraz, kiedy idziesz z kimś po Korytarzu, możesz odwrócić się i zobaczyć go, ponieważ skanery tworzą trójwymiarowe odwzorowanie faktury w czasie rzeczywistym. Odbierają kształt ciała, wyraz twarzy i tworzą wirtualną twarz wirtualnej osoby,

stojącej obok użytkownika w wirtualnym pomieszczeniu. Oczywiście, nie możesz widzieć oczu tej osoby, ponieważ zakryte są okularami.

Ale system generuje twarz ze zmagazynowanego odwzorowania faktury. Sprytne, co?

— Chcesz powiedzieć, że można zobaczyć innych użytkowników?

— Tak jest. Ich twarze, miny. Nawet więcej. Jeżeli inni korzystający z systemu nie mają nałożonych gogli, też można ich obejrzyć.

Program identyfikuje bowiem innych użytkowników, wydobywa ich fotografie z dokumentacji i przekazuje do wyobrażenia wirtualnego ciała. Trochę uproszczone, ale zupełnie niezłe. - Cherry pomachał ręką w powietrzu. - I to nie wszystko. Wbudowaliśmy również wirtualną funkcję pomocy.

— Wirtualna pomoc?

— Oczywiście, użytkownicy zawsze potrzebują bezpośredniej pomocy. Wymyśliliśmy więc anioła-pomocnika. Unosi się obok i odpowiada na pytania. - Cherry uśmiechał się. - Mieliśmy zamiar zrobić niebieską wróżkę, ale nie chcieliśmy nikogo urazić.

Sanders z namysłem rozejrzał się po pomieszczeniu. Cherry opowiadał mu o swoim sukcesie. Ale działa się tu coś jeszcze - nie sposób było nie wyczuć napięcia, gorączkowej krzątaniny pracujących ludzi.

- Hej, Don! - zawołał jeden z programistów. - Jakie powinno być zliczenie osi Z?

— Ponad pięć - odparł Cherry.

— Doprowadzam ją do czterech koma trzy.

— Cztery koma trzy jest do kitu. Uzyskaj ponad pięć albo wylatujesz. - Don odwrócił się do Sandersa. - Trzeba dodawać otuchy podwładnym.

Sanders popatrzył na niego.

- No dobra - powiedział w końcu. - A teraz, na czym polega prawdziwy problem?

Cherry wzruszył ramionami.

— Nic takiego. Powiedziałem ci już, że stroimy precyzyjnie.

— Don.

Cherry westchnął.

- No cóż, kiedy zwiększyliśmy częstotliwość odtwarzania, wpakowaliśmy moduł realizacyjny do zespołu niepotrzebnych

53

danych. Rozumiesz, pomieszczenie jest konstruowane w czasie rzeczywistym przez to pudło. Przy szybszej częstotliwości odświeżania danych z czujników, musimy również o wiele szybciej konstruować obiekty. W przeciwnym razie pomieszczenie wydaje się zostawać w tyle i czujesz się jak pijany. Poruszasz głową i cały pokój zatacza się, usiłując nadążyć za ruchem głowy.

— I co?

— I użytkownik puszcza pawia.

— Wspaniale - westchnął Sanders.

— Musimy rozebrać chodniki, ponieważ Teddy wszystko zapas-

kudził.

— Wspaniale, Don.

— O co chodzi? Drobiazg. Wyczyścimy. - Pokręcił głową. -

Chociaż wolałbym, żeby Teddy nie jadł na śniadanie tego paskudztwa. Miał marny pomysł. Okruchy tortilli powłaziły między kulki.

— Wiesz, że mamy jutro pokaz dla ludzi z C-W.

— W porządku. Będziemy gotowi.

— Don, nie chciałbym, żeby ich kierownictwo zaczęło puszczać pawia.

— Możesz mi zaufać - odparł Cherry. - Będziemy przygotowani. Zobaczysz, że wpadną w zachwyty. Bez względu na to, jakie problemy ma firma, Korytarz nie jest jednym z nich.

— Obiecujesz?

— Mało tego - oznajmił Cherry. - Gwarantuję.

Sanders wrócił do gabinetu o dziesiątej dwadzieścia i siedział już przy biurku, kiedy przyszedł Gary Bosak. Gary był wysokim mężczyzną po dwudziestce, ubranym w dżinsy, adidasy i podkoszulek z Terminatorem. W rękę trzymał dużą skórzaną walizeczkę, podobną do tych, jakie noszą adwokaci.

— Błado wyglądasz - stwierdził. - Ale dzisiaj wszyscy w tym budynku są bladzi. Chyba wiesz, że panuje cholerne podniecenie.

— Zauważyłem.

— Tak, to da się zauważyć. Możemy zaczynać?

— Jasne.

— Cindy? Pan Sanders będzie przez kilka minut nieosiągalny.

Bosak zamknął drzwi gabinetu i przekreślił klucz. Pogwizdując wesoło, wyłączył z gniazdka stojący na biurku telefon i drugi aparat, przy kanapce w rogu. Następnie podszedł do okna, opuścił żaluzje i wyłączył stojący z boku mały telewizor. Z trzaskiem otworzył zamki walizeczki, wyjął małe plastikowe pudełko i przesunął wyłącznik na bocznej ścianie. Pudełko zaczęło migać, wydając niski, świszczący szum. Bosak postawił je na środku biurka Sandersa. Nigdy nie przystępował do udzielania informacji, dopóki nie umieścił emitera białego szumu, ponieważ większość z tego, co miał do powiedzenia, nosiło nielegalny charakter.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość - oświadczył. - Twój chłopak jest czysty. - Wyjął kartonową teczkę, otworzył ją i zaczął przerzucać kartki. - Peter John Nealy, dwadzieścia trzy lata,

55

pracownik DigiComu od szesnastu miesięcy. Obecnie zatrudniony jako programista w OWPP. Dobra, zaczynamy. Świadczenia ze szkoły średniej i college'u... Karta zatrudnienia z Data General, jego ostatniego pracodawcy. Wszystko w porządku. A teraz aktualne dane... Kategoria kredytowa w TRW... Domowe rachunki telefoniczne... Rachunki telefoniczne z telefonu komórkowego... Bilans bankowy... Stan oszczędności... Zestawienie podróży... Poczta elektroniczna wewnątrz przedsiębiorstwa i na Internecie... Kwity za parkowanie.... I tutaj mamy decydującą sprawę... Gospoda "Ramada" w Sunnysale, ostatnie trzy wizyty, opłaty telefoniczne stamtąd i numery, na które dzwonił... Ostatnie trzy wynajęte samochody

z ilością przejechanych mil... Komórkowy telefon w wynajętym samochodzie, numery, z którymi rozmawiał... To wszystko.

— I co?

— Sprawdziłem numery, z którymi się łączył. I nic z tego. Dużo telefonów do Seattle Silicon, ale Nealy ma tam dziewczynę. Jest sekretarką, pracuje w sprzedaży. Nie ma zagrożenia. Dzwoni również do swojego brata, programisty u Boeinga, który zajmuje się przetwarzaniem równoległym do projektów skrzydeł. Nie ma zagrożenia. Inne telefony, które wykonywał, dotyczyły dostawców i sprzedawców kodów, i wszystkie są prawidłowe. Nie ma rozmów po godzinach. Nie ma telefonów do automatów. Nie ma połączeń międzykontynentalnych. Żadnych podejrzanych, powtarzających się rozmów, które tworzyłyby jakiś wzór. Żadnych nie wyjaśnionych przelewów bankowych, żadnych niespodziewanych zakupów. Nie ma powodu przypuszczać, że chce zmienić pracę. Jestem zdania, że nie porozumiewa się z nikim, kogo wolałbyś unikać.

— Dobrze - oznajmił Sanders. Spojrzał na kartki papieru i zamilkł na chwilę. - Gary... Część tych danych pochodzi z naszego przedsiębiorstwa. Niektóre z tych raportów.

— Tak. I co z tego?

— Jak je zdobyłeś?

Bosak uśmiechnął się.

— Hej, ty nie pytasz, a ja ci nie mówię.

— Skąd wzięłeś materiały dotyczące Data General?

Bosak pokręcił głową.

— Czy nie za to mi płacisz?

— No tak, ale...

56

—

Posłuchaj. Chciałeś, żebym sprawdził ci pracownika, i masz załatwioną sprawę. Twój chłopak jest czysty. Pracuje tylko dla ciebie. Czy chcesz jeszcze coś o nim wiedzieć?

— Nie. - Sanders pokręcił głową.

— Wspaniale. Pójdę się trochę przespać - Bosak zebrał wszystkie papiery i włożył je z powrotem do teczki. - A przy okazji, zadzwoni do ciebie mój kurator.

— Aha.

— Czy mogę na ciebie liczyć?

— Oczywiście, Gary.

— Powiedziałem mu, że udzielam ci konsultacji. W sprawie zabezpieczeń telekomunikacyjnych.

- I to prawda.

Bosak wyłączył migające pudełko, włożył je do walizeczki i podłączył telefony.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mam zostawić rachunek u ciebie czy u Cindy?

— Wezmę go. Do zobaczenia, Gary.

— Cześć. Zawsze do usług. Jeżeli będziesz potrzebował czegoś więcej, wiesz, gdzie mnie szukać.

Sanders popatrzył na rachunek wystawiony przez NZ Usługi

Zawodowe w Bellevue, stan Waszyngton. Nazwa była dowcipem Bosaka - litery "NZ" oznaczały "Niezbędne Zło". Zazwyczaj przedsiębiorstwa zajmujące się wysoko rozwiniętą techniką zatrudniały do kontroli swoich pracowników emerytowanych oficerów policji i prywatnych detektywów. Od czasu do czasu jednak korzystały również z usług hackerów takich jak Gary Bosak, którzy potrafili z elektronicznych banków danych wydobyć informacje dotyczące podejrzewanych pracowników. Korzyść z usług Bosaka polegała na tym, że pracował szybko, często przedstawiał raport w ciągu kilku godzin albo na drugi dzień. Stosowane przez niego metody były oczywiście nielegalne i wynajmując go Sanders sam złamał kilka paragrafów. Ale kontrola pracowników to była powszechna praktyka w przedsiębiorstwach, w których jeden dokument albo plany rozwoju wyrobu mogły być warte dla konkurencji setki tysięcy dolarów.

W przypadku Pete'a Neala kontrola była szczególnie ważna.

Neale opracowywał niezmiernie ważne, nowe algorytmy kompresji,

57

pozwalające spakować i rozpakować obrazy wideo na kompaktowe dyskiety CD-ROMów. Jego praca była niezwykle istotna dla nowej techniki Twinkle. Odtwarzane z dużą prędkością obrazy cyfrowe z dyskiety miały zrewolucjonizować dość powolną technikę i spowodować postęp w przekazywaniu wiedzy. Ale gdyby algorytmy Twinkle wpadły w ręce konkurencji, przewaga DigiComu gwałtownie by zmaląła. A to oznaczało...

Zabrzączał interkom.

— Toni - odezwała się Cindy. - Jest jedenasta. Pora na zebranie OWPP. Chcesz po drodze zapoznać się z porządkiem obrad?

— Nie dzisiaj - odparł. - Mam wrażenie, że wiem, o czym będziemy mówili.

W sali konferencyjnej na trzecim piętrze trwało już zebranie Oddziału Wysoko Przetworzonych Produktów. Było to cotygodniowe spotkanie, na którym kierownicy działów omawiali problemy i przekazywali najświeższe informacje. Zazwyczaj prowadził te spotkania Sanders. Wokół stołu siedzieli: Don Cherry, kierownik działu Programowania, cały w czarnych wyrobach od Armaniego, Mark Lewyn - pełen temperamentu szef Projektowania Wyrobów i Mary Annę Hunter, kierowniczka działu Danych Telekomunikacyjnych. Hunter, drobna i wrażliwa, ubrana była w sweterek, szorty i spodenki do joggingu firmy Nike. Nigdy nie jadła lunchu, ale po każdym zebraniu udawała się zazwyczaj na pięciomilowy bieg.

Lewyn był właśnie w trakcie jednej ze swoich filipik:

— To obraza wszystkich w naszym dziale. Nie mam pojęcia, dlaczego otrzymała takie stanowisko. Nie wiem, jakie ma kwalifikacje do tej pracy i... - Lewyn przerwał, widząc wchodzącego do pokoju Sandersa. Sytuacja była niezręczna. Wszyscy milczeli, zerkali na niego i odwracali wzrok.

— Przypuszczam - oznajmił z uśmiechem Sanders - że

rozmawiacie na znany temat.

W pomieszczeniu dalej panowała cisza.

- No, mówcie - oznajmił, siadając w fotelu. - Przecież nie jesteście na pogrzebie.

Mark Lewyn odchrząknął.

59

— Przepraszam cię, Tom. Uważam, że to oburzające.

— Wszyscy wiedzą, że awans powinieneś dostać właśnie ty - stwierdziła Mary Annę Hunter.

— Wszyscy jesteście wstrząśnięci, Tom - dodał Lewyn.

— Tak - potwierdził Cherry, uśmiechając się. - Stawaliśmy na uszach, żeby cię wylali, lecz nigdy nie przypuszczaliśmy, że się nam uda.

— Bardzo jestem wam wdzięczny - stwierdził Sanders - ale to firma Garvina i może w niej robić, co mu się podoba. Miał rację częściej, niż jej nie miał. A ja jestem już dużym chłopcem. Nikt mi nigdy niczego nie obiecywał.

— Rzeczywiście nie masz nic przeciwko temu? - zapytał Lewyn.

— Możecie mi wierzyć. Czuję się doskonale.

— Rozmawiałeś z Garvinem?

— Nie, z Philem.

Lewyn pokręcił głową.

— Z tym świętoszkowatym dupkiem.

— Posłuchaj - zapytał Cherry. - Czy Phil mówił coś o od-

łączeniu?

— Tak - odparł Sanders. - Sprawa jest w dalszym ciągu aktualna. Osiemnaście miesięcy po fuzji przedstawią publiczną ofertę.

Wokół stołu zapanowało lekkie poruszenie. Sanders wyraźnie widział, że wszyscy poczuli ulgę. Publiczna oferta oznaczała dla siedzących w tym pokoju bardzo wiele pieniędzy.

— A co Phil powiedział o pani Johnson?

— Niewiele. Tylko tyle, że Garvin chce, aby kierowała działami technicznymi.

W tej właśnie chwili weszła do pokoju Stefania Kaplan, dyrektor pionu finansowego. Wysoka kobieta o przedwcześnie posiwiałych włosach i wyciszonym sposobie bycia, znana w firmie pod przydomkiem Stefania-Widmo albo Bombowiec-Widmo. Drugi przydomek zawdzięczała umiejętności spokojnej likwidacji przedsięwzięć, które uważała za niedostatecznie zyskowe. Kaplan urzędowała w Cupertino, ale zazwyczaj raz w miesiącu pojawiała się na zebraniach OWPP w Seattle. W ostatnim okresie bywała coraz częściej.

- Próbujemy pocieszyć Toma, Stefanie - poinformował ją

Lewyn.

60

Kaplan usiadła, uśmiechnęła się do Sandersa ze współczuciem, ale nic nie powiedziała.

— Czy wiedziałaś, że ta Meredith Johnson ma otrzymać to stanowisko? - zapytał Mark.

— Nie - odparła Stefania Kaplan. - Dla wszystkich ta decyzja była zaskoczeniem. I nie wszystkich ucieszyła. - A potem, jakby uważając, że powiedziała zbyt wiele, otworzyła teczkę i zagłębiła się w swoich notatkach. Jak zwykle usunęła się w cień i zgromadzeni szybko przestali zwracać na nią uwagę.

— No, cóż - oznajmił Cherry. - Słyszałem, że Garvin zajął się nią serio. Johnson była w firmie przez cztery lata i niczym się specjalnie nie wyróżniała. Ale Garvin wziął ją pod swoje skrzydła. Dwa lata temu zaczął dziewczynę windować w górę i to w szybkim tempie. Z jakiegoś powodu po prostu uważa, że Meredith Johnson jest wspaniała.

— Czy Garvin ją pieprzy? - zapytał Lewyn.

— Nie, po prostu lubi.

— Musi z kimś spać.

— Chwileczkę - wtrąciła Mary Annę Hunter, prostując się w fotelu. - Gdyby Garvin sprowadził jakiegoś faceta z Microsoftu, żeby pokierował oddziałem, nikomu nie przyszłoby do głowy, że musi się z kimś pieprzyć.

— Wszystko zależy, kim by ten facet był - roześmiał się Cherry.

— Mówię poważnie. Dlaczego, kiedy kobieta dostaje awans, od razu musi się z kimś pieprzyć?

— Posłuchaj - wyjaśnił Lewyn. - Gdyby z Microsoftu wzięli Ellen Howard, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy, ponieważ wszyscy wiemy, że Ellen jest osobą kompetentną. Mogłoby się to nam nie podobać, ale pogodzilibyśmy się z tym faktem. Nikt jednak nie zna Meredith Johnson. Powiedzcie, czy któreś z was ją zna?

— Prawdę mówiąc - odparł Sanders - ja.

Zapadła cisza.

— Swego czasu chodziłem z nią.

— A więc pieprzy się z tobą - roześmiał się Cherry.

Sanders pokręcił głową.

— To było wiele lat temu.

— Jaka ona jest? - zapytała Hunter.

- jak - przyłączył się Cherry z lubieżnym uśmiechem. - Jaka
ona jest?

61

—

Zamknij się, Don.

— Wyluzuj się, Mary Annę.

— Gdy ją poznałem, pracowała dla Novell - wyjaśnił Sanders. - Miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Była sprytna
i ambitna.

— Sprytna i ambitna - westchnął Lewyn. - Cudownie. Cały
świat pełen jest sprytnych i ambitnych. Pozostaje jednak pytanie,
czy zdoła poprowadzić działy techniczne? A może będziemy mieli
na karku kolejnego Krzykacza Freelinga?

Dwa lata wcześniej Garvin mianował kierownikiem oddziału
Howarda Freelinga, specjalistę do spraw sprzedaży. Realizował
w ten sposób koncepcję udostępniania klientom opracowywanego
produktu na wczesnym etapie przygotowań, aby dzięki temu był
lepiej dostosowany do wymogów kształtującego się rynku. Freeling

powołał grupy robocze, które przez dłuższy czas obserwowały przez, umożliwiające dyskretny podgląd, lustra, jak potencjalni klienci bawią się nowymi wyrobami.

Ale Freeling był całkowitym laikiem w sprawach technicznych.

Gdy pojawiał się jakiś problem, zaczynał wrzeszczeć. Zachowywał się jak turysta w obcym kraju, który nie znając miejscowego języka uważa, że tubylcy zrozumieją go, jeżeli będzie krzyczał. Działalność Freelinga była katastrofą. Programiści pogardzali nim, projektanci buntowali się przeciwko jego pomysłowi, aby produkować obudowy produktów w jaskrawych, neonowych barwach. Produkcyjne komplikacje w zakładach w Irlandii i Teksasie nie były rozwiązywane. Wreszcie, gdy linia produkcyjna w Cork stanęła na jedenaście dni, Freeling poleciał tam i zaczął wrzeszczeć. Wszyscy irlandzcy kierownicy złożyli rezygnację i Garvin wylał Freelinga.

- A więc! Kogo dostaniemy? Kolejnego Krzykacza?

Stefania Kaplan odchrząknęła.

- Mam wrażenie, że Garvin dostał dobrą nauczkę. Nie popełniłby dwa razy tego samego błędu.

- A więc sądzisz, iż Meredith Johnson nadaje się na to stanowisko?

— Nie jestem w stanie powiedzieć - odparła z wyraźnym namysłem Kaplan.

— Nie nazwałbym tego entuzjastyczną opinią - zauważył Lewyn.

—
Ale uważam, że może być lepsza od Freelinga - stwierdziła

Kaplan.

— Coś w rodzaju premii za to, że jest się wyższym od Mickeya

Rooneya - parsknął Lewyn. - Można być kurduplem i wygrać.

— Nie - zaprotestowała Kaplan. - Sądzę, że będzie lepsza.

— Z tego, co słyszałem, jest przynajmniej przystojniejsza -
stwierdził Cherry.

— Maniak seksualny - oznajmiła Mary Annę.

— Co, nie mogę już nawet powiedzieć, że jest przystojna?

— Rozmawiamy o jej kompetencjach, a nie wyglądzie.

— Chwileczkę - oburzył się Cherry. - Gdy szedłem na
zebranie, mijalem grupkę kobiet w barku kawowym i o czym
rozmawiały? Czy Richard Gere ma lepszy tyłek od Mela Gibsona.

Mówiły o szparce między półdupkami, o ich kształcie i jędrności.

Nie rozumiem, dlaczego one mogą mówić...

— Odchodzimy od tematu - zauważył Sanders.

— Nie ma znaczenia, co powiecie, wy, faceci - oznajmiła

Mary Annę. - Tak naprawdę nasze przedsiębiorstwo jest zdomi-

nowane przez mężczyzn i prawie nie ma kobiet na wysokich

kierowniczych stanowiskach, poza Stefanią. Uważam, że Bob zrobił

wspaniałą rzecz, mianując kobietę na stanowisko kierownika

oddziału i sądzę, że powinniśmy ją poprzeć. - Spojrzała na

Sandersa. - Wszyscy cię kochamy, Tom, ale wiesz, o co mi chodzi.

— No taak, wszyscy cię kochamy - oznajmił Cherry. - Przy-

najmniej do chwili, zanim nie dostaliśmy naszego nowego, śliczniutkiego szefa.

— Będę popierał Johnson - oznajmił Lewyn - o ile będzie sensownie działać.

— Nie, nie będziesz - zaprotestowała Hunter. - Postarasz się ją sabotować, żeby się pozbyć intruza.

— Chwileczkę...

— Nie. O czym my naprawdę mówimy? Jesteście wszyscy wściekli, bo będziecie musieli podporządkować się kobiecie.

— Mary Annę...

— Tak uważam.

— Mam wrażenie, że Tom jest wkurzony, bo nie dostał tego stanowiska - stwierdził Lewyn.

— Nie jestem - odparł Sanders.

63

—
A ja tak - rzekł Cherry. - Ponieważ Meredith była

przyjaciółką Toma i teraz będzie miał chody u nowego szefa.

— Może - Sanders zmarszczył brwi.

— Z drugiej strony, równie dobrze może cię nienawidzić -

stwierdził Lewyn. - Wszystkie moje były dziewczyny nienawidzą mnie.

— I o ile wiem, mają powody - zauważył ze śmiechem Cherry.

— Wróćmy do tematu, dobrze? - zaproponował Sanders.

— Jakiego tematu?

— Twinkle.

Wokół stołu rozległ się zbiorowy jęk.

— Tylko nie to.

— Cholerne Twinkle.

— W czym jest problem? - zapytał Cherry.

— Wciąż nie mogą skrócić czasu wyszukiwania i rozwiązać problemu zawiasu. Linia pracuje na dwadzieścia pięć procent mocy.

— Niech nam lepiej przyślą kilka zespołów - zaproponował Lewyn.

— Powinniśmy je dzisiaj otrzymać.

— Dobra. Zostawiamy sprawę do tej pory?

— Nie mam nic przeciwko temu. - Sanders rozejrzał się po siedzących wokół stołu. - Czy ktoś ma jeszcze jakiś kłopot?

Mary Annę?

— Nie, u nas wszystko w porządku. W dalszym ciągu mamy nadzieję, że zakończymy testy prototypu minitelefonu w ciągu dwóch miesięcy.

Nowa generacja telefonów komórkowych przekraczała nieco rozmiarami kartę kredytową. Rozkładało się je przed użyciem.

— Jak z wagą?

— Ważą obecnie cztery uncje, co nie jest wspaniałym osiągnięciem, ale do przyjęcia. Problemem jest zasilanie. Baterie wytrzymują zaledwie sto osiemdziesiąt minut i klawiatura się lepi podczas wybierania numeru. Ale o to niech Marka boli głowa.

Z przygotowaniem linii idziemy zgodnie z planem.

— Dobra. - Sanders odwrócił się w stronę Dona Cher-

ry'ego. - A co z Korytarzem?

Rozpromieniony Cherry rozparł się wygodnie w fotelu i złożył ręce na brzuchu.

64

— Mam zaszczyt poinformować - oznajmił - że podobnie jak pół godziny temu, Korytarz jest fantastyczny.

— Rzeczywiście?

— To wspaniała wiadomość.

— Nikt nie puszcza pawia?

— Proszę? Mówisz o zamierzchłej przeszłości.

— Chwileczkę - zapytał Mark Lewyn. - Ktoś się porzygał?

— Złośliwe plotki. To było kiedyś. A teraz jest teraz. Załatwiliśmy ostatniego wirusa, który powodował opóźnienie, i w tej chwili wprowadzone są wszystkie funkcje. Możemy przyjąć każdą bazę danych i przekształcić ją w trójwymiarowe środowisko o dwudziestoczerobitowej kolorystyce, po którym można poruszać się w czasie rzeczywistym. Możesz spacerować przez dowolną bazę danych na świecie.

— I jest stabilna?

— Jak skała.

— Wypróbowałeś na naiwnych użytkownikach?

— Z pełną gwarancją.

— Jesteś więc gotów do demonstracji dla Conleya?

— Mózg im stanie - oznajmił Cherry. - Nie uwierzą własnym pieprzonym oczom.

Wychodząc z sali konferencyjnej, Sanders natknął się na grupę przedstawicieli kierownictwa Conley-White, oprowadzanych przez Boba Garvina.

Robert T. Garvin wyglądał dokładnie tak, jak prezesi firm prezentujący się na stronicach czasopisma "Fortune". Był pięćdziesięciodziewięcioletnim, przystojnym mężczyzną o twarzy jakby wyrzeźbionej z granitu i szpakowatych włosach. Zawsze sprawiały one wrażenie rozwianych przez wiatr, zupełnie tak jakby właśnie przed chwilą wrócił z wędkarskiej wyprawy do Montany albo weekendu pod żaglami w San Juans. W dawnych czasach, podobnie jak wszyscy inni, chodził po biurze w dzinsowych spodniach i koszuli. Ale teraz wolał granatowe garnitury od Caracenięgo. Kolejna z wielu zmian, jakie pracownicy przedsiębiorstwa dostrzegli w ciągu trzech lat, które upłynęły od śmierci jego córki. Ostry i nie przebierający w słowach Garwin, w życiu prywatnym stawał się czarującym człowiekiem. Idąc na czele grupy kierowników Conley-White oznajmił:

- Tutaj, na trzecim piętrze, mamy nasze działy techniczne i laboratoria wysoko przetworzonych produktów. Och, Tom.

Wspaniale. - Objął go ramieniem. - Przedstawiam państwu Toma Sandersa, naszego kierownika działu wysoko rozwiniętych produktów. Jeden z błyskotliwych młodych ludzi, dzięki którym nasze przedsiębiorstwo stało się tym, czym jest. Tom, przywitaj się z Edem

Szczupły, prawie sześćdziesięcioletni mężczyzna o orlej twarzy i odchylonej nieco w tył głowie sprawiał wrażenie, że cofa się przed czymś, co brzydko pachnie. Popatrzył znad okularów na Sandersa, przyglądając mu się jakby z lekką dezaprobatą, a następnie podał obojętnie rękę.

— Witam pana, panie Sanders.

— Witam, panie Nichols.

— ...i Johna Conleya, bratanka założyciela i wiceprezesa firmy...

Sanders odwrócił się w stronę dobrze zbudowanego mężczyzny.

Okulary w metalowej oprawce. Garnitur od Armaniego. Mocny

uścisk dłoni. Poważny wyraz twarzy. Sanders domyślił się, że

Conley jest bogatym i bardzo zdecydowanym człowiekiem.

— Cześć, Tom.

— Cześć, John

— ...i Jima Daly'ego z firmy Goldman i Sachs...

Łysiejący, szczupły, przypominający bociana mężczyzna w garniturze w prążki robił wrażenie dezorientowanego, oszołomionego.

Uścisnął dłoń Toma, pochylając lekko głowę.

- ...oraz oczywiście, Meredith Johnson z Cupertino.

Była jeszcze piękniejsza, niż ją pamiętał. I w jakiś subtelny sposób odmieniona. Starsza, oczywiście, z kurzymi łapkami zmarszczek w kącikach oczu i lekkimi bruzdami na czole. Ale trzymała się prosto, z pewnością siebie, która natychmiast skojarzyła mu się

z władzą. Granatowy kostium, błękitne, wielkie oczy. Te niewiarygodnie długie rzęsy. Zapomniał o nich.

- Halo, Tom, miło cię znowu widzieć. - Ciepły uśmiech. Jej zapach.

- Meredith, mnie również miło cię spotkać.

Puściła jego dłoń i cała grupa ruszyła dalej korytarzem za Garvinem.

- A teraz, właśnie przed nami znajduje się pracownia ŚIW.

Zobaczycie wyniki jej prac jutro.

Mark Lewyn wyszedł z sali konferencyjnej i powiedział:

— Miałeś spotkanie z galerią złoczyńców?

— Chyba tak.

"Lewyn patrzył w ślad za grupą.

- Trudno uwierzyć, że ci faceci mają poprowadzić przedsiębiorstwo - powiedział. - Przekazywałem im dziś rano różne

67

informacje i muszę ci powiedzieć, że nie mają pojęcia o niczym.

To przerażające.

Gdy grupa dotarła do końca korytarza, Meredith Johnson

obejrzała się za Sandersem. Poruszając bezgłośnie ustami powiedziała:

- "Zadzwoń do ciebie". - I uśmiechnęła się promiennie.

A potem zniknęła.

Lewyn westchnął.

— Sądzę - oznajmił - że masz chody w najwyższym kierow-

nictwie, Tom.

— Być może.

— Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego Garvin myśli, że jest taka wspaniała.

— No cóż, z całą pewnością świetnie wygląda - rzekł Sanders.

Lewyn odwrócił się.

— Zobaczymy - powiedział. - Zobaczymy.

Dwadzieścia minut po dwunastej Sanders wyszedł ze swojego gabinetu i ruszył w stronę schodów, aby zejść do głównej sali konferencyjnej na lunch. Minął pielęgniarkę w wykrochmalonym kitlu, która zaglądała po kolei do wszystkich gabinetów.

— Gdzie on się podział? Przecież był tu przed chwilą? - Pokręciła głową.

— Kto taki?

— Profesor - odparła, dmuchnięciem odrzucając pasmo włosów z oczu. - Nie mogę go ani na chwilę zostawić samego.

— Jaki profesor? - zapytał Sanders. W tej samej chwili jednak usłyszał kobiece chichoty, dobiegające z pokoju położonego w głębi korytarza, i od razu zorientował się, jaka będzie odpowiedź. -

Profesor Dorfman?

- Tak. Profesor Dorfman - odparła pielęgniarka, kiwając ponuro głową i skierowała się w stronę, z której dobiegały chichoty.

Sanders ruszył za nią. Maks Dorfman był niemieckim konsultantem do spraw zarządzania, człowiekiem w bardzo podeszłym

wieku. Od czasu do czasu wizytował każdą większą szkołę biznesu w Ameryce i zdobył szczególną reputację jako guru w sprawach przedsiębiorstw pracujących w sferze wysoko rozwiniętej techniki. Przez większość lat osiemdziesiątych pełnił funkcję członka dyrekcji DigiComu, dodając prestiżu parweniuszowskiemu przedsiębiorstwu Garvina. I jednocześnie był nauczycielem Sandersa. W gruncie

69

rzeczy, to właśnie Dorfman przekonał Sandersa, aby osiem lat temu opuścił Cupertino i zaczął pracować w Seattle.

— Nie wiedziałem, że on żyje - powiedział Sanders.

— I to jeszcze jak - odparła pielęgniarka.

— Musi mieć ponad dziewięćdziesiątkę.

— No cóż, zachowuje się, jakby miał zaledwie osiemdziesiąt pięć.

Gdy podeszli do pokoju, zobaczyli wychodzącą z niego Mary Annę Hunter. Zdążyła się przebrać w spódnicę i bluzkę. Uśmiechała się szeroko, jakby właśnie złożyła wizytę kochankowi.

— Tom, nie zgadniesz, kto tu jest.

— Maks - odparł.

— Tak jest. Och, Tom, powinieneś go zobaczyć, jest dokładnie taki, jak dawniej.

— Mógłbym się o to założyć - odparł Sanders. Nawet na korytarzu czuł zapach dymu papierosowego.

— Panie profesorze - oznajmiła surowym tonem pielęgniarka i wkroczyła do jednego z pomieszczeń wypoczynkowych dla

pracowników. Sanders zajrzał do środka. Fotel inwalidzki Maksa Dorfmana znajdował się przy usytuowanym na środku pokoju stole i otaczała go grupka przystojnych pracowników. Kobiety krzątały się wokół niego, a Dorfman, z charakterystyczną grzywą białych włosów, uśmiechał się szczęśliwy, paląc papierosa w długiej cygar- niczce.

— Co on tu robi? - zapytał Sanders.

— Garvin sprowadził go, aby konsultował fuzję. Nie przywitasz się z nim? - zapytała Mary Annę.

— O, Chryste - odparł Sanders. - Przecież znasz Maksa. Jest w stanie każdego doprowadzić do szału.

Dorfman lubił rzucać wyzwanie prawdom oczywistym, ale nigdy nie działał wprost. Miał zwyczaj mówić w ironiczny sposób, zarazem prowokacyjny i szyderczy. Uwielbiał sprzeczności i kłamał bez wahania. Jeżeli złapało się go na łgarstwie, natychmiast odpowiadał: "Tak, to prawda. Nie wiem, o czym właściwie myślałem". I natych- miast zaczynał znowu mówić w ten sam doprowadzający do szału sposób. Nigdy właściwie nie precyzował, o co mu chodzi - pozosta- wiał to domyślności rozmówcy. Z prowadzonych przez niego chaotycznych dyskusji ludzie wychodzili ogłupiali i wyczerpani.

70

- Ale byliście przecież dobrymi przyjaciółmi - powiedziała

Mary Annę, spoglądając na Sandersa. - Jestem pewna, że ucieszył- by się, gdybyś do niego zajrzał.

- Teraz jest zajęty. Może później. - Sanders spojrzął na

zegarek. - A poza tym, spóźnilibyśmy się na lunch.

Ruszył dalej korytarzem. Mary Annę szła koło niego, marszcząc czoło.

— Zawsze potrafił zaleźć ci za skórę, prawda/

— Każdemu potrafił. Jest w tym najlepszy.

Spojrzała na niego, zaintrygowana. Wyraźnie miała ochotę dodać coś jeszcze, ale tylko wzruszyła ramionami.

— Dla mnie jest w porządku.

— Po prostu nie mam nastroju do jednej z tych rozmów - wyjaśnił Sanders. - Może później. Ale nie w tej chwili.

Zaczęli schodzić na parter.

DigiCom nie posiadał własnej jadalni. Lunche i obiady organizowano w restauracjach, najczęściej w "II Terazzo".

Aby jednak utrzymać tajemnicę o przyszłej fuzji, DigiCom zamówił lunchy do dużej, wyłożonej boazerią sali konferencyjnej na parterze.

O dwunastej trzydzieści, gdy zebrali się kierownicy działów technicznych DigiComu, członkowie zarządu Conley-White oraz bankierzy od Goldmana i Sachsa, było w niej tłoczno. Egalitaryzm panujący w przedsiębiorstwie sprawił, że nie było wyznaczonych miejsc, jednak główni przedstawiciele C-W znaleźli się przy jednym końcu stołu, zgromadzeni w pobliżu Garvina. Koncentracja władzy.

Sanders usiadł nieco dalej, po drugiej stronie, i ze zdziwieniem stwierdził, że obok zajęła miejsce Stefania Kaplan. Zazwyczaj Stefania siadała dużo bliżej Garvina. Sanders znajdował się zdecydowanie dalej w tej hierarchii dziobania. Z lewej strony Sandersa

siedział Bili Everts, kierownik działu kadr - miły, trochę nudnawy facet. Gdy kelnerzy w białych kurtkach podali posiłek, Sanders rozmawiał na temat wędkowania na wyspach Orcas, co było pasją Evertsa. Kaplan jak zawsze milczała przez większą część lunchu, sprawiając wrażenie pogrążonej we własnych myślach.

Sanders miał wyrzuty sumienia, że ją zaniedbuje. Pod koniec posiłku odwrócił się do Stefanii i powiedział:

— Zauważyłem, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy częściej niż zazwyczaj bywałeś w Seattle. Czy to w związku z fuzją?

— Nie - uśmiechnęła się. - Mój syn jest na pierwszym roku

72

na uniwersytecie, dlatego lubię tu przyjeżdżać, żeby się z nim zobaczyć.

— Co studiuje?

— Chemię. Chce zająć się chemią materiałową. Podobno jest to bardzo obiecująca dziedzina.

— Słyszałem o tym.

— Często nie wiem, o czym mówi. Bardzo zabawne, gdy dziecko jest mądrzejsze od matki.

Skinął głową, próbując wymyślić jakiś temat do rozmowy.

Zadanie nie było łatwe - chociaż od lat siadywał obok Stefanii na zebraniach, bardzo mało o niej wiedział. Wyszła za mąż za profesora ekonomii stanowego uniwersytetu San Jose, jowialnego, puciołowatego i wąsatego mężczyznę. Gdy byli razem, zazwyczaj mówił on, podczas gdy Stefania stała w milczeniu obok. Była wysoką, kościstą

i niezgrabną kobietą, która całkowicie zrezygnowała z jakichkolwiek towarzyskich pretensji. Podobno świetnie grała w golfa - w każdym razie tak dobrze, że Garvin nie chciał już z nią więcej grywać. Nikt, kto ją znał, nie był zaskoczony faktem, że popełniła błąd, pokonując zbyt często Garvina. Lizusi twierdzili, że nie potrafiła zbyt dobrze przegrywać, aby otrzymać awans.

Garvin właściwie nie przepadał za nią, ale nigdy nie pozwoliłby jej odejść. Była bezbarwna, bez poczucia humoru i nigdy nie znała zmęczenia, a o jej poświęceniu dla firmy krążyły legendy. Pracowała do późnej nocy i przez większość weekendów. Gdy kilka lat temu zachorowała na raka, nie chciała wziąć nawet jednego dnia wolnego. Najwyraźniej została wyleczona, w każdym razie Sanders już więcej nie słyszał o jej chorobie. Ale wydarzenie to chyba jeszcze bardziej zwiększyło jej zaangażowanie w tej bezosobowej dziedzinie, jaką są cyfry i tabele, a także jej naturalną skłonność do zakulisowych działań. Niejeden kierownik przychodził rano do pracy, tylko po to, aby przekonać się, że Bombowiec-Widmo zniszczył jego ukochany projekt, nie pozostawiając najmniejszego śladu ani nie podając motywów. Natomiast wyniosłe zachowanie podczas spotkań towarzyskich wynikało z poczucia władzy, jaką sprawowała w przedsiębiorstwie. Stefania na swój sposób była tajemnicza - i potencjalnie niebezpieczna.

Gdy Sanders próbował wymyślić jakiś temat do konwersacji, Stefania Kaplan pochyliła się w jego stronę i powiedziała cicho:

- Tom, na dzisiejszym spotkaniu nie mogłam właściwie nic powiedzieć. Ale mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Chodzi mi o tę nową reorganizację.

Sanders postarał się ukryć zaskoczenie. Kaplan nigdy dotąd nie powiedziała mu nic aż tak osobistego. Zastanawiał się, dlaczego zrobiła to teraz. Natychmiast poczuł niepokój i nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć.

- No cóż, byłem trochę zaskoczony - rzekł.

Popatrzyła na niego uważnie.

- To był wstrząs dla wielu z nas - powiedziała spokojnie. -

W Cupertino podniosła się wrzawa. Wiele osób kwestionowało decyzję Garvina.

Sanders zmarszczył brwi. Stefania nigdy nie powiedziała niczego, co byłoby tak wyraźną krytyką poczynań Garvina. Nigdy. A teraz tak. Czy drażniła się z nim? Nic nie odpowiedział i zaczął dziobać widelcem jedzenie na talerzu.

— Mogę sobie wyobrazić, że ta nowa nominacja cię zaniepokoiła.

— Tylko dlatego, że była tak nieoczekiwana. Spadła jak piorun z jasnego nieba.

Kaplan przez chwilę przyglądała mu się dziwnie. Zupełnie, jakby czymś ją rozczarował. Potem kiwnęła głową:

- Tak właśnie dzieje się przy fuzjach - skonstatowała. -

Byłam w CompuSoft, kiedy łączyli się z Symantecem, i wszystko odbywało się tak samo: oświadczenia w ostatniej chwili, zmiany

w strukturze organizacyjnej, obiecane stanowiska, utracone posady.

Przez wiele tygodni wszystko wisiało w powietrzu. Niełatwo jest połączyć dwie firmy - szczególnie takie. Istnieją olbrzymie różnice w charakterze obu przedsiębiorstw. Garvin musi wszystko zręcznie przeprowadzić. - Wskazała szczyt stołu, gdzie siedział szef. -

Przyjrzyj się im. Wszyscy ludzie od Conleya są w garniturach. Nikt w naszej firmie, poza prawnikami, nie nosi garniturów.

->Są z Wschodniego Wybrzeża - przypomniał Sanders.

-* Ale te różnice sięgają głębiej. Conley-White lubi prezentować się jako firma zajmująca się różnymi formami przekazu, ale w gruncie rzeczy jej obszar zainteresowań jest znacznie węższy.

Koncentruje się przede wszystkim na podręcznikach. Bardzo dochodowy interes, ale trzeba je sprzedawać dyrekcjom szkół

74

w Teksasie, Ohio i Tennessee. Wiele z nich jest bardzo konserwatywnych. A więc i Conley jest konserwatywny, kierując się instynktem i doświadczeniem. Dążą do połączenia, ponieważ muszą uzyskać technologie, które sięgną w następne stulecie. Ale nie mogą przyzwyczać się do stylu panującego w bardzo młodej firmie, w której pracownicy chodzą w podkoszulkach i dzinsach i wszyscy zwracają się do siebie po imieniu. Są zszokowani. A poza tym - dodała Kaplan, znowu ścisząc głos - w Conley-White istnieją wewnętrzne podziały. Garvin musi się uporać również i z tym.

- Jakie wewnętrzne podziały?

Skinęła głową w stronę szczytu stołu.

- Może zauważyłeś, że nie ma tu ich prezesa. Wielki człowiek nie zaszczycił nas swoją obecnością. Pojawi się dopiero pod koniec tygodnia. Chwilowo wysłał jedynie swoich faworytów. Najwyższym stopniem przedstawicielem jest Ed Nichols, dyrektor pionu finansowego.

Sanders zerknął na mężczyznę o ostrej twarzy, z którym spotkał się wcześniej.

— Nichols nie chce kupować naszego przedsiębiorstwa - wyjaśniła Kaplan. - Uważa, że jesteśmy za drodzy i dysponujemy zbyt małymi mocami. W ubiegłym roku usiłował zorganizować strategiczny sojusz z Microsoft, ale Gates go odtrącił. Potem Nichols usiłował kupić InterDisk, ale mu się nie udało - było zbyt wiele kłopotów, a InterDisk miał złą prasę w związku ze zwolnieniem pracownika. Tak więc skończyło się na nas. Ale Ed nie jest zadowolony z sytuacji, w jakiej się znalazł.

— Rzeczywiście, nie sprawia wrażenia zbytnio uszczęśliwionego - stwierdził Sanders.

— Przede wszystkim dlatego, że nie cierpi tego dzieciaka, Conleya.

Obok Nicholasa siedział John Conley, młody, nieco ponaddwudziestoletni prawnik w okularach. Mówił coś z ożywieniem do Nicholasa, wymachując widelcem w powietrzu.

— Ed Nichols uważa Conleya za dupka.

— Ale Conley jest tylko wiceprezesem - przypomniał Sanders. - Nie może dysponować zbyt wielką władzą.

Kaplan pokręciła głową.

- Jest spadkobiercą, pamiętasz?

75

—

Tak? I co to znaczy? Portret jego dziadka wisi na ścianie w jakiejś sali konferencyjnej?

— Conley posiada cztery procent akcji C-W i kontroluje dalszych dwadzieścia sześć procent, które znajdują się w posiadaniu rodziny albo są ulokowane w majątku powierniczym zarządzanym przez rodzinę. John Conley posiada największy pakiet kontrolny Conley-White.

— A John Conley chce, aby fuzja doszła do skutku?

— Tak. - Kaplan skinęła głową. - Conley osobiście wybrał nasze przedsiębiorstwo. I idzie szybko do przodu przy pomocy takich przyjaciół jak Jim Daly od Goldmana i Sachsa. Daly jest bardzo sprytny, ale w końcu inwestujący bankierzy zawsze otrzymują wysokie honoraria, gdy fuzja dochodzi do skutku. Ciężko pracują na swój chleb, nie powiem. I trzeba by czegoś bardzo poważnego, aby w chwili obecnej wycofali się ze sprawy.

— Aha.

— A więc Nichols ma uczucie, że traci kontrolę nad zakupem i jest wpędzany w interes, który ma nam przynieść większe zyski, niż powinien. Nichols nie rozumie, dlaczego C-W miałyby nas wszystkich uczynić bogatymi. Wycofałby się z tego przedsięwzięcia, gdyby tylko mógł - choćby tylko po to, aby przypieprzyć

Conleyowi.

— Ale przecież to Conley prowadzi sprawę.

— Tak. Conley zaś zachowuje się arogancko. Lubi wygłaszać przemowy na temat walki młodości ze starością, nadchodzącej ery informacji cyfrowej, wspaniałej wizji przyszłości. Doprowadza tym Nicholisa do wściekłości. Ed Nichols jest przekonany, że w ciągu minionych dziesięciu lat podwoił wartość firmy, a tymczasem ten mały palant go poucza.

— A jak do tego wszystkiego pasuje Meredith?

Kaplan zawahała się.

— Meredith jest odpowiednia.

- Co to znaczy?

— Jest ze Wschodu. Wychowała się w Connecticut i chodziła do Vassar. Ludzie od Conleya lubią coś takiego. Czują się wtedy bezpieczniej.

— Tylko tyle? Fakt, że ma odpowiedni akcent?

— Nie mówiłam ci tego - powiedziała Kaplan. - Ale przy-

76

puszczam, że uważają ją za słabą. Myślą, że będą mogli nią kierować, gdy połączenie dojdzie do skutku.

- I Garvin się z tym zgadza?

Kaplan wzruszyła ramionami.

— Bob jest realistą - stwierdziła. - Potrzebuje kapitału.

Zręcznie zbudował swoje przedsiębiorstwo, ale musimy uzyskać poważny dopływ gotówki na przejście do następnej fazy - ostrej

konkurencji z Sony i Philipsem. Podręczniki Conley-White stanowią złotodajną kurę. Bob patrzy na nie i widzi zielone - i żeby je zdobyć, ma zamiar robić wszystko, czego sobie życzą.

— I, oczywiście, Bob lubi Meredith.

— Tak. Rzeczywiście, Bob ją lubi.

Sanders czekał, aż skończy skubać potrawę, i wreszcie zapytał:

— A ty, Stefano? Co o tym myślisz?

Kaplan wzruszyła ramionami.

— Jest zdolna.

— Zdolna, ale słaba?

- Nie. - Kaplan pokręciła głową. - Meredith jest zdolna, nie ulega wątpliwości. Ale martwię się, czy posiada dostateczną praktykę. Nie jest tak doświadczona, jak powinna. Ma kierować czterema dużymi działami technicznymi, które powinny gwałtownie się rozwijać. Po prostu mam nadzieję, że da sobie radę.

Rozległo się pobrząkiwanie łyżeczki o kieliszek i Garvin wstał zza stołu.

- Chociaż wciąż jeszcze jecie deser, może zacznijmy, tak abyśmy mogli zakończyć do drugiej - powiedział. - Chciałbym przypomnieć wam nowy rozkład zajęć. Zakładając, że wszystko będzie przebiegało zgodnie z planem, chcielibyśmy formalnie ogłosić połączenie naszych przedsiębiorstw na konferencji, która odbędzie się tutaj w piątek w południe. A teraz przedstawię naszych nowych współpracowników z Conley-White...

Gdy Garvin przedstawiał ludzi z C-W, którzy po kolei

wstawali zza stołu, Kaplan pochyliła się do Toma i szepnęła mu na ucho:

— Wszystko to tylko mydlenie oczu. Prawdziwym powodem zorganizowania tego lunchu jest, jak się domyślasz, ktoś inny.

— ...i wreszcie - oznajmił Garvin - pozwólcie mi państwo przedstawić osobę, którą wielu, choć nie wszyscy z państwa, już

77

zna. Wiceprezesa do spraw Eksploatacji i Projektowania Wysoko Przetworzonych Produktów, Meredith Johnson.

Kiedy Johnson szła do podestu znajdującego się w przedniej części sali, rozległy się krótkie, niezbyt liczne oklaski. Ubrana w granatowy kostium wyglądała na wzorowego reprezentanta dyrekcji, ale jednocześnie była uderzająco piękna. Po wejściu na podium włożyła okulary w rogowej oprawie i przyćmiła światła w sali konferencyjnej.

- Bob poprosił mnie, abym przedstawiła państwu, w jaki sposób będzie działała nowa struktura organizacyjna, i opowiedziała, jakie mamy plany na najbliższy okres. - Pochyliła się nad ustawionym na podium komputerem. - A teraz, jeżeli uda mi się go uruchomić... popatrzmy...

Don Cherry, mimo panującego w sali mroku, dostrzegł spojrzenie Sandersa i powoli pokręcił głową.

- Aha, w porządku, możemy zaczynać - powiedziała Johnson.

Ekran za jej plecami rozjaśnił się. Pojawiły się na nim generowane przez komputer animowane obrazy. Pierwszy z nich przedstawiał czerwone

serce rozpadające się na cztery części. - Sercem DigiComu był zawsze jego Oddział Wysoko Przetworzonych Produktów, który, jak państwo widziecie, tworzą cztery oddzielne działy. Ale ponieważ na całym świecie informacja staje się cyfrowa, działy te niewątpliwie ulegną połączeniu. - Na ekranie kawałki serca połączyły się ze sobą, a serce przekształciło w wirującą kulę ziemską. Zaczęły się z niej wydobywać rozmaite przedmioty. - W niedalekiej przyszłości klientowi posiadającemu telefon komórkowy o wbudowanym modemie faksu oraz komputer typu laptop albo PDA * będzie stopniowo coraz bardziej obojętne, w której części świata się znajduje i skąd pochodzi otrzymywana przezeń informacja. Mówimy o prawdziwej globalizacji informacji, co z kolei zakłada pojawienie się szerokiej oferty nowych produktów dla naszych podstawowych rynków w takich dziedzinach jak: biznes i edukacja. - Kula ziemską rozrosła się i zniknęła, a na ekranie pojawiły się wypełnione studentami sale lekcyjne usytuowane na wszystkich kontynentach. - W miarę przechodzenia od druku do przedstawień cyfrowych i wreszcie środowiska wirtualnego, kształcenie

* personal digital assistant - osobisty asystent cyfrowy, typ małego komputera notatnikowego (przyp. tłum.).

78

stanie się coraz ważniejszym obiektem zainteresowania naszego przedsiębiorstwa. A teraz zobaczmy, co to oznacza i dokąd nas doprowadzi.

Zajęła się tym właśnie zagadnieniem: hipermedia, wbudowane systemy wideo, systemy autorskie, struktury grup roboczych,

wyszukiwanie źródeł naukowych, testy dla nabywców systemu.

Następnie przeszła do struktury kosztów: wydatki i zyski z projektów badawczych, plany pięcioletnie... Wreszcie przeanalizowała najpoważniejsze problemy produkcyjne: kontrolę jakości, informację zwrotną od klientów, krótsze cykle opracowania wyrobu.

Komentarz Meredith Johnson był nienaganny, obrazy płynnie zmieniały się na ekranie. Mówiła pewnym tonem, bez wahania i przerw. Stopniowo w sali zapadała pełna szacunku cisza.

- Choć nie jest to może odpowiednia pora na sprawy techniczne - oznajmiła - chciałabym wspomnieć, że przy czasie przeszukiwania nowej stacji CD poniżej stu milisekund połączonej z nowym algorytmem upakowującym, będzie można zmienić przemysłowe standardy dla CD do pełnej zdolności rozdzielczej cyfrowego obrazu wideo przy sześćdziesięciu półobrazach na sekundę. I mówimy o niezależnym od platformy procesorze RISC, wspomaganym przez trzydziestodwubitowe kolorowe wyświetlacze z aktywną matrycą i przenośną jednostką drukującą o rozdzielczości 1200 DPI * oraz radiową siecią działającą w obu konfiguracjach LAN i WAN**. Gdy połączy się to z niezależnie generowaną wirtualną bazą danych - zwłaszcza gdy zostaną zainstalowane w pamięci ROM środki programowe definiujące i klasyfikujące obiekty - mam wrażenie, że czeka nas bardzo ekscytująca przyszłość.

Sanders zobaczył, że Donowi Cherry'emu opadła szczęka.

Pochylił się w stronę Kaplan.

— Wygląda na to, że zna się na rzeczy.

— Tak - odparła Kaplan, kiwając głową. - Gwiazda demon-
stracji. Zaczynała od tego. Precyzja zawsze była jej najmocniejszą
stroną.

Sanders zerknął na Kaplan. Odwróciła spojrzenie.

W tej samej chwili demonstracja dobiegła końca. Gdy rozbłysły

* DPI - skrót: dots per inch - punkty na cal (przyp. tłum.).

** LAN - skrót: Local Area Network - lokalna sieć komputerowa, WAN -
skrót: Wide Area Network - rozległa sieć komputerowa (przyp. tłum.).

79

światła, rozległy się brawa i Johnson wróciła na swoje miejsce.

Zgromadzeni zaczęli rozchodzić się do swoich zajęć. Meredith
opuściła Garvina, skierowała się do Dona Cherry'ego i powiedziała
mu kilka słów. Cherry uśmiechnął się - był wyraźnie oczarowany
i zaskoczony. Potem Meredith przeszła do Mary Annę, przez
chwilę rozmawiała z nią, a potem z Markiem Lewynem.

— Jest sprytna - oznajmiła Kaplan, przyglądając się John-
son. - Zdobywa sobie wszystkich kierowników działów - chociaż
nie wymieniła żadnego z nich w swojej przemowie.

— Sądysz, że ten fakt ma znaczenie? - Sanders zmarszczył
brwi.

— Tylko wtedy, jeżeli chce dokonać zmian.

— Phil powiedział, że nie zamierza tego robić.

— Ale nie możesz mieć pewności, prawda? - powiedziała

Kaplan wstając i rzuciła serwetkę na stół. - Muszę iść. Sądzę, że
jesteś następny na jej liście.

Kaplan zniknęła dyskretnie, gdy Meredith podeszła do Sandersa, uśmiechając się promiennie.

— Chciałabym cię przeprosić, Tom - oznajmiła - że w czasie mojej prezentacji nie wymieniłam twojego nazwiska ani nazwisk innych kierowników działów. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek to źle odebrał. Po prostu Bob prosił mnie, żebym się streszczała.

— No cóż - odparł Sanders. - Chyba podbiłaś wszystkich.

Reakcja była bardzo korzystna.

— Mam nadzieję - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Posłuchaj, jutro przeprowadzimy szereg pracowitych spotkań. Prosiłam wszystkich kierowników działów, aby, jeżeli mogą, spotkali się dziś ze mną. Ciekawa jestem, czy będziesz mógł pod koniec dnia wpaść do mojego biura na drinka. Omówimy parę spraw i może przypomnimy sobie stare czasy.

— Jasne - przytaknął. Czuł na ramieniu ciepło jej dłoni. Nie cofała jej.

— Dostałam gabinet na piątym piętrze i przy pewnej dozie szczęścia może jeszcze dzisiaj wstawią mi meble. Czy szósta wieczorem ci odpowiada?

— Doskonale - odparł.

Uśmiechnęła się.

— Ciągle lubisz wytrawne chardonnay?

80

Pamięć o jego przyzwyczajeniach sprawiła Sandersowi przyjemność. Uśmiechnął się.

— Tak, w dalszym ciągu.

— Zobaczę, czy uda mi się je zdobyć. I omówimy niektóre z najbardziej nie cierpiących zwłoki zagadnień, takich jak stacja dysków o czasie przeszukania poniżej stu milisekund.

— Dobrze, doskonale. A w sprawie stacji...

— Wiem - powiedziała ściszej głoś. - Załatwimy tę sprawę - w ich kierunku zaczęło zmierzać kierownictwo Conley-White. - Porozmawiamy wieczorem.

— Dobrze.

— A więc do zobaczenia, Tom.

— Do zobaczenia.

Gdy zebranie dobiegło końca, Mark Lewyn podszedł do Sandersa.

— No, zdradź, co miała ci do powiedzenia?

— Meredith?

— Nie, Bombo wiec- Widmo. Kaplan szeptała ci do ucha przez cały lunch. Co się dzieje?

Sanders wzruszył ramionami.

— Och, wiesz. Takie sobie pogaduszki.

— Daj spokój. Stefania nie prowadzi pogaduszek. Nie wie, jak to robić. I od lat nie widziałem, aby rozmawiała z kimś tak długo, jak z tobą.

Sandersa zdziwiło, że Lewyn jest aż tak zaniepokojony.

- Prawdę mówiąc - oznajmił - rozmawialiśmy przede wszystkim o jej synu. Jest na pierwszym roku uniwersytetu.

Ale Lewyn nie dał się nabrać. Zmarszczył brwi i powiedział:

- O coś jej chodzi, prawda? Nigdy nie prowadzi rozmów bez jakiegoś powodu. Czy chodziło jej o mnie? Wiem, że zapatruje się krytycznie na zespół projektów. Uważa, że jesteśmy rozrzutni.

Powtarzałem jej wiele razy, że nie ma racji...

— Mark - przerwał mu Sanders. - W czasie rozmowy nawet nie padło twoje nazwisko. Słowo daję. - I żeby zmienić temat, zapytał: - Co sądzisz o Johnson? Uważam, że świetnie sobie dała radę z prezentacją.

— Tak. Wywarła wrażenie. Zastanawia mnie tylko jedno -

82

kontynuował Lewyn. Wciąż chmurzył się i był zaniepokojony. -

Podobno narzuciło ją nam w ostatniej chwili kierownictwo Conleya.

— Słyszałem o tym. Dlaczego pytasz?

— Chodzi mi o prezentację. Aby przygotować podobną graficzną demonstrację, potrzeba przynajmniej dwóch tygodni - odparł

Lewyn. - W mojej grupie projektowej zlecam ją na miesiąc przed terminem. Potem przeglądamy materiały, aby ustalić chronometraż, następny tydzień zajmują nam zmiany i poprawki, i kolejny tydzień przeniesienie na dysk. I to w mojej własnej, zakładowej grupie,

która potrafi pracować szybko. W przypadku członka kierownictwa proces trwa jeszcze dłużej. Zrzucają całą sprawę na głowę jakiegoś asystenta, który próbuje wykonać ich zlecenie. Potem taki dyrektor przegląda materiał i chce, żeby wszystko zrobić na nowo. A więc,

jeżeli była to jej prezentacja, przypuszczam, że już od jakiegoś czasu

Johnson wiedziała o swojej nominacji. Od kilku miesięcy.

Sanders zmarszczył brwi.

- Jak zawsze - zakończył Lewyn - biedne sukinsyny w okopach dowiadują się o wszystkim na końcu. Zastanawiam się, o czym jeszcze nie wiemy?

Sanders wrócił do gabinetu piętnaście po drugiej. Zadzwoił do żony, aby uprzedzić ją, że wróci do domu później, ponieważ ma zebranie o szóstej.

— Co się tam u was dzieje? - zapytała Susan. - Miałam telefon od Adele Lewyn. Powiedziała, że Garvin wszystkich wyrolował i że zmieniają całą organizację firmy.

— Jeszcze nie wiem - odparł ostrożnie, widząc wchodzącą do pokoju Cindy.

— Czy w dalszym ciągu masz dostać ten awans?

— Zasadniczo odpowiedź brzmi: "nie".

— Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Susan. - Tom, bardzo mi przykro. Dobrze się czujesz? Jesteś zmartwiony?

— Owszem, mógłbym tak powiedzieć.

— Nie możesz rozmawiać?

— Masz rację.

— Dobrze. Zostawmy to na razie. Zobaczymy się, gdy wrócisz.

Cindy położyła na jego biurku stos teczek.

— Już wie? - zapytała, gdy Sanders odłożył słuchawkę.

— Podejrzewa.

Cindy skinęła głową.

- Dzwoniła w czasie lunchu - powiedziała. - Przypuszczam, że to zdążyło się już roznieść.

- Jestem pewien, że wszyscy plotkują na ten temat.

Cindy podeszła do drzwi i zatrzymała się.

84

— I jak się odbyło zebranie i lunch? - spytała ostrożnie.

— Meredith została przedstawiona jako nowa szefowa wszystkich działów technicznych. Przeprowadziła pokaz. Oznajmiła, że ma zamiar zatrzymać obecnych kierowników działów na ich stanowiskach i wszyscy będą jej składać sprawozdania.

— A więc dla nas nic się nie zmieni? Po prostu dostajemy kolejną czapkę?

- Jak na razie. Tak przynajmniej mnie poinformowano.

A dlaczego pytasz? Słyszałaś coś?

— To samo.

— A więc chyba to prawda.

Uśmiechnął się.

— Czy będę mogła kupić sobie mieszkanie?

Cindy od dłuższego już czasu miała zamiar kupić mieszkanie w dzielnicy Quenn Annę Hill dla siebie i swojej dorastającej córki.

— Kiedy musisz podjąć decyzję? - zapytał Sanders.

— Mam jeszcze piętnaście dni. Do końca miesiąca.

— W takim razie poczekaj. Rozumiesz, na wszelki wypadek.

Kiwnęła głową i wyszła. Chwilę później pojawiła się znowu.

— Niewiele brakowało, a zapomniałabym. Telefonowano przed chwilą od Marka Lewyna. Z KL przysłano stacje Twinkle. Właśnie oglądają je projektanci Marka. Czy chcesz zobaczyć?

— Już idę.

Grupa Projektów zajmowała całe drugie piętro w Western Building. Jak zawsze panowała tam atmosfera chaosu.

Wszystkie telefony dzwoniły, ale w małej poczekalni przy windach, ozdobionej wypłowiałymi afiszami z berlińskiej Wystawy Bauhaus w 1929 roku i starego filmu fantastyczno-naukowego "Projekt Forbina", nie było recepcjonistki. Dwaj japońscy goście siedzieli przy stoliku w kącie koło poobijanych automatów z coca-colą oraz kanapkami i rozmawiali szybko. Sanders skinął im głową i za pomocą swojej karty identyfikacyjnej otworzył zamknięte drzwi.

Wszedł do środka.

Pomieszczenie było duże, podzielone pod przedziwnymi kątami przepierzeniami pomalowanymi tak, że wyglądały jak pokryty pastelowymi żyłkami kamień. W przedziwnych miejscach porzastawiano plecione z drutów krzesła i stoliki, sprawiające wrażenie bardzo niewygodnych. Ryczał rock and roll. Wszyscy byli ubrani niedbale - większość projektantów miała na sobie szorty i podkoszulki. Najwyraźniej tu właśnie istniała Strefa Twórcza.

Sanders przeszedł do Styropianolandii, małej ekspozycji najnowszych projektów. Znajdowały się tu modele maleńkich stacji CD-ROMów i miniaturowych telefonów komórkowych. Zadaniem zespołu Lewyna było sporządzanie projektów przyszłych wyrobów

i wiele z nich wydawało się absurdalnie zminiaturyzowanych:
telefon komórkowy niewiele większy od ołówka i kolejny, który
przypominał postmodernistyczną wersję radia noszonego przez

86

Dicka Tracy'ego na przegubie ręki, pager o rozmiarach zapalniczki
i mieszczący się w dłoni mikroodtworacz płyt kompaktowych
z odchylanym ekranem.

Sanders od dawna przywykł już do myśli, że wzory przynajmniej
o dwa lata wybiegały w przyszłość. Oprzyrządowanie miniaturyzo-
wało się błyskawicznie i Sanders z trudem przypominał sobie, że
kiedy zaczynał pracować w DigiComie, "przenośny" komputer był
ważącym trzydzieści funtów pudłem o wymiarach walizki, a telefon
komórkowy wcale nie istniał. Gdy DigiCom zaczął je produkować,
były piętnastofuntowymi cudami, które nosiło się na pasku prze-
wieszonym przez ramię. Wtedy ludzie uważali je za coś nadzwyczaj-
nego, a teraz klienci skarżyli się, jeżeli waga telefonu przekraczała
kilka uncji.

Sanders przeszedł obok składającej się z powyginanych rur
i noży maszyny do cięcia styropianu i zobaczył Marka Lewyna oraz
jego zespół pochylonych nad granatowymi stacjami CD-ROMów
przysłanymi z Malezji. Jedna z nich leżała już na stole pod
jaskrawymi halogenowymi lampami rozłożona na części, a technicy
grzebali w jej wnętrzu małymi śrubokrętami, od czasu do czasu
zerkając na ekrany oscyloskopów.

— Co znaleźliście? - zapytał.

— O, do diabła - zawołał Lewyn, podnosząc do góry ręce

z aktorską przesadą. - Nic dobrego, Tom. Nic dobrego.

- No to mi powiedz.

Lewyn wskazał na stół.

— W zawiasie znajduje się metalowy trzpień. Te zaciski utrzymują kontakt z trzpieniem w chwili, gdy obudowa zostaje otwarta.

W ten właśnie sposób utrzymuje się zasilanie ekranu.

— Tak...

— Ale zasilanie nie jest stabilne. Wygląda na to, że trzpień są za krótkie. Powinny mieć pięćdziesiąt cztery milimetry. Te zaś mają pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy.

Lewyn był ponury i nie dało się tego ukryć. Trzpień były o milimetr za krótkie i świat się kończył. Sanders zorientował się, że musi uspokoić Lewyna. Robił to już wielokrotnie.

- Trzeba więc je poprawić, Mark - powiedział. - Oznacza to konieczność otwarcia wszystkich obudów i wymianę trzpieni, ale będziemy w stanie tego dokonać.

87

—

Oczywiście - odparł Lewyn. - W dalszym ciągu jednak pozostaje sprawa zacisków. Zgodnie z naszymi normami technicznymi, powinny być wykonane z nierdzewnej stali o parametrach 16/10, która posiada niezbędne napięcie, odpowiednią sprężystość, dzięki czemu zachowuje kontakt z trzpieniem. Natomiast te zaciski wykonano z czegoś innego, być może 16/4. Są zbyt sztywne. Kiedy

więc otwierasz obudowę, zaciski się wyginają, ale nie sprężynują z powrotem.

— A więc będziemy musieli wymienić i zaciski. Możemy zrobić to, wymieniając trzpienie.

— Niestety, sprawa nie jest taka prosta. Zaciski są termicznie wprasowane w obudowy.

— O, do diabła.

— Właśnie. Są nierozdzielne z obudowami.

— Chcesz przez to powiedzieć, że będziemy musieli wyprodukować nowe obudowy tylko dlatego, że mamy wadliwe zaciski?

- Dokładnie.

Sanders pokręcił głową.

— Wykonaliśmy ich jak dotąd parę tysięcy. Mniej więcej cztery tysiące.

— No cóż, będziemy musieli zrobić je na nowo.

— A co z samą stacją?

— Jest wolna - odparł Lewyn. - Nie ma co do tego wątpliwości. Ale nie bardzo wiem, dlaczego. Może są problemy z zasilaniem. Albo z kością sterownika.

— Jeżeli to kość sterownika...

— Siedzimy po uszy w gównie. Jeśli okaże się, że jest to błąd w projekcie, będziemy musieli wrócić do desek kreślarskich. Jeśli zaś to wyłącznie usterka produkcyjna, należy zmienić linie, a być może nawet ponownie wykonać matryce. Ale tak czy owak wszystko to potrwa miesiące.

— Kiedy będziemy wiedzieli?

— prześlę stację i zasilanie do chłopaków z diagnostyki - oznajmił Lewyn. - Koło piątej powinni mieć już jakieś informacje.

Dostarczę ci je. Czy Meredith już o tym wie?

— Mam z nią odprawę o szóstej.

— Dobra. Zadzwoń do mnie po tej rozmowie?

— Oczywiście.

88

- Mimo wszystko, ta sytuacja jest nie najgorsza - stwierdził

Lewyn.

— Dlaczego?

— Podrzucamy jej od razu poważny problem - odparł Le-

wyn. - Zobaczymy, jak sobie z nim poradzi.

Sanders skierował się do wyjścia i Lewyn odprowadził go.

— A przy okazji - zapytał. - Czy jesteś wkurzony, że nie dostałeś tego stanowiska?

— Rozczarowany - odparł Sanders. - Ale nie wkurzony. To nie miałyby sensu.

- Bo moim zdaniem Garvin cię wyrolował. Poświęcałeś swój czas, udowodniłeś, że sprawdzasz się jako szef, a on mianował kogoś innego.

— To jego firma - wzruszył ramionami Sanders.

Lewyn objął Sandersa ramieniem i uścisnął go mocno.

— Wiesz co, Tom, czasami jesteś zbyt rozsądny.

— Nie wiedziałem, że to wada - odparł Sanders.

— Nadmiar rozsądku może być wadą. Skończysz w charakterze popychadła.

- Po prostu staram się koegzystować z innymi - wyjaśnił

Sanders. - Chcę być na miejscu, kiedy OWPP znajdzie się na giełdzie.

- Tak, masz rację. Musisz tu zostać. - Gdy podeszli do

windy, Lewyn zapytał: - Czy sądzisz, że dostała stanowisko, bo jest kobietą?

Sanders pokręcił głową.

— Kto wie.

— A więc chłopcy znowu dostali po łbie. Wiesz co, czasami te ciągle naciski, żeby awansować kobiety, sprawiają, że chce mi się rzygać - stwierdził Lewyn. - Popatrz choćby na grupę projektową.

Zatrudniamy czterdzieści procent kobiet, więcej niż inne działy, ale ciągle słyszę, dlaczego nie zatrudniamy ich więcej. Więcej kobiet, więcej...

— Mark - przerwał mu Sanders. - Mamy już inny świat.

— I wcale nie lepszy - oznajmił Lewyn. - Krzywdzi wszyst-

kich. Posłuchaj, kiedy zaczynałem pracę w DigiComie, było tylko jedno pytanie. Czy jesteś dobry? Jeżeli byłeś, dostawałeś robotę.

Jeżeli się rozwijałeś, zostawałeś. Nic więcej. A dzisiaj zdolności

89

stanowią tylko jeden element. Teraz musisz mieć odpowiednią płęć albo kolor skóry, żeby pasować do profilu firmy. A jeżeli okaże się, że jesteś niekompetentny, nie można cię zwolnić. Wkrótce zaczniemy

robić taki złom jak ta stacja Twinkle, ponieważ nikt już nie ponosi odpowiedzialności. Nie możesz produkować opierając się na teorii, bo wytwarzany produkt jest realny. I jeżeli jest lipny, to jest lipny. I nikt nie zechce go kupić.

Wracając do swojego gabinetu, Sanders za pomocą elektronicznej karty identyfikacyjnej otworzył drzwi na czwarte piętro. Potem wsunął ją do kieszeni spodni i ruszył po korytarzu. Szedł szybkim krokiem, myśląc o rozmowie z Lewynem. Martwiło go szczególnie jedno zdanie, które usłyszał od Marka. Sugestie o manipulacjach Garvina oraz to, że jest zbyt bierny, zbyt wyrozumiały.

Sam nie odbierał tego w ten sposób. Gdy powiedział, że jest to firma Garvina, rzeczywiście tak sądził. Bob był szefem i mógł robić, na co miał ochotę. Sanders był rozczarowany faktem, że nie otrzymał tego stanowiska, ale nikt mu go nie obiecywał. Podobnie jak wszyscy w przedsiębiorstwie od kilku tygodni zakładał, że będzie awansowany. Ale Garvin nigdy o tym nie wspominał. Ani Phil Blackburn.

Uważał więc, że nie ma powodu do żywienia urazy. Jeżeli był rozczarowany, to jego wina. Klasyczny przypadek łapania ryb przed siecią.

A że jest zbyt bierny? Czego właściwie Lewyn się po nim spodziewał? Że zrobi awanturę? Będzie wrzeszczał i narzekał? I co by to dało? I tak Meredith Johnson otrzymałaby to stanowisko, bez względu na fakt, czy się to Sandersowi podobało, czy nie. Zrezygnować? Z całą pewnością nic na tym nie skorzysta. Jeżeli bowiem

tak postąpi, utraci wszystkie zyski, których się spodziewał z chwilą, gdy firma znajdzie się na giełdzie. A wtedy byłaby to prawdziwa katastrofa.

91

Mógł więc jedynie pogodzić się z faktami. Podejrzewał zresztą, że gdyby sytuacja była odwrotna, Lewyn, przy całym swoim świętym oburzeniu, zrobiłby tak samo - zniósłby wszystko z uśmiechem.

O wiele większym problemem była natomiast sprawa stacji Twinkle. Zespół Lewyna rozebrał tego popołudnia trzy stacje i w dalszym ciągu nie wiadomo było, dlaczego działają wadliwie.

Znaleźli pewne, niezgodne z założeniami technicznymi, elementy w zawiasach i Sanders mógł prześledzić, skąd się tam znalazły.

Wkrótce będzie wiadomo, dlaczego posłużono się nieodpowiednimi surowcami. Ale najważniejszy problem - powolność stacji - pozostawał tajemnicą, do której rozwiązania nie mieli najmniejszej poszlaki. Co oznaczało, że będzie musiał...

— Tom? Upuściłeś swoją kartę?

— Co? - Rozejrzył się nieprzytomnie. Jeden z pracowników, marszcząc brwi, wskazywał mu coś w głębi korytarza.

— Upuściłeś swoją kartę.

— Och. - Zobaczył biały prostokąt leżący na szarym dywanie. - Dziękuję.

Cofnął się, aby ją podnieść. Najwyraźniej był bardziej zdenerwowany, niż sobie uświadamiał. W budynkach DigiComu nie

można się było poruszać bez karty identyfikacyjnej. Sanders pochylił się, podniósł ją i wsunął do kieszeni.

W tej samej chwili stwierdził, że jego karta przez cały czas była w kieszeni. Wyjął obie karty i przyjrzał się im uważnie.

Podniesiona z podłogi karta nie należała do niego. Stał przez chwilę, zastanawiając się, kto mógł być jej właścicielem. Karty identyfikacyjne nie miały znaków szczególnych - znajdował się na nich niebieski znak firmowy DigiComu, numer serii i na odwrocie pasek magnetyczny.

Powinien przypomnieć sobie numer własnej karty, ale nie był w stanie. Poszedł więc w stronę swojego gabinetu, aby sprawdzić w komputerze. Zerknął na zegarek. Była czwarta, dwie godziny dzieliły go od spotkania z Meredith Johnson. Musiał jeszcze sporo popracować, żeby przygotować się do niego. Szedł po korytarzu, wpatrując się w dywan. Będzie musiał wydostać raporty produkcyjne, a także, być może, normy techniczne elementów, określone w projekcie. Nie był pewien, czy Meredith zdoła zrozumieć założenia

92

projektowe, ale musi je mieć ze sobą. I co jeszcze? Nie chciał iść na swoją pierwszą odprawę zapomniawszy o czymś.

I znowu w jego myśli wtargnęły obrazy z przeszłości. Otwarta walizka. Miseczka z prażoną kukurydzą. Witrażowa szyba.

- A więc to tak? - usłyszał znajomy głos. - Już się nie witamy ze starymi przyjaciółmi?

Sanders poniósł głowę. Znajdował się przed przeszkloną ścianą

sali konferencyjnej. W jej wnętrzu dostrzegł, odwróconą do niego plecami, przygarbioną postać człowieka w fotelu inwalidzkim zapatrzonego w panoramę Seattle.

- Witaj, Maks - odparł.

Maks Dorfman dalej patrzył przez okno.

— Witaj, Tom.

— Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Pewnie magia - parsknął Dorfman. - Co o tym myślisz?

Magia? - Ton jego głosu był sarkastyczny. - Tom, przecież cię widzę.

— W jaki sposób? Masz oczy z tyłu głowy?

— Nie, Tom. Mam odbicie przed sobą. Widzę cię w szybie idącego z opuszczoną głową, zupełnie jak jakiś przegrany dupek. -

Dorfman parsknął ponownie i obrócił się wraz z fotelem. Jego spojrzenie było jasne, uważne, kpiarskie. - Byłeś takim obiecującym człowiekiem. A teraz zwieszasz głowę?

Sanders nie miał nastroju do przekomarzania się.

— Powiedzmy, że nie miałem najlepszego dnia, Maks.

— I chcesz, żeby wszyscy o tym wiedzieli? Żeby ci współczuli?

— Nie, Maks. - Pamiętał, jak Dorfman wyśmiewał samą ideę współczucia. Powtarzał, że członek kierownictwa, który chce, aby mu okazywano współczucie, minął się z powołaniem. Jest raczej gąbką, wchłaniającą coś bezużytecznego.

— Nie, Maks. Myślałem.

— Aha. Myślałeś. Lubię myślenie. Myślenie jest dobre. A o czym

myślałeś, Tom? O witrażyku w swoim mieszkaniu?

Sanders był zaskoczony:

— Skąd o tym wiesz?

— Może to magia - powtórzył Dorfman z ochrypłym śmiechem. - A może potrafię czytać w myślach? Jak sądzisz, czy potrafię czytać w myślach, Tom? Jesteś dość głupi, żeby w to uwierzyć?

93

—

Maks, nie jestem w nastroju.

— No cóż, w takim razie muszę przestać. Jeżeli nie jesteś w nastroju, muszę przestać. Lepiej popatrz sobie jeszcze w podłogę.

Może coś na tym zyskasz. Tak. Tak sędzę. Patrz dalej w podłogę,

Tom.

— Maks, na litość boską.

Dorfman uśmiechnął się do niego.

— Czy cię irytuję?

— Zawsze mnie irytujesz.

- Ach. No cóż. Może więc jest jeszcze jakaś nadzieja. Nie dla ciebie, oczywiście, ale dla mnie. Jestem stary, Tom. W moim wieku słowo nadzieja ma inne znaczenie. Nie zrozumiałbyś tego. W tej chwili nawet nie mogę się sam poruszać. Muszę mieć kogoś, żeby mnie popychał. Najlepiej ładną kobietę, ale najczęściej nie lubią tego robić. A więc siedzę tu, bez ładnej kobiety. W przeciwieństwie do ciebie.

Sanders westchnął.

— Słuchaj Maks, a może moglibyśmy porozmawiać zwyczajnie?

— Cóż za wspaniały pomysł - odparł Dorfman. - Bardzo chętnie. A czym jest zwyczajna rozmowa?

— Chodzi mi o to, czy moglibyśmy porozmawiać jak normalni ludzie?

— Jeżeli się tym nie znudzisz, owszem. Ale martwię się. Wiesz, jak starym ludziom zależy, aby nie okazać się nudziarzami.

— Maks. Co miałeś na myśli, mówiąc o witrażu?

Dorfman wzruszył ramionami.

— Meredith, oczywiście. A cóż by innego?

— Co z Meredith?

- A skąd mam wiedzieć? - odparł z irytacją w głosie

Dorfman. - Wiem o tym tylko tyle, ile mi powiedziałaś. A powiedziałaś mi, że wyjeżdżałaś, do Korei albo Japonii, a kiedy wracałaś, Meredith...

- Tom, przepraszam, że przeszkadzam - oznajmiła Cindy, stając w drzwiach do sali konferencyjnej.

— Och, proszę nie przepraszać - powiedział Maks. - Kim jest to piękne stworzenie, Tom?

— Jestem Cindy Wolfe, profesorce Dorfman - odparła. - Pracuję dla Toma.

94

- Och, co za szczęściarz z niego!

Cindy zwróciła się do Sandersa.

— Naprawdę bardzo cię przepraszam, Tom, ale jeden z przed-

stawicielei Conley-White jest w twoim gabinecie i pomyślałam, że chciałbyś...

— Tak, tak - wtrącił się natychmiast Dorfman. - Musisz iść.

Conley-White, to brzmi jak coś bardzo ważnego.

— Chwileczkę - oznajmił Sanders. Odwrócił się do Cindy. -

Maks i ja właśnie o czymś rozmawialiśmy.

— Nie, nie, Tom - zaprotestował Dorfman. - Wspominaliśmy tylko dawne czasy. Lepiej idź.

— Maks...

— Gdybyś chciał podyskutować o czymś dla siebie ważnym, odwiedź mnie. Mieszkam w "Czterech Porach Roku". Znasz ten hotel. Ma cudowny hol, z takimi wysokimi sufitami. Bardzo wspaniałe, szczególnie dla starego człowieka. A więc lepiej już idź, Tom. - Przymrużył oczy. - I zostaw mnie z piękną Cindy.

Sanders zawahał się.

— Uważaj na niego - uprzedził. - Jest wyjątkowo paskudnym staruszkiem.

— Tak paskudnym jak to tylko możliwe - zachichotał Dorfman.

Sanders ruszył korytarzem w stronę swojego gabinetu. Gdy wychodził z sali konferencyjnej usłyszał, jak Dorfman mówi:

- A teraz, piękna Cindy, zawieź mnie z łaski swojej do holu, przed którym czeka na mnie samochód. A po drodze, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, aby sprawić staremu człowiekowi przyjemność, chciałbym ci zadać kilka pytań. Tyle ciekawych rzeczy dzieje

się w waszej firmie. A sekretarki zawsze o wszystkim wiedzą,
prawda?

Panie Sanders. - Jim Dale wstał szybko na widok wchodzą-
cego do pokoju Sandersa. - Cieszę się, że pana odnaleziono.

Podali sobie ręce. Sanders gestem ręki poprosił Daly'ego, aby
usiadł, i sam wsunął się za biurko. Nie był zaskoczony. Od kilku
dni spodziewał się wizyty albo Daly'ego, albo innego z inwestujących
bankierów. Członkowie zespołu Goldmana i Sachsa rozmawiali
indywidualnie z pracownikami poszczególnych działów, interesując
się różnymi aspektami fuzji. Sanders spodziewał się, że Daly będzie
go pytał o stopień zaawansowania prac nad stacją Twinkle i być
może nad Korytarzem.

- Jestem wdzięczny, że poświęca mi pan swój czas - oznajmił

Daly, pocierając łysinę. Był bardzo wysokim, szczupłym mężczyzną
o sterczących łokciach i kolanach. Gdy siedział, wydawał się jeszcze
wyższy. - Chciałem zadać panu kilka pytań... eee... poza protokołem.

— Bardzo proszę - odparł Sanders.

— Dotyczą one Meredith Johnson - rzekł Daly przeproszają-

cym tonem. - Jeżeli, hmm, nie ma pan nic przeciwko temu,
wolałbym, aby ta rozmowa pozostała między nami.

- W porządku.

- O ile wiem, był pan ściśle związany z organizacją zakładów
w Irlandii i Malezji. Wiem też, że w firmie powstał pewien spór na
temat metod, którymi się posłużono.

- No, cóż - Sanders wzruszył ramionami. - Phil Blackburn

i ja mamy różne poglądy na pewne sprawy.

96

—
Co moim zdaniem świadczy o pańskim rozsądku - oświadczył sucho Daly. - Domyślam się jednak, że w czasie tych dyskusji kieruje się pan wiedzą techniczną, podczas gdy inni przedstawiciele firmy zajmują się, hmm, rozmaitymi innymi zagadnieniami. Czy słusznie oceniam sytuację?

— Owszem. Tak bym to ujął. - Do czego Daly zmierza?

— Chciałbym się zapoznać z pańskimi przemyśleniami dotyczącymi tych kwestii. Bob Garvin mianował właśnie panią Johnson na stanowisko, z którym wiąże się pokaźny zakres władzy i był to krok, który wielu przedstawicieli Conley-White powitało z radością. Na pewno byłoby niesprawiedliwie zakładać z góry, iż nie poradzi sobie z nowymi obowiązkami. Ale jednocześnie, gdybym nie próbował się dowiedzieć, jak wywiązywała się z dotychczasowych obowiązków, stanowiłoby to poważne zaniedbanie z mojej strony. Czy pojmuje pan, do czego zmierzam?

— Niezupełnie - rzekł Sanders.

— Jestem ciekaw - rzekł Daly - co pan sądzi o poprzedniej działalności pani Johnson w związku z technicznymi przedsięwzięciami firmy. A konkretnie o jej związkach z zagranicznymi operacjami DigiComu?

Sanders zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Nic mi nie wiadomo o jakichś jej szczególnych powiąza-

niach - wyjaśnił. - Dwa lata temu mieliśmy konflikt z pracownikami w Cork. Pani Johnson wchodziła w skład zespołu, który przybył tam, aby uzgodnić warunki ugody. Prowadziła rozmowy w Waszyngtonie w sprawie taryf na płaskie monitory ekranowe. Wiem również, że kierowała Grupą Operacyjno-Rewizyjną w Cupertino, której zadaniem było akceptowanie planów nowych zakładów w Kuala Lumpur.

— Właśnie.

— Ale nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek innych powiązaniach.

— Hm. Może uzyskałem złe informacje - oznajmił Daly, poprawiając się w fotelu.

— A o czym pan słyszał?

— Nie wdając się w szczegóły, można by powiedzieć, że zakwestionowano jej kwalifikacje.

— Rozumiem - mruknął Sanders. Kto mógł powiedzieć coś

97

Daly'emu na temat Meredith? Z całą pewnością nie Garvin ani nie Blackburn. Kaplan? Nie mógł mieć żadnej pewności. Ale Daly rozmawiał tylko z pracownikami najwyższego szczebla.

- Zastanawiałem się - powiedział Daly - czy ma pan jakąś opinię na temat jej technicznych kwalifikacji? Oczywiście, jest to całkowicie prywatna rozmowa.

W tej samej chwili komputer Sandersa pisnął trzykrotnie i na ekranie pojawiła się informacja:

JEDNA MINUTA DO BEZPOŚREDNIEGO POŁĄCZENIA WI-

DEO: DC/M-DC/S

OD: A. KAHN

DO: T. SANDERS

— Czy coś się stało? - zapytał Daly.

— Nie - odparł Sanders. - Mam zapowiedź połączenia z Malezją.

— W takim razie będę się streszczał, żeby mógł się pan zająć swoimi sprawami - oznajmił Daly. - Przedstawię panu tę kwestię wprost. Czy w pańskim dziale wyrażane są wątpliwości co do przydatności Meredith Johnson na stanowisku, które objęła?

Sanders wzruszył ramionami.

— Jest nowym szefem. Wie pan, jak wyglądają sprawy w firmach. Nominacje zwykle wywołują jakieś wątpliwości.

— Wyraża się pan bardzo dyplomatycznie. Chciałem zapytać, czy podaje się w wątpliwość jej doświadczenie? W końcu jest stosunkowo młoda. Zmiana miejsca, otoczenia... Nowe twarze, nowy personel, nowe problemy. A tutaj nie będzie się już znajdowała bezpośrednio pod hmm... skrzydłami Boba Garvina.

— Nie wiem, jak mam panu odpowiedzieć - rzekł Sanders. - Musimy poczekać i przekonać się.

— O ile wiem, w przeszłości były już pewne kłopoty, gdy działem kierował człowiek bez przygotowania technicznego... ktoś, kogo nazywano Krzykacz Freeling?

— Tak. Nie sprawdził się.

— I podobne obawy istnieją również w związku z panią Johnson?

— Owszem, dotarło do mnie coś na ten temat - przytaknął

Sanders.

98

- A jej przedsięwzięcia finansowe? Jej plany ograniczenia kosztów? Oto sedno sprawy, nieprawdaż?

"Jakie plany ograniczenia kosztów?" - pomyślał Sanders.

Komputer zapiszczał znowu.

30 SEKUND DO BEZPOŚREDNIEGO POŁĄCZENIA WIDEO:

DC/M-DC/S

- Ta pańska maszyna znowu się włączyła - zauważył Daly, wydobywając się z fotela. - Dam panu spokój. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas, panie Sanders.

- Nie ma za co.

Podali sobie ręce. Daly odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Komputer Sandersa pisnął trzykrotnie, raz za razem:

15 SEKUND DO BEZPOŚREDNIEGO POŁĄCZENIA WIDEO:

DC/M-DC/S

Sanders usiadł przed monitorem i przestawił lampę na biurku tak, aby oświetlała twarz. Cyfry na ekranie komputera zmieniały się, odliczając wstecz. Sanders spojrzął na zegarek. Była piąta - w Malezji ósma. Artur najprawdopodobniej dzwoni z zakładów. W środku ekranu pojawił się mały prostokąt i zaczął rozszerzać się skokowo. Sanders zobaczył twarz Artura, a za nim jaskrawo oświetloną halę produkcyjną. Była nowiuteńka i stanowiła symbol

nowoczesności - panowała w niej cisza i czystość. Pracownicy w zwykłych ubraniach stali po obu stronach zielonego pasa transmisyjnego. Przy każdym stanowisku roboczym znajdowały się światła fluorescencyjne, rozbłyskujące w polu widzenia kamery. Kahn odkaslnął i potarł podbródek.

- Halo, Tom. Jak się masz? - Gdy mówił, jego obraz rozmazywał się nieco i głos nie był zsynchronizowany z ruchem ust. Transmisja satelitarna powodowała lekkie opóźnienie obrazu, aczkolwiek głos przekazywany był natychmiast. Ten brak synchronizacji przez pierwsze kilka sekund był bardzo denerwujący i nadawał całemu połączeniu jakiś nierealny charakter. Przypominało to rozmowę z kimś, znajdującym się pod powierzchnią wody. Ale potem można się było do tego przyzwyczaić.

99

—
Doskonale, Arturze - odpowiedział.

— No cóż, to dobrze. Bardzo mi przykro z powodu nowej struktury. Wiesz, co czuję.

— Dziękuję, Arturze. - Sanders zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób Kahn w Malezji już się o wszystkim dowiedział. Ale w każdej firmie plotki szybko się rozchodzą.

— Tak. Rzeczywiście. W każdym razie, Tom, jestem na miejscu, w hali - oznajmił Kahn, wskazując dłonią pomieszczenie za swoimi plecami. - I jak widzisz, w dalszym ciągu produkcja idzie bardzo wolno. A wyniki wrywkowych kontroli nie uległy poprawie.

Co mówią projektanci? Czy dostali już stacje?

— Przyszły dzisiaj. Nie mam jeszcze żadnych wiadomości.

Wciąż nad nimi pracują.

— Aha. Dobra. A czy stacje poszły do Diagnostyki? - zapytał

Kahn.

— Chyba tak.

— Tak. Dobrze. Pytam, ponieważ otrzymaliśmy z Diagnostyki zlecenie na dalszych dziesięć stacji. Mamy je przesłać w zespawanych, plastikowych workach. I wyraźnie podkreślili, że chcą, aby je zaspawano w zakładzie. Dokładnie w chwili, gdy zejda z linii. Wiesz coś o tym?

— Nie. Pierwsze słyszę. Dowiem się i dam ci znać.

— Świetnie, bo muszę ci się przyznać, że cała sprawa robi na mnie dziwne wrażenie. Rzecz w tym, że dziesięć sztuk to dużo. Urząd celny zacznie się wypytywać, jeżeli wyślemy je w jednej partii. A poza tym i tak przesyłki owijamy w plastik. Ale nie zespawane. Dlaczego chcą, żeby je tak zabezpieczyć, Tom? - W głosie Kahna brzmiał niepokój.

— Nie wiem - odparł Sanders. - Ale się dowiem. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to dokładna, wszechstronna kontrola.

Ludzie naprawdę chcą wiedzieć, dlaczego, do cholery, te stacje nie działają jak należy.

— Hej, my też - odparł Kahn. - Możesz mi wierzyć. Cała ta sprawa doprowadza nas do szału.

— Kiedy dostaniemy te stacje?

— No cóż, najpierw muszę zdobyć zgrzewarkę. Mam nadzieję, że wyślę je we środę i wtedy dostaniesz przesyłkę w czwartek.

— To do niczego - stwierdził Sanders. - Powinieneś wysłać

100

je dziś, najpóźniej jutro. Chcesz, żebym ci załatwił zgrzewarkę?

Pewnie uda mi się wydostać ją od Apple'a. - Apple miało zakłady w Kuala Lumpur.

— Nie. Masz dobry pomysł. Zadzwonię do nich i zapytam, czy

Ron mógłby mi ją pożyczyć.

— Doskonale. Co z Jafarem?

— Cholerna sprawa - odparł Kahn. - Właśnie rozmawiałem ze szpitalem i powiedzieli mi, że ma skurcze i wymioty. Nie może nic jeść. Miejscowi lekarze mówią, że nie może to być nic innego poza kłutwą.

— Wierzą w kłutwy?

— Jasne - odparł Kahn. - Tu obowiązuje nawet prawo zakazujące uprawiania czarów. Możesz kogoś postawić za to przed sądem.

— A więc nie wiesz, kiedy wróci?

— Nikt nie może tego określić. Jest najwyraźniej bardzo chory.

— Dobra, Arturze. Coś jeszcze?

— Nie. Zdobędę zgrzewarkę. I daj mi znać, co ustalą.

— Oczywiście - obiecał Sanders i połączenie dobiegło końca.

Kahn pomachał mu na pożegnanie ręką i ekran zgasł.

Sanders zaznaczył DAT i rozmowa została zapisana na cyfrowej taśmie dźwiękowej. Wstał zza biurka. Bez względu na to, co się dzieje, powinien zgromadzić wszystkie niezbędne informacje przed spotkaniem o szóstej z Johnson. Wyszedł do sekretariatu.

Cindy siedziała odwrócona i śmiała się do słuchawki telefonu.

Obejrzała się, zobaczyła Sandersa i przestała się śmiać.

— Posłuchaj, muszę kończyć.

— Czy mogłabyś wydostać raporty produkcyjne Twinkle z dwóch ostatnich miesięcy? Albo jeszcze lepiej, wydobądź wszystkie - od uruchomienia linii.

— Dobrze.

— I zawołaj do mnie Dona Cherry'ego. Muszę się dowiedzieć, co jego grupa diagnostyczna wyprawia ze stacjami.

Wrócił do gabinetu. Zauważył migający kursor poczty elektro-

101

nicznej i wcisnął klawisz, aby zapoznać się z jej zawartością.

Czekając na pojawienie się tekstu na ekranie, przeczytał trzy fakсы leżące na jego biurku. Dwa były z Irlandii - rutynowe, tygodniowe raporty produkcyjne. Trzeci to zamówienie na reperację dachu w zakładach w Austin. Naprawa została zatrzymana przez dział Operacji w Cupertino i Eddie przekazał sprawę Sandersowi, aby spróbował ją załatwić.

Ekran zamigotał. Sanders zaczął czytać pierwszy przekaz poczty elektronicznej.

JAK PIORUN Z JASNEGO NIEBA SPADŁ NAM NA GŁOWĘ

DO AUSTIN LICZYKRUPA Z OPERACJI. RYJE WE WSZYSTKICH
KSIĘGACH I DOPROWADZA LUDZI DO SZAŁU. KRAŻĄ SŁUCHY,
ŻE JUTRO BĘDZIE ICH TU WIĘCEJ. CO SIĘ DZIEJE? SZALEJĄ
PLOTKI I WSZYSTKO TO CHOLERNIE OPÓŹNIA PRODUKCJĘ.
WYJAŚNIJ, CO MAM MÓWIĆ. CZY TA FIRMA JEST NA SPRZE-
DAŻ, CZY NIE?

EDDIE

Sanders nie wahał się ani chwili. Nie mógł powiedzieć Eddiemu,
co się dzieje. Szybko wypisał odpowiedź.

LICZYKRUPA BYŁ W UBIEGLYM TYGODNIU RÓWNIEŻ W IR-
LANDII. GARVIN ZLECIŁ KONTROLĘ W CAŁEJ FIRMIE I TERAZ
SPRAWDZAJĄ WSZĘDZIE. POWIEDZ LUDZIOM, ŻEBY ZAPO-
MNIELI O TYM I BRALI SIĘ DO ROBOTY.

TOM

Wcisnął klawisz SEND. Wiadomość zniknęła.

- Wołałeś mnie?

Do pokoju wszedł bez pukania Don Cherry i usiadł w fotelu.

Założył ręce za głowę.

— Jezu, co za dzień. Przez całe popołudnie bawiłem się w straż
pożarną.

— Opowiedz.

— Miałem u siebie paru jełopów z Conleya, którzy pytali
moich chłopaków, jaka jest różnica między RAMem i ROMem.

Tak, jakbyśmy mieli na to czas. A zaraz potem jeden z nich słyszy
"pamięć błyskowa", więc pyta: "Jak często błyska?" - zupełnie,

jakby to była latarka albo coś w tym rodzaju. I moi chłopcy muszą wszystko znosić. A przecież za ich talent bardzo dużo płacimy. Nie powinni prowadzić kursów uzupełniających dla prawników. Czy nie mógłbyś tego powstrzymać?

— Nikt nie jest w stanie tego załatwić - odparł Sanders.

— Może Meredith mogłaby coś zrobić - odparł Cherry z uśmiechem.

Sanders wzruszył ramionami.

— Jest szefem.

— Tak. A więc, o co ci chodzi?

— Twoja grupa diagnostyczna pracuje nad stacjami Twinkle.

— Owszem. A właściwie pracuje nad kawałkami, które zostały po tym, jak zręczne paluszki artystów Lewyna rozebrały stacje na czynniki pierwsze. Dlaczego przesłano je najpierw do projektantów? Nigdy, ale to nigdy, nie powinno się ich dopuszczać do prawdziwego sprzętu elektronicznego, Tom. Projektantom powinno się pozwalać jedynie sporządzać rysunki na papierze. I dawać im za każdym razem tylko po jednym arkuszu.

— Czego się dowiedziałeś? - zapytał Sanders. - Chodzi mi o stacje.

— Jeszcze niczego - odparł Cherry. - Ale mamy kilka pomysłów, którymi się zajmujemy.

— Dlatego właśnie poleciłeś Arturowi Kahnowi, żeby ci przysłał dziesięć stacji w zespawanym foliowym worku?

— Jasne.

— Kahn zastanawia się, o co tu chodzi.

— I co z tego? - odparł Cherry. - Niech się zastanawia.

Wyjdzie mu to na dobre. Nie będzie miał czasu, aby się brzydko bawić sam ze sobą.

— Ale ja też chciałbym wiedzieć.

— Więc posłuchaj - rzekł Cherry. - Może nasze koncepcje są nic nie warte. Obecnie mamy tylko jedną podejrzaną kość. Tylko tyle pozostawiły nam te błazny Lewyna. Nie ma materiału, na którym można by pracować.

— Kość jest wadliwa?

— Nie, jest w porządku.

— Co więc jest w niej podejrzanego?

— Posłuchaj - powiedział Cherry. - Mamy już dosyć krązą-

103

cych plotek. Mogę poinformować, że pracujemy nad tym i jeszcze nic nie wiemy. To wszystko. Dostaniemy jutro albo we środę zapieczętowane stacje i w ciągu godziny zorientujemy się. W porządku?

— Jak sądzisz, czy to duży kłopot, czy mały? Muszę cokolwiek wiedzieć na ten temat - oznajmił Sanders. - Ta sprawa na pewno wypłynie na jutrzejszych zebraniach.

— W chwili obecnej odpowiedź brzmi "nie wiemy". Błąd może być wszędzie. Pracujemy nad tym.

— Artur podejrzewa, że może to być coś poważnego.

— I być może ma rację. Ale rozwiążemy ten problem. Tyle

mogę ci obiecać.

— Don...

— Wiem, że chcesz już mieć odpowiedź - stwierdził Cherry. -

Ale czy możesz zrozumieć, że jej nie mam?

Sanders popatrzył na niego.

— Mogłeś zadzwonić. Po co przychodziłeś osobiście?

— Ponieważ życzyłeś sobie - odparł Cherry. - Ponadto mam niewielki problem. Jest delikatny. Sprawa dotyczy molestowania seksualnego.

— Jeszcze jedna? Wygląda na to, że mamy wciąż ten sam problem.

— My i wszyscy inni - odparł Cherry. - Słyszałem, że

UniCom ma teraz czternaście pozwów na wokandzie. Digital Graphics jeszcze więcej. I nawet MicroSym. Okazuje się, że wszędzie są świnię. Ale chcę, żebyś wiedział o tej sprawie.

— Dobra - westchnął Sanders.

— Incydent zdarzył się w jednej z grup programujących - zdalnego dostępu do bazy danych. Grupa ma dosyć wysoką średnią wieku - od dwudziestu pięciu do dwudziestu dziewięciu lat.

Kierowniczka zespołu modemów faksów chciała się umówić z jednym z chłopaków na randkę. Uważała, że jest fajny. On ciągle jej odmawiał. Dzisiaj na parkingu znowu zaprosiła go na lunch, odpowiedział jej "nie". Wsiadła do swojego auta, staranowała jego samochód i odjechała. Nikt nie odniósł obrażeń i on nie chce

składać skargi. Ale martwi się, bo uważa, że sprawa wymknęła się spod kontroli. Przyszedł do mnie z prośbą o radę. Co powinienem zrobić?

104

Sanders zmarszczył brwi.

- Czy sądzisz, że to cała historia? Że po prostu wściekła się, ponieważ jej odmówił? A może zrobił coś, co ją do tego sprowokowało?

- Przysięgał, że nie. Jest zupełnie zwykłym facetem. Trochę nudnawy, nic nadzwyczajnego.

— A kobieta?

— Ma temperament, bez dwóch zdań. Czasami wścieka się na cały zespół. Muszę jej niekiedy przemawiać do rozsądku.

— Co mówi o tym wydarzeniu na parkingu?

— Nie wiem. Facet mnie prosił, żebym z nią o tym nie rozmawiał. Powiedział, że jest zażenowany i nie chce pogarszać sprawy.

Sanders wzruszył ramionami

- I co mam z tym zrobić? Ludzie są zakłopotani, ale nikt nie chce mówić... Nie wiem, Don. Skoro ta kobieta staranowała mu samochód, przypuszczam, że musiał jej coś zrobić. Może przespał się z nią raz i nie chciał więcej widywać? Tak mi się wydaje.

- Mnie również - przytaknął Cherry. - Ale, oczywiście, możemy się mylić.

— Jak bardzo został uszkodzony samochód?

— Nic poważnego. Rozbite tylne światła. A więc co, mam dać sobie spokój?

— Jeżeli nie wniesie skargi.

— Czy powinienem porozmawiać z nią nieformalnie?

— Nie robiłbym tego na twoim miejscu. Jeżeli oskarżysz ją o niewłaściwe zachowanie - nawet nieformalnie - możesz sobie napytać kłopotów. Nikt cię nie poprze. Ponieważ istnieje szansa, że twój facet zrobił coś, co ją sprowokowało.

- Nawet, jeżeli twierdzi, że tego nie zrobił.

Sanders westchnął.

- Posłuchaj, Don, zawsze mówią, że tego nie zrobili. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś oznajmił: "Wiesz co, zasłużyłem na to". Nic z tego.

— A więc nie interweniować?

— Umieść w aktach notatkę, że opowiedział ci tę historię.

Pamiętaj, aby określić ją jako nie potwierdzoną. A potem zapomnij o wszystkim.

105

Cherry kiwnął głową i odwrócił się w stronę drzwi. Stając w nich, popatrzył przez ramię.

— Powiedz mi, dlaczego jesteśmy obaj przekonani, że ten facet musiał coś zrobić?

— Po prostu tak sobie przyjęliśmy - odparł Sanders. - A teraz napraw mi te cholerne stacje.

O szóstej powiedział Cindy do widzenia i zabrał dokumenty związane z Twinkle do gabinetu Meredith na piątym piętrze.

Słońce było wciąż wysoko na niebie i jego promienie wdzierały się przez okna. Zupełnie, jakby było wczesne popołudnie, a nie wieczór.

Meredith otrzymała wielkie, położone w rogu budynku, pomieszczenie, które zajmował uprzednio Roń Goldman. Meredith miała również swoją sekretarkę. Sanders domyślił się, że przybyła razem z nią z Cupertino.

— Nazywam się Tom Sanders - powiedział. - Jestem umówiony z panią Johnson.

— Betsy Ross z Cupertino, panie Sanders - odpowiedziała.

Spojrzała na niego. - Powiem pani Johnson, że pan przyszedł.

— Tom - Meredith pomachała mu ręką zza swojego biurka.

W drugiej dłoni trzymała słuchawkę telefonu. - Wejdz i siadaj.

Z okna jej gabinetu rozpościerał się widok na śródmieście Seattle - Space Needle, wieże Arly, budynek SODO. Miasto w popołudniowym słońcu wyglądało wspaniale.

- Tylko skończę rozmowę. - Znowu zajęła się telefonem. -

Tak, Ed, jestem obecnie z Tomem i omówimy wszystko. Tak.

Przyniósł ze sobą dokumentację.

Sanders podniósł skoroszyt z danymi dotyczącymi stacji. Wskazała na otwartą teczkę leżącą na rogu biurka i gestem poleciła, by włożył dokumenty do środka.

- Tak, Ed - odezwała się znowu do telefonu. - Mam

wrażenie, że przy odpowiednim wysiłku wszystko pójdzie gładko

i na pewno nikt niczego tu nie zataja... Nie, nie... No cóż, jeżeli

zechcesz, możemy spotkać się z samego rana.

Sanders włożył skoroszyt z dokumentami do teczki.

- Tak jest, Ed, tak jest. Absolutnie - oznajmiła Meredith.

Podeszła bliżej Toma i przysiadła na krawędzi biurka. Jej spódnica

podwinęła się do pół uda. Nie miała pończoch. - Wszyscy są

zdania, że to ważne, Ed. Tak. - Pomachała nogą, kołysząc

zaczepionym o palec stopy pantoflem na wysokim obcasie. Uśmiech-

nęła się do Sandersa. Poczul się niezręcznie i cofnął nieco. - Obie-

cuję ci, Ed. Tak. Oczywiście.

Meredith odłożyła słuchawkę na widełki, odchylając się do tyłu

i obracając się tak, że napięty jedwab bluzki uwydatnił zarys jej

piersi.

— No, załatwione. - Odwróciła się znowu w stronę Toma

i westchnęła. - Ludzie od Conleya usłyszeli, że są kłopoty

z Twinkle. Tym razem szarpał mnie Ed Nichols. Prawdę mówiąc,

mam już trzeci telefon w sprawie Twinkle tego popołudnia. Można

by pomyśleć, że to jedyna rzecz w tej firmie. Jak ci się podoba mój

gabinet?

— Zupełnie niezły - przyznał. - Wspaniały widok.

— Tak, miasto jest piękne. - Oparła się na łokciu i skrzyżowała

łydki. Zorientowała się, że zauważył jej gołe nogi, i wyjaśniła: -

W lecie nie noszę pończoch. Lubię mieć gołe nogi. W czasie

gorących dni jest o wiele chłodniej.

— Aż do końca lata będzie mniej więcej taka pogoda jak dzisiaj - powiedział Sanders.

— Muszę ci coś wyznać. Nie cierpię takiej pogody - rzekła. -

Rozumiesz, po Kalifornii... - Znowu zmieniła pozycję i uśmiechnęła się. - Ale ty lubisz to miejsce, prawda? Wyglądasz na szczęśliwego.

— Tak. - Wzruszył ramionami. - Przyzwyczailem się do deszczu. - Wskazał na teczkę. - Chcesz omówić sprawę Twinkle?

— Oczywiście - powiedziała. Zsunęła się z biurka i podeszła bliżej. Popatrzyła mu prosto w oczy. - Ale mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że najpierw poproszę cię o pewną przysługę? Maleńką.

108

—
Ależ oczywiście.

Odsunęła się nieco.

— Nalej nam wina.

— Dobrze.

— Sprawdź, czy jest dobrze schłodzone. - Sanders podszedł do butelki stojącej na stoliku przy ścianie. - Pamiętam, że zawsze lubiłeś zimne - dodała.

— Rzeczywiście - przyznał, obracając butelkę w lodzie. Teraz nie przepadał za schłodzonym winem tak jak przedtem.

— Mieliśmy wówczas wspaniałą zabawę - powiedziała.

— Tak - przytaknął. - Owszem.

— Słowo daję. Czasami myślę, że wtedy, gdy oboje byliśmy młodzi i pełni energii, przeżywaliśmy najlepszy okres w naszym życiu.

Zawahał się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, jakiego tonu użyć. Nalał wina do kieliszków.

- Tak - oznajmiła. - Doskonale się bawiliśmy. Często wspominam te czasy.

"A ja nigdy" - pomyślał Sanders.

— A ty, Tom? - zapytała. - Również je wspominasz?

— Oczywiście. - Przeszedł przez pokój z kieliszkami, podał jej jeden, po czym stuknęli się nimi. - Oczywiście. My, żonaci faceci, zawsze przypominamy sobie dawne czasy. Wiesz, że jestem żonaty.

- Tak. - Meredith skinęła głową. - I to bardzo żonaty, jak słyszałam. Ile masz dzieci? Troje?

— Nie, tylko dwoje. - Uśmiechnął się. - Ale czasami mam wrażenie, że jest ich troje.

— Czy twoja żona jest prawnikiem?

— Tak. - Czuł się już o wiele pewniej. Rozmowa o żonie i dzieciach dawała mu większe poczucie bezpieczeństwa.

— Nie wiem, jak ktoś może się żenić albo wychodzić za mąż - odezwała się Meredith. - Sama próbowałam. - Podniosła dłoń. - Jeszcze cztery raty alimentów dla tego sukinsyna i będę wolna.

— Za kogo wyszłaś?

— Takiego jednego kierownika działu rozliczeń z CoStar.

Wydawał się fajny. Ale okazał typowym poszukiwaczem złota.

Splacam go od trzech lat. A poza tym był do niczego w łóżku. -

109

Machnęła ręką, jakby kończąc temat. Spojrzała na zegarek. - A teraz siadaj i opowiadaj mi, co złego się dzieje ze stacją Twinkle.

— Chcesz dokumentację? Włożyłem ci do teczki.

— Nie. - Poklepała dłonią kanapkę. - Sam powiedz mi

o wszystkim.

Usiadł koło niej.

— Dobrze wyglądasz, Tom. - Odchyliła się do tyłu, zrzuciła pantofle i pomachała gołymi palcami. - Boże, co za dzień.

— Dużo nacisków?

Wypiła łyk wina i dmuchnięciem odrzuciła pasmo włosów z twarzy.

— Trzeba na wszystko mieć oko. Cieszę się, że pracujemy razem, Tom. Czasami myślę, że jesteś jedynym przyjacielem, na którego mogę liczyć.

— Dziękuję. Będę próbował.

— A więc, do jakiego stopnia sytuacja wygląda źle?

— No cóż. Trudno powiedzieć.

— Po prostu spróbuj.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru i musi ją poinformować o wszystkim.

- Opracowaliśmy bardzo udane prototypy, ale stacjom scho-

dzącym z linii w KL daleko do stu milisekund.

Meredith westchnęła i pokręciła głową.

— Czy wiemy, dlaczego?

— Jeszcze nie. Mamy kilka koncepcji.

— Ta linia pracuje od niedawna, prawda?

- Od dwóch miesięcy.

Wzruszyła ramionami.

— W takim razie mamy problemy na nowej linii. Nie jest aż tak źle.

— Raczej nie najlepiej - zauważył. - Conley-White kupuje tę firmę ze względu na nowoczesną technikę, a szczególnie ze względu na stację CD-ROM. Natomiast w obecnej sytuacji nie mamy szans na realizację zamówień zgodnie z zapowiedziami.

— Chcesz ich o tym poinformować?

— Obawiam się, że w pewnym momencie sami się zorientują.

— Może tak, a może nie. - Odchyliła się na oparcie kana-

110

pki. - Musimy pamiętać, o co nam naprawdę chodzi. Tom, wszyscy już przeżywaliśmy takie momenty, w których piętrzyły się przed nami problemy produkcyjne, po czym znikwały nagle w ciągu jednej nocy. Może mamy do czynienia z czymś analogicznym?

A więc informujemy, że sprawdzamy linię Twinkle i ustaliliśmy już pewne choroby wieku niemowlęcego. Nic poważnego.

— Mam nadzieję. Ale nie jesteśmy pewni. Prawdę mówiąc,

mogą to być kłopoty z czipem sterownika, co wiązałoby się z koniecznością zmiany podwykonawcy w Singapurze. Albo coś zasadniczego. Na przykład, wada projektu.

— Być może - przyznała Meredith. - Ale jak sam stwierdziłeś, to tylko hipotezy. I nie widzę powodu, aby snuć aż tak ponure przypuszczenia. Szczególnie w tym właśnie momencie.

— Ale mówiąc uczciwie...

— Przecież to nie kwestia uczciwości - zaprotestowała. - Po prostu realistyczna ocena sytuacji. Omówmy wszystko punkt po punkcie. Powiedzieliśmy im, że mamy stację Twinkle.

— Tak.

— Zbudowaliśmy prototyp i przetestowaliśmy go bardzo dokładnie.

— Tak.

— I prototyp działa jak należy. Jest dwa razy szybszy od najnowocześniejszych stacji robionych w Japonii.

— Zgadza się.

— Poinformowaliśmy ich, że zajmujemy się produkcją stacji.

— Właśnie.

— No cóż, w takim razie - oznajmiła Meredith - możemy z czystym sumieniem stwierdzić, że nikt obecnie nie wie jeszcze nic konkretnego. Uważam, że działamy w dobrej wierze.

— No cóż, ale nie wiem, czy możemy...

— Tom - Meredith położyła mu dłoń na ramieniu. - Zawsze lubiłam twoją otwartość. Chciałabym, abyś wiedział, jak bardzo

doceniam twoje doświadczenie i zaangażowanie w rozwiązywanie problemów. I dlatego jestem przekonana, że sprawa Twinkle zostanie pomyślnie rozwiązana. Wiemy, że zasadniczo jest to dobry produkt, którego dane zgadzają się ze specyfikacją. Osobiście mam do niego pełne zaufanie, i do ciebie też, że zdołasz usunąć wszystkie usterki. Z pełnym przekonaniem tak właśnie zreferuję ten problem

111

na jutrzejszym zebraniu. - Przerwała i popatrzyła na niego z napięciem. - A ty?

Jej twarz z lekko rozchylonymi ustami była tuż przy jego twarzy.

— Co ja?

— Będziesz miał jakieś zahamowania, aby to potwierdzić?

Jej oczy były jasnoniebieskie, niemal szare. Zapomniał o tym, podobnie jak zapomniał, że ma tak długie rzęsy. Włosy Meredith łagodnie otaczały jej twarz. Wargi miała pełne. Rozmarzone spojrzenie.

— Nie - odpowiedział. - Nie sądzę.

— Doskonale. W takim razie załatwiliśmy przynajmniej tę sprawę. - Uśmiechnęła się i podniosła kieliszek. - Obsłużysz mnie znowu?

— Oczywiście.

Wstał z kanapki i podszedł do stolika z winem. Obserwowała go uważnie.

— Bardzo się cieszę, że dbasz o siebie, Tom. Pracujesz nad sobą.

— Dwa razy w tygodniu. A co z tobą?

— Zawsze miałeś fajny korzeń. Fajny, twardy korzeń.

Odwrócił się.

— Meredith!

Zachichotała.

— Przepraszam. Nie mogłam się opanować. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi. - Spojrzała na niego z niepokojem. - Nie obraziłam cię, prawda?

— Nie.

— Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś stać się pruderyjny, Tom.

— Nie, nie.

— Nie ty, Tom. - Meredith roześmiała się. - Pamiętasz tę noc, kiedy połamaliśmy łóżko?

Nalał wino.

— Nie powiedziałbym tego.

— Ależ oczywiście. Przechyliłeś mnie przez oparcie i...

— Pamiętam...

— Najpierw złamaliśmy oparcie i część łóżka rąbnęła o podłogę... Ale nie chciałeś przerwać, więc przesunęliśmy się do góry i kiedy trzymałam się zagłówka, runęła reszta...

112

- Przypominam sobie - powiedział, chcąc jej przerwać, przerwać te wspomnienia. - To były wspaniałe dni. Posłuchaj, Meredith...

- I co powiedziała ta kobieta z dołu? Pamiętasz ją? Tę starą

Litwinkę? Chciała wiedzieć, czy ktoś umarł albo coś takiego.

- Tak. Posłuchaj. Wróćmy do sprawy stacji...

Wzięła do ręki kieliszek.

— Rzeczywiście wprawiam cię w zakłopotanie. Co... Czyżbyś myślał, że mam ochotę cię uwieść?

— Ależ skąd. Nic w tym rodzaju.

— Dobrze, ponieważ naprawdę nie mam takiego zamiaru.

Słowo daję. - Popatrzyła na niego z rozbawieniem, a potem odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając długą szyję i wypła łyk wina. - Prawdę mówiąc, ja... Au! Au! - Skrzywiła się gwałtownie.

— Co się stało? - zapytał, pochylając się z niepokojem w jej stronę.

- Kark, dostałam skurczu, o tutaj...

Wciąż zaciskając z bólu oczy, wskazała na obojczyk, tuż obok szyi.

— Jak mógłbym ci...

— Po prostu rozetrzyj, ściśnij... O tutaj...

Odstawił kieliszek i roztarł jej ramię.

— Tutaj?

— Tak, ooo, mocniej... ściśnij...

Poczuł, jak mięśnie jej ramienia stają się mniej napięte. Westchnęła, pokręciła delikatnie głową tam i z powrotem, a potem otworzyła oczy.

- Ooo... O wiele lepiej... Nie przestawaj rozcierać.

Spełnił jej prośbę.

- O, dziękuję. Wspaniale. Mam kłopoty z nerwem. Przezięb-
łam coś i kiedy mnie złapie, naprawdę jest... - Znowu pokręciła
na próbę głową. - Doskonale sobie poradziłeś. Ale ty zawsze
miałeś sprawne ręce, Tom.

Rozcierał jej ramię w dalszym ciągu, chociaż chciał przestać.

Wiedział, że wszystko jest nie tak. Siedzi za blisko Meredith i wcale
nie chce jej dotykać. Ale również sprawiało mu to przyjemność.

Czuł, że ta sytuacja go wciąga.

113

—
Dobre ręce - powiedziała. - Boże, kiedy byłam zamężna,
myślałam o tobie bez przerwy.

— Naprawdę?

— Jasne - odparła. - Już ci powiedziałam, że był koszmar
w łóżku. Nienawidzę faceta, który nie wie, co robi. - Zamknęła
oczy. - Ale to nigdy nie było twoje zmartwienie.

Westchnęła, rozluźniając się jeszcze bardziej i nagle odniósł
wrażenie, że pochyliła się w jego stronę, ku jego ciału, jego rękom.
Na pewno się nie mylił. Natychmiast po raz ostatni, po przyjacielsku,
uścisnął jej ramię i cofnął ręce.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

— Posłuchaj - powiedziała. - Nie martw się.

Sanders odwrócił się i wypił łyk wina.

— Wcale się nie martwię.

— Chodzi mi o stację. Jeżeli okaże się, że mamy naprawdę problemy i będziemy potrzebować poparcia wyższego szczebla, uzyskamy je. Ale nie róbmy alarmu przed czasem.

— Doskonale. Myślę, że masz rację. - Poczul w duchu ulgę, że rozmowa znowu zaczęła dotyczyć stacji i znalazł się na bezpiecznym gruncie. - Z kim to załatwisz? Bezpośrednio z Garvinem?

— Chyba tak. Wolę działać nieformalnie. - Popatrzyła na niego. - Zmieniłeś się, wiesz?

— Nie... jestem wciąż taki sam.

— Wydaje mi się, że jesteś trochę inny. - Meredith uśmiechnęła się. - Nie powinieneś nigdy przestawać mnie nacierać.

— Meredith - powiedział. - Teraz jest inaczej. Jesteś moim szefem, a ja pracuję dla ciebie.

— Och, nie wygłupiaj się.

— Taka jest prawda.

— Jesteśmy przyjaciółmi. - Wyduła wargi. - Nikt tu właściwie nie wierzy, że jestem twoim zwierzchnikiem. Dali mi po prostu administracyjne stanowisko i to wszystko. Jesteśmy kumplami, Tom. I chcę, aby panowały między nami zwykłe, przyjacielskie stosunki.

— Ja również.

— Dobrze. Cieszę się, że jesteśmy jednomyślni w tej sprawie. -

Pochyliła się szybko w jego stronę i lekko pocałowała w usta. -

Masz. Czy to było takie straszne?

—
Wcale nie.

— Kto wie? Może będziemy musieli pojechać razem do Malezji, aby sprawdzić linie produkcyjne. Mają tam bardzo miłe plaże.

Byłeś kiedyś na Kuantan?

— Nie.

— Spodoba ci się.

— Jestem pewien.

— Pokażę ci tam wszystko. Będziemy mogli wziąć dodatkowy dzień lub dwa. Zatrzymać się i poopalać trochę.

— Meredith...

— Nikt nie musi o tym wiedzieć, Tom.

— Jestem żonaty.

— Jesteś również mężczyzną.

— Co to ma znaczyć?

— Och, Tom - oznajmiła z żartobliwą powagą. - Nie chciej, żebyś uwierzyła, że nigdy nie miałeś żadnego skoku w bok.

Przecież cię znam, pamiętasz?

— Znałaś mnie dawno temu, Meredith.

— Ludzie się nie zmieniają. Nie w ten sposób.

— No cóż, myślę, że jednak tak.

— Och, daj spokój. Będziemy ze sobą pracować, możemy więc równie dobrze mieć z tego trochę frajdy.

Nie podobało mu się to, do czego zmierzała. Czuł, że stawia go w niezręcznej sytuacji. Kiedy się odezwał, miał wrażenie, że jego

słowa brzmią pompatycznie i purytańsko:

— Jestem żonaty.

— Och, nie obchodzi mnie twoje życie osobiste - rzuciła

lekko. - Odpowiadam jedynie za twoją wydajność zawodową.

Sama praca i ani trochę zabawy, to może być tylko szkodliwe.

Powinieneś dalej się bawić. - Pochyliła się w jego stronę. - No, małego buziaka...

Zabrzączał interkom.

— Meredith? - odezwał się głos sekretarki.

Podniosła z rozdrażnieniem głowę.

— Powiedziałam ci, żeby nie łączyć.

— Bardzo przepraszam. To pan Garvin, Meredith.

- W porządku. - Wstała z kanapki i idąc w stronę biurka,

powiedziała *głośno: - Ale potem, Betsy, żadnych telefonów.

115

—

Dobrze, Meredith. Chciałam cię również zapytać, czy mogę

wyjsc za jakieś dziesięć minut? Muszę porozumiec się z właścicielem

domu w sprawie mojego nowego mieszkania.

— Tak. Czy załatwiłaś mój sprawunek?

— Mam go przy sobie.

— Przynies mi, a potem mozesz juz isc.

- Dziękuję, Meredith. Pan Garvin jest na drugiej linii.

Meredith podniosła słuchawkę i dołała sobie wina.

- Bob? - spytała. - Cześć. Co się dzieje? - Trudno było nie

zauważyć wyraźnej poufałości w jej głosie.

Rozmawiała z Garvinem, stojąc plecami do Sandersa. Siedział na kanapie, czując się opuszczony i kretyńsko bierny. Do pokoju weszła sekretarka, niosąc niewielki pakunek w brązowej papierowej torbie. Podała torebkę Meredith.

- Oczywiście, Bob - ciągnęła Meredith. - Całkowicie się z tobą zgadzam. Z całą pewnością załatwimy tę sprawę.

Sekretarka, czekając, aż Meredith ją zwolni, uśmiechnęła się do Sandersa. Czuł się niezręcznie, siedząc na kanapie. Wstał, podszedł do okna, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer Marka Lewyna. W końcu i tak obiecał do niego zadzwonić.

- Bardzo dobra myśl, Bob - mówiła. - Zgadzam się, że powinniśmy działać w taki właśnie sposób.

Sanders słyszał sygnał, a po chwili włączył się automat zgłoszeniowy. Męski głos oznajmił: "Po sygnale proszę zostawić wiadomość". - Potem rozległ się modulowany ton.

- Mark - odezwał się Tom. - Tu mówi Sanders. Rozmawiałem z Meredith o Twinkle. Uważa, że to wczesny etap produkcji i dopiero organizujemy nasze linie. Nie jesteśmy więc w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście istnieją jakieś poważne problemy i powinniśmy jutro wobec bankierów i ludzi z C-W traktować tę sytuację jako coś zwyczajnego...

Sekretarka wyszła z pokoju, uśmiechając się po drodze do Sandersa.

- A jeżeli będziemy mieli problemy ze stacją w późniejszym

okresie, włączymy w tę sprawę kierownictwo. Przekazałem jej twoje opinie. W tej chwili rozmawia z Bobem, zatem prawdopodobnie rozpoczniemy jutrzejsze zebranie, przyjmując ten punkt widzenia...

116

Sekretarka podeszła do drzwi gabinetu. Zatrzymała się na chwilę, odciągnęła zatrzask w drzwiach, a potem wyszła, zamykając je za sobą.

Sanders zmarszczył brwi. Zamknęła za sobą drzwi na zamek. Jego uwagę zwrócił nawet nie sam fakt zamknięcia drzwi, ale wrażenie, iż znalazł się w samym środku jakiegoś układu, zaplanowanego wydarzenia, i wszyscy poza nim wiedzą, co się dzieje.

— ...No cóż, w każdym razie, Mark, gdyby sytuacja się zmieniła, skontaktuję się z tobą przed jutrzejszym spotkaniem i...

— Daj spokój telefonowi - powiedziała Meredith, podchodząc nagle bardzo blisko, ciągnąc jego rękę w dół i przywierając doń całym ciałem. Jej wargi mocno przywarły do jego ust. Ledwo uświadamiał sobie, że odkłada telefon na parapet. Nagle Meredith obróciła się gwałtownie i razem upadli na kanapkę.

— Meredith, poczekaj...

— Och, Boże, pragnęłam cię cały dzień - powiedziała namiętnie. Pocałowała go znowu, kładąc się na nim i obejmując nogami. Czuł się niezręcznie w tej pozycji. Natychmiast pomyślał sobie, że ktoś może wejść. Wyobraził sobie ten widok: leży na plecach na kanapce, podczas gdy jego szefowa w swym dystyngowanym,

granatowym kostiumie niemal siedzi na nim okrakiem. Zaniepokoiło go, co ów intruz mógłby o tym pomyśleć i w tej samej chwili poczuł, że jego ciało zaczęło reagować.

Meredith podnieciło to jeszcze bardziej. Odsunęła się, aby nabrać powietrza.

- Och, Boże, ale wspaniale cię czuję. Nie mogę wytrzymać, jak ten sukinsyn mnie dotyka. Te głupie okulary. Och! Ależ jestem napalona, nie pieprzyłam się przyzwoicie... - I znowu rzuciła się na niego, całując z całej siły. Język Meredith błędził w jego ustach i Sanders pomyślał: "Jezu, ależ się śpieszy". Czuł jej zapach, który natychmiast skojarzył mu się z przeszłością.

Przesunęła ciało, by sięgnąć dłonią w dół i dotknąć go. Jęknęła, czując jego kształt przez materiał spodni. Szarpała się z zamkiem błyskawicznym.

Przez głowę Sandersa przemykały obrazy: oto pożąda Meredith, potem przypominał sobie żonę i dzieci, a później znowu przeszłość, wspólne mieszkanie w Sunnyvale, zniszczenie łóżka... Wspomnienie żony.

117

—
Meredith.

— Oooh! Nic nie mów. Nie! Nie... - Dyszała szybko, wydymając wargi jak złota rybka. Pamiętał również ten nawyk. Czuł jej gorący oddech na swojej twarzy, widział zaczerwienione policzki. Rozpięła mu spodnie i wsunęła dłoń do środka.

— O, Jezu - jęknęła, ściskając go. Potem przesunęła się w dół jego ciała.

— Posłuchaj mnie, Meredith.

— Pozwól mi - wyszeptała ochryple! - Tylko chwileczkę. -

I znowu przywarła do niego ustami. Zawsze była w tym dobra.

Znowu napłynęły wspomnienia. Lubiła to robić w niebezpiecznych miejscach: na autostradzie, kiedy prowadził samochód, w męskiej toalecie na konferencji w sprawie dystrybucji, w nocy na plaży w Napili. Taka była jej skryta głęboko, impulsywna i namiętna natura. Gdy przedstawiono mu ją, jeden z pracowników ConTechu powiedział: "Jest wspaniała w obciążaniu fiuta".

Czuł obejmujące go usta, czuł, jak ciało wygina się w spazmach, a niepokój i poczucie zagrożenia łączyły się z nadchodzącą rozkoszą.

Tak wiele zdarzyło się tego dnia, tak wiele zmian - i wszystko tak nagle. Czuł się zdominowany, podporządkowany i jednocześnie niespokojny. Wiedział, że leżąc tak na plecach, w jakiś sposób przyzwala na sytuację, której w pełni nie rozumie ani w pełni nie akceptuje. Przeczował, że czekają go kłopoty. Nie chciał jechać z nią do Malezji. Nie chciał mieć romansu ze swoją przełożoną. Nie chciał nawet numeru na jedną noc. Ponieważ ludzie zawsze w końcu dowiadywali się o czymś takim. Zaczynały się plotki przy chłodziarce do wody, znaczące spojrzenia w korytarzu. I prędzej czy później dowiadywali się o wszystkim małżonkowie. Tak było zawsze.

Zatrzaśnięte drzwi, adwokaci, rozwód, spór o dzieci.

Nie życzył sobie podobnej sytuacji. Miał uporządkowane,

zorganizowane życie, określone obowiązki. Ta kobieta z przeszłości niczego nie rozumiała. Była wolna,*a on nie. Przesunął się.

— Meredith...

-<<<<*

— Boże, ale wspaniale smakujesz.

— Meredith...

Wyciągnęła rękę do góry i przyłożyła palce do jego warg.

— Ciii. Wiem, że to lubisz.

— Lubię - powiedział - ale ja...

118

- W takim razie pozwól.

Ssała go i jednocześnie rozpiniała mu koszulę, ścisnęła sutki.

Popatrzył w dół i zobaczył, jak klęczy nad jego kolanami z pochyloną głową. Bluzkę miała rozpiętą, jej piersi kołysały się swobodnie. Znowu wyciągnęła ręce, ujęła jego dłonie i położyła je na swoich piersiach.

Wciąż były wspaniałe. Pod palcami czuł jej twarde sutki.

Jęknęła. Ciało Meredith wiło się, gdy usiadła na nim okrakiem.

Poczuł jej ciepło. Usłyszał brzęczenie w uszach, czuł zalewające jego twarz upajające ciepło. Stopniowo dźwięki stawały się coraz bardziej głucho, pokój oddalał się i wreszcie nie pozostało już nic poza tą kobietą, jej ciałem i jego pożądaniem.

W tej samej chwili nagle pojawił się gniew, samcza wściekłość spowodowana faktem, że leży unieruchomiony, a ona dominuje nad nim. Zaprzagnął przejąć kontrolę nad sytuacją, wziąć ją. Usiadł

i brutalnie schwycił Meredith za włosy, unosząc jej głowę. Popatrzyła mu w oczy i natychmiast zrozumiała, w czym rzecz.

— Tak! - powiedziała i odsunęła się na bok, aby mógł przy niej usiąść. Wsunął dłoń między jej uda. Poczł ciepło, koronkowe figi. Szarpnął je mocno. Poruszyła biodrami, pomagając mu, i wreszcie zsunął je do kolan. Odrzuciła je kopnięciem. Jej dłonie gładziły go po włosach, przysunęła usta do jego ucha.

— Tak! - szeptała gwałtownie. - Tak!

Jej granatowa spódnica była podwinięta aż do pasa. Pocałował ją mocno, rozchylając szeroko jej bluzkę, przyciskając piersi Meredith do swojego nagiego torsu. Człł żar kobiecego ciała. Przesunął palcami po jej seksie. Westchnęła, gdy całowali się namiętnie i skinęła przyzwalająco głową. A potem palce Toma znalazły się w jej wnętrzu.

Przez chwilę był zaskoczony - nie była wcale wilgotna. W tej samej chwili przypomniał sobie również i to. W taki właśnie sposób zaczynała. Na zewnątrz była pełna namiętności, ale wewnątrz Meredith reagowało wolniej, przejmując od niego podniecenie. Zawsze najbardziej podniecało ją jego pożądanie i zawsze osiągała orgazm po nim - czasem po kilku sekundach. Niekiedy musiał starać się utrzymać erekcję, gdy ona kołysała się na nim, dążąc do własnego zaspokożenia, zagubiona w swoim prywatnym świecie, podczas gdy on przygasał. Zawsze czuł się samotny, zupełnie, jakby stanowił

Ona zaś, czując jego wahanie, schwyciła go gwałtownie. Jęcząc rozpinając mu pasek, wsuwała mu czubek języka do ucha.

Nagle znowu zaczął narastać w nim opór. Pełna wściekłości namiętność gasła i przez głowę Toma przemknęła nieproszona myśl: "Nie warto".

Wszystkie jego emocje znowu uległy przemianie i pojawiło się znajome uczucie. Ponowne spotkanie z dawną kochanką, uwaga zwrócona na nią podczas lunchu, zainteresowanie, pożądanie i nagle w najgorętszym momencie dotknięcie jej ciała. W tym momencie przypomniało mu się wszystko, co było złe w ich związku. Odżywające wspomnienia starych konfliktów, złości i gniewu, i pragnienie, aby nigdy nie powróciły. Chciał się stąd wydostać, uwolnić. Ale zazwyczaj nie było drogi odwrotu.

Palce Toma wciąż tkwiły w jej wnętrzu. Poruszała się, ocierając o jego dłoń, przesuając tak, aby dotykał właściwego miejsca. Była bardziej wilgotna, jej wargi nabrzmiwały. Rozchyliła szerzej nogi. Oddychała bardzo ciężko, przesuując po jego ciele palcami.

- O Boże, uwielbiam cię dotykać - powiedziała.

Zazwyczaj nie było drogi odwrotu.

Jego ciało było napięte i gotowe. Twarde sutki Meredith ocierały się o jego tors, palce pieściły go. Polizała płatek jego ucha szybkimi dotknięciami języka i wtedy ogarnęła go złość. Ponieważ wcale nie chciał się tu znajdować, czuł się wmanipulowany w tę sytuację.

A teraz ją wypieprzy. Chciał ją wypieprzyć. Z całej siły.

Poczuła zmianę i jęknęła. Już go nie całowała. Póллеżąc na

kanapce, czekała na niego. Obserwowała go przez wpełprzymknięte powieki, kiwając głową. Jego palce ciągle jej dotykały, szybko, raz za razem, sprawiając, że wzdychała. Wreszcie położył ją na plecach. Zadarła spódnice i rozchyliła nogi. Pochylił się nad nią, a ona uśmiechnęła się do niego zwycięskim, wszystkowiedzącym uśmiechem. Ogarnęła go wściekłość. Czuł, że w jakiś sposób wygrała. Zarejestrował jej uważną obojętność i chciał nią wstrząsnąć, sprawić, aby poczuła się równie pozbawiona władzy jak i on. Chciał uczynić ją częścią siebie samego, zetrzeć z twarzy Meredith pewność siebie. Rozsunął ją, ale nie wszedł, wstrzymywał się, poruszając jedynie drażniąco palcami. Wygięła plecy, czekając na niego.

120

- Nie, nie... Proszę...

Ciągle czekał, patrząc na nią. Jego gniew zniknął równie szybko jak się pojawił, wracały dawne wątpliwości. W chwili brutalnej przytomności zobaczył siebie w tym pokoju - zadyszanego żonatego mężczyznę w średnim wieku ze spodniami spuszczoneymi do kolan, pochylonego nad kobietą leżącą na zbyt małej, biurowej kanapce. Cóż on, u diabła wyprawia?

Spojrzał na jej twarz, dostrzegając rozmazany makijaż w kąci-
kach oczu, wokół ust.

Położyła mu dłonie na ramionach, przyciągając do siebie.

- Och, proszę... Nie... Nie...

A potem odwróciła głowę i zakaszła.

Coś w nim pękło. Usiadł spokojnie.

- Masz rację. - Wstał z leżanki i podciągnął spodnie. - Nie powinniśmy tego robić.

Usiadła również.

— Co ty wyprawiasz? - zapytała z wyraźnym zdziwieniem. -

Chcesz tego równie bardzo jak ja. Wiesz o tym.

— Nie - odparł. - Nie powinniśmy tego robić, Meredith. -

Zapiął pasek i cofnął się o krok.

Patrzyła na niego z oszołomieniem, jak ktoś obudzony właśnie ze snu.

— Chyba nie mówisz poważnie.

— To nie był dobry pomysł. Nie czuję się najlepiej w tej sytuacji.

Jej oczy zapłonęły wściekłością.

- Ty pierdolony skurwysynu!

Zerwała się z kanapki i podbiegła do niego, okładając z całej siły pięściami. - Ty skurwysynu! Ty kutasie! Ty pierdolony skurwysynu! - Zapinał koszulę, próbując uniknąć ciosów. - Ty gówniarzu! Ty skurwysynu!

Gdy się odwrócił, podbiegła do niego. Złapała go za rękę i szarpiąc za koszulę starała się przeszkodzić w jej zapinaniu.

- Nie możesz! Nie możesz mi tego zrobić!

Guziki puściły. Przeorała mu tors paznokciami, pozostawiając długie czerwone linie. Znowu odwrócił się, próbując od niej uwolnić.

Pragnąc jedynie stąd wyjść. Ubrać się i wyjść. Okładała go po

plecach.

121

—
Ty kutasie, nie możesz mnie tak zostawić!

— Przestań, Meredith - powiedział. - To już skończone.

— Pieprzę cię! - Złapała go za włosy z zaskakującą siłą, pociągnęła jego głowę w dół i mocno ugryzła w ucho. Poczłł gwałtowny, przesywający ból i odepchnął ją brutalnie. Zatoczyła się do tyłu, tracąc równowagę, uderzyła o szklany stolik do kawy i upadła na podłogę.

Usiadła, dysząc ciężko.

— Ty pierdolony skurwysynu.

— Meredith, zostaw mnie po prostu w spokoju. - Ponownie zapiął koszulę. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: "Wyjść stąd. Zabrać swoje rzeczy i wynieść się stąd". Sięgnął po marynarkę i w tej samej chwili zobaczył leżący na parapecie swój telefon komórkowy.

Obszedł kanapkę, sięgnął po telefon i nagle obok jego głowy roztrzaskał się kieliszek. Obejrzał się i zobaczył Meredith stojącą na środku gabinetu i szukającą następnego przedmiotu, którym mogłaby w niego rzucić.

— Zabiję cię! - powiedziała. - Zabiję cię, skurwielu.

— Dosyć, Meredith - odezwał się do niej.

— Jeszcze zobaczymy. - Cisnęła w niego małą papierową torebką. Torebka uderzyła w szkło i upadła na podłogę. Wyleciała

z niej paczka prezerwatyw/

- Idę do domu.

Skierował się w stronę drzwi.

- Słusznie - zawołała. - Idź do domu, do swojej żony i twojej pierdolonej rodzinie.

Usłyszał dzwonek alarmowy i zawahał się przez chwilę.

- O, tak - powiedziała, widząc jego wahanie. - Wiem o tobie wszystko, ty dupku. Twoja żona nie chce się z tobą pieprzyć, więc przychodzisz tutaj, doprowadzasz mnie do tego stanu i zostawiasz, ty cholerny, pierdolony dupku? Myślisz, że możesz w ten sposób traktować kobiety? Ty dupasie.

Wyciągnął rękę do klamki.

- Jeżeli ode mnie odejdiesz, jesteś trupem!

Obejrzał się, zobaczył, że, chwiejąc się na nogach, opiera o biurko i pomyślał: "Jest pijana".

- Dobranoc, Meredith - powiedział. Przycisnął klamkę i w tej

122

samej chwili przypomniał sobie, że drzwi są zamknięte na zamek.

Przekręcił go i wyszedł z gabinetu, nie oglądając za siebie.

W sekretariacie sprzątaczką opróżniała kosze do śmieci.

- Zabiję cię za to! - zawołała w ślad za nim Meredith.

Sprzątaczką usłyszała jej krzyk i wytrzeszczyła na Sandersa

oczy. Odwrócił głowę i poszedł wprost do windy. Nacisnął guzik.

Ale po chwili zdecydował się zejść po schodach.

Sanders patrzył na zachodzące słońce z pokładu promu płynącego z powrotem do Winslow. Wieczór był spokojny, prawie bez wiatru, woda ciemna i gładka. Spojrzał za siebie, na światła miasta i spróbował ocenić minione wydarzenia.

Z pokładu promu widział górne piętra budynków DigiComu piętrzące się nad szarą, betonową płaszczyzną wiaduktu biegnącego wzdłuż linii brzegowej. Próbował odnaleźć okno Meredith, ale odległość była już zbyt wielka.

Teraz, gdy wracał do domu, do rodziny i zwykłego porządku dnia, wydarzenia minionej godziny zaczynały już nabierać jakiegoś nierzeczywistego charakteru. Właściwie nie bardzo mógł uwierzyć w to, co się stało. Przypominał sobie wszystko, starając się zrozumieć, gdzie popełnił błąd. Był pewien, że cały incydent zdarzył się z jego winy, że w jakiś sposób wprowadził Meredith w błąd. W przeciwnym razie nie próbowałaby go uwodzić. Cała sytuacja była dla niego kłopotliwa i dla niej zapewne również. Czuł się winny i nieszczęśliwy, a także głęboko zaniepokojony o swoją przyszłość. Co się teraz stanie? Co zrobi Meredith?

Niemiał najmniejszego pojęcia. Uświadomił sobie, że właściwie w ogóle jej nie zna. Kiedyś byli kochankami, ale to odległa przeszłość. Teraz bardzo się zmieniła, miała nowe obowiązki, inny rodzaj odpowiedzialności. Stała się całkowicie obca.

Chociaż wieczór był ciepły, poczuł dreszcz. Wrócił do wnętrza promu. Usiadł na ławeczce i wyjął telefon, żeby zadzwonić do

Susan. Wcisnął guzik, ale światelko nie rozbłysło. Bateria się wyczerpała. Przez chwilę nie mógł tego zrozumieć - przecież zasilanie powinno wystarczyć na cały dzień. Ale telefon nie działał. Cudowny koniec tego wspaniałego dnia.

Stał w toalecie, czując wibrację maszyn promu i patrzył na swoje odbicie w lustrze. Włosy miał potargane, na wargach ślad szminki, drugi na szyi. Brakowało mu dwóch guzików u koszuli, ubranie miał wygniecione, jakby się w nim przespał. Obrócił głowę, żeby zobaczyć swoje ucho. W miejscu, w którym go ugryzła, widniała maleńka ranka. Rozpiął koszulę spojrzął na głębokie, zaczerwienione bruzdy biegnące obok siebie po piersi.

Chryste! W jaki sposób ukryje to przed Susan?

Zmoczył papierowy ręcznik i zmył szminkę. Przygładził włosy i zapiął sportową marynarkę, zasłaniając większą część koszuli.

Potem wyszedł, usiadł na ławeczce przy oknie i zapatrzył się w przestrzeń.

- Cześć, Tom!

Podniósł głowę i ujrzał Johna Perry'ego, swojego sąsiada z Bainbridge, prawnika z firmy Marlin i Howard, jednej z najstarszych kancelarii w Seattle. Należał do wiecznie pełnych entuzjazmu ludzi i Sanders nie bardzo miał ochotę na rozmowę. Ale Perry usiadł naprzeciwko niego.

— Jak leci? - zapytał radośnie.

— Nieźle - odparł Sanders.

— Miałem wspaniały dzień.

— Miło mi o tym słyszeć.

— Wspaniały - powtórzył Perry. - Występowaliśmy w sądzie i mówię ci, skopaliśmy im tyłki.

— Świetnie - rzekł Sanders. Patrzył uparcie w okno w nadziei, że Perry zrozumie aluzję i pójdzie sobie.

Ale Perry nie rozumiał.

- To była cholernie ciężka sprawa. Przez cały czas mieliśmy pod górkę - wyjaśnił. - Artykuł siódmy, Sąd Federalny. Nasza klientka pracowała w MicroTechu i twierdziła, że nie awansuje, ponieważ jest kobietą. Prawdę mówiąc, nasza pozycja nie była zbyt silna. Dlatego, że klientka piła i w ogóle. Mieliśmy kłopoty. Ale w naszej firmie pracuje adwokatka hiszpańskiego pochodzenia. Nazywa się Luiza Fernandez, jest hiszpańskiego pochodzenia.

125

Mówię Ci, jest zabójcza w procesach o dyskryminację. Zabójcza. Skłoniła sąd do przyznania naszej klientce prawie pół miliona. Ta Fernandez potrafi pracować nad sprawą jak nikt. Wygrała czternaście z szesnastu naszych procesów. Zachowuje się słodko i skromnie, ale w środku to lodowiec. Mówię ci, kobiety czasami przerażają mnie jak cholera.

Sanders nie odpowiedział.

Gdy wrócił, w domu było już cicho, dzieci spały. Susan zawsze je kładła wcześniej. Wszedł na górę. Jego żona siedziała w łóżku, obłożona rozrzuconymi na kołdrze teczkami pełnymi

prawniczych dokumentów. Widząc Toma, wstała z łóżka i podeszła, aby go uściskać. Mimowolnie, poczuł, jak jego ciało napina się.

— Naprawdę, bardzo cię przepraszam - powiedziała. - Przepraszam za dzisiejszy ranek. I bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało w pracy. - Podniosła głowę i pocałowała go delikatnie w wargi. Niezręcznie odwrócił głowę. Obawiał się, że czuje perfumy Meredith albo...

— Jesteś zły z powodu tego ranka? - zapytała.

— Nie - odparł. - Słowo daję, że nie. Po prostu, to był długi dzień.

— Dużo zebrań w związku z fuzją?

— Tak - przytaknął. - A jutro będzie jeszcze więcej. Drobnym dom wariatów.

Susan skinęła głową.

- Chyba tak. Właśnie miałam telefon z twojego biura. Od

Meredith Johnson.

Starał się zapanować nad głosem.

— Ach tak?

— Mhm. Jakies* dziesięć minut temu. - Położyła się znowu do łóżka. - A kim ona właściwie jest? - Susan zawsze zachowywała się podejrzliwie, gdy z biura dzwoniły kobiety.

127

—
Jest nowym wice - wyjaśnił Sanders. - Właśnie sprowadzili ją z Cupertino.

— Zastanawiałam się... Robiła wrażenie, jakby mnie znała.

— Nie sędzę, żebyście się kiedykolwiek poznały.

Czekał, w nadziei, że nie będzie musiał wyjaśniać już nic więcej.

— No, cóż - odparła. - Zachowywała się bardzo przyjaźnie. Prosiła, abym ci powtórzyła, że wszystko jest gotowe do zebrania jutro rano o ósmej trzydzieści i że wtedy się zobaczycie.

— W porządku. Doskonale.

Zrzucił buty, zaczął rozpinąć koszulę i nagle przerwał. Pochylił się i podniósł buty.

— Ile ma lat? - spytała Susan.

— Meredith? Nie wiem. Chyba jakieś trzydzieści pięć. A dlaczego pytasz?

-· Jestem ciekawa.

— Pójdę wziąć prysznic - oznajmił.

— W porządku. - Wzięła swoje prawnicze notatki i usadowiła się wygodnie, poprawiając lampkę do czytania.

Skierował się do drzwi.

— Skąd ją znasz? - zapytała Susan.

— Spotkaliśmy się kiedyś. W Cupertino.

— Co tutaj robi?

— Jest moim nowym szefem.

— A więc to ona.

— Tak. To ona - przytaknął.

— Czy jest blisko Garvina?

— Tak. Kto ci powiedział? Adele?- Adele Lewyn, żona

Marka, była jedną z najlepszych przyjaciółek Susan.

Skinęła głową.

- Mary Annę również. Telefon nie przestawał dzwonić.

- Byłem tego pewien.

— Garvin ją pieprzy, czy co?

— Nikt nie wie - odparł. - Ale powszechnie sądzi się, że nie.

— Dlaczego więc ją sprowadził, zamiast awansować ciebie?

— Nie wiem, Sue.

— Nie rozmawiałaś z Garvinem?

128

- Przyszedł rano, żeby się ze mną zobaczyć, ale mnie nie było.

Ponownie skinęła głową.

— Musisz być wściekły. Czy jak zwykle zachowywałaś się wyrozumiale, gotów wszystko wybaczyć?

— No, cóż. - Wzruszył ramionami. - A co mogłem zrobić?

— Możesz wymówić - powiedziała.

— Nie ma mowy.

— Pominęli cię przy awansie. Czy nie m u s i s z wymówić?

— To nie jest najlepszy moment, żeby szukać innej pracy.

Skończyłem czterdzieści jeden lat. Nie mam ochoty zaczynać od

zera. Poza tym Phil twierdzi, że mają zamiar oddzielić OWPP

i w ciągu roku przedstawić do oferty publicznej. Nawet jeżeli nie

będę nim kierował, i tak wejdę w skład kierownictwa tej nowej

firmy.

- A czy podał szczegóły?

Kiwnął głową.

— Przekazą każdemu z nas dwadzieścia tysięcy udziałów i opcję na dalsze pięćdziesiąt tysięcy. A potem opcje na dalsze pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

— Po ile?

— Zazwyczaj udział jest po dwadzieścia pięć centów.

— A po ile będą oferowane akcje? Po pięć dolarów?

— Przynajmniej. Rynek na produkowane przez nas wyroby robi się coraz mocniejszy. A wtedy może dojść do dziesięciu. Może dwudziestu, jeżeli będziemy odpowiednio atrakcyjni.

Na chwilę zapadła cisza. Wiedział, że jego żona jest dobra w matematyce.

- Nie - oznajmiła wreszcie. - Nie możesz wymówić.

Wykonywał te obliczenia wiele razy, myśląc o spłacie długu hipotecznego w jednej racie. A gdyby akcje strzeliły wysoko, zyski mogłyby stać się fantastyczne - gdzieś między pięcioma a czter-nastoma milionami dolarów. Dlatego właśnie wejście na giełdę było marzeniem każdego, kto pracował w dziale technicznym firmy.

— Jeżeli o mnie chodzi - powiedział - mogą sprowadzić do zarządzania tym działem nawet Godzillę, a ja i tak pozostanę przynajmniej jeszcze przez dwa lata.

— A co zrobili? Sprowadzili Godzillę?

—
Nie wiem. - Wzruszył ramionami.

— Ułożysz sobie z nią stosunki?

Zawahał się.

— Nie jestem pewien. Muszę wziąć prysznic.

- W porządku - oznajmiła. Zerknął na nią. Znowu czytała |
swoje notatki.

Po wzięciu prysznicu włączył telefon do ładowarki przy
umywalce i włożył podkoszulek oraz spodenki sportowe.

Sprawdził w lustrze, czy zadrapania są zakryte, ale w dalszym ciągu
niepokoił go zapach perfum Meredith. Ochlapał policzki płynem po
goleniu.

Następnie poszedł do pokoju syna, aby sprawdzić, jak śpi,
Matthew chrapał głośno, trzymając kciuk w ustach. Skopał cał-
kowicie kołdrę. Sanders delikatnie przykrył go znowu i pocałował
w czoło.

Potem zajrzał do pokoju Elizy. Początkowo w ogóle nie mógł
jej dojrzeć. Jego córka ostatnio zaczęła zakopywać się w czasie snu
pod kołdrę i poduszki. Wszedł na palcach do środka i zobaczył
wyłaniającą się spod kołdry małą rączkę, która zaczęła kiwać na
niego. Podeszedł do łóżka.

— Dlaczego nie śpisz, Lizo? - szepnął.

— Śniło mi się coś - powiedziała, ale nie sprawiała wrażenia
przestraszonej.

Usiadł na krawędzi łóżka i pogłaskał ją po głowie.

— Jaki miałaś sen?

— O bestii.

— Aha.

— Bestia była naprawdę księciem, ale czarownica rzuciła na niego potężny czar.

— Tak jest... - Dalej głaskał ją po włosach.

131

—

Który zmienił go w ohydny bestię.

Niemal dosłownie cytowała film.

— Tak jest - powtórzył.

— Dlaczego?

— Nie wiem, Lizo. Tak jest w bajce.

— Dlatego, bo nie udzielił jej schronienia przed trzaskającym mrozem? - Znowu cytowała. - Czemu tak zrobił, tatusiu?

— Nie wiem - odparł.

— Ponieważ w jego sercu nie było miłości - stwierdziła.

— Lizo, pora już spać.

— Podaruj mi najpierw sen, tatusiu.

— Dobrze. Nad twoim łóżeczkiem wisi śliczna, srebrna chmurka i...

— Ten sen jest niedobry, tatusiu. - Popatrzyła na niego marszcząc się.

— W porządku. A jaki byś chciała?

— Z Kermitem.

— Dobrze. Kermit siedzi tuż koło twojej główki i będzie cię pilnował przez całą noc.

— Ty też.

— Tak. Ja też. - Pocałował ją w czoło i dziewczynka obróciła się buzią do ściany. Gdy wychodził z pokoju, słyszał, jak głośno ssie kciuk.

Wrócił do sypialni i odsunął z kołdry notatki żony, aby móc się położyć.

- Jeszcze nie śpi? - zapytała Susan.

— Teraz już chyba zaśnie. Chciała sen. O Kermitcie.

Susan skinęła głową.

— Kermit jest teraz bardzo ważny.

Nic nie powiedziała na temat podkoszulka. Wsunął się pod kołdrę i nagle poczuł się straszliwie zmęczony. Położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Po chwili zdał sobie sprawę, że żona zbiera rozrzucone po łóżku papiery i chwilę później gasi światło.

- Mmm - powiedziała. - Ładnie pachniesz.

Przytuliła się, przyciskając twarz do jego szyi i położyła na nim nogę. To była stała uwertura Susan, która zawsze go irytowała.

Czuł się przygnieciony jej ciężką nogą.

Pogłaskała go po policzku.

132

—
Czy ten płyn po goleniu to dla mnie?

— Och, Susan... - westchnął, przesadnie akcentując zmęczenie.

— Bo bardzo działa - wyjaśniała, chichocząc. Wsunęła rękę pod kołdrę i położyła mu ją na piersi. Poczuł, jak przesuwa dłoń w dół i wkłada pod podkoszulek.

Poczuł nagły gniew. Co się z nią dzieje? Nigdy nie ma wycucia w tych sprawach. Zawsze wybiera niewłaściwy czas i miejsce.

Schwycił Susan za rękę.

- Coś nie tak?

— Jestem naprawdę wykończony, Sue.

Przestała.

— Miałeś zły dzień, prawda? - zapytała ze współczuciem.

— Tak. Dostyc zły.

Oparła się na łokciu i pochyliła nad nim. Pogłaskała palcem jego dolną wargę.

— Nie chcesz, żebym cię pocieszyła?

— Naprawdę nie.

— Ani trochę?

Westchnął znowu.

- Jesteś pewien? - spytała, drażniąc się z nim. - Naprawdę, ale to naprawdę pewien? - Zaczęła wsuwać się pod kołdrę.

Sięgnął w dół i przytrzymał jej głowę obydwiema rękami.

- Susan. Proszę. Daj spokój.

Zachichotała.

— Jest dopiero wpół do dziewiątej. Nie możesz być aż tak zmęczony.

— Jestem.

— Założę się, że nie.

— Susan, do licha. Nie mam nastroju.

— Dobrze, już dobrze. - Odsunęła się od niego. - Ale nie wiem, po co używałeś płynu po goleniu, skoro nie jesteś zainteresowany.

— Na litość boską.

— Właściwie już nie uprawiamy seksu i taka jest prawda.

— To dlatego, że wciąż podróżujesz - wyrwało mu się.

— Wcale "wciąż" nie podróżuję.

— Nie ma cię po parę nocy w każdym tygodniu.

— To wcale nie jest "ciągłe podróżowanie". A zresztą na tym

133

polega moja praca. Miałam nadzieję, że będziesz bardziej pomagał mi w pracy.

— Staram się.

— Narzekanie wcale mi nie pomaga.

— Posłuchaj, na litość boską - wybuchnął. - Wracam do domu wcześniej za każdym razem, gdy wyjeżdżasz z miasta, karmię dzieci, zajmuję się różnymi sprawami, abyś nie musiała się o nic martwić...

— Czasami - przerwała mu. - A czasami zostajesz w biurze do późna i dzieci przez cały czas są z Consuelą...

— No cóż, ja również mam pracę...

— W takim razie nie pieprz mi głupot o "zajmowaniu się sprawami" - oznajmiła. - Nie ma cię w domu dłużej niż mnie.

A poza tym mam dwa etaty, a ty robisz sobie, co chcesz, jak każdy pierdolony mężczyzna na świecie.

— Susan...

— Jezu, raz od święta przychodzisz do domu wcześniej i zachowujesz się jak pierdolony męczennik. - Usiadła i zapaliła lampkę przy łóżku. - Każda kobieta, którą znam, pracuje ciężiej niż jakikolwiek mężczyzna.

— Susan, nie chcę się kłócić.

— Oczywiście, powiedz, że to moja wina. To ja mam problemy. Cholerni faceci.

Był zmęczony, ale nagły gniew przydał mu energii. Poczł przyplływ sił, wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju.

— Jaki ma z tym związek bycie mężczyzną? Czy teraz zaczniesz mi opowiadać, jak bardzo jesteś wykorzystywana?

— Posłuchaj - powiedziała, prostując się. - Kobiety są uciskane. To fakt.

— Doprawdy? A jak ty jesteś uciskana? Nigdy nie zmywasz stosów naczyń. Nigdy nie gotujesz posiłków. Nigdy nie zamiatasz podłóg. Ktoś robi to za ciebie. Masz kogoś, kto robi wszystko za ciebie. Masz kogoś, kto odprowadza dzieci do szkoły i je odbiera. I ty jesteś uciskana?

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. Dobrze wiedział, dlaczego, Susan nieraz już wygłaszała mowy na ten temat i nigdy dotąd jej się nie przeciwstawiał. Po jakimś czasie te filipiki stały się jakby częścią ich małżeństwa. A teraz się zbuntował. Zmieniał zasady gry.

- Nie mogę uwierzyć. Myślałam, że jesteś inny. - Mrużąc

134

oczy, popatrzyła na niego prokuratorским wzrokiem. - Dlatego, że kobieta dostała twoją posadę, prawda?

— I co teraz będziemy przerabiać, wrażliwe męskie ego?

— A więc to prawda, co? Czujesz się zagrożony.

— Nie, wcale nie. To głupota. Co ma z tym wspólnego moje ego? To twoje ego jest tak cholernie delikatne, że nie możesz nawet pogodzić się z odmową w łóżku, żeby nie wszczynać zaraz kłótni.

Jego słowa powstrzymały Susan. Zorientował się natychmiast, że nie znalazła odpowiedzi. Siedziała, patrząc na niego ze zmarszczonymi brwiami i spiętą twarzą.

- Jezu! - westchnął i odwrócił się, żeby wyjść z pokoju.

— Sprowokowałeś tę awanturę - oznajmiła.

Znowu zwrócił się w jej stronę.

— Wcale nie.

— Tak, działałeś celowo. To ty zacząłeś mówić o podróżowaniu.

— Nie. Ty narzekałeś, że nie uprawiamy seksu.

— Tylko o tym wspomniałam.

— Chryste. Nie należy żenić się z prawniczkami.

— I twoje ego jest wrażliwe.

— Susan, chcesz mówić o wrażliwości? Przecież jesteś tak cholernie zapatrzona w siebie, że dostałaś dziś rano pierdolca, bo chciałaś ładnie wyglądać u pediatry.

— A więc tak. Wreszcie. Jesteś wciąż wściekły, ponieważ

spóźniłeś się przeze mnie do pracy. O co chodzi? Myślisz, że nie dostałeś tej posady, bo się spóźniłeś?

— Nie - powiedział. - Ja nie...

— Nie dostałeś jej - oznajmiła - bo Garvin ci jej nie dał. Nie grasz w te klocki wystarczająco dobrze i ktoś inny zagrał lepiej.

O to chodzi. Kobieta rozegrała to lepiej.

Trzęsąc się z wściekłości, nie mogąc wykrztusić słowa, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

- Bardzo dobrze, wyjdź - powiedziała Susan. - Idź sobie.

Zawsze tak robisz. Odchodzisz. Nie trwasz przy swoim. Nie chcesz tego słuchać, Tom. Ale taka jest prawda. Jeżeli nie dostałeś tego stanowiska, nie możesz mieć o to do nikogo pretensji, poza sobą samym.

Trzasnął drzwiami.

Siedział w ciemnej kuchni. Wokoło panowała cisza zakłócana jedynie brzęczeniem lodówki. Przez okno, za kępą jodeł, widział oświetloną księżycem zatokę.

Zastanawiał się, czy Susan zejdzie do niego, ale nie uczyniła tego. Wstał i zaczął chodzić po kuchni. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że jest głodny. Otworzył lodówkę, mrużąc oczy przed padającym z niej światłem. Była pełna jedzenia dla dzieci: pojemników z sokiem, witaminami dla dzieci, butelkami z mlekiem dla dzieci. Szperał pomiędzy tym wszystkim, szukając choćby sera albo może nawet piwa. Nie znalazł nic poza puszką dietetycznej coli Susan.

"Chryste - pomyślał - zupełnie inaczej niż dawniej. Kiedy

w lodówce było pełno mrożonek, frytek, sałatek... i mnóstwo piwa.

Kawalerskie czasy".

Wyjął puszkę coli. Eliza również zaczęła ją pić. Dziesiątki razy

mówił Susan, że nie chce, aby dzieci piły dietetyczne napoje.

Powinny dostawać zdrową żywność. Prawdziwą. Ale Susan nie

miała czasu, a Consueli było wszystko jedno. Dzieci jedzą wszelkiego

rodzaju paskudztwa. To nie w porządku. Nie w ten sposób go

wychowywano.

Nie ma nic do jedzenia. W jego własnej, cholernej lodówce.

Licząc, że coś jednak znajdzie, podniósł pokrywkę pojemnika

i zobaczył w środku częściowo zjedzoną kanapkę z masłem orze-

chowym i dżemem. Z boku widniały ślady drobnych ząbków Elizy.

136

Wziął do ręki kanapkę i odwrócił ją zastanawiając się, jak długo już

tu leży. Nie zobaczył śladów pleśni.

"Do diabła z tym" - pomyślał i zaczął jeść resztki kanapki

Elizy, stojąc w podkoszulku w świetle padającym od lodówki.

Drgnął, widząc swoje odbicie w szklanej klapie piekarnika. "Kolejny

uprzywilejowany pan domu, władający na swym dworze. Chryste,

skąd kobiety wykopały to całe gówno?"

Skończył kanapkę i otrzepał okruchy z dłoni. Na ściennym

zegarze była 9.15. Susan poszła wcześniej spać. Najwyraźniej nie

miała zamiaru zejść, aby się pogodzić. Zazwyczaj tego nie robiła.

To była jego rola. Rola pacyfikatora. Otworzył karton z mlekiem,

napił się trochę i odstawił na półeczkę. Zamknął drzwi. Znowu

ciemność.

Podszedł do zlewozmywaka, umył ręce i wytarł je w ścierkę.

Trochę zjadł i nie był już taki zły. Zaczęło ogarniać go zmęczenie.

Wyjrzał przez okno i między drzewami dostrzegł światła promu płynącego na zachód, w stronę Bremerton. Jedną z rzeczy, które mu się podobały w tym domu, to to, że stał z dala od innych.

Naokoło było trochę przestrzeni. Znakomite warunki dla dzieci.

Powinny wyrastać w miejscu, gdzie mogą biegać i bawić się.

Ziewnął. Susan na pewno nie zejdzie już na dół. Godzenie się

będzie musiało poczekać do rana. Wiedział, jak to załatwi - wstanie

wcześniej, przygotuje jej filiżankę kawy i przyniesie do łóżka.

Następnie powie, że jest mu przykro, a ona, że jej również.

Uściskają się, a potem on pójdzie szykować się do pracy. I będzie już po wszystkim.

Wszedł po ciemnych schodach na piętro i otworzył drzwi do sypialni. Usłyszał cichy, miarowy oddech Susan.

Wślizgnął się do łóżka i położył na swojej połówce. A potem zasnął.

Wtorek

Rankiem padało. Strugi deszczu z trzaskiem zacinały w okna.

Sanders stał w kolejce po kawę i zastanawiał się nad

oczekującym go dniem. Kątem oka dostrzegł podchodzącego do

niego Dave'a Benedicta. Szybko odwrócił się, ale było już za późno.

Banedit pomachał do niego ręką.

- Hej, stary!

Sanders nie miał ochoty tego ranka rozmawiać o DigiComie.

W ostatniej chwili ocalił go sygnał telefonu tkwiącego w jego kieszeni. Odwrócił się, aby go odebrać.

— Tu pieprzone A, drogi Tommy.

Dzwonił Eddie Larson z Austin.

— Co się dzieje, Eddie?

— Wiesz, że Cupertino przysłało tu liczykrupę? No to dowiedz się, że teraz mamy ich tu ośmiu! Niezależna firma księgową Jenkins i McKay z Dallas. Pełzają po wszystkich księgach jak banda karaluchów. I wcale nie przesadzam mówiąc, że badają wszystko: wpłaty, wypłaty osobowe i bezosobowe, koszty za cały rok - wszystko. A teraz mają jeszcze zamiar cofnąć się aż do osiemdziesiątego dziewiątego roku.

— Tak? Bardzo przeszkadzają?

— Lepiej mi uwierz. Dziewczyny nie mają nawet gdzie usiąść i odebrać telefonu. A poza tym wszystko sprzed dziewięćdziesiątego pierwszego mamy zmagazynowane w śródmieściu. Dokumenty są zmikrofilmowane, ale powiedzieli, że muszą mieć oryginały. Chcą

141

cholernego papieru. I natychmiast zaczynają się zachowywać złośliwie i paranoidalnie, jeżeli tylko jesteśmy gdzieś w pobliżu. Traktują nas, jakbyśmy byli złodziejami albo kimś w tym rodzaju. To obrażające.

— No, cóż - rzekł Sanders. - Trzymaj się. Musicie robić

wszystko, czego żądają.

— Ale tak naprawdę martwi mnie jedno - rzekł Eddie. - Tego popołudnia ma tu przyjechać jeszcze siedmiu. Ponieważ przeprowadzają również pełną inwentaryzację zakładów. Wszystkiego - od mebli biurowych po filtry powietrza i prasy termiczne na linii. Mamy tu teraz faceta, który idzie wzdłuż linii, zatrzymuje się przy każdym stanowisku i pyta: "Jak się ta rzecz nazywa? Jak się to literuje? Co to robi? Jaki ma numer modelu? Ile ma lat? Gdzie ma numer seryjny?" Moim zdaniem, równie dobrze moglibyśmy zamknąć zakład na resztę dnia.

— Robią inwentaryzację? - Sanders zmarszczył brwi.

— No cóż, tak to określają. Ale to przekracza jakąkolwiek inwentaryzację, o której słyszałem. Ci faceci rozpracowywali Texas Instruments albo coś takiego i muszę im przyznać jedno: wiedzą, o czym mówią. Tego ranka jeden z nich przyszedł do mnie i zapytał, jakie szkło mamy w świetlikach sufitowych. Odpowiedziałem: "Co to znaczy - jakie szkło?" Myślałem, że robi mnie w bambuko. "No tak, chodzi mi o to, czy macie Corning dwa-czterdzieści-siedem czy dwa-czterdzieści-siedem łamane przez dziewięć". Albo coś w tym rodzaju. Chodziło mu o różne rodzaje szkła pochłaniającego promieniowanie ultrafioletowe. Źle dobrane szkło może spowodować uszkodzenie czipów na linii produkcyjnej. Nigdy nie słyszałem, że promieniowanie UV może mieć wpływ na czipy. "O, tak - odpowiada mi facet. - Ale prawdziwy problem to to, że wasza PSD wynosi ponad dwa dwadzieścia". Wiesz, co to PSD?

Przeciętna liczba słonecznych dni. Słyszałeś o czymś takim?

Sanders właściwie go nie słuchał. Wszystko wskazywało, że ktoś -*«, Garvin albo jakiś przedstawiciel Conley-White - zlecił przeprowadzenie kompleksowej inwentaryzacji zakładów. Taka procedura obowiązywała wtedy, gdy rozważano sprzedaż zakładu. Była konieczna, aby obliczyć odpisy w momencie transferu aktywów i...

- Tom, jesteś tam?

142

—

Jestem.

— Powiedziałem facetowi, że nigdy o tym nie słyszałem.

O promieniowaniu i czipach. A on mi odpowiedział: "Och nie, nie przy montowaniu czipów. Promieniowanie ma wpływ, kiedy się je produkuje". Ja mu na to, że nie robimy ich tutaj. A facet: "Wiem".

Zacząłem się więc zastanawiać, po jaką cholerę obchodzi go, jakiego rodzaju mamy szkło? Tommy? Rozumiesz mnie? O co tu

chodzi? - zapytał Larson. - Pod koniec dnia będzie po nas pełzało piętnastu facetów. Nie mów, że to normalka.

— Na mnie również nie robi to wrażenia czegoś zwykłego.

— Wydaje mi się, że mają zamiar sprzedać zakład komuś, kto produkuje czipy, ot co. I że to wcale nie jesteśmy my.

— Zgadzam się z tobą. Tak właśnie wygląda.

— Ja pieprzę - jęknął Eddie. - Już się uspokoiłem, bo mówiłeś, że coś takiego się nie zdarzy. Ludzie zaczynają się

martwić. Ja też.

— Rozumiem.

— Rzecz w tym, że zadają mi pytania. Ktoś kupił dom, czyjaś żona jest w ciąży i wszyscy chcieliby wiedzieć. Co mam im odpowiedzieć?

— Eddie, nie posiadam żadnych informacji.

— Jezu, Tom. Jesteś kierownikiem działu.

— Wiem. Pozwól, żebym sprawdził w Cork, co biegli robili u nich. Byli tam w ubiegłym tygodniu.

— Godzinę temu rozmawiałem z Colinem. Dział operacyjny wysłał tam dwóch ludzi. Na jeden dzień. Bardzo uprzejmych. Nie to, co u nas.

— Żadnej inwentaryzacji?

— Żadnej.

— Dobra - westchnął Sanders. - Pozwól mi się tym zająć.

— Słuchaj, Tommy - rzekł Eddie. - Mówiąc szczerze, bardzo niepokoi mnie fakt, że jeszcze nic nie wiesz.

— Mnie też - oznajmił Sanders. - Mnie też.

Rozłączył się, a potem wybrał K-A-P, aby połączyć się ze Stefanią Kaplan. Będzie wiedziała, co się dzieje w Austin, i chyba wyjaśni mu wszystko. Ale jej sekretarka poinformowała, że Kaplan wróci dopiero po południu. Zadzwoił do Mary Annę, ale jej również nie było. Potem zadzwonił do hotelu "Cztery Pory Roku"

dowiedział się, że numer pana Dorfmana jest zajęty. Zanotował w pamięci, że powinien zobaczyć się z Maksem później. Jeżeli bowiem Eddie się nie mylił, to właśnie Sanders został wyłączony z gry. Byłby to fatalny znak.

Mógł porozmawiać z Meredith na temat zamknięcia zakładów pod koniec porannego zebrania z ludźmi z Conley-White. I właściwie na tym kończyły się jego możliwości. Z pewnym skrepowaniem myślał o perspektywie spotkania z Meredith. Ale przecież nie miał wyboru.

Gdy wszedł do sali konferencyjnej na czwartym piętrze, nikogo w niej nie było. W drugim końcu pomieszczenia na tablicy umieszczony był przekrój stacji Twinkle i schemat linii produkcyjnej w Malezji. W notatnikach widniały nagryzmołone zapiski, przy niektórych krzesłach stały teczki.

Zebranie było już w toku.

Sanders poczuł ogarniającą go panikę. Zaczął się pocić.

Do sali weszła pracownica i zaczęła ustawiać na stole szklanki i butelki z wodą.

— Gdzie są wszyscy? - zapytał Sanders.

— Och, wyszli jakieś piętnaście minut temu - wyjaśniła.

— Piętnaście minut temu? W takim razie, kiedy się zaczęło zebranie?

— O ósmej.

— Ósmej! - powtórzył Sanders. - Myślałem, że było zaplanowane na ósmą trzydzieści.

— Nie, zebranie zaczęło się o ósmej.

— Cholera! A gdzie są teraz?

— Meredith zabrała wszystkich do ŚIW, na pokaz Korytarza.

145

Wchodząc do ŚIW, Sanders usłyszał przede wszystkim śmiech. Znalazłszy się w pracowni, zauważył dwóch przedstawicieli Conley-White podłączonych do systemu. John Conley, młody prawnik, i Jim Daly, bankier, mieli na twarzach gogle i szli po kulkowych chodnikach, uśmiechając się szeroko. Wszyscy obecni w pomieszczeniu śmieli się również. Uśmiechał się nawet zazwyczaj skrzywiony Ed Nichols, stojący przy monitorze pokazującym obraz wirtualnego Korytarza widziany przez użytkowników. Nichols miał na czole czerwone ślady pozostawione przez gogle.

— Wprost fantastyczne - oznajmił, gdy Sanders podszedł do niego.

— Tak, bardzo widowiskowe - zgodził się Sanders.

— Po prostu fantastyczne. Gdy zobaczą to w Nowym Jorku, przestaną mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Pytaliśmy Dona, czy jest szansa podłączenia tego systemu do bazy danych naszej firmy.

— Żaden problem - odparł Cherry. - Jeżeli dostarczycie naszym programistom dojście do waszej BD, włączymy się błyskawicznie. Cała operacja zajmie nam jakąś godzinę.

— I możemy wziąć jedno z tych urządzeń do Nowego Jorku? -

Nichols wskazał gogle.

— Jasne - odparł Cherry. - Wyślemy je jeszcze dzisiaj. Dotrą na miejsce w czwartek, razem z naszym człowiekiem, który wam wszystko ustawi.

146

- To powinien być wspaniały akcent marketingowy - stwierdził Nichols. - Po prostu rewelacyjny. - Wyjął okulary. Miały dość skomplikowaną konstrukcję i można je było złożyć tak, że zajmowały bardzo mało miejsca. Nichols rozłożył je uważnie i włożył na nos.

Poruszający się po chodniku John Conley śmiał się głośno.

— Aniele - zapytał - w jaki sposób mam otworzyć szufladę? - A potem pochylił głowę, nasłuchując.

— Rozmawia z aniołem pomocy - wyjaśnił Cherry. - Słyszysz odpowiedzi anioła w słuchawkach.

— A co mówi mu anioł? - zapytał Nichols.

— To sprawa między nim a jego aniołem - roześmiał się Cherry.

Stojący na chodniku Conley kiwał głową słuchając, a potem wyciągnął rękę przed siebie. Zacisnął palce, jakby coś chwycił, i pociągnął do siebie, tak jak ktoś wyciągający szufladkę kartoteki.

Na monitorze Sanders zobaczył wirtualną szufladkę, wysuwającą się ze ściany korytarza. W jej środku znajdowały się równiutko ułożone teczki.

- Ooo! - zawołał Conley. - Doskonale! Aniele, czy mogę przejrzeć teczkę?... Aha, dobrze.

Conley wyciągnął rękę i dotknął czubkiem palca etykiety na

teczce. Teczka natychmiast wyskoczyła z szufladki i otworzyła się, wisząc w powietrzu.

- Od czasu do czasu musimy odwoływać się do swego rodzaju metafory - stwierdził Cherry. - Użytkownik może posługiwać się tylko jedną ręką. A nie można otworzyć normalnej teczki jedną ręką.

Stojący na czarnym chodniku Conley poruszał dłonią zataczając niewielkie łuki. Naśladował kogoś, kto przerzuca kartki. Na monitorze Sanders zobaczył, że Conley przegląda teraz szereg tabel.

— Hej! - zawołał Conley - powinniście być trochę ostrożniejsi. Mam tu wszystkie wasze dokumenty finansowe.

— Daj spojrzeć - poprosił Daly, odwracając się na chodniku.

— Możecie oglądać, co się wam podoba - wybuchnął śmiechem Cherry. - Cieszcie się tym, póki jest szansa. W ostatecznej wersji wprowadzimy zabezpieczenia, żeby kontrolować dostęp. Ale w tej chwili obeszlśmy cały ten system. Czy zauważyliście, że niektóre cyfry są czerwone? Oznacza to, że zgromadzono tu więcej szczegółów. Proszę dotknąć.

147

Conley dotknął czerwonej cyfry. Numer powiększył się gwałtownie, tworząc nową płaszczyznę informacji, która zawisła w powietrzu ponad poprzednią tabelą.

— O, rany!

— Coś w rodzaju hipertekstu - oznajmił Cherry, wzruszając ramionami. - Bardzo zgrabne, jeżeli o mnie chodzi.

Conley i Daley chichotali, dotykając szybko różnych numerów

na tabelach i powiększając tuziny szczegółowych tabel, wiszących wokół nich w powietrzu.

— Hej, jak się pozbyć tego bałaganu?

— Czy możecie znaleźć pierwszą tabelę?

— Jest schowana pod tym wszystkim.

— Pochyl się i popatrz. Zobacz, czy tam jest.

Conley zgiął się wpół, robiąc wrażenie, jakby pod coś zaglądał.

Wyciągnął rękę i schwycił powietrze.

— Mam ją.

— Dobra. A teraz odzyskaj zieloną strzałkę w prawym rogu.

Dotknij jej.

Conley spełnił polecenie. Wszystkie dokumenty zwinęły się,

znikając w pierwszej tabelce.

— Rewelacyjne!

— Ja też chcę tak zrobić! - zawołał Daly.

— Nie, nie możesz. Ja to zrobię.

— Nie, ja!

— Ja?

Obaj śmieli się jak uszczęśliwione dzieciaki.

Pojawił się Blackburn.

— Wiem, że wszyscy świetnie się tym bawią - zwrócił się do

Nicholsa - ale mamy już opóźnienie i może powinniśmy wrócić do

sali konferencyjnej.

— W porządku - odparł z wyraźną niechęcią Nichols. Od-

wrócił się do Cherry'ego. - Jesteś pewien, że możesz dać nam

jedną z tych rzeczy?

— Możesz na to liczyć - oznajmił Cherry.

Wracając do sali konferencyjnej, przedstawiciele Conley-White byli rozbawieni. Rozmawiali ze sobą hałaśliwie, ze śmiechem wspominając niedawne przeżycia. Pracownicy DigiComu szli obok spokojnie, nie chcąc psuć im świetnego nastroju. W tej właśnie chwili Mark Lewyn zrównał krok z Sandersem i szepnął:

— Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie wieczorem?

— Dzwoniłem - odparł Sanders.

Lewyn pokręcił głową.

— Gdy wróciłem do domu, nie było żadnej wiadomości - oznajmił.

- Rozmawiałem z twoim aparatem zgłoszeniowym. Około szóstej piętnaście.

— Nie dostałem żadnej informacji - powtórzył Lewyn. -

A kiedy przyszedłem do pracy, nie było cię. - Przyciszył głos. -

Chryste! Co za draka. Musiałem pójść na zebranie w sprawie

Twinkle, nie mając pojęcia, jakie mam zająć stanowisko.

— Przepraszam - odparł Sanders. - Nie wiem, co się stało.

— Na szczęście Meredith poprowadziła dyskusję - wyjaśnił

Lewyn. - W przeciwnym razie siedzielibyśmy po uszy w szambie.

Prawdę mówiąc... Porozmawiamy później - rzekł, widząc, że

Johnson zwalnia, żeby pomówić z Sandersem. Lewyn odszedł.

— Gdzie, u diabła, byłeś? - zapytała Johnson.

— Myślałem, że zebranie jest o ósmej trzydzieści.

— Zadzwoiłam do ciebie do domu wieczorem, właśnie dlatego,

149

że zmieniono termin na ósmą. Chcą złapać popołudniowy samolot do Austin. Dlatego musieliśmy wszystko przesunąć.

— Nie dostałem tej wiadomości.

— Rozmawiałam z twoją żoną. Czy nie powtórzyła ci?

— Myślałem, że jest o ósmej trzydzieści.

Meredith pokręciła głową, jakby dając znak, że wyczerpała temat.

— W każdym razie - dodała - na spotkaniu o ósmej musiałam zająć inne stanowisko w sprawie Twinkle. Koniecznie powinniśmy uzgodnić pewne problemy w związku z...

— Meredith? - Idący na przdzie grupy Garvin odwrócił się, szukając jej wzrokiem. - Meredith, John ma do ciebie pytanie.

— Już idę - odpowiedziała. Jeszcze raz spojrzała ze złością na Sandersa i szybkim krokiem ruszyła naprzód.

W sali konferencyjnej w dalszym ciągu panował beztroski nastrój. Wszyscy wciąż żartowali, zajmując swoje miejsca.

Ed Nichols zaczął zebranie, zwracając się do Sandersa:

- Meredith wprowadziła nas w sprawy stacji Twinkle. Korzystając z pańskiej obecności, chcielibyśmy poznać również pana opinię.

"Musiałam zająć inne stanowisko w sprawie Twinkle" - powiedziała Meredith. Sanders zawahał się.

— Moją opinię?

— Tak - powiedział Nichols. - Jest pan przecież odpowiedzialny za Twinkle, prawda?

Sanders popatrzył na zwrócone w jego stronę twarze siedzących przy stole. Zerknął na Meredith, ale właśnie otworzyła teczkę i grzebała w papierach, wyjmując kilka wypchanych, brązowych kopert.

- No, cóż - zaczął Sanders. - Wybudowaliśmy kilka prototypów i dokładnie je przetestowaliśmy. Nie ma żadnej wątpliwości, że prototypy działały nienagannie. To najlepsze stacje na świecie.

— Rozumiem - stwierdził Nichols. - Ale teraz ruszyła już produkcja, prawda?

— Owszem.

- Mam wrażenie, że bardziej interesuje nas ocena produkcji.

Sanders zawahał się. Co powiedziała im Johnson? Siedząca z drugiej strony stołu Meredith, zamknęła teczkę, złożyła ręce pod brodą i patrzyła na niego spokojnie. Nie mógł odcyfrować wyrazu jej twarzy.

151

Co im powiedziała?

— Panie Sanders?

— No, cóż - zaczął Sanders. - Dostrajaliśmy nasze linie, rozwiązując problemy wtedy, gdy się pojawiały. To dla nas dosyć standardowa procedura. Jesteśmy wciąż na dość wczesnym etapie...

— Bardzo przepraszam - przerwał mu Nichols. - Odniosłem wrażenie, że prowadzicie produkcję od dwóch miesięcy.

— Tak, rzeczywiście.

— Wydaje mi się, że dwa miesiące trudno nazwać "wczesnym etapem".

— No, cóż...

— Cykle produkcyjne niektórych waszych produktów trwają zaledwie dziewięć miesięcy, prawda?

— Owszem. Dziewięć do osiemnastu.

— A więc po dwóch miesiącach powinniście mieć w pełni rozwiniętą produkcję. Prosiłbym o jej ocenę z punktu widzenia osoby odpowiedzialnej za produkcję.

— No cóż, powiedziałbym, że napotymane problemy są dosyć standardowe i często występują w podobnych momentach.

— Bardzo ciekawe - stwierdził Nichols. - Ponieważ kilkadziesiąt minut temu Meredith poinformowała nas, że w rzeczywistości kłopoty są dość poważne. Sugerowała nawet konieczność powrotu do fazy projektowej.

Cholera.

Jak powinien teraz rozegrać tę sytuację? Przecież przed chwilą zbagatelizował cały problem. Nie mógł się już z tego wycofać.

Nabrał powietrza i odparł:

— Mam nadzieję, że Meredith nie wyciągnęła niewłaściwych wniosków z moich słów. Mam pełne zaufanie do naszych możliwości produkcji stacji Twinkle.

— Jestem tego pewien - odpowiedział Nichols. - Ale zdajemy sobie sprawę z silnej konkurencji ze strony Sony i Philipsa i nie jestem pewien, czy to zwykłe zapewnienie o pańskiej wierze nam

wystarczy. Ile stacji schodzących z linii spełnia wymogi techniczne.

— Nie dysponuję taką informacją.

— Tylko w przybliżeniu.

- Nie chciałbym mówić na ten temat bez dokładnych danych.

- Czy są one dostępne?

152

- Owszem. Nie mam ich jednak przy sobie.

Nichols zmarszczył brwi. Z wyrazu jego twarzy łatwo można było odczytać: dlaczego więc nie wzięłeś ich, skoro wiedziałeś, na jaki temat ma być zebranie?

Conley odchrząknął.

- Meredith powiedziała - oznajmił - że linia pracuje na dwadzieścia dziewięć procent mocy i że jej produkcja tylko w pięciu procentach spełnia wymogi techniczne. Czy zgadza się pan z tymi danymi?

- Mniej więcej tak się przedstawia sytuacja. Owszem.

Wokół stołu zapadła nagle cisza. Nichols pochylił się gwałtownie do przodu.

— Obawiam się, że czegoś tu nie rozumiem - rzekł. - Znając te cyfry, na jakiej podstawie opiera pan swoje zaufanie do stacji Twinkle?

— Dlatego, że bywały już analogiczne sytuacje - odparł Sanders. - Stykaliśmy się z problemami produkcyjnymi, które wydawały się nie do pokonania, a które potem szybko zostały rozwiązane.

— Rozumiem. Więc przypuszcza pan, że sytuacja jest ana-

logiczna?

— Tak, owszem.

Nichols odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi. Sprawiał wrażenie wyraźnie niezadowolonego.

Jim Daly, szczupły bankier, pochylił się do przodu i powiedział:

— Proszę nas źle nie zrozumieć, Tom. Nie próbujemy stawiać cię w kłopotliwej sytuacji. Już dawno temu ustaliliśmy kilka powodów, dla jakich zdecydowaliśmy się nabyć tę firmę, bez względu na ewentualne problemy z Twinkle. A więc nie sądzę, aby Twinkle stanowił w dniu dzisiejszym jakiś istotny problem. Chcemy po prostu zorientować się, co się w tej chwili dzieje w firmie.

I pragniemy, abyś był wobec nas maksymalnie szczery.

— No cóż, rzeczywiście istnieją problemy - stwierdził Sanders, - Jesteśmy obecnie w trakcie ich oceniania. Mamy już pewne koncepcje rozwiązań. Ale niektóre zagadnienia będą musiały zostać rozpracowane od nowa.

— Przedstaw najgorszą ewentualność - poprosił Daly.

— Najgorszą? Zatrzymamy linię. Zmodyfikujemy projekt obudowy oraz, być może, czipy sterownika i wrócimy do produkcji.

153

—
Jakie to spowoduje opóźnienie?

Dziewięć do dwunastu miesięcy.

— Do sześciu miesięcy - oznajmił Sanders.

— Jezu! - szepnął ktoś.

— Meredith sugerowała, że maksymalne opóźnienie wyniesie do sześciu tygodni - oznajmił Daly.

— Mam nadzieję, że się nie myli. Ale pytał pan o najmniej korzystny wariant.

— Czy naprawdę sądzi pan, że potrwa to sześć miesięcy?

— Są to najbardziej pesymistyczne przypuszczenia. Uważam je za mało prawdopodobne.

— Ale możliwe?

— Tak, możliwe.

Nichols pochylił się do przodu i westchnął ciężko:

— Sprawdźmy, czy dobrze pana zrozumiałem. Wszystkie problemy związane z produkcją stacji zaistniały pod pańskim nadzorem.

Czy mam rację?

— Tak.

Nichols pokręcił głową.

- No, cóż. Skoro wpakował nas pan w tę kabałę, to czy rzeczywiście sądzi pan, że jest najwłaściwszą osobą, która może ją rozwikłać?

Sanders stłumił przyływ gniewu.

- Tak, owszem - stwierdził. - Prawdę mówiąc uważam się za człowieka, który najlepiej potrafi się z tą sprawą uporać. Jak już powiedziałem, poprzednio miały miejsce podobne sytuacje i dawaliśmy sobie z nimi radę. Doskonale znam wszystkich ludzi związanych z projektem i produkcją Twinkle i jestem pewien, że potrafimy uporać się z wszystkimi trudnościami. - Zastanawiał się nad

sposobem wyjaśnienia tym ludziom w garniturach, jak naprawdę wygląda produkcja. - Gdy pracuje się w cyklach produkcyjnych - zaczął - czasami powrót do etapu projektowania nie jest wcale tak groźny. Nikt tego nie lubi, ale ma to również swoje zalety. Dawniej prawie Rokrocznie przygotowywaliśmy całą generację nowych wyrobów, teraz coraz częściej wprowadzamy liczne modyfikacje w obrębie jednej generacji. Jeżeli będziemy musieli przerobić czipy, być może zdołamy wprowadzić do programu także algorytmy upakowania wizji, których nie było w chwili, gdy zaczynaliśmy.

154

Dzięki temu prędkość dostępu zwiększy się dla użytkownika bardziej, niż miałyby to miejsce wyłącznie w przypadku odwoływania się do osiągnięć technicznych. A wtedy nie będziemy produkować stacji o czasie dostępu wynoszącym sto milisekund, będziemy robili osiemdziesięciomilisekundowe.

— Jednak - zareplikował Nichols - nie wejdziecie na rynek w odpowiednim czasie.

— Owszem, to prawda.

— Nie wprowadzicie znaku firmowego ani nie zdobędziecie części rynku dla waszego sprzętu. Nie macie jeszcze sieci handlowej ani zorganizowanego marketingu, ani kampanii reklamowej, ponieważ nie macie też niczego do zaoferowania. Możecie mieć w przyszłości lepszą stację, lecz to będzie nieznaną produkt.

Zaczniecie od zera.

— Zgoda. Ale rynek reaguje szybko.

— Podobnie jak konkurencja. Gdzie będzie Sony w chwili, gdy wejdziecie na rynek? Może również osiągną osiemdziesiąt milisekund?

- Nie wiem - odparł Sanders.

Nichols westchnął.

— Chciałbym mieć nieco więcej pewności co do sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Nie mówiąc już o moich wątpliwościach, co do prawidłowości obsady personalnej.

— Może jest w tym nieco mojej winy - odezwała się po raz pierwszy Meredith. - Kiedy rozmawialiśmy na temat Twinkle, Tom, odniosłam wrażenie, że te kłopoty są dość poważne.

— Owszem, są.

— No cóż, nie sądzę, abyśmy chcieli cokolwiek ukrywać.

— Niczego nie ukrywam. - Jego odpowiedź padła, zanim sobie to uświadomił. Usłyszał własny głos - piskliwy i pełen napięcia.

— Nie, nie - odparła uspokajająco Meredith. - Nie miałam zamiaru sugerować czegoś takiego. Po prostu problematyka techniczna jest dla wielu z nas zbyt trudna. Szukamy dostępnego dla laika wyjaśnienia sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Gdybyś mógł to dla nas zrobić.

— Właśnie się staram - odparował. Czuł, że zachowuje się defensywnie. Ale nic nie mógł na to poradzić.

- Tak, Tom, zdaję sobie z tego sprawę - kontynuowała

Meredith. W dalszym ciągu mówiła takim samym uspokajającym tonem. - Ale jeśli na przykład laserowa głowica odczytu zapisu jest nie zsynchronizowana z podzbiorem m rozkazów czipu sterownika, jakiego rodzaju przestój może to dla nas oznaczać?

Popisywała się znajomością terminologii technicznej, ale jej słowa wytrąciły go z równowagi. Przecież głowice laserowe służyły wyłącznie do odczytu, a nie zapisu i nie miały nic wspólnego z podzbiorem m czipu sterownika. Sterowanie położenia było przeprowadzane przez podzbiór x. A podzbiór x był licencjonowanym kodem programu Sony, stanowiącym część programu obsługującego, który każda firma wykorzystywała w swoich stacjach CD.

Nie chcąc, aby jego odpowiedź wprowadziła Meredith w zakłopotanie, musiał posłużyć się fantazją, w której ani jedno słowo nie było prawdziwe.

- No, cóż - stwierdził. - Poruszyłaś istotny problem,

Meredith. Ale mam wrażenie, że podzbiór m jest stosunkowo prostą sprawą, zakładając, że głowice laserowe trasują w granicach tolerancji. Załatwienie tego powinno zająć dwa, trzy dni.

Zerknął szybko na Cherry'ego i Lewyna, jedynych ludzi w sali konferencyjnej, którzy wiedzieli, że Sanders mówi bzdury. Obydwaj mężczyźni z powagą kiwali głowami. Cherry nawet pocierał brodę.

- Czy spodziewasz się kłopotów z asynchronicznymi sygnałami trasującymi z płyty głównej? - zapytała Johnson.

Znowu wszystko poplątała. Sygnały trasujące pochodziły ze

źródła zasilania i były regulowane przez czip sterownika. W jednostkach napędu nie było płyty głównej. Ale teraz Sanders dał się już ponieść fantazji. Odpowiedział szybko:

- To rzeczywiście warto rozważyć, Meredith, i powinniśmy sprawdzić tę możliwość dokładnie. Mam wrażenie, że przekonamy się, iż asynchroniczny sygnał może być zaledwie przesunięty fazowo.

- Czy przesunięcie fazowe jest łatwe do usunięcia?

- Owszem, tak sędzę.

Nichols odchrząknął.

- Mam wrażenie, że jest to wewnętrzna, techniczna sprawa firmy - oznajmił. - Może przeszlibyśmy obecnie do innych spraw. Jaki jest następny punkt porządku dnia?

156

—
Zaplanowaliśmy teraz pokaz kompresji obrazu wideo -

oznajmił Garvin. - Będzie przeprowadzony w pracowni w końcu korytarza.

— Doskonale. Przejdźmy tam.

Krzesła zaszurały po podłodze. Wszyscy wstali i wyszli z pomieszczenia. Meredith została, aby spakować dokumenty. Sanders również zatrzymał się na chwilę.

Gdy zostali sami, Sanders zapytał:

- Co tu jest, u diabła, grane?

— Co takiego?

— Chodzi mi o te bzdury na temat czipu sterownika i głowic

odczytu. Przecież nie wiedziałaś, o czym mówisz.

— Bardzo dobrze wiedziałam - odpowiedziała ze złością. -

Wyciągałam firmę z kłopotów, w jakie nas wpakowałeś. - Pochyliła

się nad stołem i spojrzała na niego wściekle. - Posłuchaj, Tom.

Postanowiłam pójść za twoją wczorajszą radą i powiedzieć prawdę

o stacji dysków. Tego ranka wyjaśniłam im, że mamy z nią bardzo

poważne kłopoty. Zorganizowałam wszystko tak, żebyś mógł

powiedzieć to, co mówiłeś wczoraj. Ale ty oświadczyłeś, że są to

problemy bez znaczenia.

— Myślałem, że ubiegłego wieczoru uzgodniliśmy...

— Ci ludzie nie są głupcami i nie udałoby się nam ich

oszukać. - Zatrzasnęła teczkę. - W dobrej wierze powtórzyłam

to, co mi wczoraj powiedziałeś. A ty oświadczyłeś, że nie masz

zielonego pojęcia, o czym mówię.

Przygryzł wargę, usiłując opanować gniew.

-*Nie wiem, co ty sobie właściwie wyobrażasz - ciągnęła

dalej. - Tych ludzi nie obchodzą szczegóły techniczne. Nie

odróżniliby głowicy odczytu od sztucznego penisa. Po prostu

sprawdzają, czy ktoś panuje nad tą sprawą, czy jest ktoś, kto

potrafi uporać się z kłopotami. Chcieli się tylko upewnić. A ty co

158

zrobiłeś? Musiałam więc się włączyć i nafaszerować ich kupą

technopieprzenia. Musiałam wszystko po tobie uporządkować.

Starałam się najlepiej, jak mogłam. Ale spójrzmy prawdzie w oczy,

Tom, nie byłeś dziś źródłem pewności i zaufania. Ani trochę.

— Do diabła! - zaklął. - Mówisz po prostu o pozorach. Gra pozorów na zebraniu firmy. Ale w końcu ktoś musi naprawdę poprawić tę cholerną stację dysków...

— Powiedziałam...

— A ja prowadziłem ten dział od ośmiu lat i robiłem to dobrze...

— Meredith. - Garvin wsunął głowę przez drzwi. Umilkli.

— Czekamy, Meredith - powiedział. Odwrócił się i spojrzał zimno na Sandersa.

Meredith wzięła teczkę i wyszła z sali konferencyjnej.

Sanders natychmiast zszedł do biura Blackburna.

- Muszę widzieć się z Philem.

Sandra, jego sekretarka, westchnęła:

— Jest dziś dosyć zajęty.

— Muszę go widzieć natychmiast.

— Zaraz sprawdzę, Tom. - Połączyła się z gabinetem. - Phil?

Jest tu Tom Sanders. - Słuchała przez chwilę. - Powiedział, że możesz wejść.

Sanders wszedł do gabinetu Blackburna i zamknął za sobą drzwi.

Prawnik wstał zza biurka i przesunął dłońmi po klapach marynarki.

- Tom, cieszę się, że wpadłeś.

Podali sobie ręce.

— Nie układa mi się z Meredith - powiedział Sanders.

W dalszym ciągu był na nią wściekły.

— Tak, wiem.

— Nie sądzę, abym mógł z nią pracować.

Blackburn skinął głową.

— To też wiem. Już mi powiedziała.

— Jak? A co takiego?

— Powiedziała mi o waszym wieczornym spotkaniu, Tom.

Sanders zmarszczył czoło. Nie wyobrażał sobie, że mogłaby omawiać z Philem to wydarzenie.

— Z ubiegłego wieczoru?

— Powiedziała, że nagabywałaś ją seksualnie.

160

—

Co robiłem?

— Daj spokój, Tom, nie unos się. Meredith zapewniła mnie, że nie wniesie skargi. Możemy załatwić wszystko po cichu, w firmie.

Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Prawdę mówiąc, właśnie przeglądałem schematy organizacyjne i...

— Chwileczkę - przerwał mu Sanders. - Powiedziała, że ja ją nagabywałem?

Blackburn popatrzył na niego.

— Tom. Jesteśmy od dawna przyjaciółmi. Mogę cię zapewnić, że nie będziemy nadawać rozgłosu tej sprawie. Wiadomość nie musi rozejść się po firmie. Nie ma też potrzeby, aby się o tym dowiedziała twoja żona. Jak już powiedziałem, możemy załatwić wszystko po cichu. Ku zadowoleniu zainteresowanych.

— Poczekaj, przecież to nieprawda...

— Tom, jeszcze minutkę, proszę. Teraz najważniejsze dla nas

jest rozdzielenie was obojga. Tak więc nie musisz się z nią

kontaktować. Mam wrażenie, że poziomy awans byłby dla ciebie idealnym rozwiązaniem.

— Poziomy awans?

— Tak. Jest wakat na stanowisku wiceprezesa do spraw technicznych w wydziale produkcji telefonów komórkowych w Austin. Chcę cię tam przenieść. Będziesz miał taką samą wysługę lat, pensję i wszystkie przywileje. Wszystko to samo, z tą jedynie różnicą, że znajdziesz się w Austin i nie będziesz musiał mieć z Meredith żadnego bezpośredniego kontaktu. Jak się na to zapatrujesz?

— Austin?

— Tak.

— Telefony komórkowe?

— Tak. Wspaniała pogoda, sympatyczne warunki pracy...

Miasto uniwersyteckie... Możliwość przeniesienia rodziny z tego ciągłego deszczu...

- Ale Conley ma zamiar sprzedać Austin - stwierdził Sanders.

Blackburn usiadł za biurkiem.

— Nie mam pojęcia, skąd ta informacja, Tom - powiedział spokojnie. - To absolutnie nieprawda.

— Jesteś tego pewien?

— Całkowicie. Wierz mi, sprzedaż Austin jest ostatnią rzeczą, jaką by zrobili. Przecież to nie miałoby zupełnie sensu.

W takim razie dlaczego przeprowadzają inwentaryzację zakładu?

— Jestem pewien, że chodzi o skrupulatność w interesach.

Posłuchaj, Tom. Conley martwi się o płynność finansową po zakupie, a zakłady w Austin, jak wiesz, są bardzo dochodowe. Przekazaliśmy im dane. Teraz je weryfikują, sprawdzają, czy są prawdziwe. Ale nie ma mowy, żeby sprzedali zakład. Popyt na telefony komórkowe może tylko rosnąć, Tom. Wiesz o tym. I dlatego sądzę, że wiceprezesura w Austin jest dla ciebie wspaniałą szansą, którą powinieneś rozważyć.

— Ale opuścę Oddział Wysoko Przetworzonych Produktów?

— No cóż, tak. W końcu chodzi o to, żeby cię stąd zabrać.

— I w takim razie nie będę udziałowcem nowej spółki w chwili jej oddzielenia.

— Zgadza się.

Sanders chodził tam i z powrotem po pokoju.

— Absolutnie nie do przyjęcia.

— No cóż, lepiej się nie spieszymy - oznajmił Blackburn. -

Rozważmy wszystkie za i przeciw.

— Phil - odezwał się Sanders. - Nie wiem, co ci opowiedziała

Meredith, ale... \

— Opowiedziała mi całą historie\

— Ale uważam, że powinieneś wiedzieć...

— A ja chciałbym, żebyś uwierzył, Tom odparł Blackburn -

że nie zajmuję się oceną tego, co mogło się wydarzyć. To nie moje

zmartwienie i cała sprawa wcale mnie nie interesuje. Usiłuję jedynie

rozwiązać kłopotliwy problem dla firmy.

— Posłuchaj, Phil. Nie zrobiłem tego.

— Chyba wiem, co czujesz, ale...

— Wcale jej nie nagabywałem. To ona była agresywna.

— Jestem pewien - stwierdził Blackburn - że mogłeś odnieść wówczas takie wrażenie, ale...

— Phil, powtarzam ci. Niemal mnie zgwałciła. - Sanders
chodził*wściekle po gabinecie. - Phil. To ona mnie nagabywała.

Blackburn westchnął i usiadł w fotelu. Postukał ołówkiem
w krawędź blatu.

— Powiem ci szczerze, Tom. Trudno mi w coś takiego uwierzyć.

— Ale tak się stało.

— Meredith jest piękną kobietą. Pełną życia, seksowną. Uwa-

162

zam więc, że to zupełnie naturalne dla mężczyzny... hmm... stracić
kontrolę nad sobą.

- Phil, wcale nie słuchasz. Ona napastowała mnie.

Blackburn bezradnie wzruszył ramionami.

— Słyszałem dobrze, Tom. Po prostu trudno mi... Trudno mi
wyobrazić sobie taką sytuację.

— No cóż, ale tak zrobiła. Czy chcesz usłyszeć, co się naprawdę
stało tamtej nocy?

— No, cóż. - Blackburn poprawił się w fotelu. - Oczywiście,
że chcę wysłuchać twojej wersji. Ale rzecz w tym, Tom, że Meredith

Johnson ma bardzo* dobre układy w firmie. Wywarła świetne

wrażenie na bardzo wielu wyjątkowo ważnych osobach.

— Chodzi ci o Garvina.

— Nie tylko. Meredith zorganizowała sobie poparcie w kilku sferach.

— Conley-White?

Blackburn skinął głową.

— Tak. Tutaj również.

— Nie chcesz wysłuchać, co mam do powiedzenia?

— Oczywiście, że chcę - odparł Blackburn, przesuwając dłonią po włosach. - Oczywiście. I zamierzam być absolutnie bezstronny.

Ale próbuję ci wyjaśnić, że bez względu na wszystko, będziemy musieli dokonać tutaj pewnych przesunięć. A Meredith ma poważnych sojuszników.

— A więc to, co powiem, nie ma znaczenia?

Blackburn zmarszczył brwi, obserwując spacerującego po gabinecie Sandersa.

- Doskonale rozumiem twoje zmartwienie. Wyobrażam je sobie. Jesteś cenionym pracownikiem w naszej firmie. Ale próbuję cię skłonić, Tom, żebyś zwrócił uwagę na okoliczności.

— Jakie? - zapytał Sanders.

Blackburn westchnął.

— Czy byli jacyś świadkowie? Ubiegłego wieczoru?

— Nie.

— A więc mamy twoje słowo przeciwko jej.

— Chyba tak.

- Innymi słowy, mamy do czynienia z zawodami w obrzucaniu

błotem. ,

163

—

Co? Nie ma powodu zakładać, że ja mówię nieprawdę, a ona prawdę.

— Oczywiście, że nie - odparł Blackburn. - Ale sam oceń sytuację. Mężczyzna zgłaszający skargę przeciwko kobiecie o napastowanie seksualne jest, no cóż, dość niezwykłym zjawiskiem. Nie sądzę, żeby w naszej firmie zaistniał taki incydent. Co nie oznacza, że nie mogło się zdarzyć. Sugeruję, że będziesz miał ostro pod górkę - nawet gdyby Meredith nie dysponowała tak dobrymi koneksjami. - Przerwał na chwilę. - Po prostu nie chciałbym, żebyś ucierpiał z powodu tej afery.

— Już ucierpiałem.

— Znowu zaczęliśmy mówić o emocjach. Sprzeczne zeznania i na nieszczęście, Tom, nie ma żadnych świadków. - Potarł nos i poprawił klapy.

— Przenosicie mnie z OWPP i w ten sposób jestem poszkodowany, ponieważ nie będę udziałowcem nowo powstającej spółki.

W firmie, w której pracowałem przez dwanaście lat.

— Bardzo ciekawy przypadek prawny - stwierdził Blackburn.

— Nie mówię o przypadku prawnym, ale...

— Posłuchaj, Tom. Pozwól, że omówię tę sprawę z Garvinem.

A tymczasem, może byś przemyślał propozycję Austin. Zastanów

się poważnie. Ponieważ w zawodach w obrzucaniu się błotem nie ma zwycięzców. Może sprawisz kłopoty Meredith, ale sobie wy-
rządzisz jeszcze większą szkodę. Martwię się tym, jako twój
przyjaciel.

— Ale jeżeli jesteś moim przyjacielem... - zaczął Sanders.

— Jestem twoim przyjacielem - oznajmił Blackburn. - Bez
względu na to, jak oceniasz\ mnie w tej chwili. - Wstał zza
biurka. - Ten cały epizod nie musi dotrzeć do prasy. Nie musi
o tym dowiedzieć się ani twoja żona, ani dzieci. Nie musisz stać się
obiektem plotek w Bainbridge do końca lata. Przecież nic na tym
nie zyskasz.

- Rozumiem, ale...

- Ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Tom - kontynuował
Blackburn. - Do firmy docierają sprzeczne wersje. Stało się, co się
stało. Musimy wychodzić z tego właśnie punktu widzenia. Uwierz,
że chciałbym rozwiązać tę sprawę szybko. A więc zastanów się
spokojnie, proszę. I wróc do mnie.

164

Po wyjściu Sandersa, Blackburn zadzwonił do Garvina.

- Właśnie z nim rozmawiałem - powiedział.

— I?

— Powiedział, że wszystko było na odwrót. Że to ona go
nagabywała.

— Chryste! - odparł Garvin. - Co za szambo.

— Tak. Ale z drugiej strony spodziewałeś się, że tak powie -

rzekł Blackburn. - To normalna reakcja w takich przypadkach.

Mężczyzna zawsze zaprzecza.

— Tak. No, cóż. Sytuacja jest niebezpieczna, Phil.

— Rozumiem.

— Nie chciałbym, aby cała sprawa wybuchła nam prosto w nos.

— Nie, nie.

— Obecnie najważniejszą rzeczą jest rozwiązanie tego problemu.

— Rozumiem, Bob.

— Złożyłeś mu ofertę w sprawie Austin?

·- Tak. Ma ją przemyśleć.

— Czy ją przyjmie?

— Przypuszczam, że nie.

— Czy naciskałeś na niego?

— Próbowałem go przekonać, że nie opuścimy Meredith. Że będziemy ją popierać w tej sprawie.

— To jasne jak słońce - stwierdził Garvin.

165

—

Mam wrażenie, że dobrze to zrozumiał. A więc poczekajmy, co nam powie, kiedy wróci.

— Chyba nie pójdzie złożyć skargi, co?

— Jest na to za sprytny.

— Miejmy nadzieję - stwierdził z irytacją Garvin i odłożył słuchawkę.

- Chcę, żebyś zwrócił uwagę na okoliczności.

Sanders stał w Pioneers Park opierając się o słup i patrzył na padającą mżawkę. Wspominał swoją rozmowę z Blackburnem.

Phil nawet nie chciał wysłuchać jego wersji. Nie pozwolił jej przedstawić. Już wiedział, co się stało.

Jest bardzo piękną, seksowną kobietą. Uważam więc, że to zupełnie naturalne dla mężczyzny... stracić panowanie nad sobą.

Tak właśnie pomyślą wszyscy w DigiComie. Każdy człowiek w firmie tak właśnie będzie interpretować cały incydent. Blackburn stwierdził, że trudno mu uwierzyć, iż Sanders był napastowany.

Inni będą tego samego zdania.

Powiedział mu, że nieważne, co się stało. A także, że Meredith ma dobre znajomości, a poza tym nikt nie uwierzy, że mężczyzna był nagabywany przez kobietę.

Zwróć uwagę na okoliczności.

Chcę, żeby opuścił Seattle, porzucił OWPP. Żadnych opcji, żadnych wielkich zysków. Żadnej nagrody za dwanaście długich lat ciężkiej pracy. Wszystko przepadło...

Austin. Gorące jak piekarnik, suche, nowiuteńkie.

Susan nigdy się na coś takiego nie zgodzi. Jej praca w Seattle przynosiła sukcesy, poświęciła wiele lat na budowanie swojej kariery.

Właśnie skończyli przeróbkę domu. Dzieciakom się tu podobało.

Gdyby Sanders choćby tylko zasugerował przeprowadzkę, Susan nabrałaby podejrzeń. Chciałaby wiedzieć, co się za tym kryje

i prędzej czy później, dowiedziałyby się o wszystkim. Gdyby zgodził się na przeniesienie, stanowiłoby to w jej oczach potwierdzenie winy. Bez względu na to, jak długo Sanders rozmyślał, próbując wszystko uporządkować, nie mógł znaleźć dobrego wyjścia. Wyrzucili go.

Jestem twoim przyjacielem, Tom. Niezależnie od tego, jak oceniasz mnie w tej chwili.

Przypomniał sobie swój ślub z Susan, gdy Blackburn, jego drużba, powiedział, że chce zanurzyć obrączkę Susan w oliwie z oliwek, ponieważ zwykle są kłopoty z włożeniem jej na palec. Blackburn - przerażony, że jakiś drobiazg w całej ceremonii się nie uda. Cały Phil, zawsze przejmujący się pozorami.

Twoja żona nie musi wiedzieć o tym wszystkim.

Ale Phil wystawił go do wiatru. Phil i kryjący się za tym Garvin.

Obydwaj. Sanders pracował ciężko dla firmy przez wiele lat, a teraz nic ich nie obchodziło. Brali stronę Meredith, nie pytając go o nic.

Nie chcieli go nawet wysłuchać.

Szok powoli zaczął mijać. A razem z nim poczucie lojalności.

Zaczęła ogarniać go złość.

Wyjął telefon i wybrał numer.

— Biuro pana Perry'ego.

— Mówi Tom Sanders.

— Bardzo mi przykro, pan Perry jest w sądzie. Czy mam przekazać mu wiadomość?

— Może mogłaby mi pani pomóc. Wczoraj wspomniał mi, że

macie kobietę, która prowadzi sprawę o nagabywanie seksualne.

— Mamy paru adwokatów zajmujących się tą problematyką,

panie Sanders.

- Wspominał o kobiecie hiszpańskiego pochodzenia.

Próbował przypomnieć sobie, co jeszcze Perry o niej mówił. Coś

o tym, że jest słodka i miła? Nie mógł przypomnieć sobie dokładnie.

— To zapewne pani Fernandez.

— Czy mogłaby mnie pani z nią połączyć? - poprosił Sanders.

Gabinet Luizy Fernandez był mały, a biurko pełne dokumen-

tów i notatek ułożonych w porządne stosy. W jego kącie stał

terminal komputera. Gdy Sanders wszedł do środka, adwokatka

wstała.

- Pan Sanders, jak przypuszczam.

Była wysoką kobietą po trzydziestce o prostych blond włosach

i przystojnej, orlej twarzy. Miała na sobie zwykłą, kremową sukienkę.

Zachowywała się bezpośrednio, a jej uścisk dłoni był mocny.

- Jestem Luiza Fernandez. W czym mogę panu pomóc?

Była zupełnie inna, niż sobie wyobrażał. Nie wyglądała wcale na

słodką i miłą. I z całą pewnością nie przypominała Hiszpanki.

Był tak zaskoczony, że bez zastanowienia palnął:

- Nie wygląda pani, jak...

- Czego się pan spodziewał? - Uniosła brew. - Mój ojciec

pochoził z Kuby. Wyjechaliśmy stamtąd, kiedy byłem dzieckiem.

Proszę usiąść, panie Sanders. - Odwróciła się i wyszła zza biurka.

Usiadł, czując wyraźne zakłopotanie.

— Bardzo dziękuję, że zechciała się pani zobaczyć ze mną tak szybko.

— Nie ma za co. Czy jest pan przyjacielem Johna Perry'ego?

— Tak. Wspomniał wczoraj, że pani specjalizuje się w takich sprawach.

— Zajmuję się prawem pracy, a dokładnie wymówieniem za zgodą stron i powództwami z Artykułu VII.

169

- Rozumiem. - Czuł się głupio. Zaskoczył go jej energiczny sposób bycia i elegancka prezencja. Prawdę mówiąc, bardzo przypominała mu Meredith. Był przekonany, że nie może oczekiwać od niej współczucia.

Włożyła okulary w rogowej oprawie i popatrzyła na niego.

— Czy jadł pan coś? Jeżeli pan chce, poproszę, żeby przyniesiono kanapkę.

— Nie jestem głodny, dziękuję.

Odsunęła zjedzoną do połowy kanapkę na krawędź biurka.

- Obawiam się, że muszę za godzinę iść do sądu. Czasami lepiej trochę się pospieszyć. - Wyjęła żółty prawniczy notatnik i położyła go przed sobą. Ruchy miała szybkie i zdecydowane.

Sanders obserwował ją przekonany, że trafił na niewłaściwą osobę. Nie powinien był tu przychodzić. Popełnił błąd. Rozejrzał się po gabinecie. Zobaczył stos wezwań sądowych.

Adwokatka podniosła wzrok znad notatnika i wzięła do ręki kosztowne wieczne pióro.

— Czy zechciałby mi pan opisać sytuację?

— Hmm... Nie jestem pewien, od czego zacząć.

— Może pan najpierw podać mi swoje imię, nazwisko, adres i wiek.

— Thomas Robert Sanders. - Następnie podał adres.

— A ile ma pan lat.

— Czterdzieści jeden.

— Zawód.

— Jestem kierownikiem działu w Digital Communications.

Oddział Wysoko Przetworzonych Produktów.

— Jak długo pracuje pan w tej firmie?

— Dwanaście lat.

— Aha. A na obecnym stanowisku?

— Osiem lat.

— I czemu zawdzięczam pańską obecność, panie Sanders.

— Byłem napastowany seksualnie.

— Aha. - Nie okazała zdziwienia. Wyraz jej twarzy był

obojętny. - Czy zechciałby pan opowiedzieć mi o okolicznościach tego incydentu?

— Zostałem zaczepiony przez mojego szefa.

— Jak się nazywa?

170

—
Meredith Johnson.

— Jest mężczyzną czy kobietą.

— Kobieta.

— Aha. - Znowu żadnych oznak zdziwienia. Bez przerwy robiła notatki. Jej pióro szeleściło po papierze. - Kiedy się to stało?

— Ubiegłego wieczoru.

- Proszę dokładnie przedstawić całą sytuację.

Postanowił nie wspominać o fuzji.

— Została właśnie mianowana moim nowym przełożonym i mieliśmy kilka spraw do omówienia. Zapytała, czy nie moglibyśmy spotkać się pod koniec pracy.

— To ona zaproponowała spotkanie?

— Tak.

— I gdzie się ono odbyło?

— W jej gabinecie. O szóstej wieczorem.

— Czy był jeszcze obecny ktoś inny?

— Nie. Na chwilę weszła jej sekretarka, na samym początku, ale potem poszła do domu. Zanim cokolwiek zaszło.

— Rozumiem. Proszę mówić dalej.

— Rozmawialiśmy przez jakiś czas o interesach i wypiliśmy trochę wina. To ona zaproponowała wino. A potem zaczęła zachowywać się wyzywająco. Stałem przy oknie i nagle zaczęła mnie całować. Po dość krótkim czasie siedzieliśmy na kanapce.

I wtedy zaczęła, hmm... - zawahał się. - Jak szczegółowo mam to pani opisać?

— Na razie proszę opowiedzieć w ogólnych zarysach. - Ugryz-

ła kanapkę. - Powiedział pan, że się całowaliście.

— Tak.

— Czy ona zaczęła?

— Tak.

— I jak pan na to zareagował?

— Czułem się niezręcznie. Jestem żonaty.

— Aha. A jaka była ogólna atmosfera spotkania, zanim doszło do pocałunków?

— Zwykłe spotkanie służbowe. Rozmawialiśmy o sprawach związanych z pracą. Ale przez cały czas, robiła, hmm... znaczące uwagi.

171

—

Na przykład jakie?

— Och, o tym, jak dobrze wyglądam. W jakiej dobrej jestem kondycji. Jak się cieszy, że mnie widzi.

— Cieszy się, że pana widzi? - powtórzyła adwokatka ze zdziwieniem.

— Tak. Znaliśmy się już wcześniej.

— Czy przedtem żyliście ze sobą?

— Tak.

— Kiedy to było?

— Dziesięć lat temu.

— Czy był pan wtedy żonaty?

— Nie.

— Czy oboje pracowaliście wówczas w tej samej firmie?

— Nie. Ja pracowałem już w DigiComie, ale ona była zatrudniona w innym przedsiębiorstwie.

— Jak długo trwał państwa związek?

— Około sześciu miesięcy.

— Czy utrzymywaliście państwo później jakieś kontakty?

— Nie. Niezupełnie.

— W ogóle żadne?

— Spotkaliśmy się raz.

— W intymny sposób?

— Nie. Po prostu, wie pani, przywitanie w korytarzu. W biurze.

— Rozumiem. Czy w ciągu tych ośmiu lat był pan kiedykolwiek w jej domu lub mieszkaniu?

— Nie.

— Obiady, drinki po pracy, coś w tym rodzaju?

— Nie. Naprawdę nie widywałem się z nią. Zanim przyszła do naszej firmy, pracowała w Cupertino w dziale Operacji. Ja pracuję w Seattle. Nie mieliśmy okazji do spotkań.

— A więc w tym czasie nie była pańską przełożoną?

— Nie.

— Czy może mi pan opisać panią Johnson? Ile ma lat?

— Trzydzieści pięć.

— Czy określiłby ją pan jako atrakcyjną kobietę?

— Tak.

— Bardzo?

— W młodości była Miss Nastolatek czegoś tam.

172

—
A więc nazwałby ją pan bardzo atrakcyjną. - Pióro zaszeleściło po papierze.

— Tak.

— A inni mężczyźni? Czy również uważają ją za bardzo atrakcyjną?

— Tak.

— A jak wygląda jej stosunek do spraw seksualnych? Czy żartuje na ten temat? Opowiada dowcipy, robi aluzje, nieprzyzwoite komentarze?

— Nie, nigdy.

— Język ciała? Flirty? Czy dotyka ludzi?

— Niezupełnie. Z całą pewnością wie, że jest przystojna i potrafi to wykorzystać. Ale jej sposób bycia jest... właściwie stonowany. Jest w typie Grace Kelly.

— Powiadają, że Grace Kelly była bardzo aktywna seksualnie i miała romanse z większością wybitnych osobistości.

— Nie wiedziałem.

— Aha. A co z panią Johnson, czy miewa romanse w firmie?

- Nie wiem. Nie słyszałem o niczym.

Fernandez przerzuciła nową stronę w notatniku.

— W porządku. Od jak dawna jest pana zwierzchnikiem? Bo jest pana szefem, prawda?

— Tak, jest. Od wczoraj.

Po raz pierwszy Fernandez była rzeczywiście zaskoczona.

Popatrzyła na niego i odgryzła następny kawałek kanapki.

— Tylko jeden dzień?

— Tak. Wczoraj był pierwszy dzień funkcjonowania nowej struktury organizacyjnej firmy. Właśnie została mianowana.

— A więc w dniu swojego mianowania spotkała się z panem wieczorem.

— Tak.

— W porządku. Powiedział mi pan, że siedzieliście na kanapce i całowała pana. A co zdarzyło się potem.

— Rozpięła zamek błyskawiczny... No cóż, najpierw zaczęła mnie pocierać.

— Pańskie genitalia.

— Tak. I całowała mnie.

Poczuł, że się poci. Otarł czoło grzbietem dłoni.

173

—

Rozumiem, że to dla pana trudne. Postaram się, aby te pytania trwały jak najkrócej - oświadczyła adwokatka. -

A potem?

— Potem rozpięła mi spodnie i zaczęła pocierać mnie ręką.

— Czy pański penis był odsłonięty?

— Tak.

— Kto go odsłonił?

— Ona go wyjęła.

— A więc wyjęła pańskiego penisa ze spodni i zaczęła pocierać go ręką, czy tak? - Popatrzyła na niego znad okularów i Sanders zmieszany na chwilę odwrócił wzrok. Kiedy jednak spojrział na nią powtórnie, spostrzegł, że adwokatka wcale nie jest zakłopotana.

Zachowywała się bardziej niż z chłodną zawodową obojętnością.

— Tak - odparł. - Tak się właśnie stało.

— I jaka była pańska reakcja?

— No, cóż. - Wzruszył z zażenowaniem ramionami. - Zażenowanie.

— Był pan seksualnie podniecony?

— Tak.

— Czy coś jej pan powiedział?

— Na przykład, co?

— Po prostu zapytałam, czy coś jej pan powiedział?

— Na przykład, co? Nie wiem.

— Czy w ogóle coś jej pan powiedział?

— Coś mówiłem, nie wiem, co. Czuję się bardzo niezręcznie.

— Czy pamięta pan, co pan mówił?

— Mam wrażenie, że powtarzałem "Meredith", próbując ją powstrzymać, rozumie pani, ale wciąż mi przerywała albo mnie całowała.

— Czy mówił pan coś poza "Meredith"?

— Nie pamiętam.

— Jak się pan odnosił do tego, co robiła?

— Czuję się niezręcznie.

— Dlaczego?

— Obawiałem się tego rodzaju kontaktów, ponieważ jest obecnie moim szefem, a poza tym mam żonę i nie chcę komplikować sobie życia. Rozumie pani, biurowy romans.

— Dlaczego nie? - spytała Fernandez.

174

Pytanie zaskoczyło go.

— Dlaczego nie?

— Tak. - Popatrzyła mu prosto w oczy. Jej wzrok był chłodny, oceniający. - W końcu był pan sam z piękną kobietą.

Dlaczego nie miałby pan mieć romansu?

— Jezu!

— Większość ludzi zadałaby panu to samo pytanie.

— Jestem żonaty.

— No to co? Żonaci mężczyźni często miewają romanse.

— No, cóż - odparł. - Choćby dlatego, że moja żona jest prawnikiem i ma bardzo podejrzliwy charakter.

— Czy ją znam?

— Nazywa się Susan Handler. Pracuje u Lymana i Kinga.

Fernandez skinęła głową.

— Słyszałam o niej. A więc obawiał się pan, że żona dowie się.

— Oczywiście. Przecież jeśli ma się w biurze romans, wszyscy się o tym dowiedzą. Nie ma możliwości utrzymania całej sprawy w sekrecie.

— A więc obawiał się pan, że wszystko będzie publiczną tajemnicą?

— Tak. Ale nie tylko o to chodziło.

— A jaki był główny powód.

— Jest moim przełożonym. Nie podobała mi się sytuacja, w jakiej się znalazłem. Była, no wie pani... No cóż, jako szef ma prawo mnie wylać, jeśli by chciała. Czyli wszystko wskazywało na to, że muszę robić to, czego sobie życzy. Czułem się bardzo niezręcznie.

— Czy powiedział jej pan o tym?

— Próbowałem.

— W jaki sposób?

— No cóż, po prostu próbowałem.

— Czy można by stwierdzić, że dał pan do zrozumienia, iż jej zachowanie nie jest przez pana mile widziane?

— W końcu tak.

— Jak mam rozumieć pana słowa?

— A więc w dalszym ciągu zajmowaliśmy się tym... Można to nazwać grą wstępną, czy jakoś tam. Miała już zdjęte figi i...

— Przepraszam. W jaki sposób doszło do tego, że miała zdjęte figi?

175

—

Ściągnąłem je.

— Czy prosiła pana o ich zdjęcie?

— Nie. Ale byłem wówczas dość podniecony i miałem zamiar

to zrobić albo przynajmniej o tym myślałem.

— Miał pan zamiar odbyć stosunek.

Jej głos był znowu spokojny. Pióro szeleściło po papierze.

- Tak.

— Był pan więc dobrowolnym uczestnikiem.

— W tamtym momencie. Tak.

— W jaki sposób był pan dobrowolnym uczestnikiem? - za-

pytała. - Chodzi mi o to, czy zaczął pan dotykać ciała pani

Johnson, piersi... bez jej zachęty?

— Nie wiem. Na dobrą sprawę zachęcała mnie do wszystkiego.

— Pytam, czy czynił pan wszystko z własnej inicjatywy. Samodzielnie. Czy też na przykład ujęła pańską dłoń i położyła ją sobie na...

— Nie. Zrobiłem to z własnej woli.

— A co z wcześniejszymi oporami?

— Byłem podniecony. Pobudzony. W tamtym momencie nie myślałem o nich.

— Rozumiem. Proszę dalej.

Wytarł czoło dłonią.

— Jestem z panią bardzo szczery.

— Tak właśnie powinien się pan zachowywać. To najlepsze, co może pan zrobić. Proszę kontynuować.

— Kiedy leżała na kanapce z podwiniętą spódnicą i chciała, żebym w nią wszedł... Pojękiwała, rozumie pani, powtarzając: "Nie, nie", nagle zorientowałem się, że wcale nie mam ochoty na seks.

Powiedziałem więc: "Dobrze". Wstałem z kanapki i zacząłem się

ubierać.

— Sam pan przerwał tę sytuację.

— Tak.

— Dlatego, że powiedziała "nie"?

— Nie", to był tylko pretekst. Po prostu poczułem się wówczas niezręcznie.

— Aha. A więc wstał pan z kanapki i zaczął się pan ubierać...

— Tak. /

- I czy powiedział pan coś wówczas? Co wyjaśniałoby pańskie postępowanie?

176

—

Tak. Powiedziałem, że nie sędzę, aby był to dobry pomysł.

I że źle się czuję w takim układzie.

— I w jaki sposób zareagowała?

— Bardzo się rozłościła. Rzuciła we mnie różnymi przedmiotami. A potem zaczęła mnie bić. I drapać.

— Czy ma pan jakieś ślady?

— Tak.

— Gdzie?

— Na szyi i piersi.

— Czy zostały już sfotografowane?

— Nie.

— W porządku. A kiedy podrapała pana, w jaki sposób pan zareagował?

— Po prostu próbowałem się ubrać i wyjść stamtąd.

— Nie zareagował pan bezpośrednio na jej atak?

— No cóż, w pewnym momencie odepchnąłem ją i wtedy potknęła się o stół i upadła na podłogę.

— W pana ustach zabrzmiało to tak, jakby odepchnięcie było gestem samoobrony.

— Owszem. Obrywała mi guziki od koszuli. Musiałem wrócić do domu, a nie chciałem, aby moja żona zobaczyła koszulę w takim stanie. Dlatego ją odepchnąłem.

— Czy zrobił pan cokolwiek, co nie było samoobroną?

— Nie.

— Czy uderzył ją pan?

— Nie.

— Jest pan tego pewien?

— Tak.

— W porządku. Co się zdarzyło później?

— Rzuciła we mnie kieliszkiem do wina. W tym momencie byłem już właściwie ubrany. Poszedłem po mój telefon leżący na parapecie, a potem skierowałem się do...

— Przepraszam. Wziął pan telefon? Jakiego rodzaju?

— Mam telefon komórkowy. - Wyjął go z kieszeni i pokazał. - W naszej firmie wszyscy mamy takie, bo je produkujemy.

Telefonowałem z jej gabinetu, kiedy zaczęła mnie całować.

— Był pan w trakcie rozmowy, gdy zaczęła pana całować?

— Tak.

—

Z kim pan rozmawiał?

— Z automatem zgłoszeniowym.

— Rozumiem. - Była wyraźnie rozczarowana. - Proszę mówić dalej.

— A więc zabrałem swój telefon i wyniosłem się stamtąd do diabła.

Wrzeszczała za mną, że nie mogę jej tego zrobić i że mnie zabije.

— A co pan wtedy zrobił?

— Nic. Po prostu wyszedłem.

— Która była wówczas godzina?

— Mniej więcej szosta czterdzieści pięć.

— Czy ktoś widział, jak pan wychodzi?

— Sprzątaczką.

— Czy wie pan, jak się nazywa?

— Nie.

— Czy ona pracuje w pańskiej firmie?

— Miała na sobie uniform swojej firmy. Wie pani, przedsiębiorstwa usługowego, które sprząta nasze biura.

— Aha. A potem?

Wzruszył ramionami.

— Czy powiedział pan żonie, co się stało?

— Nie.

— Czy powiedział pan komukolwiek, co się stało?

— Nie.

— Dlaczego?

— Sądzę, że byłem w szoku.

Przerwała zadawanie pytań i spojrzała do notatek.

— Dobrze. A więc stwierdził pan, że był seksualnie napas-
towany. Opisał pan również bardzo niedwuznaczne poczynania tej
kobiety. Ponieważ była pańskim przełożonym, mógł pan pomyśleć,
że naraża się pan, odtrącając ją.

— Byłem zaniepokojony. Oczywiście. Ale czy nie miałem prawa
jej odmówić? Czy nie o to właśnie chodzi?

— Z całą pewnością ma pan rację. Pytam o pański stan ducha.

— Byłem bardzo zmartwiony.

— I mimo wszystko nie chciał pan opowiedzieć nikomu, co się
stało? Nie chciał się pan podzielić tym kłopotliwym doświadczeniem
z kolegą? Z przyjacielem? Z członkiem rodziny, może z bratem?

Z nikim w ogóle?

178

—
Nie. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Nie wiedziałem, jak
załatwić tę sprawę. Przypuszczam, że byłem zupełnie zszokowany.
Chciałem tylko stamtąd wyjść. Chciałem zapomnieć, udać, że nic
się nie zdarzyło.

— Czy sporządził pan jakąś notatkę?

— Nie.

— Rozumiem. Wspomniał pan również, że nie ujawnił pan tego
incydentu swojej żonie. Czy można by określić to słowami, że ukrył

go pan przed żoną?

Zawahał się.

— Tak.

— Czy często pan ukrywa coś przed żoną?

— Nie. Ale w tym przypadku, wie pani, ponieważ w grę wchodziła dawna przyjaciółka, nie sędzę, aby mi współczuła. Nie chciałem rozmawiać z nią na ten temat.

— Czy miał pan inne romanse?

— To nie był romans.

— Zadałam ogólne pytanie. Chodzi mi o relacje między panem a pańską żoną.

— Nie. Nie miałem romansów.

— Dobrze. Radziłabym, aby pan natychmiast zwierzył się żonie. Złożył pełne, całkowite wyjaśnienia. Ponieważ zapewniam pana, że dowie się o wszystkim, jeżeli już się tak nie stało.

Niezależnie od tego, jak trudno to panu przyjdzie, najlepszą szansą ocalenia małżeństwa może być wyłącznie absolutna szczerść.

— Dobrze.

— A teraz wróćmy do ubiegłej nocy. Co zdarzyło się potem?

— Meredith Johnson zadzwoniła do mnie do domu i rozmawiała z moją żoną.

Fernandez uniosła brwi.

— Rozumiem. Czy spodziewał się pan tego?

— Boże, nie. Przeraziłem się jak wszyscy diabli. Ale zachowywała się przyjaźnie. Telefonowała, aby powiedzieć, że poranne

zebranie zostało przeniesione na ósmą trzydzieści. Dzisiaj.

— Rozumiem.

— Ale kiedy przyszedłem rano do pracy, okazało się, że zebranie zostało naprawdę przeniesione na ósmą.

— A więc spóźnił się pan, był tym zmieszany i tak dalej.

179

- Tak.

- I sądzi pan, że było to umyślne działanie?

- Tak.

Fernandez spojrzała na zegarek.

- Obawiam się, że kończy mi się czas. Jeżeli pan może, proszę o krótką informację o tym, co wydarzyło się dzisiaj.

Nie wspominając o Conley-White, Sanders krótko opisał poranne zebranie i przeżyte upokorzenie. Sprzeczkę z Meredith.

Rozmowę z Philem Blackburnem. Propozycję przeniesienia, a także o konsekwencje tego faktu, czyli pozbawienie go korzyści wynikających z możliwego wyłączenia działu. I o postanowieniu poszukiwania pomocy.

Fernandez zadawała niewiele pytań i pisała prawie bez przerwy.

Wreszcie odsunęła notatnik na bok.

- W porządku. Mam wrażenie, że wiem już wystarczająco dużo, aby stworzyć sobie obraz sytuacji. Czuje się pan zlekceważony i obrażony. I chciałby się pan dowiedzieć, czy jest to przypadek napastowania seksualnego?

— Oczywiście - oznajmił, kiwając głową.

— A więc, zasadniczo tak. Może stanowić przypadek procesowy, ale nie wiemy, co się zdarzy, jeżeli dojdzie do sprawy. Albowiem, biorąc pod uwagę pańską relację, muszę ostrzec, że pańskie powództwo nie miałoby zbyt silnych podstaw.

— Jezu! - jęknął oszołomiony Sanders.

— Nie ja stanowią prawo. Po prostu wyjaśniam panu szczerze, aby mógł pan podjąć właściwą decyzję. Pańska sytuacja nie jest dobra, panie Sanders.

Fernandez odsunęła się wraz z fotelem od biurka i zaczęła wkładać dokumenty do teczki.

- Mam jeszcze pięć minut, ale pozwoli pan, że wyjaśnię, czym w świetle prawa jest nagabywanie seksualne, ponieważ wielu klientów nie ma w tej sprawie jasnego rozeznania. Artykuł VII Ustawy o Prawach Obywatelskich z 1964 roku czyni nielegalną dyskryminację pod względem płci w miejscu pracy. Ale przez wiele lat nie zostało jasno określone, co rozumiemy pod mianem nagabywania seksualnego. Od połowy lat osiemdziesiątych Komisja do spraw Równych Szans w Zatrudnieniu w Artykule VII ustaliła wytyczne, pozwalające zdefiniować to pojęcie. W ciągu ostatnich

180

kilku lat te wytyczne zostały jeszcze dokładniej sprecyzowane za pośrednictwem przypadków procesowych. A więc definicja jest obecnie dość precyzyjna. Zgodnie z prawem, aby zakwalifikować powództwo jako przypadek nagabywania seksualnego, muszą występować trzy elementy. Po pierwsze zachowanie musi być

seksualne. To znaczy, na przykład, że wygłaszanie wulgarnych albo obscenicznych dowcipów nie jest nagabywaniem seksualnym, choć może obrażać uczucia słuchającego. Zachowanie musi być seksualne w swej istocie. W pańskim przypadku, na podstawie pańskiego opisu, można nie mieć wątpliwości co do występowania wyraźnie seksualnego elementu.

— Rozumiem.

— Po drugie, zachowanie takie musi być niepożądane. Sąd rozróżnia zachowanie dobrowolne i zachowanie, które nie jest pożądane. Na przykład, osoba może mieć stosunek z przełożonym i jest to zachowanie dobrowolne - nikt nie trzyma pistoletu wymierzonego w jej głowę. Ale sąd rozumie, iż podwładny może dojść do wniosku, że nie ma wyboru, co z kolei oznacza, że nie dążył do stosunku z własnej woli. Czyli nie była to czynność pożądana.

Aby określić, czy zachowanie było rzeczywiście niepożądane, sąd rozpatruje sytuację w szerszym kontekście. Czy pracownik opowiadał w miejscu pracy seksualne dowcipy i tym samym dawał do zrozumienia, że takie dowcipy są przez niego dobrze widziane? Czy był znany z częstych przechwałek na temat swoich własnych podbojów albo brał udział w naigrawaniu się pod tym względem z innych pracowników? Czy pracownik występujący w sprawie wpuszczał przełożonego do swojego mieszkania, odwiedzał go w szpitalu albo spotykał się z nim wówczas, gdy nie wymagały tego obowiązki służbowe. Albo czy prowadził inne działania, świadczące,

że aktywnie i z własnej woli uczestniczy w tym związku. Poza tym sąd stara się ustalić, czy pracownik kiedykolwiek powiedział przełożonemu, że jego zachowanie jest niepożądane, czy skarżył się komuś na zaistniałą sytuację lub próbował podjąć kroki w celu jej uniknięcia. Elementy te stają się szczególnie znaczące, jeżeli podwładny zajmuje wysokie stanowisko i można założyć, że ma większą swobodę działania.

- Ale ja nikomu nie powiedziałem.

181

—

Nie. Podobnie jak nie powiedział pan tego Meredith Johnson.

W każdym razie nie wprost, o ile mogłam się zorientować.

— Nie czułem się na siłach.

— Rozumiem. Ale w pańskim przypadku stwarza to problem.

Z kolei trzecim elementem seksualnego nagabywania jest dyskryminacja z powodu płci. Najpopularniejsze jest quid pro quo - wyświadczenie usług seksualnych w zamian za utrzymanie pracy lub uzyskanie awansu. Taka groźba może być wyrażona bezpośrednio lub pośrednio. Wywnioskowałam z rozmowy, że pana zdaniem, Meredith Johnson dysponuje możliwością zwolnienia pana?

— Tak.

— Na podstawie czego formułuje pan takie przypuszczenie?

— Powiedział mi to Phil Blackburn.

— Wprost?

— Tak.

— A pani Johnson? Czy robiła jakieś uwagi? Czy w czasie tego wieczoru wspominała, że jest w stanie pana zwolnić?

— Niezupełnie, ale ta sprawa przez cały czas wisiała w powietrzu.

— A dlaczego pan tak uważa?

— Mówiła: "Będziemy ze sobą pracować, możemy więc równie dobrze mieć z tego trochę frajdy". I sugerowała, że chciałyby przeżyć romans w czasie wspólnych podróży służbowych do Malezji.

I tak dalej.

— Czy uznał to pan za pośrednie zagrożenie dla pańskiej pracy?

— Zrozumiałem, że jeśli chcę mieć z nią niezłe układy, byłoby dobrze, gdybym się jej podporządkował.

— A pan tego nie chciał?

— Nie.

— Czy poinformował ją pan o tym?

— Powiedziałem, że jestem żonaty i że stosunki między nami uległy zmianie.

— *No cóż, w większości przypadków, sama ta wymiana zdań prawdopodobnie stanowiłaby dowód w pańskiej sprawie. Gdyby byli świadkowie.

— Ale ich nie ma.

— Nie. A teraz jeszcze jeden aspekt. Nazywamy go wrogim otoczeniem w miejscu pracy. Zazwyczaj dotyczy to sytuacji, kiedy

same w sobie nie muszą zawierać czynnika seksualnego, ale potraktowane łącznie są świadectwem nękania. Nie przypuszczam, aby mógł pan stwierdzić istnienie wrogiego otoczenia na podstawie pojedynczego wydarzenia.

— Rozumiem.

— Niestety, opisany przez pana incydent nie jest całkiem klarowny. Na przykład, gdyby został pan zwolniony, można by wówczas odwołać się do pośredniego dowodu nękania.

— Mam wrażenie, że właściwie zostałem zwolniony - odparł Sanders. - Ponieważ usuwa się mnie z działu i nie będę uczestniczył w jego odłączeniu.

— Rozumiem. Ale propozycja przeniesienia komplikuje sprawę. Przedsiębiorstwo może stwierdzić, że nie ma wobec pana żadnych zobowiązań poza przeniesieniem. I że nigdy nie obiecywano panu złotego jajka pod postacią udziału przy odłączeniu. Tego rodzaju podział firmy jest teoretyczny, może się zdarzyć w jakiejś nieokreślonej przyszłości albo nawet wcale. W związku z tym przedsiębiorstwo nie musi rekompensować panu pańskich nadziei -jakichś mglistych oczekiwań, które, być może, nigdy nie zostaną zrealizowane. W związku z tym firma będzie twierdziła, że przeniesienie jest całkowicie do przyjęcia i że odrzucając je, działa pan nierozsądnie. W konsekwencji może się okazać, że to pan wymawia, a nie panu wymawiają. A to obciąży pana odpowiedzialnością za rozwiązanie umowy o pracę.

— To śmieszne.

— Prawdę mówiąc, wcale nie. Załóżmy na przykład, że ma pan

ostateczne stadium raka i umrze za sześć miesięcy. Czy firma miałaby wówczas obowiązek wypłacić zyski płynące z odłączenia pana spadkobiercom? Oczywiście, że nie. Jeżeli pracuje pan w przedsiębiorstwie w czasie dokonywania tej operacji - uczestniczy pan. Jeżeli nie - to nie. Przedsiębiorstwo nie ma dalszych zobowiązań.

— Mówi pani tak, jakbym rzeczywiście miał raka.

— Nie. Sądzę, że jest pan rozgniewany i uważa, że przedsiębiorstwo jest panu winne coś, czego sąd nie uzna. Na podstawie mojego doświadczenia mogę powiedzieć, że oskarżenia o napastowanie seksualne często mają ten właśnie charakter. Ludzie przychodzą do nas ogarnięci gniewem, z poczuciem krzywdy. Przypuszczają, że mają prawa, które w gruncie rzeczy nie istnieją.

183

Sanders westchnął.

— Czy gdybym był kobietą, sytuacja wyglądałaby inaczej?

— Zasadniczo, nie. Nawet w większości zupełnie klarownych sytuacji - najbardziej ekstremalnych i oburzających - nękanie seksualne jest bardzo trudne do udowodnienia. Większość zdarzeń odbywa się, tak jak w pańskim przypadku - za zamkniętymi drzwiami, bez świadków. Słowa jednego człowieka przeciwko słowom drugiego. W tych okolicznościach, tam gdzie nie ma wyraźnych, uzupełniających się wzajemnie dowodów, bardzo często występuje uprzedzenie skierowane przeciwko mężczyźnie.

— Aha.

— Jedna czwarta wszystkich pozwów o nagabywanie seksualne

jest jednak składana przez mężczyzn. Większość z nich właśnie przeciwko przełożonym-mężczyznom, ale jedna piąta dotyczy kobiet. I liczba ta wciąż się zwiększa, ponieważ coraz częściej stanowiska kierownicze obejmują kobiety.

— Nie wiedziałem o tym.

— Nie mówi się zbyt wiele na ten temat - powiedziała, spoglądając na niego znad okularów. - Ale się zdarza., i wcale się nie dziwię.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Napastowanie seksualne wiąże się z władzą - jest nadużyciem władzy przełożonego nad podwładnym. Wiem, że zgodnie z modną obecnie teorią, kobiety są całkowicie odmienne od mężczyzn i nigdy nie napastowałyby podwładnych. Ale widziałam już wiele. Widziałam i słyszałam wszystko, co może pan sobie wyobrazić - i wiele spraw, w które by pan nie uwierzył, gdybym o nich panu opowiedziała. Dzięki temu dysponuję inną perspektywą widzenia. Osobiście, nie mam zbyt wiele do czynienia z teorią. Muszę zajmować się faktami. I na ich podstawie nie widzę szczególnej różnicy w zachowaniu kobiet i mężczyzn. A przynajmniej nic, na czym mógłby się pan oprzeć.

— A więc wierzy pani w moją historię?

— Moja wiara nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o to, czy rzeczywiście ma pan podstawy do wszczęcia powództwa i poza tym, co powinien pan zrobić w tych okolicznościach. Muszę przyznać, że słyszałam już o podobnych historiach. Nie jest pan pierwszym

mężczyzną, którego miałabym reprezentować.

184

—
A co według pani powinienem zrobić?

— Nie mogę panu niczego radzić - odparła zdecydowanie

adwokatka. - Decyzja, którą pan musi podjąć, jest zbyt trudna.

Mogę jedynie scharakteryzować pańską sytuację. - Nacisnęła

guzik interkomu. - Bob, powiedz Richardowi i Eileen, żeby

podjechali. Spotkam ich przy wejściu do budynku. - Odwróciła się

znowu w stronę Sandersa. - Przedstawię pokrótce, na czym

polegają pańskie problemy - oznajmiła. Wymieniała je, zaginając

kolejno palce. - Po pierwsze: Twierdzi pan, że znalazł się w intym-

nej sytuacji z młodszą, bardzo atrakcyjną kobietą, ale odtrącił ją

pan. Przy braku świadków albo dowodów rzeczowych, trudno

będzie sprzedać tę historię sądowi.

Po drugie: Jeżeli wniesie pan pozew, firma zwolni pana. Musi

pan brać pod uwagę trzy lata, które upłyną, zanim dojdzie do

procesu. Musi pan przemyśleć, z czego będzie pan żył przez ten

czas, w jaki sposób zapłaci raty za dom, pokryje inne wydatki.

A poza tym będzie pan musiał opłacać wszystkie bezpośrednie

koszty związane z procesem. Wyniosą one minimum sto tysięcy

dolarów. Nie wiem, czy zechce pan obciążyć hipotekę swojego

domu, żeby je zapłacić. Ale trzeba brać to pod uwagę.

Po trzecie: Sprawa sądowa nada rozgłos tej historii. Będą o tym

pisali w gazetach i mówili w dziennikach przez wszystkie lata do

chwili rozpoczęcia procesu. Nie jestem w stanie określić, jak niszczące może to być dla pana, pańskiej żony i rodziny. Nie wszyscy przechodzą przez ten okres bez szwanku. Dochodzi do rozwodów, samobójstw, chorób. To jest bardzo trudne.

Po czwarte: Ponieważ złożono panu propozycję przeniesienia, trudno określić, co można by zgłosić jako poniesiony uszczerbek.

Przedsiębiorstwo zapewne stwierdzi, iż nie ma pan podstaw do skargi i będziemy musieli udowadniać, że jest inaczej. Nawet jeśli odniesiemy oszałamiające zwycięstwo, może się okazać, że uzyska pan, po odliczeniu wszystkich honorariów, zaledwie kilkaset tysięcy dolarów kosztem trzech lat pańskiego życia. A przedsiębiorstwo może oczywiście złożyć apelację, tym samym odraczając płatność.

Po piąte: Jeżeli wniesie pan sprawę, nigdy już nie będzie pan pracował w tej branży. Wiem, że nie powinno się tak dziać, ale praktyka na to wskazuje - nigdy nie dostanie pan jakiegokolwiek

185

propozycji. Tak się po prostu dzieje. Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby miał pan pięćdziesiąt pięć lat. Ale ma pan zaledwie czterdzieści jeden. Nie wiem, czy w tym momencie swojego życia zechce pan dokonać takiego wyboru.

— Jezu! - Opadł bezwładnie w fotelu.

— Przykro mi, ale tak wyglądają fakty związane z procesem.

— Ale to przecież takie niesprawiedliwe.

Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy.

- Niestety, panie Sanders, prawo nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością - powiedziała. - Stanowi jedynie sposób podejmowania decyzji. - Zatrzasnęła teczkę i wyciągnęła rękę. - Przykro mi, panie Sanders. Pragnęłabym, aby sytuacja wyglądała inaczej. Proszę się ze mną porozumieć, jeżeli będzie miał pan dalsze pytania.

Wyszła szybkim krokiem z gabinetu, pozostawiając Sandersa siedzącego w fotelu. Po chwili weszła sekretarka.

— Czy mogłabym coś dla pana zrobić?

— Nie - odparł Sanders, kręcąc wolno głową. - Nie. Właśnie miałem zamiar wyjść.

Jadąc samochodem do sądu, Luiza Fernandez zrelacjonowała przypadek Sandersa towarzyszącej jej dwójce młodszych prawników. Jedno z nich, kobieta, zapytało:

— Chyba mu nie uwierzyłaś?

— Kto wie? - odparła Luiza. - Wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami. W takich sytuacjach nigdy nie wiadomo.

Młoda kobieta pokręciła głową.

— Po prostu nie mogę uwierzyć, że kobieta mogła zachowywać się w taki sposób. Tak agresywnie.

— A niby dlaczego? - spytała Luiza. - Załóżmy, że nie jest to sprawa o napastowanie. Załóżmy, że dotyczy złamania przyrzeczenia. Mężczyzna twierdzi, że za zamkniętymi drzwiami obiecano mu dużą premię, ale kobieta zaprzecza.. Czy założyłabyś, że mężczyzna kłamie, ponieważ kobieta nie mogłaby działać w taki sposób?

— Nie. W tym przypadku nie.

— W tej sytuacji uznałabyś, że wszystko jest możliwe.

— Ale to nie jest sprawa premii - zaprotestowała młoda prawniczka. - Dotyczy zachowania seksualnego.

— A więc uważasz, że kobiety są nieprzewidywalne w sytuacjach dotyczących umów, ale stereotypowe w zachowaniach seksualnych?

— Nie wiem, czy użyłabym w tym kontekście słowa stereotypowe?

— Przed chwilą powiedziałaś, że nie możesz uwierzyć w agresywną postawę kobiety w sprawach seksu. Czy nie jest to stereotyp?

187

—
Według mnie, nie - stwierdziła prawniczka. - Nie na-

zwałabym tego stereotypem, ponieważ taka jest prawda. Kobiety różnią się od mężczyzn w podejściu do spraw seksu.

— A czarni mają wycucie rytmu - rzekła Luiza. - Azjaci są pracoholikami. A Latynosi nie są wytrwali...

— Ale to co innego. Przecież istnieją na ten temat prace naukowe. Mężczyźni i kobiety nawet nie rozmawiają ze sobą w ten sam sposób.

— Aha, chcesz powiedzieć, że badania wykazują, iż kobiety odznaczają się mniejszymi zdolnościami do biznesu i strategicznego myślenia?

— Nie. Te badania są nieprawdziwe.

— Rozumiem. Te badania są nieprawdziwe. A badania, mówiące o różnicach seksualnych, są wiarygodne?

— No tak, oczywiście. Ponieważ seks jest sprawą podstawową.

Jest podstawowym popędem.

— Nie rozumiem, dlaczego tak sądzisz. Przecież seks jest wykorzystywany do najrozmaitszych celów: jako sposób nawiązania kontaktu, pojednania, metoda prowokacji, jako propozycja, oręż, groźba. Sposoby wykorzystania seksu mogą być nader skomplikowane. Nie przekonałaś się jeszcze, że to prawda?

Prawniczka złożyła ręce na piersi.

- Nie sądzę.

Po raz pierwszy zabrał głos młody mężczyzna.

— Co w takim razie poradziłaś temu facetowi? Żeby nie wnosił pozwu?

— Nie. Ale wyjaśniłam mu problemy wiążące się z wkroczeniem na drogę sądową.

— I jak sądzisz, co teraz zrobi?

— Nie wiem - odparła Luiza Fernandez. - Ale wiem, co wtedy powinien zrobić.

— Co?

— To straszne, co powiem - odparła. - Ale w świecie, w którym żyjemy? Bez świadków? Sam na sam z szefem w gabinecie? Chyba powinien się zamknąć i przelecieć ją. Ponieważ w tej chwili ten biedny sukinsyn nie ma w ogóle wyboru. Jeżeli nie zachowa się wyjątkowo ostrożnie, jest skończony.

Sanders szedł wolno w dół, w stronę Pioneer Square. Deszcz przestał padać, ale popołudnie wciąż było wilgotne i szare.

Mokry chodnik pod jego stopami opadał gwałtownie w dół.

Naokoło szczyty wieżowców znikwały w wiszącej nisko, zimnej mgle.

Tak naprawdę, nie wiedział, czego się spodziewał od Luizy

Fernandez, ale na pewno nie szczegółowego przedstawienia moż-

liwości, że zostanie wylany z firmy, straci dom i że nigdy nie będzie

już pracował.

Sanders czuł się oszołomiony nagłym zwrotem, jaki nastąpił

w jego życiu, a jednocześnie świadomością niepewności własnej

egzystencji. Dwa dni temu był pracownikiem na kierowniczym

stanowisku, o ustabilizowanej pozycji i obiecującej przyszłości.

A teraz stał w obliczu hańby, upokorzenia, utraty pracy. Poczucie

bezpieczeństwa opuściło go.

Pomyślał o wszystkich pytaniach, które zadawała mu Fernan-

dez - pytaniach, które nigdy wcześniej nie przyszły mu do głowy.

Dlaczego nie powiedział nikomu? Dlaczego nie zrobił notatek?

Dlaczego nie powiedział Meredith wprost, że jej zaloty nie są przez

niego mile widziane? Adwokatka działała w świecie zasad i kryte-

riów, których nie rozumiał, których nigdy sobie nie uświadamiał.

A teraz okazały się niezbędne.

Pańska sytuacja nie jest dobra, panie Sanders.

A jednak... W jaki sposób mógł temu zapobiec? Jak powinien

się zachować? Rozważał wszelkie możliwości.

189

Załóżmy, że zadzwoniłby do Blackburna natychmiast po spot-

kaniu z Meredith i zdał szczegółową relację... Mógłby zadzwonić

z promu i złożyć swoją skargę, zanim ona by to uczyniła. Czy stworzyłoby to jakościowo inną sytuację? Co uczyniłby wówczas Blackburn?

Pokręcił głową. Wydawało mu się mało prawdopodobne, aby cokolwiek polepszyło jego sytuację. Ponieważ w gruncie rzeczy, Meredith była związana ze strukturami władzy w firmie w sposób nieosiągalny dla Sandersa. Meredith była graczem w grupie, miała władzę i sojuszników. Sanders się nie liczył. Był po prostu facetem od techniki, małą śrubką w mechanizmie przedsiębiorstwa. Miał obowiązek współpracować z nowym szefem i nie zrobił tego.

A teraz tylko skamlał. Albo nawet gorzej - skarżył na szefa.

Skarżypyta. A przecież nikt nie lubił skarżypytów.

Więc jak powinien się wczoraj zachować?

W tym momencie uświadomił sobie, że nie mógłby zadzwonić do Blackburna natychmiast po zebraniu, ponieważ jego telefon komórkowy nie działał, miał wyczerpane baterie.

Nagle przypomniał sobie samochód - mężczyzna i kobieta w samochodzie jadący na przyjęcie. Ktoś mu kiedyś o czymś opowiedział... Jakąś historię o ludziach w samochodzie.

Dręczyło go to. Zupełnie nie mógł sobie przypomnieć.

Telefon mógł wyczerpać z wielu powodów. Najbardziej prawdopodobną przyczyną była pamięć. W nowych telefonach stosowano, dające się ładować, niklowo-kadmowe baterie i jeżeli nie zostały wyladowane pomiędzy rozmowami, mogły się zregenerować na krótki czas. Nigdy nie było wiadomo, kiedy powstanie taka sytuacja.

Sanders musiał już wyrzucać baterie, w których powstała krótka pamięć.

Wyjął telefon i włączył go. Światelko kontrolne zapłonęło jaskrawo. Bateria działała dziś doskonale.

Ale było coś...

Jazda samochodem.

Coś, co wciąż kołatało mu się po głowie.

Jechali na przyjęcie.

Zmarszczył brwi. Nie mógł się skoncentrować. Gdzieś na peryferiach świadomości majaczyło wspomnienie, zbyt niewyraźne, aby mógł je przywołać.

190

Myślał intensywnie. Co innego zresztą mu pozostało? Nurtowało go dręczące wrażenie, że było coś jeszcze, co umknęło jego uwagi.

I miał uczucie, że adwokatka również ten fakt przeoczyła. Coś, co nie pojawiło się w zadawanych mu pytaniach. Coś, co wszyscy traktowali jako rzecz oczywistą, mimo że...

Meredith.

Coś związanego z Meredith.

Oskarżyła go o napastowanie. Następnego ranka poszła do Blackburna i oskarżyła go. Dlaczego? Niewątpliwie czuła się winna tego incydentu. Być może, obawiała się, że Sanders mógłby ją oskarżyć, w związku z czym postanowiła go uprzedzić. W tej sytuacji jej postępowanie stawało się zrozumiałe.

Ale gdyby Meredith rzeczywiście dysponowała władzą, oskar-

żenie o próbę seksualnego wykorzystania nie miało najmniejszego sensu. Przecież bez problemu mogła pójść do Blackburna i powiedzieć: "Posłuchaj, nie układa mi się z Tomem. Nie mogę dać sobie z nim rady. Musimy dokonać zmiany". I Blackburn zgodziłby się.

Ale zamiast tego złożyła skargę. Co przecież musiało być dla niej krępujące. Ponieważ zaistnienie czegoś takiego sugerowało utratę kontroli. Oznaczało, że nie była w stanie w czasie spotkania zapanować nad swoim podwładnym. Jeżeli zdarzało się coś nieprzyjemnego, szef nigdy nie powinien o tym wspominać.

Napastowanie seksualne wiąże się z władzą.

Co innego, gdy się jest pracownicą niższego szczebla obmacywaną przez mocniejszego, dysponującego władzą męczyzną.

Ale w tym przypadku przełożonym była Meredith. To ona dysponowała władzą. Dlaczego więc miałaby oskarżać Sandersa?

Przecież w gruncie rzeczy podwładni nie nagabują szefów. To się po prostu nie zdarza. Trzeba być wariatem, żeby zachowywać się w taki sposób wobec przełożonego.

Napastowanie seksualne wiąże się z władzą - jest nadużyciem władzy przez przełożonego w stosunku do podwładnego.

Stwierdzenie, że była napastowana seksualnie, stanowiłoby przyznanie, co prawda nie bezpośrednio, że jest podporządkowana Sandersowi. A tego właśnie Meredith nigdy by nie zrobiła. Wręcz przeciwnie, przecież dopiero co objęła swoje stanowisko i bardzo pragnęła udowodnić, że w pełni kontroluje sytuację. A więc jej oskarżenia nie miały najmniejszego sensu - chyba że były dogod-

nym pretekstem do zniszczenia Sandersa. Albowiem ów rodzaj zarzutów o nagabywanie seksualne miał tę przewagę nad innymi, że trudno było wyjść ze sprawy obronną ręką. Z góry uznawano człowieka za winnego, chyba że udowodniło się niewinność - a udowodnienie niewinności jest trudne. Oskarżenie rzuca cień na każdego, bez względu na to, jak nonsensowne może się wydawać. To był najpotężniejszy oręż, jakim Meredith mogła się przeciwko Sandersowi posłużyć.

Ale jednocześnie oznajmiła, że nie będzie składać zażalenia.

Pozostawało więc pytanie...

Dlaczego?

Sanders stanął na ulicy.

O to właśnie chodziło.

Oskarżyła mnie, ale nie ma zamiaru złożyć oficjalnego zażalenia.

Dlaczego?

Kiedy Blackburn mu o tym powiedział, Sanders nie zastanawiał się nad owym paradoksem. Podobnie jak Luiza Fernandez. Dlaczego Meredith nie podjęła następnych kroków? Dlaczego nie doprowadziła sprawy do logicznego końca?

Może Blackburn jej to wyperswadował? Blackburn zawsze dbał o reputację.

Sanders odrzucił jednak to wyjaśnienie. Reputacja - reputacją, ale w końcu nawet formalne oskarżenie można załatwić dyskretnie.

W taki sposób, aby sprawa nie wyszła poza firmę. A z punktu

widzenia Meredith, formalne oskarżenie przynosiło określone korzyści. Sanders był popularny w DigiComie. Pracował w firmie od dawna. Jeżeli Meredith miała zamiar się go pozbyć, wygnać go do Teksasu, i jednocześnie uniknąć wszelkich protestów ze strony zespołu, mogła postarać się o to, by wiadomość o incydencie rozeszła się pocztą pantoflową i zaczęła działać na jej korzyść.

Dlaczego tego nie zrobiła?

Im dłużej Sanders o tym rozmyślał, tym bardziej nasuwał mu się wniosek, że wytłumaczenie może być tylko jedno. Meredith nie miała zamiaru składać skargi, ponieważ nie mogła tego zrobić.

Nie mogła, gdyż ma inny kłopot.

Jakiś inny powód.

Działo się tu jeszcze coś innego.

Możemy załatwić wszystko po cichu.

192

Powoli Sanders zaczął widzieć fakty w zupełnie innym świetle.

Na porannym zebraniu Blackburn nie ignorował go ani nie traktował pogardliwie. Nic podobnego - Blackburn się miotął.

Był przerażony.

Możemy załatwić wszystko po cichu. Ku zadowoleniu zainteresowanych.

Co miały oznaczać te słowa "Ku zadowoleniu zainteresowanych?"

Jakie kłopoty miała Meredith?

Jakie mogła mieć kłopoty?

Im dłużej Sanders się zastanawiał, tym bardziej odnosił wrażenie, że może być tylko jedna możliwa interpretacja całego wydarzenia.

Wyjął telefon, zadzwonił do United Airlines i zamówił trzy bilety powrotne do Phoenix.

A potem zadzwonił do żony.

Ty cholerny sukinsynu - powiedziała Susan.

Siedzieli przy stoliku w kącie "Il Terazzo". Dochodziła druga i restauracja była prawie pusta. Susan słuchała męża od pół godziny, nie przerywając mu ani nie komentując. Opowiedział jej o wszystkim, co zdarzyło się na spotkaniu z Meredith i o wszystkim, co zaszło dzisiejszego ranka. O zebraniu z ludźmi od Conley-White. Rozmowie z Philem. Rozmowie z Luizą Fernandez. A teraz skończył. Wpatrywała się w niego.

— Mogłabym naprawdę zacząć tobą pogardzać, wiesz o tym? Ty sukinsynu, dlaczego nie powiedziałeś mi, że była twoją przyjaciółką?

— Nie wiem - odparł Sanders. - Nie chciałem cię w to mieszać.

— Nie chciałeś mnie w to mieszać? Adele i Mary Annę rozmawiały ze mną cały dzień przez telefon i wiedziały o tym, a ja nie? To poniżające, Tom.

— No, cóż - tłumaczył. - Wiedziałem, że ostatnio miałaś dużo zmartwień i...

— Przestań pieprzyć, Tom - oznajmiła Susan. - To nie miało nic wspólnego ze mną. Nie powiedziałeś mi, bo nie chciałeś.

— Susan, ależ to nie tak...

— Tak, Tom. Pytałam cię o nią ubiegłej nocy. Mogłeś mi opowiedzieć, gdybyś tylko chciał. Ale nie zrobiłeś tego. - Pokręciła głową. - Co za sukinsyn. Nie mogę uwierzyć, że jesteś aż takim dupkiem. Popieprzyłeś wszystko. Zdajesz sobie z tego sprawę?

194

—
Tak - odparł, zwieszając głowę.

— Nie udawaj takiego skruszonego, ty dupku.

— Przykro mi - powiedział.

— Przykro ci? Cholera, przykro ci. Jezu Chryste! Nie mogę uwierzyć. Co za dupek. Spędziłeś tę noc ze swoją cholerną przyjaciółką.

— Nie spędziłem nocy. I nie jest moją przyjaciółką.

— Jak to? Przecież była twoją wielką miłością.

— Nie była moją wielką miłością.

— Ach tak? Jeśli tak, to dlaczego mi nic nie powiedziałeś? -

Pokręciła głową. - Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Pieprzyłeś się z nią czy nie?

— Nie.

Patrzyła na niego uważnie, mieszając kawę.

— Mówisz prawdę?

— Tak.

— Nic nie przemilczałeś? Nie pominąłeś niewygodnych szczegółów?

— Nie. Nic.

— W takim razie dlaczego cię oskarża?

— O co ci chodzi? - zapytał.

— Chodzi mi o to, że musi mieć jakiś powód. Musiałeś coś zrobić.

— No cóż, nic nie zrobiłem. Odrąciłem ją.

— Aha. Jasne. - Spojrzała na niego uważnie, marszcząc brwi. - Zdajesz sobie sprawę, że ta afera dotyczy nie tylko ciebie, Tom. Dotyczy całej rodziny - mnie i dzieci.

— Doskonale zdaję sobie sprawę.

— Dlaczego więc nie zwierzyłeś mi się? Gdybyś cokolwiek powiedział mi ubiegłej nocy, może mogłabym ci pomóc.

— W takim razie pomóż mi teraz.

— W tej chwili niewiele możemy zrobić - odpowiedziała

Susan z sarkazmem. - Teraz, kiedy poszła do Blackburna i oskarżyła cię. Jesteś już skończony.

— Nie byłbym tego taki pewien.

— Możesz mi wierzyć, nie masz wyjścia - odparła Susan. -

Jeżeli złożysz pozew, przynajmniej przez trzy lata będziemy mieli piekło. I osobiście nie sędzę, abyś mógł wygrać. Jesteś mężczyzną,

195

który oskarża kobietę o napastowanie seksualne. W sądzie cię wyśmieją.

— Niewykluczone.

— Możesz być tego pewny. A więc nie wolno doprowadzić do procesu. Jakie masz inne wyjście? Przenieść się do Austin. Jezu!

— Zastanawiam się nad tym - rzekł Sanders. - Oskarżyła

mnie, ale teraz nie składa zażalenia. Zastanawiam się, dlaczego?

— Kogo to obchodzi? - Susan z irytacją machnęła ręką. -

Może być milion różnych powodów. Choćby polityka przedsiębiorstwa. Albo Phil ją od tego odwiódł. Albo Garvin. Nie ma znaczenia, dlaczego. Tom, spójrz w oczy faktom: nie masz wyjścia. Nie teraz, ty głupi sukinsynu.

— Susan, czy możesz się uspokoić?

— Pieprzę cię, Tom. Jesteś nieuczciwy i nieodpowiedzialny.

— Susan...

— Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. Zasługuję na coś lepszego.

— Czy możesz się nie denerwować? Próbuję ci coś powiedzieć.

Wydaję mi się, że jednak mam szansę.

— Nie, Tom. Nie masz.

— A jednak. Ponieważ jest to bardzo niebezpieczna sytuacja - oznajmił Sanders. - Niebezpieczna dla wszystkich.

— O co ci chodzi?

— Załóżmy, że Luiza Fernandez powiedziała mi prawdę na temat szans mojego powództwa.

— Oczywiście. Jest dobrym prawnikiem.

— Ale nie patrzyła na sprawę z punktu widzenia firmy. Patrzyła z punktu widzenia powoda.

— No cóż, w końcu jesteś nim.

— Nie, wcale nie - odparł. - Jestem potencjalnym

powodem.

Na chwilę zapadła cisza.

Susan wpatrywała się uważnie w jego twarz. Zmarszczyła brwi.

Obserwował, jak układa w myśli wszystkie elementy.

— Chyba żartujesz.

— Nie.

— Zwariowałeś.

— Nie. Spójrz na sytuację. DigiCom jest w trakcie fuzji z bardzo

196

konserwatywną firmą ze Wschodniego Wybrzeża. Przedsiębiorstwem, które wycofało się z jednego takiego przedsięwzięcia, ponieważ pracownik zrobił firmie, mającej zostać ich partnerem, złą prasę.

Może przełożony użył jakichś niewłaściwych słów, zwalniając z pracy sekretarkę, i wtedy Conley-White wycofał się. Są bardzo wrażliwi, jeżeli chodzi o dobre imię firmy. Co oznacza, że ostatnią rzeczą, jaką ktokolwiek życzyłby sobie w DigiComie, jest pozew o napastowanie seksualne przeciwko nowemu wiceprezesowi.

— Tom. Czy zdajesz sobie sprawę z tego co mówisz?

— Tak.

— Jeżeli się zdecydujesz, dostaną szału. Będą próbowali cię zniszczyć.

— Wiem.

— Czy rozmawiałeś na ten temat z Makssem? Może powinieneś.

— Do diabła z Makssem. Jest zwariowanym staruchem.

— Na twoim miejscu zapytałabym go, ponieważ to nie jest

właściwie twoja specjalność, Tom. Nigdy nie byłeś wojującym pracownikiem. Nie wiesz, czy stać cię na takie postępowanie.

— Sądzę, że tak.

— To będzie paskudna sprawa. Za dzień lub dwa będziesz żałował, że nie wzięłeś tej pracy w Austin.

— Pieprzę Austin.

— To będzie naprawdę wyjątkowo paskudne. Stracisz przyjaciół.

— Pieprzę to.

— A więc jesteś zdecydowany.

— Jestem. - Sanders spojrzał na zegarek. - Susan, chciałbym, żebyś wzięła dzieci i na kilka dni pojechała do matki. - Matka Susan mieszkała w Phoenix. - Jeżeli pojedziesz teraz do domu i spakujesz rzeczy, złapiesz lot o ósmej z Sea-Tac. Zarezerwowałem dla was trzy miejsca.

Patrzyła na niego, jakby nagle ujrzała przed sobą obcego człowieka.

— Ty rzeczywiście masz zamiar zrealizować swój plan - powiedziała wolno.

— Tak. Mam.

— O, rany.

Pochyliła się, podniosła z podłogi torebkę i wyjęła terminarz.

197

—

Nie chcę, abyś ani ty, ani dzieci, byli w to wmieszani -

powiedział Sanders. - Nie chcę, żeby jakiś dziennikarz pakował wam kamerę pod nos.

— Poczekaj chwilkę... - Przesunęła palcem po zapisanych terminach. - Mogę tutaj przesunąć... I... Tę konferencję... Tak. - Podniosła głowę. - W porządku. Mogę wyjechać na kilka dni. - Spojrzała na zegarek. - Chyba lepiej będzie, jeżeli się pospieszę i spakuję.

Sanders wstał i wyszedł razem z Susan przed restaurację. Padał deszcz, na ulicy było szaro i ponuro. Spojrzała na niego i pocałowała go w policzek.

— Powodzenia, Tom. Uważaj na siebie.

— Wszystko będzie w porządku.

— Kocham cię - powiedziała. I odeszła szybko w padającym deszczu. Czekał przez chwilę, aby sprawdzić, czy odwróci się i popatrzy w jego stronę, ale nie zrobiła tego.

Wracając do biura uświadomił sobie nagle, jak bardzo czuje się samotny. Susan wyjeżdżała wraz z dziećmi. A on zostawał sam. Myślał, że będzie się czuł swobodny, zacznie działać bez żadnych ograniczeń, ale zamiast tego miał wrażenie, że został porzucony w obliczu niebezpieczeństwa. Czuł się zagrożony. Przeszedł go dreszcz i wcisnął ręce do kieszeni płaszcza.

Lunch z Susan nie wypadł zbyt dobrze. A teraz ona wyjedzie i będzie zastanawiała się nad jego odpowiedziami.

Dlaczego mi się nie zwierzyłeś?

Nie odpowiedział na to pytanie najlepiej. Nie był w stanie

wyrazić przeciwstawnych uczuć, z którymi zmagał się ubiegłej nocy.

Uczucie zbrukania i winy, wrażenie, że w jakiś sposób postąpił źle, chociaż niczego takiego nie mógł stwierdzić.

Powinieneś był mi powiedzieć.

Nie zrobiłem niczego złego, powtarzał sobie. Dlaczego w takim razie nie opowiedział Susan o całym incydencie? Trudno mu było ten fakt wytłumaczyć. Przeszedł obok galerii grafiki i sklepu z materiałami sanitarnymi, którego witryna wypełniona była porcelanowymi urządzeniami.

Nie powiedziałaś mi, bo nie chciałaś.

Brzmiało to zupełnie bez sensu. Dlaczego miałby cokolwiek przed nią ukrywać? Po raz kolejny w jego myśli wtargnęły obrazy z przeszłości: biały pasek do podwiązek... miska z prażoną kukurydzą... witraż z kwiatem w drzwiach jego mieszkania.

199

Przestań pieprzyć, Tom. To nie miało nic wspólnego ze mną.

Krew na białej muszli umywalki i Meredith, która śmieje się z tego. Dlaczego się śmiała? Nie mógł sobie przypomnieć, był to zaledwie oderwany obraz. Stewardesa w samolocie stawiająca przed nim tackę z jedzeniem. Walizka na łóżku. Telewizor z wyłączoną fonią. Witraż z kwiatem - jaskrawopomarańczowym i purpurowym.

Czy rozmawiałaś z Makssem?

"Miała rację" - pomyślał. Powinien omówić tę sprawę z Makssem. I uczyni to zaraz po tym, jak oznajmi Blackburnowi złą

wiadomość.

Sanders wrócił do biura o wpół do trzeciej. Ze zdumieniem zobaczył w swoim gabinecie Blackburna. Stał za jego biurkiem i rozmawiał przez telefon. Na jego widok z miną winowajcy odłożył słuchawkę.

— Och, Tom. Cieszę się, że wróciłeś. - Wyszedł zza biurka

Sandersa. - Co postanowiłeś?

— Przemyslałem wszystko bardzo starannie - oznajmił Sanders, zamykając za sobą drzwi na korytarz.

— I?

— Mam zamiar udzielić pełnomocnictwa w tej sprawie Luizie Fernandez z firmy Marin i Howard.

Blackburn popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Reprezentowania ciebie?

— Tak. W przypadku, jeżeli konieczne będzie wniesienie sprawy do sądu.

— Sprawy? - zapytał Blackburn. - Na jakiej podstawie chcesz ją wnieść, Tom?

— Napastowanie seksualne w świetle Artykułu VII - odparł Sanders.

— Och, Tom - rzekł Blackburn, robiąc smutną minę. - Byłoby to chyba nierozsądne. Bardzo nierozsądne. Zdecydowanie radzę ci, abyś rozważył wszystkie okoliczności jeszcze raz.

— Zastanawiałem się cały dzień - rzekł Sanders. - Jednak prawdą jest, że Meredith Johnson mnie napastowała, uwodziła, a ja

ją odtrąciłem. Teraz czuje się obrażona i mści się na mnie. Jestem przygotowany na złożenie pozwu, jeżeli zaistnieje taka konieczność.

— Tom...

— Tak wyglądają fakty, Phil. Nie cofnę swojej decyzji, jeżeli przeniesiecie mnie z mojego działu.

Blackburn uniósł ręce do góry.

— Ale czego ty się właściwie po nas spodziewasz? Że przeniesiemy Meredith?

— Tak - odparł Sanders. - Albo ją zwolnicie. Tak się zazwyczaj dzieje z przełożonym, któremu postawiono podobne zarzuty.

— Zapomniałeś o jednym. Ona również oskarżyła cię o to samo.

— Kłamie - stwierdził Sanders.

— Ale nie ma na to świadków. Żadnych dowodów ani za, ani przeciw. Oboje jesteście naszymi zaufanymi pracownikami. Któremu z was, według ciebie, powinniśmy uwierzyć?

— To już wasz problem, Phil. Mogę teraz powiedzieć tylko to, że czuję się niewinny. I że jestem gotów się procesować.

Blackburn stał pośrodku gabinetu, marszcząc brwi.

— Luiza Fernandez jest sprytnym adwokatem. Nie mogę uwierzyć, aby zaleciła ci ten krok.

— Nie. To jest moja decyzja.

— W takim razie postępujesz bardzo nierozważnie - rzekł

Blackburn. - Stawiasz firmę w bardzo trudnej sytuacji.

— Raczej firma stawia m n i e w trudnej sytuacji.

— Nie wiem, co ci powiedzieć - zaczął Blackburn. - Mam nadzieję, że nie zmusisz nas do wypowiedzenia ci pracy.

Sanders popatrzył mu prosto w oczy.

— Ja również tak myślę - odparł Sanders. - Ale nie jestem przekonany, czy przedsiębiorstwo poważnie potraktowało moją sprawę. Jeszcze dzisiaj złożę u Billa Evertsa w dziale kadr formalną skargę. Poproszę też Luizę, aby sporządziła niezbędne dokumenty dla stanowej Komisji Praw Obywatelskich.

— Chryste!

— Powinna złożyć je jutro z samego rana.

— Nie widzę powodu do takiego pośpiechu.

— Wcale się nie spieszę. To tylko formalne zgłoszenie. Aby mój pozew znalazł się w aktach. Mam taki obowiązek.

202

—
Ale to bardzo poważna decyzja, Tom.

— Wiem, Phil.

— Chciałbym cię prosić o przyjacielską przysługę.

— Jaką?

— Wstrzymaj się ze złożeniem formalnego pozwu. Przynajmniej w Komisji Praw Obywatelskich. Zanim rozpoczniesz działać na zewnątrz, daj nam chociaż szansę przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie.

— Ale nie przeprowadzacie wewnętrznego dochodzenia, Phil.

— Ależ tak, przeprowadzamy.

— Rano nawet nie chciałeś wysłuchać mojej wersji incydentu.

Powiedziałeś, że to nie ma znaczenia.

— Ależ nie - zaprotestował Blackburn. - Całkowicie źle mnie zrozumiałeś. Oczywiście, że ma znaczenie. I zapewniam cię, że w trakcie naszego postępowania wyjaśniającego, bardzo uważnie wysłuchamy twojej wersji zdarzeń.

— Nie wiem, Phil - rzekł Sanders. - Nie wiem, w jaki sposób firma mogłaby być neutralna w tym sporze. Wydaje mi się, że wszystko jest interpretowane na moją niekorzyść. Wszyscy wierzą Meredith, a nie mnie.

— Zapewniam cię, że tak nie jest.

— Ale tak to wygląda. Uświadomiłeś mi dziś rano, jakie Meredith ma wpływy, jak wielu sojuszników. Wspomniałeś o tym wielokrotnie.

— Nasze dochodzenie będzie skrupulatne i bezstronne. A moja prośba, abyś powstrzymał się ze złożeniem pozwu do stanowej komisji, jest rozsądna.

— Jak długo chcesz, żebym czekał?

- Trzydzieści dni.

Sanders roześmiał się.

— Taki jest przecież ustawowy czas postępowania w podobnej sprawie - odezwał się Blackburn.

— Jeżeli zechcecie, możecie przeprowadzić je w jeden dzień.

— Ale musisz przyznać, Tom, że jesteśmy obecnie bardzo zajęci. Wiesz przecież o kolejnych zebraniach na temat fuzji.

— To wasze zmartwienie, Phil. Ja mam inny problem. Zostałem niesprawiedliwie potraktowany przez mojego przełożonego i sądzę, że jako długoletni pracownik na szczeblu kierowniczym mam prawo domagać się, aby rozpatrzono moją skargę niezwłocznie.

203

Blackburn westchnął.

- W porządku. Dam ci znać - oznajmił i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.

Sanders opadł na fotel i zapatrzył się w przestrzeń.

Zaczęło się.

Piętnaście minut później Blackburn spotkał się z Garvinem w sali konferencyjnej dyrekcji na piątym piętrze. Na zebraniu była również Stefania Kaplan i Bili Everts, kierownik działu kadr DigiComu.

Blackburn rozpoczął spotkanie od stwierdzenia:

— Tom Sanders zasięgnął porady prawnej i grozi złożeniem pozwu przeciwko Meredith Johnson.

— O, Chryste! - jęknął Garvin.

— Oskarża ją o napastowanie seksualne.

Garvin kopnął nogę stołu.

— Co za skurwysyn.

— Co, według niego, zaszło? - zapytała Stefania Kaplan.

- Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów - oświadczył

Blackburn. - Ale zasadniczo sprowadza się to do stwierdzenia, że

ubiegłego wieczoru Meredith Johnson czyniła wobec niego seksualne awanse w swoim gabinecie. Odrzucił je, a teraz ona się na nim mści.

Garvin westchnął ciężko.

— Kurwa. Właśnie tego chciałem uniknąć. To może być katastrofa.

— Wiem, Bob.

— A jak było naprawdę? - zapytała Stefania Kaplan.

— Chryste! - zawołał Garvin. - Kto to wie, w podobnej sytuacji? Sprawa zawsze jest wątpliwa. - Odwrócił się do Evertsa. - Czy Sanders był już u ciebie?

205

—

Nie, jeszcze nie. Ale sądzę, że przyjdzie.

— Ta sprawa nie może wyjść poza firmę - oświadczył Garvin. - Koniecznie.

— Oczywiście - zgodziła się Kaplan, kiwając głową. - Phil musi upewnić się, że nie będzie przecieków.

— Spróbuję - odparł Blackburn. - Ale Sanders mówi o złożeniu jutro pozwu w KPO.

— Czy to publiczny pozew?

— Tak.

— Jak prędko zostanie podany do wiadomości?

— Zapewne w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wszystko zależy od tego, jak szybko KPO załatwia sprawy papierkowe.

— Chryste - powtórzył Garvin. - Czterdzieści osiem godzin?

O co mu chodzi? Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi?

— Mam wrażenie, że wie - odparł Blackburn. - I to dokładnie.

— Szantaż?

— Raczej nacisk.

— Rozmawiałaś z Meredith? - zapytał Garvin.

— Tylko dzisiaj rano.

— Ktoś musi z nią pogadać. Zrobię to. Ale w jaki sposób możemy powstrzymać Sandersa?

— Poprosiłem go o wstrzymanie się ze złożeniem pozwu do KPO na czas naszego dochodzenia, czyli na okres trzydziestu dni - wyjaśnił Blackburn. - Odmówił. Odpowiedział, że możemy przeprowadzić nasze dochodzenie w jeden dzień.

— Ma rację - odparł Garvin. - Pod każdym względem lepiej byłoby dla nas, żebyśmy załatwili je w ciągu jednego dnia.

— Bob, nie wiem, czy to możliwe - stwierdził Blackburn. -

Bardzo poważnie się narażamy. Prawo wymaga, aby przedsiębiorstwo przeprowadziło dokładne i obiektywne śledztwo. Nie możemy sprawiać wrażenia, że działamy pośpiesznie albo...

— Och, na litość boską - rzekł Garvin. - Nie chcę słuchać tego prawniczego pieprzenia i pojękiwania. O czym my tu mówimy?

O dwojgu ludziach, prawda? I żadnych świadków? A więc mamy do czynienia tylko z dwojgiem ludzi. Ile czasu trzeba, aby porozmawiać z dwojgiem ludzi?

— Cóż, może to nie być takie proste - oznajmił Blackburn, spoglądając znacząco.

—
Powiem ci, co jest proste - rzekł Garvin. - Conley-White ma obsesję na punkcie opinii publicznej. Sprzedają podręczniki dyrekcjom szkół, w których w dalszym ciągu wierzą w Arkę Noego. Sprzedają czasopisma dla dzieci. Mają przedsiębiorstwo produkujące witaminy dla dzieci. Spółkę zajmującą się zdrową żywnością dla dzieci. Tęczowa Kaszka, czy coś w tym rodzaju. A teraz Conley-White wykupuje naszą firmę i w samym środku pertraktacji członkini kierownictwa wysokiego szczebla, kobieta, która miała w ciągu dwóch lat zostać prezesem, jest oskarżona o wymuszanie usług seksualnych od żonatego mężczyzny. Wiesz, co zrobią, jeżeli ta sprawa wyjdzie na jaw? Zrezygnują. Zdajesz sobie sprawę, że ten cały Nichols szuka każdego pretekstu, który pozwoliłby mu wycofać się z umowy. Teraz miałby idealny pretekst. Chryste.

— Ale Sanders zakwestionował już naszą bezstronność - rzekł Blackburn - I wcale nie jestem pewien, ile osób wie o hmm... pytaniach, które...

— Bardzo niewiele - stwierdziła Kaplan. - A czy nie było to poruszane na ubiegłorocznym zebraniu kierownictwa?

— Sprawdźcie protokoły - polecił Garvin. - Nie mamy prawnych problemów z obecnymi pracownikami, prawda?

— Tak jest - odparł Blackburn. - Pracownicy nie mogą być przesłuchiwanii w takich sprawach.

— I nie utraciliśmy w ciągu ostatniego roku żadnego z pracow-

ników wyższego szczebla? Nikt nie odszedł na emeryturę ani się nie przeprowadził?

— Nie.

— Dobra. W takim razie pieprzę go. - Garvin zwrócił się do Evertsa. - Bili, chciałbym, żebyś przejrzał wszystkie swoje papiery i przenicował dokładnie akta Sandersa.

— Dobrze - odparł Everts. - Ale przypuszczam, że jest czysty.

— W porządku - przyznał Garvin. - Załóżmy, że masz rację.

Co trzeba zrobić, żeby Sanders się wycofał? Czego chce?

— Przypuszczam, że swojego stanowiska, Bob - rzekł Blackburn.

— Nie może go zatrzymać.

— I na tym właśnie polega cały problem - podsumował Blackburn.

Garvin parsknął.

207

— Załóżmy, że uda mu się doprowadzić do procesu. Jaka będzie nasza odpowiedzialność?

— Nie sądzę, aby na tym biurowym incydencie mógł zbudować mocną obronę. Nasza największa odpowiedzialność może dotyczyć ewentualnego zaniechania wykonania odpowiednich czynności i przeprowadzenia wnikliwego dochodzenia. Jeżeli nie będziemy uważać, Sanders zdoła wygrać tylko na tej podstawie. Celowo podkreślam ten aspekt.

— A więc będziemy uważali. Doskonale.

— A teraz - powiedział Blackburn - chciałbym bardzo stanowczo zalecić ostrożność. Sytuacja jest wyjątkowo delikatna, co oznacza, że musimy zwracać uwagę na drobiazgi. Jak powiedział Pascal: "Bóg jest w szczegółach". A w tym przypadku wzajemne równoważenie się przeciwstawnych oskarżeń zmusza mnie do przyznania, że na dobrą sprawę nie jestem w stanie precyzyjnie stwierdzić, jaka najlepsza...

— Phil - przerwał mu Garvin. - Przestań pieprzyć.

— Mies - powiedziała Stefania Kaplan.

— Co? - zapytał Blackburn.

— To Mies van der Rohe powiedział: "Bóg jest w szczegółach".

— Kogo to, kurwa, obchodzi? - krzyknął Garvin, waląc pięścią w stół. - Rzecz w tym, że Sanders nie ma podstaw... Ale po prostu trzyma nas za jaja. I dobrze o tym wie.

Blackburn skrzywił się.

— Nie wyraziłbym może tego w taki sposób, ale...

— Ale taka jest pierdolona prawda?

— Tak.

— Tom jest sprytny, wiesz? - oznajmiła Kaplan. - Trochę naiwny, ale sprytny.

— Bardzo sprytny - przytaknął Garvin. - Pamiętaj, że sam go wyszkoliłem. Nauczyłem go wszystkiego, co wie. - Będzie z nim duży problem. - Odwrócił się do Blackburna. - Przejdź do sedna sprawy **Jak go załatwiamy? Bezstronnie, tak?

— tak...

— I chcemy go przenieść.

— Tak jest.

— Dobra. Czy zgodzi się na arbitraż?

— Nie wiem. Ale wątpię.

208

—

Dlaczego?

— Na ogół korzystamy z arbitrażu, kiedy uzgadniamy warunki ugody z odchodzącymi pracownikami.

— A więc?

— Mam wrażenie, że tak właśnie będzie się na to zapatrywał.

— W każdym razie spróbujmy. Powiedz mu, że to nie zobowiązujące i zobacz, czy na tej podstawie zechce wyrazić zgodę. Podaj mu trzy nazwiska i niech wybierze jedno. Uzgodnij z nim jutrzejszy termin. Czy powinienem sam z nim pomówić?

— Raczej tak. Zacznę, a potem ty mnie wesprzesz.

— Dobra.

— Oczywiście - powiedziała Kaplan - jeżeli użyjemy mediatora z zewnątrz, wprowadzimy nieprzewidywalny element.

— Chodzi ci o fakt, że mediator może coś na nas znaleźć?

Zaryzykuję - oznajmił Garvin. - Najważniejsze, żebyśmy załatwili tę sprawę. Po cichu - i szybko. Nie chcę, żeby Ed Nichols się wycofał. Mamy na piątek po południu wyznaczoną konferencję prasową. Żądam, żeby do tej pory cały ten pozew był już martwy

i pochowany i aby do piątku Meredith Johnson była publicznie przedstawiona jako nowy wiceprezes. Czy wszyscy dokładnie wiedzą, co trzeba zrobić?

Obecni potwierdzili.

- W takim razie do roboty - polecił Garvin i wyszedł z pokoju. Blackburn pospieszył za nim.

Już na korytarzu Garvin powiedział do Blackburna:

- Chryste, co za bajzel. Wiesz, co ci powiem? Jestem bardzo niezadowolony.

— Wiem - odparł ponuro Blackburn, kręcąc ze smutkiem głową.

— Rzeczywiście umoczyłeś tę sprawę, Phil. Chryste. Mogłeś wszystko lepiej załatwić. O wiele lepiej.

— Jak? Co mogłem zrobić? Mówi, że go prowokowała, Bob.

To poważna sprawa.

— Meredith Johnson jest niezbędna, aby fuzja zakończyła się sukcesem - oznajmił stanowczo Garvin.

— Tak, Bob. Oczywiście.

— Musimy ją zatrzymać.

— Tak jest, Bob. Ale obaj wiemy, że w przeszłości miała...

— Udowodniła, że ma wyjątkowy talent kierowniczy - przewał mu Garvin. - Nie dopuszczę, aby te śmieszne zarzuty zagroziły jej karierze.

Blackburn zdawał sobie sprawę z niezmiennego poparcia, jakie Garvin udzielał Meredith. Od wielu lat miał do niej słabość. Gdy tylko ktoś zaczynał krytykować Johnson, Garvin zawsze w jakiś

sposób potrafił zmienić temat, zaczynał po prostu rozprawiać o czymś innym. Nie było sposobu, żeby przemówić mu do rozsądku. Ale tym razem Blackburn uważał, że powinien spróbować.

- Bob - powiedział. - Meredith jest tylko człowiekiem.

Wiem, że ma swoje słabości.

210

— Tak - odparł Garvin. - Ma w sobie tyle młodości.

Entuzjazmu. Jest uczciwa. Nie ma ochoty brać udziału w rozgrywkach w firmie. A poza tym, oczywiście, jest kobietą. I to jest ta najważniejsza przeszkoda - fakt, że jest kobietą.

— Ależ Bob...

— Powtarzam ci, że nie mogę już dłużej znosić tych wymówek - oznajmił Garvin. - Nie mamy kobiet na wysokich stanowiskach. Nikt nie ma. We wszystkich amerykańskich przedsiębiorstwach. A gdy tylko zaczynam mówić o mianowaniu kobiety, zawsze słyszę: "Ależ Bob". Do diabła z tym, Phil. Kiedyś musimy rozwalić ten szklany mur.

Blackburn westchnął. Garvin znowu zmieniał temat.

— Bob, trudno się z tobą nie zgodzić...

— Owszem, wszyscy się nie zgadzają. Ty też, Phil. Wciąż mi tłumaczysz, dlaczego Meredith się nie nadaje. A ja ci mówię, że gdybym mianował jakąś inną kobietę, znalazłyby się jakieś nowe zarzuty, dowodzące, że się nie nadaje. I wiesz, co ci powiem? Jestem tym zmęczony.

— Mamy Stefanię - odparł Blackburn. - I Mary Annę.

— Symbolicznie - rzucił Garvin, machając lekceważąco ręką. - Jasne, pozwólmy, żeby sprawami finansowymi kierowała kobieta. Niech nawet będzie paru kierowników średniego szczebla. Rzucić dziwkom kość. Ale fakt pozostaje faktem. Nie zaprzeczysz, że inteligentna, zdolna, młoda kobieta rozpoczynająca karierę w biznesie, zawsze jest blokowana i natychmiast znajduje się setki zupełnie błahych, ale pozornie uzasadnionych powodów, dlaczego nie powinna być awansowana i otrzymać odpowiednio wysokiego stanowiska w hierarchii władzy. Ale tak naprawdę jest to tylko przesąd i trzeba z nim skończyć. Mamy obowiązek dać tym zdolnym, młodym kobietom przyzwoitą szansę.

— No cóż, Bob - stwierdził Blackburn.«- Po prostu sędzę, że byłoby dobrze, gdybyś zapoznał się ze stanowiskiem Meredith w tej sprawie.

— Zrobię tak. Dowiem się, co, u diabła, zaszło. Wiem, że mi powie. Ale ta sprawa w dalszym ciągu czeka na rozwiązanie.

— Tak jest, Bob.

— I chcę, żebyś wiedział o jednym. Oczekuję, że zrobisz wszystko, co niezbędne, aby ją zakończyć.

211

—
Dobra, Bob.

— Wszystko, co niezbędne - powtórzył stanowczo Garvin. - Naciśnij Sandersa. Tak, żeby poczuł. Potrząśnij klatką, Phil.

— Dobra, Bob.

— Załatwię sprawę z Meredith. A ty zajmij się tylko Sandersem.

Chcę, żebyś potrząsał jego pieprzoną klatką tak długo, aż zzielenieje.

- Bob. - Meredith Johnson stała przy jednym z centralnych stołów w laboratorium grupy projektowej, oglądając wraz z Markiem Lewynem rozebrane na części stacje Twinkle. Gdy zobaczyła stojącego z boku Garvina, podeszła do niego. - Nie jestem w stanie powiedzieć ci, jak mi przykro z powodu tej sprawy z Sandersem.

— Mamy z tym trochę kłopotów - przyznał Garvin.

— Wciąż myślę o tym, co się zdarzyło - powiedziała. - Zastanawiam się, co mogłam wtedy zrobić. Ale szalał i nie sposób było nad nim zapanować. Wypił za dużo i paskudnie się zachowywał. Każdemu z nas się to zdarza, ale... - Wzruszyła ramionami. - Bardzo mi przykro.

— Wszystko wskazuje na to, że ma zamiar złożyć pozew o napastowanie seksualne.

— Fatalnie - stwierdziła. - Ale przypuszczam, że taka jest jego metoda działania - próbuje mnie upokorzyć, zdyskredytować w oczach pracowników.

— Nie dopuszczę do tego - oznajmił Garvin.

— Był bardzo niezadowolony z mojej nominacji i nie mógł pogodzić się z faktem, że mam zostać jego przełożoną. Podjął więc próbę przywołania mnie do porządku. Niektórzy mężczyźni tacy są. - Pokręciła ze smutkiem głową. - I chociaż tyle się mówi

o nowej wrażliwości mężczyzn, obawiam się, że bardzo mało jest takich jak ty.

213

—
Obecnie powodem mojego zmartwienia, Meredith, jest fakt, że ten pozew może przeszkodzić w fuzji.

— Nie rozumiem, dlaczego miałyby to stanowić jakiś problem - powiedziała. - Mam wrażenie, że zdołamy zapanować nad sytuacją.

— Problem powstanie, jeżeli Sanders złoży skargę w stanowej KPO.

— Chcesz powiedzieć, że ma zamiar wyjść z tym na zewnątrz? - zapytała.

— Tak. Właśnie o to mi chodzi.

Meredith zapatrzyła się w przestrzeń. Po raz pierwszy wydawało się, że traci pewność siebie. Przygryzła wargę.

— Rzeczywiście, sytuacja stałaby się bardzo kłopotliwa.

— Bardzo. Wysłałem do niego Phila, aby sprawdził, czy możemy spróbować arbitrażu. Przy pomocy doświadczonej osoby z zewnątrz.

Kogoś takiego jak sędzina Murphy. Próbuję zorganizować spotkanie na jutro.

— Doskonale - stwierdziła Meredith. - Będę mogła wykroić kilka godzin w moim rozkładzie dnia. Ale nie wiem, czego możemy się spodziewać. Jestem pewna, że nie powie prawdy o tym, co się stało. A przecież nie ma żadnego protokołu, żadnych świadków.

— Chciałbym, żebyś mnie dokładnie poinformowała - rzekł

Garvin - co właściwie zaszło wczoraj wieczorem.

— Och, Bob - westchnęła. - Obwiniam się o wszystko za każdym razem, gdy myślę na ten temat.

— Nie powinnaś.

— Wiem, ale nie mogę się powstrzymać. Gdyby moja sekretarka nie poszła wynająć mieszkania, zadzwoniłabym po nią i nic takiego by się nie stało.

— Mam wrażenie, że lepiej będzie, jeżeli mi opowiesz, Meredith.

— Oczywiście, Bob.

Pochyliła się w jego stronę i przez kilka minut mówiła cicho, spokojnie. Garvin stał koło niej i słuchał, kręcąc gniewnie głową.

Don Cherry położył nogi na biurku Lewyna.

- Tak? Więc Garvin przyszedł. I co się stało?

— Stał w rogu przestępując z nogi na nogę, jak zawsze. Czekał, żeby go zauważyć. Nigdy sam nie podejdzie, czeka, aż się go zauważy. A Meredith rozmawiała ze mną na temat stacji Twinkle, które rozłożyłem na całym stole i pokazywałem jej, jaką nieprawidłowość znalazłem w głowicach laserowych...

— I zrozumiała?

— Tak, wydaje się w porządku. Nie jest Sandersem, ale szybko się uczy.

— No i lepiej pachnie niż Sanders - zauważył Cherry.

— Tak. Podobają mi się jej perfumy - przyznał Lewyn. -

W każdym razie...

— Zapach Sandersa pozostawia wiele do życzenia.

— Tak. W każdym razie Garvin szybko zmęczył się podskakiwaniem i dyskretnie kaszlnął. Meredith go zauważyła i zawołała: "Och", z takim lekkim drżeniem w głosie. No wiesz, z takim lekkim nabraniem powietrza.

— Hej - powiedział Cherry. - O czym my tu właściwie rozmawiamy?

- Właśnie o tym - odparł Lewyn. - Podbiegła do niego, a on wyciągnął do niej obie ręce. Mówię ci, wyglądało to jak na puszczone w zwolnionym tempie filmie, dwoje kochanków biegło do siebie.

215

—

O, o - zauważył Cherry - żona Garvina może być wkurzona.

— Ale kiedy wreszcie się spotkali i stanęli obok siebie, nie było nic z tych rzeczy. Rozmawiali, ona gruchała trochę do niego i trzepotała rzesami, on zaś był twardzielem, który na coś takiego nie zwraca uwagi, ale wyczuwa.

— Wygląda, rzeczywiście, nieźle - przyznał Cherry. - Muszę przyznać, że jest z wyjątkowo dobrej matrycy i idealnie wykończona.

— Cała rzecz jednak w tym, że wcale nie zachowywali się jak kochankowie. Gapiłem się, usiłując się nie gapić, i mówię ci - wcale nie wyglądali jak kochankowie. To coś innego. Prawie jak układ między ojcem i córką, Don.

— Hej. Można pieprzyć również własną córkę. Miliony tak robią.

— Nie. Wiesz, co myślę? Mam wrażenie, że Bob widzi w niej swoje odbicie. Widzi coś, co przypomina mu jego samego w młodości. I wiesz, co ci powiem, Don? Ona to rozgrywa. Kiedy Garvin skrzyżuje ręce na piersi, ona również. Kiedy on się oprze o ścianę, ona też. Dokładnie go naśladuje. I wiesz, co ci powiem, Don - z większej odległości nawet przypomina Garvina.

— Nie...

— Tak. Pomyśl o tym.

— Chyba z bardzo dużej odległości - stwierdził Cherry. Zdjął nogi z biurka i wstał. - O czym więc rozmawialiśmy? O ukrytym nepotyzmie?

— Nie wiem. Ale Meredith jest z nim jakoś związana. To nie są tylko interesy.

— Hej - odparł Cherry. - Nic nie jest czystym interesem.

Nauczyłem się tego już dawno temu.

Luiza Fernandez weszła do biura i cisnęła teczkę na podłogę.

Przekartkowała stos telefonogramów i odwróciła się do Sandersa.

- Co się dzieje? Miałam tego popołudnia trzy telefony od Phila Blackburna.

— Powiedziałem mu, że zaangażowałem panią jako mojego adwokata i mam zamiar wnieść pozew. I, hmm, zasugerowałem, że złoży go pani jutro w KPO.

— Raczej nie będę mogła złożyć pozwu już jutro - powiedziała. - I w każdym razie nie radziłabym tego robić. Panie Sanders, muszę pana ostrzec, że traktuję fałszywe oświadczenia bardzo poważnie. Proszę już nigdy więcej nie stawiać mnie w takiej sytuacji.

- Bardzo przepraszam - odparł. - Ale wszystko działo się tak szybko.

- Po prostu chcę, żeby wszystko było jasne. Nie lubię tego i jeżeli postąpi pan w ten sposób jeszcze raz, będzie pan szukał sobie nowego adwokata. - Znowu ten nagły chłód. - Dobrze. A więc powiedział pan Blackburnowi. Jak zareagował?

— Zapytał, czy zgodzę się na arbitraż.

— Absolutnie wykluczone - odparła Fernandez.

— Dlaczego?

— Arbitraż zawsze działa na korzyść firmy.

— Powiedział, że będzie niezobowiązujący.

217

—

Mimo wszystko. Dzięki niemu bez wysiłku dochodzą do celu. Nie ma powodu, abyśmy mieli im to ułatwiać.

— I powiedział, że będzie pani mogła uczestniczyć w rozprawach - dodał Sanders.

— Oczywiście, że będę obecna, panie Sanders. Żadna łaska.

Pański adwokat musi przez cały czas brać udział w arbitrażu, bo w przeciwnym razie nie miałby on mocy prawnej.

— A tu mam podane przez niego nazwiska trzech ewentualnych sędziów. - Sanders podał jej listę.

Zerknęła na nią krótko.

— Typowi. Jeden z nich jest lepszy niż pozostała dwójka. Ale mimo wszystko nie...

— Chce, żeby rozprawa arbitrażowa odbyła się jutro.

— Jutro? - Fernandez popatrzyła na niego ze zdziwieniem i usiadła w fotelu. - Panie Sanders, jestem zdecydowaną zwolenniczką szybkiego rozstrzygnięcia, ale to przesada. Do jutra nie zdołamy się przygotować. I jak już powiedziałam, nie radzę panu pod żadnym pozorem wyrażać zgody na arbitraż. Czy jest coś, o czym nie wiem?

— Tak.

- Proszę mi powiedzieć.

Zawahał się.

— Wszelkie informacje, których mi pan udzieli, są zastrzeżone i poufne - oświadczyła.

— A więc dobrze. DigiCom ma zostać kupiony przez nowojorskie przedsiębiorstwo, które nazywa się Conley-White.

— A więc pogłoski były prawdziwe.

— Tak - odparł. - Mają zamiar poinformować o fuzji w piątek na konferencji prasowej. I chcą jednocześnie przedstawić Meredith Johnson jako nowego wiceprezesa firmy.

— Rozumiem - oznajmiła. - Dlatego Philowi tak się spieszy.

— Tak.

- I pańska skarga stanowi dla niego poważny problem.

Skinął głową.

- Powiedzmy, że ma ona miejsce w wyjątkowo nieodpowiednim momencie.

Milczała przez chwilę, spoglądając na niego znad okularów.

- Panie Sanders, źle pana oceniłam. Miałam wrażenie, że jest pan bojaźliwym człowiekiem.

218

—

Nie mam innego wyjścia.

— Rzeczywiście. - Otaksowała go wzrokiem, a potem wcisnęła guzik interkomu. - Bob, pokaż mi mój kalendarz. Muszę uporządkować parę spraw. I poprosz Herba i Allana, żeby do mnie przyszli.

Powiedz im, żeby rzucili wszystko, czym się zajmują. Mam ważniejszą sprawę. - Odsunęła na bok papiery. - Czy wszyscy sędziowie na tej liście są wolni?

— Sądzę, że tak.

— Mam zamiar wnioskować o udział Barbary Murphy. Sędziny Murphy. Nie spodoba się panu, ale lepiej wykonuje swoją pracę niż inni. Jeżeli mi się uda, spróbuję ustalić termin na jutrzejsze popołudnie. Potrzebujemy czasu. Jeżeli nie - tuż przed południem.

Czy zdaje pan sobie sprawę z podejmowanego ryzyka? Sądzę, że tak. Postanowił pan zagrać w bardzo niebezpieczną grę. - Ponow-

nie wcisnęła guzik interkomu. - Bob? Odwołaj Rogera Rosenberga.

Odwołaj Eillen o szóstej. Przypomnij mi, żebym zadzwoniła do męża i powiedziała mu, że nie będę na obiedzie. - Popatrzyła na

Sandersa. - Pan zresztą również nie będzie. Czy musi pan

zadzwoić do domu?

— Moja żona i dzieci wyjeżdżają dziś z miasta.

Uniosła brew.

— Powiedział jej pan wszystko?

— Tak.

— Rzeczywiście traktuje pan poważnie tę sprawę.

— Oczywiście - skinął głową. - Bardzo poważnie.

— Znakomicie - powiedziała adwokatka. - Bardzo słusznie.

Bądźmy szczerzy, panie Sanders. To, co pan zapoczątkował, nie jest właściwie procedurą prawną w ścisłym znaczeniu. Właściwie wywiera pan naciski.

— Tak jest.

— Od dzisiejszego dnia do piątku jest pan w stanie wywrzeć bardzo poważną presję na firmę.

— Tak jest.

— A oni na pana, panie Sanders.

Siedział w sali konferencyjnej przed pięcioma osobami. Wszystkie sporządzały notatki. Po obu stronach Luizy Fernandez znajdowała się dwójka młodych prawników: kobieta o imieniu Eileen i mężczyzna Robert. Było również dwóch agentów dochodzeniowych: Alan i Herb. Jeden był wysoki i przystojny, drugi zaś miał pucołowatą, ospowatą twarz i kamerę zawieszoną na szyi. Luiza Fernandez poprosiła, aby Sanders ponownie opowiedział swoją historię, tym razem bardziej szczegółowo. Często przerywała

mu, aby zadać kolejne pytanie, zanotować nazwiska albo konkretne dane. Para prawników nie zabierała głosu, chociaż Sanders miał nieodparte wrażenie, że młoda kobieta odnosi się do niego nieprzyjaźnie. Dwaj agenci również zachowywali milczenie, przerywając je tylko w określonych momentach. Gdy Sanders wspomniał o sekretarce Meredith, Alan - przystojniak - zapytał:

— Czy mógłby pan powtórzyć jej nazwisko?

— Betsy Ross.

— Czy pracuje na piątym piętrze?

— Tak.

— O której wychodzi do domu?

— Wczoraj wieczorem wyszła o szóstej piętnaście.

— Może będę chciał się z nią przypadkowo spotkać. Czy mogę wejść na piąte piętro?

— Nie. Wszyscy goście są zatrzymywani w recepcji, w holu na parterze.

220

—

A jeśli doręczałbym paczkę? Czy Betsy ją odbierze?

— Nie. Paczki przechodzą przez kancelarię główną.

— Dobra. A co z kwiatami? Czy są dostarczane bezpośrednio?

— Tak. Chyba tak. Chodzi panu o kwiaty dla Meredith?

— Tak - stwierdził Alan.

— Sądzę, że mógłby je pan dostarczyć osobiście.

— Doskonale - rzekł Alan i sporządził notatkę.

Przerwali mu po raz drugi, gdy wspomniał o sprzątacze, którą widział, wychodząc z gabinetu Meredith.

— Czy DigiCom korzysta z usług firmy sprzątającej?

— Tak jest. AMS - Amerykańskie Przedsiębiorstwo Obsługi.

Mieszczą się na...

- Znamy ich. Na Boyle. O której grupy sprzątające wchodzi do budynku?

— Zazwyczaj koło siódmej.

— Czy zapamiętał pan tę kobietę? Proszę ją opisać.

— Około czterdziestki. Czarna. Bardzo szczupła, siwe włosy, chyba kręcone.

— Wysoka? Niska? Jaka?

Wzruszył ramionami.

— Średnia.

— To niewiele - stwierdził Herb. - Czy może nam pan powiedzieć coś więcej?

Sanders zawahał się. Myślał już o tym.

— Nie. Tak naprawdę jej nie widziałem.

— Niech pan zamknie oczy - zaproponowała Luiza.

Zamknął je.

— A teraz niech pan weźmie głęboki oddech i przeniesie się w przeszłość. Jest wczorajszy wieczór. Znajdował się pan w gabinecie Meredith, drzwi były zamknięte przez prawie godzinę, miał pan z nią ten incydent, a teraz opuszcza pan gabinet, wychodzi pan...

Jak otwierały się drzwi - na zewnątrz czy do środka?

— Do środka.

— W takim razie, pociąga pan drzwi do siebie... wychodzi na zewnątrz... Szybko czy wolno?

— Idę szybko.

— I znalazł się pan w sekretariacie... Co pan widzi?

Przez drzwi do sekretariatu widzi windy. Czuje, że ubranie ma

221

w nieładzie, jest zdezorientowany. Ma nadzieję, że nikt go nie zobaczy. Spogląda w prawo na biurko Betsy Ross - czyste, puste, fotel dosunięty do samej krawędzi blatu. Notatnik. Komputer pod plastikowym pokrowcem. Światło na biurku wciąż się pali.

Przesuwa wzrok w lewo i widzi sprzątaczkę przy drugim biurku.

Jej wielki, szary wózek z przyborami do czyszczenia. Sprzątaczką unosi kosz do śmieci, aby wysypać jego zawartość do plastikowego worka wiszącego przy jednym końcu wózka. Kobieta zamiera w połowie gestu i patrzy na niego ze zdziwieniem. Zastanawia się, od jak dawna sprzątaczką tu jest i co słyszała. Z małego radia na wózku dobiega muzyka.

"Zabiję cię za to!" - woła za nim Meredith.

Sprzątaczką słyszy ten krzyk. Odwraca od niej wzrok i za-

kłopotany szybkim krokiem idzie w stronę wind. Czuje niemal panikę.

Wciska guzik.

— Czy widzi pan tę kobietę? - zapytała Fernandez.

— Tak. Ale wszystko dzieje się tak szybko... I wcale nie chcę na nią patrzeć. - Sanders pokręcił głową.

— Gdzie pan jest teraz? W windzie?

— Tak.

— Czy widzi pan tę kobietę?

— Nie, nie chcę na nią patrzeć.

— Dobrze. Wracajmy. Niech pan nie otwiera oczu. Powtórzymy.

Proszę zrobić głęboki wdech i wolny wydech... Dobrze. Tym razem

zobaczy pan wszystko w zwolnionym tempie, jak w kinie. Już...

wychodzi pan przez drzwi... i niech mi pan powie, gdy ją pan zobaczy.

Wychodzi przez drzwi. Wszystko dzieje się wolno. Jego głowa

przy każdym kroku kołysze się pomału do góry i w dół. Jest

w sekretariacie. Biurko z prawej, porządne, zapalona lampa. Z lewej,

przy drugim biurku, sprzątaczką podnosi...

— Widzę ją.

— Dobrze. A teraz proszę zastopować obraz. Jak na fotografii.

— Dobrze.

- A teraz niech pan na nią spojrzy. Może pan na nią popatrzeć.

Stoi z koszem do śmieci w ręku. Patrzy na niego z lekką ironią.

Ma około czterdziestu lat. Krótkie włosy, kędzierzawe. Niebieski

fartuch jak u hotelowej pokojówki. Na szyi łańcuszek - nie, łańcuszek

z okularami.

222

—
Ma okulary na szyi, na metalowym łańcuszku.

— Dobrze. Niech się pan nie spieszy. Mamy czas. Niech ją pan

dokładnie obejrzy.

- Wciąż widzę jej twarz...

Patrzy na niego. Z lekką ironią.

- Niech pan przestanie patrzeć na twarz. Proszę obejrzeć ją całą.

Fartuch. Pojemnik ze sprejem przypięty do paska. Niebieska spódnica do kolan. Białe buty. Nie. Trampki. Nie. Grubsze, adidas.

Grube podeszwy. Ciemne sznurowadła. Coś ze sznurowadłami.

— Ma... Ma coś w rodzaju adidasów. Adidasy starszej pani.

— Dobrze.

— I coś dziwnego ze sznurowadłami.

— Czy widzi pan, co jest w nich dziwnego?

— Nie. Są ciemne. Coś dziwnego. Ja... nie mogę tego określić.

— Dobrze. Proszę otworzyć oczy.

Popatrzył na siedzącą przed nim piątkę. Znowu znajdował się w sali konferencyjnej.

— To było niesamowite - powiedział.

— Gdybyśmy mieli czas - oznajmiła Fernandez - zaaranżowałabym spotkanie z zawodowym hipnotyzerem, który odtworzyłby razem z panem cały wieczór. Przekonałam się, że może to być bardzo użyteczne. Ale nie mamy czasu. Chłopcy? Jest piąta. Lepiej już zaczynajcie.

Dwaj agenci zebrali notatki i wyszli.

— Co będą robili?

— Jeżeli złożymy pozew - wyjaśniła Luiza Fernandez - będziemy mieli prawo powołać potencjalnych świadków - zadawać

pytania pracownikom firmy, którzy mogą dysponować informacjami istotnymi dla sprawy. W obecnej sytuacji nie mamy prawa nikogo przesłuchiwać, ponieważ przystępuje pan do prywatnych mediacji. Ale jeżeli jedna z pracownic DigiComu zechce wypić po pracy drinka w towarzystwie przystojnego gońca i jeżeli rozmowa zejdzie na plotki o biurowych przygodach erotycznych, no cóż, tak toczy się światek.

— Czy możemy wykorzystać taką informację?

Fernandez uśmiechnęła się.

— Przede wszystkim poczekajmy na to, czego się zdołają

223

dowiedzieć moi agenci - odparła. - A teraz chciałabym powrócić do kilku fragmentów pańskiej historii, zaczynając od momentu, kiedy postanowił pan nie odbyć stosunku z panią Johnson.

— Znowu?

— Tak. Przedtem jednak muszę wykonać kilka czynności. Po pierwsze, zadzwonić do Phila Blackburna i uzgodnić termin jutrzejszej rozprawy. Po drugie sprawdzić jeszcze parę szczegółów. Zróbmy teraz przerwę i spotkajmy się za dwie godziny. A propos, czy sprzątnął pan swój gabinet?

— Nie - odparł.

— Lepiej niech pan to zrobi. Proszę zabrać z niego wszystkie osobiste albo obciążające pana materiały. Od tej chwili może pan oczekiwać, że pańskie szuflady będą przeszukiwane, pańskie akta sprawdzane, poczta czytana i rozmowy telefoniczne kontrolowane.

Każdy element pańskiego życia jest teraz pod lupą.

— Dobrze.

— Niech więc pan zajrzy do swojego biurka i dokumentów.

Usunie z nich wszystko o osobistym charakterze.

— Rozumiem.

— Jeżeli ma pan w swoim komputerze jakiś kod dojścia, niech go pan zmieni! Jeżeli ma pan jakieś pliki o osobistym charakterze, niech je pan zlikwiduje!

— Zrobię tak.

— Niech pan nie ogranicza się do ich wykasowania. Niech je pan usunie tak, żeby były nie do odzyskania.

— Rozumiem.

— Może dobrze by było zrobić to samo i w domu. Szuflady, dokumenty i komputer.

— Oczywiście.

"W domu? - pomyślał. - Czy rzeczywiście mogliby się włamać do jego domu?"

— Jeżeli ma pan jakieś kłopotliwe materiały do przechowania, proszę *| przynieść Richardowi - wskazała młodego prawnika. - Umieści je w skrytce depozytowej. Proszę nie informować mnie o tym. Nie chcę nic na ten temat wiedzieć.

— Rozumiem.

— Tak. A teraz omówmy sprawę telefonu. Od tej pory, jeżeli będzie pan chciał przeprowadzić jakieś prywatne rozmowy, niech

pan nie korzysta ani z telefonu biurowego, ani z telefonu komórkowego czy aparatu w domu. Proszę dzwonić z automatu, nie posługując się jednak kartą kredytową, ani nawet swoją osobistą kartą elektroniczną. Niech pan weźmie garść dwudziestopięciocentówek i je wrzuca.

— Jest pani pewna, że to konieczne?

— Wiem, że to konieczne. Tak. Czy podczas pana pracy w firmie, dawniej i obecnie, było coś, do czego można by się przyczepić? - Patrzyła na niego znad okularów.

Wzruszył ramionami.

— Nie sędzę.

— Zupełnie nic? Czy nie ocenił pan zbyt wysoko swoich kwalifikacji, angażując się do pracy? Czy wyrzucił pan dyscyplinarnie pracownika? Czy było prowadzone przeciwko panu jakieś dochodzenie w związku z pańskim zachowaniem lub podejmowanymi decyzjami? Czy był pan kiedykolwiek obiektem wewnętrznego dochodzenia w firmie? A jeżeli nawet nie, czy ma pan świadomość, że kiedykolwiek postąpił pan niewłaściwie, choćby była to jakaś drobna, najwyraźniej niewiele znacząca sprawa?

— Jezu! - westchnął. - Przecież pracuję dwanaście lat.

— Kiedy będzie pan robił porządki, niech pan o tym pomyśli.

Muszę wiedzieć o wszystkim, co firma mogłaby przeciwko panu wyciągnąć. Bo jeśli będą mogli, na pewno wszystko wykorzystają.

— Dobrze.

— Z drugiej strony, na podstawie tego, co mi pan powiedział,

wnioskuje, że nikt w pańskiej firmie nie wie dokładnie, czemu

Meredith Johnson zawdzięcza tak szybki awans.

— Tak jest.

— Proszę się dowiedzieć.

— Nie będzie to takie łatwe - oznajmił Sanders. - Wszyscy

o tym mówią, ale chyba nikt nic nie wie.

— Ale dla wszystkich - powiedziała Fernandez - są to

wyłącznie plotki. Dla pana natomiast - informacja o życiowym

znaczeniu. Musimy znać jej powiązania i ich mechanizm. Bo wtedy

mamy szansę je wykorzystać. Ale jeżeli się nam nie uda, panie

Sanders, najprawdopodobniej rozszarpią nas na strzępy.

Wrócił do DigiComu o szóstej. Cindy robiła porządki na

swoim biurku i zbierała się do wyjścia.

— Były jakieś telefony? - zapytał, wchodząc do sekretariatu.

— Tylko jeden - odparła. W jej głosie dało się słyszeć wyraźne napięcie.

— Kto dzwonił?

— John Levin. Mówił, że to ważne.

John Levin był kierownikiem w firmie dostarczającej twarde

dyski. Cokolwiek chciał, mogło poczekać.

Sanders popatrzył na Cindy. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej,

niemal na granicy łez.

— Coś się stało?

— Nie. Tylko długi dzień. - Wzruszenie ramion. Obojętność

na pokaz.

— Czy zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Nie. Było spokojnie. Nikt inny nie dzwonił. - Zawahała się. -

Tom, po prostu chciałabym wiedzieć. Nie wierzę w to, co mówią.

— A co mówią? - zapytał.

— O Meredith Johnson.

— A co konkretnie?

— Że napastowałaś ją seksualnie.

Wykrztusiła te słowa i czekała. Obserwowała go, wodząc spojrzeniem po jego twarzy. Widział, że jest niezdecydowana. Sam również czuł się niezręcznie, bo kobieta, z którą tyle lat pracował, miała teraz wątpliwości.

226

—

Nieprawda, Cindy - powiedział stanowczo.

— W porządku. Nie mogłam uwierzyć. Ale wszyscy...

— Nie ma w tym ani krzty prawdy.

— W porządku. Dobrze. - Skinęła głową, wkładając skorowidz

z telefonami do szuflady biurka. Zachowywała się tak, jakby

chciała szybko się ulotnić. - Czy chcesz, żebym została?

— Nie.

— Dobranoc, Tom.

- Dobranoc, Cindy.

Wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Usiadł za biurkiem i przez chwilę patrzył na nie. Wyglądało, jakby nikt nic nie ruszał.

Włączył monitor i zaczął przeglądać szuflady, próbując ustalić, co

powinien zabrać. Spojrzał na monitor i zobaczył, że miga ikona poczty elektronicznej. Leniwie kliknął przyciskiem myszy.

LICZBA OSOBISTYCH KOMUNIKATÓW: 3. CZY CHCESZ JE TERAZ PRZECZYTAĆ?

Wcisnął klawisz. Chwilę potem na ekranie pojawiła się pierwsza wiadomość:

ZAPAKOWANE HERMETYCZNIE STACJE TWINKLE SĄ JUŻ W DRODZE, WYŚLANE DHL. POWINIENIEŚ DOSTAĆ JE JUTRO. MAM NADZIEJĘ, ŻE COŚ ZNAJDZIECIE... JAFAR WCIAŻ CIĘŻKO CHORY. MÓWIĄ, ŻE MOŻE UMRZEĆ.

ARTUR KAHN

Sanders wcisnął klawisz i pojawiła się następna wiadomość:

DROBIAZG WCIAŻ SIĘ TU KRĘCI. CZY MASZ JUŻ JAKIEŚ WIADOMOŚCI?

EDDIE

Sanders nie mógł teraz zaprzętać sobie głowy Eddiem. Wcisnął klawisz i pojawiła się trzecia informacja.

MAM WRAŻENIE, ŻE NIE CZYTAŁEŚ DAWNYCH WYDAŃ COMLINE. ZACZNIJ OD CZTERECH LAT WSTECZ.

PRZYJACIEL

227

Sanders patrzył na ekran. ComLine był wewnętrzną gazetą DigiComu - czterokartkowym miesięcznikiem wypełnionym ploteczkami na temat nowych pracowników, awansów i narodzin dzieci. Zawierał również plan letnich rozgrywek w futbolu i temu

podobne drobiazgi. Sanders nigdy się nim nie interesował i nie mógł sobie wyobrazić powodu, dla którego miałby zmienić zdanie.

I kim jest "Przyjaciel"?

Kliknął ikonę "Odpowiedź" na ekranie.

NIE MOGĘ ODPOWIEDZIEĆ - BRAK ADRESU NADAWCY.

Kliknął ikonę "Nadawca info". Dzięki temu zabiegowi powinien otrzymać nazwisko i adres osoby, która wysłała mu wiadomość pocztą elektroniczną. Zamiast tego zobaczył jednak gęste linijki znaków:

FROM UU51,PSI.COM!UWA.PCM.COM.EDU!CHARON TUE
JUN 16

04:43:31 REMOTE FROM DCCSYS

RECEIVED: FROM UUPS15 BY DCCSYS. DCC. COM ID
AA02599; TUE,

16 JUN 4:42:1 9 PST

RECEIVED: FROM UWA. PCM. COM. EDU BY UU5.PSI. COM
(5.65B/4.0.071791- PSI/PSINET)

ID AA28153; TUE, 16 JUN 04:24:58 -0500

RECEIVED: FROM RIVERSTYX. PCM.COM. EDU BY UWA.
PCM. COM. EDU

(4.1 /SM 1-4.1)

ID AA1 5969; TUE, 16 JUN 04:25:56 PST

RECEIVED: BY RIVERSTYX. PCM. COM. EDU (920330.SGI/5.6)

ID AA00448; TUE, 16 Jun 04:24:56 -0500

DATE: TUE, 16 JUN 04:24:56 -0500

FROM: CHARON@UWA.PCM.COM. EDU (PRZYJACIEL)

MESSAGE- ID: «9212220924.AA90448@RIVERSTYX.PCM.

TO: T.SANDERS@DCC.COM

Sanders gapił się w ekran. Wiadomość wcale nie dotarła do niego z firmy. Miał przed sobą wybór trasy Internetu. Internet był ogromną ogólnoswiatową siecią komputerową łączącą uniwersytety,
228

agencje rządowe, przedsiębiorstwa i prywatnych użytkowników.

Sanders nie znał się specjalnie na Internecie, ale wszystko wskazywało, że wiadomość od "Przyjaciela" posługującego się siecią nazwą CHARON, pochodziła z UWA.PCM.COM.EDU., czymkolwiek to było. Zapewne jakaś instytucja edukacyjna. Nacisnął klawisz PRINT SCREEN i odnotował w pamięci, aby przekazać te dane Bosakowi. Tak czy owak, będzie musiał z nim porozmawiać.

Wyszedł na korytarz i wziął kartkę wysuwającą się z drukarki.

Następnie wrócił do gabinetu i znowu przez chwilę patrzył w ekran.

Postanowił spróbować odpowiedzieć nieznanemu,

OD: T.SANDERS@DCC.COM

DO: CHARON@UWA.PCM.COM.EDU

BĘDĘ WDZIĘCZNY ZA WSZELKĄ POMOC.

SANDERS

Wcisnął klawisz SEND. A następnie skasował zarówno otrzymaną wiadomość, jak i swoją odpowiedź.

PRZEPRASZAM, NIE MOŻESZ SKASOWAĆ TEJ KORESPONDENCJI.

Czasem poczta elektroniczna bywała zabezpieczana znacznikiem uniemożliwiającym skasowanie.

Wypisał:

ZDEJMIJ ZABEZPIECZENIE KORESPONDENCJI.

KORESPONDENCJA JEST NIE ZABEZPIECZONA.

Wypisał:

SKASUJ KORESPONDENCJĘ.

PRZEPRASZAM, NIE MOŻESZ SKASOWAĆ TEJ KORESPONDENCJI.

"Co, u diabła?" - pomyślał. Musiał zawiesić się system. Może

229

spowodował to adres Internetu. Postanowił skasować korespondencję z systemu na poziomie kontroli.

Wypisał:

SYSTEM

JAKI POZIOM?

Wypisał: SYSOP*

PRZEPRASZAM, TWOJE UPRAWNIENIA NIE OBEJMUJĄ KONTROLI SYSOP,

- Chryste - powiedział na głos. Cofnęli mu uprawnienia. Nie mógł w to uwierzyć.

Wypisał:

POKAŻ UPRAWNIENIA

SANDERS. THOMAS L

POPZEDNI POZIOM UŻYTKOWNIKA: 5 (SYSOP)

PM PST

AKTUALNY POZIOM UŻYTKOWNIKA: 0 (WPIS)

BRAK DALSZYCH ZMIAN

A więc to prawda - wyłączyli go z systemu. Zerowy poziom użytkownika był poziomem, jaki dostawali szeregowi pracownicy firmy.

Sanders opadł na fotel. Czuł się jakby został zwolniony. Po raz pierwszy zaczął sobie uświadamiać całą sytuację.

Najwyraźniej nie było czasu do stracenia. Otworzył szufladę biurka i natychmiast spostrzegł, że jego pióra i ołówki zostały starannie ułożone. Ktoś już tu buszował. Wyciągnął niższą szufladę. Znajdowało się w niej zaledwie pół tuzina teczek. Pozostałe zniknęły. Już skontrolowali jego biurko.

* SYSOP - skrót system operator - operator systemu (przyp. tłum.).

230

Szybko wstał i podszedł do dużej kartoteki stojącej za biurkiem Cindy. Jej szuflady były zamknięte, ale wiedział, gdzie Cindy trzyma klucze. Znalazł je i otworzył część zawierającą dokumenty z bieżącego roku.

Szuflada była pusta. Nie było w niej żadnych teczek. Zabrali wszystko.

Otworzył szufladę z dokumentami z ubiegłego roku: pusta.

Rok wcześniej: pusta.

Wszystkie pozostałe: puste.

"Jezu - pomyślał. - Nic dziwnego, że Cindy zachowywała się w taki sposób. Musieli tu sprowadzić całą grupę pracowników z wózkami, zabierając wszystko w ciągu popołudnia".

Sanders pozamykał szuflady kartoteki, schował klucz do biurka Cindy i poszedł w stronę schodów.

Biuro prasowe znajdowało się na trzecim piętrze. Teraz było puste, poza jedną pracownicą, która właśnie szykowała się do wyjścia.

— Och, panie Sanders. Właśnie chciałam wyjść.

— Nie musi pani zostawać. Chciałem tylko coś sprawdzić.

Gdzie trzyma pani archiwalne numery ComLine?

— Wszystkie są na tamtej półce. - Wskazała egzemplarze ułożone w stosy. - Czy potrzebuje pan czegoś konkretnego?

— Nie. Niech pani idzie do domu.

Popatrzyła na niego niepewnie, ale w końcu wzięła torebkę i skierowała się w stronę drzwi. Sanders podszedł do półki. Każdy stos zawierał egzemplarze z jednego półrocza. Na wszelki wypadek zaczął od dziesiątego pliku - sprzed pięciu lat.

Przerzucał kartki, przebiegając wzrokiem nie kończące się szczegóły wyników rozgrywek, a także komunikaty związane z produkcją.

Już po kilku minutach przekonał się, że z trudem może skupić uwagę. I, oczywiście, nie wiedział, czego ma szukać, chociaż przypuszczał, że powinno to w jakiś sposób dotyczyć Meredith Johnson.

Przejrzał dwa stosy, zanim znalazł pierwszy artykuł.

NOMINACJA NOWEGO ZASTĘPCY DO SPRAW MARKETINGU

Cupertino, 10 maja: Prezes DigiComu, Bob Garvin, ogłosił

dzisiaj nominację Meredith Johnson na stanowisko zastępcy dyrek-

232

tora do spraw marketingu i promocji w dziale Telekomunikacji.

Będzie podlegała Howardowi Gottfriedowi w M i P. Pani Johnson ma 30 lat i przysłała do nas z Conrad Computer Systems w Sunnyvale, gdzie była wiceprezesem do spraw marketingu. Przedtem obejmowała stanowisko starszego pracownika administracji w oddziale Novell Network w Mountain Network.

Pani Johnson, która ukończyła Vassar College i Stanford Business School, niedawno wyszła za mąż za Gary'ego Henleya, kierownika marketingu w CoStar. Gratulacje! Jako nowy pracownik DigiComu, pani Johnson...

Opuścił pozostałą część artykułu, bo stanowiła zwykłą sieczkę działu prasowego. Zamieszczona obok fotografia była typowym zdjęciem absolwentki - na szarym tle, ze światłem padającym zza jednego ramienia - i przedstawiała młodą kobietę z obciętymi na pazia włosami, o bezpośrednim, poważnym, niemal ostrym spojrzeniu i mocno zarysowanych ustach. Wyglądała o wiele młodziej niż teraz.

Sanders kartkował dalej egzemplarze. Zerknął na zegarek. Była już niemal siódma, a chciał jeszcze zadzwonić do Bosaka. Doszedł do końca roku i tu na kartkach były już wyłącznie bożonarodzeniowe teksty. Zdjęcie Garvina i jego rodziny ("Wesołych Świąt życzy Szef! Ho Ho Ho!") zwróciło jego uwagę, ponieważ Bob stał na nim

wokół wielkiej choinki w towarzystwie poprzedniej żony i trójki dzieci w wieku licealnym.

Czy Garvin chodził już wtedy z Emily? Nikt tego nie wiedział.

Garvin był skryty. Nigdy nie było wiadomo, co miał zamiar zrobić.

Sanders zajął się kolejnym stosem, obejmującym następny rocznik. Styczniowe prognozy sprzedaży. Otwarcie zakładów produkcji telefonów komórkowych w Austin z fotografią oświetlonego

jaskrawym słońcem Garona przecinającego wstęgę. A potem

sylwetka Mary Annę Hunter: "Nasz zuch, wysportowana Mary

Annę Hunter, wie, czego chce od życia..." Przez wiele tygodni

przezywali ją "Zuchem", aż wreszcie ubłagała ich, żeby przestali.

Sanders przerzucał kartki. Zezwolenie rządu irlandzkiego na

rozpoczęcie prac budowlanych. Wyniki sprzedaży za drugi kwartał.

Rezultaty drużyny koszykówki w meczach z Aldus. A potem

nekrolog:

233

JENNIFER GARVIN

Jennifer Garvin, studentka trzeciego roku w Szkole Prawniczej Boalt

Hali w Berkeley, zginęła 5 marca w wypadku samochodowym w San

Francisco. Miała dwadzieścia cztery lata. Jennifer po ukończeniu studiów

zamierzała rozpocząć pracę w kancelarii Harley, Wayne i Myers.

Nabożeństwo żałobne dla przyjaciół rodziny i wielu kolegów odbyło się

w kościele prezbiteriańskim w Palo Alto. Osoby, które pragnęłyby

złożyć ofiarę, mogą przysyłać pieniądze pod adresem stowarzyszenia

"Matki przeciwko pijanym kierowcom". Wszyscy pracownicy Digital

Communications wyrażają swoje najgłębsze wyrazy współczucia rodzinie Garwinów.

Sanders pamiętał, że był to trudny okres dla wszystkich. Garvin był zgryźliwy i zamknięty w sobie, pił zbyt dużo i często nie przychodził do pracy. Wkrótce potem jego problemy małżeńskie stały się ogólnie znane. Po dwóch latach rozwiódł się i wkrótce ożenił z Emily Chen, młodą, dwudziestoparoletnią pracownicą. Ale nastąpiły również inne zmiany. Wszyscy zgodnie stwierdzali, że Garvin po śmierci córki stał się zupełnie innym szefem.

Garvin zawsze był agresywny, teraz natomiast zrobił się opiekuńczy, mniej bezwzględny. Niektórzy twierdzili, że zatrzymuje się, aby powąchać róże, ale nie o to chodziło. Zaczął wszystko kontrolować w niespotykany dotąd sposób. Garvin zawsze był wyznawcą teorii ewolucji, czyli rzucenia delikwenta na bezludną wyspę i sprawdzenia, czy przeżyje. Był w związku z tym twardym administratorem, ale wyjątkowo sprawiedliwym szefem. Jeżeli dobrze pracowałeś, byłeś doceniany. Jeżeli nie dawałeś sobie rady - wylatywałeś. Wszyscy znali te zasady. Ale po śmierci Jennifer wszystko uległo zmianie. Teraz Garvin faworyzował niektórych pracowników i programy, hołubił faworytów i zaniedbywał innych, bez względu na ich rzeczywistą wartość. Coraz częściej podejmował arbitralne decyzje. Garvin chciał, aby wszystko przebiegało dokładnie tak, jak sobie życzył czy zaplanował. Dla niego były to nowe, mobilizujące bodźce. Ale dla innych praca w firmie stawała się coraz trudniejsza. Nabrała charakteru politycznej rozgrywki.

Sanders nie zwracał uwagi na tę zmianę. Działał ciągle tak, jakby pracował w dawnym DigiComie - przedsiębiorstwie, w którym liczą się jedynie wyniki. Ale najwyraźniej dawna firma już się skończyła.

234

Sanders w dalszym ciągu kartkował czasopisma. Artykuły o początkowych negocjacjach w sprawie zakładów w Malezji.

Fotografia Phila Blackburna w Irlandii podpisującego umowę z radą miejską w Cork. Nowe wyniki produkcyjne zakładów w Austin. Początek produkcji telefonu komórkowego model A22.

Narodziny, zgony i awanse. Dalsze wyniki drużyny koszykówki DigiComu.

JOHNSON OBEJMUJE STANOWISKO W DZIALE OPERACJI

Cupertino, 20 października. Meredith Johnson została mianowana nowym zastępcą dyrektora działu Operacji na miejsce niezwykle popularnego Harry'ego Warnera, który odszedł na emeryturę po piętnastu latach pracy. Przeniesienie na kierownicze stanowisko w dziale Operacji oznacza porzucenie przez nią marketingu, gdzie bardzo sprawnie działała, od chwili rozpoczęcia pracy w ubiegłym roku. Na swoim nowym stanowisku Meredith Johnson będzie ściśle współpracować z Bobem Garvinem w prowadzeniu międzynarodowych operacji DigiComu.

Uwagę Sandersa zwróciła zamieszczona fotografia. Ponownie było to oficjalne, portretowe zdjęcie, ale Meredith wyglądała na nim zupełnie inaczej. Zniknęła staranna, służbowa fryzura na pazia.

Włosy miała jasnoblond, krótkie i kędzierzawe, o wiele bardziej dyskretny makijaż niż poprzednio i uśmiechała się radośnie. Ogólnie

rzecz biorąc, sprawiała teraz wrażenie o wiele młodszej, otwartej i niewinnej.

Zmarszczył brwi. Szybko przerzucił przejrzone już numery, a potem wrócił do poprzedniego stosu z bożenarodzeniową fotografią: "Wesołych Świąt życzy Sze! Ho Ho Ho!

Popatrzył na fotografię rodzinną: Garvin z trójką dzieci - dwoma synami i córką. To musiała być Jennifer. Jego żona Harriet stoi z boku. Na fotografii Garvin uśmiecha się, opierając lekko rękę na ramieniu córki - wysokiej, wysportowanej, jasnej blondynki o krótkich, kędzierzawych włosach.

- Niech mnie diabli! - powiedział na głos.

Szybko wrócił do pierwszej fotografii Meredith i porównał ją z następną. Nie było najmniejszych wątpliwości. Doczytał do końca pierwszy artykuł.

235

Przybywając do DigiComu, pani Johnson wnosi wielki talent zawodowy, błyskotliwy dowcip i umiejętność wykonywania świetnych rzutów piłką. Będzie wspaniałym nabytkiem dla drużyny DigiComu! Witaj, Meredith!

Wielbiciele Meredith nie dziwią się, że była ona finalistką w wyborach Miss Nastolatek Connecticut. W czasie studiów w Vassar, Meredith uchodziła za gwiazdę drużyny tenisowej. Uczestniczyła też w kole dyskusyjnym. Członkini Phi Beta Kappa, otrzymała dyplom z psychologii, specjalizując się w psychopatologii. Mamy nadzieję, że nie będzie ci to u nas potrzebne, Meredith!

W Stanford uzyskała z wyróżnieniem MBA, sytuując się w czołówce swojej klasy. Meredith powiedziała: "Jestem szczęśliwa, że mogłam podjąć pracę

w DigiComie i z góry cieszę się z czekającej mnie kariery zawodowej w tym przodującym w swojej dziedzinie przedsiębiorstwie". Nie wyrazilibyśmy tego lepiej, pani Johnson!

- O, cholera! - zaklął Sanders. Prawie nic o tym wszystkim nie wiedział. Od samego początku Meredith działała w Cupertino i Sanders wcale jej nie widywał. Raz tylko wpadł na nią zaraz po tym, jak zaczęła pracę, zanim zmieniła uczesanie. Uczesanie - i co jeszcze?

Uważnie obejrzał oba zdjęcia. Były jeszcze inne subtelne różnice. Czyżby miała operację plastyczną? Jej wygląd na tych obu fotografiach różnił się zdecydowanie.

Przekartkował pozostałe egzemplarze szybko, przekonany, że dowiedział się wszystkiego, co trzeba. Teraz zatrzymywał się jedynie na nagłówkach:

GARVIN WYSYŁA JOHNSON DO TEKSASU,
ABY SKONTROLOWAŁA ZAKŁADY W AUSTIN.

JOHNSON BĘDZIE KIEROWAŁA NOWYM
ZESPOŁEM REWIZYJNYM DZIAŁU OPERACJI.

JOHNSON MIANOWANA WICEPREZESEM DO SPRAW
OPERACJI.

BĘDZIE PRACOWAŁA POD BEZPOŚREDNIM KIEROW-
NICTWEM GARVINA.

JOHNSON - TRYUMF W MALEZJI.

ZAKOŃCZENIE KONFLIKTU PRACOWNICZEGO.

MEREDITH JOHNSON JEST NASZĄ WSCHODZĄCĄ
GWIAZDĄ.

WSPANIAŁY KIEROWNIK - MA WYJĄTKOWY TALENT
TECHNICZNY.

Ostatni nagłówek znajdował się nad długą charakterystyką
Meredith Johnson, umieszczoną na drugiej stronie pisma. Ukazała
się w ComLine zaledwie dwa numery temu. Czytając ją w tej chwili,
Sanders uświadomił sobie, że była przeznaczona do wewnętrznego
użytku - Meredith przygotowywała przyczółek do czerwcowego
desantu. Artykuł był balonem próbnym wypuszczonym przez
Cupertino, aby sprawdzić, czy Meredith zostanie zaakceptowana
jako kierownik działów technicznych w Seattle. Kłopot polegał na
tym, że Sanders nigdy go nie widział. I nikt mu nawet o nim nie
wspomni.

Artykuł podkreślał wiedzę techniczną, jaką Johnson zdobyła
w czasie pracy w firmie. Cytowano jej słowa: "Zaczęłam swoją
karierę w Novell, pracując w dziale technicznym i z przyjemnością
do niego powrócę. W końcu innowacje techniczne stanowią istotę
takiej patrzącej w przyszłość firmy jak DigiCom. Każdy dobry
kierownik musi sobie umieć radzić z tego typu działalnością".

A więc tak wyglądała sytuacja.

Spojrzał na datę - 2 maja. Wydrukowane sześć tygodni temu.

Co oznaczało, że artykuł został napisany przynajmniej dwa tygodnie
wcześniej.

Jak podejrzewał Mark Lewyn, Meredith Johnson wiedziała, że

ma zostać szefem Oddziału Wysoko Przetworzonych Produktów przynajmniej dwa miesiące temu. Co z kolei oznaczało, że Sanders nigdy nie był brany pod uwagę jako kierownik. Nigdy nie miał szansy.

Sprawa była ukartowana.

Wiele miesięcy temu.

Sanders zaklął, zaniósł artykuły do kserokopiarki, zrobił odbitki, odłożył pisma na półkę i wyszedł z biura prasowego.

Wszedł do windy. W środku stał Mark Lewyn.

- Cześć, Mark - przywitał go Sanders. Lewyn nie odpowiedział. Sanders wcisnął guzik parteru.

Drzwi zamknęły się.

— Mam nadzieję, że wiesz, do kurwy nędzy, co robisz - rzucił z wściekłością Lewyn.

— Chyba tak.

— Ponieważ możesz upieprzyć sprawę nam wszystkim. Wiesz o tym?

— Co upieprzyć?

— Fakt, że przyciąłeś sobie dupę w drzwiach, to nie nasz problem.

— Nikt nie twierdzi, że jest inaczej.

— Nie wiem, co się z tobą dzieje - oświadczył Lewyn. -

Spóźniasz się do pracy, nie dzwonisz do mnie, chociaż obiecałeś...

Co jest? Masz kłopoty w domu? Nowe awantury z Susan?

— To nie ma nic wspólnego z Susan.

— Tak? A ja sądzę, że ma. Spóźniasz się dwa dni z rzędu, a kiedy nawet tu jesteś, chodzisz jakbyś spał, Tom. Żyjesz w pieprzonym świecie marzeń, Tom. I co, do cholery, myślałeś, zjawiając się wieczorem w gabinecie Meredith?

— Prosiła, żebym przyszedł do jej gabinetu. Jest moim szefem.

Chcesz powiedzieć, że nie powinienem?

Lewyn pokręcił z dezaprobatą głową.

238

—
Nie strugaj z siebie niewiniątka. Nie czujesz się za nic odpowiedzialny?

— Co...

— Słuchaj, Tom. Wszyscy w firmie wiedzą, że Meredith to rekin. Nazywają ją Meredith-Łowczyni Mężczyzn. Wielki Biały Rekin. Wszyscy wiedzą, że chroni ją Garvin i może robić, co się jej podoba. A ma ochotę łapać za tyłki zgrabnych facetów, którzy zjawiają się w jej gabinecie pod koniec dnia. Wypija kilka kieliszków wina, trochę się podnieci i życzy sobie być obsłużona. Goniec, stażysta, młody chłopak z księgowości. Każdy. I nikt nie piśnie nawet słowa, ponieważ Garvin uważa, że ona potrafi chodzić po wodzie. A więc jak to się stało, że wszyscy w firmie o tym wiedzą, poza tobą?

Sanders był oszołomiony. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

Patrzył na Lewyna - zgarbionego, z rękami w kieszeniach i stojącego tak blisko, że czuł jego oddech na twarzy. Ale tak naprawdę,

wcale nie słyszał, co Mark do niego mówi. Miał wrażenie, że słowa Lewyna dobiegają do niego z ogromnej odległości.

- Słuchaj, Tom. Chodzisz tymi samymi korytarzami, oddychasz tym samym powietrzem, co my. Wiesz, co kto robi. I jeżeli poszedłeś do jej gabinetu... to dobrze wiedziałeś, co cię czeka.

Meredith robiła wszystko, poza oznajmieniem tego całemu światu, że chce ci obciągnąć fiuta. Cały dzień dotykała twojego ramienia, zerkłała na ciebie znacząco i powtarzała: "Och, Tom. Jakże się cieszę, że znowu cię widzę". A teraz chcesz mi wmówić, że nie wiedziałeś, co cię czeka u niej w gabinecie? Pieprz się, Tom. Jesteś dupkiem.

Drzwi windy otworzyły się. Hol na parterze był pusty i mroczny w gasnącym świetle czerwcowego wieczoru. Na zewnątrz padał drobny deszcz. Lewyn ruszył w stronę wyjścia, a potem odwrócił się znowu do Sandersa. Jego głos odbił się echem od ścian holu.

- Czy uświadamiasz sobie - powiedział - że zachowujesz się jak jedna z tych damulek? Powtarzasz jak one: "Co, ja? Wcale nie miałam takiego zamiaru". A potem: "Och, nie, wcale nie ponoszę za to odpowiedzialności. Wcale nie myślałam, że się upiję, będę go całować, pójdę do jego pokoju i położę na łóżku, żeby mnie wypieprzył. Och, nie, nic z tych rzeczy". Chrzanianie w bambus, Tom. Nieodpowiedzialne bzdury. I lepiej przemyśl sobie to, co ci

239

powiedziałem, ponieważ wielu z nas pracowało równie ciężko jak ty w tej firmie i wcale nie mamy ochoty, żebyś nam wszystkim

zmarnował szansę, jaką daje fuzyja i oddzielenie. Jeżeli chcesz udawać, że nie wiedziałeś, o co chodziło tej kobiecie, bardzo proszę. Jeżeli chcesz upieprzyć swoje życie, to twoja decyzja. Ale jeżeli będziesz chciał umoczyć moje, to wierz mi, odpowiednio cię ustawię. Lewyn odszedł. Drzwi windy zaczęły się zamykać. Sanders wsunął między nie rękę i drzwi przycięły mu palce. Wyszarpnął dłoń i otworzyły się ponownie. Szybkim krokiem ruszył za Lewynem.

Dogonił go i schwycił za ramię.

— Mark, poczekaj. Posłuchaj mnie...

— Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Mam dzieci, mam swoje obowiązki. A ty jesteś dupkiem.

Lewyn szarpnięciem zrzucił dłoń Sandersa, pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Następnie szybkim krokiem ruszył w dół ulicy.

Gdy szklane drzwi zamykały się, Sanders zobaczył w szybie błysk blond włosów. Odwrócił się.

— Uważam, że to było trochę niesprawiedliwe - powiedziała Meredith Johnson. Stała niedaleko wind, w odległości jakichś dwudziestu stóp od niego. Miała na sobie strój sportowy: - granatowe legginsy i podkoszulek. W ręku trzymała sportową torbę. Wyglądała wspaniale; na swój sposób wyzywająco i erotycznie. Sanders poczuł niepokój - nikogo poza nimi nie było w holu.

— Tak - stwierdził Sanders. - Ja również sędzę, że to było niesprawiedliwe.

— Chodziło mi o kobiety - odparła Meredith. Zarzuciła torbę

na ramię i ten ruch spowodował, że podkoszulek uniósł się do góry, obnażając jej nagi brzuch nad gumką legginsów. Potrząsnęła głową i odrzuciła włosy z twarzy. Przez chwilę milczała, aż wreszcie odezwała się znowu. - Chcę ci powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tego wszystkiego - oznajmiła. Ruszyła w jego stronę zdecydowanym, pewnym krokiem, zupełnie jakby podchodziła zwierzynę i mówiła przyciszonym głosem. - Wcale tego nie chciałam, Tom. - Podeszła jeszcze bliżej, wolno, jakby obawiała się, że go spłoszy. - Żywię do ciebie jedynie jak najserdeczniejsze uczucia. - Jeszcze bliżej. - Najserdeczniejsze. - Bliżej. - Nic na to nie poradzę, Tom, że wciąż cię pragnę. - Bliżej. - Jeżeli

240

zrobiłam coś, co cię uraziło, przepraszam. - Stała tuż przy nim, niemal go dotykając. Jej piersi znajdowały się w odległości kilku cali od jego ramienia. - Szczerze mi przykro, Tom - powiedziała łagodnie. Zdawała się bardzo przejęta, jej piersi unosiły się i opadały, a gdy spojrzała na Sandersa, oczy miała wilgotne i pełne błagania. - Możesz mi wybaczyć? Proszę? Wiesz, co czuję do ciebie.

Poczuł przyływ dawnych emocji, dawnego pożądania. Zacisnął zęby.

- Meredith. To już przeszłość. Przestań, dobrze?

Natychmiast zmieniła ton i wskazała na ulicę.

— Posłuchaj, mam tu samochód. Czy mogę cię gdzieś podrzucić?

— Nie, dziękuję.

— Pada. Pomyślałam, że mogę cię podwieźć.

— Mam wrażenie, że to nie najlepszy pomysł.

— Proponuję tylko dlatego, bo pada.

— Jesteśmy w Seattle - odparł. - Tu ciągle pada.

Wzruszyła ramionami, podeszła do drzwi i oparła się o nie wysuwając biodro. A potem spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Przypomnij mi, żebym nigdy przy tobie nie chodziła w legginsach. To krępujące - na twój widok zrobiło mi się wilgotno.

Odwróciła się, popchnęła drzwi, szybkim krokiem podeszła do czekającego samochodu i usiadła z tyłu. Zamknęła drzwi, popatrzyła na niego i wesoło pomachała ręką. Samochód ruszył.

Sanders rozluźnił zaciśnięte pięści. Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je wolno. Czuł, że całe ciało ma naprężone. Odczekał, aż samochód zniknie, i dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz. Poczul na twarzy krople deszczu, powiew chłodnego, wieczornego wiatru.

Zawołał taksówkę.

- Hotel "Cztery Pory Roku" - polecił kierowcy.

Jadąc taksówką, Sanders patrzył przez szybę i oddychał głęboko. Miał wrażenie, że się dusi. Spotkanie z Meredith paskudnie go zdenerwowało, tym bardziej że nastąpiło tak szybko po rozmowie z Lewynem.

Sanders był wyprowadzony z równowagi słowami Lewyna, ale na dobrą sprawę Marka nigdy nie należało traktować zbyt poważnie. Był człowiekiem pełnym temperamentu, o duszy artysty, który rozładowywał swoje twórcze napięcia w atakach gniewu. Gniew to stan, w którym znajdował się właściwie permanentnie. Po prostu

lubił być zły. Sanders znał go od dawna i na dobrą sprawę nigdy nie rozumiał jakim cudem Adele, żona Marka, mogła z nim wytrzymać. Adele należała do tych cudownie spokojnych, niemal flegmatycznych kobiet, które potrafią rozmawiać przez telefon, gdy tymczasem dwójka dzieci pełzała po niej, szarpała i bez przerwy zadawała pytania. Adele w czasie napadów wściekłości męża zajmowała się swoimi sprawami i nie zwracała na nie uwagi. Po jakimś czasie wszyscy również przestali się nimi przejmować, wiedząc dobrze, że w gruncie rzeczy o niczym one nie świadczą.

Z Drugiej jednak strony, Lewyn posiadał instynktowne wyczucie nastrojów i opinii. W tym zresztą kryła się tajemnica jego sukcesów jako projektanta. Lewyn oświadczał: "Pastelowe kolory" i wszyscy jęczyli i powtarzali, że kolorystyka nowych wyrobów jest koszmarna. Ale dwa lata później, kiedy ruszała masowa produkcja, okazało się, że pastelowe kolory są tym, czego wszyscy poszukują. Sanders

242

mógł być pewien, że wkrótce wszyscy będą powtarzali opinię Lewyna. Mark sformułował stanowisko pracowników firmy - postępowanie Sandersa może spieprzyć szansę im wszystkim.

"Mam ich gdzieś - pomyślał Sanders. - I Meredith też".

Miał wyraźne uczucie, że podczas spotkania w holu wyraźnie się nim bawiła. Drażniła go, prowokowała. Nie był w stanie pojąć, dlaczego jest tak pewna siebie. Zarzuty Sandersa pod jej adresem były przecież bardzo poważne. A mimo to zachowywała się, jakby nic jej nie groziło. Demonstrowała niewrażliwość, obojętność, która

napawała go głębokim niepokojem. Mogło to oznaczać, że doskonale zdaje sobie sprawę z całkowitego poparcia Garvina.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe hotelu i Sanders zobaczył stojący przed nimi samochód Meredith. Rozmawiała właśnie z szoferem. Obejrzała się i zobaczyła Sandersa.

Mógł zrobić tylko jedno. Wsiadł z taksówki i skierował się w stronę wejścia.

— Śledzisz mnie? - zapytała z uśmiechem.

— Nie.

— Na pewno?

— Tak, Meredith. Na pewno.

Weszli do windy jadącej z poziomu ulicy do głównego holu i Sanders stanął za Meredith. Obejrzała się.

— Chciałabym, żeby było inaczej.

— Tak? Ja natomiast nie.

— Mogłoby być przyjemnie - powiedziała, uśmiechając się zapraszająco.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, potrząsnął tylko głową. Jechali w milczeniu do chwili, gdy winda przybyła do wielkiego, ozdobnego holu.

- Mieszkam w pokoju 423. Możesz mnie odwiedzić, kiedy tylko zechcesz - powiedziała i skierowała się w stronę wewnętrznych wind. \

Odczekał, aż zniknęła z pola widzenia, a następnie przeszedł przez hol i skręcił w lewo, w stronę sali jadalnej. Stanął w wejściu

i zobaczył przy stole w kącie Dorfmana, jedzącego obiad razem z Garvinem i Stefanią Kaplan. Maks perorował, gestykulując energicznie. Garvin i Kaplan siedzieli pochyleni do przodu i słuchali go uważnie. Sanders przypomniał sobie, że Dorfman był kiedyś

243

dyrektorem firmy i to on dawno temu, zanim ktokolwiek dostrzegł jakikolwiek związek między komputerami a telefonami, namówił Garvina, aby rozszerzył działalność i zajął się nie tylko modemami, ale również telefonami komórkowymi oraz łącznością bezprzewodową. Teraz było to coś oczywistego, ale na początku lat osiemdziesiątych, gdy Dorfman powiedział: "Nie powinniście zajmować się tylko sprzętem. Wasz interes tkwi w łączności. Najważniejszy jest dostęp do informacji", mało kto wtedy zdawał sobie z tego sprawę.

Dorfman ukształtował również zespół pracowników firmy.

Należało przypuszczać, że Kaplan zawdzięczała swoje stanowisko jego zdecydowanemu poparciu. Sanders przybył do Seattle na podstawie zalecenia Dorfmana. Mark Lewyn został przyjęty dzięki Dorfmanowi. I spora liczba wiceprezesów zniknęła z horyzontu tylko dlatego, bo Dorfman uznał, że brak im wyobraźni lub wytrwałości. Był potężnym sojusznikiem i śmiercionośnym przeciwnikiem.

I jego pozycja w czasie fuzji była równie silna. Chociaż Dorfman zrezygnował ze stanowiska dyrektora wiele lat temu, w dalszym ciągu posiadał spory pakiet akcji DigiComu. Wciąż cieszył się

szacunkiem Garvina. I wciąż dysponował odpowiednimi kontaktami i prestiżem w kręgach biznesu i finansów, dzięki czemu mógł albo niezwykle ułatwić, albo uniemożliwić fuzję. Jeżeli Dorfman zaaprobowałby jej warunki, jego przyjaciele u Goldmana i Sachsa oraz w Pierwszym Bostońskim bez trudu zorganizowałiby pieniądze. Ale gdyby nie zaakceptował tej operacji i zrobił chociażby najmniejszą aluzję, że nie ma ona sensu, jej realizacja stałaby się niemożliwa. Wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy - sam Dorfman też - doskonale się orientowali, jak wielką władzę dysponuje.

Sanders stał przy wejściu do restauracji, nie mając ochoty wstąpić do środka. Po chwili Maks podniósł głowę i zauważył go. Nie przestając mówić, pokręcił głową: nie. A potem wykonał delikatny ruch ręką, dotykając palcem zegarka. Sanders skinął głową*, *wrócił do holu i usiadł. Wyjął plik kserokopii ComLine, położył je sobie na kolanach i zaczął przeglądać, usiłując dociec, w jaki sposób Meredith zmieniła swój wygląd.

Kilka minut później Dorfman wjechał swoim inwalidzkim wózkiem.

244

— Witaj, Tom. Cieszę się, że się nie nudzisz życiem.

— Co to znaczy?

Dorfman roześmiał się i gestem ręki wskazał jadalnię.

— O niczym innym tam nie mówią. Jedynym tematem wieczoru jesteś ty i Meredith. Wszyscy są tacy podnieceni. I zmartwieni.

— Włącznie z Bobem?

— Tak, oczywiście. Włącznie z Bobem. - Podjechał bliżej

Sandersa. - Nie bardzo mogę teraz z tobą rozmawiać. Czy masz dla mnie coś interesującego?

- Sądzę, że powinieneś na to spojrzeć - rzekł Sanders,

podając Dorfmanowi kserokopie. Sądził, że Dorfman będzie mógł pokazać te zdjęcia Garwinowi. Właśnie Dorfman mógłby uświadomić szefowi, co się rzeczywiście dzieje.

Dorfman przez chwilę przyglądał się zdjęciom w milczeniu.

- Cóż za urocza kobieta - powiedział. - Jaka piękna...

— Zwróć uwagę na różnice, Maks. Zobacz, co z siebie zrobiła.

Dorfman wzruszył ramionami.

— Zmieniła uczesanie. Bardzo efektowne. I co?

— Uważam, że zrobiła sobie również operację plastyczną.

— Wcale bym się nie zdziwił - stwierdził Dorfman. - Obecnie wiele kobiet tak czyni. Traktują to jak mycie zębów.

— Dostaję dreszczy.

— Dlaczego? - spytał Dorfman.

— Ponieważ to podstęp.

— Cóż to za podstęp? - zapytał Dorfman, wzruszając ramionami. - Jest pomysłowa. Zaleta godna pochwały.

- Założę się, że Garvin nie ma pojęcia, co ona z nim wyprawia - stwierdził Sanders.

Dorfman pokręcił głową.

- Nie martwię się o Garvina - rzekł. - Martwię się o ciebie,

Tom... Hmm?

- Powiem ci, dlaczego jestem obrażony - wyjaśnił Sanders. -

Dlatego, że to jest taki podstępny numer, jaki może wykręcić kobieta, nie mężczyzna. Zmienia swój wygląd, przebiera się i zachowuje jak córka Garvina, czym zyskuje przewagę. Ponieważ ja, z całą pewnością, nie mógłbym udawać jego córki.

Dorfman westchnął, kręcąc głową.

- Oj, Tom, Tom.

245

—

No cóż, nie mogę. A może jednak?

— Bawi cię to? Mam wrażenie, że sprawia ci to przyjemność.

— Wcale nie.

— W takim razie daj spokój - oznajmił stanowczo Dorfman.

Odwrócił się z fotelem, aby popatrzeć na Sandersa. - Daj sobie spokój z tymi bzdurami i spójrz prawdzie w oczy. Młodzi ludzie w przedsiębiorstwach awansują dzięki sojuszom z dysponującymi władzą, starszymi ludźmi. Mówię prawdę?

— Oczywiście.

— I tak jest zawsze. Swego czasu ten układ był formalny: czeladnik i majster albo uczeń i nauczyciel. Tak to było zorganizowane, prawda? A dzisiaj po prostu nie ma formalnego charakteru. Dzisiaj mówimy o mistrzach. Młodzi ludzie w biznesie mają swoich mistrzów. Prawda?

— Zgoda...

— A więc. W jaki sposób młodzi ludzie wiążą się z mistrzem? Jak wygląda ten proces? Po pierwsze - młody człowiek jest przyjazny, pomaga starszej osobie, wykonuje niezbędne prace. Po drugie - staje się atrakcyjny dla starszej osoby - naśladuje jej zachowania i gusty. Po trzecie, znakomicie potrafi wyręczyć swojego mistrza.

— No, dobrze - stwierdził Sanders. - Ale co to ma wspólnego z operacją plastyczną?

— Czy pamiętasz, kiedy przyszedłeś do DigiComu w Cupertino?

— Tak, pamiętam.

— Przeszedłeś z DEC. W 1980?

— Tak.

— W DEC codziennie chodziłeś w garniturze i krawacie. Ale kiedy przeszedłeś do DigiComu, zauważyłeś, że Garvin nosi dżinsy. I wkrótce sam nosiłeś dżinsy.

— Jasne. Taki był styl firmy.

— Garvin lubił Giantsów. W związku z czym zacząłeś chodzić na mecze do Candlestick Park.

— Przecież był szefem, na litość boską.

— Garvin lubił też golfa. A więc zacząłeś w niego grać, chociaż nie cierpiałeś tego. Pamiętam, jak narzekałeś, że nienawidzisz ganiaania tej głupiej białej piłeczki.

— Słuchaj, ale nie zrobiłem sobie operacji plastycznej, żeby wyglądać jak jego dzieciak.

— Ponieważ nie musiałeś, Tom - oznajmił Dorfman. Machnął z irytacją rękami. - Nie widzisz tego? Garvin lubił agresywnych, ostrych młodych ludzi, którzy piją piwo, klną i uganiają się za kobietami. I wtedy zachowywałeś się dokładnie w taki sposób.

— Byłem młody. A tak zachowują się młodzi mężczyźni.

— Nie, Tom. Właśnie Garvin lubił, aby tak zachowywali się młodzi mężczyźni. - Dorfman pokręcił głową. - Pewnych faktów po prostu sobie nie uświadamiamy. Wzajemnego pociągu również, Tom. Przy czym nie uważam, aby istotna była tu kwestia płci. Jeżeli twój mistrz jest mężczyzną, zachowujesz się jak jego syn, brat lub ojciec. Albo możesz zachowywać się podobnie jak on sam, kiedy był w twoim wieku - możesz przypominać mu po prostu jego samego. Prawda? Tak, widzę, że wreszcie wszystko pojąłeś. Cieszę się z tego... Ale jeśli chodzi o kobiety, wszystko wygląda inaczej.

Trzeba być jego córką, kochanką albo żoną. Albo może siostrą.

Zależy od konkretnych okoliczności.

Sanders zmarszczył brwi.

- Obserwuję teraz z ciekawością mężczyzn pracujących pod kierownictwem kobiet. Najczęściej nie potrafią ułożyć sobie odpowiednich stosunków, ponieważ nie wiedzą, w jaki sposób zachować się, będąc podwładnym kobiety. W każdym razie nie czują się dobrze w tej roli. Ale niekiedy mężczyźni łatwiej odnajdują swoją właściwą rolę. Stają się posłusznym synem, kochankiem lub mężem. I jeżeli dobrze ją odgrywają, kobiety w przedsiębiorstwie zaczynają się złościć, ponieważ nie są w stanie rywalizować z synem,

kochankiem lub mężem. I wtedy uważają, że mężczyzna ma przewagę.

Sanders milczał.

— Rozumiesz? - zapytał Dorfman.

— Chcesz powiedzieć, że to działa w obie strony.

— Tak, Tom. I jest nieuniknione. Tak wygląda ten proces.

— Daj spokój, Maks. Nie ma w tym nic nieuniknionego. Gdy zginęła córka Garvina, była to osobista tragedia. Meredith po prostu wykorzystała jego przygnębienie...

— Przestań! - powiedział Dorfman z irytacją. - Czyżbyś chciał zmienić naturę ludzką? Zawsze zdarzają się tragedie. I zawsze inni ten fakt wykorzystują. Nic nowego pod słońcem. Meredith jest inteligentna. Przyjemnie pomyśleć, że tak inteligentna, pomysłowa

247

kobieta może być również piękna. Jest darem od Boga. Jest cudowna. Na tym polega twój problem, Tom.

— Co to ma wspólnego...

— I zamiast rozwiązywać swój problem, tracisz czas na te... bzdury. - Oddał mu kserokopie. - Nie mają żadnego znaczenia, Tom.

— Maks, czy mógłbyś...

— Nigdy nie byłeś dobrym graczem na rzecz firmy, Tom. Nie na tym polega twoja wartość. Tkwi w czymś innym. Potrafisz znakomicie zająć się problemem technicznym, przeżyć go, zaangażować techników, zachęcać ich, naciskać na nich i wreszcie

doprowadzić do rozwiązania zadania. Potrafisz doskonale wykonać swoją pracę. Mam rację?

Sanders skinął głową.

— A teraz rezygnujesz ze swoich atutów na rzecz gry, której zasad nie rozumiesz.

— Co chcesz mi dać do zrozumienia?

— Uważasz, że grożąc pozwem, wywierasz nacisk na nią i na firmę. A w gruncie rzeczy idziesz im na rękę. Pozwoliłeś jej określić reguły tej partii, Tom.

— Musiałem coś zrobić. Złamała prawo.

— Złamała prawo -jęknął sarkastycznie Dorfman, przedrzeźniając go. - Ojej, ojej! A ty jesteś taki bezbronny. Strasznie mi cię żal.

— To nie takie proste. Ma odpowiednie znajomości. I poważnych protektorów.

— Doprawdy? Ale każdy, kto pracuje na szczeblu zarządzania, ma poważnych protektorów, jak również poważnych wrogów.

I Meredith posiada ich wystarczająco dużo.

— Mówię ci, Maks - rzekł Sanders. - Ona jest niebezpieczna.

Podobna do tych ludzi z MBA, skoncentrowanych na tworzeniu własnego image'u. Wszystko jest kreacją, pod którą nie kryje się żadna treść.

— "Jak - przytaknął Dorfman, kiwając z aprobatą głową. -

Podobrił! jak wielu dzisiejszych młodych, dysponujących władzą.

Bardzo utalentowani w tym kierunku. Znakomicie manipulujący rzeczywistością. Fascynujący nurt.

— Nie uważam, aby posiadała kompetencje pozwalające jej kierować działami technicznymi.

248

«*

- I co z tego, jeżeli nawet masz rację? - warknął Dorfman. -

Jaką ci to sprawia różnicę? Jeżeli jest niekompetentna, Garvin po jakimś czasie zda sobie z tego sprawę i ją zamieni. Ale zanim tak się stanie, ciebie już dawno nie będzie. Ponieważ przegrasz z nią, Tom. Jest lepsza w rozgrywkach kadrowych niż ty. Zawsze taka była.

Sanders skinął głową.

— Jest bezwzględna.

— Bezwzględna. Bzdura. Ma talent. Instynkt. A tobie go brakuje. Utracisz wszystko, jeżeli dalej będziesz postępował w ten sposób. I zasłużysz sobie na ten los, ponieważ zachowujesz się jak idiota.

Sanders milczał przez chwilę.

— Co w takim razie radzisz mi zrobić? - zapytał po chwili.

— Ach. A więc teraz chcesz rady?

— Tak.

— Doprawdy? - Uśmiechnął się. - Raczej wątpię.

— Tak, Maks. Chcę.

— W porządku. Oto moja propozycja. Wracaj, przeproś Meredith, przeproś Garvina i zabierz się do roboty.

— Nie mogę.

— W takim razie nie chcesz mojej rady.

— Nie mogę, Maks.

— Jesteś zbyt dumny?

— Nie, ale...

— Jesteś zaślepiony gniewem. Jak ona śmiała postąpić w ten sposób? Złamała prawo, musi zostać ukarana. Jest niebezpieczna, należy ją powstrzymać. Przepęlnia cię słuszne, sprawiedliwe oburzenie. Mam rację?

— Do diabła, Maks. Nie mogę tego zrobić, to wszystko.

— Oczywiście, że możesz. Powiedz lepiej, że nie chcesz.

— W porządku. Nie chcę.

Dorfman wzruszył ramionami.

— W takim razie, czego ode mnie chcesz? Przyszedłeś prosić mnie o radę, po to tylko, żeby z niej nie skorzystać? Nic nie szkodzi. - Uśmiechnął się. - Mam też mnóstwo innych dobrych pomysłów, do których prawdopodobnie również się nie zastosujesz.

— Na przykład jakich?

249

—

A co cię one obchodzą, skoro i tak z nich nie skorzystasz?

— Daj spokój, Maks.

— Mówię poważnie. Tracimy tylko czas. Idź sobie.

— Po prostu mi powiedz, dobrze?

Dorfman westchnął.

— Ale tylko dlatego, bo pamiętam cię z czasów, gdy miałeś

zdrowy rozsądek. Po pierwsze. Słuchasz mnie?

— Tak, Maks. Słucham.

— Po pierwsze - wiesz o Meredith Johnson wszystko, co powinieneś wiedzieć. I teraz zapomnij o niej. Nie powinna cię obchodzić.

— Dlaczego?

— Nie przerywaj. Punkt drugi. Rozgrywaj własną grę, nie jej.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Sugeruję, żebyś rozwiązał istniejący problem.

— Jaki problem? Pozew?

Dorfman parsknął i uniół obie ręce do góry.

— Jesteś niemożliwy. Tracę tylko czas.

— Uważasz, że nie powinienem składać pozwu?

— Czy ty rozumiesz po angielsku? Rozwiąż problem. Rób to, co robisz dobrze. Wykonuj swoją pracę. A teraz idź sobie.

— Ale Maks...

— Och, nie mogę nic dla ciebie zrobić - stwierdził Dorfman. To twoje życie. A ja muszę wrócić do moich gości. Ale spróbuj być uważny, Tom. Nie prześpij sprawy. I pamiętaj, wszystkie ludzkie zachowania mają określone przyczyny. Za każdym zachowaniem kryje się rozwiązanie problemu. Nawet twojego, Tom. Obrócił swój fotel inwalidzki i wrócił do sali jadalnej.

Pieprzony Maks" - pomyślał Sanders idąc Third Street.

Sposób, w jaki Maks nigdy nie mówił tego, co naprawdę myśli, mógł doprowadzić do furii.

To twój kłopot, Tom. Od bardzo dawna.

Co, u diabła, miało to znaczyć?

Pieprzony Maks. Irytujący, denerwujący i męczący. Właśnie to najbardziej zapamiętał Sanders ze spotkań, gdy Maks był członkiem dyrekcji DigiComu. Sanders zawsze wychodził z nich wykończony.

Wtedy, w Cupertino, młodszy kierownicy nazywali go "Mistrzem Zagadek".

Za każdym zachowaniem kryje się rozwiązanie problemu. Nawet twojego, Tom.

Sanders pokręcił głową. Wszystko to nie miało zupełnie sensu.

Wszedł do budki telefonicznej na końcu ulicy i wybrał numer Gary'ego Bosaka. Była ósma i Gary powinien znajdować się w domu. Pewnie wylazł z łóżka i pije kawę, zaczynając dzień pracy.

Właśnie w tej chwili prawdopodobnie ziewa, stojąc przed pół tuzinem modemów i monitorów, i zaczyna dobierać się do rozmaitych danych.

Rozległ się sygnał i automat zgłoszeniowy oznajmił:

- Tu Profesjonalne Usługi NZ. Proszę zostawić wiadomość. -

I piśnienie brzęczyka.

- Gary, tu Tom Sanders. Wiem, że jesteś, więc odbierz telefon.

Prztyknięcie w słuchawce i rozległ się głos Bosaka:

251

—

Hej. Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałbym się usłyszeć.

Skąd dzwonisz?

— Z budki telefonicznej.

— Świetnie. Co się z tobą dzieje, Tom?

— Gary, musisz mi załatwić parę rzeczy. Przejrzeć pewne dane.

- Hmm... Czy mówimy o rzeczach dla firmy, czy prywatnych?

-* Prywatnych.

— Hmm... Tom. Jestem teraz dosyć zajęty. Czy moglibyśmy wrócić do sprawy w przyszłym tygodniu?

— Za późno.

— Teraz nie bardzo mam czas.

— Potrzebuję pomocy, Gary.

— Tak. I bardzo bym chciał ci pomóc. Ale właśnie miałem telefon od Blackburna, który mi oświadczył, że jeżeli będę miał coś z tobą wspólnego, cokolwiek, jutro o szóstej rano mogę spodziewać się, że FBI przewróci mi mieszkanie do góry nogami.

— Chryste, kiedy dzwonił?

— Jakieś dwie godziny temu.

Dwie godziny temu. Blackburn miał nad nim przewagę.

— Gary...

— Słuchaj. Wiesz, że zawsze cię lubiłem, Tom. Ale nie tym razem. Rozumiesz? Muszę już iść.

Trzask.

Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi - oznajmiła Luiza Fernandez, odsuwając papierowy talerz. Razem z Sandersem jadła w swoim gabinecie kanapki. Dochodziła dziewiąta wieczór i wszystkie pomieszczenia wokół były ciemne. W jej gabinecie

telefon dzwonił co chwila, przerywając ich rozmowę. Na dworze znowu zaczęło padać. Zadudnił grzmot i Sanders zobaczył zapalającą się za oknami światło błyskawic.

Siedząc w pustej kancelarii adwokackiej, miał wrażenie, że jest sam na świecie. Nie było nic poza Luizą Fernandez i otaczającym ich mrokiem. Wszystko działo się tak szybko. Ta kobieta, której jeszcze wczoraj zupełnie nie znał, błyskawicznie stawała się dla niego czymś w rodzaju liny ratunkowej. Spostrzegł, że wsłuchuje się w każde jej słowo.

— Zanim zaczniemy działać dalej, chciałabym podkreślić jedną sprawę - powiedziała. - Miał pan rację, nie wsiadając z Johnson do samochodu. Od tej pory nie wolno się panu znaleźć z nią sam na sam. Nawet przez chwilę. W żadnych okolicznościach i pod żadnym warunkiem. Czy to jasne?

— Tak.

— W przeciwnym razie zaprzepaści pan swoją szansę.

— Rozumiem.

— W porządku - oświadczyła. - A teraz do rzeczy. Przeprowadziłam długą rozmowę z Blackburnem. Jak się pan domyśla, wywierana jest na niego szczególna presja, aby doprowadził do

253

zakończenia całej sprawy. Próbowałam ustalić termin arbitrażu na jutrzejsze popołudnie. Stwierdził, że firma gotowa jest zawrzeć ugodę i chciał zaraz przystąpić do rozmów. Niepokoi się, że negocjacje zajmą dużo czasu. W związku z tym zaczniemy jutro

o dziewiątej rano.

— Dobrze.

— Herb i Alan robią postępy. Mam wrażenie, że będą nam mogli jutro pomóc. I te artykuły na temat Johnson również mogą okazać się przydatne - dodała spoglądając na fotokopie.

— Jak to? Dorfman twierdził, że są bez znaczenia.

— Tak, ale dokumentują przebieg jej pracy w firmie, a to daje nam punkty zaczepienia. Jest coś, nad czym można popracować.

Podobnie jak poczta elektroniczna od pańskiego przyjaciela. - Marszcząc brwi spojrzała na arkusz z wydrukiem. - To adres Internetu.

— Tak - potwierdził, zdziwiony jej orientacją.

— Sporo pracujemy dla firm działających w tej dziedzinie.

Dam komuś, żeby sprawdził. - Odłożyła wydruk na bok. - A teraz popatrzmy, w jakim punkcie się znajdujemy. Nie mógł pan sprzątnąć biurka, bo byli już tam przed panem.

— Tak jest.

— Oczyszczyłby pan swoje pliki komputerowe, ale został pan odcięty od systemu.

— Tak jest.

— Co oznacza, że nie może pan niczego zmienić.

— Tak jest. Nie mogę nic zrobić. Jestem na poziomie szeregowego pracownika.

— Czy miał pan zamiar zmienić jakieś pliki? - zapytała.

Zawahał się.

— Nie. Ale wie pani, chciałem się rozejrzeć.

— Nie ma tam niczego podejrzanego?

— Nie.

- Panie Sanders - oświadczyła Luiza Fernandez. - Chcę podkreślić, że nie mam zdania w tej sprawie. Po prostu próbuję się przygotować do tego, co może się jutro zdarzyć. Pragnę się zorientować, jakie niespodzianki mogą mieć dla nas w zanadru.

Pokręcił głową.

- Nie ma w danych komputerowych nic, co może być dla mnie kłopotliwe.

254

Przemyślał to pan starannie?

— Tak.

— Dobrze - powiedziała adwokatka. - W takim razie, biorąc pod uwagę, że jutro zaczynamy wcześnie, sądzę, że powinien się pan teraz przespać. Chcę, żeby był pan na spotkaniu całkowicie sprawny. Czy będzie mógł pan zasnąć?

— Jezu, nie wiem.

— Jeżeli nie, proszę wziąć proszek nasenny.

— Będę w formie.

— W takim razie proszę iść do domu, panie Sanders, i położyć się spać. Niech pan jutro włoży garnitur i krawat. Czy ma pan jakąś granatową marynarkę?

— Tak.

- Doskonale. Niech pan włoży jakiś spokojny krawat i białą koszulę. Żadnego płynu po goleniu.

— Nigdy się tak nie ubieram do pracy.

— To nie będzie praca, panie Sanders. Na tym wszystko polega. - Wstała i podała mu rękę. - Niech się pan wyśpi i spróbuje nie martwić. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

— Założę się, że powtarza to pani wszystkim klientom.

— Owszem - przytaknęła, - Ale zazwyczaj mam rację.

Prześpij się, Tom. Do jutra!

Wszedł do pustego, ciemnego domu. Stos lalek Barbie piętrzył się na kuchennym blacie. Wysmarowany zieloną potrawką śliniak syna leżał obok zlewu. Sanders nastawił na rano maszynkę do kawy i wszedł na górę. Minął automat zgłoszeniowy, nawet nie spoglądając na niego. Dlatego nie zauważył migotającego światelka.

Gdy rozbierał się w łazience, zauważył liścik przylepiony przez Susan do lustra: Przepraszam za lunch. Wierzę ci. Kocham. S. Cała Susan. Najpierw gniew, a potem przeprosiny. Ale list sprawił mu przyjemność i Sanders zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do żony. Lecz w Phoenix była teraz prawie północ, zbyt późna pora na telefony. Na pewno już śpi.

Poza tym uświadomił sobie, że właściwie nie chce dzwonić do Susan. Jak powiedziała mu w restauracji, cała sprawa zupełnie jej nie dotyczy. Był sam. I pozostanie sam.

W samych szortach przeszedł na bosaka do swojego maleńkiego gabinetu. Żadnych faksów nie było. Włączył komputer i czekał, aż zaskartuje.

Ikona poczty elektronicznej migała. Kliknął ją.

NIE WIERZ NIKOMU.

PRZYJACIEL

Sanders wyłączył komputer i poszedł spać.

256

Środa

Rankiem z przyjemnością poddał się rutynowym zajęciom.

Ubrał się szybko, słuchając dziennika telewizyjnego nastawionego specjalnie głośno, aby w ten sposób wypełnić dźwiękiem pusty dom. Pojechał do miasta o 6.30, zatrzymując się w piekarni, żeby przed wejściem na prom kupić bułkę i filiżankę cappuccino.

Gdy prom odbił od nabrzeża w Winslow, Sanders usiadł twarzą w stronę rufy, aby uniknąć w ten sposób patrzenia na zbliżające się Seattle. Zatopiony w myślach, spoglądał przez okno na szare chmury zwisające nisko nad ciemną wodą zatoki. Wszystko wskazywało, że będzie znowu padać.

- Paskudny dzień, prawda? - zapytał kobiecy głos.

Obejrzał się i zobaczył drobną, ładną Mary Annę Hunter, stojącą z rękami opartymi na biodrach i wpatrującą się w niego z zatroskaniem. Mary Annę również mieszkała w Bainbridge, razem z mężem, który był oceanografem na uniwersytecie. Przyjaźniła się z Susan i często wspólnie biegały. Ale rzadko się z nią spotykał na promie, ponieważ zazwyczaj płynęła wcześniej.

— Dzień dobry, Mary Annę.

— Nie mogę zrozumieć, skąd to wykopali - oznajmiła.

— Co? - zapytał.

— Chcesz powiedzieć, że jeszcze tego nie widziałeś? Jezu! Jesteś w gazetach, Tom. - Podała mu gazetę, którą trzymała pod pachą.

— Żartujesz.

— Nie. Connie Walsh znowu atakuje.

259

Sanders spojrzał na pierwszą stronę i nic nie zobaczył. Zaczął szybko przerzucać kartki.

- Jest w dziale miejskim - wyjaśniła Mary Annę. - Pierwsza kolumna na drugiej stronie. Czytaj i płacz. Przyniosę jeszcze kawy. Odeszła.

Sanders otworzył gazetę na dziale miejskim.

MOIM ZDANIEM

Constance Walsh

PAN PIGGY DZIAŁA

Patriarchalne tendencje znowu dały znać o sobie, tym razem w miejscowej firmie działającej w sferze wysoko rozwiniętych technologii, którą będę nazywała przedsiębiorstwem X. Firma ta mianowała na wysokie stanowisko kierownicze błyskotliwą, wyjątkowo kompetentną kobietę. Ale wielu zatrudnionych tam mężczyzn robi wszystko, aby się jej pozbyć.

Szczególnie jeden, nazwijmy go Panem Piggy, zachowuje się szczególnie paskudnie. Pan Piggy nie może znieść myśli, że kobieta jest jego przełożonym i aby do tego nie dopuścić, od

wielu tygodni prowadzi w firmie zaciekłą, oszczerczą kampanię.

Gdy sposób ten zawiódł, Pan Piggy oznajmił, że nowa szefowa

napastowała go seksualnie i niemal zgwałciła w swoim biurze.

Rażąca wrogość tego oskarżenia może się równać jedynie z jego

absurdalnością.

Niektórzy z państwa mogą się zastanawiać, w jaki sposób

kobieta mogłaby zgwałcić mężczyznę. Odpowiedź oczywiście

brzmi - to niemożliwe. Gwałt wiąże się z przemocą i jest

domeną mężczyzn, którzy stosują go z zadziwiającą częstot-

liwością, aby kobiety wiedziały, gdzie ich miejsce. Taka jest

obecna rzeczywistość i tak było zawsze i wszędzie.

Ze swojej strony kobiety nie mogą wywierać żadnej presji na

mężczyzn. Są zupełnie bezsilne w ich rękach. Toteż twierdzenie,

że kobieta popełniła gwałt na mężczyźnie, jest absurdalne. Ale

ów fakt nie powstrzymał Pana Piggy, który zainteresowany jest

wyłącznie szkalowaniem swojej nowej przełożonej. Złożył nawet

przeciwko niej formalny pozew o napastowanie seksualne!

Krótko mówiąc, Pan Piggy demonstruje paskudne nawyki

typowego patriarchy. Jednak tacy jak on pojawiają się wszędzie

w naszym życiu. Chociaż żona Pana Piggy jest wybitnym

adwokatem, pragnie on doprowadzić do tego, aby porzuciła

pracę i została w domu z dziećmi. Pan Piggy po prostu nie życzy

260

sobie, aby jego żona obracała się w świecie biznesu, gdzie

mogłaby usłyszeć o jego romansach z młodymi kobietami

i nadmiernym picciu.

Zapewne domyśla się, że nowa przełożona również by tego nie akceptowała. Może nawet nie pozwoliłaby mu spóźnić się do pracy, jak to często ma w zwyczaju.

A więc Pan Piggy wykonał swój podstępny ruch i kolejna kariera utalentowanej kobiety została zagrożona. Czy uda się jej zagonić świnie do zagrody w przedsiębiorstwie X? Proszę śledzić dalszy rozwój wydarzeń.

- Chryste! - jęknął Sanders. Przeczytał dokładnie tekst po raz drugi.

Mary Annę wróciła z dwoma cappuccino w papierowych kubkach. Podsunęła mu jeden z nich.

— Masz. Chyba potrzebujesz tego.

— Skąd wzięli tę historię? - zapytał.

Mary Annę pokręciła głową.

— Nie wiem. Wygląda na przeciek w firmie.

— Ale kto?

Sanders doszedł do wniosku, że aby informacja dotarła do prasy, przeciek musiał nastąpić wczoraj między trzecią a czwartą po południu. Kto wtedy wiedział, że nosi się z zamiarem złożenia pozwu?

- Nie mogę sobie wyobrazić, kto to taki - powiedziała Mary Annę. - Popytam.

— A kim jest ta Constance Walsh?

— Nigdy jej nie czytałeś? Ma swoją stałą kolumnę w "Post-

-Intelligencer" - odparła Mary Annę. - Z feministycznej perspek-
tywy, coś w tym rodzaju. - Pokręciła głową. - Jak się ma Susan?
Próbowałam zadzwonić do niej dziś z rana, ale nikt u was w domu
nie odbierał telefonu.

— Susan wyjechała na kilka dni. Razem z dziećmi.

Mary Annę pokiwała wolno głową.

— To chyba dobry pomysł.

— Tak uważaliśmy.

— Wie o tym?

— Oczywiście.

— A więc to prawda? Składasz pozew o napastowanie?

261

—

Tak.

— Jezu.

— Właśnie. - Pokiwał głową.

Siedziała z nim dłuższą chwilę nie odzywając się ani słowem. Po
prostu była z nim. Wreszcie oznajmiła:

— Znam cię od dawna. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się
ułoży.

— Ja również.

Znowu zapadła długa cisza. Wreszcie Mary Annę wstała,
opierając się o blat stołu.

— Do zobaczenia, Tom.

— Do zobaczenia, Mary Annę.

Zdawał sobie sprawę z tego, co ona czuje. Znał to wrażenie, kiedy inni pracownicy firmy byli oskarżeni o coś takiego. Nagle zaczynano się trzymać od nich z daleka. I nie miało znaczenia, jak dawno i jak blisko znało się tę osobę i czy było się przyjaciółmi. Skoro oskarżenie padło, wszyscy się odwracali. Ponieważ prawdę mówiąc, nikt nigdy nie wiedział, co właściwie zaszło. Nikt nie miał odwagi stanąć po stronie oskarżonego - nawet jeżeli był to przyjaciel.

Sanders patrzył, jak Mary Annę odchodzi - na jej drobną, ale muskularną postać w dresie, trzymającą w ręku skórzaną dyplomatkę. Miała zaledwie pięć stóp wzrostu. Mężczyźni na promie byli o wiele od niej wyżsi. Pamiętał, jak powiedziała kiedyś Susan, że zajęła się bieganiem, ponieważ boi się zgwałcenia. "Będę mogła im uciec" - powiedziała. Mężczyźni nic o tym nie wiedzieli. Nie potrafili zrozumieć tych obaw.

Ale był też inny rodzaj strachu, nękającego jedynie mężczyzn. Popatrzył na gazetę z głębokim, narastającym niepokojem. W oczy rzucały mu się najważniejsze słowa i zdania:

Szczególnie paskudnie... zaciekłą kampanię... nie może znieść myśli, że kobieta... rażąca wrogość... gwałt... przestępstwo mężczyzn... szkalowanie przełożonej... romanse z młodymi kobietami... nadmierne picie... spóźniać się do pracy... kariera zagrożona... świnię w zagrodzie.

Te opisy były więcej niż niedokładne i bardziej niż nieprzyjemne.

Były niebezpieczne. A dowodził tego los Johna Mastersa - historia, która odbiła się echem wśród mieszkańców Seattle.

Masters miał pięćdziesiąt lat i był kierownikiem marketingu w MicroSym. Stateczny facet, solidny obywatel, od dwudziestu pięciu lat żonaty, posiadający dwójkę dzieci - starsza córka była w college'u, młodsza w pierwszej klasie szkoły średniej.

Młodsza dziewczynka zaczęła mieć kłopoty w szkole, dostawała coraz gorsze stopnie, w związku z czym rodzice wysłali ją do dziecięcego psychologa. Ta wysłuchała nastolatki i stwierdziła:

"Wiesz, to typowa historia dziecka molestowanego seksualnie. Czy miałaś w przeszłości takie przeżycia?"

"Ojejku - odpowiedziała dziewczyna. - Nie przypuszczam".

"Pomyśl dobrze" - nalegała psycholog.

Początkowo mała opierała się, ale psycholog wciąż jej powtarzała: "Zastanów się porządnie. Spróbuj sobie przypomnieć".

Po jakimś czasie dziewczyna zaczęła mieć jakieś niejasne wspomnienia. Nic szczególnego, ale teraz zaczęła uważać, że to możliwe.

Może kiedyś, dawno temu, tatuś zrobił coś niewłaściwego.

Psycholog opowiedziała żonie Mastersa o swoich podejrzeniach.

Po przeżytych wspólnie dwudziestu pięciu latach, między żoną i Mastersem wybuchła awantura. A wtedy żona powiedziała:

"Przyznaj się, co zrobiłeś?"

Masters był wstrząśnięty. Nie mógł uwierzyć i zaprzeczył wszystkiemu stanowczo. A wtedy żona oznajmiła: "Kłamiesz. Nie chcę, żebyś mieszkał z nami pod jednym dachem". I zmusiła go do wyprowadzenia się.

Starsza córka przyleciała z college'u i powiedziała matce: "Cóż to za szaleństwo? Wiesz, że tatuś niczego nie zrobił. Opamiętaj się". Ale żona była już wściekła. Młodsza córka również. I tak rozpętany kataklizm nie dawał się już zatrzymać.

Psycholog była zobowiązana przez prawo stanowe do zawiadomienia o każdym hipotetycznym przypadku molestowania seksualnego dziecka. Złożyła więc doniesienie do prokuratury stanowej. Z kolei prokuratura była zobowiązana do przeprowadzenia dochodzenia.

W związku z tym pracownica opieki społecznej zaczęła rozmawiać z córką, żoną i Mastersem. A potem z lekarzem domowym i z szkolną pielęgniarką. Wkrótce wszyscy wiedzieli już o wszystkim.

Wiadomość o oskarżeniu dotarła do MicroSym. Firma do czasu wyjaśnienia sprawy zawiesiła Mastersa w pracy. Oznajmili, że nie chcą mieć złej prasy.

Masters uświadomił sobie, że całe jego życie się rozpada.

Młodsza córka nie chciała z nim rozmawiać. Podobnie żona. Żył samotnie. Miał kłopoty finansowe. Współpracownicy unikali go.

Gdziekolwiek się zwracał, widział oskarżycielskie spojrzenia. Poradzono mu, aby wziął adwokata. A ponieważ czuł się rozbity i niepewny, sam zaczął chodzić do psychiatrii.

Jego prawnik zaczął zbierać informacje i wtedy wyszły na jaw pewne szczegóły. Okazało się, że psycholog, która wystąpiła z oskarżeniem, wykrywała molestowanie seksualne w wyjątkowo wielu przypadkach. Prokuratura zaczęła podejrzewać, że jest stronnicza. Ale prokuratura nic nie mogła działać w tej sprawie. Prawo

wymagało, aby wszystkie przypadki były zbadane. Pracownica wyznaczona do prowadzenia tej sprawy była już poprzednio karana za zbytnią gorliwość w tropieniu nader problematycznych przypadków i powszechnie uważano ją za niekompetentną, ale nie można było jej zwolnić ze zwykłych powodów.

Konkretne oskarżenie - nigdy formalnie nie przedstawione - sprowadzało się do tego, że Masters molestował swoją córkę latem, gdy zdała do trzeciej klasy. Masters przemyślał wszystko i wpadł na pewien pomysł. Wydobył stare, zrealizowane czeki, wykopał nieaktualne terminarze. I okazało się, że przez całe lato córka była na obozie w Montanie. Gdy w sierpniu wróciła do domu, Masters był w podróży służbowej w Niemczech. Powrócił z niej, kiedy chodziła już do szkoły.

264

Tego lata w ogóle nie widział swojej córki.

Psychiatra Mastersa uznał za bardzo ważny fakt, że córka umiejscowiła rzekome przestępstwo wtedy, gdy było ono niemożliwe.

Doszedł również do wniosku, że czuła się opuszczona i zamieniła to na wspomnienie o molestowaniu. Masters wyjaśnił wszystko żonie i córce. Wysłuchały dowodów i przyznały, że być może, pomyliły daty, ale w dalszym ciągu utrzymywały, że incydent musiał mieć miejsce.

Jednak prokuratura umorzyła dochodzenie na podstawie prostego zestawienia dat z tamtego lata. MicroSym przywróciła Mastersa do pracy. Ale ominął go awans i mężczyznę wciąż otaczała atmosfera

podejrzliwości. Jego kariera skończyła się definitywnie. Żona się z nim nie pogodziła i wreszcie wystąpiła o rozwód. Nigdy już nie zobaczył młodszej córki. Starsza zaś, znalazłszy się pomiędzy zwalczającymi się domowymi frakcjami, w miarę upływu czasu widywała go coraz rzadziej. Masters pozostał sam, starając się odbudować własne życie. Miał niemal śmiertelny atak serca. Po wyzdrowieniu spotykał się z paroma przyjaciółmi, ale wiecznie był przygnębiony i zbyt dużo pił. Inni go unikali. Nikt nie chciał odpowiedzieć na jego wiecznie zadawane pytania: "Co złego zrobiłem? Co powinienem był zrobić? Jak mogłem temu zapobiec?" Ale, oczywiście, niczemu nie był w stanie zapobiec. W każdym razie nie przy aktualnej tendencji uznawania mężczyzn za winnych wszystkiego, o co byli oskarżani.

Mężczyźni często rozmawiali między sobą o składaniu pozwów przeciwko kobietom za fałszywe oskarżenia. Rozmawiali o odszkodowaniach. Ale były to jedynie rozmowy. Wszyscy dobrze pamiętali o obowiązujących nowych zasadach.

Nie uśmiechaj się do dziecka na ulicy, chyba że jesteś w towarzystwie swojej żony. Nigdy nie dotykaj obcego dziecka. Nigdy nie bądź sam na sam z czyimś dzieckiem, nawet na chwilę. Jeżeli dziecko zaprosi cię do swojego pokoju, nie idź tam, jeśli nie będzie obecna inna dorosła osoba, najlepiej kobieta. Na przyjęciach nie pozwól, aby mała dziewczynka siadała ci na kolanach. Jeżeli będzie próbowała, odsuń ją delikatnie. Jeśli zobaczysz nagiego chłopca lub dziewczynkę, szybko odwróć wzrok. A najlepiej - odejdź.

Należało też zachowywać się ostrożnie w stosunku do własnych dzieci, ponieważ, jeżeli małżeństwo zaczynało się psuć, z oskarżeniem

265

mogła wystąpić własna żona. A wtedy całe wcześniejsze zachowanie zwykle interpretowano dwuznacznie: "No cóż, był takim czułym ojcem... Może nieco zbyt czułym". Albo. "Spędzał tyle czasu z dziećmi. Zawsze kręcił się po domu..."

Był to świat zasad i kar nieznanym kobietom. Jeżeli Susan widziała na ulicy płaczące dziecko, brała je na ręce. Robiła to odruchowo, bez namysłu. Sanders nigdy by się nie odważył. Nie teraz.

I oczywiście były nowe zasady w biznesie. Sanders znał mężczyzn, którzy nie wyjeżdżali w podróże służbowe w towarzystwie kobiet, nigdy nie siadali obok koleżanki w samolocie, i nigdy nie spotykali się z kobietą w barze, chyba że był obecny ktoś jeszcze. Sanders zawsze uważał, że tego rodzaju środki ostrożności są przesadne, nawet paranoiczne. Ale teraz nie był tego pewien.

Ryk syreny promu wyrwał go z zamyślenia. Podniósł głowę i zobaczył czarne pale Nabrzeża Colmana. Chmury wciąż były czarne, zapowiadające deszcz. Wstał, zawiązał pasek płaszcza i zszedł na dół, do swojego samochodu.

Jadąc do Sądu Arbitrażowego, na kilka minut zajrzał do biura, żeby zabrać dokumentację dotyczącą stacji Twinkle. Przypuszczał, że może mu się przydać. Ze zdziwieniem zobaczył w gabinecie

Johna Conleya rozmawiającego z Cindy. Była 8.15 rano.

- Och, Tom - oznajmił Conley. - Właśnie próbowałem uzgodnić termin spotkania z tobą. Cindy powiedziała mi, że jesteś bardzo zajęty i możesz być przez większość dnia poza biurem.

Sanders spojrział na Cindy. Na jej twarzy malowała się troska.

- Tak - potwierdził. - W każdym razie rano.

- Potrzeba mi tylko kilku minut.

Sanders zaprosił go do gabinetu.

- Oczekuję na naradę z Johnem Mardenem, naszym dyrektorem pionu ekonomicznego - poinformował Conley. - Sądzę, że wkrótce z nim się spotkasz.

Sanders niezobowiązująco skinął głową. Nic nie słyszał o naradzie. A jutro zdawało się bardzo odległe. Z trudnością mógł się skupić na tym, co mówi do niego Conley.

- Ale, oczywiście, wszyscy będziemy proszeni o zajęcie stanowiska w sprawie kilku punktów porządku dziennego - stwierdził Conley. - A ja szczególnie niepokoję się Austin.

— Austin?

— Chodzi mi o sprzedaż zakładów w Austin.

— Rozumiem - kiwnął głową Sanders. A więc to prawda.

— Jak wiesz, Meredith Johnson od dawna optuje za tą sprze-

267

dażą - ciągnął dalej Conley. - Była to jedna z pierwszych rekomendacji, jakiej nam udzieliła. Marden obawia się o przepływ gotówki po sfinalizowaniu fuzji. Johnson uważa, że możemy

zmniejszyć zadłużenie, sprzedając Austin. A ja nie czuję się dość kompetentny, aby ocenić wszystkie plusy i minusy tego przedsięwzięcia. Zastanawiałem się, jakie jest twoje stanowisko.

— W sprawie sprzedaży zakładów w Austin?

— Tak. Najwyraźniej interesują się nimi zarówno Hitachi jak i Motorola. A więc prawdopodobnie można by je szybko upłynnić.

Mam wrażenie, że o tym właśnie myślała Meredith. Czy przedyskutowała to z tobą?

— Nie - odparł Sanders.

— Pewnie ma dużo zajęć na nowym stanowisku - stwierdził Conley, przyglądając się uważnie Sandersowi. - Co sądzisz o sprzedaży?

— Nie widzę żadnych sensownych powodów, aby jej dokonywać - oznajmił Sanders.

— Mam wrażenie, że zdaniem Meredith za sprzedażą przemawia fakt, iż produkcja telefonów komórkowych stała się zbyt zaawansowanym przedsięwzięciem - wyjaśnił Conley. - Pod względem technologicznym przeszła już przez eksperymentalną fazę i teraz zbliża się do standardu. Wysokie zyski już się skończyły. Od tej chwili będzie miał miejsce jedynie nieznaczny wzrost sprzedaży, a jednocześnie rozwinie się ostra konkurencja zagraniczna. W przyszłości telefony raczej nie będą stanowiły poważnego źródła dochodów. I oczywiście pozostaje pytanie, czy w ogóle powinny być robione w Stanach. Bardzo duża część produkcji DigiComu jest już umiejscowiona za granicą.

— Wszystko to prawda - rzekł Sanders. - Ale nie w tym

rzecz. Przede wszystkim produkcja telefonów komórkowych może osiągnąć poziom nasycenia rynku, ale sama dziedzina łączności bezprzewodowej wciąż jest w powijakach. W przyszłości coraz więcej będzie biurowych sieci bezprzewodowych i bezprzewodowych łączy polowych. A więc rynek wciąż się będzie rozwijał. Po drugie, jestem zdania, że łączność bezprzewodowa jest przyszłością naszej firmy i jedynym sposobem utrzymania konkurencyjności jest kontynuowanie produkcji i sprzedaży. To zmusza do nawiązywania kontaktów z klientami i orientowania się, jakie będą ich ewentualne

268

zainteresowania. Jestem zdania, że nie powinniśmy rezygnować z tego rynku. Skoro Hitachi i Motorola widzą możliwość robienia interesów, to dlaczego nie my? Po trzecie, uważam, że mamy obowiązki społeczne - utrzymać dobrze opłacane i wymagające wysokich kwalifikacji stanowiska pracy w Stanach. Inne kraje nie eksportują dobrych stanowisk pracy. Dlaczego my mielibyśmy to robić? Każda decyzja o przeniesieniu produkcji za granicę była podejmowana z konkretnych powodów i osobiście mam nadzieję, że zaczniemy opierać się na produkcji krajowej, ponieważ z zagranicznymi zakładami wiąże się wiele ukrytych kosztów. Ale istnieje jeszcze najważniejszy powód. Mimo że jesteśmy jednostką badawczo-rozwojową i opracowujemy nowe propozycje rynkowe, powinniśmy je też realizować. Jeżeli minione dwadzieścia lat czegoś nas nauczyło, to głównie tego, że projektowanie i produkcja są

jednym procesem. Jeżeli zaczniesz się separować projektantów od facetów z produkcji, skończy się tym, że będziemy mieli złe projekty. Tak jak General Motors.

Przerwał i zapadła chwila ciszy. Sanders wcale nie miał zamiaru jasno określić swego stanowiska. Po prostu tak mu wyszło. Ale Conley pokiwał tylko z zadumą głową.

- A więc sądzisz, że sprzedaż Austin zaszkodzi zespołowi projektowemu?

- Nie ma dwóch zdań.

Conley poprawił się w fotelu.

Co według ciebie sądzi o tym Meredith Johnson?

- Nie wiem.

- Nasuwają się bowiem następne pytania - kontynuował

Conley. - Dotyczące oceny kierownictwa. Szczerze mówiąc, słyszałem tutaj głosy niezadowolenia z nominacji tej pani. Wątpliwości, czy dysponuje rzeczywiście wystarczająco dobrym rozeznanieniem, aby prowadzić działy techniczne.

Sanders rozłożył ręce.

— Nie sądzę, abym mógł coś powiedzieć na ten temat.

— Wcale tego nie oczekuję - stwierdził Conley. - Domyślam się, że ma poparcie Garvina.

— Owszem.

— A to nam w zupełności wystarcza. Ale wiesz, do czego zmierzam - ciągnął Conley. - Klasycznym problemem w takiej

sytuacji jest to, że firma dokonująca zakupu nie zawsze wie, co kupuje, i może zabić kurę, znoszącą złote jajka. Niechcący, ale jednak. Niszcząc to, co chce nabyć. Obawiam się, żeby Conley-White nie popełnił podobnego błędu.

— Hmm.

— Mówiąc między nami. Gdyby na jutrzejszym zebraniu wypłynęła ta sprawa, czy zająłbyś takie samo stanowisko jak teraz?

— Przeciwno Meredith Johnson? - Sanders wzruszył ramionami. - To będzie trudne. - Przypuszczał, że najprawdopodobniej ominie go jutrzejsze zebranie. Ale nie mógł powiedzieć o tym Conleyowi.

— No cóż - Conley wyciągnął rękę. - Dzięki za szczerłość.

Doceniam to. - Skierował się do drzwi. - I ostatnia sprawa.

Byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy rozwiązali do jutra problem z Twinkle.

— Oczywiście - rzekł Sanders. - Wierz mi, wszyscy nad tym pracujemy.

— Cieszę się.

Conley wyszedł i pojawiła się Cindy.

— Jak się dziś czujesz?

— Jestem zdenerwowany.

— Co mam zrobić?

— Zgromadź dane dotyczące stacji Twinkle. Chcę mieć kopie wszystkiego, co w poniedziałek wieczorem zaniósł Meredith.

— Są na twoim biurku.

Zgarnął stos teczek. Na samej górze leżała kasetka DAT.

- Co to takiego?

— Twoje poniedziałkowe połączenie wideo z Arturem.

Wzruszył ramionami i wrzucił kasetę do teczki.

— Coś jeszcze? - rzuciła Cindy.

— Nie. - Spojrzał na zegarek. - Już jestem spóźniony.

— Powodzenia, Tom - powiedziała.

Podziękował jej i wyszedł z biura.

W czasie jazdy po zatłoczonych ulicach Seattle Sanders

uświadomił sobie, że w czasie spotkania z Conleyem

zaskoczyła go przede wszystkim inteligencja młodego prawnika.

Natomiast zachowanie Meredith nie dziwiło go wcale. Od wielu lat

Sanders zwalczał pewien typ mentalności lansowany w szkołach

biznesu, który uosabiała Meredith Johnson. Obserwując absolwen-

tów tych szkół, doszedł do wniosku, że w systemie kształcenia kryje

się pewien podstawowy błąd. Uczono ich, aby wierzyli, że są

przygotowani do uporania się z każdym problemem. Ale coś

takiego jak ogólne umiejętności menedżerskie po prostu nie istniało.

Były tylko konkretne problemy związane z konkretnymi gałęziami

przemysłu i konkretnymi pracownikami. Jeżeli do rozwiązywania

konkretnych problemów używało się ogólnych zasad, zabieg ten

kończył się niepowodzeniem. Trzeba było znać rynek, klientów,

możliwości produkcji i umiejętności własnych projektantów. Nic

nie było oczywiste. Meredith nie mogła zrozumieć, że Don Cherry

i Mark Lewyn muszą mieć kontakt z procesem produkcyjnym.

Sanders wielokrotnie pokazywał prototyp i zadawał jedno istotne pytanie: "Wygląda fajnie, ale czy zdołacie go wykonać? Czy możecie zrobić go szybko, dobrze i za sensowną cenę?" Czasami mogli, a czasami nie. Wyeliminowanie tej fazy przygotowań prowadziło do zmian w całej organizacji pracy. I wcale nie na lepsze.

Conley był wystarczająco sprytny, aby zwrócić na to uwagę.

I wystarczająco sprytny, aby bacznie obserwować sytuację. Sanders

271

zastanawiał się, jak wiele ten młody pracownik wie poza tym, co słyszał na pierwszym zebraniu. I czy dowiedział się również o jego decyzji. Całkiem możliwe.

Chryste, Meredith chce sprzedać Austin! Eddie miał absolutną rację. Sanders zastanawiał się, czyby go o tym nie zawiadomić, ale nie był w stanie teraz się tym zająć. Miał na głowie bardziej naglące sprawy. Zobaczył drogowskaz do Sądu Arbitrażowego Magnusona i skręcił w prawo. A potem poprawił węzeł krawata i zajął wolne miejsce na parkingu.

Sąd Arbitrażowy Magnusona znajdował się tuż za Seattle

i był usytuowany na wzgórzu górującym nad miastem.

Składał się z trzech budynków otaczających centralny dziedziniec

ozdobiony fontannami i sadzawkami. Atmosfera tego miejsca

miała skłaniać do spokoju i odpoczynku. Sanders czuł się jednak

zdenerwowany, kiedy opuścił parking i zauważył Luizę Fernandez

przechadzającą się tam i z powrotem.

— Czytałeś dzisiaj gazetę? - zapytała.

— Tak.

— Nie martw się tym. Popełnili poważny błąd taktyczny -
oznajmiła. I zaraz zadała pytanie: - Znasz Connie Walsh?

— Nie - odparł Sanders.

— To suka - powiedziała ostro Fernandez. - Bardzo nie-
przyjemna i bardzo zdolna. Ale mam wrażenie, że sędzia Murphy
zajmie w czasie rozprawy zdecydowane stanowisko w tej sprawie.
A teraz posłuchaj, co ustaliłam z Philem Blackburnem. Zaczniemy
od twojej wersji wydarzeń. A potem Johnson przedstawi swoją.

— Chwileczkę. Dlaczego mam zaczynać? - zapytał Tom. -

Jeżeli wystąpię pierwszy, Meredith uzyska przewagę, bo usłyszy...

— Ty wnosisz pozew, a więc jesteś zobowiązany pierwszy
przedstawić swoje stanowisko. Mam wrażenie, że ten układ będzie
dla nas korzystny - wyjaśniła Luiza Fernandez. - Dzięki temu
Meredith Johnson będzie zeznawała jako ostatnia przed lunchem. -
Ruszyli w stronę środkowego budynku. - A teraz chciałabym,

273

żebyś zapamiętał dwie rzeczy. Po pierwsze, zawsze mów prawdę.

Bez względu na to, co się będzie działo, mów tylko prawdę.

Dokładnie tak, jak pamiętasz, nawet jeżeli będziesz uważał, że sobie
szkodzisz. Dobrze?

— Dobrze.

— Po drugie, nie wpadaj we wściekłość. Jej adwokat będzie się
starał cię rozgniewać i złapać w pułapkę. Nie pozwól mu na to.

Jeżeli poczujesz się obrażony albo zaczniesz ogarniać cię złość, poproś o pięciominutową przerwę na konsultację ze mną. Masz do tego prawo. Wyjdziemy na zewnątrz i ochłoniesz. Cokolwiek będziesz robił, zachowaj spokój.

— Tak jest.

— W porządku. - Otworzyła drzwi. - A teraz do roboty.

Sala była wyłożona boazerią. Sanders zobaczył wypolerowany drewniany stół, na którym znajdowała się karafka z wodą, szklanki i kilka notatników. W kącie stolik barowy z kawą i talerzem ciastek. Okna wychodziły na małe atrium z fontanną. Słyszał delikatne szemranie wody.

Grupa z DigiComu była już na miejscu i siedziała z jednej strony stołu. Phil Blackburn, Meredith Johnson, adwokat o nazwisku Ben Heller i dwie ponure prawniczki. Przed każdą z nich leżał imponujący stos kserokopii.

Luiza Fernandez przedstawiła się Meredith Johnson i podały sobie ręce. Potem Ben Heller przywitał się z Sandersem. Był rumianym, tęgim mężczyzną o siwych włosach i niskim głosie. Miał spore znajomości w Seattle i przypominał Tomowi polityka. Heller przedstawił mu obie prawniczki, ale Sanders natychmiast zapomniał ich nazwisk.

— Halo, Tom - odezwała się Meredith.

— Witaj, Meredith.

Zaskoczyło go, jak pięknie dziś wygląda. Miała na sobie granatowy kostium i kremową bluzkę. Dzięki okularom i zaczesanym do tyłu blond włosom sprawiała wrażenie pilnej uczennicy.

Heller poklepał ją uspokajającym gestem po ręce, zupełnie jakby przywitanie z Sandersem było dla niej straszliwym przeżyciem.

Fernandez i Sanders usiedli naprzeciwko Hellera i Johnson.

Wszyscy wyjęli dokumenty i notatki. A potem zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Heller.

275

—
Jak się zakończyła ta sprawa King Power? - zapytał Luizę Fernandez.

— Jesteśmy zadowoleni - odparła.

— Czy ustalili już odszkodowanie?

— W przyszłym tygodniu, Ben.

— Ile żądacie?

— Dwa miliony.

— Dwa miliony?

— Napastowanie seksualne to poważna sprawa, Ben. Odszkodowania szybko idą w górę. Obecnie przeciętny wyrok opiewa na milion dolarów. Szczególnie jeżeli firma zachowuje się tak paskudnie.

W drugim końcu sali otworzyły się drzwi i weszła kobieta w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Była wyprostowana, energiczna i miała na sobie granatowy kostium niewiele różniący się od tego, w którym wystąpiła Meredith.

— Dzień dobry - powiedziała. - Jestem Barbara Murphy.

Proszę zwracać się do mnie sędzino Murphy albo pani Murphy. -

Obeszła pokój witając się z wszystkimi po kolei, a potem zajęła miejsce u szczytu stołu. Otworzyła teczkę i wyjęła z niej notatki. — Pozwolicie państwo, że przedstawię zasady naszej dzisiejszej rozprawy - oznajmiła. - Nie jesteśmy w sądzie orzekającym i postępowanie nie będzie protokołowane. Zachęcam wszystkich, aby zachowywali się przyzwoicie i uprzejmie. Nie jesteśmy tu po to, aby rzucać szalone oskarżenia, czy też obciążać kogokolwiek odpowiedzialnością. Naszym celem jest określenie istoty sporu między stronami i określenie najlepszego sposobu jego rozstrzygnięcia.

Chcę przypomnieć wszystkim, że zarzuty postawione przez obie strony są wyjątkowo poważne i mogą pociągnąć za sobą konsekwencje prawne. Domagam się, aby traktować te rozprawy jako poufne. Szczególnie ostrzegam państwa przed omawianiem poruszanych tu spraw z osobami postronnymi albo z prasą. Pozwoliłam sobie porozmawiać prywatnie z panem Donadio, wydawcą "Post-Intelligencer" na temat wydrukowanego dziś artykułu pani Walsh. Przypomniałam panu Donadio, że wszystkie strony w "przedsiębiorstwie X" są osobami prywatnymi i że pani Walsh jest etatowym pracownikiem gazety. "Post-Intelligencer" naraża się na bardzo

276

poważne ryzyko procesu o zniesławienie. Mam wrażenie, że pan Donadio zrozumiał moje stanowisko.

Pochyliła się do przodu, opierając łokciami o blat stołu.

- A więc do rzeczy. Strony uzgodniły, że pan Sanders będzie

występował pierwszy, a potem zada mu pytania pan Heller.

Następnie swoją wersję przedstawi pani Johnson, a pytania zada jej pani Fernandez. Aby oszczędzić czas, tylko ja będę miała prawo zadawania pytań w czasie składania zeznań przez zainteresowanych i będę ustalała limit pytań pełnomocników obu stron. Jestem gotowa dopuścić do dyskusji, ale proszę o współpracę w pełnieniu moich obowiązków i sprawnym prowadzeniu rozprawy. Czy zanim zaczniemy, ktoś z państwa ma jakieś pytanie?

Pytań nie było.

- W porządku. W takim razie zaczynamy. Panie Sanders, czy zechciałby nam pan opowiedzieć, co się, pana zdaniem, wydarzyło?

Sanders mówił spokojnie przez następne pół godziny. Zaczął od spotkania z Blackburnem, kiedy dowiedział się, że Meredith ma zostać nowym wiceprezesem. Opowiedział o rozmowie z Meredith po jej wystąpieniu, w czasie której zaproponowała mu spotkanie na temat stacji Twinkle. A następnie zrelacjonował szczegółowo, co zdarzyło się w gabinecie.

W czasie swojego wystąpienia uświadomił sobie nagle, dlaczego adwokatka tak bardzo nalegała wczoraj, aby powtarzał kilkakrotnie swoją historię. Teraz bez trudu opowiadał o przebiegu wydarzeń i bez wahania mógł mówić o penisach i waginach. Mimo wszystko było to jednak ciężkie przeżycie. W końcowym momencie, kiedy relacjonował wyjście z gabinetu i spotkanie ze sprzątaczką, czuł się już zupełnie wyczerpany.

Potem powiedział o telefonie do Susan, wcześniejszym terminie

zebrania następnego ranka, późniejszej rozmowie z Blackburnem

i podjęciu decyzji o złożeniu pozwu.

— To chyba wszystko - zakończył.

— Zanim będziemy kontynuowali, miałabym parę pytań -

stwierdziła sędzina Murphy. - Panie Sanders, wspomniał pan, że

w czasie spotkania było pite wino.

— Tak.

— Ile wypił pan tego wina?

— Niecały kieliszek.

— A pani Johnson? Ile wypić pana zdaniem?

278

—

Przynajmniej trzy kieliszki.

— Dobrze. - Zanotowała. - Panie Sanders, czy ma pan

umowę o pracę z przedsiębiorstwem DigiCom?

— Tak.

— Jak według pana umowa ta reguluje sprawę przeniesienia

lub zwolnienia pana?

- Nie mogą zwolnić mnie bez istotnych powodów - odparł

Sanders. - Nie wiem, jak przedstawia się sprawa przeniesienia. Ale

według mojej opinii, zamiast przenosić, mogą mnie równie dobrze

wyrzucić...

— Rozumiem pańskie stanowisko - przerwała mu sędzina

Murphy. - Pytałam o pańską umowę. Panie Blackburn?

— Odnośna klauzula mówi o "równorzędnym przeniesieniu" -

wyjaśnił Blackburn.

- Rozumiem. A więc jest to kwestia sporna. Doskonale.

A więc kontynuujmy. Panie Heller? Proszę o pytania do pana

Sandersa.

Ben Heller przełożył papiery i odchrząknął.

- Panie Sanders, czy chciałby pan poprosić o przerwę?

— Nie, czuję się dobrze.

— W porządku. A więc, panie Sanders. Wspomniał pan, że gdy

pan Blackburn powiedział panu w poniedziałek rano, iż pani

Johnson ma zostać nowym szefem działów technicznych, poczuł się

pan zaskoczony.

— Tak.

— Jak pan przypuszczał, kto miał zostać nowym przełożonym.

— Nie wiedziałem tego. W gruncie rzeczy sądziłem, że może

być brana pod uwagę moja kandydatura.

— Dlaczego pan tak uważał?

— Tylko to zakładałem.

— Czy ktoś w przedsiębiorstwie, pan Blackburn lub jakaś inna

osoba, dawał panu do zrozumienia, że ma pan otrzymać to

stanowisko?

— Nie.

— Czy otrzymał pan coś na piśmie, co sugerowałoby, że

otrzyma pan to stanowisko?

— Nie.

— A więc wówczas, gdy zakładał pan taką ewentualność,

wyciągał pan wniosek oparty na postrzeganej przez pana ogólnej sytuacji firmy?

- Tak.

- A nie na podstawie jakichś konkretnych dowodów?

— Tak.

— W porządku. Powiedział pan, że gdy pan Blackburn oznajmił panu, że na to stanowisko zostanie mianowana pani Johnson, oświadczył on jednocześnie, że jeżeli pani Johnson zechce, może wybrać nowych kierowników poszczególnych działów. Pan zaś stwierdził, że może to oznaczać to, iż ma prawo pana zwolnić?

— Owszem, tak właśnie było.

— Czy w jakiś sposób rozwinął swoją wypowiedź? Na przykład określając, że sytuacja taka jest prawdopodobna lub mało prawdopodobna?

— Powiedział, że raczej mało prawdopodobna.

— I uwierzył mu pan?

— Wtedy nie byłem pewien, w co mam wierzyć.

— Czy opinie pana Blackburna w sprawach firmy są uważane za miarodajne?

— Zazwyczaj tak.

— W każdym razie pan Blackburn stwierdził, że pani Johnson ma prawo pana zwolnić.

— Tak.

— Czy pani Johnson kiedykolwiek oznajmiła panu coś w tym

rodzaju?

— Nie.

— Nigdy nie oświadczyła niczego, co mogłoby zostać zinterpretowane jako groźba, której spełnienie było uzależnione od tego, czy wykonywał pan określone polecenia, w tym również o charakterze seksualnym?

— Nie.

— A więc kiedy twierdzi pan, że w czasie swojego spotkania z nią miał pan wrażenie, że zagrożona jest pańska praca, nie wynikało* to z czegokolwiek, co pani Johnson powiedziała lub zrobiła?

— Nie - odparł Sanders. - Ale taka była sytuacja.

— Uważał pan, że znalazł się w takiej sytuacji.

— Tak.

280

—

Podobnie jak wcześniej przypuszczał pan, że otrzyma pan awans, choć nic na to nie wskazywało? Ten właśnie awans, który ostatecznie dostała pani Johnson?

— Nie rozumiem.

— Po prostu luźna obserwacja - rzekł Heller. - Przypuszczenia są subiektywne i nie posiadają ciężaru gatunkowego faktów.

— Sprzeciw - oznajmiła Fernandez. - Przypuszczenia pracowników mają znaczenie w sytuacjach, gdy uzasadnione oczekiwania...

— Pani Fernandez - przerwała jej sędzina Murphy. - Pan

Heller nie podważa słuszności przypuszczeń pani klienta. Kwestionuje jedynie ich ścisłość.

— Ale przecież one były ścisłe, ponieważ pani Johnson jest jego przełożoną i jeżeli zechce, może go zwolnić.

— Fakt ten nie podlega dyskusji. Ale pan Heller chce ustalić, czy pan Sanders ma tendencję do formułowania nieuzasadnionych oczekiwań. Co wydaje mi się bardzo istotne dla sprawy.

— Ale z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie...

— Pani Fernandez - oświadczyła Murphy. - Zebraliśmy się tu, aby wyjaśnić pewien spór. Mam zamiar pozwolić, aby pan Heller kontynuował. Panie Heller?

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. A więc reasumując, panie Sanders. Chociaż miał pan wrażenie, że pańska praca jest zagrożona, pani Johnson nie powiedziała nic, co by to potwierdzało?

— Nie.

— Ani pan Blackburn?

— Nie.

— Ani też, w gruncie rzeczy, nikt inny?

— Nie.

— W porządku. Zajmijmy się czymś innym. Jak to się stało, że na spotkaniu o szóstej było wino?

— Pani Johnson powiedziała, że zorganizuje butelkę wina.

— Nie zaproponował pan tego?

— Nie. To była jej inicjatywa.

— A jaka była pańska reakcja?

— Nie wiem. - Sanders wzruszył ramionami. - Właściwie żadna.

— Czy był pan zadowolony?

— Nie jestem w stanie odpowiedzieć ani tak, ani nie.

281

—
Może przedstawię tę kwestię inaczej, panie Sanders. Gdy usłyszał pan, że tak atrakcyjna kobieta jak pani Johnson ma zamiar wypić z panem po pracy drinka, co przyszło panu do głowy?

— Pomyślałem, że lepiej będzie się zgodzić. Jest moim szefem.

— Czy pomyślał pan tylko o tym?

— Tak.

— Czy wspomniał pan komukolwiek, że chce pan być sam z panią Johnson w romantycznej atmosferze?

Sanders ze zdziwieniem pochylił się do przodu.

— Nie.

— Jest pan tego pewien?

— Tak. - Sanders pokręcił głową. - Nie wiem, do czego pan zmierza.

— Czy pani Johnson nie jest pańską byłą kochanką?

— Jest.

— I nie chciał pan odnowić waszych intymnych związków?

— Nie, nie chciałem. Po prostu miałem nadzieję, że będziemy w stanie znaleźć jakąś formę współpracy.

— Czy to takie trudne, skoro państwo tak dobrze znaliście się

w przeszłości?

— No cóż, niezupełnie. Sytuacja była dość niezręczna.

— Doprawdy? Dlaczego?

— Po prostu tak jest. Właściwie nigdy z nią nie pracowałem.

Znałem Meredith w zupełnie innej sytuacji i po prostu czułem się niezręcznie.

— W jaki sposób skończył się pański poprzedni związek z panią Johnson, panie Sanders?

— No cóż, jakoś... rozeszliśmy się.

— Czy wtedy mieszkaliście państwo razem?

— Tak. I mieliśmy nasze dobre i złe dni. I ostatecznie nic z tego nie wyszło. A więc rozstaliśmy się.

— Bez urazy?

— Bez.

— Kto kogo opuścił?

— O ile dobrze sobie przypominam, była to raczej wspólna decyzja.

— A więc nie było niezręcznej sytuacji czy zdenerwowania spowodowanych zakończeniem romansu przed dziesięcioma laty?

282

—

Nie.

— Ale pan uważał, że sytuacja jest niezręczna?

— Oczywiście - odparł Sanders. - Ponieważ w przeszłości nasze stosunki miały określony charakter, zupełnie inny niż teraz.

— Chodzi panu o fakt, że pani Johnson została mianowana pańskim szefem.

— Tak.

— Czy nie był pan rozgniewany z tego powodu? Z powodu jej nominacji?

— Chyba trochę.

— Tylko trochę? A może nieco bardziej niż trochę?

Luiza Fernandez pochyliła się lekko, aby wyrazić sprzeciw.

Sędzina Murphy popatrzyła na nią ostrzegawczo. Adwokatka podparła brodę pięścią i nie odezwała się.

— Czuję wtedy wiele rzeczy - odparł Sanders. - Byłem zły, zawiedziony, zdezorientowany i zaniepokojony.

— A więc choć doświadczał pan wielu różnych i sprzecznych uczuć, jest pan pewien, że zupełnie nie brał pan pod uwagę odbycia tego wieczoru stosunku seksualnego z panią Johnson?

— Nie.

— Nigdy nie przyszła panu ta myśl do głowy?

— Nie.

Zapadła chwila ciszy. Heller przekartkował notatki i wreszcie podniósł głowę.

— Jest pan żonaty, panie Sanders, prawda?

— Tak, jestem.

- Czy zadzwonił pan do swojej żony i zawiadomił ją pan o wieczornym spotkaniu?

— Tak.

— Czy powiedział jej pan z kim?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo żona jest niekiedy zazdrosna o moje dawne związki. Nie widziałem powodu, aby ją niepokoić albo martwić.

— Chce pan powiedzieć, że gdyby poinformował ją pan o swojej wieczornej rozmowie z panią Johnson, pańska żona mogłaby przypuszczać, iż odnawia pan swoją erotyczną znajomość?

— Nie wiem, co mogłaby pomyśleć - odparł Sanders.

283

—
Ale w każdym razie nie powiedział jej pan o pani Johnson?

— Nie.

— A co jej pan powiedział?

— Zawiadomiłem, że przyjadę na obiad albo trochę później.

— Rozumiem. Czy pani Johnson zaproponowała panu zjedzenie obiadu?

— Nie.

— A więc założył pan, dzwoniąc do żony, że pańska rozmowa z panią Johnson może potrwać długo?

— Nie - zaprzeczył Sanders. - Nie zakładałem tego. Ale nie wiedziałem dokładnie, ile czasu nam zajmie. A moja żona nie lubi, jeżeli dzwonię do niej i informuję, że spóźnię się o godzinę, a potem dzwonię drugi raz i mówię, że o dwie. To ją irytuje. A więc łatwiej jest, jeżeli komunikuję, że mogę być w domu po obiedzie. Dzięki

temu nie spodziewa się mnie i nie czeka, a jeżeli docieram do domu

wcześniej, tym lepiej.

— A więc taki jest pański sposób postępowania wobec żony.

— Tak.

— Nic niezwykłego.

— Właśnie.

— Innymi słowy pańskim normalnym sposobem bycia jest okłamywanie żony na temat wydarzeń w biurze, ponieważ pana zdaniem nie jest w stanie zaakceptować prawdy.

— Sprzeciw - wtrąciła się Fernandez. - Jaki ma to związek ze sprawą?

— Ale to nie tak - zaprotestował ze złością Sanders.

— A więc jak, panie Sanders?

— Proszę posłuchać. Każde małżeństwo ma swoje zwyczaje i sposoby załatwiania różnych spraw. My mamy właśnie takie.

Dzięki temu wszystko układa się gładko i tyle. Takie postępowanie wynika raczej z rozkładu zajęć domowych, i nie ma nic wspólnego z okłamywaniem.

- Ale czy fakt, że nie powiedział pan żonie o planowanym spotkaniu z panią Johnson, to nie kłamstwo?

— Sprzeciw - oznajmiła Fernandez.

— Mam wrażenie, że naprawdę już dosyć tego, panie Heller - oświadczyła sędzina Murphy.

— Wysoki Sądzie, próbuję wykazać, że pan Sanders miał

zamiar skonsumować związek z panią Johnson i że całe jego zachowanie wynika z tego faktu. A dodatkowo chcę również dowieść, że traktuje kobiety z pogardą.

— Nie wykazuje pan tego i nawet nie przedstawia pan przesłanek ku temu - stwierdziła Murphy. - Pan Sanders wyjaśnił swoje powody i przyjmuję je w związku z brakiem dowodów, które świadczyłyby o czymś przeciwnym. Czy ma pan takie dowody?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— A więc dobrze. Proszę zapamiętać, że te jątrzące i nie udowodnione stwierdzenia nie pomagają nam w dążeniu do ustalenia prawdy.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Chcę, żeby wszyscy zrozumieli wyraźnie - obecne postępowanie jest potencjalnie bardzo groźne dla wszystkich zainteresowanych stron - nie tylko z powodu jego przyszłych konsekwencji, ale także przez fakt przeprowadzania niniejszego postępowania.

W zależności od jego wyniku, pani Johnson i pan Sanders mogą w przyszłości podjąć jakąś formę współpracy. Nie dopuszczę, aby rozprawa zniweczyła taką szansę. Wszelkie dalsze nie uzasadnione oskarżenia mogą spowodować przerwanie przeze mnie niniejszego postępowania. Czy ktoś ma w tej sprawie jakieś pytania?

Nikt nie miał.

— Doskonale. Panie Heller?

Heller usiadł.

— Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

- Dobrze - stwierdziła sędzina Murphy. - Zrobimy pięciominutową przerwę, a następnie wysłuchamy wersji pani Johnson.

- Dobrze sobie radzisz - oświadczyła Luiza Fernandez. - Doskonale. Głos masz opanowany, mówisz wyraźnie i spokojnie. Murphy była pod wrażeniem. Świetnie sobie radzisz.

Stali na zewnątrz koło fontann na dziedzińcu. Sanders czuł się jak bokser między rundami, wysłuchujący instrukcji trenera.

— Jak się czujesz? - zapytała. - Jesteś zmęczony?

— Trochę. Ale nie za bardzo.

— Chcesz kawy?

— Nie. Wszystko w porządku.

— Dobrze. Bo teraz nastąpi gorsza część. Musisz być bardzo opanowany, gdy ona będzie przedstawiała swoją wersję. Nie spodoba ci się to, co usłyszysz. Ale pamiętaj, że musisz zachować spokój.

— Wiem.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— A przy okazji, tylko między nami. W jaki sposób naprawdę zakończył się wasz związek?

— Prawdę mówiąc, nie jestem w stanie dokładnie sobie przypomnieć.

Fernandez spojrzała na niego ze sceptycyzmem.

— Ale przecież był to na pewno ważny moment...

— Ale zdarzył się prawie dziesięć lat temu - odparł Sanders.

Mam wrażenie, że w innym moim życiu.

Wciąż wyglądała na nie przekonaną.

286

—
Posłuchaj - powiedział Sanders. - Mamy trzeci tydzień

czerwca. Jak wyglądało twoje życie uczuciowe w trzecim tygodniu

czerwca dziesięć lat temu? Możesz mi powiedzieć?

— Luiza milczała, marszcząc brwi.

— Byłaś już zamężna? - dopytywał się Sanders.

— Nie.

— Znałaś już wtedy swojego męża?

— Hm... poczekaj... Nie... To było dopiero... Musiałam poznać

mojego męża... mniej więcej rok później.

— Dobrze. Czy pamiętasz, z kim spotykałaś się przed poznaniem go?

Luiza milczała, zastanawiając się.

- A czy możesz przypomnieć sobie coś, co zaszło między

tobą a twoim kochankiem w czerwcu, dziesięć lat temu?

W dalszym ciągu milczała.

- Wiesz, o co mi chodzi? - zapytał Sanders. - Dziesięć

lat to długo. Pamiętam romans z Meredith, ale nie pamiętam

szczeólów.

- A co pamiętasz?

Wzruszył ramionami.

- Było coraz więcej kłótni, więcej krzyków. Wciąż mieszkaliśmy

razem, ale zaczęliśmy tak organizować rozkład naszych zajęć, aby

się nie spotykać zbyt często. Sama wiesz, jak bywa. Bo gdy tylko się spotykaliśmy, natychmiast wybuchała sprzeczka.

I wreszcie, pewnego wieczoru, gdy ubieraliśmy się, aby iść na przyjęcie, rozpętała się wielka awantura. Jakieś urzędowe przyjęcie w DigiComie. Pamiętam, że miałem włożyć smoking. Rzuciłem w nią spinkami do mankietów, a potem nie mogłem ich znaleźć.

Musiałem uklęknąć na podłodze i szukać. Ale w drodze na przyjęcie jakoś ochłonęliśmy i zaczęliśmy mówić o rozstaniu. W bardzo zwyczajny, bardzo rozsądny sposób. Po prostu oboje doszliśmy do tego samego wniosku. Żadne z nas nie krzychało. I w końcu postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeżeli się rozejdziemy.

Luiza patrzyła na niego w zamyśleniu.

— Tak się to odbyło?

— Owszem. - Wzruszył ramionami. - Chociaż nie dotarliśmy na tamto przyjęcie.

Coś majaczyło na granicy jego świadomości. Para w samochodzie

287

też jadąca na przyjęcie. Coś związanego z telefonem komórkowym.

Ubrani wizytowo jadą na przyjęcie i po drodze telefonują...

Nie mógł sobie przypomnieć. Scena tkwiła gdzieś na granicy pamięci i nie dało się jej zrekonstruować.

Kobieta zadzwoniła z telefonu komórkowego, a wtedy... Potem zdarzyło się coś kłopotliwego...

— Tom - powiedziała Luiza, potrząsając go za ramię. - Przerwa się już kończy. Wracamy?

— Tak - odparł.

Gdy wracali już na salę rozpraw, podszedł do nich Heller.

Uśmiechnął się fałszywie do Sandersa, a potem zwrócił do Luizy

Fernandez:

— Pani mecenas. Wydaje mi się, że nadeszła pora, aby porozmawiać o warunkach ugody.

— Ugody? - odparła Luiza z wyraźnie udawanym zdziwieniem. - Dlaczego?

— Chyba sprawy nie układają się najlepiej dla twojego klienta i...

— Wprost przeciwnie. Sprawy mojego klienta układają się doskonale...

— I im dłużej będzie trwało przesłuchanie, tym bardziej stanie się dla niego kłopotliwe i nieprzyjemne...

— Mój klient wcale nie czuje się zakłopotany...

— I być może, gdybyśmy zakończyli tę sprawę już teraz, wszyscy by na tym skorzystali.

Luiza uśmiechnęła się.

— Nie sądzę, aby mój klient sobie tego życzył, Ben, ale jeżeli chcesz złożyć jakąś ofertę, oczywiście rozpatrzymy ją.

— Owszem, mam propozycję.

- Słuchamy.

Heller odchrząknął.

— Biorąc pod uwagę wieloletnią pracę w firmie, jesteśmy przygotowani przyznać panu Sandersowi pewną rekompensatę.

Pokryjemy również twoje honorarium i wszelkie inne koszty poniesione w związku z rozwiązaniem umowy o pracę. Ogółem wynosi to czterysta tysięcy dolarów. Uważam, że jest to niezwykle korzystna propozycja.

— Zobaczymy, co powie na ten temat mój klient - odparła

288

Luiza Fernandez. Wzięła Sandersa pod ramię i odeszła z nim na bok. - No i co?

— Nie - odparł Sanders.

— Nie spiesz się tak - upomniała go. - Oferta jest dosyć rozsądna. Mniej więcej tyle, ile przyznałby ci sąd - bez przewlekania sprawy i kosztów.

— Nie.

— Chcesz złożyć kontrpropozycję?

— Nie. Pieprzę go.

— Sądzę, że powinniśmy ją przedstawić.

— Pieprzę go.

Luiza pokręciła głową.

— Zachowaj rozsądek, zamiast się wściekać. Ile chcesz uzyskać, Tom? Musi istnieć suma, którą byś przyjął.

— Chcę dostać tyle, ile bym otrzymał w chwili, gdy firma wejdzie na rynek - odparł Sanders. - A to jest suma między pięcioma a dwunastoma milionami dolarów.

— Tak to oceniasz? Ale to tylko przybliżona wycena wydarzenia, które może nastąpić w przyszłości.

— I tyle będzie warte, możesz mi wierzyć.

Luiza spojrzała na niego.

— Czy wzięłbyś teraz pięć milionów?

— Tak.

- A czy wzięłbyś na przykład oferowaną rekompensatę oraz opcje udziałowe, które otrzymałbyś w chwili złożenia oferty publicznej?

Sanders zastanawiał się przez chwilę.

— Tak.

— Dobrze. Powiem mu o tym.

Poszła przez dziedziniec do Hellera. Rozmawiali krótko i po chwili adwokat Meredith odwrócił się na pięcie i odszedł.

Luiza wróciła, uśmiechając się szeroko.

- Nie zgodził się. Ale powiem ci jedno. To dobry znak.

— Doprawdy?

— Tak. Jeżeli chcą zawrzeć ugodę przed wystąpieniem Meredith, to bardzo dobry znak.

W związku z mającą nastąpić fuzją - oznajmiła Meredith Johnson - uznałam, że powinnam w poniedziałek koniecznie spotkać się ze wszystkimi kierownikami działów. - Mówiła spokojnie i wolno, spoglądając po kolei na wszystkich siedzących wokół stołu. Sanders miał wrażenie, że widzi przedstawiciela kierownictwa, referującego ważne zagadnienie. - Przed południem spotkałam się z Donem Cherrym, Markiem Lewynem i Mary Annę Hunter. Ale Tom Sanders poinformował mnie, że ma bardzo

wypełniony plan pracy i zapytał, czy moglibyśmy się spotkać pod koniec dnia. Na jego prośbę zaplanowałam więc spotkanie na szóstą wieczorem.

Sanders był zaskoczony spokojem, z jakim kłamała. Spodziewał się, że będzie przekonująca, ale nie wiedział, że aż do tego stopnia.

- Tom zaproponował, żebyśmy się napili i przypomnieli sobie stare czasy. Prawdę mówiąc, nie jest to w moim stylu, ale zgodziłam się. Zależało mi bowiem na dobrych układach z Tomem, ponieważ wiedziałam, że jest rozczarowany, bo nie otrzymał awansu. Chciałam, aby nasza współpraca układała się po przyjacielsku. Wydawało mi się, że jeżeli mu odmówię, będzie wyglądało, jakbym... nie wiem, trzymała się na dystans albo zadzierała nosa. Zgodziłam się więc.

Tom przyszedł do mojego gabinetu o szóstej. Wypiliśmy po kieliszku wina i rozmawialiśmy o problemach ze stacją Twinkle.

Jednak od samego początku zaczął robić uwagi o charakterze osobistym, które uważałam za niewłaściwe - na przykład kome-

290

tował mój wygląd, wspominał nasz dawny związek... zwłaszcza jego seksualny aspekt.

"Co za dziwka". Sanders poczuł ogarniające go zdenerwowanie.

Ręce miał zaciśnięte w pięści.

Luiza Fernandez pochyliła się i położyła rękę na jego dłoni.

Meredith ciągnęła dalej:

- ...miałam telefony od Garvina i innych. Odbierałam je, siedząc przy biurku. Weszła moja sekretarka i zapytała, czy może

wcześniej wyjść, załatwić swoje osobiste sprawy. Zgodziłam się.

Wyszła z gabinetu, a wtedy Tom podszedł blisko i nagle zaczął mnie całować.

Przerwała na chwilę, rozejrzała się po sali i popatrzyła Sandersowi prosto w oczy.

- Jego nagłe i nieoczekiwane zachowanie zaskoczyło mnie - powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku. - Początkowo próbowałam protestować i jakoś rozładować sytuację. Ale Tom jest o wiele większy i silniejszy ode mnie. Pociągnął mnie na kanapkę, zaczął się rozbierać i jednocześnie zdejmował ze mnie ubranie. Jak łatwo sobie wyobrazić, byłam przerażona. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, a to, co się działo, zdecydowanie komplikowało perspektywę naszych stosunków służbowych. Nie mówiąc już o tym, że czułam się upokorzona tym atakiem.

Sanders patrzył na nią, za wszelką cenę starając się opanować gniew. Usłyszał, jak Luiza szepce mu do ucha: "Oddychaj głęboko". Nabrał powietrza w płuca i wypuścił je wolno. Aż do tej chwili nie uświadamiał sobie, że momentami wstrzymuje oddech.

- Ciągle próbowałam potraktować całą sprawę lekko - ciągnęła dalej Meredith - rozładować ją żartem. Starłam się powiedzieć mu: "Och, Tom, daj spokój, nie rób tego". Ale on był zdecydowany. I kiedy zerwał mi bieliznę, gdy usłyszałam trzask rwącego się materiału, zrozumiałam, że nie rozwiążę tej sytuacji w dyplomatyczny sposób. Musiałam przyjąć do wiadomości, że pan Sanders chce mnie zgwałcić. Byłam przestraszona i rozgniewana.

Gdy odsunął się, aby wyjąć ze spodni penisa, uderzyłam go kolanem w pachwinę. Stoczył się z kanapki na podłogę. Potem zerwał się i ja również. Pan Sanders był wściekły, że go odtrąciłam. Zaczął krzyczeć, a potem uderzył mnie, przewracając na podłogę. Ja również byłam wściekła. Pamiętam, że powiedziałam: "Nie

291

możesz mi tego zrobić" i jeszcze przeklinałam. Ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie wszystkiego, co on lub ja powiedzieliśmy. Rzucił się na mnie powtórnie, ale wtedy miałam już w ręku buty i uderzyłam go w pierś szpilkowymi obcasami. Mam wrażenie, że rozerwałam mu koszulę, ale nie jestem tego pewna. Chyba powiedziałam, że mam ochotę go zabić. Wściekłam się. To był mój pierwszy dzień w pracy, pełen napięcia, ponieważ próbowałam dobrze wypełniać swoje obowiązki i ten... ten incydent, który się wydarzył, zniweczył naszą przyszłą współpracę i mógł przysporzyć firmie wiele kłopotów. Pan Sanders wyszedł wściekły. Zaczęłam się zastanawiać, jak potraktować całe zdarzenie.

Przerwała. Przez chwilę potrząsała głową, najwyraźniej ogarnięta emocjami, z którymi nie mogła sobie poradzić.

— I jak postanowiła pani załatwić tę sprawę? - zapytał łagodnie Heller.

— No cóż, to był problem. Tom jest cenionym pracownikiem i niełatwo go zastąpić. Poza tym, nie byłoby rozsądnie dokonywać zmian w trakcie realizowania fuzji. W pierwszym odruchu chciałam sprawdzić, czy oboje będziemy mogli zapomnieć o tym incydencie.

W końcu jesteśmy dorosłymi ludźmi. Osobiście czułam się zażenowana, ale pomyślałam, że kiedy Tom ochłonie i wszystko przemyśli, będzie mu głupio. Miałam nadzieję, że może zaczniemy od początku. W końcu zdarzają się różne niezręczne sytuacje, ale przechodzi się nad nimi do porządku dziennego. Kiedy więc termin zebrania uległ zmianie, zadzwoniłam do niego do domu, aby go o tym poinformować. Jeszcze nie przyszedł, ale odbyłam sympatyczną rozmowę z jego żoną. Wynikało z niej jednoznacznie, że nie miała pojęcia o naszym wieczornym spotkaniu ani o tym, iż Tom spotkał się ze mną, że znaliśmy się w przeszłości. W każdym razie podałam jej nowe informacje o terminie zebrania i poprosiłam o przekazanie tej informacji.

Na konferencji następnego dnia wszystko ułożyło się źle.

Tom zjawił się późno i zmienił swoją opinię na temat stacji Twinkle. Minimalizował problemy, prezentując odmienne niż ja stanowisko. Najwyraźniej podważał mój autorytet na ważnym służbowym zebraniu, więc uznałam, że nie mogę tego tak zostawić.

Udałam się bezpośrednio do Phila Blackburna i opowiedziałam mu o wszystkim co się zdarzyło. Oznajmiłam, że nie chcę składać

292

oficjalnej skargi, ale moja współpraca z Tomem jest niemożliwa i że trzeba będzie dokonać zmian. Phil powiedział, że porozmawia z Tomem. Ostatecznie postanowiono, że spróbujemy rozstrzygnąć sprawę przez arbitraż.

Usiadła i oparła dłonie na blacie stołu.

- Mam wrażenie, że to wszystko. Chyba wszystko.

Rozejrzała się wokoło, patrząc po kolei wszystkim zgromadzonym w oczy. Bardzo spokojnie, z opanowaniem.

Występ był wyjątkowo udany i wywarł na Sandersie zupełnie nieoczekiwane wrażenie: poczuł się winny. Był niemal przekonany, że zrobił to wszystko, o czym przed chwilą opowiadała Meredith.

Nagle ogarnął go wstyd i opuścił głowę, wbijając wzrok w blat stołu.

Luiza Fernandez z całej siły kopnęła go w kostkę. Podniósł gwałtownie głowę, krzywiąc się z bólu. Patrzyła na niego, marszcząc brwi. Wyprostował się.

Sędzina Murphy odchrząknęła.

— Najwyraźniej - stwierdziła - przedstawiono nam dwa całkowicie wykluczające się zeznania. Pani Johnson, zanim będziemy kontynuowali, chciałabym zadać pani kilka pytań.

— Słucham, Wysoki Sądzie?

— Jest pani przystojną kobietą. Z całą pewnością musiała pani w czasie swojej kariery niejednokrotnie odpierać różne niepożądane zaloty.

Meredith uśmiechnęła się.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Powiedziała pani, że uświadamiała sobie pewne napięcie w waszych kontaktach, które wynikało z dawnego związku z panem Sandersem. Biorąc to pod uwagę, przypuszczam, że spotkanie w środku dnia i bez wina, nosiłoby bardziej zawodowy charakter...

Byłoby bardziej właściwe.

— Niewątpliwie, to całkowicie słuszna uwaga, jeżeli ocenia się całą sprawę po fakcie - odparła Meredith. - Ale wówczas umawialiśmy się tuż po zebraniu dotyczącym fuzji. Wszyscy byli zajęci. Po prostu próbowałam zaplanować spotkanie z panem Sandersem przed naradą z przedstawicielami Conley-White, która miała odbyć się następnego dnia. Jedynie o tym myślałam. O rozkładzie zajęć.

- Rozumiem. A dlaczego nie zadzwoniła pani do pana Black-

293

burna, albo innego przedstawiciela firmy, aby zameldować mu o incydencie zaraz po opuszczeniu gabinetu przez pana Sandersa?

— Jak już powiedziałam, miałam nadzieję, że będzie można przejść nad wszystkim do porządku dziennego.

— Ale przecież opisany przez panią incydent - stwierdziła Murphy - stanowi poważne naruszenie normalnego zachowania w miejscu pracy. Jako doświadczony menedżer, musiała pani zdawać sobie sprawę, że szansa na dobrą współpracę z panem Sandersem jest zerowa. Uważam, że pani obowiązkiem było natychmiastowe poinformowanie o tym przełożonych. A także, że powinna pani, możliwie jak najszybciej, złożyć zeznanie na piśmie.

— Jak już wspomniałam, wciąż miałam nadzieję. - Meredith z namysłem zmarszczyła brwi. - Wie pani, sędzę... że czułam się odpowiedzialna za Toma. Jako dawna przyjaciółka nie chciałam przyczyniać się do tego, aby stracił pracę.

— Z drugiej jednak strony, taką właśnie rolę pani odegrała.

— Tak. Ale jak już powiedziałam, inaczej oceniam fakty po pewnym czasie.

— Rozumiem. Dobrze. Pani Fernandez?

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Luiza odwróciła krzesło tak, aby móc obserwować Meredith. - Pani Johnson, w sytuacji takiej jak tamta, gdy prywatne sprawy dzieją się za zamkniętymi drzwiami, musimy, w miarę możliwości, zapoznać się z towarzyszącymi okolicznościami. A więc chciałabym zadać kilka pytań na ten właśnie temat.

— Bardzo proszę.

— Powiedziała pani, że kiedy umawiała się pani na spotkanie, pan Sanders poprosił o wino.

— Tak.

— Skąd pochodziło wino, które piliście państwo tamtego wieczoru?

— Poprosiłam swoją sekretarkę, aby je kupiła.

— To znaczy panią Ross?

— Tak.

— Czy ta pani od dawna współpracuje z panią?

— Tak.

— Przybyła z panią z Cupertino?

— Tak.

294

—
Czy jest pani zaufaną pracownicą?

— Tak.

— O zakup ilu butelek poprosiła pani panią Ross?

— Nie pamiętam, czy wymieniłam jakąś konkretną liczbę.

— Dobrze. Ile butelek pani otrzymała?

— Chyba trzy.

— Trzy. A czy prosiła pani sekretarkę, aby kupiła coś jeszcze?

— Na przykład co?

— Czy prosiła pani, aby kupiła prezerwatywy?

— Nie. Nie prosiłam.

— Ale je kupiła. Przyniosła prezerwatywy z apteki na Second Avenue.

— No cóż, skoro kupiła prezerwatywy - stwierdziła Meredith - to zapewne dla siebie.

— Czy zna pani jakiś powód, dla którego pani sekretarka mogłaby powiedzieć, że nabyła prezerwatywy dla pani?

— Nie - odpowiedziała wolno Meredith. Najwyraźniej zastanawiała się intensywnie. - Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłaby to zrobić.

— Chwileczkę - przerwała Murphy. - Pani Fernandez, czy twierdzi pani, że sekretarka powiedziała, że zakupiła te prezerwatywy dla pani Johnson?

— Tak, Wysoki Sądzie. Tak właśnie twierdzimy.

— Czy ma pani na to świadka?

— Tak, mamy.

Heller, siedzący obok Johnson, potarł dolną wargę czubkiem

palca. Ale Meredith wcale nie zareagowała. Nawet nie mrugnęła okiem. Po prostu w dalszym ciągu patrzyła spokojnie na Luizę Fernandez, czekając na następne pytanie.

— Pani Johnson, czy poleciła pani sekretarce, aby zamknęła drzwi do gabinetu, w którym przebywała pani z panem Sandersem, na zatrzask?

— Z całą pewnością nie zrobiłam tego.

— Czy wie pani, że zamknęła drzwi na zatrzask?

— Nie, nie wiem.

— Czy wie pani, z jakiego powodu mogłaby powiedzieć komuś, że wydała jej pani takie polecenie.

— Nie.

295

- Pani Johnson. Spotkanie z panem Sandersem było wyznaczone na szóstą po południu. Czy miała pani umówione jakieś inne, późniejsze spotkania tego dnia?

- Nie. To miało być ostatnie.

— Nieprawdą jest zatem, że miała pani umówione spotkanie na siódmą, które pani odwołała?

— Och! Tak, rzeczywiście. Ze Stefanią Kaplan. Ale odwołałam je, ponieważ nie byłam w stanie przygotować danych, które miałam z nią omówić. Nie miałam przecież czasu.

— Czy zdaje pani sobie sprawę, że sekretarka poinformowała Stefanię Kaplan o odwołaniu spotkania, ponieważ ma pani inne, które się przeciągnie.

— Nie wiem, co mówiła moja sekretarka - odparła Meredith, po raz pierwszy okazując zniecierpliwienie. - Wydaje mi się, że bardzo dużo mówimy o mojej sekretarce. Być może powinna pani zadać te pytania właśnie jej.

— Możliwe, że tak zrobimy. No, dobrze. Przejdźmy do innej sprawy. Pan Sanders powiedział, że wychodząc z pani gabinetu widział sprzątaczkę. Czy pani również?

— Nie, po jego wyjściu pozostałam w gabinecie.

— Sprzątaczką, Marian Walden, oświadczyła, że przed wyjściem pana Sandersa słyszała głośną sprzeczkę. Poinformowała nas, że mężczyzna mówił: "To nie jest dobry pomysł. Nie chcę tego robić", a potem odpowiedź kobiety: "Ty pierdolony skurwysynu, nie możesz mnie tak zostawić". Czy przypomina sobie pani te słowa?

— Nie. Przypominam sobie, że powiedziałam: "Nie możesz mi tego zrobić".

— Ale nie przypomina sobie pani słów: "Nie możesz mnie tak zostawić"?

— Nie. Nie przypominam sobie.

— Pani Walden jest zupełnie pewna, że tak właśnie pani powiedziała.

— Nie wiem, co pani Walden zdawało się, że słyszy - odparła Johnson - Drzwi były przez cały czas zamknięte.

— Czy nie mówiła pani dosyć głośno?

— Nie wiem. Możliwe.

— Pani Walden stwierdziła, że pani krzyczała. I pan Sanders

również tak twierdzi. -

296

—
Nie wiem.

— Dobrze. A teraz inna sprawa. Powiedziała pani, że poinformowała pana Blackburna, iż nie może pracować z panem Sandersem zaraz po nieszczęsnym zebraniu, we wtorek rano. Czy tak było?

— Tak. Istotnie.

Sanders pochylił się do przodu. Nagle uświadomił sobie, że nie zwrócił na te słowa uwagi, gdy Meredith składała swoje zeznania. Był tak przygnębiony, że nie uświadomił sobie. Przecież to on poszedł do gabinetu Blackburna natychmiast po zebraniu - a Phil już wiedział.

— Pani Johnson, o której poszła pani zobaczyć się z panem Blackburnem?

— Nie wiem. Po zebraniu.

— Mniej więcej o której godzinie?

— O dziesiątej.

— Nie wcześniej?

— Nie.

Sanders zerknął na Blackburna siedzącego sztywno przy końcu stołu. Był wyraźnie zdenerwowany i przygryzał wargę.

- Czy mogę prosić pana Blackburna, aby to potwierdził? -

zapytała Fernandez. - Gdyby pan Blackburn miał trudności

z przypomnieniem sobie tego faktu, jego sekretarz na pewno

dysponuje terminarzem.

Zapadła chwila ciszy. Luiza Fernandez spojrzała na Blackburna.

— Nie - oświadczyła Meredith. - Nie. Pomyliłam się. Chciałam powiedzieć, że rozmawiałam z Philem po pierwszym zebraniu, tuż przed drugim.

— Pierwsze zebranie, czyli to, na którym pan Sanders był nieobecny. O ósmej?

— Tak.

— A więc zachowanie pana Sandersa na drugim zebraniu, w czasie którego był pani oponentem, nie mogło mieć wpływu na pani decyzję przeprowadzenia rozmowy z panem Blackburnem?

Ponieważ w czasie, gdy zebranie to miało miejsce, ta rozmowa już się odbyła?

— Jak już powiedziałam, pomyliłam się.

— Nie mam więcej pytań do świadka, Wysoki Sądzie.

Sędzina Murphy zamknęła notatnik. Twarz miała beznamiętną i nieprzeniknioną. Spojrzała na zegarek.

297

- Jest obecnie wpół do dwunastej. Zrobimy teraz dwugodzinną przerwę na lunch. Daję państwu nieco więcej czasu, aby pełnomocnicy mogli spotkać się w celu przeanalizowania sytuacji i podjęcia decyzji, czy strony chcą kontynuować rozprawę. - Wstała z krzesła. - Będę również do dyspozycji, jeżeli któryś z pełnomocników z jakiegoś powodu zechce się ze mną widzieć. W każdym razie spotykamy się tu wszyscy dokładnie o pierwszej trzydzieści. Życzę miłego i owocnego lunchu.

Odwróciła się i wyszła z sali.

Blackburn wstał i oznajmił:

- Osobiście chciałbym się bezzwłocznie spotkać z pełnomocnikiem przeciwnej strony.

Sanders spojrział na Luizę Fernandez.

Adwokatka uśmiechnęła się leciutko.

- Nie mam nic przeciwko temu, panie Blackburn - oznajmiła.

Przy fontannie znajdowało się troje prawników. Luiza Fernandez rozmawiała z ożywieniem z Hellerem. Blackburn stał

kilka kroków dalej, trzymając przy uchu telefon komórkowy.

Z drugiej strony dziedzińca, Meredith Johnson, gestykulując gniewnie, rozmawiała ze swojego aparatu.

Sanders, samotny, obserwował z boku uczestników arbitrażu.

Nie miał żadnej wątpliwości, że Blackburn będzie dążył do ugody.

Krok po kroku Luiza Fernandez rozszarpywała wersję Meredith

Johnson na strzępki - wykazała, że poleciła kupić sekretarce wino,

prezerwatywy, zamknąć drzwi do gabinetu, w którym znajdowała

się razem z Sandersem, i odwołać późniejsze spotkanie. Najwyraźniej

Meredith Johnson nie była przełożoną, którą zaskoczył erotyczny

wybryk podwładnego. Planowała wszystko przez całe popołudnie.

Jej najbardziej obciążająca reakcja - gniewny okrzyk "Nie możesz

mnie tak zostawić" - został usłyszany przez sprzątaczkę. I skłamała

również na temat czasu swojej rozmowy z Blackburnem jak też

motywów, które ją do tego skłoniły.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Meredith kłamie. Pozo-

stawalo jedynie pytanie, jak zareaguje na to Blackburn i DigiCom.

Sanders uczestniczył w wystarczająco wielu szkoleniach kierownictwa na temat molestowania seksualnego, by doskonale orientować się, jakie są zobowiązania firmy. Właściwie nie mieli teraz specjalnego wyboru.

Będą musieli ją zwolnić.

299

Ale co począć z Sandersem? To było zupełnie inne pytanie. Miał nieodparte przeczucie, że wnosząc oskarżenie, spalił za sobą mosty w firmie i nigdy nie będzie w niej mile widziany. Sanders ustrzeżił ulubionego ptaszka Garvina i Garvin nigdy mu tego nie wybaczy.

A więc nie pozwolą mu wrócić. Będą musieli go spłacić.

- Już pasują, co?

Sanders odwrócił się i zobaczył nadchodzącego od strony parkingu agenta dochodzeniowego Alana. Do oceny sytuacji wystarczyło mu prawdopodobnie jedno spojrzenie.

- Tak sądzę - odparł Tom.

Alan zerknął w stronę prawników.

— Powinni się poddać. Pani Johnson ma problem i wiele osób w firmie o tym wie. Szczególnie jej sekretarka.

— Rozmawiał pan z nią ubiegłej nocy? - zapytał Sanders.

— Tak - Alan skinął głową. - Herb znalazł sprzątaczkę i nagrał ją na taśmie. A ja miałem późne spotkanie z Betsy Ross.

Jest samotna w nowym mieście. Pije trochę za dużo, puściła farbę

i nagrałem wszystko.

— Wie o tym?

— Nie musi - odparł Alan - żeby zaakceptować to jako materiał dowodowy. - Obserwował przez chwilę prawników. - Blackburn musi być teraz wpieniony jak cholera.

Przygarbiona Luiza Fernandez z ponurą miną szła przez dziedziniec.

- Niech to cholera! - powiedziała, podchodząc do nich.

— Co się stało? - zapytał Sanders.

Fernandez pokręciła głową.

— Nie chcą ugody.

-- Nie chcą ugody?

- Właśnie. Po prostu będą podważali każdy punkt. Jej sekretarka kupiła wino? Było dla Sandersa. Jej sekretarka kupiła prezerwatywy? Były dla sekretarki. Sekretarka twierdzi, że kupiła je dla Meredith? Jest pijaczką i nie można jej wierzyć. Informacja sprzątaczkii? Nie słyszała dokładnie, bo miała włączone radio.

I zawsze ten sam refren: "Zdajesz sobie sprawę, Luizo, że w sądzie tego nie utrzymasz". A Kuloodporną Betsy siedzi przy telefonie i dyryguje wszystkim. Mówi każdemu, co ma robić - Luiza zaklęła. - Jedno ci powiem. To jest właśnie draństwo, jakie potrafi

300

wykręcić męskie kierownictwo. Patrzą ci prosto w oczy i mówią:

"Coś takiego nigdy nie miało miejsca. Po prostu nie istniało. Nie masz żadnych podstaw". Rzygać mi się chce. Niech to diabli!

— Lepiej zjedz jakiś lunch - poradził Alan. A Sandersowi

wyjaśnić: - Czasami zapomina o jedzeniu.

— Tak. Dobrze. Oczywiście, zjedźmy coś. - Ruszyli w stronę parkingu. Luiza maszerowała szybko, kręcąc głową. - Nie rozumiem, jak mogą zajmować takie stanowisko - oznajmiła. - Przecież wiem, widziałam wyraźnie we wzroku sędziny Murphy, że nie przypuszcza, aby w ogóle doszło do popołudniowej sesji. Wysłuchała zeznań i uznała, że wszystko skończone. Ja również. Ale nic z tego. Blackburn i Heller nie mają zamiaru ustąpić nawet o cal. Nie chcą porozumienia. Właściwie, zachęcają nas do skierowania powództwa do sądu.

— A więc złożymy je - odparł Sanders, wzruszając ramionami.

— Jeżeli będziemy sprytni, nie będziemy musieli - rzekła adwokatka. - Nie teraz. Bo właśnie tego się obawiałam. Uzyskali za darmo mnóstwo informacji, a my nic. Jesteśmy w punkcie zero. A oni będą mieli trzy lata, aby popracować nad sekretarką i sprzątaczką, i całą resztą, którą im przedstawiliśmy. Wiesz, co ci powiem? Za trzy lata nie będziemy w stanie nawet znaleźć tej sekretarki.

— Ale mamy ją nagraną na taśmie...

— Mimo wszystko będzie musiała stanąć przed sądem. I możesz mi uwierzyć, nie zrobi tego. Posłuchaj, DigiCom znalazł się w bardzo groźnej sytuacji. Jeżeli udowodnimy, że nie zareagowali w odpowiedni i natychmiastowy sposób na sprawę Meredith Johnson, będą narażeni na wypłacenie olbrzymiego odszkodowania. W ubiegłym miesiącu była podobna sprawa w Kalifornii - dziewiętnaście

milionów czterysta tysięcy dolarów dla powoda. W obliczu takiej perspektywy możesz mi wierzyć, że sekretarka będzie nieosiągalna.

Będzie przebywać na wakacjach w Kostaryce do końca życia.

— Co więc zrobimy? - zapytał Sanders.

— Właściwie nie mamy już wyjścia. Przyjęliśmy określoną linię postępowania i musimy się jej trzymać. Koniecznie trzeba znaleźć metodę, aby zmusić ich do przyjęcia naszych warunków - wyjaśniła. _ Ale będzie nam do tego potrzebne coś więcej. Masz jakieś dodatkowe argumenty?

301 \

Sanders pokręcił głową.

— Nie. Nic.

— Do diabła! - warknęła adwokatka. - Co się tu dzieje?

Myślałam, że DigiCom obawia się, by ta cała sprawa nie była nagłośniona, póki nie zakończą sprawy fuzji. Sądziłam, że obawiają się złej prasy.

— Ja również - przytaknął Sanders.

Wąsaty, mocno zbudowany mężczyzna przeszedł koło nich z plikiem papierów w dłoni. Wyglądał jak gliniarz.

— Kto to taki? - zapytała Luiza Fernandez.

— Nigdy go nie widziałem.

— Telefonowali po kogoś. Próbowali kogoś odnaleźć. Dlatego pytam.

Sanders wzruszył ramionami.

— Co teraz zrobimy?

— Pójdziemy na lunch - odparł Alan.

— Słusznie. Chodźmy coś zjeść - zgodziła się Luiza. - I zapomnijmy na chwilę o całej sprawie.

W tej samej chwili Sandersowi przemknęła przez głowę myśl: Zapomnieć o telefonie. Pojawiła się znikąd i brzmiała jak rozkaz:

Zapomnieć o telefonie.

Idąca obok niego Luiza westchnęła:

— Wciąż możemy coś odkryć. Nie wszystko stracone. Czy masz jakieś punkty zaczepienia, Alan?

— Oczywiście - przytaknął agent. - Dopiero zaczęliśmy. Nie dotarliśmy jeszcze do męża pani Meredith ani do jej poprzedniego pracodawcy. Pozostało wiele kamieni, które możemy odwrócić i sprawdzić, co pod nimi pełza.

Zapomnieć o telefonie.

- Lepiej porozumiem się z moim biurem - powiedział Tom i wyjął telefon komórkowy, aby zadzwonić do Cindy.

Gdy podchodzili do samochodów na parkingu, zaczął padać drobny deszcz.

— Kto będzie prowadzić? - zapytała Luiza.

— Ja - odparł Alan.

Podeszli do jego samochodu, zwykłego forda. Alan otworzył drzwi i Luiza wsiadła do środka.

302

- Myślałam, że w czasie dzisiejszego lunchu urządzimy sobie

przyjęcie - zwierzyła się.

Jazda na przyjęcie...

Tom spojrział na Luizę, siedzącą na miejscu koło kierowcy, przez pokrytą kroplami deszczu przednią szybę. Trzymał telefon przy uchu i czekał na połączenie z Cindy. Z ulgą skostatował, że aparat działa prawidłowo. Nie miał do niego całkowitego zaufania od poniedziałkowego wieczoru. Ale obecnie funkcjonował zupełnie dobrze.

Małżeństwo jechało na przyjęcie i ona zadzwoniła z telefonu komórkowego. Z samochodu...

Zapomnieć o telefonie...

- Biuro pana Sandersa - odezwała się Cindy.

Połączyła się z automatem zgłoszeniowym. Nagrała wiadomość, a potem odłożyła słuchawkę...

— Halo? Tu biuro pana Sandersa. Halo?

— Cindy, to ja.

— O, cześć, Tom.

Ciągle z dystansem.

— Czy są jakieś sprawy do mnie? - zapytał.

- Zaraz sprawdzę. Telefonował Artur z KL, chciał wiedzieć, czy stacje dotarły. Dowiedziałam się o to w zespole Dona Cherry'ego. Dostali je i już pracują. Dzwonił również do ciebie Eddie z Austin. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. I ponownie telefonował John Levin. Wczoraj również cię szukał. Powiedział, że to ważne. Levin był kierownikiem u dostawcy twardych dysków. Jego

informacje na pewno mogły poczekać.

— Dobra. Dziękuję, Cindy.

— Czy będziesz dziś w biurze? Wiele osób pyta o ciebie.

— Nie wiem.

— Zaglądał John Conley z Conley-White. Chce się z tobą spotkać o czwartej.

— Nie wiem. Zobaczymy. Dam ci znać później.

- Dobrze.

Rozłączyła się.

Usłyszał sygnał w słuchawce.

A potem odłożyła słuchawkę.

Cała ta historia błąkała się na granicy świadomości. Dwoje

303

ludzi w samochodzie. Jadą na przyjęcie. Kto mu o tym opowiadał?

Co było dalej?

Gdy jechaliśmy na przyjęcie, Adele zadzwoniła z samochodu, a potem odłożyła słuchawkę.

Sanders strzelił palcami. Oczywiście! Adele! Parą w samochodzie byli Mark i Adele Lewynowie. I mieli dość kłopotliwą przygodę.

Zaczął sobie wszystko przypominać ze szczegółami.

Adele zadzwoniła do kogoś i połączyła się z automatem zgłoszeniowym. Zostawiła wiadomość i odłożyła słuchawkę. Później rozmawiała z Markiem w samochodzie na temat osoby, do której właśnie telefonowała. Żartowali na jej temat i wygłaszali niezbyt pochlebne komentarze przez jakieś piętnaście minut. A potem było im bardzo

nieprzyjemnie...

- Czy masz zamiar stać tak na deszczu? - zapytała Luiza.

Sanders nie odpowiedział. Odsunął od ucha słuchawkę telefonu komórkowego. Klawiatura i ekran płonęły jaskrawą zielenią.

Mnóstwo energii. Patrzył na telefon i czekał. Po pięciu sekundach wyłączył się automatycznie. Ekran zgasł. Nowa generacja telefonów miała automatyczny wyłącznik, dzięki któremu można było oszczędzać baterie. Jeżeli nie korzystało się z telefonu, bądź z klawiatury, po piętnastu sekundach, aparat sam się wyłączał. Dzięki temu baterie się nie wyczerpywały.

Ale telefon Sandersa rozładował się w gabinecie Meredith.

Dlaczego?

Zapomnieć o telefonie.

Dlaczego aparat nie wyłączył się automatycznie? Co mogło być tego przyczyną? Może awaria mechaniczna - zaciął się jeden z klawiszy, blokując telefon. Został uszkodzony, bo upadł na ziemię w chwili, gdy Meredith zaczęła całować Sandersa. Bateria była wyczerpana, bo zapomniał naładować ją poprzedniego wieczoru.

"Nie - pomyślał. - Aparat był dobry. Nie było mechanicznego uszkodzenia. I baterie też były sprawne".

Nie.

Telefon działał prawidłowo.

Żartowali i wygłaszali niezbyt pochlebne komentarze przez jakieś piętnaście minut.

Myśli zaczęły się kłębić, podsuwając oderwane fragmenty

rozmowy. - Słuchaj, dlaczego nie zadzwoniłeś wczoraj wieczorem?

304

- Dzwoniłem, Mark.

Sanders był pewien, że z gabinetu Meredith telefonował do

Marka Lewyna. Moknąc na deszczu, znowu wybrał na klawiaturze

L-E-W. Telefon włączył się ponownie. Na ekranie pojawił się zapis

LEWYN i numer domowego telefonu Marka. - Kiedy wróciłem do

domu, nie było żadnej informacji.

— Rozmawiałem z twoim aparatem zgłoszeniowym, około szóstej piętnaście.

— Nie dostałem żadnej wiadomości.

Sanders był pewien, że zadzwonił do Lewyna i nagrał wiadomość

na jego automatyczną sekretarkę. Pamiętał, jak męski głos wygłaszał

standardową formułę: "Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić

wiadomość".

Sanders stał z telefonem w dłoni, patrzył na numer Lewyna

i wreszcie przycisnął klawisz SEND. Chwilę później włączył się

automat. Kobięcy głos oznajmił: "Hej, połączyłeś się z mieszkaniem

Marka i Adele. Nie możemy chwilowo odebrać telefonu, ale jeżeli

zostawisz wiadomość, zadzwonimy do ciebie". Sygnał.

To była zupełnie inna formułka.

A więc nie zadzwonił jednak tego wieczoru do Marka Lewyna.

A więc nie wybrał wtedy L-E-W. Podenerwowany, musiał

przycisnąć inne klawisze. Połączył się z automatyczną sekretarką.

I jego telefon przestał działać.

Ponieważ...

Zapomnieć o telefonie.

— Jezu Chryste! - powiedział Sanders. Nagle cała łamigłówka ułożyła się. Wiedział już, co się stało. I oznaczało to, że jest szansa, by...

— Tom, dobrze się czujesz? - zapytała Luiza.

— Doskonale - odparł. - Jeszcze minutkę. Mam wrażenie, że trafiłem na coś ważnego.

Nie wybrał L-E-W.

Wybrał coś innego. Coś bardzo podobnego, pewnie ze zmienioną jedną literą. Drżącymi palcami nacisnął L-E-L. Ekran pozostał ciemny - pod tą kombinacją liter nie było zapisanego żadnego numeru. L-E-M. Nie ma numeru. L-E-S. Nie ma numeru. L-E-Y.

Bingo.

Na małym ekranie pojawił się zapis:

305

LEVIN.

I numer telefonu Johna Levina.

Tego wieczoru Sanders połączył się z automatyczną sekretarką Johna Levina.

Dzwonił John Levin. Mówił, że to ważne.

"No pewnie" - pomyślał Sanders.

Z nieoczekiwaną jasnością przypomniał sobie kolejność wydarzeń w gabinecie Meredith. Rozmawiał przez telefon, a ona powiedziała: "Zapomnij o telefonie", odciągnęła jego dłoń w dół

i zaczęła go całować. Położył telefon na parapecie.

Potem, gdy wychodził z jej gabinetu zapinając koszulę, zabrał telefon z parapetu. Ale wtedy aparat już nie działał. To mogło oznaczać jedno, był włączony przez niemal całą godzinę. Przez cały incydent z Meredith.

W samochodzie, gdy Adele zakończyła rozmowę, odłożyła słuchawkę na widełki. Ale nie wcisnęła klawisza END, w związku z czym aparat pozostał włączony i cała rozmowa została nagrana na automatycznej sekretarce jej znajomej. Piętnaście minut żartów i osobistych uwag - wszystko to zostało zarejestrowane.

Baterie telefonu Sandersa wyczerpały się, ponieważ aparat pozostał włączony. Cała rozmowa została nagrana.

Stojąc na parkingu, Sanders szybko wybrał numer Levina.

Luiza Fernandez wysiadła z samochodu i podeszła do niego.

— Co się dzieje? - zapytała. - Jedziemy na ten lunch czy nie?

— Jeszcze chwileczkę.

Wreszcie się połączył. Prztyknięcie podnoszonej słuchawki

i męski głos:

— John Levin.

— John, tu Tom Sanders.

— Hej, witaj, Tom! - Levin wybuchnął śmiechem. - Co za facet! Ależ mamy bogate życie seksualne, co? Mówię ci, Tom, uszy mnie palą żywym ogniem.

- Czy wszystko zostało nagrane? - zapytał Sanders.

— Jezu Chryste, Tom, jasne że tak. Przyszedłem we wtorek,

żeby przesłuchać nagrane informacje i mówię ci, to leciało przez pół godziny...

— John...

— Jeżeli ktoś twierdzi, że życie małżeńskie jest nudne...

306

- John. Posłuchaj. Czy zatrzymałeś taśmę?

Zapadła chwila ciszy. Levin przestał się śmiać.

- Tom, coś ty, uważasz, że jestem zboczeńcem? Oczywiście, że ją zatrzymałem i odtworzyłem przed całym biurem. Strasznie im się spodobało!

- John. Pytam poważnie.

Levin westchnął.

— Tak. Zatrzymałem. Wyglądało na to, że możesz mieć drobne kłopoty i... No, nie wiem. W każdym razie, zatrzymałem ją.

— Dobrze. Gdzie ją masz?

— Leży przede mną na biurku - odparł Levin.

— John, potrzebuję jej. A teraz posłuchaj. Chcę, żebyś zrobił tak...

Jechali samochodem. Luiza Fernandez powiedziała:

- Czekam.

— Jest taśma z całego spotkania z Meredith - oznajmił

Sanders. - Wszystko zostało nagrane.

— W jaki sposób?

— Przez przypadek. Mówiłem do automatycznej sekretarki -

wyjaśnił - kiedy Meredith zaczęła mnie całować. Odłożyłem telefon, ale nie wyłączyłem go. I aparat był ciągle połączony z automatyczną sekretarką, która nagrała wszystko.

— Niech to diabli! - zawołał Alan, uderzając dłonią o kierownicę.

— To taśma audio? - zapytała Fernandez.

— Tak.

— Dobrej jakości?

- Nie wiem. Zobaczymy. John przyniesie ją na lunch.

Luiza zatarła ręce.

- Czuję się już o wiele lepiej.

- Tak?

- Tak - powiedziała. - Bo jeżeli jest choć trochę dobra, to teraz naprawdę utoczmy im krwi.

Korpulentny i jowialny John Levin odsunął talerz i wypił do końca piwo.

- Takie coś nazywam właśnie jedzonkiem. Wspaniały halibut.

Levin ważył prawie trzysta funtów i jego brzuch wbijał się w krawędź stołu.

Siedzieli w tylnej sali u McCormicka i Shmicka na First Avenue w zacisznej loży. W restauracji, wypełnionej licznie przybyłymi na lunch gośćmi z okolicznych biur, było gwarno. Luiza przyciskała do uszu słuchawki i przesłuchiwała taśmę na walkmanie. Słuchała uważnie od ponad pół godziny, robiąc zapiski w żółtym, prawniczym notesie. Przed nią stały nietknięte potrawy. Wreszcie

wstała.

— Muszę zadzwonić.

Levin popatrzył na jej talerz.

— Hmm... Czy ma pani na to ochotę?

Luiza pokręciła głową i odeszła.

Levin uśmiechnął się.

— Nic nie powinno się marnować - mruknął. Przysunął sobie talerz i zaczął jeść. - A więc, Tom, siedzisz już w szambie, czy nie?

— Po uszy - odparł Sanders, mieszając cappuccino. Nie był w stanie nic przełknąć. Obserwował, jak Levin pożera wielkie porcje puree z ziemniaków.

— Tak sobie myślałem - stwierdził Levin. - Jack Kerry

309

z Aldusa zadzwonił do mnie dziś rano i powiedział, że skarżysz firmę, ponieważ nie chciałeś przelecieć jakiejś kobiety.

— Kerry jest dupkiem.

— I to najgorszym - Levin skinął głową. - Absolutnie najgorszym. Ale co możesz zrobić? Po dzisiejszym artykule Connie Walsh wszyscy usiłują ustalić, kim jest Pan Piggy. - Levin połknął następny potężny kęs. - Ale skąd ona zdobyła te informacje?

— Może ty jej powiedziałaś John - zażartował Sanders.

— Chyba żartujesz? - oburzył się Levin.

- Miałaś taśmę.

Levin zasepił się.

— Jeżeli będziesz dalej tak bredził, to mnie wkurzysz. - Pokręcił głową. - Nie, moim zdaniem powiedziała jej o tym jakaś kobieta.

— A która mogła o tym wiedzieć? Tylko Meredith, a chyba jednak to nie ona.

— Zobaczysz, okaże się, że to była kobieta. Założę się o wszystko - oznajmił Levin. - Jeżeli kiedykolwiek się okaże... W co wątpię. - Przeżuwał z namysłem. - Miecznik jest trochę gumiasty. Sądzę, że należy poinformować o tym kelnera. - Rozejrzał się po sali. - Hej, Tom.

— Słucham.

— Tam stoi facet, który przestępuje z nogi na nogę. Zdaje mi się, że chyba go znasz.

Sanders spojrział przez ramię. Bob Garvin stał przy barze i spoglądał na niego z wyczekiwaniem. Kilka kroków za nim tkwił Phil Blackburn.

- Przepraszam - powiedział Sanders i wstał zza stołu.

Garvin uścisnął Sandersowi rękę.

- Tom. Dobrze cię widzieć. Jak wytrzymujesz to wszystko?

— Nie najgorzej - odparł Sanders.

— Znakomicie - Garvin ojcowskim gestem położył dłoń na ramieniu Sandersa. - Cieszę się, że znowu cię widzę.

— I nawzajem, Bob.

— Tam w kącie jest zacisznie - wskazał Garvin. - Poprosiłem już o dwie filiżanki cappuccino. Porozmawiajmy chwilkę. Dobrze?

— Owszem - zgodził się Sanders. Świetnie znał rozgniewanego,

klnącego jak szewc Garvina. Ostrożny, uprzejmy Bob napawał go niepokojem.

Usiedli w kącie baru. Garvin usadowił się na krześle i popatrzył na Sandersa.

— No cóż, Tom. Wiele przeszliśmy razem.

— Tak jest.

— Te cholerne podróże do Seulu, jedzenie tego paskudnego zarcia, i dupa boląca jak wszyscy diabli. Pewnie wszystko pamiętasz.

— Jasne.

— Tak, takie były czasy - kontynuował Garvin. Obserwował uważnie swojego rozmówcę. - W każdym razie, Tom, znamy się dobrze, a więc nie mam zamiaru wciskać ci kitu. Pozwól, że wyłożę karty na stół. Mamy problemy i trzeba je rozwiązać, zanim zrobi się z tego prawdziwy cyrk dla nas wszystkich. Chcę się odwołać do twojego zdrowego rozsądku i ustalić, jak mamy dalej postępować.

311

—
Mojego zdrowego rozsądku? - zapytał Sanders.

— Tak - stwierdził Garvin. - Chciałbym, żebyś popatrzył na tę sprawę pod różnymi kątami.

— A ile ich mamy?

— Przynajmniej dwa - odparł Garvin z uśmiechem. - Po-
słuchaj, Tom. Jestem pewien, że to nie tajemnica - Meredith ma
moje poparcie w firmie. Zawsze wierzyłem, że posiada talent
i pewnego rodzaju wyobraźnię niezbędną dla człowieka na kierow-

niczym stanowisku. Nigdy nie widziałem, aby robiła coś, co przeczyłoby temu wizerunkowi. Wiem, że jest tylko człowiekiem, ale dysponuje dużym talentem, więc popieram ją.

— Hmm...

— Być może, w tym przypadku... prawdopodobnie popełniła błąd. Nie wiem.

Tom nic nie odpowiedział. Czekał, wpatrując się w twarz mówiącego. Jego szef robił wszystko, aby sprawiać wrażenie otwartego, szczerego człowieka. Sanders nie dał się na to nabrać.

— No dobrze, powiedzmy, że zachowała się nieodpowiednio - zgodził się Garvin. - Załóżmy, że popełniła błąd.

— Popełniła go, Bob - rzekł stanowczo Sanders.

— No, dobrze. Przyjmijmy, że tak. Dokonała błędnej oceny sytuacji. Przekroczyła pewne granice. Rzecz w tym, Tom, że w dalszym ciągu ma moją akceptację i absolutne poparcie.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest kobietą.

— Jaki ma to związek ze sprawą?

— No cóż, kobiety w biznesie były tradycyjnie odsuwane od kierowniczych stanowisk, Tom.

— Meredith nie została odsunięta - przypomniał Sanders.

— A poza wszystkim innym - dodał Garvin - jest młoda.

— Nie taka znowu młoda.

— Ależ tak. Jest właściwie dzieciakiem prosto po college'u.

Uzyskała MBA zaledwie parę lat temu.

— Bbb. Meredith Johnson ma trzydzieści pięć lat. Już wcale nie jest dzieciakiem.

Garvin jakby go nie słuchał. Spojrzał na Sandersa ze współczuciem.

- Tom, doskonale rozumiem, że jesteś rozczarowany, ponieważ

312

nie dostałeś awansu. I zdaję sobie sprawę, że masz pretensję do Meredith, bo potraktowała cię w taki sposób.

— Ona mnie nie potraktowała, Bob. Ona mnie zaatakowała.

Garvin zirytował się na chwilę.

— Przecież sam też nie jesteś dzieckiem.

— Masz rację - przyznał Sanders. - Ale jestem jej podwładnym.

— I wiem, że ma o tobie jak najlepszą opinię - rzekł Garvin, poprawiając się na krześle. - Podobnie jak wszyscy w firmie, Tom. Jesteś nam bardzo potrzebny. Wiesz o tym, podobnie jak ja. Chcę utrzymać nasz zespół, ale wciąż upieram się przy koncepcji, że powinniśmy stwarzać kobietom szansę awansu. Musimy traktować je z nieco większą wyrozumiałością.

— Przecież nie mówimy tu o kobietach - stwierdził Sanders. -

Ale o jednej, konkretnej kobiecie.

— Tom...

— I gdyby mężczyzna zrobił to, co ona, nie przekonywałbyś mnie o potrzebie wyrozumiałości. Wywaliłbyś go na zbity pysk.

— Być może.

— A więc na tym polega problem - stwierdził Sanders.

— Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem - zaczął

Garvin. W tonie jego głosu zabrzmiało ostrzeżenie. Nie lubił, gdy się z nim nie zgadzano. Przez lata, w czasie których firma obrastała bogactwem i sukcesami, Garvin przywykł do odpowiedniego traktowania. I teraz, zbliżając się do emerytury, oczekiwał posłuszeństwa i potakiwania. - Mamy obowiązek traktować wszystkich jednakowo - oznajmił.

— Doskonale. Ale równość oznacza, że nikt nie ma szczególnych praw - odpowiedział Sanders. - I wszystkich traktuje się tak samo. Żądasz, aby traktowano Meredith na nierównych prawach, ponieważ nie chcesz zrobić tego, co byś zrobił, gdyby była mężczyzną - czyli zwolnić ją.

— Gdyby sprawa była jasna, Tom, uczyniłbym tak - westchnął Garvin. - Ale, o ile wiem, ta konkretna sytuacja nie jest jednoznaczna.

Sanders przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć Garvinowi o taśmie. Coś jednak go powstrzymało.

- Jestem innego zdania - stwierdził.

313

—

W takich sprawach zawsze istnieją różnice zdań - powiedział

Garvin, pochylając się nad barem. - To fakt, prawda? Posłuchaj.

Czy wszystko, co zrobiła, było takie okropne? Podrywała cię? No

i dobrze. Powinieneś uznać, że ci to pochlebia. W końcu jest piękną

kobietą. Mogły się zdarzyć gorsze rzeczy. Piękna kobieta kładzie ci rękę na kolanie. Może mogłeś po prostu powiedzieć: "Nie, dziękuję".

Taką sprawę daje się rozwiązać na wiele różnych sposobów. Jesteś dorosłym człowiekiem. Ale ta... ta mściwość, Tom. Muszę ci wyznać, że zaskoczyło mnie twoje postępowanie.

— Bob, ona złamała prawo - rzekł Sanders.

— Jeszcze tego nie stwierdzono, prawda? - zauważył Garvin. - Możesz przedstawić sądowi swoje akta personalne do zbadania, jeżeli tego chcesz. Osobiście nie robiłbym tego. I nie sądzę, aby wyciąganie tej sprawy na zewnątrz mogło komukolwiek pomóc. Wszyscy na tym przegrają.

— Co chcesz dać mi do zrozumienia?

— Nie masz chyba zamiaru kierować tej sprawy do sądu, Tom.

Oczy Garvina były przymrużone, groźne.

— Dlaczego nie?

— Po prostu nie powinieneś - Garvin wziął głęboki oddech. -

Posłuchaj. Zachowajmy spokój. Rozmawiałem z Meredith. Jest tego samego zdania, co ja. Uważa, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

— Hmm...

— A teraz rozmawiam również z tobą. Ponieważ mam nadzieję, Tom, że możemy o wszystkim zapomnieć i wrócić do punktu wyjścia. Wysłuchaj mnie, proszę. Musimy wrócić do poprzedniego układu, zanim zaistniało to całe nieporozumienie. Zostaniesz na swoim stanowisku, a Meredith na swoim. Będziecie dalej pracować

wspólnie jak cywilizowani, dorośli ludzie. Rozwiniesz firmę, doprowadzisz do wystawienia jej do publicznej oferty i wszyscy za rok zarobią kupę forsy. Co w tym złego?

Sanders poczuł coś w rodzaju ulgi, wrażenie powrotu do normalności. Pragnął uciec przed prawnikami i napięciem, w jakim żył przez ostatnie trzy dni. Powrót do poprzedniego stanu wydawał mu się równie pociągający jak ciepła kąpiel.

- Popatrz na wszystko trochę inaczej, Tom. Zaraz po tym poniedziałkowym incydencie nikt nie robił z tego afery. Ty nie

314

zadzwoiłeś do nikogo i Meredith również. Sądzę, że oboje chcieliście, aby cała sprawa rozeszła się po kościach. A potem następnego dnia miało miejsce to nieszczęsne nieporozumienie i kłótnia, która nie musiała się zdarzyć. Gdybyś przyszedł na zebranie o właściwej porze, uzgodnilibyście z Meredith wasze stanowisko i nic by się nie stało. W dalszym ciągu pracowalibyście razem i cały incydent pozostałby waszą prywatną sprawą. A zamiast tego mamy całą tę aferę. Wszystko jest w gruncie rzeczy wielką pomyłką. A więc dlaczego nie zapomnieć o tej historii i ruszyć do przodu? I być bogatym, Tom. Co w tym złego?

— Nic - odparł w końcu Sanders.

— Doskonale.

— Z tą tylko różnicą, że nic z tego nie będzie.

— Dlaczego?

Przez myśli Sandersa przeleciało szereg odpowiedzi. Ponieważ

jest niekompetentna. Ponieważ jest zmiłą. Ponieważ jest politykiem i zwraca tylko uwagę na wywarciu korzystnego wrażenia, a tymczasem kieruje działaniami technicznymi, przygotowującymi określony produkt. Ponieważ robi to ponownie. Ponieważ nie ma dla mnie szacunku. Ponieważ ty sam nie traktujesz mnie sprawiedliwie. Ponieważ jest twoją pupilką. Ponieważ wybrałeś ją, zamiast mnie. Ponieważ....

— Sprawy zaszły już za daleko - stwierdził.

Garvin popatrzył na niego uważnie.

— Wszystko można odkręcić.

— Nie, Bob. Nie można.

Garvin pochylił się i zaczął mówić cichym głosem:

- Posłuchaj, ty mały fiucie. Doskonale wiem, co się tu dzieje.

Wzięłem cię, kiedy nie potrafiłeś odróżnić bulkogi od kociego gówna. Dałem ci szansę i pomagałem przez cały czas. A teraz chcesz grać ostro? Dobrze. Chcesz zobaczyć, jak gówno zacznie latać naokoło? No to poczekaj, do kurwy nędzy, Tom.

Wstał.

— Bob, wcale nie miałeś zamiaru kierować się zdrowym rozsądkiem w sprawie Meredith Johnson - stwierdził Sanders.

— Och, a więc myślisz, że mam kłopoty z Meredith? - Garvin roześmiał się ostro. - Posłuchaj, Tom. Była twoją przyjaciółką, ale to bystra i samodzielna dziewczyna, i nie mogłeś jej sobie pod-

latach, chcesz się jej odpłacić. O to tu chodzi. I nie ma nic wspólnego ani z etyką zawodową, ani łamaniem prawa czy molestowaniem seksualnym. Ani też z niczym innym w tym stylu. To małosłowna, osobista zemsta. I jesteś tak pełen gówna, że masz nawet brązowe oczy.

Wyszedł z restauracji, ze złością przeciskając się koło Blackburna. Phil stał jeszcze przez chwilę, spoglądając na Sandersa, a potem pospieszył za szefem.

Wracając do swojego stolika, Sanders minął kilku facetów z Microsoftu, w tym dwóch głównych dupków z programowania systemowego. Któryś z nich zachrzakał jak świnia.

— Hej, Panie Piggy! - zawołał ktoś cicho.

— Chrum! Chrum!

— Nie może ci stanąć, co?

Sanders zrobił kilka kroków, a potem odwrócił się.

- Hej, panowie - powiedział. - Przynajmniej nie pochylam się i nie chwytam za kostki na wieczornych spotkaniach, nadstawiając tyłka... - wymienił nazwisko szefa programowania w Microsoft.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

— Juhu!

— Pan Piggi się odezwał?

— Oink, oink.

— A w ogóle co robicie w mieście, chłopcy? Czyżby w Redmond zabrakło wazeliny?

— Oho!

— Piggy jestt wściekły!

Zwijali się, rycząc ze śmiechu jak sztubacy. Na ich stole stał duży dzban z piwem.

- Gdyby Meredith Johnson ściągnęła dla mnie majtki, na pewno nie wzywałbym z tego powodu policji - oznajmił jeden z nich.

317

—

Nie ma mowy, Jose!

— Obsługa z uśmiechem!

— Konie w dłoń!

— Panie mają pierwszeństwo!

Łomotali pięściami w stół, zanosząc się ze śmiechu.

Sanders poszedł dalej.

Garvin spacerował z wściekłością tam i z powrotem po chodniku przed restauracją. Blackburn stał z telefonem przy uchu.

— Gdzie jest ten pieprzony samochód? - warknął Garvin.

— Nie wiem, Bob.

— Powiedziałem mu, żeby czekał.

— Wiem, Bob. Próbuję się z nim połączyć.

— Chryste przenajświętszy! Nie mogą nawet porządnie załatwić pieprzonego samochodu.

— Może poszedł do toalety.

— No to co. Ile czasu można tam siedzieć? Cholerny Sanders.

Uwierzyłbyś mu?

— Nie, nie uwierzyłbym.

— Po prostu nie rozumiem. Nie wchodzi w ten układ. A ja mu się podkładałem. Proponowałem mu powrót na jego stanowisko, akcje, wszystko. A co on zrobił? Jezu.

— On nie potrafi grać w zespole.

— Masz zupełną rację. I nie chce iść nam na rękę. Trzeba zmusić go do ustępstw.

— Tak, masz rację, Bob.

— Nie wyczuwa sytuacji - stwierdził Garvin. - W tym cały problem.

— Ta historia, którą wydrukowali rano. Nie mogła go uszczęśliwić.

319

- No cóż, nie dał tego po sobie poznać.

Garvin znowu zaczął chodzić tam i z powrotem.

— Jest samochód - oznajmił Blackburn, wskazując w górę ulicy. Nadjeżdżała czarna limuzyna Lincoln.

— Nareszcie - westchnął Garvin. - Posłuchaj, Phil. Mam już dosyć marnowania czasu na Sandersa. Próbowaliśmy po dobroci i nie wyszło. A więc co zrobimy, żeby się opamiętał?

— Zastanawiałem się nad tym - oznajmił Phil. - Co robi Sanders? Chodzi mi o to, co naprawdę robi? Oczernia Meredith, prawda?

— Oczywiście.

— Nie waha się przed tym.

— Właśnie.

— I to, co o niej mówi, jest nieprawdą. Ale kalumnia wcale nie musi być prawdziwa. Po prostu wystarczy, żeby zawierała coś, w co ludzie chętnie uwierzą.

— A więc?

— A więc może Sanders powinien osobiście poczuć, jak to smakuje?

— Jak to smakuje? O czym mówisz?

Blackburn patrzył w zamyśleniu na zbliżający się samochód.

— Mam wrażenie, że Tom jest gwałtownym człowiekiem.

— Bzdura - zaprotestował Garvin. - Znam go od lat. Jest łagodny jak kociaczek.

— O, nie - odparł Blackburn, pocierając czubek nosa. - Zupełnie się nie zgadzam. Sądzę, że jest gwałtowny. W college'u grał w futbol. To facet, który potrafi być twardy i brutalny. Futbol to gra zespołowa i w jej trakcie walczy się z innymi ludźmi. Tom ma skłonność do przemocy, podobnie zresztą jak większość mężczyzn.

— O czym ty pieprzysz.

— I musisz przyznać, że zachował się gwałtownie w stosunku do Meredith - ciągnął Blackburn. - Krzyczał. Wrzeszczał.

Popychał ją. Przewrócił. Seks i przemoc. Człowiek, który się nie kontroluje. Jest o wiele większy od niej. Wystarczy, jeżeli staną obok siebie i każdy zauważy różnicę. Jest o wiele wyższy. O wiele

silniejszy. Wystarczy na niego spojrzeć, aby zrozumieć, że jest gwałtownym, skłonny do przemocy mężczyzną. Ten sympatyczny sposób bycia jest tylko kamuflażem. Sanders należy do tych

320

mężczyzn, którzy rozładowują swoją agresję, bijąc bezbronne kobiety.

Garvin milczał chwilę i wreszcie zerknął na Blackburna.

— Nigdy w życiu tego nie udowodnisz.

— Myślę, że tak.

— Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie kupi.

— Sądzę, że ktoś jednak kupi - stwierdził prawnik.

— Tak? Kto?

— Ktoś.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku i Garvin otworzył drzwi.

- No, cóż - stwierdził. - Wiem tylko, że musimy skłonić go do negocjacji. Musimy wywrzeć na niego presję, aby podjął rozmowy.

- Mam wrażenie, że da się to załatwić - stwierdził Blackburn.

Garvin skinął głową.

- W takim razie zostawiam ci tę sprawę, Phil. Tylko upewnij się, że to możliwe do przeprowadzenia. - Wsiadł do samochodu, a Blackburn za nim.

- Gdzie się, do cholery, podziewałeś? - zapytał Garvin szofera.

Drzwi zatrzasnęły się i samochód ruszył.

Sanders jechał z Luizą samochodem Alana z powrotem do Sądu Arbitrażowego. Adwokatka, kręcąc głową, wysłuchiwała sprawozdania Sandersa z rozmowy z Garvinem.

— Nie powinieneś spotkać się z nim sam na sam. Nie zachowywałby się w taki sposób, gdybym tam była. Czy rzeczywiście powiedział, że powinieneś ustępować kobietom?

— Tak.

— Bardzo szlachetne z jego strony. Znalazł rzeczywiście godny powód, dla którego powinniśmy chronić osobę wykorzystującą stanowisko. Bardzo zgrabne posunięcie. Wszyscy powinni siedzieć cicho i pozwalać jej łamać prawo tylko dlatego, że jest kobietą. Bardzo ładnie.

Tom poczuł się lepiej, słysząc jej słowa. Rozmowa z Garvinem wstrząsnęła nim. Wiedział, że Luiza stara się mu pomóc, podnosi na duchu i czuł, że jej zabiegi są skuteczne.

- Cała rozmowa była śmieszna - stwierdziła Luiza. - A potem próbował cię zastraszyć?

Sanders skinął głową.

— Zapomnij o tym. To tylko puste gadanie.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie - odparła. - Tylko gadanie. Ale przynajmniej już wiesz, dlaczego mężczyźni nie wygrywają takich spraw. Garvin przedstawił ci taki sam tekst, jaki każdy facet z firmy wygłasza od lat: "Spójrz na cały incydent z jej punktu widzenia. To co zrobiła,

było złe. Zapomnijmy o przeszłości i niech wszyscy wracają do pracy. Znowu będziemy jedną wielką, szczęśliwą rodziną".

— Nie do wiary - zauważył prowadzący samochód Alan.

— Ale tak jest i było - oznajmiła adwokatka. - Nie można jednak ciągle wciskać tego kitu. A przy okazji, ile lat ma Garvin?

— Prawie sześćdziesiąt.

— To chyba wszystko wyjaśnia. Lecz Blackburn powinien go uprzedzić, że taka propozycja jest całkowicie nie do przyjęcia.

Z punktu widzenia prawa, Garvin właściwie nie ma żadnego wyboru. Musi przynajmniej przenieść Meredith, a nie ciebie.

A właściwie, powinien ją wylać.

— Nie przypuszczam, by tak zrobił - powiedział z powątpiewaniem Sanders.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Jest jego pupilką.

— A co więcej, pełni funkcję wiceprezesa - dodała Luiza

Fernandez, patrząc przez szybę. - Molestowanie seksualne wiąże się z władzą i podobnie niechęć firmy, aby rozwiązać tę sprawę.

Władza chroni władzę. I gdy kobieta dostaje się do struktur władzy,

jest przez nie chroniona, podobnie jak mężczyzna. Analogicznie

lekarze nie chcą zeznawać przeciwko innym lekarzom. I nieważne,

czy lekarz jest mężczyzną, czy kobietą. Po prostu nie chcą i kropka.

A kierownictwo przedsiębiorstwa nie chce badać zarzutów przeciwko

innym członkom kierownictwa, mężczyznom czy kobietom.

— Dlatego więc kobiety nie otrzymywały takich stanowisk?

— Tak. Ale teraz sytuacja zaczyna się zmieniać. A kobiety

mogą być równie niesprawiedliwe jak mężczyźni.

— Szowinistyczne kobiece świnię - oznajmił Alan.

— Nie zaczynaj - upomniała go Luiza.

— Podaj mu dane - zaproponował Alan.

— Jakie dane? - zapytał Sanders.

— Mężczyźni składają przeciwko kobietom około pięciu procent pozwów o molestowanie seksualne. Stosunkowo niewielka liczba.

Ale z drugiej strony zaledwie pięć procent osób na kierowniczych stanowiskach to kobiety. A więc dane wskazują, że przełożone molestują mężczyzn w takiej samej proporcji, co mężczyźni kobiety.

I w miarę jak coraz więcej pań obejmuje wysokie stanowiska, procent pozwów składanych przez mężczyzn wzrasta. Ponieważ,

323

jak już mówiłam, molestowanie jest przejawem władzy. A władza nie jest ani męska, ani żeńska. Każdy, kto zasiądzie za biurkiem, ma szansę nadużywać władzy. Kobiety korzystają z tej możliwości równie często jak mężczyźni. Przykładem może tu być nasza rozkoszna pani Johnson. A Garvin nie ma zamiaru jej zwolnić.

— Bob twierdzi, że postępuje tak, ponieważ sytuacja nie jest jasna.

— Powiedziałabym, że taśma jest wyjątkowo jasna - oznajmiła Luiza i nagle zmarszczyła brwi. - Powiedziałeś mi o taśmie?

— Nie.

— Doskonale. A więc sądzę, że będziemy mogli zamknąć całą

sprawę w ciągu najbliższych dwóch godzin.

Alan wjechał na parking i zatrzymał samochód. Wszyscy wysiedli.

— W porządku - odezwała się Luiza. - Zobaczmy, Alan, jakie mamy jeszcze inne dane dotyczące Meredith. Wciąż pozostał nam jej poprzedni pracodawca...

— Conrad Computers. Słusznie. Zajmujemy się tym.

— A także ten wcześniejszy.

— Symantec.

— Tak. I mamy również jej męża...

— Dostałem jego telefon w CoStar.

— A sprawa Internetu? "Przyjaciel"?

— Pracujemy nad tym.

— Pozostała jeszcze szkoła biznesu i Vassar.

— Tak jest.

— Te informacje są obecnie najważniejsze. Skoncentruj się na Conradzie i mężu.

— Dobra. Conrad może być problemem, ponieważ dostarczają systemy dla rządu i CIA. Wygłosili mi piękną mowę na temat zasad neutralnych opinii i tajności danych dotyczących byłych pracowników.

— Wtakim razie poproś Harry'ego, żeby zadzwonił. Jest bardzo dobry w sprawach związanych z niedbałym opiniowaniem. Potrafi nimi wstrząsnąć, jeżeli spróbują dalej robić trudności.

— Dobrze. Być może będzie musiał to zrobić.

Alan wsiadł z powrotem do samochodu, a Luiza i Sanders

ruszyli w stronę Sądu Arbitrażowego.

324

— Sprawdzasz firmy, w których dawniej pracowała? - zapytał

Sanders.

— Tak. Firmy nie lubią przekazywać informacji obciążających ich dawnych pracowników. Od lat nie chciały podawać żadnych szczegółów poza datą zatrudnienia. Ale obecnie istnieje coś, co nazywa się "obowiązkiem przekazywaniem danych" i coś, co nazywa się "niedbałym opiniowaniem". Firma może zostać uznana za winną, jeżeli zatai jakieś problemy związane z byłym pracownikiem. Możemy więc spróbować ich przestraszyć. Ale ostatecznie nie muszą udzielić nam obciążających informacji.

— A skąd wiesz, że takimi dysponują?

— Nie rób takiej zawiedzionej miny - odparła Luiza. - A coś ty myślał? Że zachowała się tak, bo doszła do wniosku, że jesteś fajny? Gwarantuję ci, że robiła to już wcześniej. - Przeszli obok fontanny na dziedzińcu i skierowali w stronę wejścia do centralnego budynku.

— A teraz - rzekła - rozszarpmy panią Johnson na strzępy.

Dokładnie o pierwszej trzydzieści sędzina Murphy weszła do sali. Popatrzyła na siedem osób siedzących w milczeniu wokół stołu i zmarszczyła brwi.

— Czy pełnomocnicy obu stron spotkali się?

— Tak - stwierdził Heller.

— Z jakimi rezultatami?

— Nie zdołaliśmy uzgodnić stanowisk - odparł Heller.

— Dobrze. W takim razie zaczynamy. - Usiadła i otworzyła notatnik. - Czy są do przedyskutowania jakieś sprawy związane z poranną sesją?

— Tak, Wysoki Sądzie - oznajmiła Luiza Fernandez. - Mam kilka dodatkowych pytań do pani Johnson.

- Bardzo proszę. Pani Johnson?

Meredith Johnson włożyła okulary.

— Prawdę mówiąc, Wysoki Sądzie, chciałabym najpierw złożyć oświadczenie.

— Dobrze.

— Zastanawiałam się nad przebiegiem porannej sesji - Meredith zaczęła mówić wolno, z namysłem. - A także nad przedstawionym przez pana Sandersa opisem wydarzeń z poniedziałkowego wieczoru. I doszłam do wniosku, że mogło tu zaistnieć autentyczne nieporozumienie.

— Rozumiem - całkowicie beznamiętnym tonem rzekła sędzina Murphy i popatrzyła uważnie na Meredith. - Słuchamy.

326

- Gdy Tom zaproponował spotkanie, wino i wspomnienia o dawnych czasach, obawiam się, że podświadomie zareagowałam na tę propozycję nieco inaczej, niż leżało to w jego intencjach.

Sędzina Murphy nie poruszyła się. Zresztą nikt nawet nie

drgnął. W sali panowała całkowita cisza.

- Sądzę, że można by powiedzieć, iż potraktowałam propozycję dosłownie i zaczęłam wyobrażać sobie, hmm... romantyczną przygodę. Szczerze mówiąc, nie miałam nic przeciwko takiej możliwości.

Pan Sanders i ja kilka lat temu byliśmy bardzo ze sobą związani.

A więc uważam, że uczciwiej jest przyznać się, że oczekiwałam tego spotkania i być może zakładałam, że doprowadzi do zbliżenia. I że podświadomie pragnęłam, aby tak się stało.

Heller i Blackburn siedzieli obok Meredith z całkowicie kamiennymi twarzami, nie okazując żadnej reakcji. Podobnie jak obie prawniczki. Sanders uświadomił sobie, że wszystko najwyraźniej było z góry przygotowane. Co się tu działo? Dlaczego zmieniła swoją wersję?

Meredith odchrząknęła, a potem ciągnęła dalej takim samym, opanowanym głosem.

- Sądzę, że powinnam przyznać, iż byłam dobrowolną uczestniczką wszystkich wydarzeń tamtego wieczoru. Być może, w pewnej chwili zachowywałam się zbyt bezpośrednio jak na gust pana Sandersa. W rozgorączkowaniu mogłam przekroczyć granice przyzwoitości i te, które określa moje stanowisko w firmie. Przypuszczam, że to możliwe. Zastanowiwszy się głębiej, doszłam do wniosku, że mój opis wydarzeń i opis pana Sandersa są w gruncie rzeczy bardziej zgodne, niż początkowo sądziłam.

Zapadła długa cisza. Sędzina Murphy milczała. Meredith poprawiła się w fotelu, zdjęła okulary, a potem włożyła je ponownie.

- Pani Johnson - powiedziała wreszcie Murphy. - O ile więc dobrze panią zrozumiałam, w tej chwili zgadza się pani z wersją poniedziałkowych wydarzeń podaną przez pana Sandersa.

- Pod wieloma względami. Być może w większości.

Sanders nagle zdał sobie sprawę z tego, co się stało: Wiedzieli o taśmie.

Ale skąd? On sam dowiedział się o niej zaledwie dwie godziny temu. I Levin rozmawiał tylko z nimi podczas lunchu. A więc Levin nie mógł im powiedzieć. Skąd wiedzieli?

327

—
A więc, pani Johnson - ciągnęła dalej Murphy - zgadza się pani również z oskarżeniem o molestowanie złożonym przez pana Sandersa?

— Wcale nie, Wysoki Sądzie. Nie.

— W takim razie nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam.

Zmieniła pani swoją wersję. Obecnie skłonna jest pani zgodzić się, że przedstawiony przez pana Sandersa przebieg wydarzeń jest pod wieloma względami prawdziwy. Ale nie zgadza się pani z jego oskarżeniem?

— Nie, Wysoki Sądzie. Jak już powiedziałam, uważam, że wszystko było wynikiem nieporozumienia.

— Nieporozumienia? - powtórzyła Murphy z pełną niedowierzania miną.

— Tak, Wysoki Sądzie. I to takim, w którym pan Sanders

odgrywał bardzo aktywną rolę.

— Pani Johnson. Według pana Sandersa, pani zaczęła go całować, mimo że protestował, popchnęła go pani na kanapkę, rozpięła mu pani spodnie i wyjęła jego penisa, jak również, wbrew jego protestom, zdjęła pani własne ubranie. Ponieważ pan Sanders jest pani podwładnym i to pani decyduje o jego zatrudnieniu, trudno mi pojąć, dlaczego nie można uznać tego za wyraźny i bezdyskusyjny przypadek napastowania seksualnego z pani strony.

— Rozumiem, Wysoki Sądzie - odparła spokojnie Meredith Johnson. - I zdaję sobie sprawę, że zmieniłam swoją wersję. Ale powodem tego jest, jak już powiedziałam, przekonanie, że od samego początku zaszło tu nieporozumienie. Naprawdę wierzyłam, że pan Sanders ma ochotę na seksualną przygodę ze mną i takie przekonanie kierowało moim postępowaniem.

— A więc nie neguje pani faktu napastowania.

— To nie tak, Wysoki Sądzie. Uważałam, że dysponuję wyraźnym fizycznym świadectwem, że pan Sanders jest dobrowolnym uczestnikiem. Niekiedy z całą pewnością przejawiał inicjatywę. A więc musiałam zadać sobie pytanie, dlaczego był pełen chęci - i nagle tak gwałtownie się wycofał. Nie wiem, jaka była przyczyna takiego zachowania. Ale sądzę, że pan Sanders jest współodpowiedzialny za cały incydent. Dlatego właśnie doszłam do wniosku, że było to po prostu nieporozumienie. I chcę stwierdzić, że jest mi przykro - szczerze i głęboko przykro, z powodu mojego udziału w tej historii.

- Jest pani przykro - Murphy z rozdrażnieniem rozejrzała się po sali. - Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się dzieje? Panie Heller?

Heller rozłożył ręce.

— Wysoki Sądzie, moja klientka poinformowała mnie o tym, co ma zamiar powiedzieć. Uznałem, że postępuje bardzo odważnie i szlachetnie. Pani Johnson szczerze dąży do wyjaśnienia prawdy.

— Oszczędź mi tego - westchnęła Luiza Fernandez.

— Pani Fernandez - zwróciła się do niej sędzina Murphy - biorąc pod uwagę tak drastycznie odmienne oświadczenie pani Johnson, czy chce pani prosić o przerwę, zanim przystąpi pani do zadawania pytań?

— Nie, Wysoki Sądzie. Jestem gotowa kontynuować - stwierdziła Luiza.

— Rozumiem - powiedziała zdziwiona Murphy. - W porządku. - Sędzina Murphy wyraźnie miała wrażenie, że wszyscy poza nią doskonale wiedzą, co się dzieje.

Sanders wciąż się zastanawiał, czy Meredith wie o taśmie.

Popatrzył na siedzącego przy końcu stołu Phila Blackburna, który nerwowo pocierał leżący przy nim telefon komórkowy.

"Rejestracja rozmów - pomyślał Sanders. - Na pewno właśnie to".

DigiCom mógł zlecić komuś - najprawdopodobniej Gary'emu Bosakowi, aby przejrzał wszystkie dane Sandersa i wyszukał te, które można by wykorzystać przeciwko niemu. Bosak sprawdził

każde połączenie z telefonu komórkowego Sandersa. I w ten sposób musiał natknąć się na tamto poniedziałkowe połączenie, trwające aż czterdzieści pięć minut. Rzucało się natychmiast w oczy - cholernie długi czas trwania i opłata. Bosak musiał więc sprawdzić, kiedy to połączenie miało miejsce, i uświadomił sobie, co się zdarzyło. Stwierdził, że Sanders nie mógł właśnie wtedy rozmawiać czterdzieści pięć minut przez telefon. Musiało więc istnieć tylko jedno wytłumaczenie - połączenie nastąpiło z automatem zgłoszeniowym. To zaś oznaczało, że wszystko zostało utrwalone na taśmie. Meredith dowiedziała się o tym i dlatego odpowiednio dostosowała swoją wersję do nowej sytuacji. Stąd ta gwałtowna zmiana.

- Pani Johnson - zaczęła Fernandez. - Wyjaśnijmy sobie

329

najpierw kilka faktów. Czy teraz może pani potwierdzić, że istotnie wysłała pani swoją sekretarkę po wino i prezerwatywy, że poleciła jej pani zamknąć drzwi i że odwołała pani spotkanie o siódmej, oczekując na seksualną przygodę z panem Sandersem?

— Tak.

— Innymi słowy, wcześniej pani skłamała.

— Przedstawiłam mój punkt widzenia.

— Ale nie rozmawiamy tu o punktach widzenia. Rozmawiamy o faktach. A skoro mówimy o tych faktach, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego uważa pani, że pan Sanders ponosi współodpowiedzialność za incydent w pani gabinecie.

— Ponieważ mam wrażenie... Mam wrażenie, że pan Sanders przyszedł do mojego gabinetu w określonych zamiarach, a później wycofał się z tego. Uznałam, że był to podstęp z jego strony.

Podniecił mnie, a potem oskarżył, kiedy po prostu zareagowałam.

— Ma pani wrażenie, że pan Sanders uciekł się do podstępu?

i dlatego uważa pani, że jest on współodpowiedzialny?

— Tak.

— Jaki to był podstęp?

— Uważam, że nie ma żadnych wątpliwości. Sprawy zaszły już bardzo daleko, gdy nagle wstał z kanapki i powiedział, że nie ma zamiaru kontynuować. Jestem zdania, że zaplanował z góry takie zachowanie.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie można posunąć się aż tak daleko i nagle przestać. Oczywiście, chodziło mu o upokorzenie mnie i wprowadzenie w zakłopotanie. Chyba... chyba widać to na pierwszy rzut oka.

— No dobrze. Przyjrzyjmy się temu konkretnemu momentowi szczegółowo - stwierdziła Luiza Fernandez. - Moim zdaniem, dotyczy to chwili, gdy razem z panem Sandersem znajdowała się pani na kanapce i oboje byliście częściowo rozebrani. Pan Sanders klęczał na kanapce, jego członek był na wierzchu, a pani leżała na plecach ze zdjętymi majtkami i rozchyłonymi nogami. Czy mam rację? **

— Zasadniczo. Tak. - Pokręciła głową. - Brzmi to... tak wulgarnie.

— Ale tak wyglądała wówczas sytuacja, prawda?

— Tak. Tak było.

330

—

I w tej właśnie chwili, czy powiedziała pani: "Nie, nie, proszę", a pan Sanders odpowiedział: "Masz rację, nie powinniśmy tego robić", a potem wstał z kanapki.

— Tak - odparła Meredith. - Tak właśnie powiedział.

— W takim razie, gdzie tu nieporozumienie?

— Gdy mówiłam: "Nie, nie", miałam na myśli: "Nie, nie czekaj. Ponieważ ociągał się, jakby mnie drażnił i chciałam, aby kontynuował. Ale zamiast tego wstał z kanapki, co bardzo mnie rozgniewało.

— Dlaczego?

— Bo chciałam, aby kontynuował.

— Ale pani Johnson, powiedziała pani: "Nie, nie".

— Wiem, co powiedziałam - odparła z irytacją Meredith - ale w tej sytuacji było przecież jasne, co chciałam mu dać do zrozumienia.

— Doprawdy?

— Oczywiście. Doskonale wiedział, o co mi chodzi, ale postanowił zignorować moją prośbę.

— Pani Johnson, czy słyszała pani kiedyś zdanie: "Nie - oznacza nie"?

— Oczywiście, ale w tej sytuacji...

— Przepraszam, pani Johnson. Czy "nie" oznacza nie, czy też coś innego?

— Nie w tym przypadku. Ponieważ wówczas, kiedy leżeliśmy na kanapie, było całkowicie jasne, co naprawdę chcę powiedzieć.

— Mam wrażenie, że było to jasne tylko dla pani.

Meredith wyraźnie zaczęła się irytować.

— Dla niego również - warknęła.

— Pani Johnson. Gdy mężczyznom mówi się, że "nie - oznacza nie", to co się przez to rozumie?

— Nie wiem. - Meredith machnęła gniewnie ręką. - Nie pojmuję, o co pani chodzi.

— O to, że mężczyznom tłumaczy się, iż muszą traktować wypowiedzi kobiet dosłownie. Że "nie", oznacza nie. Mężczyźni wobec tego nie mogą zakładać, iż "nie" oznacza "może" albo "tak".

— Lecz w tej konkretnej sytuacji, gdy byliśmy rozebrani, a sprawy zaszły tak daleko...

— A co to ma do rzeczy? - zapytała Fernandez.

331

—

Och, niech pani da spokój - odparła Meredith. - Gdy

ludzie mają na to ochotę, zaczynają od lekkich dotknięć, potem

pocałunków, potem pieszczot, następnie przechodzą do bardziej

odważnych pieszczot. Potem zdejmują ubrania, dotykają genitaliów

i tak dalej. I bardzo szybko zaczyna się oczekiwać na całą resztę.

I nikt się nie wycofuje. Wycofanie się jest aktem wrogości. A on tak

właśnie zrobił.

— Pani Johnson. Czyż nie jest prawdą, że kobiety zastrzegają sobie prawo do wycofania się w każdej chwili, aż do momentu rzeczywistego wprowadzenia? Czy kobiety nie wymagają respektowania ich niezbywalnego prawa do zmiany stanowiska?

— Tak, ale w tym przypadku....

— Pani Johnson. Jeżeli kobiety mają prawo zmienić zdanie, to dlaczego nie mają go mężczyźni? Czy pan Sanders nie mógł zmienić zdania?

— To był akt wrogości. - Twarz Meredith zastygła w pełnym uporze grymasie. - Wszystko zaaranżował.

— Pytam, czy pan Sanders miał w tej sytuacji identyczne prawo jak kobieta. Czy miał prawo wycofać się, choćby w ostatniej chwili?

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ mężczyźni są inni.

— W jaki sposób inni?

— Och, na litość boską! - parsknęła gniewnie Johnson. -

O czym my tu mówimy? Przecież to przypomina Alicję w Krainie Czarów. Mężczyźni i kobiety są inni. Wszyscy o tym wiedzą.

Mężczyźni nie potrafią opanować swoich popędów.

— Najwyraźniej pan Sanders potrafi.

— Tak. Z wrogości do mnie. Pragnąc mnie upokorzyć.

— Ale pan Sanders powiedział wówczas: "Nie czuję się dobrze w tej sytuacji". Czy to nieprawda?

— Nie pamiętam dokładnie słów. Ale jego zachowanie było bardzo wrogie i upokarzające mnie jako kobietę.

— Zastanówmy się - powiedziała Luiza Fernandez - kto zachowywał się wrogo i upokarzająco wobec kogo. Czy pan Sanders nie protestował przeciwko takiemu obrotowi zdarzeń, jaki miał miejsce na początku tego wieczoru?

— Niezupełnie. Nie.

332

—
Sądzę jednak, że protestował. - Fernandez zajrzała do notatek. - Czy wcześniej nie powiedziała pani do pana Sandersa: "Dobrze wyglądasz" i "Zawsze miałeś fajny, twardy korzeń".

— Nie wiem. Być może. Nie pamiętam.

— A on co odpowiedział?

— Nie pamiętam.

— A kiedy pan Sanders rozmawiał przez telefon - zapytała Fernandez - czy nie podeszła pani i nie odciągnęła w dół jego ręki, i nie powiedziała: "Daj spokój temu telefonowi?"

— Być może. Właściwie nie pamiętam.

— I czy nie pani zaczęła go wówczas całować?

— Nie jestem pewna. Nie przypuszczam.

— No cóż, zastanówmy się. W jaki inny sposób mogłoby do tego dojść? Pan Sanders stał przy oknie i rozmawiał przez swój telefon komórkowy. Pani odebrała drugi telefon, który stoi na biurku. Czy przerwał swoją rozmowę, odłożył telefon, podszedł do

pani i zaczął panią całować?

Meredith milczała przez chwilę.

— Nie - powiedziała wreszcie.

— A więc kto kogo zaczął całować?

— Chyba ja.

— A kiedy zaprotestował i powiedział "Meredith", czy nie zlekceważyła pani jego słów i nie wyznała: "Boże, pragnęłam cię przez cały dzień. Ależ jestem napalona, nie pieprzyłam się porządnie". - Luiza powtarzała te zdania beznamiętnym, suchym głosem, jakby odczytywała stenogram.

- Być może... Sądzę, że to dokładne. Tak.

Adwokatka ponownie spojrzała do notatek.

— A wówczas, gdy rzekł: "Meredith, poczekaj", znowu wyraźnie protestującym tonem, czy nie powiedziała pani: "Och! Nic nie mów, nie, nie, o Jezu"?

— Sądzę... Możliwe, że tak.

— Proszę się zastanowić i powiedzieć, czy te wypowiedzi pana Sandersa były protestami, które pani zignorowała?

— Jeżeli nimi były, to brzmiały niezbyt wyraźnie.

— Pani Johnson. Czy określiłaby pani, że pan Sanders w czasie całego incydentu zachowywał się z zapałem, aktywnie?

Meredith wahała się przez chwilę. Sanders niemal widział, jak

333

próbuję odgadnąć, ile informacji może zawierać taśma. Wreszcie oświadczyła:

— Niekiedy zachowywał się aktywnie, a chwilami nie za bardzo.

Tak sędę.

— Czy określiłaby pani jego zachowanie jako ambiwalentne?

— Możliwe. W pewnym stopniu.

— To znaczy tak, czy nie, pani Johnson?

— Tak.

— W porządku. A więc pan Sanders zachowywał się w czasie spotkania ambiwalentnie. Powiedział nam dlaczego - ponieważ chciano, aby nawiązał biurowy romans z dawną przyjaciółką, która była jego przełożoną. I ponieważ jest obecnie żonaty. Czy uzna to pani za istotne przyczyny tego ambiwalentnego zachowania?

— Chyba tak.

— I znajdując się w takim stanie ducha, pan Sanders uznał, że nie powinien posuwać się dalej. I powiedział pani, co czuje, bezpośrednio i otwarcie. Czy może pani określić to jako zaaranżowanie sytuacji? Mam wrażenie, że dysponujemy obszernym materiałem dowodowym, sugerującym coś wręcz przeciwnego - to było absolutnie nie wyrachowane, dość rozpaczliwe działanie człowieka, który znalazł się w sytuacji całkowicie kontrolowanej przez panią. To nie było spotkanie dawnych kochanków, pani Johnson, choć woli pani tak o tej sprawie myśleć. Ani spotkanie równych sobie osób. Wiadomo przecież, że to pani jest jego przełożoną i w pełni kontrolowała każdy element tego spotkania. Ustaliła pani czas, poleciła kupić wino, prezerwatywy, zamknąć drzwi - a potem, kiedy podwładny nie zechciał pani zadowolić,

zrzuciła pani winę na niego. I w podobny sposób zachowuje się pani w dalszym ciągu.

— A pani usiłuje przedstawić jego zachowanie w pozytywnym świetle - odparła Meredith. - Ja zaś podtrzymuję swoje twierdzenie, że praktycznie rzecz biorąc, takie zachowanie i rezygnacja w ostatniej chwili może doprowadzić kobietę do wściekłości.

— Tak - przyznała Luiza Fernandez. - W ten sposób reaguje również wielu mężczyzn, gdy kobieta wycofuje się w ostatniej chwili. Ale kobiety twierdzą, że mężczyzna nie ma podstaw do gniewu, ponieważ partnerka ma prawo wycofać się w każdym momencie. Czyż nie tak?

334

Meredith zabębniła z irytacją palcami o blat stołu.

— Proszę posłuchać - stwierdziła. - Próbuje mi tu pani udowodnić - manipulując podstawowymi faktami - że złamałam prawo. Cóż takiego złego uczyniłam? Złożyłam mu propozycję, to wszystko. Gdyby pan Sanders nie był nią zainteresowany, mógł po prostu powiedzieć: "nie". Ale nigdy tego nie powiedział. Ani razu. Ponieważ miał zamiar zrealizować swój plan. Był zły, że nie dostał tego stanowiska i zemścił się w jedyny możliwy sposób - oczerniając mnie. To zwykła wojna podjazdowa i łamanie charakteru. Jestem kobietą, która odniosła sukcesy w biznesie, pan Sanders zazdrości mi sukcesów i próbuje się na mnie odegrać. Mówi pani różne rzeczy tylko po to, aby ominąć ten podstawowy i bezdyskusyjny fakt.

— Pani Johnson. Podstawowy i bezdyskusyjny fakt stanowi to,

że jest pani przełożoną pana Sandersa. A pani postępowanie wobec niego było bezprawne. A to już sprawa federalna.

Zapadła krótka cisza.

Do sali wszedł pracownik Blackburna i podał mu notatkę. Phil przeczytał ją i oddał Hellerowi.

— Pani Fernandez? - zapytała Murphy. - Czy jest pani już gotowa wyjaśnić mi, co się tu dzieje?

— Tak, Wysoki Sądzie. Okazało się, że jest magnetofonowe nagranie tego spotkania.

— Doprawdy? I przesłuchała je pani?

— Tak, Wysoki Sądzie. Potwierdza wersję pana Sandersa.

— Czy zdawała sobie pani sprawę z istnienia tej taśmy, pani Johnson?

— Nie.

— Być może pani Johnson i jej pełnomocnik zechcą również jej wysłuchać. Może powinniśmy wysłuchać jej wszyscy - powiedziała Murphy, patrząc Blackburnowi prosto w oczy.

Heller włożył notatkę do kieszeni i oznajmił:

— Wysoki Sądzie, chciałbym poprosić o dziesięć minut przerwy.

— Bardzo proszę, panie Heller. Mam wrażenie, że ta rewelacja tego wymaga.

Czarne chmury wisiały nisko nad dziedzińcem, ponownie grożąc deszczem. Koło fontann stali ciasną grupką Johnson, Heller i Blackburn. Luiza Fernandez obserwowała ich.

- Po prostu nie rozumiem tego - powiedziała. - Znowu

stoją i rozmawiają. O czym tu rozmawiać? Ich klientka kłamała, a potem zmieniła swoją wersję. Nie ma wątpliwości, że Meredith jest winna napastowania seksualnego. Mamy wszystko zarejestrowane na taśmie. O czym więc dyskutują?

Patrzyła przez chwilę, marszcząc brwi.

— Wiesz co, muszę przyznać, że ta Johnson jest cholernie sprytną kobietą - dodała.

— Tak - przyznał Sanders.

— Ma szybki refleks i jest opanowana.

— Hmm.

— Szybko przesuwała się po szczeblach władzy.

— Tak.

— A więc... Jakim cudem dała się wplątać w taką sytuację?

— Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Sanders.

- Zastanawiam się, dlaczego zaczęła się do ciebie zalecać już pierwszego dnia w pracy? I tak bardzo intensywnie? Narażając się na kłopoty. Jest na to za sprytna.

Sanders wzruszył ramionami.

- Uważasz, że masz nieodparty urok? - spytała Sandersa. -

Z całym szacunkiem, ale bardzo wątpię.

336

Zaczął wspominać okres poprzedniej znajomości z Meredith.

Jak przeprowadzała pokazy i jak zakładała nogę na nogę, gdy zadawano jej pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć.

— Zawsze wykorzystywała seks, aby odwrócić czyjąś uwagę.

Jest w tym dobra.

— Wierzę - przyznała Fernandez. - Od czego więc odwraca teraz naszą uwagę?

Sanders nie znał odpowiedzi na to pytanie. Ale instynkt podpowiadał mu, że toczy się tu jakaś inna gra.

— Kto wie, jak ludzie naprawdę zachowują się prywatnie? - powiedział. - Kiedyś znałem pewną kobietę. Wyglądała jak anioł, ale lubiła, gdy bili ją motocykliści.

— Hmm - odparła Luiza. - Bardzo ładnie. Ale nie sądzę, aby ten pomysł miał zastosowanie w przypadku Meredith Johnson. Ponieważ sprawia na mnie wrażenie bardzo opanowanej, a jej zachowanie w czasie spotkania z tobą wcale takie nie było.

— Sama powiedziałaś, że istnieje pewien schemat.

— Tak. Prawdopodobnie. Ale dlaczego pierwszego dnia? Dlaczego tak od razu? Sądzę, że miała inny powód.

- A co ze mną? - zapytał Sanders. - Czy sądzisz, że ja miałem inny powód?

- Zakładam, że tak - odparła, patrząc na niego poważnie. - Ale porozmawiamy o tym później.

Alan nadszedł z parkingu, kręcąc głową.

— Co zdobyłeś? - zapytała Luiza.

— Nic dobrego. Szukamy wszędzie - powiedział. Otworzył notes. - No, dobrze. Sprawdziliśmy ten adres Internetu. Informacja wysłana została z "Obszaru U". A "Przyjaciel" okazał się doktorem Arturem A. Friendem *. Jest wykładowcą chemii nieorganicznej na

uniwersytecie stanu Waszyngton. Czy to nazwisko coś panu mówi?

— Nic - odparł Sanders.

— Wcale się nie dziwię. W chwili obecnej doktor Friend przebywa w północnym Nepalu, gdzie jest konsultantem rządu nepalskiego. Znajduje się tam od trzech tygodni i nie spodziewają się jego powrotu przed końcem lipca. A więc zapewne nie on wysyłał panu te wiadomości.

* Gra słów: a friend znaczy przyjaciel (przyp. tłum.).

337

—

Może ktoś korzysta z jego adresu Internet?

— Sekretarka mówi, że to niemożliwe. W czasie jego nieobecności gabinet jest zamknięty na klucz i nikt tam nie wchodzi oprócz niej. Nikt więc nie ma dostępu do jego terminalu. Sekretarka twierdzi, że wchodzi tam raz dziennie i odpowiada na pocztę elektroniczną doktora Frienda. Ale poza tym komputer jest wyłączony i tylko ona zna hasła.

— A więc informacja wychodzi z zamkniętego gabinetu? - zapytał Sanders, marszcząc brwi.

— Nie wiem. Wciąż nad tym pracujemy. W tej chwili niewiele jeszcze wiemy.

— No, dobrze - powiedziała Luiza. - A co z Conrad Computers?

— Zajęli bardzo zdecydowane stanowisko. Przekazą informację tylko zatrudniającej firmie, czyli DigiComowi. A nam nic. Dodali

jeszcze, że ta inna firma nie prosiła o nią. Gdy się upieraliśmy, sami porozumieli się z DigiComem, który odpowiedział, że nie jest zainteresowany żadną informacją od nich.

— Hmmmm.

— Teraz mąż - oznajmił Alan. - Rozmawiałem z kimś, kto pracował w jego firmie, CoStar. Powiedział mi, że mąż jej nienawidzi i bardzo źle się o byłej żonie wyraża. Ale aż do końca następnego tygodnia będzie w Meksyku na wakacjach z nową przyjaciółką.

— Fatalnie.

— Teraz Novell - ciągnął dalej Alan. - Trzymają dokumenty z ostatnich pięciu lat. Potem wszystko przechowywane jest w ich centrali w Utah. Nie mają pojęcia, co tam znajdują, ale chętnie je wydostaną, jeżeli zapłacimy. Cała sprawa zajmie dwa tygodnie.

Fernandez pokręciła głową.

— Nic z tego.

— Właśnie.

— Mam poważne przeczucie, że Conrad Computers na czymś siedzi -*· stwierdziła Luiza.

— Być może, ale musielibyśmy mieć wyrok sądowy, aby te informacje otrzymać. Nie mamy jednak czasu. - Alan popatrzył na grupkę stojącą po drugiej stronie dziedzińca. - A co się teraz dzieje?

— Nic. Twardo grają.

W dalszym ciągu?

— Tak.

— Jezu! - westchnął Alan. - Kto za nią stoi?

— Bardzo chciałabym wiedzieć - stwierdziła Luiza.

Sanders otworzył telefon komórkowy i połączył się z biurem.

— Cindy, czy są jakieś wiadomości?

— Tylko dwie, Tom. Stefania Kaplan pytała, czy mogłaby się z tobą dzisiaj zobaczyć.

— Czy powiedziała, dlaczego?

— Nie i mówiła, że to nic ważnego. I Mary Annę cię szukała.

Zaglądała dwukrotnie.

— Pewnie chce obedrzeć mnie ze skóry.

— Nie sędzę, Tom. Jest chyba jedyną osobą, która... Chyba bardzo się o ciebie martwi.

— Dobrze. Zadzwonię do niej.

Zaczął wybierać numer Mary Annę, gdy Luiza trąciła go w bok.

Obejrzał się i zobaczył szczupłą kobietę w średnim wieku, idącą w ich stronę od parkingu.

— A teraz miej się na baczności - zauważyła Luiza Fernandez.

— Dlaczego? Kto to taki?

— Connie Walsh.

Connie Walsh miała mniej więcej czterdzieści pięć lat, siwe włosy i skwaszoną minę.

— Czy pan jest Tomem Sandersem?

— Tak jest.

Wyjęła magnetofon.

- Jestem Connie Walsh z "Post-Intelligencer". Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

— Absolutnie wykluczone - odparła Luiza Fernandez.

Walsh zmierzyła ją wzrokiem.

— Jestem adwokatem pana Sandersa.

— Wiem, kim pani jest - stwierdziła Walsh i odwróciła się znowu do Sandersa. - Panie Sanders, nasza gazeta zajmuje się sprawą pozwu o dyskryminację w DigiComie. Moje źródła informują mnie, że oskarża pan Meredith Johnson o dyskryminację seksualną. Czy to prawda?

— Pan Sanders nie ma żadnych komentarzy w tej sprawie - oznajmiła Luiza, wchodząc pomiędzy dziennikarkę i Sandersa.

Connie Walsh popatrzyła na nią przez ramię i powiedziała:

— Panie Sanders, czy jest również prawdą, że pan i ona byliście dawniej kochankami i że pańskie oskarżenie jest sposobem na wyrównanie rachunków?

— Pan Sanders nie ma komentarzy - oznajmiła Fernandez.

— Mam wrażenie, że jednak ma - zaprotestowała dziennikarka. - Panie Sanders, nie musi pan jej słuchać. Jeżeli pan chce,

340

może pan coś powiedzieć. I pewna jestem, że powinien pan wykorzystać tę sposobność do obrony. Ponieważ moje źródła twierdzą również, że w trakcie tego spotkania znieważył pan fizycznie panią Johnson. Ludzie wysuwają przeciwko panu poważne

oskarżenia i uważam, że powinien pan na nie zareagować. Co może pan powiedzieć o tych oskarżeniach? Czy fizycznie ją pan znieważył?

Sanders chciał odpowiedzieć, ale Luiza spojrzała na niego ostrzegawczo i oparła mu dłoń na piersi.

— Czy te insynuacje pochodzą od pani Johnson? - zapytała

Luiza Fernandez. - Ponieważ poza panem Sandersem była jedyną obecną wówczas osobą.

— Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Uzyskałam tę wiadomość z bardzo dobrze poinformowanych źródeł.

— Z firmy czy spoza niej?

- Naprawdę nie mogę tego wyjawić.

— Pani Walsh - oznajmiła Luiza Fernandez. - Mam zamiar zabronić panu Sandersowi rozmawiać z panią. I lepiej niech pani porozumie się z radcą prawnym waszej gazety, zanim opublikuje pani któreś z tych bezzasadnych oskarżeń.

— Nie są bezzasadne. Posiadam bardzo wiarygodne...

— Jeżeli radca państwa będzie miał jakieś wątpliwości, może pani poprosi, aby zadzwonił do pana Blackburna, który wyjaśni, jak wygląda wasza sytuacja prawna w tej sprawie.

Walsh uśmiechnęła się posępnie.

— Panie Sanders, czy chce pan złożyć oświadczenie?

— Po prostu niech się pani porozumie z waszym radcą prawnym - powtórzyła Luiza Fernandez.

— Zrobię tak, ale to nie będzie miało znaczenia. Nie może pani zamknąć nam ust. Pan Blackburn również. I osobiście muszę

powiedzieć, że nie rozumiem, jak może pani bronić w takiej sprawie.

Luiza pochyliła się w jej stronę, uśmiechnęła i powiedziała:

- Może pani odejdzie ze mną na chwilę, to coś pani wyjaśnię.

Odeszły parę kroków dalej.

Alan i Sanders pozostali na miejscu. Alan westchnął.

- Pewnie dałbyś dużo, żeby dowiedzieć się, o czym właśnie rozmawiają?

- Nie ma znaczenia, co mi pani powie. I tak nie wyjawię mojego źródła - oświadczyła Walsh.

— Wcale o to pani nie pytam. Po prostu chcę poinformować, że pani artykuł jest nieprawdziwy...

— To pani tak twierdzi...

— I że istnieje na to dowód.

Connie Walsh umilkła i zmarszczyła brwi.

- Dowód?

Luiza wolno pokiwała głową.

- Tak jest.

Walsh myślała przez chwilę.

- Ale to niemożliwe - stwierdziła wreszcie. - Byli przecież sami w pokoju. Nie istnieje możliwość weryfikacji ich relacji.

Fernandez pokręciła głową i nie odpowiedziała.

- Co to takiego? Taśma?

Luiza uśmiechnęła się ledwo zauważalnie.

— Doprawdy nie mogę tego wyjawić.

— A nawet gdyby była taśma, co może być wobec tego na niej

zarejestrowane? Że go uszczypnęła w tyłek? Zrobiła parę żartów?

I co z tego? Mężczyźni postępują tak od setek lat.

— Nie ma co do tego wątpliwości...

— Niech mi da pani spokój. A więc tego faceta uszczypnięto, a on zaczął robić z tego aferę. To nie jest normalne zachowanie.

Ten gość najwidoczniej nienawidzi kobiet i poniża je przy każdej

342

sposobności. Wystarczy na niego spojrzeć. I nie ma żadnej wątp-

liwości - uderzył ją w czasie tego spotkania. Firma musiała

wezwać lekarza, żeby zbadał, czy nie doznała wstrząsu mózgu.

Dysponuję również kilkoma wiarygodnymi źródłami, które dały mi

do zrozumienia, że jest skłonny do fizycznej przemocy. On i jego

żona mają od lat problemy ze sobą. I faktem jest, że wyjechała

z dziećmi z miasta i ma zamiar wystąpić o rozwód.

Walsh przez cały czas uważnie obserwowwała Luizę Fernandez.

Adwokatka tylko wzruszyła ramionami.

— To fakt. Jego żona wyjechała z miasta - beznamiętnym tonem

ciągnęła Connie Walsh. - Nieoczekiwanie. Wzięła dzieci. I nikt nie

wie, dokąd pojechała. A teraz niech mi pani wszystko wyjaśni.

— Connie - powiedziała Luiza. - Jako adwokat pana Sandersa

mogę panią jedynie poinformować, że materialne dowody są w całko-

witej sprzeczności z wiadomościami pani źródeł na temat tej sprawy.

— I czy okaże mi pani te dowody?

— Absolutnie nie.

— W takim razie skąd mam wiedzieć, czy w ogóle istnieją?

— Nie może pani. Wie pani tylko, że powiadomiłam ją o ich istnieniu.

— A co będzie, jeżeli nie uwierzę?

Luiza Fernandez uśmiechnęła się.

— Taką decyzję dziennikarz musi podejmować samodzielnie.

— Chce pani powiedzieć, że nastąpiłoby rażące zaniedbanie.

— Jeżeli będzie pani publikować tę historię, to tak.

Walsh zrobiła krok do tyłu.

— Proszę posłuchać. Może dysponuje pani jakimś technicznym kruczkiem prawnym, a może nie. Ale moim zdaniem należy pani po prostu do tej mniejszości kobiet, która ulega urokowi patriarchy. Gdyby miała pani choć trochę szacunku do samej siebie, nie wykonywałaby pani dla nich brudnej roboty.

— Szczerze mówiąc, Connie, osobą, która tkwi w pętach patriarchy, jesteś ty sama.

— To kupa bzdur - oburzyła się dziennikarka. - I powiem jedno, nie uda ci się umknąć przed faktami. Najpierw ją podniecił, a potem pobił. Jest byłym kochankiem Meredith, ma gwałtowny charakter i nienawidzi jej. Typowy mężczyzna. I jeszcze jedno. Zanim z nim skończę, będzie żałował, że się w ogóle urodził.

- Czy Connie Walsh ma zamiar opublikować ten materiał?

- zapytał Sanders.

— Nie - odparła Fernandez. Patrzyła na drugą stronę dziedzińca, na Johnson, Hellera i Blackburna. Connie Walsh podeszła do Blackburna i zaczęła z nim rozmawiać.

— Nie myśl o tym - poleciła Luiza. - To nieistotne. Najważniejsze jest obecnie pytanie, co mają zamiar zrobić w sprawie Johnson.

Chwilę później podszedł do nich Heller.

— Przeanalizowaliśmy sytuację, Luizo - oświadczył.

— I?

— Doszliśmy do wniosku, że dalszy arbitraż nie ma sensu i wycofujemy się z niego. Poinformowałem sędzinę Murphy, że nie będziemy go kontynuowali.

— Doprawdy? A co z taśmą?

— Ani pani Johnson, ani pan Sanders nie zdawali sobie sprawy, że są nagrywani. Prawo nakazuje, aby choć jedna strona wiedziała, że ich działania są rejestrowane. A więc taśma nie spełnia warunków dowodowych.

— Ale Ben...

— Wystąpimy, aby taśma nie była dopuszczona jako dowód ani w arbitrażu, ani w jakimkolwiek dalszym postępowaniu prawnym. Będziemy utrzymywali, że twierdzenie pani Johnson, iż spotkanie było nieporozumieniem między odpowiedzialnymi doros-

344

łymi osobami, jest słuszne i że pan Sanders ponosi odpowiedzialność za to nieporozumienie. Był aktywnym uczestnikiem zdarzeń, Luizo, nie ulega wątpliwości. W końcu zdjął jej figi. Nikt nie przystawiał mu pistoletu do głowy. Ale ponieważ wina leży po obu stronach, jedynym wyjściem z sytuacji jest pojednanie obu stron i powrót do

pracy. O ile mi wiadomo, pan Garvin złożył już taką propozycję panu Sandersowi, a ten odmówił. Sądzymy, że w obecnych okolicznościach pan Sanders działa nierozsądnie i jeżeli w odpowiednim czasie nie zmieni decyzji, może zostać zwolniony za odmowę podjęcia pracy.

- Skurwysyn - zaklął Sanders.

Luiza uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu.

— Ben - powiedziała. - Czy jest to formalna propozycja pogodzenia się i powrotu do pracy?

— Tak, Luizy.

— A co na otarcie łez?

— Nic. Po prostu wszyscy wracają do pracy.

— Pytam dlatego - oświadczyła Luiza Fernandez - ponieważ sądzę, iż mogę z powodzeniem utrzymywać, że pan Sanders był świadom dokonywania zapisu na taśmie i w związku z tym może ona zostać dopuszczona. Będę tak twierdziła również na podstawie orzeczenia w sprawie "Waller przeciw Herbst" na temat ujawnienia ogólnie dostępnych zapisów w publicznych nośnikach informacji.

Poza tym stwierdzę, że firma wiedziała o długiej liście przypadków molestowania przez panią Johnson i zaniedbała podjęcia odpowiednich kroków. I będę utrzymywała, że firma zaniedbała również sprawę chronienia reputacji pana Sandersa, pozwalając na przeciek do prasy.

— Poczekaj chwilę...

— Będę twierdziła, że firma miała wyraźny motyw w dopuszczeniu do tego przecieku, ponieważ pragnęła pozbawić pana

Sandersa jego zasłużonego wynagrodzenia za ponaddziesięcioletnią pracę dla firmy. A w osobie pani Johnson zatrudniliście pracownika, który już przedtem miał pewne kłopoty. Oskarżę was o zniesławienie i wystąpię o odszkodowanie w zadowalającej wysokości, aby w ten sposób ostrzec inne amerykańskie przedsiębiorstwa. Zażądam sześćdziesięciu milionów dolarów, Ben. I szybciotko zgodzicie się na czterdzieści w tej samej chwili, gdy przekonam sędziego, aby dał ławie przysięgłych przesłuchać taśmę. Ponieważ oboje wiemy, że

345

kiedy ława przysięgłych jej wysłucha, wydanie werdyktu przeciwko pani Johnson i firmie zajmie jej mniej więcej pięć sekund.

Heller pokręcił głową.

- Podejmujesz trudną grę, Luizoz. Nie przypuszczam, aby w ogóle pozwolono odtworzyć tę taśmę w sądzie. I pamiętaj, że wszystko może potrwać trzy lata.

Luiza Fernandez wolno pokiwała głową.

— Tak - powiedziała. - Trzy lata to długo.

— Sama widzisz, Luizoz. Wszystko może się zdarzyć.

— Owszem. I szczerze mówiąc, martwię się sprawą taśmy. Tyle nieprzewidzianych rzeczy może się zdarzyć z tak skandalicznym materiałem dowodowym. Nie mogę zagwarantować, czy ktoś nie zrobił już kopii. Byłoby straszne, gdyby trafiła do rąk kogoś z KQEM i zaczęli ją odtwarzać przez radio.

— Chryste! - zawołał Heller. - Luizoz, nie wierzę, że tak powiedziałaś.

— Co powiedziałam? Po prostu wyrażam moje uzasadnione obawy. Popęłniłabym zaniechanie, gdybym się nimi z tobą nie podzieliła. Spójrzmy na fakty, Ben. Szydło wyszło już z worka. Prasa wie o całej historii. Ktoś poinformował Connie Walsh, a ta napisała artykuł bardzo szkodzący reputacji pana Sandersa. I wszystko wskazuje na to, że przecieki wciąż trwają, ponieważ Connie ma zamiar opublikować bezpodstawne twierdzenia na temat fizycznej przemocy zastosowanej przez mojego klienta. Bardzo niedobrze, że ktoś z waszej strony postanowił mówić o tej sprawie. Ale oboje wiemy, czym dla prasy jest taka ostra historia. Nigdy nie wiadomo, skąd wyjdzie kolejny przeciek.

Heller był zaniepokojony. Zerknął na pozostałe osoby stojące przy fontannie.

- Luizo, nie przypuszczam, abyśmy mieli jakieś pole do manewru.

— No cóż, po prostu porozmawiaj z nimi.

Heller wzruszył ramionami i odszedł.

— Co teraz zrobimy? - zapytał Tom.

— Wrócimy do twojego biura.

— Wrócimy?

- Tak - odparła Fernandez. - Przecież jeszcze nie koniec.

Dzisiaj powinno zdarzyć się coś jeszcze i chciałabym wówczas być na miejscu.

Jadąc z powrotem, Blackburn rozmawiał z samochodowego telefonu z Garvinem.

— Arbitraż został zakończony. Odwołaliśmy go.

— I?

— Chcemy zmusić Sandersa, aby wracał do pracy. Ale jak na razie nie reaguje. Trzyma się twardo. Obecnie grozi wystąpieniem o odszkodowanie w wysokości sześćdziesięciu milionów dolarów.

— Chryste - odparł Garvin. - Na jakiej podstawie?

— Zniesławienie na skutek zaniedbania, za które jest odpowiedzialna dyrekcja firmy. Rzekomo mieliśmy wiedzieć, iż Johnson ma na swoim koncie przypadki molestowania.

— Nigdy o niczym takim nie słyszałem - rzekł Garvin. - Czy wiesz coś na ten temat, Phil?

— Nie - rzekł Blackburn.

— Czy są jakieś materialne potwierdzenia takich przypadków?

— Nie - stwierdził Blackburn. - Jestem pewien, że nie ma.

— Dobrze. Niech więc nas straszą. Na jakim etapie jest sprawa Sandersa?

— Daliśmy mu czas do jutra rana, aby wrócił do firmy na dawne stanowisko, albo wynocha.

— W porządku - oznajmił Garvin. - A teraz porozmawiajmy poważnie. Co naprawdę mamy na niego?

— Pracujemy nad oskarżeniem o jakieś poważne przestępst-

347

wo - wyjaśnił Blackburn. - Dopiero zaczynamy, ale mam wrażenie, że obiecująco.

— Co z kobietami?

— Nie ma żadnych informacji o kobietach. Wiem, że parę lat temu Sanders pieprzył jedną ze swoich pracownic. Ale nie znaleźliśmy żadnych materiałów w komputerze. Sądzę, że wszystko wykasował.

— W jaki sposób? Zablokowaliśmy mu dostęp.

— Pewnie dawniej. Jest sprytny.

— Dlaczego, u diabła, miałby tak zrobić, Phil? Nie miał powodu spodziewać się niczego w tym rodzaju.

— Wiem, ale nie możemy w tej chwili znaleźć czegoś na ten temat. - Blackburn przerwał na chwilę. - Bob, uważam, że powinniśmy przesunąć konferencję prasową.

— Na kiedy?

— Jutro po południu.

— Dobry pomysł - przyznał Garvin. - Załatwię to. Możemy ją przenieść nawet na dwunastą. John Marden przylatuje rano - dodał. Marden był dyrektorem pionu ekonomicznego w Conley-White. - Doskonale się składa.

— Sanders planuje ciągnąć sprawę do piątku - wyjaśnił Blackburn. - Uprzedzimy go. Założyliśmy blokadę. Nie może dostać się do dokumentacji firmy. Nie może uzyskać dostępu do Conrada ani jakiegokolwiek innego przedsiębiorstwa. Jest odizolowany. Nie ma możliwości znalezienia do jutra czegoś obciążającego.

— Doskonale - stwierdził Garvin. - Co z dziennikarką?

— Przypuszczam, że chce opublikować artykuł w piątek - wyjaśnił Blackburn. - Jest już gotowy, a ona nie może się powstrzymać

przed dokopaniem Sandersowi. A kiedy zrealizuje swój zamiar, będzie żywym trupem.

— Doskonale - rzekł Garvin.

Meredith Johnson wyszła z windy na piątym piętrze Digi-

Comu i wpadła na Eda Nicholasa.

— Brakowało nam ciebie na porannych zebraniach - powiedział.

— No tak, musiałam dopilnować paru spraw - wyjaśniła.

— Czy to coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Nie - odparła Meredith. - Zwykle nudziarstwo. Parę technicznych problemów związanych z ulgami podatkowymi w Irlandii. Tamtejszy rząd chce zwiększyć kontyngent miejscowych pracowników w zakładach w Cork, a my nie jesteśmy przekonani o celowości tego zabiegu. Cała historia trwa już ponad rok.

— Wyglądasz na zmęczoną - zatroszczył się Nichols. - Jesteś trochę blada.

— Czuję się dobrze. Będę szczęśliwa, kiedy wszystko się już zakończy.

— Wszyscy będziemy - przytaknął Nichols. - Masz czas na obiad?

— Może w piątek wieczorem, jeżeli będziesz jeszcze w mieście - powiedziała i uśmiechnęła się. - Słowo daję, Ed. To tylko sprawy podatkowe.

— Dobrze, wierzę ci.

Pomachał jej ręką i ruszył korytarzem, a Meredith skierowała się do swojego gabinetu.

Zastała w nim Stefanię Kaplan, pracującą przy terminalu stojącym na biurku. Robiła wrażenie zakłopotanej.

349

- Przepraszam, że korzystam z twojego komputera. Po prostu czekając na ciebie, sprawdzałam parę rachunków.

Meredith rzuciła torebkę na kanapkę.

- Posłuchaj, Stefanio - powiedziała. - Wyjaśnijmy sobie coś od razu. Jestem tu szefem i nikt nie zdoła tego zmienić. Jeżeli o mnie chodzi, nadszedł czas, w którym nowy wiceprezes podejmuje decyzję, kto jest po jego stronie, a kto nie. Jeśli ktoś mnie popiera, będę o tym pamiętała. Gdy ktoś tego nie zrobi, również załatwię tę sprawę. Czy dobrze się rozumiemy?

Kaplan wyszła zza biurka.

— Tak, oczywiście, Meredith.

— Nie próbuj mnie wyrolować.

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy, Meredith.

— Dobrze. Dziękuję, Stefanio.

— Nie ma sprawy, Meredith.

Stefania Kaplan wyszła z gabinetu. Meredith zamknęła za nią drzwi, a potem podeszła do terminalu i zaczęła uważnie wpatrywać się w ekran.

Sanders szedł korytarzami DigiComu i czuł się jak w nierealnym świecie. Miał wrażenie, że jest tu obcy. Ludzie, którzy mijali go, odwracali głowy i przechodzili bez słowa.

— Nie istniejeję - powiedział do Luizy Fernandez.

— Nie przejmuj się.

Przeszli przez główną część sali. Pracownicy siedzieli tu w małych pomieszczeniach odgradzonych ściankami, które sięgały do wysokości piersi. Rozległo się kilka kwiknięć. Ktoś zaśpiewał cicho: "Fajnie mi się z nią pieprzyło, ale wszystko się skończyło..."

Sanders stanął i odwrócił się w tę stronę. Luiza schwyciła go za ramię.

— Nie zwracaj uwagi - powiedziała.

— Chryste, przecież...

— Nie pogarszaj sytuacji.

Minęli automat do kawy. Ktoś przyklepił obok niego fotografię Sandersa. Używano jej do gry w rzutki.

— Jezu.

— Idź dalej.

Gdy weszli do korytarza prowadzącego w stronę gabinetu Sandersa, zobaczyli idącego im naprzeciw Dona Cherry'ego.

— Cześć, Don.

— Ale umoczyłeś tę sprawę, Tom.

Pokręcił głową i poszedł dalej.

351

Nawet Don Cherry.

Sanders westchnął.

— Wiedziałeś, że tak będzie - przypomniała mu Luiza.

— Być może.

— Przypuszczałeś. Zawsze się tak dzieje.

Cindy wstała na jego widok.

— Tom, Mary Annę prosiła, abyś zadzwonił do niej zaraz po przyjsciu.

— Dobrze.

— I Stefania prosiła, abym ci powtórzyła, że znalazła już to, czego szukała. Powiedziała, żebyś do niej nie dzwonił.

— Dobrze.

Wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Usiadł za biurkiem, a Luiza zajęła miejsce naprzeciwko niego. Wyjęła z teczki telefon komórkowy i wybrała numer.

- Załatwmy jedną rzecz... Poproszę z panią Vries... Mówi

Luiza Fernandez.

Przykryła dłonią mikrofon.

- To nie powinno potrwać... Och, Eleanor? Cześć, tu Luiza

Fernandez. Dzwonię do ciebie w sprawie Connie Walsh. Aha...

Jestem pewna, że omówiłaś z nią tę sprawę. Tak, wiem, że

bardzo to przeżywa. Eleanor, chciałam tylko potwierdzić, że

jest taśma z nagraniem tego wydarzenia, która podtrzymuje raczej

wersję pana Sandersa niż pani Johnson. Owszem, mogę tak

zrobić. No cóż, problem ze źródłem informacji Connie Walsh

polega na tym, że firma jest obecnie poważnie zagrożona i jeżeli

opublikujecie materiał, który okaże się nieprawdziwy - nawet

jeżeli otrzymaliście go z waszego źródła - mam wrażenie, że

wytoczą wam sprawę. O, tak, jestem całkowicie przekonana, że pan Blackburn tak zrobi. Nie będzie miał innego wyboru. Dlaczego nie zrobisz...? Rozumiem. Aha. No cóż, można to zmienić, Eleanor. Aha. I nie zapomnij, że pan Sanders już teraz rozważa możliwość zaskarżenia was o zniesławienie na podstawie tego artykułu o Panu Piggy. Owszem, może zrobiłabyś właśnie tak. Dziękuję.

Rozłączyła się i zwróciła do Sandersa.

- Chodziłyśmy razem na prawo. Eleanor jest bardzo kompetentna i bardzo konserwatywna. Przede wszystkim nigdy by nie

352

dopuszczała do wydrukowania tej poprzedniej historii, gdyby nie miała szczególnego zaufania do źródła informacji Connie.

— Co to znaczy?

— Jestem prawie pewna, że wiem, kto podsunął jej tę sprawę - stwierdziła Luiza. Ponownie wybierała numer.

— Kto taki? - zapytał.

— Teraz najważniejsza jest Meredith Johnson. Musimy udokumentować, że taki jest stały sposób jej postępowania. Trzeba udowodnić, że już wcześniej molestowała pracowników. Musimy także znaleźć dojście do Conrad Computers. - Odwróciła się. -

Harry? Tu Luiza. Czy rozmawiałeś z Conrad? Aha. I co? - Chwila milczenia. Potrząsnęła z irytacją głową. - Czy wyjaśniłeś, co im grozi? Aha. Do diabła. Jaki więc robimy następny ruch? Mamy problem z czasem, Harry, i tym się właśnie martwię.

Podczas gdy Luiza rozmawiała przez telefon, Sanders włączył monitor. Na ekranie migotała ikona poczty elektronicznej. Kliknął myszą.

OCZEKUJE 17 KOMUNIKATÓW.

Chryste! Może sobie wyobrazić, jakie. Kliknął napis: CZYTAJ.

Na ekranie zaczęła pojawiać się kolejno korespondencja.

OD: DONA CHERRY'EGO, GRUPA PROGRAMUJĄCA KO-
RYTARZ

DO: WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH

DOSTARCZYLIŚMY ŚIW PRZEDSTAWICIELOM CONLEY-
-WHITE.

JEDNOSTKA PRACUJE OBECNIE Z DB ICH FIRMY, PONIE-
WAŻ UDOSTĘPNILI NAM DZISIAJ PODŁĄCZENIA. JOHN CON-
LEY PROSIŁ, ŻEBY MU JĄ DOSTARCZONO DO APARTAMENTU
W HOTELU CZTERY PORY, PONIEWAŻ JEGO DPE PRZYJEŻDŻA
W CZWARTEK RANO I WTEDY WSZYSTKO OBEJRZY. JEST TO
KOLEJNY SUKCES, KTÓRY ZAWDZIĘCZACIE WSPANIAŁYM
KUMPLOM Z ŚIW.

DON WSPANIAŁY

Sanders włączył następną wiadomość.

353

OD: GRUPY DIAGNOZOWANIA

DO: ZESPOŁU GWP

ANALIZA STACJI TWINKLE. KŁOPOTY Z PĘTLĄ SYNCHRO-
NIZACJI STEROWNIKA RACZEJ NIE SĄ POWODOWANE PRZEZ

SAM CZIP.

POTWIERDZILIŚMY MIKROFLUKTACJE PRĄDU ZE ŹRÓDŁA ZASILANIA, KTÓRE BYŁO NAJWYRAŹNIEJ WYTRAWIONE NA NIE TRZYMAJĄCEJ STANDARDÓW ALBO NIEODPOWIEDNIEJ PŁYTCIE GŁÓWNEJ. JEST TO JEDNAK DROBNOSTKA, KTÓRA NIE TŁUMACZY NIEMOŻNOŚCI DOTRZYMANIA WARUNKÓW TECHNICZNYCH. ANALIZA TRWA.

Sanders spoglądał na informację z uczuciem całkowitej obojęt-
ności. Na dobrą sprawę nie zawierała żadnej treści. Była jedynie
słowami, pod którymi kryło się tylko jedno - w dalszym ciągu nie
wiedzieli, na czym polega problem. Kiedy indziej poszedłby do
zespołu diagnostycznego, aby przykręcić im śrubę, zmusił, aby
wreszcie uporali się z tą zagadką. Ale teraz... Wzruszył ramionami
i przeszedł do następnego komunikatu:

OD: KIEROWNICTWA DRUŻYNY BASEBALLOWEJ

DO: WSZYSTKICH GRACZY

ZAŁADUJ PLIK BB.72, ABY OTRZYMAĆ NOWY, POPRAWIO-
NY LETNI PLAN ROZGRYWEK. DO ZOBACZENIA NA BOISKU!

Usłyszał, jak Luiza mówi przez telefon:

- Harry, musimy jakoś to rozwiązać. O której zamykają swoje
biura w Sunnyvale?

Sanders zajął się następną informacją.

BRAK DALSZYCH KOMUNIKATÓW GRUPOWYCH. CZY
CHCESZ PRZECZYTAĆ KOMUNIKATY OSOBISTE?

Kliknął ikonę.

CZEMU SIĘ PO PROSTU NIE PRYZYNASZ, ŻE JESTEŚ GEJEM?

/BRAK PODPISU/

Nie zadawał sobie trudu, by sprawdzić, skąd to przysłało.

Mógłby sprawdzić w systemie prawdziwy adres, ale w tym celu

354

musiałby skorzystać z prawa dostępu, które mu odebrano. Przeszedł

dalej:

ONA WYGLĄDA LEPIEJ NIŻ TWOJA SEKRETARKA, ALE TO

CI NIE PRZESZKADZAŁO JĄ PIEPRZYĆ.

/BRAK PODPISU/

Następny:

TY OŚLIZGŁY GADZIE - WYNOŚ SIĘ Z TEJ FIRMY.

TO NAJLEPSZA RADA.

"Chryste" - pomyślał. Następne:

MAŁY TOMCIO MIAŁ FIUTASKA.

BAWIŁ SIĘ NIM CO DNIA,

ALE KIEDY DAMA CHCIAŁA GO DOTKNAĆ,

POWIEDZIAŁ, ŻE JEJ NIE DA.

Wiersz ciągnął się dalej, aż do dołu ekranu, ale Tom nie czytał

dalszego ciągu. Kliknął i wywołał następny tekst.

GDYBYŚ NIE PIEPRZYŁ TAK CZĘSTO SWOJEJ CÓRKI, MOŻE

MÓGLBYŚ...

Kliknął znowu. A potem robił to coraz szybciej, przerzucając

kolejne komunikaty.

TYPY TAKIE JAK TY, DUPKU, PRZYNOSZĄ WSTYD MEŻ-

CZYZNOM.

BORIS.

Klik.

TY WSTREŃNA, MĘSKA ŚWINIO.

Klik.

NAJWYŻSZA PORA, ABY KTOŚ WRESZCIE PRZYPIEPRZYŁ
TYM SKAMLĄCYM SUKOM. MAM DOSYĆ TEGO, ŻE MAJĄ

355

PRETENSJE DO WSZYSTKICH POZA SOBĄ. CYCKI I PRETENSJE
SĄ SEKSUALNIE POWIĄZANYMI CECHAMI. JEDNO I DRUGIE
JEST W CHROMOSOMIE X.

TAK TRZYMAĆ

Przerzuczał zapisy dalej, już nie czytając. W końcu robił to tak

szybko, że nieomal przeoczył jeden z ostatnich komunikatów:

WŁAŚNIE OTRZYMAŁEM WIADOMOŚĆ, ŻE MOHAMMED

JAFAR JEST UMIERAJĄCY. CIĄGLE LEŻY W SZPITALU I ZAPEW-

NE NIE DOŻYJE RANKA. MIMO WSZYSTKO W TYCH CZARACH

CHYBA COŚ JEST.

ARTUR KAHN

Sanders patrzył na ekran. Człowiek umierający z powodu

czarów? Nie mógł sobie wyobrazić, że coś takiego rzeczywiście

mogło się zdarzyć. Sam pomysł zdawał się pochodzić z innego,

wcale nie jego świata. Usłyszał, jak Luiza mówi:

- To mnie nie obchodzi, Harry, ale informacja z Conrada jest

istotna dla ustalenia schematu postępowania Meredith. Musimy

jakoś ją od nich wydobyć.

Sanders włączył ostatni komunikat:

SPRAWDZACIE NIE TĘ FIRME.

PRZYJACIEL

Sanders przekręcił monitor tak, aby Luiza mogła zobaczyć

ekran. Zmarszczyła brwi i powiedziała w słuchawkę:

- Harry, muszę już kończyć. Zrób, co będziesz mógł.

Rozłączyła się.

- Co to znaczy "sprawdzacie nie tę firmę"? - zapytała

Sandersa. - Skąd ten przyjaciel wie, co robimy? Kiedy to przyszło?

Sanders popatrzył na nagłówek komunikatu.

- Dzisiaj o pierwszej dwadzieścia po południu.

Fernandez zanotowała w notatniku.

- A więc mniej więcej wówczas, kiedy Alan rozmawiał

z Conradem - stwierdziła. - A Conrad zatelefonował do

DigiComu, pamiętasz? A więc ten komunikat musi pochodzić od

kogoś stąd.

356

—

Ale przyszedł przez Internet.

— Bez względu na to, skąd pochodzi, przesłał ci go ktoś

z firmy, kto próbuje ci pomóc.

Pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, było Maks. Ale to

nie miało sensu. Dorfman był chytry, ale nie do tego stopnia. Poza

tym nie znał tak dokładnie funkcjonowania firmy.

Nie, wiadomość musiała pochodzić od kogoś, kto pragnął pomóc Sandersowi, ale nie chciał, aby o tym wiedziano.

- Sprawdźcie nie tę firmę... - powtórzył na głos.

A może to ktoś z Conley-White? "Do diabła - pomyślał, przecież to może być każdy".

- Co to znaczy, że sprawdzamy nie tę firmę? - zapytał. -

Sprawdzamy jej wszystkich dawnych pracodawców i mamy bardzo trudny...

Przerwał.

Sprawdzacie nie tę firmę.

— Chyba jestem idiotą - oznajmił. Zaczął stukać w klawisze komputera.

— O co chodzi? - zapytała Fernandez.

— Ograniczyli mój dostęp, ale w dalszym ciągu mogę coś wy dostać - oznajmił, pisząc szybko.

— Co takiego? - zapytała ze zdziwieniem.

— Powiedziałaś, że osoby molestujące działają według pewnych schematów, prawda?

— Tak.

— I że schematy te zawsze się powtarzają?

— Owszem.

— Sprawdzamy więc jej dawnych pracodawców, aby zdobyć informację o takich przypadkach.

— Słusznie. I nic nam nie wychodzi.

— Tak. Rzecz jednak w tym - oznajmił Sanders - że przez

ostatnie cztery lata Meredith pracowała tutaj, Luizy. Sprawdzaliśmy

nie tę firmę.

Patrzył na słowa migoczące na ekranie:

PRZESZUKIWANIE BAZY DANYCH

Po czym ponownie przekręcił monitor w stronę Luizy.

357

Digital Communications

Raport poszukiwania danych osobowych

BD 4: Dział Kadr/Podkatalog 5/Akta pracowników/Kryteria poszukiwań:

1. Dyspozycja: Zwolnienie/Przeniesienie/Rezygnacja
2. Przełożony: Johnson, Meredith
3. Inne kryteria: tylko mężczyźni

Zbiórca wynik poszukiwania:

Michael Tate 9/5/89 Zwolnić- Używanie narkoty- Pers.Ref.
ny ków

Edwin Sheen 5/7/89 Rezygnac- Zmiana zatrudnię- D-Silicon
ja nią

William Rogin 9/11 /89 Przeniesie- Własna prośba Austin
nie

Frederic Co- 2/4/90 Rezygnac- Zmiana zatrudnię- Squire Sx
hen ja nia

Robert Ely 1 /6/90 Przeniesie- Własna prośba Seattle
nie

Michael Bac- 11/8/90 Przeniesie- Własna prośba Malezja

kas nie

Peter Saltz 4/1 /91 Rezygnac- Zmiana zatrudnię- Novell

ja nia

Ross Wald 5/8/91 Przeniesie- Własna prośba Cork

nie

Richard Jack- 14/11/91 Rezygnac- Zmiana zatrudnię- Aldus

son ja nia

James French 2/292 Przeniesie- Własna prośba Austin

nie

Luiza Fernandez spojrzała na spis:

— Wygląda na to, że praca u Meredith Johnson może być niebezpieczna dla kariery zawodowej. Widać tu klasyczny wzór: ludzie pracują zaledwie przez kilka miesięcy, a potem rezygnują albo proszą, aby przeniesiono ich gdzie indziej. Wszystko całkowicie dobrowolnie. Nikt nigdy nie zostaje zwolniony, ponieważ mogłoby to pociągnąć za sobą oskarżenie o bezprawne wypowiedzenie. Czy znasz któregoś z tych ludzi?

— Nie - odparł Sanders kręcąc głową. - Ale trzech z nich jest w Seattle - oświadczył.

358

—

Widzę tylko jednego.

— Nie. Aldus jest tutaj. I Squire Systems jest niedaleko, w Bellevue. A więc Richard Jackson i Frederic Cohen są tu również.

— Możesz dowiedzieć się, jakie były finansowe szczegóły

warunków rozwiązania umowy o pracę z tymi ludźmi? - zapyta-

ła. - To mogłoby nam pomóc. Ponieważ jeżeli firma któremuś

z nich zapłaciła, będziemy mieli potrzebny nam przypadek.

— Nie - Sanders pokręcił głową. - Dane finansowe są poza

zerowym poziomem dostępu.

— Spróbuj mimo wszystko.

— Ale po co? System mnie nie przepuści.

— Spróbuj.

Zmarszczył brwi.

— Sądysz, że mnie monitorują?

-Gwarantuję.

— W porządku.

Wpisał parametry i wcisnął klawisz rozpoczynający przeszukiwanie.

Natychmiast pojawiła się odpowiedź:

PRZESZUKANIE FINANSOWEJ BAZY DANYCH JEST POZA

POZIOMEM /0/ DOSTĘPU

Wzruszył ramionami.

— Tak jak myślałem. Nic z tych rzeczy.

Ale ważne, że zadaliśmy pytanie - odparła Luiza, - To ich

obudzi.

Sanders kierował się w stronę wind, gdy zobaczył Meredith

idącą w jego stronę w otoczeniu trzech dyrektorów z Con-

ley-White. Odwrócił się szybko w stronę klatki schodowej i zaczął

schodzić w dół. Schody były puste.

Piętro niżej ktoś otworzył drzwi. Pojawiła się w nich Stefania

Kaplan i zaczęła wchodzić po schodach. Sanders nie miał ochoty z nią rozmawiać. Kaplan była w końcu dyrektorem finansowym i bliskim współpracownikiem Garvina i Blackburna. W końcu powiedział spokojnie:

— Jak leci, Stefanie?

— Witaj, Tom.

Skinęła głową chłodno, z rezerwą.

Sanders minął ją, zszedł kilka stopni w dół i wtedy usłyszał, jak Stefania mówi:

- Bardzo mi przykro, że masz tyle kłopotów.

Zatrzymał się. Kobieta stała na wyższym podeście i spoglądała w dół. Nikogo innego poza nimi nie było na schodach.

— Jakoś daję sobie radę - powiedział.

— Wiem o tym. Ale mimo wszystko, musi to być trudne. Tyle rzeczy się dzieje i nikt nie udziela ci żadnych informacji. Próby ustalenia wszystkiego muszą sprawiać ci mnóstwo kłopotów.

Nikt nie udziela ci żadnych informacji?

- No cóż, masz rację - odparł wolno. - Rzeczywiście trudno mi dotrzeć do pewnych danych, Stefanie.

360

Skinęła głową.

- Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zaczęłam pracować w biznesie - oznajmiła. - Miałam przyjaciółkę i ona dostała bardzo dobrą pracę w firmie, która zazwyczaj nie zatrudniała kobiet na stanowiskach kierowniczych. Pełniąc swoją nową funkcję, przeży-

wała mnóstwo kryzysowych sytuacji. Moja przyjaciółka była dumna, bo dawała sobie z nimi radę. Ale wkrótce okazało się, że zatrudniono ją tylko dlatego, że w dziale, którym kierowała, powstał finansowy skandal i od samego początku zamierzano ją nim obciążyć. A więc jej rola polegała na czymś zupełnie innym, niż sądziła. Była po prostu kozłem ofiarnym. A kiedy ją wyrzucano, nie wiedziała nawet, komu to wszystko zawdzięcza.

Sanders przyglądał się Stefanii Kaplan. Dlaczego opowiedziała mu tę historię...?

— Interesujące - stwierdził.

Stefania skinęła głową.

— Zawsze o niej pamiętam - oznajmiła.

Gdzieś wyżej otworzyły się z brzękiem drzwi i usłyszeli, że ktoś schodzi po schodach. Kobieta bez słowa odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Kręcąc głową Sanders skierował się do wyjścia.

W pokoju prasowym "Post-Inteligencera" Connie Walsh podniosła głowę znad terminalu komputera i powiedziała:

— Chyba żartujesz.

— Wcale nie - odparła stojąca nad nią Eleanor Vries. - Likwiduję tę historię. - Rzuciła wydruk na biurko Connie.

— Ale przecież wiesz, kim jest moje źródło - odparła Walsh. -

I wiesz, że Jake słuchał całej rozmowy. Mamy bardzo dobre notatki, Eleanor. Bardzo wyczerpujące.

— Wiem.

— Czy dysponując takim informatorem musimy obawiać się, że firma wytoczy nam proces? - zapytała Walsh. - Eleanor, mam materiał jak cholera!

— Masz materiał. A gazeta już jest narażona na poważny proces.

— Już? W jaki sposób?

— Artykuł o Panu Piggy.

— Och, na litość boską! Nie ma możliwości zidentyfikowania, o kim w artykule mowa.

Eleanor podała jej kserokopię artykułu z kilkoma akapitami zaznaczonymi żółtym flamastrem.

- Napisano tu, że firma X jest przedsiębiorstwem w Seattle zajmującym się wysoko przetworzonymi produktami, które właśnie zatrudniło na wysokim stanowisku kobietę, a Pan Piggy jej podlega.

Napisano też, że wniósł sprawę o molestowanie seksualne. Żona

362

Pana Piggy jest adwokatką. Mają małe dzieci. Napisałaś, że oskarżenie Pana Piggy nie jest bezpodstawne, że ma opinię pijaka i kobieciarza. Sądzę, że Sanders może śmiało twierdzić, że chodzi o niego, i skarżyć o zniesławienie.

— Ale artykuł był jedynie wyrazem pewnej opinii.

— Ten artykuł podaje też fakty. W sarkastyczny i wyraźnie przesadzony sposób.

— To komentarz. A komentarz jest chroniony.

— Nie sądzą, aby w tym przypadku można było zastosować

taką interpretację. Mam sobie za złe, że w ogóle pozwoliłam na drukowanie tego materiału. Chodzi o to, że jeżeli będziemy kontynuować publikację artykułów na ten temat, nie możemy potem twierdzić, że mieliśmy dobrą wolę.

— Nie masz kręgosłupa - rzuciła Walsh.

— A ty bardzo swobodnie poczynasz sobie z kręgosłupami innych ludzi - odparła Vries. - Materiał jest wstrzymany i to ostateczna decyzja. Wydaję polecenie na piśmie. Kopie otrzymasz ty, Marge i Tom Donadio.

— Pieprzeni prawnicy. Na jakim świecie żyjemy. Tę sprawę trzeba poruszyć.

— Nie próbuj rozkręcać jej dalej, Connie. Ostrzegam cię. Nie rób tego.

Vries odeszła.

Walsh przekartkowała swój artykuł. Pracowała nad nim całe popołudnie, wygładzając go, doskonaląc, doprowadzając do idealnego stanu. A teraz chciała, aby materiał się ukazał. Nie miała cierpliwości do prawniczego sposobu myślenia. Cała ta koncepcja chronienia czyichś praw to po prostu dogodna wymówka. Po dokładniejszej analizie okazywało się bowiem, że prawnicze myślenie było po prostu pozbawione szerszego spojrzenia na sprawę, mało-
stkowe i chroniące własne interesy. Podtrzymywało tylko struktury władzy. I taki strach również służył strukturom władzy. A tym samym mężczyznom, którzy ją sprawowali. Jeżeli zaś istniało coś, czemu Connie Wals sądziła, że jest wierna, to przekonanie, iż nie

zna lęku.

Po długiej chwili podniosła słuchawkę i wybrała numer.

— KSEA-TY, słucham.

— Proszę połączyć mnie z panią Henley.

363

Henley była młodą, rzutką dziennikarką w nowej niezależnej stacji telewizyjnej w Seattle. Walsh spędziła z nią wiele wieczorów, omawiając problemy pracy w mediach zdominowanych przez mężczyzn. Henley też zdawała sobie sprawę, co znaczy "gorąca sprawa" dla kariery dziennikarskiej.

Ta historia, przysięgła sobie Walsh, zostanie opowiedziana.

W taki sposób czy w inny, ale zostanie.

Robert Ely popatrzył na Sandersa ze zdenerwowaniem.

- Czego pan chce? - zapytał. Ely był młodym, zaledwie dwudziestosześcioletnim mężczyzną o blond wąsach. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i krawat. Pracował w jednym z boksów w tylnej części działu księgowości DigiComu w Gower Building.

— Chcę porozmawiać o Meredith - wyjaśnił Sanders. Ely był jednym z trzech mieszkających w Seattle mężczyzn z listy.

— O Boże - jęknął Ely rozglądając się nerwowo wokoło. Jego grdyka poruszyła w górę i w dół. - Ja... Ja nie mam nic do powiedzenia.

— Chciałbym tylko chwilkę porozmawiać - oznajmił Sanders.

— Nie tutaj! - odparł Ely.

— W takim razie chodźmy do sali konferencyjnej - za-

proponował Sanders. Przeszli przez hol do niewielkiej salki, ale tam trwało zebranie. Sanders zaproponował mały barek kawowy w rogu pomieszczenia dla księgowości, ale Ely odmówił, twierdząc, że jest tam zbyt wiele osób. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej nerwowy.

— Daję słowo, że właściwie nie mam panu nic do powiedzenia - powtarzał. - Nic, dosłownie nic.

Sanders zdawał sobie sprawę, że powinien natychmiast znaleźć jakieś spokojne miejsce, zanim Ely ostatecznie spłoszy się i ucieknie. Ostatecznie wybór padł na męską toaletę wyłożoną białymi, idealnie czystymi kafelkami. Ely oparł się o umywalkę.

365

—
Doprawdy nie wiem, dlaczego chce pan ze mną rozmawiać - oznajmił. - Nie wiem nic, co by pana interesowało.

— Pracował pan dla Meredith w Cupertino.

— Tak.

— Przeniósł się pan dwa lata temu do nas?

— Tak.

— Dlaczego?

— A jak pan myśli? - Ely wybuchnął gniewem. Jego głos odbił się echem od kafelków. - Dobrze pan wie, na litość boską.

Wszyscy wiedzą dlaczego. Zamieniła moje życie w piekło.

— Co się stało? - zapytał Sanders.

— Co się stało? - Ely potrząsnęła głową. - Każdego dnia, dosłownie każdego: "Robercie, zostań po godzinach, musimy omówić pewne sprawy". Po jakimś czasie próbowałem się wykręcić. A wtedy powiedziała: "Robercie, obawiam się, że nie okazujesz właściwego zaangażowania wobec firmy". I umieściła drobne uwagi w moim sprawozdaniu kwalifikacyjnym. Drobne, subtelne, negatywne uwagi. Nic, na co mógłbym się poskarżyć. Ale istniały. Gromadziły się. "Robercie, może wpadłbyś do mnie do domu i omówilibyśmy ten problem. Doprawdy sędzę, że powinieneś". Poszedłem... To było koszmarne. Osoba, hmm, z którą mieszkałem, nie... hm... No cóż byłem już z kimś związany.

- Czy złożył pan skargę na nią?

Ely roześmiał się gwałtownie.

- Żartuje pan? Jest przecież właściwie członkiem rodziny Garvina.

- A więc pogodził się pan z tym...

Ely wzruszył ramionami.

- Wreszcie człowiek, z którym mieszkałem, dostał inną pracę.

Gdy przeprowadził się tutaj, ja również poprosiłem o przeniesienie. Oczywiście, że inicjatywa wyszła ode mnie. Po prostu tak się złożyło.

- Czy teraz zeznawałby pan przeciwko Meredith?

- Nie ma mowy.

- Zdaje pan sobie sprawę - powiedział Sanders - że wszystko uchodzi jej płazem dlatego, że nikt nie składa skargi?

Ely odsunął się od umywalki.

- Mam dosyć kłopotów w moim życiu i nie mam zamiaru ich powiększać występując publicznie w tej sprawie. - Podeszedł do

366

drzwi, zatrzymał się na chwilę, a potem odwrócił. - Chcę być dobrze zrozumiany. Nie mam nic do powiedzenia na temat Meredith Johnson. Jeżeli ktoś mnie zapyta, stwierdzę, że nasze stosunki służbowe były przez cały czas nienaganne. A także oświadczę, że nigdy nie widziałem pana na oczy.

- Meredith Johnson? Oczywiście, że ją pamiętam - oznajmił

Richard Jackson. - Pracowałem dla niej ponad rok.

Sanders znajdował się w gabinecie Jacksona na drugim piętrze Aldus Building, w południowej części Pioneer Square. Jackson był przystojnym, trzydziestoletnim mężczyzną o jowialnym sposobie bycia. Zajmował stanowisko dyrektora działu Marketingu u Aldusa i cały jego gabinet wypełniały firmowe pudełka z programami graficznymi - Intellidraw, Freehand, SuperPaint i Pagemaker.

Sprawiał sympatyczne wrażenie.

— Piękna i czarująca kobieta - stwierdził Jackson. - Bardzo inteligentna.

— Zastanawiałem się, dlaczego pan odszedł - zapytał Sanders.

— Zaproponowano mi tę pracę. I nigdy tego nie żałowałem.

Cudowna praca. Cudowna firma. Zdobywam wielkie doświadczenie.

— Czy był to jedyny powód pańskiego odejścia?

— Chodzi panu o to, czy Meredith-Łowczyni Mężczyzn mnie dopadła? - roześmiał się Jackson. - A czy papież jest katolikiem?

Czy Bili Gates jest bogaty? Oczywiście.

— Czy miało to coś wspólnego z pańskim odejściem?

— Nie, nie - zaprotestował Jackson. - Meredith dopadała każdego. Jest pod tym względem szefem dającym jednakowe szansę.

Goniła za każdym. Gdy zaczynałem w Cupertino, miała takiego małego faceta, którego ściagała wokół stołu. Terroryzowała tego

368

biednego, sukinsyna. Był taki drobny, niski i nerwowy. Chryste, na jej widok cały się trząsał.

- A pan?

Jackson wzruszył ramionami.

— Nie miałem rodziny, dopiero zaczynałem karierę. A ona była piękna. Nie widziałem przeszkód.

— Nie miał pan żadnych kłopotów?

— Nigdy. Meredith była wspaniała. Oczywiście, jako kochanka do kitu. Ale nie można mieć wszystkiego. Była bardzo inteligentną, bardzo piękną kobietą. Zawsze umiała się znaleźć. A ponieważ lubiła moje towarzystwo, zabierała mnie wszędzie ze sobą. Spotykałem się z ludźmi, nawiązywałem kontakty. Było cudownie.

— A więc nie widział pan w tym nic złego?

— Ni cholery - odparł Jackson. - Potrafiła zachowywać się trochę władczo. Spotykałem się z paroma innymi kobietami, ale zawsze musiałem być na każde jej wezwanie. Nawet w ostatniej

chwili. Czasami bywało to dość irytujące. Zaczynałem dochodzić do wniosku, że moje własne życie nie należało do mnie. A czasami bywała w paskudnym nastroju. Ale co tam. Robi się to, co trzeba. Teraz, w wieku trzydziestu lat, jestem zastępcą dyrektora. Znako-
micie mi się układa. Doskonała firma, świetne miasto. Przyszłość. I wszystko zawdzięczam właśnie jej. Jest wspaniała.

— W okresie waszego związku był pan pracownikiem firmy, prawda?

— Tak, oczywiście.

— Czy -przepisy nie wymagają poinformowania o wszelkich związkach z podwładnymi? Zrobiła to?

— Chryste, nie - odparł Jackson. Pochylił się nad biurkiem. -

Wyjaśnijmy coś sobie, tak po prostu między nami mężczyznami.

Uważam, że Meredith jest nadzwyczajna. Jeżeli ma pan z nią kłopoty, są to pana kłopoty. Nie wiem, na czym one polegają.

W końcu żyłem z nią, na litość boską. A więc nic nie może mnie zaskoczyć. Meredith lubi się pieprzyć z facetami. Lubi im mówić, żeby robili to, czy tamto. Lubi im rozkazywać. Taka już jest. I nie widzę w tym nic złego.

— Nie przypuszczam, że chciałby pan...

— Złożyć zeznanie? - zapytał Jackson. - Niech pan będzie poważny. Proszę posłuchać. Gada się teraz kupę bzdur. Słyszę

369

czasami: "Nie możesz spotykać się z ludźmi, z którymi pracujesz".

Chryste, gdybym nie mógł spotykać się z ludźmi, z którymi pracuję,

do tej pory byłbym dziewicą. W końcu to jedyni ludzie, jakich się zna. A czasami są oni przełożonymi. Wielka rzecz. Kobiety pieprzą mężczyzn i uchodzi im to na sucho. Mężczyźni pieprzą kobiety i też nie dzieje się im nic złego. I tak każdy pieprzyłby się z każdym, gdyby mógł. Bo mają na to ochotę. W końcu kobiety są równie napalone jak mężczyźni. Chcą robić to samo, co robimy my. Takie jest życie. Ale trafia się na kogoś, kto akurat jest wnerwiony. Wtedy składa skargę i mówi: "O nie, nie możesz tego ze mną zrobić".

Mówię panu, wszystko jest pieprzeniem w bambus. Podobnie jak te seminaria rozwijające wrażliwość, na które wszyscy musimy chodzić. Ludzie siedzą z dłońmi na kolanach, jak na zebraniu pieprzonej Czerwonej Gwardii, i uczymy się, jak poprawnie zwracać się do naszych kolegów i koleżanek. A potem wychodzą i pieprzą wszystko, tak samo jak przedtem. Pracownica zaczyna: "Och, panie Jackson, czy chodzi pan do sali ćwiczeń? Wygląda pan na takiego mocnego człowieka". I trzepocze rzęsami. A co ja mam wtedy robić? Nie można tego regulować przepisami. Gdy ludzie są głodni, jedzą. I nie ma znaczenia, na ilu zebraniach byli. To wszystko jest jedną wielką głupotą. I każdy, kto to kupi, jest zwykłym dupkiem.

— Mam wrażenie, że odpowiedział pan na moje pytanie - rzekł Sanders. Najwyraźniej Jackson nie miał zamiaru mu pomóc.

— Niech pan posłucha - rzekł Jackson. - Przykro mi, że ma pan problemy. Ale wszyscy w dzisiejszych czasach są cholernie wrażliwi. Spotykam obecnie ludzi, dzieciaki prosto z college'u,

którzy naprawdę uważają, że nigdy nie spotka ich nic nieprzyjemnego. Nikt nigdy nie powinien powiedzieć niczego, co im się nie spodoba, ani opowiedzieć dowcipu, który nie będzie im odpowiadał. Ale rzecz w tym, że nie sposób stworzyć tego świata takim, jakim by go chcieli mieć. Zawsze zdarza się coś, co wprawia człowieka w zakłopotanie albo denerwuje. Takie jest życie. Słyszałem, jak kobiety codziennie opowiadają dowcipy o mężczyznach. Wulgarne dowcipy. Świńskie. A ja się nie daję tym wyprowadzić z równowagi. Życie jest wspaniałe. Kto ma czas na takie głupoty? Ja nie.

370

Sanders wyszedł z Aldus Building o piątej. Zmęczony i zmęczony kroczył wolno w stronę Hazzard Building. Ulice były mokre, ale deszcz przestał padać i promienie słońca usiłowały przedrzeć się przez chmury.

Dziesięć minut później znalazł się w swoim gabinecie. Cindy nie było przy biurku i Luiza również zniknęła. Czuł się opuszczony, samotny i bezradny. Usiadł i wybrał ostatni numer z listy.

— Dobry wieczór, tu Squire Electronic Data System.

— Proszę mnie połączyć z gabinetem Frederica Cohena.

— Przykro mi, ale pan Cohen już wyszedł.

— W jaki sposób mógłbym się z nim porozumieć?

— Obawiam się, że to niemożliwe. Czy chce pan nagrać dla niego wiadomość?

"Do diabła - pomyślał Sanders. - Czy ma to jakiś sens?" Ale

odpowiedział:

- Tak, chętnie.

Rozległo się przytknięcie, a potem głos:

- Cześć, tu Fred Cohen. Po sygnale proszę przekazać wiadomość. Jeżeli jest już po godzinach, proszę spróbować połączyć się z moim telefonem w samochodzie, numer 502-8804 lub domowym, numer 505-9943.

Sanders zanotował oba numery. Potem wybrał najpierw numer telefonu w samochodzie. Usłyszał szum zakłóceń, a potem:

371

—

Wiem, kochanie. Przepraszam, że się spóźniam, ale już jadę.

Po prostu zatrzymano mnie.

— Pan Cohen?

— Och. - Chwila ciszy. - Tak. Tu Fred Cohen.

— Nazywam się Sanders. Pracuję dla DigiComu i....

— Wiem, kim pan jest. - Ton głosu Cohena stał się nagle ostrożny.

— O ile mi wiadomo, pracował pan dla Meredith Johnson.

— Tak. Pracowałem.

— Czy mógłbym z panem porozmawiać?

— O czym?

— O pańskich dawnych wspomnieniach. Związanych z pracą u niej.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Cohen rzekł:

— A czemu ma to służyć?

— No, cóż. Mam obecnie pewien konflikt z Meredith i...

— Wiem, kim pan jest.

— No tak, i rozumie pan, chciałbym...

— Posłuchaj, Tom. Odszedłem z DigiComu dwa lata temu.

Cokolwiek wówczas się stało, w tej chwili jest już dawno przebrzmiałą historią.

— No cóż, w gruncie rzeczy chyba nie - zaprotestował

Tom. - Właśnie próbuję ustalić schemat jej postępowania i...

— Wiem, co pan usiłuje zrobić. Ale to bardzo drażliwa sprawa.

Nie chcę się w nią wplątać.

— Gdybyśmy mogli tylko porozmawiać - poprosił Sanders. -

Parę minut.

— Tom. - Głos Cohena był stanowczy. - Jestem już żonaty.

Moja żona jest obecnie w ciąży. Nie mam nic do powiedzenia na temat Meredith Johnson. Absolutnie nic.

— Ale...

- Przykro mi. Muszę już kończyć.

Pstryk.

Cindy wróciła w chwili, gdy odkładał słuchawkę, i postawiła przed nim filiżankę kawy.

— Wszystko w porządku?

— Nie - odparł. - Wszystko jest koszmarnie.

Nie miał ochoty przyznawać się, nawet samemu sobie, że stracił

pole manewru. Rozmawiał z trzema osobami i każda z nich odmówiła mu pomocy. Wątpił, czy pozostali mężczyźni z listy zachowają się inaczej. Przypomniawszy sobie, jak jego żona, Susan, powiedziała dwa dni temu: "Nie masz wyjścia". A teraz, po tych wszystkich wysiłkach, okazało się, że miała rację. Był skończony.

— Gdzie jest Luiza Fernandez? - zapytał.

— Ma spotkanie z Blackburnem.

— Co?

Cindy skinęła głową.

— W małej sali konferencyjnej. Są tam już od jakichś piętnastu minut.

— O, Chryste.

Wstał zza biurka i wyszedł na korytarz. Gdy dotarł do sali konferencyjnej, zobaczył adwokatkę siedzącą razem z Blackburnem.

Sporządzała notatki, a Blackburn patrzył w górę i coś mówił.

Wyglądało to, jakby coś jej dyktował.

W pewnej chwili Blackburn dostrzegł Sandersa i przywołał ruchem ręki.

— Tom - przywitał go z uśmiechem. - Właśnie chciałem iść do ciebie. Mam dobrą wiadomość. Sądzę, że zdołaliśmy rozwiązać ten problem. Raz na zawsze.

— Aha - mruknął Sanders. Nie wierzył w ani jedno jego słowo. Odwrócił się w stronę Fernandez.

Podniosła wolno głowę znad notatnika. Sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Tak to wygląda - przytaknęła.

Blackburn wstał i odwrócił się w stronę Sandersa.

- Nie jestem w stanie wyrazić, jak się cieszę, Tom. Przez całe popołudnie przemawiałem Bobowi do rozsądku i wreszcie zaczął spoglądać na sprawę realnie. Jest oczywistym faktem, że firma ma kłopot, Tom. I jesteśmy ci wdzięczni, że w tak wyraźny sposób zwróciłeś nam na to uwagę. Tak nie może dłużej być. Bob zdaje sobie sprawę, że musi wreszcie rozwiązać ten problem.

Sanders patrzył na niego w milczeniu. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ale Fernandez słuchała Blackburna, uśmiechając się i kiwając głową.

Blackburn wygładził krawat.

- Ale jak powiedział kiedyś Frank Lloyd Wright: "Bóg tkwi

373

w szczegółach". Wiesz, Tom, mamy jeden niewielki problem związany z fuzją. Musimy prosić cię, abyś udzielił nam pomocy na jutrzejszym spotkaniu informacyjnym z Mardenem, dyrektorem pionu ekonomicznego Conleya. Ale po tym... No cóż, zostałeś bardzo niesprawiedliwie potraktowany, Tom. Przez tę właśnie firmę. Mamy więc świadomość, że powinniśmy ci to wynagrodzić w każdy możliwy sposób.

Wciąż nie mogąc uwierzyć w jego słowa, Sanders rzucił krótko:

— O czym konkretnie mówimy?

— A więc, Tom, w tym momencie wszystko właściwie zależy od ciebie - powiedział uspokajającym tonem Blackburn. - Podałem

Luizie ramowe założenia potencjalnej ugody i wszystkie warianty, na które możemy się zgodzić. Potem omów z nią warunki i przekażesz je nam z powrotem. Oczywiście, podpiszemy wszelkie wymagane przez ciebie dokumenty. W zamian za to, prosimy cię jedynie, żebyś był obecny na jutrzejszym spotkaniu i pomógł nam w przeprowadzeniu fuzji. Czy uznajesz to za sprawiedliwe?

Blackburn wyciągnął rękę w jego stronę.

Sanders przyglądał mu się.

- Z głębi serca, Tom, wyrażam głębokie ubolewanie z powodu wszystkiego, co się wydarzyło.

Sanders uścisnął mu dłoń.

- Dziękuję ci, Tom - oznajmił Blackburn. - Dziękuję ci za twoją cierpliwość w imieniu własnym i firmy. A teraz usiądź, przedyskutuj wszystko z Luizą i poinformujcie nas o waszych decyzjach.

Blackburn wyszedł z pokoju, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

Sanders odwrócił się w stronę Luizy.

- Co się tu, u diabła, dzieje?

Adwokatka westchnęła przeciągle.

- To się nazywa kapitulacja - odparła. - Pełna i całkowita kapitulacja. DigiCom właśnie się poddał.

Sanders obserwował z sali konferencyjnej wychodzącego Blackburna. Ogarniały go sprzeczne uczucia. Nagle dowiedział się, że jest już po wszystkim, i to bez walki. Bez rozlewu krwi.

Patrząc na Blackburna przypomniał sobie nagle widok krwi

w umywalce łazienki w swoim dawnym mieszkaniu. Ale tym razem wiedział już, skąd się tam wzięła. Udało mu się odtworzyć chronologię wydarzeń.

Po swoim rozwodzie Blackburn zamieszkał z nim. Był na krawędzi załamania nerwowego i pił zbyt dużo. Pewnego dnia zaciął się tak paskudnie przy goleniu, że cała umywalka była pochlapana krwią. Gdy później Meredith zobaczyła krew w umywalce i na ręcznikach, zapytała w typowy dla siebie, wulgarny sposób: "Czy któryś z was pieprzył ją, gdy miała okres?" Lubiła szokować ludzi.

I właśnie wtedy, w sobotnie popołudnie, gdy Phil oglądał telewizję, paradowała po mieszkaniu w białych pończochach, pasie do podwiązek i biustonoszu. Sanders zapytał ją wówczas:

"Po co to robisz?"

"Żeby go pocieszyć" - odparła i rzuciła się na wznak na łóżko.

"A teraz może ty pocieszysz mnie?" - zapytała. I rozchyliła nogi...

— Tom? Czy mnie słuchasz? - pytała Luiza. - Hej? Tom?

Jesteś tutaj?

— Jestem - odparł Sanders. Ale wciąż obserwował Blackburna i myślał o nim. Teraz przypomniał sobie inny epizod, który zdarzył

375

się kilka lat później. Sanders zaczął chodzić z Susan i pewnej nocy Blackburn był z nimi na kolacji. W pewnym momencie Susan poszła do łazienki.

"Jest wspaniała - oznajmił Blackburn. - Oszłamiająca.

Piękna i po prostu wspomniała".

"Ale?"

"Ale... - Blackburn wzruszył ramionami. - Jest prawnikiem".

"I co z tego?"

"Nigdy nie można wierzyć prawnikowi" - stwierdził Blackburn

i roześmiał się ponuro, z goryczą.

Nigdy nie można wierzyć prawnikowi.

Tom odwrócił się w stronę Luizy.

- ...właściwie nie mieli wyboru - mówiła adwokatka. - Nie

mogli już ciągnąć tego dłużej. Fakty dotyczące Meredith są

obciążające. A taśma jest szczególnie niebezpieczna - nie chcą

dopuszczać do jej odtworzenia. Obawiają się, aby cała ta historia nie

wyszła na zewnątrz. Mieli kłopoty związane z wcześniejszymi

przypadkami molestowania seksualnego ze strony Meredith. Nieraz

tak czyniła i dobrze o tym wiedzą. Nawet jeżeli żaden z mężczyzn,

z którymi rozmawiałeś, nie zechce zeznawać, wiedzą, że któryś

w przyszłości może zmienić zdanie. I, oczywiście, pozostaje sprawa

ich głównego radcy prawnego, który przekazuje dziennikarzowi

informacje o wydarzeniach w firmie.

- Co? - zapytał Sanders.

Skinęła głową.

— Właśnie Blackburn informował Connie Walsh. Działał z jaw-

nym pogwałceniem wszelkich zasad dotyczących postępowania

pracownika. No i ma w związku z tym poważne kłopoty. Tego było

już po prostu za dużo. Takie sprawy mogą pogrążyć całą firmę.

Jeżeli spojrzeć na wszystko ze zdroworozsądkowego punktu widzenia, musieli zawrzeć z tobą ugodę.

— Tak - odparł Sanders. - Ale w tym wszystkim nie ma ani cienia zdrowego rozsądku, prawda?

— Zachowujesz się, jakbyś nie mógł uwierzyć - powiedziała

Luiza. - Ale spróbuj. Po prostu afera zrobiła się zbyt wielka. Nie mogli już trzymać wszystkiego w tajemnicy.

- Na czym polega więc ugoda?

Adwokatka spojrzała do notatek.

376

- Zapewniają zrealizowanie wszystkich żądań. Zwalniają Johnson. Jeżeli zechcesz, dają ci jej stanowisko. Możesz też zostać na swoim obecnym, albo dają ci jakieś inne w tej firmie. Wypłacają ci sto tysięcy za szkody moralne i regulują moje honorarium. Albo negocjują z tobą warunki rozwiązania umowy, jeżeli tego zechcesz. W każdym jednak przypadku dają ci pełną opcję zakupu akcji, jeżeli dział znajdzie się w ofercie publicznej. Bez względu na fakt, czy pozostaniesz w firmie, czy też nie.

— Jezu Chryste.

Kiwnęła głową.

— Pełna kapitulacja.

— Jesteś przekonana, że Blackburn mówi prawdę?

Nigdy nie można wierzyć prawnikowi.

— Tak - oznajmiła. - Szczerze mówiąc, jest to pierwsza

sensowna rzecz, jaka zdarzyła się przez cały dzień. Musieli tak

postąpić, Tom. Niebezpieczeństwo, na jakie się narażali, było ogromne, a stawka zbyt wielka.

— O co jednak chodzi z tym zebraniem?

— Martwią się o fuzję. To zresztą podejrzewałeś od samego początku. Nie chcą jej teraz zniweczyć, wprowadzając jakieś nagłe zmiany. Dlatego pragną, abyś razem z Johnson wziął udział w zebraniu. Zupełnie, jakby sytuacja była całkowicie normalna. A potem, na początku następnego tygodnia, Meredith podda się badaniom lekarskim, które i tak są obowiązkowe przy podejmowaniu nowej pracy. Wykażą poważne kłopoty ze zdrowiem, może nawet raka, co spowoduje godną ubolewania zmianę w dyrekcji.

— Rozumiem.

Podszedł do okna i spojrzął na miasto. Chmury były już wyżej i przedzierało się przez nie zachodzące słońce. Nabrał głęboko powietrza w płuca.

— A gdybym nie wziął udziału w zebraniu?

— Decyzja należy do ciebie, ale na twoim miejscu poszłabym tam - poradziła Luiza. - W obecnej sytuacji rzeczywiście możesz doprowadzić firmę do upadku. A jaki byłby z tego pożytek?

Ponownie odetchnął głęboko. Czuł się coraz lepiej.

- A więc przypuszczasz, że już po wszystkim - powiedział wreszcie.

377

- Tak. Już po wszystkim i wygrałeś. Dokonałeś tego. Gra-

tuluję, Tom.

Uścisnęła mu rękę.

- Jezu Chryste! - westchnął.

Wstała.

— Muszę sporządzić dokument, zawierający przebieg mojej rozmowy z Blackburnem i wymieniający warianty, o których ci mówiłam. W ciągu godziny powinnam wysłać mu go do podpisu.

Zadzwoń do ciebie, gdy już to zrobi. A tymczasem radziłabym ci, żebyś przygotował wszystko, co potrzebne, do jutrzejszego zebrania, a potem udał się na zasłużony odpoczynek. Spotkamy się jutro.

— Dobrze.

Powoli docierała do niego świadomość, że wszystko dobiegło końca. Naprawdę się skończyło. Stało się to tak nagle, że był lekko oszołomiony.

- Jeszcze raz gratuluję - powtórzyła Luiza. Zamknęła teczkę i wyszła.

Wrócił do swojego gabinetu około szóstej. Cindy właśnie wychodziła. > Zapytała, czy będzie jej potrzebował. Odpowiedział, że nie. Siedział przez jakiś czas przy biurku i patrzył w okno, napawając się zakończeniem dnia. Przez otwarte drzwi widział, jak inni przechodzą korytarzem, udając się do domu.

Wreszcie zadzwonił do żony w Phoenix, żeby przekazać jej dobrą wiadomość, ale linia była zajęta.

Rozległo się stukanie do drzwi. Podniósł głowę i zobaczył stojącego w nich Blackburna. Miał minę pełną skruchy.

— Mogę ci zająć chwilę?

— Oczywiście.

— Po prostu chciałem ci osobiście przekazać, jak bardzo mi przykro z powodu całej tej historii. W natłoku podobnych złożonych problemów, czasami wbrew najlepszym intencjom, traci się podstawowe ludzkie wartości. Gdy próbujemy być sprawiedliwi wobec wszystkich, czasami się nam nie udaje. A czymże jest firma, jeżeli nie grupą ludzi, ludzkich istot? Przecież w końcu wszyscy nimi jesteśmy. Jak powiedział kiedyś Aleksander Pope: "Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi". A więc doceniając szlachetność twojego postępowania w toku całej tej sprawy, chciałbym ci powiedzieć...

Sanders nie słuchał go. Był zmęczony. Docierał do niego jedynie fakt, że Phil zrozumiał swoją przegraną i obecnie usiłował naprawić błąd. W swój zwykły sposób - podlizując się tym, których poprzednio gnębił.

379

Sanders przerwał mu.

— A co z Bobem? - zapytał. Teraz, gdy było już po wszystkim, Sanders zaczął przejmować się Garvinem. Powracały wspomnienia z początków działalności firmy. Garvin był dla Sandersa kimś w rodzaju ojca i chciał teraz usłyszeć coś od Garvina. Chciał przeprosin. Albo czegoś w tym rodzaju.

— Mam wrażenie, że Bob weźmie teraz kilka dni wolnego - poinformował Blackburn. - W końcu musiał podjąć bardzo trudną decyzję. Długo przekonywałem go o twoich racjach. A teraz

musi wymyślić, w jaki sposób przekazać tę wiadomości Meredith.

I tak dalej.

— Aha.

— Ale w końcu tak zrobi. Wiem na pewno. A tymczasem chciałbym omówić kilka zagadnień związanych z jutrzejszym spotkaniem. Organizujemy je dla Mardena i będzie ono nieco bardziej oficjalne niż zazwyczaj. Przeprowadzimy je w dużej sali konferencyjnej na parterze. Zacznie się o dziewiątej i potrwa do dziesiątej. Meredith będzie przewodniczyła i poprosi wszystkich kierowników działów, aby przedstawili sprawozdanie z postępów w pracy i poinformowali o problemach. Najpierw Mary Annę, potem Don, Mark i wreszcie ty. Wszyscy będą mówili od trzech do czterech minut. Na stojąco. Włóż marynarkę i krawat. Skorzystaj z pomocy wizualnych, jeżeli je masz, ale unikaj szczegółów technicznych. Potraktuj je ogólnie. W twoim przypadku spodziewają się usłyszeć przede wszystkim o Twinkle.

Sanders skinął głową.

— W porządku. Ale właściwie nie mam żadnych dodatkowych informacji. Jeszcze nie ustaliliśmy przyczyny kłopotów.

— Nie szkodzi. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek oczekiwał rozwiązania. Po prostu podkreśl walory prototypów i fakt, że przezwyciężaliśmy już podobne problemy produkcyjne. Przedstawiaj wszystko w optymistycznym świetle i szybkim tempie. Jeżeli masz prototyp albo makietę, może dobrze by było je zaprezentować.

— W porządku.

— Wiesz, o co chodzi - czeka nas świetlana przyszłość techniki cyfrowej, a drobne przeszkody nie powstrzymają postępu.

— Meredith się na to zgadza? - zapytał Sanders. Był nieco zdenerwowany faktem, że będzie przewodniczyła zebraniu.

380

—
Meredith oczekuje, że wypowiedzi wszystkich kierowników będą optymistyczne i bez technicznych szczegółów.

— W porządku.

— Jeżeli zechcesz omówić swoje wystąpienie, zadzwoń do mnie w nocy - zaproponował Blackburn. - Albo wczesnym rankiem.

Załatwimy sprytnie to spotkanie i będziemy mogli ruszać dalej.

Zacniemy przeprowadzać zmiany w następnym tygodniu.

Sanders kiwnął głową.

- Jesteś człowiekiem, którego firma potrzebuje - oświadczył Blackburn. - Doceniam twoją wyrozumiałość. I powtarzam jeszcze raz, Tom. Bardzo mi przykro.

Wyszedł.

Sanders zadzwonił do Grupy Diagnostycznej, aby zorientować się, czy mają jakieś dodatkowe dane. Nikt jednak nie odbierał telefonu. Poszedł do szafy znajdującej się za biurkiem Cindy i wyjął materiały demonstracyjne - wielką planszę z rysunkiem stacji Twinkle i schemat linii produkcyjnej w Malezji. Przed swoim wystąpieniem umieści je na stole.

Po zastanowieniu, doszedł jednak do wniosku, że Blackburn

niał rację. Makieta albo prototyp bardzo by mu się przydał.

Prawdę mówiąc mógłby wykorzystać jedną ze stacji, które Artur przysłał z KL.

Przypomniawszy sobie, że powinien zadzwonić do Artura. Wybrał numer.

— Biuro pana Kahna.

— Mówi Tom Sanders.

— Pana Kahna nie ma, panie Sanders - odparła ze zdziwieniem sekretarka.

— A kiedy będzie?

— Jest poza biurem, panie Sanders. I nie wiem, kiedy wróci.

— Rozumiem. - Sanders zmarszczył brwi. Dziwne. Teraz, gdy zabrakło Mohammeda Jafara, trudno było sobie wyobrazić, że Artur mógł zostawić zakład bez nadzoru.

— Czy mam mu coś przekazać? - zapytała sekretarka.

— Nie, dziękuję.

Odłożył słuchawkę, przeszedł na trzecie piętro do działu Cherry'ego i wsunął kartę w szczelinę, aby odblokować zamek. Karta wyskoczyła z powrotem i na wyświetlaczu pojawiło się 0000.

381

Dopiero po chwili zrozumiał, że cofnięto mu prawo dostępu.

Natychmiast jednak przypomniał sobie znaną kartę. Wsunął ją w szczelinę i drzwi otworzyły się. Sanders wszedł do środka.

Z zaskoczeniem stwierdził, że pomieszczenie jest puste. Programiści pracowali w dziwnych godzinach, ale zawsze ktoś tu był

obecny, nawet o północy.

Przeszedł do laboratorium diagnostycznego, w którym badano stacje. Znajdowało się w nim kilka stołów warsztatowych otoczonych sprzętem elektronicznym i tablicami. Stacje, przykryte białymi pokrowcami, stały na stołach. Jaskrawe lampy kwarcowe były wyłączone.

Sanders usłyszał dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia rock and roll i skierował się w tę stronę. Dwudziestoparoletni programista siedział przy klawiaturze i coś pisał. Obok niego ryczało przenośne radio.

— Gdzie są wszyscy? - zapytał Sanders.

Programista podniósł głowę.

— Jest trzecia środa miesiąca.

— I co z tego?

— W trzecią środę miesiąca jest spotkanie SP.

— Aha.

Stowarzyszenie Programistów, czyli SP, było organizacją zrzeszającą programistów z rejonu Seattle. Przed kilkoma laty założył ją Microsoft, a comiesięczne spotkania miały charakter zarówno towarzyski, jak i zawodowy.

— Czy wiesz, co ustalił zespół diagnostyczny? - zapytał

Sanders.

— Bardzo mi przykro. - Programista pokręcił głową. - Dopiero przyszedłem.

Sanders wrócił do laboratorium. Włączył górne światło, delikat-

nie zdjął pokrowiec ze stacji i zobaczył, że tylko trzy stacje CD-ROMów zostały otwarte, a wokół nich leżą potężne szkła powiększające i elektroniczne próbniki. Pozostałe siedem, w dalszym ciągu zaspawane w plastikowych opakowaniach, leżały jedna na drugiej z boku stołu.

Popatrzył na tablice. Na jednej widniała seria równań i nagryz-molone dane. Na drugiej zaś spis:

A. Kontr, niekompat.

382

VLSI?

zasil.?

B. Optyczna dysfunkc.? Stab. napięcia?/gałąź sieci?/serwo?

C. Laser R/O /a,b,c/

D. a Mechaniczne W

E. Gremliny.

Sandersowi niewiele to mówiło. Ponownie zainteresował się stołami i popatrzył na sprzęt, z którego korzystano w czasie badań.

Sprawiał wrażenie dość standardowego, poza leżącymi na stole kilkoma igłami o dużym przekroju i paroma białymi, okrągłymi płytkami w plastikowej oprawie, które wyglądały jak filtry fotograficzne. Znajdowały się tu również polaroidowe zdjęcia przedstawiające stacje na różnych etapach demontażu. Zespół prowadził dokumentację swoich działań. Trzy fotografie położono równym rzędkiem jedna obok drugiej, jakby miały szczególne znaczenie, ale Sanders nie mógł zorientować się, dlaczego. Widniały na nich

jedynie czipy na tle zielonej płyty układu.

Obejrzał dokładnie same stacje, starając się niczego nie ruszać.

Potem przeszedł do tych, które w dalszym ciągu znajdowały się w plastikowych opakowaniach. Przyglądając im się bliżej, odkrył w folii maleńkie przekłucia.

Obok leżała strzykawka lekarska i notes otwarty na kolumnie cyfr:

CNZ711 /powtarzam 11/52

A pod spodem ktoś nagryzmolił: "Cholernie oczywiste!" Dla Sandersa jednak wcale nie było to takie oczywiste. Postanowił, że lepiej będzie, jeżeli zadzwoni później do Dona Cherry'ego, aby mu wszystko wyjaśnił. Wziął jedną stację ze stosu, aby wykorzystać ją w czasie jutrzejszego pokazu.

Wyszedł z pomieszczeń Diagnostyki, niosąc cały materiał demonstracyjny. Tablice obijały mu się o nogi. Zszedł na dół, do sali konferencyjnej na parterze, w której znajdowała się szafa na pomoce audiowizualne. Osoby prowadzące pokazy mogły tam przechować zgromadzone materiały do czasu swojego wystąpienia. Miał zamiar właśnie tak zrobić.

Minął recepcję, gdzie czarny strażnik oglądając mecz baseballowy, skinął mu głową na powitanie, a potem udał się dalej, w głąb budynku. Sanders szedł cicho, gruby dywan tłumił odgłos jego

383

kroków. W korytarzu było ciemno, ale z sali konferencyjnej dochodziło światło. Widział jego blask padający zza rogu.

Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, usłyszał, jak Meredith Johnson mówi:

- A co wtedy?

Odpowiedział jej niewyraźny, męski głos.

Sanders zatrzymał się.

Stał w ciemnym korytarzu i słuchał. Z tej części korytarza nie widział wnętrza pomieszczenia.

Przez chwilę panowała tam cisza, a potem Meredith odezwała się znowu:

— No dobrze, a więc co Mark powie na temat projektu?

— Tak, potwierdzi - oznajmił mężczyzna.

— W porządku. W takim razie co z...

Sanders nie dosłyszał końca zdania. Wolno przesunął się do przodu, stąpając cicho po dywanie i wreszcie wyjrzał zza rogu.

W dalszym ciągu nie widział wnętrza sali konferencyjnej, ale na korytarzu znajdowała się, przypominająca śmigło, wielka, chromowana rzeźba. W odbiciu na jej wypolerowanej powierzchni zobaczył

Meredith spacerującą po sali. Jej rozmówcą był Blackburn.

— A co będzie, jeżeli Sanders z tym nie wystąpi? - zapytała Meredith.

— Zrobi tak - odparł Blackburn.

— Jesteś pewien, że on nie... że to... - Ponownie reszta słów była zbyt niewyraźna.

— Nie... nie ma pojęcia...

Sanders wstrzymał oddech. Meredith chodziła i jej odbicie

przesuwało się również, wyginając i dziwacznie zmieniając.

— A więc kiedy tak zrobi.... Powiem, że to jest... to... co miałeś na myśli?

— Dokładnie tak - potwierdził Blackburn.

— A jeżeli on...

Blackburn położył jej dłoń na ramieniu.

— Tak, musisz...

— A więc... chcesz, żebym...

Blackburn powiedział coś cicho i Sanders dosłyszał jedynie:

— ...to musi go zniszczyć.

— Oczywiście, że mogę tak...

384

- ...Postaraj się... Liczę na ciebie...

Rozległ się ostry sygnał telefonu. Meredith i Blackburn jednocześnie sięgnęli do kieszeni. Meredith powiedziała coś i oboje ruszyli w stronę wyjścia. W kierunku Sandersa.

Ogarnięty paniką rozejrzał się wokoło. Zauważył po prawej stronie drzwi do męskiej toalety. Wślizgnął się do środka w chwili, gdy Meredith z Blackburnem wychodzili z sali konferencyjnej.

— Nie martw się tym, Meredith - oznajmił Blackburn. -

Wszystko pójdzie dobrze.

— Nie martwię się - odparła.

— Powinnaś zachowywać się spokojnie i beznamiętnie - ciągnął Blackburn. -

W końcu wszyscy wiedzą, że nie masz powodu

do urazy, a fakty przemawiają na twoją korzyść. Jest w ewidentny

sposób niekompetentny.

— W dalszym ciągu nie może wejść do bazy danych?

— Tak. Ma zablokowany dostęp do systemu.

— I nie ma możliwości dotarcia do systemu Conley-White?

Blackburn roześmiał się.

— Najmniejszej, Meredith.

Ich głosy stawały się coraz cichsze, oddalały się coraz bardziej w głąb korytarza. Sanders wyęczał słuch i wreszcie dobiegło go trzaśnięcie zamykanych drzwi. Wyszedł z toalety na korytarz.

Było pusto. Patrzył nieruchomym wzrokiem w stronę wyjścia.

W kieszeni zadzwonił mu telefon. Dźwięk był tak ostry, że

Sanders drgnął gwałtownie. Włączył aparat.

- Tu Sanders.

— Posłuchaj - oznajmiła Luiza Fernandez. - Przesłałam

projekt umowy Blackburnowi, ale zwrócił mi go z paroma dodatkowymi punktami, których nie jestem całkowicie pewna. Sądzę, że powinniśmy się spotkać, aby je przedyskutować.

— Za godzinę - odparł Sanders.

— A dlaczego nie od razu?

— Muszę najpierw coś zrobić - wyjaśnił.

- Ach, Tom - Maks Dorfman otworzył drzwi swojego hotelowego pokoju i natychmiast odjechał z powrotem w stronę telewizora. - Wreszcie postanowiłeś przyjść.

— Słyszałeś?

— O czym? - powiedział Dorfman. - Jestem starym człowie-

kiem. Nikt się już mną nie przejmuje. Zostałem odtrącony. Przez

wszystkich - nie wyłączając ciebie.

Zgasił telewizor i uśmiechnął się.

- Co takiego słyszałeś? - zapytał Sanders.

— Och, kilka rzeczy. Plotki, luźne rozmowy. Dlaczego nie opowiesz mi o tym sam?

— Mam kłopoty, Maks.

— Oczywiście, że masz - parsknął Dorfman. - I to od tygodnia. Dopiero teraz zauważyłeś?

— Oni usiłują mnie zrobić.

— Jacy oni?

— Blackburn i Meredith.

— Bzdura.

— Mówię prawdę.

— Uważasz, że Blackburn byłby w stanie cię zrobić? Philip Blackburn jest durniem bez charakteru. Nie ma żadnych zasad ani, prawie, rozumu. Już wiele lat temu radziłem Garwinowi, żeby go wylał. Blackburna nie stać na jedną choćby własną myśl.

- W takim razie Meredith.

386

—

Ach, Meredith. Tak. Cóż za piękność. I jakie cudowne piersi.

— Maks, proszę cię.

— Kiedyś sam tak myślałeś.

— Dawno temu - zaprotestował Sanders.

Dorfman uśmiechnął się.

— Czasy się zmieniły? - zapytał z wyraźną ironią.

— Co to ma znaczyć?

— Wyglądasz blado, Tom.

— Nie jestem w stanie niczego pojąć. Boję się.

— Och, boisz się! Wielki mężczyzna, taki jak ty, boi się tej pięknej kobiety o cudownych piersiach.

— Maks...

— Oczywiście, masz prawo się bać. Zrobiła ci tyle straszliwych rzeczy. Oszukała cię, manipulowała tobą, ubliżyła ci, prawda?

— Tak - przyznał Sanders.

— Stałeś się ofiarą jej i Garvina.

— Tak.

— To dlaczego wspominałeś mi o kwiecie, hmmm?

Sanders zmarszczył brwi. Przez chwilę nie wiedział o czym

Dorfman mówi. Staruszek był zawsze taki pokrętny i lubił to...

- Kwiat! - powtórzył z irytacją Dorfman, stukając palcami

w poręcz fotela inwalidzkiego. - Witraż w twoim mieszkaniu.

Rozmawialiśmy o nim przed paroma dniami. Nie mów mi, że zapomniałeś?

Prawdę mówiąc, chyba tak. I nagle Sanders przypomniał sobie witraż z kwiatem, wspomnienie, które nie proszone pojawiło się przed kilkoma dniami w jego myślach.

— Masz rację, zapomniałem.

— Zapomniałeś - stwierdził sarkastycznie Dorfman. - Są-

dzisz, że w to uwierzę?

- Maks, naprawdę...

Starzec parsknął.

— Jesteś niemożliwy. Nie mogę uwierzyć, że zachowujesz się tak szczerze. Nie zapomniałeś, Tom. Po prostu wolałeś nie dopuszczać tego do siebie.

— Czego?

Sanders ponownie wyobraził sobie ów kwiat - jaskrawo-pomarańczowy, purpurowy i żółty. Witraż osadzony w drzwiach

387

jego mieszkania. Na początku tego tygodnia myślał o nim bez przerwy, niemal obsesyjnie, a dzisiaj...

- Nie mogę już znieść tego rebusa - powiedział Dorfman. -

Oczywiście, że wszystko pamiętasz. Ale postanowiłeś o tym nie myśleć.

Sanders pokręcił głową. Czuł się zupełnie dezorientowany.

- Tom. Opowiedziałeś mi o wszystkim. Dziesięć lat temu -

oświadczył Dorfman, machając ręką. - Zwierzyłeś mi się. Wy-

plakałeś. Byłeś wtedy bardzo zmartwiony. Ponieważ była to wtedy najważniejsza sprawa w twoim życiu. A teraz chcesz powiedzieć, że

o wszystkim zapomniałeś? - Pokręcił głową. - Opowiedziałeś mi,

że jeździłeś z Garvinem do Japonii i Korei. A gdy wracałeś, czekała na ciebie w twoim mieszkaniu. W jakimś erotycznym stroju albo

w erotycznej pozie. I powiedziałeś mi, że czasami, gdy wracałeś do

domu, widziałeś ją właśnie przez szkło witraża. Czy nie tak było,

Tom? A może źle sobie przypominam?

Źle sobie przypominał.

W tej samej chwili wspomnienia eksplodowały nagle w pamięci Sandersa. Zobaczył wszystko tak, jakby przeżywał całe wydarzenie po raz wtóry: schody do mieszkania na drugim piętrze, dźwięki, które słyszał, przybliżając się do drzwi. Początkowo nie był w stanie ich zidentyfikować, ale wreszcie mu się to udało. Kiedy znalazł się na podeście, popatrzył przez kolorowe szybki i zobaczył...

— Wróciłem o dzień wcześniej - przypomniał sobie Sanders.

— Tak, rzeczywiście. Wróciłeś nieoczekiwanie.

Szkło w żółte, pomarańczowe i purpurowe wzory. A za nimi jej nagie plecy poruszające się w górę i w dół. Była w saloniku, na kanapie, i poruszała się w górę i w dół.

— I co wtedy zrobiłeś? - zapytał Dorfman. - Kiedy ją zobaczyłeś?

— Zadzwoiłem do drzwi.

— Tak jest. Bardzo kulturalnie. Uprzejmie i grzecznie. Zadzwoiłeś.

Przypomniał sobie, jak Meredith odwróciła się i spojrzała w stronę drzwi. Rozczochrane włosy opadły jej na twarz. Odgarnęła je i wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie na widok Sandersa.

Źrenice rozszerzyły się.

Dorfman naciskał:

A co było potem? Co zrobiłeś?

— Wyszedłem - odparł Sanders. - Poszedłem do garażu i wziąłem samochód. Jeździłem jakiś czas. Kilka godzin. Może więcej. Kiedy wróciłem, było już ciemno.

— Oczywiście byłeś przygnębiony.

Wspiął się po schodach i ponownie spojrzął przez witraż.

Salonik był pusty. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Na wygodniejszej kanapie stała miska z prażoną kukurydzą. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Odwrócił wzrok od kanapy i wszedł do sypialni, wołając Meredith. Zobaczył, że się pakuje. Na łóżku stała otwarta walizka.

"Co robisz?" - zapytał.

"Odchodzę" - powiedziała i odwróciła się w jego stronę. Całe ciało miała napięte. "Przecież tego chyba chcesz?"

"Nie wiem" - odpowiedział.

I wtedy wybuchnęła łzami. Łkając, sięgnęła po chusteczkę higieniczną i głośno, niezgrabnie jak dziecko, wydmuchała nos.

Wtedy objął ją, jakby chcąc pocieszyć, a ona przytuliła się do niego i powiedziała, że jest jej przykro, powtarzając przez łzy ciągle od nowa. Patrząc na niego. Dotykając jego twarzy.

- A wtedy jakoś...

Dorfman zachichotał...

— Prosto na walizce, co? Na ubraniach przygotowanych do zapakowania, pogodziliście się?

— Tak - potwierdził Sanders.

— Podnieciła cię. Zapragnąłeś jej znowu. Rzuciła ci wyzwanie.

Chciałeś ją posiąść.

— Tak...

— Miłość jest cudowna - westchnął z sarkazmem Dorfman. -

Taka czysta, tak niewinna. I znowu byliście razem, prawda?

— Tak. Przez jakiś czas. Ale nic już nie wyszło.

Dziwne, jak wszystko się skończyło. Początkowo był na Meredith bardzo wściekły, ale wybaczył jej i sądził, że będą mogli dalej być ze sobą. Rozmawiali o swoich uczuciach, o swojej miłości i najszczerzej w świecie próbowali kontynuować ten związek. Ale w końcu, żadne z nich nie było w stanie tego zrobić. Ten incydent fatalnie zaważył na ich stosunkach i zniknęło z nich coś najistotniejszego. Nieważne, jak często powtarzali sobie, że będą mogli

389

trwać w tym układzie. Teraz zawładnęło nimi coś innego. Istota ich wzajemnych stosunków została unicestwiona. Kłócili się częściej.

Aż wreszcie wszystko się skończyło.

— A kiedy zerwaliście na dobre -- powiedział Dorfman - przyszedłeś, aby ze mną porozmawiać.

— Istotnie - przyznał Tom.

— A dlaczego chciałeś się ze mną widzieć? - zapytał Dorfman. - A może "zapomniałeś" i o tym?

— Nie. Pamiętam. Chciałem, żebyś mi poradził.

Przyszedł do Dorfmana, ponieważ zastanawiał się nad wyjazdem z Cupertino. Zrywał z Meredith, jego życie było zagmatwane.

Chciał rozpocząć wszystko od początku, w jakimś zupełnie innym miejscu. Zastanawiał się więc nad przeniesieniem do Seattle, aby objąć kierownictwo Oddziału Wysoko Przetworzonych Produktów. Garvin pewnego dnia mimochodem zaproponował mu to stanowisko i Sanders zastanawiał się nad przyjęciem propozycji. Poprosił Dorfmana o radę.

— Byłeś bardzo zmartwiony - przypomniał Dorfman. - Przyżywałeś nieszczęśliwe zakończenie romansu.

— Tak.

— A więc można by powiedzieć, że Meredith Johnson spowodowała twoje przenosiny do Seattle - podsumował Dorfman. - Z jej powodu zmieniłeś przebieg swojej kariery zawodowej, swoją egzystencję. Rozpocząłeś ją na nowo. Właśnie tutaj. I wiele osób zna te fakty z twojej przeszłości. Wie o nich Garvin oraz Blackburn. Dlatego tak ostrożnie starał się wy badać, czy będziesz mógł z nią współpracować. Ale ty ich zapewniłeś, że nie ma obaw, prawda?

— Tak.

— Ale twoje zapewnienia były fałszywe.

Sanders zawahał się.

— Nie wiem, Maks.

— Daj spokój. Wiesz doskonale. Gdy usłyszałeś, że osoba od której uciekłeś, przyjeżdża teraz do Seattle, ściga cię aż tutaj i będzie*twoją przełożoną, musiałeś mieć uczucie, że to zły sen, koszmar z przeszłości. Na dodatek zajmuje stanowisko, na które liczyłeś i uważałeś, że ci się należy.

— Nie wiem...

— Doprawdy? Na twoim miejscu byłbym wściekły. Chciałbym

390

się jej pozbyć, prawda? Kiedyś bardzo cię zraniła i nie chciałeś, aby się to powtórzyło. Ale jaki miałeś wybór? Była protegowaną Garvina. Chroniła ją jego władza, i wiedziałeś, że Bob na pewno nie zechce słyszeć złego słowa na jej temat. Mam rację?

— Masz.

— Od wielu lat nie byłeś już w dobrych układach z Garvinem.

Właściwie on, wcale nie chciał, abyś brał tę pracę w Seattle.

Zaproponował ją, oczekując, że odmówisz. Garvin lubi protegowanych. Kocha widzieć wokół siebie admiratorów. Nie życzy sobie, aby pakowali się i wyjeżdżali do innego miasta. A więc Garvin rozczarował się tobą. Stosunki wasze już nigdy nie ułożyły się tak jak dawniej. I nagle pojawiła się kobieta z twojej przeszłości, kobieta popierana przez Garvina. A więc jakie miałeś opcje? W jaki sposób mogłeś rozładować swoje rozczarowanie?

Sanders czuł zawrót głowy, zmieszanie. Gdy powrócił myślą do wydarzeń pierwszego dnia - do plotek, oświadczenia Blackburna, pierwszego spotkania z Meredith - nie przypominał sobie uczucia gniewu. Jego emocje tamtego dnia były bardzo złożone, ale nie negatywne. Był tego pewien...

- Tom, Tom. Przestań marzyć. Nie ma na to czasu.

Sanders potrząsnął głową. Nie potrafił skupić myśli.

- Tom, sam wszystko zorganizowałeś. I nieważne, czy się

z tym zgodzisz. Nie ma znaczenia, czy postępowałeś świadomie, czy nie. W pewnym stopniu wszystko, co się stało, było dokładnie tym, co zamierzałeś. I zrealizowałeś swoje zamiary.

Przypomniał sobie Susan. Co powiedziała mu wtedy, w restauracji?

Dlaczego mi nie powiedziałaś? Mogłabym ci pomóc.

I, oczywiście, miała rację. Była adwokatem i gdyby już pierwszej nocy opowiedział jej o wszystkich wydarzeniach, mogłaby mu coś poradzić. Ale wolał wszystko przemilczeć.

Niewiele możemy już zrobić.

- Chciałeś doprowadzić do konfrontacji, Tom.

I słowa Garvina: Była twoją dziewczyną i miałeś Meredith za złe, że cię rzuciła. A teraz chcesz się jej odplącić.

— Przez cały tydzień dążyłeś do tej konfrontacji.

— Maks...

— A więc nie opowiadaj mi teraz, że jesteś ofiarą. Uważasz tak,

391

bo nie chcesz wziąć odpowiedzialności za własne życie. Ponieważ jesteś sentymentalny, leniwy i naiwny. Uważasz, że inni powinni się tobą opiekować.

— Jezu, Maks... - próbował przerwać mu Sanders.

— Zaprzeczasz, że miałeś w tym określony udział. Udajesz, że zapomniałeś. Udajesz nieświadomego. A teraz zgrywasz się na zaskoczonego.

— Maks...

— Och! Nie wiem, dlaczego się tobą przejmuję. Ile godzin zostało ci do tego spotkania? Dwanaście? Dziesięć? A mimo to tracisz czas na rozmowy ze zwariowanym staruchem. - Dorfman gwałtownie obrócił fotel inwalidzki. - Gdybym był na twoim miejscu, zabrałbym się do roboty.

— O co ci chodzi?

— No cóż, wiemy jakie są twoje intencje, Tom. Ale jakie są jej zamiary? Hmm? Ona również rozwiązuje problem. Ma swój cel. A więc, jakież to problem rozwiązuje Meredith?

— Nie wiem - odparł Sanders.

— Oczywiście. Ale w jaki sposób się dowiesz?

Pogrążony w myślach przyszedł do "Il Terazzo". Luiza

Fernandez czekała na zewnątrz. Weszli razem do restauracji.

— O, Chryste - powiedział Sanders i rozejrzał się wokół.

— Ci sami, co zawsze - zaśmiała się Luiza.

Na wprost, w dalszej części sali, Meredith Johnson jadła obiad z Bobem Garvinem. Dwa stoliki dalej, Phil Blackburn siedział razem z żoną, szczupłą kobietą w okularach, która sprawiała wrażenie księgowej. Niedaleko nich widać było Stefanię Kaplan w towarzystwie młodego, dwudziestoletniego człowieka. "Zapewne to jej syn, student, pomyślał Sanders. A z prawej strony, przy stoliku koło okna, ludzie z Conley-White jedli zapewne służbowy obiad. Przy ich nogach stały otwarte teczki i cały stolik zarzucony był dokumentami. Ed Nichols siedział między Johnem Conleyem a Johnem Dalym, który właśnie mówił coś do małego dyktafonu.

— Może powinniśmy pójść gdzie indziej - zaproponował

Sanders.

— Nie - odparła Luiza. - Już nas widzieli. Możemy usiąść tam w kącie.

Podszedł do nich Carmine.

— Panie Sanders - oznajmił z ukłonem.

— Chcielibyśmy stolik w kącie, Carmine.

— Ależ oczywiście, panie Sanders.

Usiedli po jednej stronie. Luiza wpatrywała się uważnie w Meredith i Garvina.

393

—
Mogłaby być jego córką - oznajmiła.

— Wszyscy tak mówią.

— To wręcz uderzające.

Kelner przyniósł menu. Sanders nie miał właściwie na nic apetytu, ale każde z nich coś zamówiło. Luiza Fernandez wpatrywała się w Garvina.

— Jest typem wojownika, prawda? - zapytała.

— Bob? Słynie z tego. Znany twardziel.

— Wie, jak z nim postępować. - Adwokatka odwróciła się i wyjęła z teczki papiery. - Oto umowa, którą odesłał mi Blackburn.

Wszystko jest w porządku, poza dwoma punktami. Po pierwsze, pozostawiają sobie prawo do zwolnienia cię, jeżeli okaże się, że popełniłeś wykroczenie służbowe.

- Aha.

Zastanawiał się, co może to oznaczać. /

- A drugi punkt dotyczy prawa do zwolnienia cię, jeżeli "nie okazałeś zadowalających osiągnięć, ocenianych według standardów przemysłowych". Co się pod tym kryje?

Pokręcił głową.

- Musi im o coś chodzić.

Powtórzył jej podsłuchaną rozmowę w sali konferencyjnej.

Jak zwykle Luiza nie okazała żadnych emocji.

— Być może - stwierdziła.

— Być może? Mają zamiar coś zrobić.

— Chodzi im o aspekt prawny. Możliwe, że zamierzają przenieść punkt ciężkości. Wtedy uda im się.

— Dlaczego?

— Pozew o molestowanie wydobywa na światło dzienne całość kształt pracy zawodowej podwładnego. Jeżeli istnieją jakieś zaniebdania z jego strony, nawet bardzo dawne lub drobne, mogą zostać one wykorzystane do odrzucenia pozwu. Miałam kiedyś klienta, który pracował w pewnej firmie dziesięć lat. Ale przedsiębiorstwo było w stanie udowodnić, że pracownik popełnił kłamstwo w podaniu o pracę i pozew został oddalony. Pracownika zwolniono.

— A więc sprawa dotyczy mojego wywiązywania się z obowiązków.

— Bardzo możliwe.

Zachmurzył się. Jaki mają na niego haczyk?

Ona również rozwiązuje swój problem. A więc, jakież to problem rozwiązuje Meredith?

Luiza wyjęła z kieszeni magnetofon.

— Mam coś, co chciałabym omówić - zaczęła. - Na taśmie jest zarejestrowana wcześniejsza część rozmowy.

— Dobrze.

Podawała mu magnetofon. Przyłożył go do ucha.

Usłyszał wyraźnie swój głos: "...zajmiemy się tym problemem później. Przekazałem jej twoje opinie. W tej chwili rozmawiam z Bobem, prawdopodobnie więc jutrzejsze zebranie rozpoczniemy wychodząc z takiej właśnie pozycji. No cóż, Mark, gdyby sytuacja się zmieniła, skontaktuję się z tobą przed jutrzejszym spotkaniem i..."

"Daj spokój telefonowi" - rozległ się głos Meredith, a potem szelest, chyba materiału, coś w rodzaju syknięcia i głuche stuknięcie upuszczanego telefonu. A potem, przez chwilę, ostry szum zakłóceń.

Znowu szelest. A potem cisza.

Mruknięcie. Szelest.

Słuchając, próbował wyobrazić sobie to, co działo się w pokoju.

Musieli przejść na kanapkę, ponieważ głosy były cichsze, mniej wyraźne. Usłyszał, jak mówi: "Meredith, poczekaj..."

"O, Boże" - odpowiedziała. - "Pragnęłam cię przez cały dzień."

Znowu szelesty. Ciężki oddech. Można było tylko przypuszczać, co się tam działo. Cichy jęk Meredith. Nowe szelesty.

"Och, Boże" - powiedziała. - "Ależ wspaniale cię czuję. Nie mogę wytrzymać jak ten sukinsyn mnie dotyka. Te głupie okulary. Och! Ależ jestem napalona. Nie pieprzyłam się przyzwoicie..."

Znowu szelesty. Szum zakłóceń. Szelesty. Znowu szelesty.

Sanders słuchał z wyraźnym rozczarowaniem. Na dobrą sprawę nie mógł sobie wyobrazić tej sceny - a przecież tam był. Ta taśma nie przekonałaby chyba nikogo. Przede wszystkim słychać było jakieś niewyraźne dźwięki. I długie okresy ciszy.

"Meredith".

"Oooch. Nic nie mów. Nie! Nie..." Słyszał, jak szybko dyszy.

A potem znowu cisza.

- Wystarczy - oświadczyła Luiza.

Sanders odłożył magnetofon i wyłączył go. Pokręcił głową.

- Na tej podstawie nie da się ustalić, co się właściwie działo.

395

—
Wystarczająco - odparła Fernandez. - I nie zaczynaj się martwić o dowody. To moja sprawa. Ale czy zwróciłeś uwagę na jej słowa na samym początku? - Spojrzała do notatnika. - Kiedy powiedziała: "Pragnęłam cię przez cały dzień"? A potem: "Och, Boże. Ależ wspaniale cię czuję. Nie mogę wytrzymać, jak ten sukinsyn mnie dotyka. Te głupie okulary. Och! Ależ jestem napalona. Nie pieprzyłam się przyzwoicie..." Słyszałeś tę część?

— Tak. Słyszałem.

— Dobrze. O kim mówiła?

— O kim mówiła?

— Tak, kto jest tym sukinsynem, czyjego dotykania nie może wytrzymać?

— Chyba jej mąż - odparł Sanders. - Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Przed nagraniem.

— Opowiedz mi, o czym rozmawialiście?

— Meredith narzekała, że musi płacić alimenty swojemu mężowi, a potem zwierzyła się, że był koszmar w łóżku. Powiedziała: "Nienawidzę faceta, który nie wie, co robi".

— A więc sądzisz, że "Nie mogę wytrzymać, jak ten sukinsyn mnie dotyka" - odnosi się do jej męża?

— Tak.

— A ja nie - odparła Luiza. - Rozwiedli się wiele miesięcy temu. Rozwód był bardzo przykry. Mąż jej nienawidzi. Ma teraz dziewczynę i wyjechał z nią do Meksyku. Nie sądzę, aby myślała o nim.

— A więc kto?

— Nie wiem.

— Sądzę, że to może być każdy - rzekł Sanders.

— Nie przypuszczam, żebyś miał rację. Posłuchaj uważnie brzmienia jej głosu. Posłuchaj, jak ona to mówi.

Przewinął taśmę i przyłożył magnetofon do ucha. Po chwili skonstatował:

- Jakby była bardzo rozgniewana.

Luiza kiwnęła głową.

— Ja używam określenia "oburzona". Jest w samym środku tego wydarzenia z twoim udziałem, ale mówi o kimś innym.

Właśnie w tej chwili stara się wyrównać z nim rachunki.

— Nie wiem - odparł Sanders. - Meredith jest gadułą. Wciąż

396

mówi o innych ludziach. Dawnych chłopakach i temu podobnych rzeczach. Na pewno nie nazwałabyś jej romantyczką.

Przypomniał sobie pewien moment, gdy leżeli razem w łóżku w mieszkaniu w Sunnyvale, rozluźnieni i szczęśliwi. Niedzielne popołudnie. Słyszeli, jak dzieci śmieją się na ulicy. Jego dłoń spoczywała na udzie Meredith. Czuł jej pot. I w tej właśnie chwili oznajmiła zamyślona: "Wiesz co, kiedyś chodziłam z takim Norwegiem. Miał zakrzywionego kutasa. Wygiętego w bok jak szabla i on..."

"Jezus, Meredith".

"O co chodzi? To prawda. Naprawdę miał takiego".

"Nie teraz".

Za każdym razem, gdy miało miejsce coś takiego, wzdychała głęboko, jakby ustępowała przed jego przesadną wrażliwością.

"Dlaczego faceci zawsze uważają, że są jedyni w swoim rodzaju?"

"Wcale nie. Wiemy, że nie jesteśmy tacy. Ale po prostu nie teraz, dobrze?"

Znowu westchnęła.

Fernandez powiedziała:

- Jeżeli więc rozmowa w czasie stosunku nie jest dla niej

niczym szczególnym - i potrafi być wtedy niedyskretna, albo

obraźliwa - to o kim ona wówczas mówiła?

Tom pokręcił głową.

— Nie wiem, Luizy.

— I nie może wytrzymać, jak jej dotyka... Zupełnie, jakby nie miała innego wyjścia. I wspomina te głupie okulary. - Spojrzała na Meredith, jedzącą spokojnie w towarzystwie Garvina. - On?

— Nie sądzę.

— Dlaczego nie?

— Wszyscy tak mówią. Wszyscy mówią, że Bob jej nie pieprzy.

— Wszyscy mogą się mylić.

Sanders pokręcił głową.

— To byłoby kazirodztwo.

— Pewnie masz rację.

Przyniesiono jedzenie. Sanders grzebał w swojej pasta puttanesca, wybierając oliwki. Nie czuł głodu. Obok niego Luiza jadła z apetytem. Zamówili takie same dania.

Sanders popatrzył na przedstawicieli Conley-White. Nichols

397

trzymał arkusz folii z umieszczonymi w nim 35-milimetroowymi diapozytywami. "Slajdy. Czego?" - zastanawiał się Tom. Okulary tkwiły mu na końcu nosa. Wydawało się, że jest nimi bardzo zajęty.

Siedzący obok niego Conley, zerknął na zegarek i powiedział coś

na temat czasu. Pozostali skinęli głowami. Conley zerknął na

Meredith i znowu zajął się dokumentami.

Daly powiedział coś w rodzaju:

— ...masz te dane?

— Są tutaj - odparł Conley, wskazując na dokumenty.

— To rzeczywiście bardzo smaczne - oznajmiła Luiza. - Nie pozwól, żeby ci wystygło.

— Dobrze. - Spróbował trochę i nie poczuł żadnego smaku.

Odłożył widelec.

Wytarła usta serwetką.

- Wiesz, właściwie nigdy nie wyjawiałeś mi, dlaczego w końcu się wycofałeś.

— Mój przyjaciel Maks Dorfman stwierdził, że to wszystko zaplanowałem.

— Aha - oznajmiła Luiza.

— Również tak uważasz?

- Nie wiem. Po prostu pytam, co wówczas czułeś. W chwili, gdy zrezygnowałeś ze stosunku.

Wzruszył ramionami.

— Po prostu, nie miałem ochoty.

— Aha. Poczuleś po prostu, że nie masz nastroju, co?

— Owszem. - A po chwili dodał. - Naprawdę chcesz wiedzieć, co było powodem? Zakaszłała.

— Zakaszłała? - spytała Fernandez.

Sanders znowu zobaczył siebie w tamtym pokoju, ze spodniami opuszczonymi do kolan, pochylonego nad Meredith. Przypominał sobie swoje uczucia i myśli. Co, u diabła, robię? I jej dłonie na

swoich ramionach, ciągnące go w dół. "Och, proszę... Nie... Nie..."

I w tej właśnie chwili odwróciła głowę i zakaszła.

Właśnie kasznięcie było powodem. Wtedy usiadł i powiedział:

"Masz rację". A potem wstał z kanapki.

Luiza zmarszczyła brwi.

- Myślę - powiedziała - że kasznięcie nie może być poważną przyczyną.

398

—

Ale tak było. - Odsunął talerz. - Chodzi mi o to, że nie powinno się kasłać w takiej chwili.

— Dlaczego? Czyżby istniał nie znany mi bliżej zakaz kasłania w takiej sytuacji, podczas stosunku? - zapytała Luiza.

— Ależ nie w tym rzecz - odparł Sanders. - Po prostu miało to określone znaczenie.

— Przykro mi, ale nie rozumiem. Co więc oznaczało to kasznięcie?

Zawahał się.

— No, wiesz. Kobiety zawsze uważają, że mężczyźni nie wiedzą, co się dzieje. Że nie wiedzą, jak się znaleźć w takim momencie, nie wiedzą, co robić, i tak dalej. Są po prostu głupi w sprawach seksu.

— Wcale nie sędzę, żebyś był głupi. Więc o co ci w tym wszystkim chodzi?

— Że wcale jej nie interesowało, co się dzieje.

Uniosła brwi.

— Mam wrażenie, że takie stwierdzenie jest dość kategoriyczne.

— Stwierdzam fakt.

- No, nie wiem. Mój mąż cierpi na chroniczne zapalenie oskrzeli. Ciągłe kaszle.

- Ale na pewno nie w najważniejszej chwili.

Zastanawiała się przez moment.

— No, nie, rzeczywiście, robi to zaraz potem. Dostaje ataku kaszlu. Zawsze się później z tego śmiejemy.

— Potem, to co innego. Ale w najważniejszej chwili... Mówię ci, nikt nie» kaszle.

Znowu pojawiły się wspomnienia. Policzki Meredith zaczerwieniły się, szyja pokryła plamami. Sutki już nie były twarde.

Początkowo tak, ale już nie teraz. Oczy stały się ciemniejsze. Wargi nabrzmiałe. Zmiana rytmu oddechu. Nagły żar. Poruszenia bioder, zmiana rytmu, napięcie, ale również coś innego, nieuchwytnego.

Zmarszczki na czole. Grymas. Ugryzienie. Tak wiele różnych reakcji, ale...

- Nikt nie kaszle -powtórzył.

Nagle poczuł ogarniające go zażenowanie. Przysunął talerz i znowu zaczął jeść. Chciał znaleźć pretekst, aby nie kontynuować tej rozmowy.

Luiza spoglądała na niego ze zdziwieniem.

399

—
Czy czytałeś gdzieś na ten temat?

Pokręcił przecząco głową.

— Czy mężczyźni rozmawiają o takich sprawach?

Znowu zaprzeczył.

— Kobiety to robią.

— Wiem. - Przełknął. - W każdym razie przestałem, bo ona kaszlnęła. Nie była zaangażowana w to, co robiła i chyba... chyba się wkurzyłem. Bo wprawdzie leżała dysząc i pojękując, ale tak naprawdę, wcale jej to nie obchodziło. I poczułem się...

— Wykorzystany?

— Coś w tym rodzaju. Manipulowany. Czasami myślę, że gdyby właśnie wtedy nie kaszlnęła... - Wzruszył ramionami.

— Może powinnam ją zapytać? - Luiza skinęła głową w stronę Meredith.

Sanders podniósł głowę i zobaczył Meredith zmierzającą w stronę ich stolika.

- O, do diabła!

- Spokojnie, spokojnie. Wszystko w porządku.

Meredith podeszła, uśmiechając się szeroko.

— Witaj, Luizy. Witaj, Tom. - Sanders zaczął podnosić się z krzesła. - Nie wstawaj, Tom, proszę. - Oparła dłoń na jego ramieniu i ścisnęła je lekko. - Ja tylko na chwilę. - Uśmiechała się promiennie. Wyglądała jak pewny siebie szef, który zatrzymał się, aby powitać podwładnych. Sanders dostrzegł, że przy jej stoliku Garvin płaci rachunek. Zastanawiał się, czy on również podejdzie do nich.

— Luizo, chciałam tylko powiedzieć, że nie czuję urazy - oznajmiła Meredith. - Każdy wykonuje swój zawód. Doskonale to rozumiem. Myślę, że pomogło to oczyścić atmosferę. Mam nadzieję, że od tej pory będziemy mogli działać konstruktywnie.

Stała tuż przy krześle Sandersa. Musiał pochylić się i przekręcić głowę, aby na nią spojrzeć.

— Może chciałaby pani usiąść? - zapytała adwokatka.

— Może na moment.

Tom wstał, by podsunąć jej krzesło. Doszedł do wniosku, że na przedstawicielach Conleya cała ta sytuacja powinna wywrzeć korzystne wrażenie. Szef nie ma zamiaru przeszkadzać, ale pragnie, aby współpracownicy go zaprosili. Przysuwając krzesło zerknął

400

kątem oka na ich stolik i spostrzegł, że Nichols spogląda w ich stronę znad okularów. Młody Conley również patrzył w tym kierunku.

Meredith usiadła na krześle podsuniętym jej przez Sandersa.

— Czy ma pani na coś ochotę? - zapytała Luiza.

— Właśnie skończyłam, dziękuję.

— Kawy? Czegoś innego?

— Dziękuję bardzo.

Sanders usiadł, a Meredith pochyliła się nad stołem.

- Bob właśnie wspomniał mi o planach wystawienia działu do oferty publicznej. Niezwykle podniecające. Ruszamy pełną parą naprzód.

Sanders patrzył na nią ze zdziwieniem.

— Bob ma już całą listę nazw dla nowej firmy po jej oddzieleniu w przyszłym roku. Posłuchajcie sami: SpeedCore, SpeedStar, PrimeCore, Talisan i Tensor. SpeedCore, o ile wiem, produkuje części do samochodów wyścigowych. SpeedStar brzmi, jakby chodziło nam tylko o pieniądze - może aż za bardzo. PrimeCore natomiast jak fundusz powierniczy. A co powiecie o Talisan albo Tensor?

— Tensor to lampy - odparła Luiza.

— No, dobrze. Ale uważam, że Talisan jest chyba dobry.

— Joint venture Apple-IBM nazywa się Taligent - stwierdził Sanders.

— Och! Masz rację. Zbyt podobne. A co powiecie o MicroDyne. Brzmi nie najgorzej. Albo ADG-Advanced Data Graphics? Czy któraś z tych nazw chwyci? Jak myślicie?

— MicroDyne brzmi nieźle.

— Też tak sędzę. Jest jeszcze jedno... AnoDyne.

— To środek przeciwbólowy - powiedziała Luiza Fernandez.

— Co takiego?

— Anodyne jest środkiem przeciwbólowym. Narkotykiem.

— Och. W takim razie rezygnujemy. I ostatnie - SynStar.

— Jak nazwa firmy farmaceutycznej.

— No tak, masz rację. Ale mamy cały rok, żeby wymyślić coś lepszego. A MicroDyne nie jest taka zła, na początek. Łączy coś, co jest mikro, z dynamiką. Dobry image, prawda?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, wstała, odsuwając krzesło.

401

- Muszę już iść. Ale sądziłam, że chcielibyście usłyszeć, jak wyglądają sprawy. Dzięki za uwagi. Dobranoc, Luizy. Do zobaczenia jutro, Tom. - Podała rękę Luizie, a potem Sandersowi i wróciła do Garvina. Następnie razem podeszli do stolika Conleya. Sanders patrzył na nią.

— Dobry image - powtórzył. - Chryste. Opowiada o nazwach dla firmy, ale nie ma pojęcia, czym ta firma ma być.

— Zrobiła niezłe przedstawienie.

— No, jasne - odparł. - Wszystko na pokaz. Ale wcale nie na naszą cześć. To dla nich. - Kiwnął głową w stronę ekipy Conley-White. Garvin witał się po kolei ze wszystkimi, a Meredith rozmawiała z Jimem Dalym. Daly zażartował i Meredith roześmiała się, odchylając głowę do tyłu i demonstrując swą długą szyję.

— Rozmawiała z nami z oczywistych względów. Jeżeli jutro mnie wyleją, nie będzie to wyglądało na zaplanowaną przez nią akcję.

Luiza płaciła rachunek.

— Pójdziemy? - zapytała. - Mam jeszcze kilka szczegółów do sprawdzenia.

— Doprawdy? A co takiego?

- Być może Alan coś dla nas wynalazł. Jest pewna szansa.

Przy stoliku Conleya Garvin już się żegnał. Pomachał zebrany

ręką i przeszedł przez salę, aby porozmawiać z Carmine.

Meredith pozostała przy stoliku. Stała za Johnem Conleyem opierając dłoń o jego ramię i rozmawiała z Dalym oraz Edem Nicholsem. Nichols powiedział coś, spoglądając znad okularów i Meredith roześmiała się. Podeszła, aby popatrzeć na trzymany przez niego arkusz z danymi. Jej głowa znalazła się tuż przy twarzy Nicholisa. Kiwała nią, wskazując na arkusz i coś mówiła.

Sprawdzacie nie tę firmę.

Sanders spoglądał na Meredith, która uśmiechała się i żartowała z trzema mężczyznami. Co takiego powiedział mu wczoraj Phil Blackburn?

Rzecz w tym, Tom, że Meredith Johnson ma bardzo dobre układy w tej firmie. Wywarła dobre wrażenie na wielu ważnych osobach.

Chodzi ci o Garvina?

Nie tylko. Meredith zorganizowała sobie poparcie w kilku sferach.

402

Conley-White?

Tak, tutaj również.

Luiza Fernandez wstała. Sanders zrobił to samo i powiedział:

— Wiesz co, Luizo?

— Słucham?

— Sprawdzaliśmy nie tę firmę.

Adwokatka zachmurzyła się i spojrzała w kierunku stolika

Conleya. Meredith kiwała głową, rozmawiając z Edem Nicholsem.

Wskazywała coś jedną ręką, a drugą dłoń opierała na blacie stołu.

Jej palce dotykały dłoni Nicholasa, który znad okularów spoglądał na rozłożone arkusze z danymi.

- Głupie okulary... - powiedział Sanders.

Nic dziwnego, że Meredith nie podtrzymywała oskarżeń przeciwko niemu. Byłoby to zbyt kłopotliwe w świetle jej związku z Edem Nicholsem. I nic dziwnego, że Garvin nie chciał jej zwolnić.

Wszystko doskonale pasowało. Nichols już obawiał się fuzji i właściwie cała sprawa mogła się trzymać jedynie dzięki jego romansowi z Meredith.

— Tak sądzisz? - westchnęła Luiza. - Nichols?

— Tak. Czemu nie?

Adwokatka pokręciła głową.

— Nawet jeśli to prawda, nic nam nie daje. Mogą zaprzeczyć, że preferencje były uwarunkowane emocjonalnie, mogą zaprzeczać prawie wszystkiemu - jeżeli w ogóle doszłoby do jakiegoś sporu.

W końcu nie byłaby to jedyna fuzja dokonywana w łóżku. Lepiej o tym zapomnijmy.

— Chcesz mi powiedzieć - zapytał Sanders - że nie ma niczego niewłaściwego w tym, że Meredith miała romans z kimś z Conley-White i w konsekwencji otrzymała awans?

— Absolutnie nie ma. Przynajmniej nie pod względem prawnym.

Dla nas to nieistotne.

Nagle przypomniał sobie, co powiedziała mu Kaplan. A kiedy ją wyrzucano, nie wiedziała nawet, komu to wszystko zawdzięcza.

- Jestem zmęczony - powiedział Sanders.

- Wszyscy jesteśmy. Oni również robią takie wrażenie.

Zebranie w drugim końcu sali dobiegało końca. Dokumenty chowano już do teczek. Meredith i Garvin jeszcze prowadzili rozmowy, aż wreszcie wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Garvin

403

podał rękę Carmine, który otworzył drzwi przed wychodzącymi gośćmi.

I wtedy właśnie stało się.

Na ulicy rozbłysło jaskrawe światło lamp halogenowych. Wychodzący zbili się w ciasną grupkę, która rzucała długie cienie w głąb restauracji.

- Co się dzieje? - zapytała Luiza.

Sanders obejrzał się, ale cała grupa wycofywała się już pośpiesznie, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę panował chaos. Fernandez i Sanders usłyszeli i zobaczyli, jak Garvin z okrzykiem: "Do diabła" - odwraca się w stronę Blackburna.

Phil stał przez chwilę z osłupiałą miną, a potem podbiegł do Garvina. Ten, przestępując z nogi na nogę, usiłował uspokoić pracowników Conley-White oraz opieprzyć Blackburna.

Sanders podszedł do nich.

— Wszystko w porządku?

— Ta cholerna prasa - odparł Garvin. - Na zewnątrz jest KSEA-TY.

— Oburzające - oznajmiła Meredith.

— Pytają o jakiś proces w sprawie molestowania - dodał

Garvin, spoglądając posępnie na Sandersa.

Tom wzruszył ramionami.

- Porozmawiam z nimi - zaproponował Blackburn. - To przecież absurd.

- Nie tylko absurd - odparł Garvin. - Po prostu skandal.

Wszyscy mówili jednocześnie, zgadzając się, że to skandal.

Sanders dostrzegł jednak, że Nichols sprawia wrażenie przerażonego.

W końcu Meredith zaczęła kierować wszystkich do wyjścia prowadzącego na taras z tyłu restauracji. Tylko Blackburn wyszedł frontowymi drzwiami, prosto w jaskrawe światła. Podniósł ręce do góry jak aresztowany przestępca i drzwi zamknęły się za nim.

- Niedobrze, niedobrze - powtarzał Nichols.

- Nie martw się, znam ich szefa - uspokajał go Garvin. -

Wstrzymam emisję.

Jim Daly przypomniał, że przecież fuzja miała być utrzymana w tajemnicy.

- Bądź spokojny - odparł ponuro Garvin. - Postaram się, aby tak było.

404

Gdy tamci wyszli tylnymi drzwiami, Sanders wrócił do stolika, przy którym czekała Luiza Fernandez.

— Trochę emocji - stwierdziła spokojnie.

— Coś więcej - odparł Sanders. Spojrzał w stronę tej części sali, gdzie Stefania Kaplan jadła obiad w towarzystwie syna. Młody człowiek mówił coś, gestykulując, ale ona wpatrywała się uparcie

w drzwi, przez które wyszli pracownicy Conley-White. Wyraz jej twarzy był dość dziwny. Po chwili jednak odwróciła się i powróciła do rozmowy z synem.

Wieczór był mroczny, wilgotny i nieprzyjemny. Sanders dygotał, wracając do biura razem z Luizą Fernandez.

— Skąd ludzie z telewizji dowiedzieli się o tej sprawie?

— Zapewne od Connie Walsh - odparła Fernandez. - Ale równie dobrze mogli się dowiedzieć w jakiś inny sposób. W końcu to nieduże miasto. A poza tym, nie zaprzataj sobie tą sprawą głowy. Musisz przygotować się do jutrzejszego zebrania.

— Staram się o tym zapomnieć.

— Raczej tego nie rób.

Przed sobą zobaczyli Pioneer Square. Okna budynków były w dalszym ciągu jaskrawo oświetlone. Wiele przedsiębiorstw miało powiązania z Japonią i pracowało w późnych godzinach wieczornych, podczas gdy w Tokio był wczesny poranek.

— Wiesz co? - powiedziała Fernandez. - Gdy obserwowałam Meredith w towarzystwie tych mężczyzn, po raz pierwszy zauważyłam, jak bardzo była spokojna.

— Tak. Meredith jest taka.

— Bardzo opanowana.

— Oczywiście.

— Dlaczego więc zaatakowała cię tak gwałtownie? I to już pierwszego dnia. Po co ten pośpiech?

Jaki problem usiłuje rozwiązać? - zapytał Maks. A teraz Luiza

zadawała takie samo pytanie. Wyglądało na to, że wszyscy wszystko rozumieją - poza Sandersem.

406

Nie jesteś ofiarą.

"A więc rozwiąż ten problem - pomyślał. - Zabierz się do roboty".

Przypomniał sobie rozmowę Meredith i Blackburna, wychodzących z sali konferencyjnej.

Powinnaś zachowywać się spokojnie i beznamiętnie. W końcu fakty przemawiają na twoją korzyść. Jest w ewidentny sposób niekompetentny.

W dalszym ciągu nie może wejść do bazy danych?

Tak. Ma zablokowany dostęp do systemu.

I nie ma możliwości dotarcia do systemu Conley-White?

Najmniejszej, Meredith.

Oczywiście, mieli rację. Nie mógł wejść do systemu. A co by uzyskał, gdyby mógł?

Rozwiąż problem - powiedział Maks. - Zrób to, co potrafisz najlepiej.

Rozwiąż problem.

— Niech to diabli - zaklął Sanders.

— Niedługo wezmą się do roboty - dodała Luiza.

Było wpół do dziesiątej. Na czwartym piętrze sprzątaczkі pracowały w głównym pomieszczeniu roboczym. Sanders

razem z Luizą poszli do jego gabinetu. Tak naprawdę nie bardzo wiedział, po co tu przyszli. Zupełnie nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze zrobić.

- Porozmawiam z Alanem - oświadczyła Luiza. - Może coś znalazł.

Usiadła i zaczęła telefonować.

Sanders zajął miejsce za biurkiem i popatrzył na monitor. Na ekranie widniał komunikat poczty elektronicznej:

WCIAŻ SPRAWDZACIE NIE TĘ FIRME

PRZYJACIEL

— A jak mam to zrobić? - powiedział Sanders, spoglądając na ekran. Był poirytowany, że musi zajmować się rebusem, który mógł rozwiązać każdy poza nim.

— Alan? Tu Luiza - rzekła Fernandez. - Co masz? Aha...

Aha. To znaczy... No cóż, duży zawód, Alanie. Nie, nie wiem w tej chwili. Jeżeli możesz, owszem. Kiedy się z nią zobaczysz? W porządku. Jak tylko będziesz mógł. - Odłożyła słuchawkę.

Sanders wpatrywał się w komunikat na ekranie. Ktoś w tej firmie próbował mu pomóc. Podpowiadał, że sprawdza niewłaściwe przedsiębiorstwo. I zapewne osoba przesyłająca mu tę informację

408

wiedziała również, że Sanders, po cofnięciu uprawnień, ma zablokowany dostęp do systemu operacyjnego DigiComu. Wiadomość zdawała się jednak sugerować, że jest jakiś sposób, aby to zmienić.

Co mógłby jeszcze zrobić?

Nic.

— Jak myślisz, kim jest ten "Przyjaciel"?

— Nie mam pojęcia.

— Może spróbujesz się domyślić?

— Nie wiem.

— Kto ci przychodzi do głowy?

Rozważał możliwość, że "Przyjacielem" jest Mary Annę Hunter.

Ale Mary Annę nie znała się na technice, jej atutem była znajomość marketingu. Nie wyobrażał sobie, że mogłaby przysyłać komunikaty okreśną drogą, przez Internet. Najprawdopodobniej nawet nie wiedziała, czym jest Internet. A więc nie ona.

I nie Mark Lewyn. Lewyn był na niego wściekły.

Don Cherry? Sanders zatrzymał się na chwilę przy tej kandydaturze. Była to nawet sensowna koncepcja. Ale w czasie jedyne go spotkania od początku całej tej historii Cherry zachowywał się zdecydowanie wrogo.

A więc chyba i nie on.

No i kto jeszcze pozostał? Tylko te osoby dysponowały kierowniczym poziomem dostępu do systemu operacyjnego w Seattle.

Hunter, Lewyn i Cherry. Krótka lista.

Stefania Kaplan? Mało prawdopodobne. W gruncie rzeczy

Kaplan była pozbawiona wyobraźni, choć niewątpliwie pracowita.

Nie znała się również w wystarczającym stopniu na komputerach.

"A może «Przyjacielem» jest ktoś spoza firmy? Na przykład

Gary Bosak" - pomyślał. Być może czuł się winny, że opuścił Sandersa. Poza tym posiadał instynkt i pomysłowość hackera - oraz typowe dla hackera poczucie humoru.

Rzeczywiście, pasowało to nawet do Gary'ego. Ale co dalej?

Potrafisz znakomicie rozwiązywać problemy techniczne. Możesz doskonale wykonać swoją pracę.

Wyciągnął stację CD-ROM Twinkle opakowaną wciąż w plastik. Dlaczego chcieli, aby tak ją opakować?

"Mniejsza o to - pomyślał. - Zastanawiaj się dalej".

409

Ze stacją było coś nie w porządku. Gdyby wiedział co, mógłby poznać odpowiedź.

Opakowana w plastikową folię.

Miało to jakiś związek z linią produkcyjną. Musiało mieć.

Szperał wśród dokumentów na biurku i znalazł kasetę DAT.

Wsunął ją do odtwarzacza.

Pojawił się obraz przedstawiający jego rozmowę z Arturem

Kahnem. Kahn znajdował się w jednej części ekranu, Sanders w drugiej.

Za Arturem widać było rzędy jaskrawych lamp fluorescencyjnych, oświetlających linię produkcyjną. Kahn odkaszlnął i potarł podbródek.

— Cześć, Tom. Jak się masz?

— Doskonale, Arturze - brzmiała odpowiedź.

— No cóż, to dobrze. Bardzo mi przykro z powodu nowej

struktury.

Ale Sanders nie słuchał rozmowy. Patrzył na Kahna. Teraz dopiero zauważył, iż mężczyzna stoi bardzo blisko kamery, do tego stopnia, że jego rysy są rozmazane, nieostre. Twarz wypełniała prawie cały ekran i uniemożliwiała dokładniejsze przyjrzenie się linii produkcyjnej.

- Wiesz, co czuję - oznajmił Kahn na ekranie.

Jego twarz zasłania linię.

Sanders patrzył jeszcze przez chwilę i wreszcie wyłączył od-twarzacz.

— Zejdźmy na dół - zdecydował.

— Masz jakiś pomysł? - spytała Luiza.

— Nazwijmy to nadzieją na ostatnią szansę - odparł.

Lampy włączyły się, zalewając ostrym światłem stoły w dziale Diagnostyki.

— Co to za pomieszczenie? - zapytała Luiza.

— Tutaj właśnie sprawdzali stacje.

— Stacje, które nie działały?

— Właśnie.

Fernandez wzruszyła lekko ramionami.

— Obawiam się, że nie...

— Ja również - odparł Sanders. - Nie mam wykształcenia technicznego. Po prostu umiem wyczuć ludzi.

Rozejrzała się po laboratorium.

— A możesz wyczuć to?

— Nie - westchnął.

— Czy już skończyli? - zapytała Luiza.

— Nie wiem - odparł.

I wtedy zrozumiał. Skończyli. Musieli skończyć. Ponieważ w przeciwnym razie zespół diagnostyczny harowałby całą noc, przygotowując się do jutrzejszego spotkania. Ale pozakrywali stoły i poszli na zebranie stowarzyszenia, ponieważ doprowadzili badania do końca.

Problem został rozwiązany.

Wszyscy znali rezultat poza nim.

Dlatego właśnie rozebrali tylko trzy stacje. Nie musieli robić tego z pozostałymi. A przecież prosili, aby przysłano je opakowane w plastyku i zaspawane...

411

Ponieważ...

Przekłucia...

— Powietrze - powiedział.

— Powietrze?

— Uważali, że problem wiąże się z powietrzem.

— Jakim?

— W zakładzie produkcyjnym.

— W Malezji?

— Tak jest.

— Czy to dotyczy powietrza w Malezji?

— Nie. W zakładzie.

Popatrzył na notes na stole. "CNZ", a poniżej kolumna cyfr.

CNZ oznaczało "cząsteczki na zespół". Standardowa jednostka pomiaru czystości powietrza w zakładzie. A cyfry wahające się od dwóch do jedenastu, były absolutnie nie do przyjęcia. Powinny wynosić zero... najwyżej jeden. Te dane oznaczały katastrofę.

Powietrze w zakładach było zanieczyszczone.

Co oznaczało, że brud osiadał na urządzeniach optycznych, dostawał się do napędu, do połączenia czipu...

Popatrzył na fotografie czipów na płytach.

— Chryste - powiedział.

— O co chodzi?

— Spójrz.

— Nic nie widzę.

— Między czipami i płytami jest szczelina. Czipy nie są dobrze zamontowane.

— Mam wrażenie, że wszystko jest w porządku.

— Nic podobnego.

Odwrócił się w stronę stosu stacji. Już na pierwszy rzut oka mógł dostrzec, że każdy czip jest inaczej osadzony. Niektóre były dopasowane, inne miały kilkumilimetrową szczelinę i można było dostrzec metal styków.

- To jest nieprawidłowe - stwierdził Sanders. - Coś takiego nie powinno mieć miejsca.

Czipy były mocowane przez automat dociskający. Na końcu linii każda płyta i każdy czip powinny być identyczne. Tak jednak nie było. Z tego właśnie powodu mogły powstawać zakłócenia

napięcia, problemy z alokacją pamięci...

412

Spojrzał na wypisaną na tablicy listę. Jego uwagę zwróciła jedna z pozycji.

D. [sig.] Mechaniczne W

Zespół diagnostyczny dwukrotnie sprawdzał część mechaniczną.

Problem ze stacją miał charakter mechaniczny. Co oznaczało, że kłopoty mają swoje źródło na linii produkcyjnej.

A osobą odpowiedzialną za linię był on sam.

Zaprojektował ją i ustawił. Sprawdzał wszystkie parametry linii od początku do końca.

A teraz pracowała wadliwie.

Był pewien, że nie jest to jego wina. Coś musiało się stać już po ustawieniu przez niego linii. W jakiś sposób dokonano zmian za jego plecami i linia przestała prawidłowo działać. Ale co się stało?

Aby to odkryć, musiał dostać się do bazy danych.

Ale przecież nie miał do niej dostępu.

Nie miał możliwości wejścia do systemu.

Natychmiast pomyślał o Bosaku. Bosak mógłby go tam prze-
myć. Podobnie zresztą, jak każdy z programistów Cherry'ego. Te
dzieciaki były hackerami i włamałyby się do systemu dla własnej
satysfakcji, takiej jaką zwykłym ludziom sprawiłaby filiżanka kawy.

Ale w tej chwili nie było na miejscu żadnego z nich. I nie miał
pojęcia, kiedy wrócą z zebrania. Te dzieciaki były nieobliczalne.

Weźmy choćby tego chłopaka, który puścił pawia na chodnik. Na

tym polegał cały problem. Byli dzieciakami, które bawiły się takimi zabawkami jak Korytarz. Inteligentne, twórcze dzieciaki, które się wygłupiały; nie zwracając na nic uwagi i...

— O, Jezu. - Wyprostował się. - Luizo.

— Słucham?

— Jest sposób, żeby to zrobić.

— Co takiego?

— Dostać się do bazy danych.

Odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z pokoju. Grzebał po kieszeniach, szukając drugiej karty elektronicznej.

— Wybieramy się dokądś? - zapytała Luiza.

— Tak.

— Czy mógłbyś mnie łaskawie poinformować, dokąd?

— Do Nowego Jorku - odparł Sanders.

Długie szeregi lamp zapalały się jeden po drugim. Luiza rozejrzała się po pomieszczeniu.

— Co to jest? Piekielna sala ćwiczeń?

— Symulator rzeczywistości wirtualnej - odparł Sanders.

Popatrzyła na okrągłe chodniki, przewody i kable zwisające z sufitu.

— W taki właśnie sposób masz zamiar dostać się do Nowego Jorku?

— Tak jest.

Sanders podszedł do szaf ze sprzętem. Znajdowały się na nich

wielkie, odręcznie wykonane napisy: NIE DOTYKAĆ albo: ŁAPY

PRECZ, PALANCIE. Zawahał się, szukając wzrokiem pulpitu operatora.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedziała Luiza.

Stała przy jednym z chodników, oglądając srebrne gogle. - Bo jak sądzę, można tu zarobić śmiertelne porażenie prądem.

— Tak, wiem.

Sanders szybko podnosił osłony monitorów i opuszczał je z powrotem. Wreszcie znalazł główny przełącznik. Chwilę później aparatura zaczęła szumieć, a monitory zapalały się jeden po drugim.

- Wejźmy na deptak - powiedział Sanders.

Podszedł i pomógł jej stanąć na chodniku. Luiza szurgnęła nogą, sprawdzając, jak przesuwają się kulki. Lasery błysnęły natychmiast zielonym światłem.

414

—

Co to było?

— Skaner. Odwzorowuje cię. Nie przejmuj się tym. Masz tu gogle.

Ściągnął gogle spod sufitu i zaczął je nakładać Luizie.

— Chwileczkę. - Odsunęła się. - Co to takiego?

— W goglach są dwa miniaturowe ekrany. Przekazują obraz prosto do twoich oczu. Nałóż je. I uważaj. Te drobiazgi są kosztowne.

— Jak bardzo?

— Ćwierć miliona dolarów od sztuki.

Dopasował gogle do jej twarzy i nałożył słuchawki na uszy.

- Nie widzę żadnych obrazów. Jest ciemno.

- Bo jeszcze nie jesteś podłączona.

Wetknął końcówki kabli do gniazdek.

— Och! - zawołała zaskoczona. - Wiesz... Widzę teraz

wielki, niebieski ekran, podobny do kinowego. Jest wprost przede mną. U dołu ekranu są dwa pudełka. Na jednym jest napisane WŁ, na drugim WYŁ.

— Tylko niczego nie dotykaj. Trzymaj ręce na tej poręczy -

polecił jej, kładąc palce Luizy na uchwycie chodnika. - Teraz ja się przygotowuję.

— Dziwnie się czuję z tą rzeczą na głowie.

Sanders stanął na drugim deptaku i ściągnął gogle spod sufitu.

Podłączył kabel.

- Zaraz do ciebie dołączę - powiedział.

Nałożył gogle. I zobaczył niebieski ekran otoczony mrokiem.

Spojrzał w lewo i dostrzegł stojącą obok niego Luizę. Wyglądała zupełnie normalnie, była w swoim zwykłym ubraniu. Aparatura wideo rejestrowała jej wygląd, komputer zaś eliminował chodnik i gogle.

— Widzę cię - oznajmiła zdziwionym tonem. Uśmiechnęła się.

Część twarzy, zasłonięta przez gogle, była animowana przez komputer, co nadawało jej nieco nierealny, przypominający rysunki kreskówkowe, wygląd.

— Podejdź do ekranu.

— W jaki sposób?

— Po prostu idź, Luizy - Sanders ruszył do przodu na swoim deptaku. Niebieski ekran stawał się coraz większy, aż wreszcie

415

wypełnił całe pole widzenia. Tom podszedł do napisu WŁ i nacisnął go palcem.

Błękitny ekran rozblęsnął. Pojawiły się na nim wielkie litery tworzące napis:

SYSTEM DANYCH DIGITAL COMMUNICATIONS

Pod nim znajdowała się kolumna pozycji menu. Ekran wyglądał tak, jak zwykle monitory DigiComu, które stały na wszystkich biurkach, tyle że powiększono go do ogromnych rozmiarów.

— Gigantyczny terminal komputera - powiedziała Luiza. -

Cudowne. Dokładnie to, o czym wszyscy marzyli.

— Poczekaj. - Sanders dotknął ekranu, wybierając pozycję menu. Rozległo się coś w rodzaju szeleszczącego świstu, a litery na ekranie zakrzywiły się do środka, wciągnęły i pogłębiły, tworząc ostatecznie coś w rodzaju ciągnącego się w dal komina. Luiza milczała.

"Zaniemówiła" - pomyślał.

Gdy tak patrzyli, niebieski komin zaczął się zmieniać. Rozszerzył się, stał się prostokątny. Litery i błękitny kolor zniknęły. Pod ich stopami pojawiła się podłoga. Sprawiała wrażenie wykonanej z żyłkowanego marmuru. Ściany po obu stronach wyglądały tak, jakby wyłożono je drewnianą boazerią. Sufit był biały.

- To korytarz - powiedziała cicho.

Korytarz dalej się rozbudowywał, stopniowo wzbogacając o nowe szczegóły. Na ścianach pojawiły się szuflady i szafki. Potem wzdłuż ścian wyrosły kolumny. Otworzyły się nowe przejścia, prowadzące do innych korytarzy. Ze ścian wyrosły wielkie lampy i włączyły się. Teraz kolumny zaczęły rzucać cień na marmurową podłogę.

— Wygląda jak biblioteka - stwierdziła Luiza. - Staroświecka biblioteka.

— Tak, w tej części.

— A ile jest jeszcze części?

- Nie jestem pewien.

Sanders zaczął iść przed siebie.

Przyspieszyła kroku, aby go dogonić. W słuchawkach słyszał stukot obcasów Luizy na marmurowej posadzce. Cherry dodał ten szczegół - zabawny akcent.

416

— Byłeś już tu kiedyś? - zapytała Luiza.

— Przed kilkoma tygodniami. Jeszcze nie był wykończony.

— Dokąd teraz idziemy?

— Nie jestem pewien. Ale gdzieś tutaj jest przejście do bazy danych Conley-White.

— A gdzie jesteśmy obecnie? - spytała.

— W danych, Luizy. To wszystko są tylko dane.

— Ten korytarz jest danymi?

— Tu nie ma korytarza. Wszystko, co widzisz, jest tylko zestawem cyfr. To baza danych DigiComu, dokładnie ta sama, do której ludzie mają codziennie dostęp przez swoje terminale komputerowe. Różnica polega jedynie na tym, że przedstawiona jest pod postacią pomieszczenia.

Szła obok niego.

— Ciekawa jestem, kto zajmował się architekturą wnętrza.

— Jest repliką prawdziwej biblioteki. Z Oksfordu, jak przypuszczam.

Doszli do skrzyżowania, od którego odchodziły inne korytarze.

Nad głowami wisiały wielkie napisy. Jeden głosił: KSIĘGOWOŚĆ.

Na drugim: DZIAŁ KADR. Na trzecim: MARKETING.

— Rzeczywiście - stwierdziła Luiza. - Jesteśmy w bazie danych twojej firmy.

— Tak jest.

— Oszłamiające.

— Tak. Ale nie chcemy tu dłużej być. W jakiś sposób musimy przedostać się do Conley-White.

— Ale jak?

— Nie wiem - odparł Sanders. - Potrzebuję pomocy.

— Pomoc jest przy tobie , - rozległ się cichy głos. Sanders obejrzał się i zobaczył anioła. Miał mniej więcej stopę wysokości.

Był biały i unosił się w powietrzu obok jego głowy, trzymając w dłoni migoczącą świecę.

— Do diabła! - zawołał Sanders.

— Przepraszam - odpowiedział anioł. - Czy to rozkaz? Nie

rozpoznaję: "Do diabła".

— Nie - zareagował szybko Sanders. - Nie rozkaz. - Zrozumiał, że musi uważać na swoje słowa, bo w przeciwnym razie spowoduje załamanie systemu operacyjnego.

417

—
Bardzo dobrze. Oczekuję na rozkaz.

— Aniele. Potrzebuję pomocy.

— Pomoc jest przy tobie.

— W jaki sposób wejść do bazy danych Conley-White?

— Nie rozpoznaję "bazy danych Conley-White".

"I słusznie - pomyślał Sanders. - Zespół Cherry'ego nie wprowadził do systemu pomocy niczego o Conley-White". Musi więc sformułować zdanie w bardziej ogólny sposób.

— Aniele - powiedział. - Poszukuję bazy danych.

— Bardzo dobrze. Dostęp do przejść do baz danych uzyskuje się z bloku klawiszy.

— Gdzie? - zapytał Sanders.

— Zaciśnij dłoń.

Sanders wypełnił polecenie i w powietrzu pojawiła się szara klawiatura. Wyglądało to tak, jakby ją trzymał.

— Bardzo dowcipnie - stwierdziła Luiza.

— Ja również znam dowcipy - powiedział anioł. - Czy chcielibyście kogoś posłuchać?

— Nie - odparł Sanders.

— Bardzo dobrze. Oczekuję na rozkaz.

Sanders popatrzył na blok klawiszy. Znajdowała się na nim długa lista rozkazów operatora, strzałki i przyciski.

— Co to takiego? - zapytała Luiza. - Najbardziej skomplikowany na świecie pilot telewizora?

— Mniej więcej.

Odnalazł przycisk z napisem INNE BD. Chyba to ten. Przycisnął.

Nic się nie stało.

Przycisnął jeszcze raz.

— Przejście się otwiera - oznajmił anioł.

— Gdzie? Nic nie widzę.

— Przejście się otwiera.

Sanders czekał. I w tej samej chwili uświadomił sobie, że system DigiComu musi mieć czas na powiązanie się z każdą oddaloną bazą danych. Połączenie się odbywało i to było przyczyną opóźnienia.

- Połączenie... Już - oznajmił anioł.

Ściana Korytarza zaczęła się roztopiać. Zobaczyli wielką, ziejącą czarną dziurę i nic poza nią.

418

- To niesamowite - powiedziała Luiza.

Zaczęły pojawiać się białe linie szkieletu, tworząc zarysy nowego korytarza.

— Ten wygląda inaczej - zauważyła Luiza Fernandez.

— Włączamy się za pośrednictwem łącza danych o dużej szybkości T-1 - wyjaśnił Tom. - Ale nawet przy jego zastosowaniu, proces musi jakiś czas trwać.

Korytarz kształtował się na ich oczach. Tym razem ściany były szare. Patrzyli na czarno-biały świat.

— Nie ma kolorów?

— System próbuje wygenerować proste środowisko. Kolor oznacza konieczność zastosowania większej ilości danych. A więc obraz jest czarno-biały.

W nowym korytarzu pojawiły się światła, sufit i podłoga. Po chwili Sanders zapytał:

— Wchodzimy do środka?

— Chcesz powiedzieć, że baza danych Conley-White jest tutaj?

— Tak - odparł Sanders.

— No, nie wiem - powiedziała Luiza i wskazała ręką: -

A co z tym?

Bezpośrednio przed nimi widniało coś, co przypominało płynącą rzekę czarno-białych zakłóceń statycznych. Przesuwała się po podłodze i ścianach z cichym sykiem.

— Mam wrażenie, że to tylko zakłócenia na łączach telefonicznych.

— Myślisz, że możemy ją przekroczyć?

— Musimy tak zrobić.

Sanders ruszył przed siebie i natychmiast usłyszał warczenie.

Drogę zagradzał mu wielki pies. Miał trzy głowy, które unosiły się

nad jego tułowiem i patrzyły we wszystkie strony.

- Co to takiego?

— Zapewne wyobrażenie ich systemu zabezpieczenia.

"Cherry i jego specyficzne poczucie humoru" - pomyślał.

— Czy może nam coś zrobić?

— Na litość boską, Luiz. To tylko kreskówka.

Oczywiście, gdzieś znajdował się system monitorujący bazę danych Conley-White. Możliwe, że był zautomatyzowany albo też ktoś obserwował użytkowników wchodzących i korzystających

419

z systemu. Ale w tej chwili w Nowym Jorku dochodziła pierwsza w nocy. Pies był po prostu metaforą jakiegoś automatycznego urządzenia.

Sanders zrobił krok do przodu, przechodząc nad płynącą rzeką zakłóceń. Pies zawarczał głośniejsze. Trzy głowy obróciły się i trzy pary oczu, jak z filmów rysunkowych, obserwowały go. Było to dość dziwne uczucie. Ale nic się nie stało.

Tom obejrzał się na Luizę.

- Idziesz?

Ruszyła ostrożnie przed siebie. Anioł pozostał w miejscu, unosząc się w powietrzu.

- Idziesz, aniele?

Anioł nie odpowiedział.

- Pewnie nie może przekroczyć przejścia - zauważył Sanders. - Nie ma tego w programie.

Ruszyli przed siebie szarym korytarzem. Ze wszystkich stron

widać było na ścianach nie oznakowane szuflady.

— Wygląda zupełnie jak w kostnicy - zauważyła Fernandez.

— No cóż, w każdym razie dostaliśmy się tutaj.

— Czy to ich baza danych w Nowym Jorku?

— Tak. Mam tylko nadzieję, że uda mi się to znaleźć.

— A czego szukasz?

Nie odpowiedział. Podeszedł do jednej z kartotek, na chybił trafił

wyciągnął jakąś szufladę i przekartkował teczkę.

— Zezwolenia budowlane - oświadczył. - Chyba na jakieś

magazyny w Maryland.

— Dlaczego nie ma oznakowań?

W chwili gdy to mówiła, zobaczył napisy pojawiające się na

szarej powierzchni. - Chyba wszystko musi trochę potrwać -

wyjaśnił. Potem odwrócił się i rozejrzał naokoło, szybko odczytując

oznakowania.

- Dobra. Tak już lepiej. Akta personalne są na tej ścianie,

o tam.

Poszedł we wskazanym przez siebie kierunku i wysunął jedną

z szuflad.

— Ojej! - zawołała Luiza.

— Co?

— Ktoś nadchodzi - powiedziała dziwnym głosem.

420

Z głębi korytarza zbliżała się szara postać. Znajdowała się

jeszcze zbyt daleko, aby można było dostrzec szczegóły. Ale kroczyła

wyraźnie w ich kierunku.

— Co teraz zrobimy?

— Nie wiem.

— Czy może nas zobaczyć?

— Nie wiem. Ale nie sądzę.

— Widzimy jego, a on nas nie?

— Nie wiem.

Sanders próbował ocenić sytuację. Cherry zainstalował kolejny system wirtualny w pokoju hotelowym dla przedstawicieli Conley-White. Jeżeli ktoś się w nim znajdował, zapewne może ich zobaczyć. Ale Cherry powiedział też, że jego system reprezentuje i innych użytkowników, na przykład tych, którzy wchodzą do bazy danych przez komputer. A osoba posługująca się komputerem nie mogłaby ich zobaczyć. Użytkownik komputera nie wiedziałby, że ktoś inny jest już w systemie.

Postać zbliżała się stopniowo. Posuwała do przodu szarpnięciami, bez płynności. Dostrzegali coraz więcej szczegółów - oczy, nos, usta.

— Naprawdę niesamowite - stwierdziła Luiza.

Postać była coraz bliżej. Pojawiały się dalsze szczegóły.

— Coś podobnego - rzekł ze zdziwieniem Sanders.

Był to Ed Nichols.

Z bliska mogli już dostrzec, że twarz Nicholasa przedstawiona była za pomocą czarno-białej fotografii, owiniętej niezgrabnie wokół jajowatej głowy, osadzonej na szarym ciele, które poruszało się jak

marionetka. Postać była wygenerowana komputerowo, co z kolei oznaczało, że Nichols nie znajdował się w systemie wirtualnym. Najprawdopodobniej w pokoju hotelowym korzystał ze swojego notesu elektronicznego. Nichols przeszedł obok nich, a potem skierował się dalej.

— Nie widzi nas.

— Dlaczego jego twarz jest przedstawiona w taki sposób? - zapytała Luiza.

— Cherry powiedział, że system wydobywa z akt fotografię użytkownika i montuje ją na sylwetce.

Postać Nicholisa oddalała się od nich, podążając w głąb korytarza.

421

—
Co on tu robi?

— Przekonajmy się.

Szli za nim korytarzem do chwili, gdy mężczyzna zatrzymał się przy jednej z kartotek. Wyciągnął szufladkę i zaczął przeglądać dokumenty. Sanders i Luiza podeszli bliżej, stanęli obok i zaczęli obserwować jego poczynania.

Generowana komputerowo postać Eda Nicholisa kartkowała notatki i wydruki poczty elektronicznej. Cofnął się o dwa miesiące, potem trzy, wreszcie pół roku. Teraz zaczął wyciągać kartki papieru, które zdawały się wisieć w powietrzu, i czytał je. Notatki. Zapiski. Osobiste i poufne. Kopie do Archiwum.

- Wszystkie te papiery dotyczą fuzji - stwierdził Tom.

Pojawiało się coraz więcej notatek. Nichols wyciągał je szybko, jedną po drugiej.

- Szuka czegoś konkretnego.

Nichols przerwał. Najwyraźniej odnalazł to, po co przyszedł.

Jego szary obraz komputerowy wziął do ręki kartkę papieru i popatrzył na nią. Sanders zaczął czytać mu przez ramię i powtarzał głośno niektóre zdania Luizie.

- Notatka datowana 4 grudnia ubiegłego roku. "Spotkałem się wczoraj w Cupertino z Garvinem i Johnson w sprawie ewentualnego nabycia DigiComu...bla bla... Pierwsze wrażenie bardzo korzystne... Wspaniałe bazowe dane o kluczowych sferach, które chcielibyśmy opanować... bla bla... Bardzo zdolny i prężny zespół kierowniczy na wszystkich poziomach. Szczególne wrażenie wywarła na mnie kompetencja pani Johnson, pomimo jej młodego wieku".

No pewnie, że byłeś pod wrażeniem, Ed.

Generowana przez komputer postać Nicholisa przeszła w głąb korytarza, do następnej szuflady i wysunęła ją. Nichols nie znalazł w niej tego, czego szukał. Zamknął szufladę i wyciągnął następną.

Znowu zaczął czytać i znowu Sanders zaglądał mu przez ramię:

- "Notatka dla Johna Mardena. Koszty związane z nabyciem DigiComu... bla, bla... Badania rozwojowe wysoko rozwiniętych technologii kosztują w nowej firmie... bla, bla..." No i mamy. "Pani Johnson podjęła się przedstawić swoje finansowe koncepcje związane z nowym przedsięwzięciem w Malezji... Można będzie dokonać

sugerowanych oszczędności... Oczekiwane oszczędności..." - Jak

udało jej się tego dokonać? - mruknął Sanders.

422

—

Co takiego? - zapytała Luiza.

— Przedstawić finansowe korzyści związane z przedsięwzięciem w Malezji. To należało do moich obowiązków.

_ Ooo - stwierdziła adwokatka. - Chyba w to nie uwierzysz.

Sanders spojrział na nią. Luiza patrzyła w głąb korytarza.

Poszedł za jej wzrokiem.

W ich stronę zbliżał się ktoś jeszcze.

- Pracowita noc - stwierdził Sanders.

Nawet z dużej odległości widać było, że ta postać jest odmienna.

Głowa była bardziej realistyczna, ciało przedstawione szczegółowo.

Przybysz szedł płynnie, w naturalnym rytmie.

— Mogą być kłopoty - oznajmił Sanders, poznając go mimo dużej odległości.

— To John Conley - powiedziała Luiza.

— Owszem. I jest na chodniku.

— Co to oznacza?

Conley zatrzymał się gwałtownie pośrodku korytarza i spojrział w ich stronę.

— Może nas widzieć - wyjaśnił Sanders.

— W jaki sposób?

— Znajduje się w systemie, który zainstalowaliśmy w hotelu.

Dlatego jest przedstawiony szczegółowo. Przebywa w drugim systemie wirtualnym, a więc może nas widzieć tak samo, jak my jego.

Conley ruszył wolno do przodu. Wyraźnie marszczył brwi.

Popatrzył na Sandersa, potem na Luizę, na Nicholisa i znowu na Sandersa. -Wydawało się, że nie wie, co ma robić.

A potem gestem nakazującym milczenie przyłożył palec do warg.

— Czy może nas słyszeć? - szepnęła Fernandez.

-*- Nie - odparł głośno Sanders.

— A czy możemy z nim porozmawiać?

— Nie.

Conley wyraźnie podjął decyzję. Podeszedł bardzo blisko Sandersa i Luizy i popatrzył na nich. Doskonale widzieli wyraz jego twarzy.

A potem uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

Sanders zrobił to samo i potrząsnął jego dłonią. Nie poczuł nic, chociaż za pośrednictwem gogli wyglądało to tak, jakby się witali.

Następnie Conley podał rękę Luizie.

- Wyjątkowo niesamowite uczucie - oświadczyła.

423

Conley wskazał na Nicholisa. Potem na swoje oczy i znowu na Nicholisa.

Sanders skinął głową.

/Wszyscy razem stanęli przy Nicholsie przeglądającym dokumenty.

— Czy to oznacza, że Conley również go obserwuje?

— Tak.

— A więc my wszyscy widzimy Nicholasa...

— Tak.

— Ale on nie dostrzega żadnego z nas.

— Owszem.

Szara komputerowa postać wyciągała szybko teczki z szuflady.

- Co on teraz robi? - zastanawiał się Sanders. - Aha.

Przegląda dokumentację wydatków. Właśnie coś znalazł: "Gospoda

Sunset Shores, Carmel. Piąty i szósty grudnia". Dwa dni po

notatce. I popatrz na te wydatki. Sto dziesięć dolarów za śniadanie?

Jakoś nie chce mi się wierzyć, że Ed był tam sam.

Spojrzał na Conleya.

Conley z posępną miną kręcił głową.

Nagle dokument trzymany przez Nicholasa zniknął.

— Co się stało?

— Przypuszczam, że właśnie go skasował.

Nichols kartkował następne dokumenty. Znalazł dalsze cztery

rachunki wystawione przez Sunset Shores i skasował je wszystkie.

Rozplynęły się w powietrzu. A potem zamknął szufladę, odwrócił

się i odszedł.

Conley pozostał na miejscu. Popatrzył na Sandersa i przeciągnął

szybko palcem po gardle.

Sanders skinął głową.

Conley ponownie przyłożył palec do ust i Sanders jeszcze raz

kiwnął potakująco. Będzie milczał.

- Chodźmy - powiedział do Luizy. - Załatwiliśmy już

wszystko. - Ruszył w stronę Korytarza DigiComu.

Szła* Obok niego i po chwili zauważyła:

- Chyba mamy towarzystwo.

Sanders obejrzał się. Conley podążał za nimi.

- W porządku - odparł. - Niech idzie.

Przekroczyli przejście, minęli szczekającego psa i ponownie znaleźli się w wiktoriańskiej bibliotece.

- Jak to dobrze znaleźć się z powrotem w domu, prawda? -

westchnęła Luiza.

Conley szedł obok, nie zdradzając najmniejszego zdziwienia.

W końcu widział Korytarz już wcześniej. Sanders maszerował szybko, a anioł płynął obok nich.

— Ale zdajesz sobie sprawę - oświadczyła adwokatka - że nic z tego, co widzieliśmy, nie ma sensu. Przecież to Nichols sprzeciwiał się fuzji, a Conley do niej nakłaniał.

— Tak jest - odparł Sanders. - I dlatego sytuacja jest doskonała. Nichols załatwia wszystko zakulisowo z Meredith.

Również zakulisowo lansuje ją jako nową szefową oddziału. A jak ukrywa ten fakt? Stale czepiając się i narzekając.

— Chcesz powiedzieć, że to kamuflaż?

— Oczywiście. Dlatego Meredith nigdy nie reagowała na jego skargi w czasie zebrań. Wiedziała, że Nichols nie stanowi rzeczywistego zagrożenia.

— A Conley?

Mężczyzna, o którym mówiła, ciągle szedł obok nich.

- Conley rzeczywiście pragnie zawrzeć tę transakcję. I chce, żeby wszystko było w porządku. Jest bystry i mam wrażenie, że zdaje sobie sprawę, iż Meredith nie nadaje się do tej pracy. Ale jednocześnie widzi, że Meredith jest ceną za zgodę Nicholasa. A więc aprobuje jego wybór - przynajmniej na jakiś czas.

425

—
I co mamy teraz zrobić?

— Znaleźć ostatni brakujący szczegół.

— Jaki?

Sanders spoglądał w głąb korytarza oznaczonego OPERACJE.

Właściwie nie był to jego rejon bazy danych, poza pewnymi fragmentami, w których istniały wspólne działania. Pliki były oznaczone alfabetycznie. Szedł wzdłuż szeregu kartotek, aż wreszcie znalazł napis DIGICOM/MALEZJA SA.

Wyciągnął szufladę i odszukał fragment pliku oznaczony ROZPOCZĘCIE. Odnalazł własne notatki, oceny, dane lokalizacyjne, negocjacje z rządem, pierwszy zestaw warunków technicznych, informacje od singapurskich dostawców, dalsze pertraktacje z rządem - całą dokumentację obejmującą okres dwóch lat.

— Czego szukasz?

— Planów budowy.

Spodziewał się ujrzeć grube pliki planów i raportów z inspekcji, ale zamiast tego znalazł jedynie cienką teczkę. Rozłożył pierwszy

arkusz i przed nim pojawił się trójwymiarowy obraz fabryki.

Początkowo był to jedynie zarys, który jednak gwałtownie wypełniał się i coraz bardziej przypominał materialny obiekt. Cała trójka stała po jego trzech stronach, przyglądając się czemuś, co przypominało wielki, dokładnie wykonany domek dla lalek. Zaglądali do środka przez jego okna.

Sanders nacisnął guzik. Model stał się przezroczysty, a potem przekształcił w przekrój. Teraz widać już było linię montażową, centrum produkcji. Zielona linia - taśma przenośnika - zaczęła się poruszać i maszyny oraz robotnicy montowali stacje CD-ROMów z pojawiających się części.

— Czego szukasz?

— Zmian. - Pokręcił głową. - To pierwszy komplet planów.

Drugi arkusz był podpisany "Zmiany 1/Pierwszy zestaw" i zaopatrzony w datę. Rozłożył go. Model zakładów przez chwilę zdawał się migotać, ale w istocie pozostał nie zmieniony.

- Nic się nie stało.

Następny arkusz nosił oznakowanie: "Zmiany 2/Szczegóły".

I znowu, gdy Sanders go rozłożył, model zamigotał przez chwilę, ale nie uległ zmianie.

426

- Zgodnie z tymi dokumentami, zakłady nigdy nie uległy żadnym przeróbkom - rzekł Sanders. - Ale wiem, że coś takiego się stało.

- Co on robi? - zapytała Luiza, spoglądając na Conleya.

Sanders zobaczył, że ich towarzysz powoli porusza ustami,

w przesadny sposób artykułując poszczególne słowa.

- Próbujcie nam coś powiedzieć - zauważyła. - Czy rozumiesz go?

- Nie. - Sanders obserwował przez chwilę, ale animacyjny charakter twarzy Conleya uniemożliwiał czytanie z warg.

Conley skinął głową i wyjął Sandersowi z ręki klawiaturę.

Nacisnął klawisz z napisem POKREWNE i Sanders zobaczył

pojawiający się w powietrzu spis powiązanych baz danych. Był

bardzo obszerny - znajdowały się w nim zezwolenia rządu

malezyjskiego, notatki architekta, umowy z wykonawcami, wyniki

kontroli sanitarnych i medycznych, i tak dalej. Ogółem na liście

było około osiemdziesięciu pozycji. Sanders przypuszczał, że mógłby

przeoczyć znajdującą się w samym środku. Ją właśnie wskazywał

Conley:

ZESPÓŁ OPERACYJNO-REWIZYJNY

- Co to takiego? - zapytała Luiza.

Sanders nacisnął nazwę i wtedy pojawiła się następna kartka.

Wcisnął klawisz PODSUMOWANIE i zaczął czytać na głos:

"Zespół Operacyjno-Rewizyjny został powołany cztery lata

temu przez Philipa Blackburna w celu rozwiązywania problemów,

które zasadniczo nie znajdowały się w kręgu zainteresowania

kierownictwa Operacji. Celem Zespołu było poprawienie wydajności

zarządzania w DigiComie. W tym czasie Zespół Operacyjno-

-Rewizyjny pomyślnie rozwiązał szereg problemów związanych

z zarządzaniem w DigiComie."

— Aha - mruknęła Luiza.

— "Dziewięć miesięcy temu Zespół Operacyjno-Rewizyjny, kierowany wówczas przez Meredith Johnson z działu Operacji w Cupertino, przeprowadził kontrolę projektowanych zakładów produkcyjnych w Kuala Lumpur w Malezji. Bezpośrednią przyczyną interwencji był konflikt z rządem malezyjskim na temat liczby i składu etnicznego pracowników projektowanych zakładów.

427

—
Aha - powtórzyła Luiza.

— "Zespół Operacyjno-Rewizyjny, kierowany przez panią Johnson, korzy stającej z konsultacji prawnych pana Blackburna, odniósł ogromny sukces, rozwiązując wiele problemów dotyczących działalności DigiComu na terenie Malezji".

— Co to takiego? Tekst dla prasy? - zapytała Fernandez.

— Robi takie wrażenie - odparł Sanders i czytał dalej: -

"Konkretne problemy dotyczyły liczby i składu etnicznego pracowników zatrudnionych w zakładach. Oryginalne plany zakładały zaangażowanie siedemdziesięciu osób. Reagując na życzenie rządu malezyjskiego, Zespół był w stanie zwiększyć liczbę zatrudnionych do osiemdziesięciu, dzięki zredukowaniu stopnia automatyzacji zakładów i dostosowaniu ich, tym samym, do ekonomiki rozwijającego się kraju". - Sanders spojrział na Luizę. - I upieprzyli

nas całkowicie - dodał.

- Dlaczego?

Zaczął czytać dalej:

— "A w dodatku, działania ograniczające koszty na wielu etapach produkcji stały się źródłem poważnych korzyści finansowych. Koszty zostały zmniejszone bez obniżania jakości produkcji. System wentylacyjny został dostosowany do bardziej odpowiednich standardów oraz dokonano zmiany umów na zamówienia u zewnętrznych dostawców, co również przyniosło firmie poważne oszczędności finansowe". - Sanders pokręcił głową. - Otóż to - rzekł. - Na tym polega cała zabawa.

— Nie rozumiem - powiedziała Luiza. - A ty wiesz, o co chodzi?

- I to jak cholera.

Nacisnął klawisz SZCZEGÓŁY.

— Bardzo mi przykro - oznajmił anioł. - Nie ma więcej szczegółów.

— Aniele, gdzie są wszystkie towarzyszące notatki i dokumenty? --, Sanders zdawał sobie sprawę, że tak poważne zmiany wymagały przeprowadzenia ogromnej papierkowej roboty. Same tylko negocjacje z rządem malezyjskim powinny zająć całą szufladę kartoteki.

— Bardzo mi przykro - odparł powtórnie anioł. - Nie ma już dostępnych żadnych szczegółów.

—
Aniele, pokaż mi pliki.

— Bardzo dobrze.

Po chwili pojawił się arkusik różowego papieru:

SZCZEGÓŁOWE PLIKI, DOTYCZĄCE:

ZESPÓŁ OPERACYJNO-REWIZYJNY/MALEZJA,

ZOSTAŁY SKASOWANE

NIEDZIELA 14/6 UPRAWNIENIE DC/C/5905

- Do diabła! - burknął Tom.

-- Co to oznacza?

— Ktoś je wyczyścił - odparł Sanders. - Zaledwie kilka dni

temu. Aniele, pokaż mi wszystkie połączenia między Malezją i DC

w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

— Życzysz sobie połączenia telefoniczne czy wideo?

— Wideo.

— Naciśnij W.

Sanders wcisnął klawisz i w powietrzu rozwinęła się kartka:

Data Nadawca Odbiorca Czas trwania Uprawnienie

6/1 A.Kahn > M.Johnson 0812-0814 ACSS

6/1 A.Kahn > M Johnson 1343-1346 ADSS

6/2 A.Kahn > M.Johnson 1801-1804 DCSC

6/2 A.Kahn > T.Sanders 1822-1826 DCSE

6/3 A.Kahn > M.Johnson 0922-0924 ADSC

6/4 A.Kahn > M.Johnson 0902-0912 ADSC

6/5 A.Kahn > M.Johnson 0832-0832 ADSC

6/7 A.Kahn > M.Johnson 0904-0905 ACSS

6/11 A.Kahn > M.Johnson 2002-2004 ADSC

6/13 A.Kahn > M.Johnson 0902-0932 ADSC

6/14 A.Kahn > M.Johnson 1124-1125 ACSS

6/15 A.Kahn > T. Sanders 1132-1134 DCSE

— Rozgrzewali łącza satelitarne do czerwoności - zauważył

Sanders, patrząc na spis. - Artur Kahn i Meredith Johnson

rozmawiali prawie codziennie, aż do czternastego czerwca. Aniele,

pokaż mi te połączenia wideo.

— Przegląd połączeń niemożliwy poza 15/6.

Była to jego własna rozmowa z Kahnem sprzed dwóch dni.

- A gdzie są inne?

Pojawił się komunikat:

429

ZAPISY WIDEO

ZESPÓŁ OPERACYJNO-REWIZYJNY/MALEZJA

/ ZOSTAŁ SKASOWANY

NIEDZIELA 14/6 UPRAWNIENIE DC/C/5905

Ponownie wyczyszczone. Sanders nie miał właściwie wątpliwości,

kto wykasował wszystko, ale musiał się upewnić.

— Aniele, w jaki sposób sprawdzić uprawnienie do kasowania?

— Naciśnij poszukiwane dane - odparł anioł.

Sanders przycisnął numer uprawnienia. Od górnej części arkusza

oderwała się mała karteczka i zawisła w powietrzu.

UPRAWNIENIE DC/C/5905 IS

CUPERTINO/KIEROWNICTWO OPERACJI

ODNOTOWANE SPECJALNE PRZYWILEJE

(ZBĘDNA IDENTYFIKACJA OPERATORA)

— Wszystko zostało wykasowane parę dni temu przez kogoś znajdujące się wysoko w Operacjach w Cupertino.

— Meredith?

— Zapewne. Co jest równoznaczne z faktem, że mnie załatwili.

— Dlaczego?

— Ponieważ teraz już się domyślam, co zostało zrobione w malezyjskich zakładach. Wiem dokładnie: Meredith pojechała tam i zmieniła normy techniczne. Ale wy kasowała całą dokumentację, łącznie z zapisem rozmów z Kahnem. Tym samym nie mogę niczego udowodnić.

Tom puknął palcem w karteczkę, która opadła na swoje dawne miejsce i zniknęła w arkuszu. Zamknął plik, wsunął do szuflady i patrzył, jak model rozplywa się w powietrzu.

Spojrzał na Conleya, który z rezygnacją wzruszył ramionami.

Sprawiał wrażenie, że rozumie zaistniałą sytuację. Sanders podał mu rękę, uściśnął powietrze i pomachał na do widzenia. Conley skinął głową i odwrócił się.

— I co teraz? - zapytała Luiza.

— Pora iść.

Anioł zaczął śpiewać:

—
Pora iść, do widzenia, do następnego przedstawienia...

— Cicho, aniele.

Anioł przestał śpiewać. Sanders pokręcił głową.

— Cały Don Cherry.

— Kim jest Don Cherry? - zapytała Luiza.

— Don Cherry jest żywym bogiem - wyjaśnił anioł.

Wrócili na początek Korytarza i wyszli przez błękitny ekran.

W laboratorium Cherry'ego Sanders zdjął gogle i po chwilowej utracie orientacji przestrzennej zszedł z chodnika.

Pomógł Luizie uwolnić się od sprzętu.

— Och! - zawołała, rozglądając się dookoła. - Wróciliśmy do rzeczywistego świata.

— Jeżeli tak twierdzisz. Nie jestem pewien, który z nich jest bardziej prawdziwy.

Odwiesił gogle i pomógł jej zejść z chodnika. Potem wyłączył zasilanie w całym pomieszczeniu.

Luiza ziewnęła i popatrzyła na zegarek.

- Jest jedenasta. Co teraz zrobimy?

Tylko jeden pomysł przychodził Sandersowi do głowy. Podniósł słuchawkę najbliższego z modemowych łączy Cherry'ego i wybrał numer Gary'ego Bosaka. Sam nie był w stanie odzyskać żadnych danych, ale może Bosak mógłby tego dokonać - jeżeli tylko zdoła go namówić. Nie miał specjalnej nadziei. Ale nie miał też innego wyjścia.

Automat zgłoszeniowy oznajmił:

- Hej, tu Usługi Profesjonalne NZ. Na kilka dni wyjechałem z miasta, ale proszę zostawić wiadomość.

Piśniece sygnału.

Sanders westchnął.

- Gary, jest środa, jedenasta w nocy. Żałuję, że cię nie złapałem. Jadę do domu.

432

Odłożył słuchawkę.

Jego ostatnia szansa rozwiąła się.

Wyjechał z miasta na kilka dni.

— Cholera - skwitował Sanders.

— I co teraz? - zapytała Luiza, ziewając.

— Nie wiem - odparł. - Mam pół godziny do ostatniego promu. Chyba pojedę do domu i spróbuję się przespać.

— A jutrzejsze zebranie? Powiedziałeś, że będzie ci potrzebna dokumentacja.

Sanders wzruszył ramionami.

— Luizo, zrobiłem wszystko, co mogłem. Wiem, z czym walczę.

Jakoś dam sobie radę.

— W takim razie zobaczymy się jutro?

— Tak - odparł. - Zobaczymy się jutro.

Płynąc promem do domu i patrząc na światła odbijające się w pomarszczonej wodzie, czuł się coraz bardziej zdener-

wowany. Luiza miała rację. Powinien zdobywać potrzebną dokumentację. Gdyby Maks się o tym dowiedział, na pewno by go krytykował. Niemal słyszał jego starczy głos: "Och, byłeś zmęczony? Znakomity powód, Tom".

Zastanawiał się przez chwilę, czy Maks będzie na jutrzejszym zebraniu, ale bardzo szybko doszedł do wniosku, że nie jest w stanie o tym myśleć. Nie wyobrażał sobie tego spotkania. Był zanadto zmęczony, by skupić myśli. Przez głośnik oznajmiono, że za pięć minut będą w Winslow, i Sanders zszedł pod pokład, do samochodu.

Otworzył drzwi i wsunął się za kierownicę. Spojrzał w lusterko i zobaczył ciemną sylwetkę na tylnym siedzeniu.

- Hej! - powiedział Gary Bosak.

Sanders zaczął odwracać się w jego stronę.

— Patrz przed siebie - polecił Bosak. - Za minutę wysiądę.

A teraz słuchaj uważnie. Mają zamiar cię jutro umoczyć. Zrzucą na ciebie całą winę za fiasko w Malezji.

— Wiem.

— A jeśli im to nie wyjdzie, przyłożą ci za zatrudnianie mnie.

Naruszenie prywatności. Bezprawne działania. Całe to gówno.

Rozmawiali z moim kuratorem. Może go widziałeś? Tęgi facet z wąsami.

434

Sanders niewyraźnie przypomniał sobie tego mężczyznę przechodzącego wczoraj koło budynków Sądu Arbitrażowego.

— Tak, chyba tak. Posłuchaj Gary, potrzebuję paru dokumentów...

— Nic nie mów. Nie mamy czasu. Usunęli z systemu wszystkie dokumenty dotyczące zakładów. Już nic tam nie ma. Zniknęły. Nie mogę ci pomóc. - Usłyszeli ryk syreny promu. Wokół nich kierowcy zaczęli zapuszczać silniki. - Ale nie dam się złapać na tę bzdurę z przestępczą działalnością. I nie dam złapać ciebie. Weź to. - Wyciągnął rękę i podał Sandersowi kopertę.

- Co to takiego?

— Zestawienie prac, które wykonałem dla innego pracownika waszej firmy. Dla Garvina. Może zechcesz mu je jutro z rana przefaksować.

— A dlaczego nie ty?

— Dziś w nocy przekraczam granicę. Mam kuzyna w Kolumbii Brytyjskiej. Zatrzymam się tam na jakiś czas. Możesz zostawić wiadomość w mojej automatycznej sekretarce, jeżeli wszystko będzie w porządku.

— Dobrze.

— Trzymaj się, stary. Jutro na pewno gównem trafi w wentylator. Będzie wiele zmian.

Rampa załadunkowa opadła przed nimi z głośnym brzękiem.

Regulujący ruchem zaczęli wyprowadzać samochody z promu.

— Gary. Monitorowałeś mnie?

— Tak. Przepraszam cię za to. Kazali mi.

- W takim razie, kto jest "Przyjacielem"?

Bosak roześmiał się. Otworzył drzwi i wysiadł.

- Zaskakujesz mnie, Tom - powiedział. - Czyżbyś nie znał własnych przyjaciół?

Samochody zaczęły ruszać. Sanders zobaczył przed sobą zapalone tylne światła i samochód zaczął odjeżdżać.

- Gary... - zawołał, odwracając się. Ale Bosak już zniknął. Wrzucił bieg i wyjechał z promu.

Na podjeździe Sanders zatrzymał się, żeby zabrać pocztę.

Uzbierało się jej dużo, bo nie sprawdzał skrzynki na listy od dwóch dni. Podjechał pod dom i zostawił samochód przed garażem.

Otworzył drzwi frontowe i wszedł do środka. Dom sprawiał wrażenie pustego i zimnego. Pachniał cytryną. Sanders doszedł do wniosku, że to zapewne Consuela robiła porządki.

Udał się do kuchni i nastawił na rano maszynkę do kawy.

Kuchnia była czysta, zabawki dzieci zniknęły. Tak, na pewno była tu Consuela. Popatrzył na automatyczną sekretarkę.

Migotała czerwona cyfra. 14.

Sanders odtworzył nagranie. Pierwszy dzwonił John Levin, prosząc, aby się z nim skomunikować. Twierdził, że to pilne. Potem

Sally, pytając czy dzieci mogłyby umówić się na zabawę. Przy pozostałych połączeniach odkładano słuchawkę. Gdy się w nie

wśluchał, wszystkie były bardzo do siebie podobne - słaby syk zakłóceń transoceanicznego połączenia i gwałtowny trzask od-

kładanej słuchawki. Raz za razem.

Ktoś próbował się z nim porozumieć.

Jedna z późniejszych rozmów łączona była przez telefonistkę, ponieważ sepleniący kobiecy głos powiedział: "Przykro mi, ale nikt nie odpowiada. Czy chce pan zostawić wiadomość?" Męski głos odpowiedział: "Nie". Połączenie znowu zostało przerwane.

Tom odtworzył ten fragment jeszcze raz, wsłuchując się w owo "nie".

436

Głos brzmiał znajomo. Mówił cudzoziemiec, ale ktoś znajomy.

- Nie.

Wysłuchał nagrania kilkakrotnie, ale wciąż nie mógł zidentyfikować rozmówcy.

- Nie.

W pewnym momencie pomyślał, że słyszy wahanie w głosie mężczyzny. A może pośpiech? Nie mógł tego ustalić.

— Czy chce pan zostawić wiadomość?

— Nie.

Wreszcie Sanders poddał się, przewinął taśmę do początku i poszedł na górę do swojego gabinetu. Nie było żadnych faksów.

Ekran komputera był pusty. Dziś wieczorem "Przyjaciel" nie przychodził mu z dalszą pomocą.

Przeczytał dokument, przekazany przez Bosaka. Była to pojedyncza kartka papieru, notatka zaadresowana do Garvina i zawierająca podsumowanie raportu na temat pracownika z Cupertino. Nazwisko było wymazane. W kopercie znajdowała się również kserokopia czeku wystawionego na Profesjonalne Usługi NZ i podpisanego

przez Garvina.

Było już po pierwszej, gdy Sanders poszedł do łazienki i wziął prysznic. Włączył gorącą wodę i przysunął twarz blisko sitka, pod kłujące uderzenia kropel. Szum wody nieomal zagłuszył dzwonek telefonu. Sanders schwycił ręcznik i pobiegł do sypialni.

- Halo?

Usłyszał syk zakłóceń transoceanicznego połączenia, a po chwili rozległ się głos mężczyzny.

— Chcę mówić z panem Sandersem.

— Sanders przy telefonie.

— Panie Sanders - oznajmił głos. - Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina. Mówi Mohammed Jafar.

Czwartek

Poranek był pogodny. Sanders popłynął wcześniejszym promem do pracy i przybył do biura o ósmej. Minał recepcję na parterze i zobaczył napis: "Sala konferencyjna zajęta". Przez chwilę ogarnęło go przerażenie i pomyślał, że znowu pomylił godzinę zebrania. Szybko podszedł, aby zerknąć do środka. W sali znajdował się Garvin, który rozmawiał z przedstawicielami kierownictwa Conley-White. Mówił spokojnie, a słuchacze przytakiwali, kiwając głowami. W pewnym momencie Garvin skończył i przedstawił Stefanię Kaplan, która od razu zaczęła przeprowadzać finansową analizę, ilustrując ją slajdami. Garvin wyszedł z sali, natychmiast spochmurniał i, nie zwracając najmniejszej uwagi na Sandersa,

ruszył korytarzem w stronę barku kawowego.

Tom miał właśnie zamiar skierować się na górę, gdy usłyszał Phila Blackburna.

— Doprawdy sędzę, że mam prawo zaprotestować przeciwko takiemu załatwieniu sprawy.

— No cóż, nie masz - odparł Garvin. - Nie masz żadnego prawa.

Tom również skierował się w stronę baru. Zajrzał do środka.

Blackburn i Garvin rozmawiali, stojąc przy ekspresie do kawy.

— Ale to wyjątkowo niesprawiedliwe - oznajmił Blackburn.

— Pieprzysz - odparł Garvin. - Niesprawiedliwe? Przecież wymieniła cię jako swoje źródło informacji, ty głupi dupku.

— Ależ Bob, powiedziałeś mi...

441

—

Co ci powiedziałem? - zapytał Garvin mrużąc oczy.

— Powiedziałeś mi, żebym wszystko załatwił. Żebym wywarł presję na Sandersa.

— Owszem, Phil. A ty mi odparłeś, że zajmiesz się tą sprawą.

— Ale wiedziałeś, że mówiłem...

— Wiem, że coś zrobiłeś - rzekł Garvin. - Ale nie wiem, co.

A ona wskazała cię, jako swoje źródło informacji.

Blackburn zwiesił głowę.

— Uważam jednak, że to wyjątkowo niesprawiedliwe.

— Doprawdy? A czego ode mnie oczekujesz? Jesteś pieprzonym

prawnikiem, Phil. Zawsze przejmowałeś się konsekwencjami. A więc mi powiedz, co mam zrobić?

Blackburn milczał przez chwilę. Wreszcie rzekł:

— Poproszę Johna Robinsona, żeby był moim pełnomocnikiem.

Opracuje umowę o warunkach porozumienia stron.

— Doskonale - odparł Garvin. - Bardzo dobrze.

— Ale chciałbym ci powiedzieć coś całkowicie prywatnie, Bob.

Mam uczucie, że potraktowałeś mnie bardzo niesprawiedliwie.

— Do diabła, Phil, nie mów mi o uczuciach. Twoje uczucia są na sprzedaż. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Nie idź na górę. Nie porządkuj biurka. Jedź prosto na lotnisko. Chcę, żebyś za pół godziny siedział już w samolocie. Życzę sobie, abyś stąd spieprzał jak najszybciej. Jasne?

— Po prostu uważam, że powinieneś dać wyraz moim zasługom dla firmy.

— Właśnie to robię, dupku - oznajmił Garvin. - A teraz spadaj stąd, zanim stracę cierpliwość.

Sanders odwrócił się i szybko ruszył na górę. Trudno mu było powstrzymać okrzyki radości. Blackburn został wylany! Zastanawiał się, czy powinien kogoś poinformować. "Może Cindy" - pomyślał.

Gdy jednak dotarł do czwartego piętra, już panował na nim gwar. Wszyscy wyszli z pomieszczeń i rozmawiali na korytarzach.

Najwyraźniej wiadomość o zwolnieniu zdążyła się rozejść. Sanders nie dziwił się, że pracownicy wylegli na korytarze. Mimo że

Blackburn był nie lubiany, jego zwolnienie wywoływało powszechny

niepokój. Tak nagła zmiana, dotycząca osoby blisko związanej z Garvinem, sprawiła, że wszyscy poczuli się zagrożeni. Nikt nie był bezpieczny.

442

Stojąca przed gabinetem Cindy zawołała na jego widok:

- Tom, czy możesz w coś takiego uwierzyć? Mówią, że Garvin ma zamiar zwolnić Phila.

- Chyba żartujesz - odparł Sanders.

Cindy skinęła głową.

- Nikt nie wie, dlaczego, ale najwyraźniej ma to jakiś związek z ekipą telewizyjną z ubiegłego wieczoru. Garvin wyjaśniał na dole całą sprawę ludziom z Conley-White.

Za plecami Sandersa ktoś zawołał: - Jest w poczcie elektronicznej! - Korytarz natychmiast opustoszał, wszyscy zniknęli w swoich gabinetach. Sanders podszedł do biurka i kliknął migającą ikonę poczty elektronicznej. Komunikat wyświetlał się wolno, ponieważ chyba każdy pracownik w budynku włączał się jednocześnie do sieci.

Weszła Luiza i zapytała od progu:

— Czy to prawda, co mówią o Blackburnie?

— Chyba tak - odparł Sanders. - Informacja właśnie pojawia się w poczcie elektronicznej.

OD: ROBERTA GARVINA, PREZESA I DPE

DO: CAŁEJ RODZINY DIGICOMU

Z WIELKIM SMUTKIEM I UCZUCIEM GŁĘBOKIEJ OSOBISTEJ

UTRATY INFORMUJĘ O ZŁOŻENIU REZYGNACJI PRZEZ NASZEGO ZAUFANEGO, ŚWIETNEGO GŁÓWNEGO RADCĘ PRAWNEGO, PHILIPA A. BLACKBURNA. PHIL BYŁ WYBITNYM PRACOWNIKIEM NASZEJ FIRMY OD PRAWIE PIĘTNASTU LAT, WSPANIAŁYM CZŁOWIEKIEM, BLISKIM PRZYJACIELEM I DORADCĄ. WIEM, ŻE WIELU, PODOBNIIE JAK MNIE, BRAKOWAĆ BĘDZIE W NAJBLIŻSZYM CZASIE JEGO MĄDRYCH RAD I POCZUCIA HUMORU. JESTEM PEWIEN, ŻE WSZYSCY PRZYŁĄCZYCIE SIĘ DO MOICH ŻYCZEŃ. POMYŚLNOŚCI W NOWYCH POCZYNNIACH. SERDECZNIE CI DZIĘKUJEMY, PHIL I POWODZENIA.

REZYGNACJA WCHODZI W ŻYCIE ZE SKUTKIEM NATYCHMIASTOWYM. DO CZASU OBSADZENIA STANOWISKA RADCY PRAWNEGO, FUNKCJĘ TĘ, JAKO PEŁNIĄCY OBOWIĄZKI RADCY, SPRAWOWAĆ BĘDZIE HOWARD EBERHARDT.

ROBERT GARVIN

443

—

Co to znaczy? - zapytała Luiza.

— Garvin oznajmił: "Właśnie wylałem tego świętoszkowatego osła".

— Musiało do tego dojść - stwierdziła Luiza. - Zwłaszcza kiedy okazało się, że właśnie on był owym miarodajnym źródłem Connie Walsh.

— Skąd o tym wiesz?

— Od Eleanor Vries.

— Poinformowała cię o tym?

— Nie. Ale Eleanor Vries jest bardzo ostrożnym prawnikiem.

Wszyscy, którzy pracują w mediach, tacy są. Najlepszą metodą utrzymania posady jest blokowanie wszystkiego. A gdy tylko masz wątpliwości, wyrzucasz materiał. Zadałam więc sobie pytanie, dlaczego pozwoliła wydrukować ewidentnie zniesławiający artykuł o Panu Piggy. Jedynym możliwym wytłumaczeniem było przyjęcie przez nią, że Walsh ma niezwykle ważne źródło informacji wewnątrz firmy. Kogoś, kto rozumie prawne konsekwencje takiego materiału. Takie źródło, przekazując wiadomość, zasadniczo dawało do zrozumienia "Nie zaskarżymy was, jeżeli ją wydrukujecie". Ponieważ wysocy stopniem urzędnicy firmy niewiele wiedzą o prawie, oznaczało to, że informatorem musi być prawnik na wysokim stanowisku.

— Phil.

— Tak.

— Jezu!

- Czy spowoduje to zmianę twoich planów?

Sanders już się nad tym zastanawiał.

— Nie przypuszczam - odparł. - Sądzę, że Garvin i tak wylałby go dzisiaj, tyle że później.

— Wyglądasz na pewnego siebie.

— Tak. Otrzymałem ubiegłej nocy nieco amunicji. I mam nadzieję na dalszą dostawę.

Weszła Cindy i oznajmiła:

- Czy spodziewasz się czegoś z KL? Dużego pliku?

- Tak.

- Ten przychodził od siódmej rano. To jakiś potwór.

Położyła na biurku kasetę DAT. Przypominała dokładnie tę, na której zarejestrowane było jego połączenie wideo z Arturem Kahnem.

444

Luiza popatrzyła na Sandersa. Wzruszył ramionami.

O ósmej trzydzieści przesłał notatkę Bosaka na prywatny faks Garvina. Potem poprosił Cindy, aby sporządziła kopie wszystkich faksów, które Mohammed Jafar przesłał mu w nocy. Sanders prawie nie spał, zapoznając się z materiałami przysłanymi przez Jafara. Była to niezwykle interesująca lektura.

Jafar oczywiście wcale nie był chory. Tę historyjkę Kahn wymyślił razem z Meredith.

Tom wsunął kasetę DAT do odtwarzacza i odwrócił się do Luizy.

— Masz zamiar mi wyjaśnić, o co chodzi? - zapytała.

— Mam nadzieję, że nie będzie trzeba - odparł.

Na monitorze pojawił się tekst:

5 SEKUND DO BEZPOŚREDNIEGO POŁĄCZENIA WIDEO:

DC/M-DC/C

NAD: A. KAHN

ODB: M. JOHNSON

Na ekranie zobaczył Kahna w fabryce, a chwilę później ekran podzielił się i zobaczył na nim również Meredith w jej gabinecie

w Cupertino.

— Co to takiego? - zapytała Luiza.

— Zarejestrowane połączenie wideo. Z ostatniej niedzieli.

— Sądziłam, że wszystkie połączenia zostały skasowane.

- Tutaj owszem. Ale wciąż pozostały zapisy w KL. Przysłał mi je przyjaciel.

Na ekranie Artur Kahn kaszlnął.

— Ach, Meredith. Jestem nieco zaniepokojony.

— Nie musisz - odparła Meredith.

— Wciąż jednak nie możemy produkować zgodnie z dokumentacją techniczną. Musimy zmienić przynajmniej wszystkie filtry powietrza. Założyć lepsze.

— Nie teraz.

— Ale musimy tak zrobić, Meredith.

— Jeszcze nie.

— Te filtry są niewydajne, Meredith. Oboje myśleliśmy, że sobie poradzą, lecz są za mało wydajne.

— Mniejsza o to.

445

Kahn pocił się. Pocierał nerwowo podbródek.

— Tom się zorientuje, Meredith. To tylko kwestia czasu.

Dobrze wiesz, że nie jest głupi.

— Będzie miał odwróconą uwagę.

— Tak uważasz?

— A poza tym, zrezygnuje.

Kahn zrobił zaskoczoną minę.

— Doprawdy? Nie przypuszczam...

- Zaufaj mi. Zrezygnuje. Będzie nienawidził samej myśli o pracowaniu dla mnie.

Luiza pochyliła się do przodu i wpatrywała w ekran.

— O cholera! - powiedziała.

— Dlaczego będzie nienawidził? - zapytał Kahn.

— Możesz mi wierzyć - stwierdziła Meredith. - Tak się stanie. Tom Sanders odejdzie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od objęcia przeze mnie stanowiska.

— Ale skąd możesz mieć pewność...

— A jaki będzie miał wybór? Tom i ja mamy wspólną przeszłość. Wszyscy w firmie o tym wiedzą. Jeżeli pojawią się kłopoty, nikt mu nie uwierzy. Jest wystarczająco sprytny, aby ten fakt zrozumieć. Jeżeli chce dalej pracować w branży, nie będzie miał wyboru, tylko przyjąć wszelkie postawione mu warunki i odejść.

Kahn skinął głową, wycierając pot z policzków.

— A wtedy powiemy, że właśnie Sanders dokonał zmian w zakładzie? Przecież wszystkiemu zaprzeczy.

— Nawet nie będzie wiedział. Pamiętaj. Odejdzie wcześniej, Arturze.

— A jeżeli się nie uda?

— Zaufaj mi. Odejdzie. Jest żonaty, ma rodzinę. Będzie musiał.

— Ale jeżeli zadzwoni i zapyta o linię...

— Wymiguj się, Arturze. Udawaj zdziwionego. To dla ciebie

nie trudnego, jestem pewna. A teraz powiedz mi, z kim Sanders

jeszcze u was rozmawia?

— Czasem z brygadzystą. Jafarem. Jafar oczywiście wie wszystko. I obawiam się, że jest jednym z tych uczciwych.

— Każ mu, żeby wziął urlop.

— Właśnie brał.

— No to daj mu następny, Arturze. Potrzebny mi tylko tydzień.

446

—

Jezu! - westchnął Kahn. - Nie jestem pewien...

— Arturze! - przerwała mu.

— Słucham, Meredith.

— Przyszedł czas, kiedy nowy wiceprezes sporządza spis wyświadczonych mu usług, które zostaną odpowiednio wynagrodzone w przyszłości.

— Tak, Meredith.

— To wszystko.

Obraz zniknął. Pojawiły się białe linie zakłóceń i ekran po-
ciemniał.

- Bardzo zgrabnie obmyślane - stwierdziła Luiza.

Sanders skinął głową.

- Meredith nie sądziła, że zmiany będą miały jakieś znaczenie, ponieważ nie zna się na produkcji. Po prostu obcinała koszty. Ale zdawała sobie sprawę, że w końcu da się ustalić, iż była autorką tych modyfikacji. Dlatego znalazła odpowiedni sposób, aby się

mnie pozbyć, zmusić do ustąpienia z firmy. A potem obciążąłyby

moje konto wszelkimi problemami.

— A Kahn współdziałał z nią.

Sanders skinął głową.

— I pozbyli się Jafara.

Sanders ponownie skinął głową.

— Kahn polecił Jafarowi, żeby wyjechał na tydzień odwiedzić
kuzyna w Johore. Chciał go wyprawić z miasta, dzięki czemu stałby
się dla mnie nieosiągalny. Nie przyszło mu jednak do głowy,
że Jafar zadzwoni do mnie. - Popatrzył na zegarek. - No,
gdzie to jest?

— Co?

Na ekranie pojawił się obraz kontrolny, a potem zobaczyli
przystojnego, ciemnoskórego spikera siedzącego przy biurku i mówiącego coś szybko w obcym języku do kamery.

— Co to takiego?

— Dziennik wieczorny na kanale trzecim z trzydziestego pierwszego
grudnia. - Sanders wstał i nacisnął klawisz magnetowidu.

Kaseta wysunęła się z aparatu.

— O czym?

Cindy wróciła od kserokopiarki z szeroko otwartymi oczyma.

Niosła kilkanaście plików kartek starannie spiętych spinaczami.

447

—

Co masz zamiar z tym zrobić? - zapytała.

— Nie przejmuj się - odpowiedział.

— Oburzające, co ona zrobiła, Tom.

— Wiem.

— Wszyscy gadają - oznajmiła. - Krąży plotka, że fuzji nie będzie.

— Zobaczymy - stwierdził.

Przy pomocy Cindy zaczął wkładać papiery do identycznych kopert.

— Jakie masz właściwie plany? - zapytała Luiza.

— Cały problem Meredith polega na tym, że kłamie. Jest sprytna i udaje się jej z tego wyplątać. Tak było przez całe życie.

Mam zamiar sprawdzić, czy uda mi się skłonić ją do powiedzenia jednego, wielkiego kłamstwa.

Spojrzał na zegarek. Była ósma czterdzieści pięć.

Zebranie miało się zacząć za piętnaście minut.

W sali konferencyjnej panował tłok. Z jednej strony stołu

siedziało piętnastu przedstawicieli kierownictwa Con-

ley-White z Johnem Mardenem pośrodku, po drugiej zaś piętnastu

kierowników z DigiComu, skupionych wokół Garvina.

Meredith wstała i oznajmiła:

— A teraz wysłuchamy Toma Sandersa. Tom, czy mógłbyś przedstawić nam sytuację ze stacjami Twinkle? Jaki jest aktualny stan produkcji?

— Oczywiście, Meredith. - Sanders wstał, czując, jak łomocze

mu serce. Wyszedł na środek sali. - Tytułem wprowadzenia,

chciałbym zaznaczyć, że Twinkle jest naszą kodową nazwą autonomicznego odtwarzacza CD-ROMów, który, naszym zdaniem, powinien okazać się rewelacją na rynku. - Odwrócił się w stronę wykresów. - CD-ROM jest małą płytą kompaktową, wykorzystywaną do przechowywania danych. Jest tani w produkcji i może pomieścić olbrzymią ilość informacji w rozmaitej postaci: słów, ilustracji, dźwięku, obrazu i tak dalej. Na pojedynczej, niewielkiej płycie można umieścić odpowiednik sześciuset książek albo półtorej godziny zapisu wideo. Lub jakąkolwiek kombinację obrazu i tekstu. Na przykład można przygotować podręcznik zawierający tekst, ilustracje, krótkie sekwencje filmowe, filmy animowane i tak dalej. Koszt produkcji wkrótce osiągnie poziom dziesięciu centów za egzemplarz.

Popatrzył na siedzących wokół stołu. Przedstawiciele Con-
449

ley-White byli wyraźnie zaintrygowani. Garvin marszczył brwi. Meredith sprawiała wrażenie spiętej.

- Aby jednak CD-ROM działał efektywnie, muszą zaistnieć dwa warunki. Przede wszystkim potrzebujemy przenośnego odtwarzacza. Takiego jak ten. - Podniósł aparat i podał go przedstawicielom Conley-White. - Baterii o czasie pracy do pięciu godzin i doskonałego ekranu. Wtedy można z tego urządzenia korzystać w pociągu, autobusie czy klasie - wszędzie tam, gdzie korzystamy z książek.

Kierownicy z Conley-White oglądali odtwarzacz, obracali go

w rękach. A potem spojrzeli ponownie na Sandersa.

— Kłopot z CD-ROMami polega na tym, że są zbyt wolne. Te wspaniałe dane uzyskujemy w ślimaczym tempie. Ale stacje Twinkle, których prototypy udało nam się opracować, są dwukrotnie szybsze niż jakakolwiek inna stacja na świecie. A przy dodanej pamięci - do pakowania i rozpakowywania obrazów - są równie szybkie jak mały komputer. Spodziewamy się, że w ciągu roku zdołamy obniżyć koszty egzemplarza stacji do poziomu gry wideo. Przystąpiliśmy do produkcji stacji Twinkle. Mamy pewne kłopoty, typowe dla wczesnego etapu, ale rozwiązujemy je.

— Czy mógłbyś powiedzieć nam coś więcej na ten temat? - zaproponowała Meredith. - Z rozmowy z Arturem Kahnem wywnioskowałam, że w dalszym ciągu nie mamy pełnej jasności, skąd biorą się te problemy ze stacjami.

— Prawdę mówiąc, już mamy jasność - odparł Sanders. - Okazało się, że problemy te wcale nie są poważne. Spodziewam się, że usunięcie ich jest kwestią kilku dni.

— Doprawdy? - Uniosła brwi. - A więc wiemy, na czym polegają trudności?

— Tak.

— Wspaniała wiadomość.

— Owszem.

- Rzeczywiście bardzo dobra wiadomość - stwierdził Ed

Nichols - Czy wynikały z błędów projektowych?

— Ależ nie - odparł Sanders. - Wykonany przez nas projekt

jest w porządku, podobnie jak prototypy. Problem sprowadza się do kłopotów produkcyjnych w zakładach w Malezji.

— Jakiego rodzaju?

450

- Okazało się - wyjaśnił Sanders - że linia nie posiada odpowiedniego wyposażenia technicznego. Powinniśmy korzystać z automatu osadzającego czipy na płycie głównej, zamiast tego jednak Malajowie przy taśmie instalują czipy ręcznie. Dosłownie wciskają je kciukiem. W konsekwencji linia montażowa jest brudna, co odbija się na optyce. Powinniśmy mieć filtry powietrza poziomu siódmego, a mamy zaledwie poziomu piątego. Okazało się również, że powinniśmy zamawiać elementy takie, jak trzpienie zawiasów i zaciski, u bardzo solidnego singapurskiego dostawcy, ale zamówiliśmy je u kogoś innego. Tańsze, ale, niestety, zawodne.

Meredith przez chwilę wyglądała na zaniepokojoną.

— Nieodpowiednie wyposażenie, nieodpowiednie warunki, nieodpowiednie elementy... - Podniosła głowę. - Bardzo przepraszam. Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale czy to nie ty ustawiałeś linię, Tom?

— Owszem - przytaknął Sanders. - Pojechałem jesienią do Kuala Lumpur i ustawiłem ją z Arturem Kahnem i miejscowym brygadzystą, Mohammedem Jafarem.

— Skąd więc mamy tyle problemów?

— Niestety, przygotowując linię podjęto szereg niewłaściwych decyzji.

Meredith zrobiła zatroskaną minę.

- Tom, wiemy, że jesteś wyjątkowo kompetentnym pracownikiem. W jaki sposób mogło się zdarzyć coś takiego?

Sanders zawahał się.

Nastąpiła chwila prawdy.

— Zdarzyło się, ponieważ linia została zmieniona - odparł. -

Obniżono wymogi techniczne.

— Obniżono? W jaki sposób?

— Mam wrażenie, że jest to coś, co sama powinnaś wyjaśnić,

Meredith. Ponieważ to ty poleciłaś dokonać zmian.

— Ja poleciłam?

— Tak jest, Meredith.

— Tom, chyba się mylisz - oznajmiła chłodno. - Nie miałam nic wspólnego z zakładami w Malezji.

— Jednak miałaś - odparł Sanders. - Jeździłaś tam dwukrotnie, w listopadzie i grudniu ubiegłego roku.

— Owszem, byłam dwa razy w Kuala Lumpur. Ponieważ źle

451

poprowadziłaś negocjacje w sprawie pracowników z rządem malezyjskim. Pojechałam tam i zlikwidowałam konflikt. Ale nie miało to nic wspólnego z linią produkcyjną.

— Chyba jednak się mylisz, Meredith.

— Zapewniam cię, że nie - odparła zimno. - Nie miałam nic wspólnego z linią produkcyjną i rzekomymi zmianami.

— Mimo wszystko twierdzę, że pojechałaś tam i skontrolowałaś,

czy wprowadzono zlecone przez ciebie zmiany.

— Bardzo mi przykro, Tom, ale nie. Nigdy nawet nie widziałam zakładów.

Na ekranie za jej plecami pojawił się obraz odtwarzanej taśmy z wyłączoną fonią. Spiker w marynarce i krawacie mówił coś do kamery.

— Nigdy nie byłeś w zakładach? - zapytał Sanders.

— Absolutnie nie, Tom. Nie wiem, kto mógł ci coś podobnego powiedzieć, ani dlaczego poruszasz obecnie tę sprawę.

Na ekranie za plecami spikera pojawił się budynek DigiComu w Malezji, a potem wewnątrz zakładów. Kamera pokazywała linię produkcyjną i grupę osób przeprowadzających inspekcję. Zebrani ujrzeli Phila Blackburna, a obok niego Meredith Johnson. Kamera zrobiła zbliżenie Meredith, rozmawiającej z jednym z robotników.

W sali rozległ się pomruk.

Meredith obejrzała się gwałtownie.

— Oburzające. To jakiś fotomontaż. Nie wiem, skąd się wzięło...

— Malezyjski kanał trzeci. Ich wersja BBC. Bardzo mi przykro, Meredith. - Urywek dziennika skończył się i ekran zgasł. Sanders dał znak i Cindy zaczęła obchodzić stół naokoło, podając każdemu uczestnikowi kopertę.

— Bez względu na to, skąd wzięła się ta taśma... - zaczęła Meredith.

— Panie i panowie! - przerwał jej Sanders. - Jeżeli otworzycie państwo koperty, znajdziecie w nich szereg notatek należących do

Zespołu, Operacyjno-Rewizyjnego, który w owym okresie kierowany był przez panią Johnson. Zwracam uwagę państwa na pierwszą notatkę, datowaną osiemnastego listopada ubiegłego roku. Jak państwo widzicie, została ona podpisana przez panią Johnson i zawiera żądanie zmiany linii w taki sposób, aby spełniała warunki zatrudnienia postawione przez rząd malezyjski. W pierwszej notatce

452

kładzie się nacisk, że należy zrezygnować z montowania automatów do instalacji czipów i że czynność ta będzie wykonywana ręcznie.

Sprawiło to przyjemność rządowi Malezji, ale oznacza jednocześnie, że nie mogliśmy w sposób prawidłowy produkować tych stacji.

— Ale nie zauważyłeś przy okazji, że Malezyjczycy nie dawali nam wyboru... - wtrąciła Meredith.

— W takim razie nie powinniśmy budować tam zakładów - przerwał jej Sanders. - Ponieważ w tych zmienionych warunkach nie możemy produkować takich wyrobów, jakie zamierzaliśmy.

Tolerancja uległa niekorzystnej zmianie.

— No cóż, być może taka jest twoja opinia... - oznajmiła Meredith.

— Druga notatka, z trzeciego grudnia, wskazuje, że ograniczenie kosztów wpłynęło na zmniejszenie wydajności filtrów powietrza w zakładzie. Znowu jest to zmiana ustalonych przeze mnie warunków technicznych. I znowu ma ona zasadnicze znaczenie - nie jesteśmy w stanie w takich warunkach produkować stacji o dużej wydajności. Krótko mówiąc, decyzje te skazały produkcję stacji na

niepowodzenie.

— Posłuchaj - oznajmiła Meredith Johnson. - Jeżeli ktośkolwiek uwierzy, że za kłopoty produkcyjne winien jest ktoś inny, a nie ty...

— Trzecia notatka - przerwał jej znowu Sanders - dotyczy podsumowania oszczędności dokonanych przez Zespół Operacyjno-Rewizyjny. Utrzymuje się w niej, że nastąpiło jedenastoprocentowe obniżenie kosztów operacyjnych. Oszczędności te zostały już całkowicie pochłonięte przez opóźnienia w produkcji, nie licząc strat spowodowanych przez zwłokę z wejściem na rynek. Gdybyśmy natychmiast wznowili produkcję, te jedenastoprocentowe oszczędności oznaczają niemal siedemdziesięcioprocentowy wzrost kosztów produkcji przy rozruchu. W ciągu pierwszego roku daje to sto dwiędziesięcioprocentowy wzrost.

Następna z kolei notatka wyjaśnia, dlaczego w ogóle wprowadzono ograniczenia kosztów. W czasie pertraktacji w sprawie fuzji, prowadzonych przez pana Nicholisa i panią Johnson na jesieni ubiegłego roku, pani Johnson oznajmiła, że udowodni, iż możliwe jest zmniejszenie kosztów wytwarzania wysoko przetworzonych produktów. Ten fakt zaniepokoił pana Nicholisa w czasie ich spotkania w...

453

- O, Chryste - jęknął Nichols, spoglądając na dokumenty.

Meredith precyzyjnie przesuwała się do przodu i stanęła przed Sandersem.

- Wybacz, Tom - oznajmiła stanowczo. - Muszę ci jednak przerwać. Przykro mi to mówić, ale nikt z obecnych nie dał się

nabrać na te twoje rewelacje. - Rozłożyła szeroko ręce, jakby starała się objąć całą salę. - Ani twoje rzekome dowody. - Zaczęła mówić jeszcze głośniejsze. - Nie wiesz o tym, że te decyzje zarządu były starannie rozważane przez najlepsze umysły firmy. Nie rozumiesz kryjącego się za tym sposobu myślenia. A demonstrowane przez ciebie tak zwane notatki nikogo nie przekonają... Nikogo nie udało ci się przekonać. - Popatrzyła na niego z litością. - To wszystko są puste słowa, Tom. Puste słowa, puste zdania. Gdy przyjrzymy się im uważnie, okazuje się, że wszystkie są działaniami na pokaz, nie zawierają żadnej treści. Myślisz, że uda ci się wyprowadzić w pole zespół dyrekcyjny? Oświadczam ci, że nie zdołasz tego dokonać.

Garvin wstał gwałtownie i powiedział:

— Meredith...

— Pozwól mi skończyć - oznajmiła Meredith. Była zaczerwieniona, wściekła. - Mówię przecież ważne rzeczy. Docieramy do sedna zła istniejącego w tym oddziale. Tak, w retrospekcji niektóre decyzje mogą się wydawać wątpliwe. Tak, próbowaliśmy wprowadzić pewne innowacje, które, być może, poszły za daleko. Ale to nie usprawiedliwia zachowania, którego jesteśmy świadkami. Tych wyrachowanych manipulacji osoby, która zrobi wszystko, absolutnie wszystko, aby się przebić, aby kosztem innych uzyskać rozgłos i zniszczy dobre imię tych, którzy staną jej na drodze... chciałam powiedzieć stanie m u na drodze. Bezwzględne zachowanie, którego jesteśmy świadkami... Nikt nie da się na to nabrać, Tom. Ani przez chwilę. Zażądano od nas, abyśmy pogodzili się z najgorszym

rodzajem oszustwa. A my, po prostu, tego nie uczynimy. Twoje postępowanie musi się na tobie zemścić. Przykro mi. Nie możesz tu przychodzić i zachowywać się w taki właśnie sposób. Po prostu ci się nie uda, już ci się nie udało. To wszystko.

Przerwała, aby nabrać oddechu i rozejrzała się po zgromadzonych. Wszyscy siedzieli w milczeniu, bez ruchu. Garvin wciąż stał, jakby ogarnięty szokiem. Powoli Meredith zaczęła zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak. Gdy odezwała się ponownie, jej głos brzmiał ciszej.

454

- Mam nadzieję, że... że właściwie przedstawiłam uczucia wszystkich zgromadzonych. To tyle, co miałam zamiar zrobić.

Zapadła kolejna chwila milczenia. A potem Garvin oznajmił:

- Meredith, może zechciałabyś opuścić na kilka minut salę.

Oszołomiona, patrzyła na Garvina przez długą chwilę. Aż wreszcie powiedziała:

— Oczywiście, Bob.

— Dziękuję ci, Meredith.

Wyprostowana jak struna, wyszła z pokoju. Drzwi zamknęły się za nią z lekkim trzaskiem.

John Marden pochylił się do przodu i poprosił:

- Panie Sanders, niech pan będzie łaskaw dalej prowadzić swoją demonstrację. Ile czasu, pana zdaniem, zajmie naprawienie linii produkcyjnej?

Było południe. Sanders siedział w swoim gabinecie z nogami na biurku i patrzył w okno. Słońce świeciło jaskrawo nad budynkami otaczającymi Pioneer Square. Niebo było czyste i bezchmurne. Mary Annę Hunter, ubrana w kostium, weszła i oznajmiła:

— Nie rozumiem tego.

— Czego?

— Tej historii z nagraniem dziennika. Meredith musiała o nim wiedzieć. Przecież tam była, kiedy go kręcili.

— Och, oczywiście, że o tym wiedziała. Ale nigdy nie przypuszczała, że zdobędzie nagranie. I nie przypuszczała, że pokażą ją w dzienniku. Sądziła, że ograniczą się jedynie do Phila. Rozumiesz, islamski kraj. W informacjach o kierownikach wysokiego szczebla zazwyczaj pokazują wyłącznie mężczyzn.

— Aha. A więc?

— Ale kanał trzeci jest rządowy - odparł Sanders. - I komentarz tego wieczoru głosił, że rząd odniósł jedynie częściowy sukces w swoich negocjacjach na temat zmian w zakładach DigiComu - i że zagraniczni przedstawiciele byli niechętni do współpracy i bezkompromisowi. Była to historia wymyślona i miała na celu chronić reputację pana Sayada, ministra finansów. A więc kamera pokazała zbliżenie właśnie jej.

— Ponieważ....

— Ponieważ jest kobietą.

—
Zagraniczna diablica w urzędowym kostiumie? Czy można pertraktować z kobietą feringi?

— Coś w tym rodzaju. W każdym razie w wiadomościach skupiono się na Meredith.

— A ty dostałeś taśmę.

— Tak.

Mary Annę skinęła głową.

- No cóż - odparła - mnie to wystarcza. - Wyszła

z pokoju, Sanders znowu pozostał sam i dalej patrzył przez okno.

Po jakimś czasie weszła Cindy i oznajmiła:

- Ostatnia plotka głosi, że fuzja została odwołana.

Sanders wzruszył ramionami. Był wyczerpany, wewnątrz pusty. Nic go nie obchodziło.

— Jesteś głodny? - spytała Cindy. - Mogę ci zorganizować jakiś lunch.

— Nie jestem. Co teraz robią?

— Garvin i Marden rozmawiają.

— W dalszym ciągu? To już trwa ponad godzinę.

— Wzięli do towarzystwa jeszcze Conleya.

— Tylko jego? Nikogo więcej?

— Nie. A Nichols wyszedł z budynku.

— Co z Meredith?

— Nikt jej nie widział.

Odchylił się do tyłu w fotelu. Patrzył uparcie w okno. W pewnej

chwili jego komputer pisnął trzykrotnie.

30 SEKUND DO BEZPOŚREDNIEGO POŁĄCZENIA WIDEO:

DC/M-DC/S

NAD: A. KAHN

ODB: T. SANDERS

Dzwonił Kahn. Sanders uśmiechnął się posępnie. Cindy weszła

i oznajmiła:

— Artur ma zamiar zadzwonić.

— Widzę.

15 SEKUND DO BEZPOŚREDNIEGO POŁĄCZENIA WIDEO:

DC/M-DC/S

457

Ustawił lampę na biurku i usiadł. Ekran rozjarzył się i Sanders zobaczył migający, rozszczepiony obraz. Był to Artur, w zakładzie.

— Och, Tom. Doskonale. Mam nadzieję, że nie jest już za późno - powiedział Artur.

— Za późno na co? - zapytał Sanders.

— Wiem, że dziś miało być zebranie. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

— Co takiego, Arturze?

— No cóż, obawiam się, że nie byłem z tobą zupełnie szczery, Tom. Sprawa dotyczy Meredith. Przed sześcioma czy siedmioma miesiącami dokonała zmian na linii i obawiam się, że chce cię tym obciążyć. Być może na dzisiejszym zebraniu.

— Rozumiem.

— Czuję się fatalnie, Tom - oznajmił Artur, zwieszając

głowę. - Nie wiem, co mam powiedzieć.

— Nie mów nic, Arturze.

Kahn uśmiechnął się przeproszająco.

— Chciałem cię wcześniej uprzedzić. Słowo daję. Ale Meredith wciąż powtarzała, że odchodzisz. Nie wiedziałem, co robić. Powiedziała, że nadciąga bitwa i lepiej, żebym wybrał sojusz ze zwycięzcą.

— Źle wybrałeś, Arturze - odparł Sanders. - Jesteś zwol-

niony. - Wyciągnął rękę i wyłączył stojącą przed nim kamerę telewizyjną.

— O czym mówisz?

— Jesteś zwolniony, Arturze.

— Ale nie możesz mi tego zrobić... - zawołał Kahn. Jego

obraz rozplywał się i kurczył. - Nie możesz...

Ekran zgasł.

Piętnaście minut później do gabinetu Sandersa wszedł Mark

Lewyn, poprawiając przy szyi czarny podkoszulek od Armaniego.

— Sądzę, że jestem dupkiem - oświadczył.

— Tak. Jesteś.

— Po prostu... Nie zrozumiałem sytuacji.

— Rzeczywiście, nie rozumiałeś.

— Co masz zamiar teraz zrobić?

— Właśnie zwolniłem Artura.

— Jezu! I co jeszcze?

— Nie wiem. Zobaczymy, jak ułożą się sprawy.

Lewyn skinął głową i wyszedł, zdenerwowany. Sanders uznał, że pozwoli mu się trochę podenerwować. Ich przyjaźń da się jednak uratować. Adele i Susan przyjaźniły się. A Mark był zbyt utalentowany, żeby firma mogła z niego zrezygnować. Ale trochę niepokoju dobrze mu zrobi.

O pierwszej przyszła Cindy i oświadczyła:

— Przyszła wiadomość, że Maks Dorfman przyłączył się do spotkania Garvina z Mardenem.

— A co z Johnem Conleyem?

— Wyszedł. Jest obecnie u księgowych.

— W takim razie, to dobry znak.

— I krążą słuchy, że Nichols został zwolniony.

— Skąd się wzięły?

— Godzinę temu odleciał do domu.

Piętnaście minut później Sanders zobaczył Eda Nicholisa idącego korytarzem. Wstał więc i podszedł do biurka Cindy.

— Chyba powiedziałaś, że Nichols poleciał do domu?

— No cóż, tak słyszałam - odparła. - Zwariowana historia.

Wiesz, co teraz mówią o Meredith?

— Co?

— Że zostaje.

— Nie wierzę.

— Bili Everts powiedział pracownicy Stefanii Kaplan, że Meredith Johnson nie zostanie zwolniona i Garvin popiera ją w stu

procentach. Osobą, która zostanie obciążona wszystkim, co się
zdarzyło w Malezji, będzie Phil, a Garvin wciąż wierzy, że Meredith
jest młoda i ten incydent nie powinien zaważyć na jej karierze.

A więc zostawia ją na stanowisku.

- Nie wierzę.

Cindy wzruszyła ramionami.

- Tak mówią.

Sanders wrócił do gabinetu i znowu zaczął patrzeć w okno.

Powtarzał sobie, że to plotki. Po chwili rozległ się sygnał interkomu.

- Tom? Właśnie dzwoniła Meredith Johnson. Chce, żebyś
zaraz przyszedł do jej gabinetu.

Jaskrawe słońce wpadało przez wielkie okna na piątym piętrze.

Przy biurku w sekretariacie Meredith nikt nie siedział. Drzwi
były uchylone. Zastukał.

- Proszę wejść - powiedziała Meredith Johnson.

Stała, opierając się o krawędź biurka. Ręce miała skrzyżowane
na piersiach. Czekwała.

— Witaj, Tom - oznajmiła.

— Witaj, Meredith.

— Wejdz. Nie ugryzę cię.

Wszedł do środka, zostawiając otwarte drzwi.

- Muszę przyznać, że dziś rano przeszedłeś samego siebie,

Tom. Byłam zaskoczona, jak wiele zdołałeś się nauczyć w tak
krótkim czasie. I metoda, którą zastosowałeś na zebraniu, była
bardzo pomysłowa.

Nic nie odpowiedział.

— Tak, dokonałeś wspaniałego wyczynu. Czujesz się dumny z siebie? - zapytała, spoglądając bacznie.

— Meredith...

— Myślisz, że wreszcie mi się odplaciłeś? No cóż, mam dla ciebie wiadomość, Tom. Nie masz zielonego pojęcia, co się naprawdę działo.

Odeszła od biurka i w tej samej chwili zobaczył kartonowe pudło stojące na blacie koło telefonu. Okrążyła biurko i zaczęła pakować fotografie, dokumenty i materiały piśmienne.

460

- Cała sprawa była pomysłem Garvina. Od trzech lat szukał nabywcy. Nie mógł go znaleźć. Wreszcie wysłał mnie i odniosłam sukces. Sprawdziłam dwadzieścia siedem różnych firm, zanim trafiłam na Conley-White. Byli zainteresowani i wzięłam się do nich ostro. Działalam bez przerwy. Robiłam wszystko, aby sprawę sfinalizować. Dosłownie wszystko. - Ze złością wepchnęła do pudła następne papiery.

Sanders obserwował ją.

- Garvin był szczęśliwy, dopóki dostarczałam mu Nicholisa na talerzu. Nie grymasił. Nie interesował się nawet, w jaki sposób to robię. Po prostu chciał, aby było zrobione. Wypruwałam dla niego żyły, ponieważ otrzymanie tego stanowiska było dla mnie wielką szansą wybicia się, prawdziwą okazją do zrobienia kariery. I właściwie, czemu nie? Wykonałam pracę. Załatwiłam umowę. Za-

służyłam na to stanowisko. Wygrałam z tobą uczciwie.

Sanders milczał w dalszym ciągu.

- Ale jak się teraz okazuje, Garvin nie chce mnie poprzeć w sytuacji, gdy pojawiły się trudności i komplikacje. Wszyscy powtarzają, że był dla mnie jak ojciec. Ale naprawdę tylko mnie wykorzystywał. Załatwiał interes w każdy możliwy sposób. I robi to w dalszym ciągu. Po prostu kolejny pieprzony interes i co go obchodzi, jeżeli ktoś zostanie przy okazji skrzywdzony. Wszystko funkcjonuje dalej. Teraz muszę znaleźć adwokata, żeby wynegocjował warunki rozwiązania umowy. Nikogo to nie obchodzi.

Zamknęła pudło i oparła się na nim.

— Ale-pokonałam cię uczciwie, Tom. Nie zasługuję na konsekwencje, które ponoszę. Załatwił mnie ten pieprzony system.

— Nie, nie masz racji - odparł Sanders spoglądając jej prosto w oczy. - Pieprzyłaś się ze swoimi pracownikami od lat. Wykorzystywałaś na wszystkie możliwe sposoby swoje stanowisko. Szłaś na skróty. Byłaś leniwa. Wykreowałaś swój obraz i kryłaś się za nim, i co trzecie słowo, które padało z twoich ust, było kłamstwem.

A teraz użalasz się nad sobą. Uważasz, że winny jest system. Ale wiesz co, Meredith? To nie system cię załatwił. System cię zdemaskował i odrzucił. Ponieważ, kiedy przyjrzeć ci się z bliska, widać, jak bardzo jesteś zakłamana. - Obrócił się na pięcie. - Życzę szczęśliwej podróży. Gdziekolwiek się wybierasz.

Wyszedł z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

Po pięciu minutach znowu znalazł się w swoim gabinecie.

Wciąż wściekły, chodził tam i z powrotem po pokoju.

Weszła Mary Annę Hunter ubrana w podkoszulek i spodenki do joggingu. Usiadła i oparła adidasy na biurku Sandersa.

— No i co w końcu przygotowaliście? Konferencję prasową?

— Jaką konferencję prasową?

— Tę, którą wyznaczono na czwartą.

— Kto tak powiedział?

— Marian z prasowego. Zaklina się, że zlecił ją sam Garvin.

A jego sekretarka obdzwaniania prasę i telewizję.

Sanders pokręcił głową.

— Chyba zbyt wcześnie. Biorąc pod uwagę to, co się stało, konferencja prasowa raczej nie powinna się odbyć wcześniej niż jutro.

— Również tak sędzę - przytaknęła Hunter. - Chyba zwołują ją, aby ogłosić, że fuzja nie dojdzie do skutku. Słyszałeś, co mówią o Blackburnie?

— Nie, a co takiego?

- Że Garvin dał mu milion odszkodowania za rozwiązanie umowy?

— Nie wierzę.

— Ale tak mówią.

— Zapytaj Stefanię.

— Nikt jej nie widział. Teraz, kiedy połączenie nie doszło do

Mary Annę wstała i podeszła do okna. - Przynajmniej mamy

ładny dzień.

— Tak. Wreszcie.

— Chyba pójde pobiegać. Nie mogę wytrzymać tego czekania.

— Na twoim miejscu nie opuszczałbym budynku.

Uśmiechnęła się.

- No tak, chyba masz rację. - Stała przez chwilę przy oknie.

Wreszcie powiedziała: - No cóż, teraz już wszystko jasne...

Sanders spojrział na nią.

- Co takiego?

Mary Annę wskazała dłonią ulicę.

- Furgonetki. Z antenami na dachach. Chyba jednak odbędzie

się ta konferencja prasowa.

Konferencja prasowa odbyła się o czwartej w głównej sali

konferencyjnej. Gdy Garvin stanął przed mikrofonem za-

instalowanym na szczycie stołu, rozbrzły flesze.

- Zawsze uważałem - oznajmił - że kobiety muszą uzyskać

większą reprezentację na wyższych szczeblach zarządzania firmami.

Na progu dwudziestego pierwszego wieku kobiety w Ameryce są

najbardziej nie wykorzystanym potencjałem umysłowym. I dotyczy

to zarówno sfer wysoko rozwiniętej techniki, jak i innych gałęzi

przemysłu. Dlatego też z wielką przyjemnością komunikuję, że

w ramach naszej fuzji z Conley-White Communications, nowym

wiceprezesem Digital Communications Seattle została niezwykle

utalentowana kobieta oddelegowana tu z naszej centrali w Cuper-

tino. Do tej pory była pełnym zaangażowania, wieloletnim członkiem zespołu DigiComu i jestem pewien, że na swoim nowym stanowisku okaże się równie twórcza. Mam zaszczyt przedstawić państwu nowego wiceprezesa do spraw Planowania i Rozwoju, panią Stefanię Kaplan.

Rozległy się brawa. Stefania Kaplan podeszła do mikrofonu i odgarniała do tyłu pukiel siwiejących włosów. Ubrana była w ciemnobrązowy kostium i uśmiechała się spokojnie.

- Dziękuję, Bob. I dziękuję wszystkim, których ciężka praca przyczyniła się do zbudowania prestiżu firmy. Chcę oznajmić, że z góry cieszę się z możliwości współpracy z naszymi wybitnymi kierownikami działów: Mary Annę Hunter, Markiem Lewynem,

464

Donem Cherrym i, oczywiście, Tomem Sandersem. Ci utalentowani ludzie tworzą jądro naszej firmy. Mam zamiar ściśle z nimi współpracować, by stworzyć dla naszego przedsiębiorstwa coraz lepsze perspektywy. Chciałabym jeszcze stwierdzić, że z Seattle łączą mnie zarówno osobiste, jak i zawodowe więzi. Powiem jedynie, że jestem zachwycona, po prostu zachwycona, że się tu znalazłam. I spodziewam się, że w tym wspaniałym mieście spędzę wiele szczęśliwych lat.

Gdy Sanders wrócił do swojego gabinetu, zadzwoniła Luiza.

- Wreszcie dostałam wiadomość od Alana. Jesteś na nią przygotowany? Artur A. Friend jest w delegacji w Nepalu. Nikt nie

ma wstępu do jego gabinetu poza sekretarką i paroma najbardziej zaufanymi studentami. Prawdę mówiąc, tylko jeden student bywa w tym gabinecie w czasie nieobecności profesora. Student pierwszego roku chemii, który nazywa się Jonathan...

— Kaplan - odezwał się Sanders.

— Tak jest. Wiesz, kto to taki?

— Syn mojej szefowej. Stefania Kaplan została właśnie publicznie przedstawiona jako nowa zarządzająca oddziałem.

Luiza milczała przez chwilę.

- Musi być rzeczywiście niezwykłą kobietą - skostatowała.

Garvin umówił się na spotkanie z Luizą Fernandez w hotelu "Cztery Pory Roku". Późnym popołudniem siedzieli w niewielkim, ciemnym barku od strony Fourth Avenue.

— Wykonałaś cholerną robotę, Luizo - powiedział. - Ale muszę ci powiedzieć, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

Niewinna kobieta padła ofiarą sprytnego, podstępnego mężczyzny.

— Daj spokój, Bob - odparła Luiza. - Czy po to mnie zaprosiłeś? Żeby się skarżyć?

— Słowo daję, Luizo, historia z oskarżeniami o molestowanie wymknęła się spod kontroli. W każdej znanej mi firmie jest obecnie przynajmniej tuzin takich pozwów. Do czego coś takiego nas doprowadzi?

— Nie martwię się - odparła. - Jakoś się ułoży.

— Być może, w końcu. Ale tymczasem niewinni ludzie...

— W mojej pracy nie spotykam zbyt wielu niewinnych ludzi -

odparła. - Na przykład, zwróciłam uwagę, że dyrekcja DigiComu już rok temu wiedziała o kłopotach, które stwarzała Johnson, i nic nie zrobiono, aby to ukrócić.

Garvin zamrugał.

— Kto ci o tym powiedział? To absolutnie nieprawda.

Nic nie odpowiedziała.

— I w żaden sposób nie mogłabyś tego udowodnić.

W dalszym ciągu nie odzywając się ani słowem, adwokatka uniosła jedynie brwi.

467

— Kto ci o tym powiedział? - zapytał Garvin. - Chcę wiedzieć.

— Posłuchaj, Bob - odezwała się w końcu. - Jest to na dobrą sprawę sposób zachowania, który nie może być akceptowany. Nie może liczyć na pobłażanie przełożony, który chwyta za genitalia, obmacuje piersi w windzie, zaprasza pracownika w podróż służbową, ale zamawia w hotelu tylko jeden pokój. Coś takiego należy już do historii. Jeżeli zatrudniasz pracownika, który zachowuje się w taki sposób, obojętne czy jest on mężczyzną, kobietą czy gejem, masz obowiązek położyć temu kres.

— Dobrze, oczywiście, ale czasami trudno się zorientować...

— Tak - przyznała Luiza. - Mogą się zresztą zdarzyć dokładnie odwrotne sytuacje. Pracownicy nie podoba się niesmaczny dowcip i składa skargę. Ktoś musi jej wyjaśnić, że to nie jest molestowanie. Ale zanim do tego dojdzie, jej szef został już

oskarżony i wszyscy w firmie o tym wiedzą. Nie może z nikim współpracować wskutek podejrzeń, powstają animozje, wielki bałagan. Widziałam mnóstwo takich przypadków. To jest równie fatalna sytuacja. Wiesz, mój mąż pracuje w tej samej firmie co ja.

— Aha.

— Kiedy się poznaliśmy, pięciokrotnie chciał się ze mną umówić.

Początkowo mówiłam nie, ale w końcu się zgodziłam. Jesteśmy w tej chwili szczęśliwym małżeństwem. Ale któregoś dnia powiedział mi, że w dzisiejszych czasach zapewne nie zapraszałby mnie pięć razy. Zrezygnowałby natychmiast.

— Widzisz? O tym właśnie mówiłem.

— Wiem. Ale ta sytuacja ostatecznie się unormuje. Za rok lub dwa wszyscy będą już znali nowe zasady.

— Tak, ale...

— Kolejny problem powstaje wtedy, gdy ma miejsce trzeci typ sytuacji, takiej pośrodku, pomiędzy dwoma skrajnościami. Tam, gdzie zachowanie jest nieokreślone. Gdy nie ma jasności, co właściwie się stało. Gdy nie wiadomo, kto, co, komu, zrobił. To największa grupa skarg, z jakimi się stykamy. Chwilowo społeczeństwo skupia swoją uwagę raczej na ofierze, a nie na oskarżonym.

Ale oskarżony ma również swoje racje i prawa. Powództwo w sprawie molestowania jest orężem, Bob, przeciwko któremu nie ma dobrej obrony. Każdy może z niego skorzystać - i wiele osób tak czyni. Mam wrażenie, że tak się będzie zdarzało jeszcze nieraz.

Garvin westchnął.

- To coś takiego, jak ta wasza wirtualna rzeczywistość - ciągnęła Luiza Fernandez. - Te środowiska sprawiają wrażenie rzeczywistych, ale naprawdę takie nie są. Każdego dnia żyjemy w takim wirtualnym środowisku, określanym przez nasze idee.

Ulegają one powolnej zmianie. Przekształcił się stosunek do kobiet i teraz zaczyna modyfikować się podejście do mężczyzn. Mężczyznom nie podobała się tamta pierwsza zmiana, a teraz kobietom nie będzie podobała się obecna. I niektórzy będą chcieli zjawisko to wykorzystać. Jednak ostatecznie, wszystko się jakoś ułoży.

- Kiedy? Kiedy się to skończy? - zapytał Garvin, kręcąc głową.

— Gdy kobiety będą zajmowały pięćdziesiąt procent kierowniczych stanowisk - odparła.

— Wiesz, że popieram takie rozwiązanie.

— Wiem - oznajmiła Luiza. - I wydaje mi się, że mianowałeś właśnie niezwykłą kobietę. Gratuluję, Bob.

Mary Annę Hunter otrzymała polecenie odwiezienia Meredith Johnson na lotnisko, na samolot do Cupertino. Obie kobiety siedziały w milczeniu przez piętnaście minut. Meredith Johnson, otulona w płaszcz, patrzyła przez szybę.

Wreszcie, gdy przejeżdżały obok zakładów Boeinga, odezwała się:

- I tak mi się tu nie podobało.

Hunter odpowiedziała, dobierając starannie słowa:

- Miasto ma swoje dobre i złe strony.

Znowu zapadła cisza. Wreszcie Meredith odezwała się ponownie:

— Czy przyjaźnisz się z Sandersem?

— Tak.

— Bardzo miły facet - rzekła Johnson. - Zawsze taki był.

Wiesz, kiedyś żyliśmy ze sobą.

— Słyszałam o tym - odparła Mary Annę.

— Tak naprawdę, Tom nie zrobił nic złego - stwierdziła

Meredith. - Po prostu nie wie, jak traktować przelotną uwagę.

— Aha.

— Kobiety zajmujące się interesami muszą być przez cały czas idealne, albo po prostu zostaną zniszczone. Jedno małe potknięcie i po wszystkim.

— Aha.

— Wiesz, o czym mówię.

— Tak - odparła Mary Annę. - Wiem.

470

Znowu zapadła długa cisza. Meredith poprawiła się w fotelu

i znowu zaczęła patrzeć przez szybę.

- System - oznajmiła wreszcie. - W tym cały problem.

Zostałam zgwałcona przez ten pieprzony system.

Sanders opuszczał budynek, wybierając się na lotnisko, aby

spotkać Susan i dzieciaki, gdy wpadł na Stefanię Kaplan.

Pogratulował jej nominacji. Podała mu rękę i odpowiedziała bez

uśmiechu.

— Dziękuję ci za poparcie.

— A ja za twoje. Dobrze mieć przyjaciela.

— Tak - odparła. - Przyjaźnie są miłe. Podobnie kompeten-
cja. Nie zostanę na tym stanowisku zbyt długo, Tom. Nichols
przestał być DPF u Conleya, a jego zastępca jest w najlepszym
przypadku przeciętny. Mniej więcej za rok będą kogoś szukali.
A kiedy przejdę do nich, ktoś będzie musiał przejąć nową firmę.

Mam wrażenie, że to powinieneś być ty.

Sanders uklonił się lekko.

- Ale to przyszłość - oznajmiła sucho Stefania Kaplan. -

Tymczasem musimy zaprowadzić porządek w firmie. Cały oddział
jest w opłakanym stanie. Wszyscy są pochłonięci sprawami fuzji,
a linie produkcyjne zostały zatrzymane przez głupie pociągnięcia
Cupertino. Musimy włożyć wiele pracy, aby zmienić ten stan
rzeczy. Wyzaczyłam pierwsze zebranie produkcyjne z wszystkimi
kierownikami działów na jutro o siódmej rano. Spotkamy się na
nim, Tom.

Odwróciła się.

Sanders stał przy wyjściu dla przylatujących w Sea-Tac
i obserwował pasażerów samolotu z Phoenix. Opalona Eliza
podbiegła do niego wołając:

— Tatusiu! - i rzuciła mu się w objęcia.

— Dobrze ci było w Phoenix?

— Wspaniale, tatusiu! Jeździliśmy na koniach, jedliśmy taco

i wiesz co?

— Co?

— Widziałam węża!

— Prawdziwego?

— Aha. Zielonego. Był taaki wielki. - Rozłożyła szeroko ramiona. ·

— Rzeczywiście dosyć duży, Elizo.

— Ale wiesz co? Zielone węże nie gryzą.

Podeszła Susan z Matthewem na rękach. Również była opalona.

Pocałował ją, a Eliza oznajmiła:

— Opowiedziałam tatusiowi o wężu.

— Jak się czujesz? - zapytała Susan, spoglądając mu w oczy.

— Doskonale. Ale jestem zmęczony.

— Już po wszystkim?

— Tak. Po wszystkim.

Zaczęli iść. Susan objęła go w pasie.

- Wiele rozmyślałam. Może podróżuję zbyt dużo. Powinniśmy chyba więcej czasu spędzać razem.

473

- Byłoby cudownie - odparł.

Podeszli do punktu odbioru bagażu. Niosąc córkę, czując jej drobne dłonie na ramionach popatrzył w bok i nagle zobaczył Meredith Johnson stojącą przy jednym ze stanowisk odprawy pasażerów. Miała na sobie płaszcz, jej włosy były zaczesane do tyłu.

Patrzyła przed siebie i nie widziała go.

— Czy to ktoś, kogo znam? - zapytała Susan.

— Nie - odparł Sanders. - To nikt.

Postscriptum

Constance Walsh została zwolniona z "Post-Intelligencera" w Seattle i oskarżyła gazetę o niesłuszne zwolnienie i dyskryminację z powodu płci na podstawie Artykułu VII Ustawy o Prawach Obywatelskich z 1964 roku. Gazeta zawarła ugodę poza sądem.

Philip Blackburn został mianowany kierownikiem działu prawnego w Silicon Holographics w Mountain View w Kalifornii w firmie, która była dwukrotnie większa od DigiComu. W późniejszym okresie wybrano go na przewodniczącego komisji ds. etyki Stowarzyszenia Prawników w San Francisco.

Edward Nichols odszedł z Conley-White Communications na wcześniejszą emeryturę i przeniósł się wraz z żoną do Nassau na Bahamach, gdzie pracował na pół etatu jako konsultant dla firm działających poza kontynentem.

475

Elizabeth, "Betsy", Ross została zatrudniona przez Conrad Computers w Sunnyvale w Kalifornii i wkrótce wstąpiła do stowarzyszenia Anonimowych Alkoholików.

Johna Conleya mianowano wiceprezesem ds. planowania w Conley-White Communications. Sześć miesięcy później zginął w wypadku samochodowym w Patchogue, w stanie Nowy Jork.

Mark Lewyn został oskarżony o molestowanie seksualne na

podstawie Artykułu VII przez pracownicę Grupy Projektowej.

Chociaż Lewyn został oczyszczony z zarzutów, jego żona wystąpiła o rozwód wkrótce po zakończeniu dochodzenia.

Artur Kahn zatrudnił się w Bull Systems w Kuala Lumpur w Malezji.

Richard Jackson z Aldusa został oskarżony o molestowanie seksualne na podstawie Artykułu VII przez pracownika American DataHouse, hurtownika pracującego dla Aldusa. Po przeprowadzeniu dochodzenia, Aldus zwolnił Jacksona.

Gary Bosak opracował algorytm szyfrowania danych, którego licencję sprzedał IBM, Microsoft i Hitachi. Został multimilionerem.

Luizę Fernandez wybrano do Sądu Federalnego. Wygłosiła odczyt w Stowarzyszeniu Prawników w Seattle, w którym stwierdziła, że pozwy o molestowanie seksualne coraz częściej używane są jako broń w celu rozstrzygnięcia sporów wewnętrznych w firmach.

Oznajmiła, że w przyszłości może zaistnieć konieczność przeprowadzenia zmian w prawodawstwie lub ograniczenia udziału adwokatów w tych sprawach. Jej przemówienie zostało przyjęte chłodno.

476

Meredith Johnson została mianowana wiceprezesem ds. Operacji i Planowania w przedstawicielstwie IBM w Paryżu. Następnie wyszła za mąż za ambasadora Stanów Zjednoczonych we Francji, Edwarda Harmona, wkrótce po przeprowadzonym przez niego rozwodzie. Po czym wycofała się z interesów.

PoSłowie

Zrelacjonowany tu incydent oparty jest na prawdziwym wydaniu. Wykorzystanie go w powieści wcale nie miało zanegować faktu, że większość pozwów o molestowanie seksualne składanych jest przez kobiety przeciwko mężczyznom. Wręcz przeciwnie - odwrócenie ról w tej historii może dopomóc nam w zbadaniu aspektów, ukrytych pod tradycyjnymi reakcjami i konwencjonalną retoryką. Bez względu na to, jak czytelnicy odbiorą tę historię, ważne jest, aby zrozumieli, że zachowania obojga antagonistów są swoimi lustrzanymi odbiciami, jak plama Rorschacha. Wartość testu Rorschacha polega na tym, że objaśnia nam on nas samych. Należy również podkreślić, że fabuła w obecnej postaci jest fikcją. Ponieważ oskarżenia o molestowanie seksualne w miejscu pracy dotyczą wielu wzajemnie przeciwstawnych praw obywatelskich i ponieważ tego rodzaju oskarżenia stanowią obecnie poważne zagrożenie nie tylko dla poszczególnych osób, ale całych przedsiębiorstw, należy rozpatrywać rzeczywiste wydarzenie z wielką starannością. Wszystkie osoby uczestniczące w opisywanym przypadku zgodziły się udzielić wyjaśnień, pod warunkiem zachowania anonimowości. Jestem im wdzięczny za udzielenie pomocy.

478

Poza tym, jestem głęboko zobowiązany wielu adwokatom, urzędnikom do spraw pracowniczych, poszczególnym pracownikom i przedstawicielom firm, którym zawdzięczam niezwykle cenne

opinie dotyczące wątku powieści. Wyjątkową drażliwość wszelkiego rodzaju dyskusji na temat molestowania seksualnego dobitnie charakteryzuje fakt, że wszyscy, z którymi rozmawiałem, zastrzegli sobie anonimowość.

Koniec